

WALTER MOERS

MIASTO ŚNIĄCYCH KSIĄŻEK

POWIEŚĆ Z CAMONII AUTORSTWA HILDEGUNSTA RZEŹBIARZA MITÓW

Przekład z camońskiego i ilustracje Walter Moers

Przekład z Waltera Moersa bez ilustracji: Katarzyna Bena

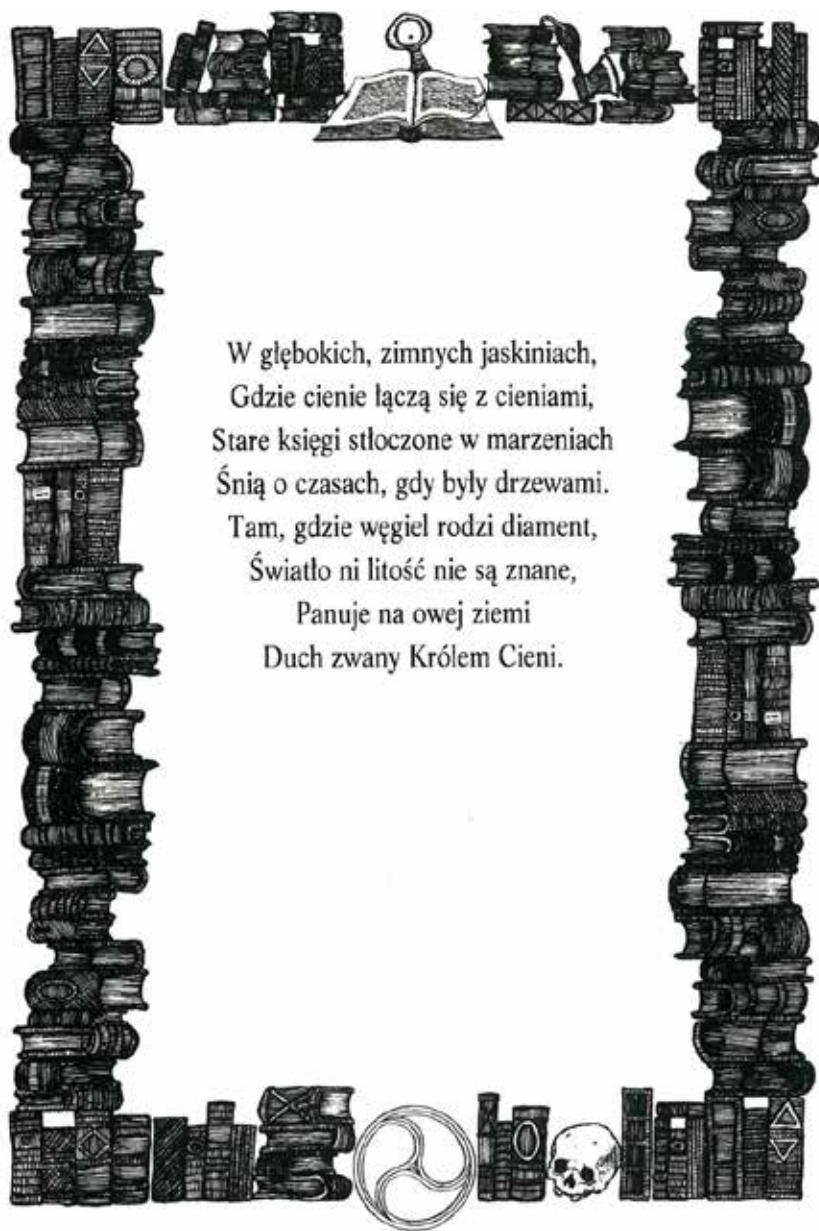


HILDEGUNST RZEŹBIARZ MÍTÓW

CZEŚĆ PIERWSZA

TESTAMENT DANCELOTA





W głębokich, zimnych jaskiniach,
Gdzie cienie łączą się z cieniami,
Stare księgi stłoczone w marzeniach
Śnią o czasach, gdy były drzewami.
Tam, gdzie węgiel rodzi diament,
Światło ni litość nie są znane,
Panuje na owej ziemi
Duch zwany Królem Cieni.

*W głębokich, zimnych jaskiniach,
Gdzie cienie łączą się z cieniami,
Stare księgi stłoczone w marzeniach
Śnią o czasach, gdy były drzewami.
Tam, gdzie węgiel rodzi diament,
Światło ni litość nie są znane,
Panuje na owej ziemi
Duch zwany Królem Cieni.*



OSTRZEŻENIE

Tu rozpoczyna się historia. Opowiada ona o tym, jak wszedłem w posiadanie *Krwawej księgi* i zdobyłem Orma. Nie jest to opowieść dla ludzi o delikatnej skórze i słabych nerwach, którym to chciałbym polecić od razu odłożenie tej książki z powrotem na półkę i przejście do działu z literaturą dziecięcą. A kysz, a kysz, spadajcie beksy i wielbiciele herbaty rumiankowej, tchórze i mięczaki. Tu chodzi o opowieść o miejscu, w którym czytanie jest nadal prawdziwą przygodą! A przygodę zdefiniuję całkiem staromodnie według camońskiego słownika: „Śmiałe przedsięwzięcie wynikające z pobudek odkrywczych bądź lekkomyślności, z aspektami zagrożenia życia, nieprzewidywalnymi niebezpieczeństwami i czasami z tragicznym końcem”.

Tak, opowiem wam o miejscu, w którym czytanie może doprowadzić do szaleństwa. Gdzie książki mogą zranić, otruć, a nawet zabić. Tylko ci, którzy dla lektury tej książki naprawdę gotowi są na tego rodzaju niebezpieczeństwa; ci, którzy chcą zaryzykować własne życie, aby stać się częścią mojej opowieści, powinni towarzyszyć mi do następnego akapitu. Wszystkim pozostałym gratuluję tchórzliwej, ale w gruncie rzeczy rozsądnej decyzji wycofania się. Wszystkiego dobrego, baby! Życzę wam długiego i śmiertelnie nudnego życia i macham wam tym zdaniem na pożegnanie!

No! Po tym, jak zaraz na początku ograniczyłem grono moich czytelników do prawdopodobnie małej chorągwi śmiałków, chcę serdecznie powitać pozostałych – bądźcie pozdrowieni, moi dzielni przyjaciele, jesteście z tego samego drewna, z którego rzeźbi się przygody! Nie chcemy więc chyba tracić więcej czasu i niezwłocznie rozpoczynajmy wędrówkę. Udajemy się bowiem w podróż, antykwaryczną podróż do Księgogrodu, Miasta Śniących Książek. Zasznuруйте porządnie buty, czeka was długi kawał drogi poprzez skalisty, nierówny teren, potem poprzez monotonną Ziemię Traw, w której źdźbła rosną gęsto na wysokość bioder, a ostre są niczym noże. I w końcu w dół mroczną, krętą i niebezpieczną ścieżką, w dół w trzewia Ziemi. Nie potrafię przewidzieć, ilu z nas powróci z tej wyprawy. Mogę wam jedynie powiedzieć: Cokolwiek miałyby się wydarzyć – nie traćcie odwagi.

I nie mówcie, że was nie ostrzegąłem!!

DO KSIĘGOGRODU

Gdy idzie się w kierunku wschodnim, poprzez płaskowyż Duli w zachodniej Camonii, a falujące morza traw ma się w końcu za sobą, horyzont rozszerza się nagle dramatycznie. Można patrzeć bez końca przez ten płaski krajobraz, który w oddali przekształca się w *Słodką Pustynię*. Na tym dość skąpo zazielenionym pustkowiu, przy dobrej pogodzie i przejrzystym powietrzu, wędrowiec ujrzy plamę, która szybko będzie się powiększała, jeśli on nie przestanie maszerować w jej kierunku. Plama przybierze potem kanciaste kształty, wyłonią się ostre dachy, i w końcu okaże się ona owianym legendami miastem, noszącym nazwę Księgogrodu.

Już z daleka czuć jego zapach. Pachnie starymi książkami. Tak, jakby otwarto drzwi gigantycznego antykwariatu; tak, jakby podniosła się z niego burza czystego książkowego kurzu i wraz ze zgnilizną miliona zbutwiałych foliałów wionęła nam w twarz. Są ludzie, którym nie odpowiada ten zapach, którzy już przy tym akapicie zarządzą odwrót, gdy tylko dotrze on do ich nosa. Trzeba przyznać – to nie jest przyjemny zapach, jest beznadziejnie nienowoczesny, ma związek z rozkładem i rozpadem, z przemijalnością i pleśnią, ale jest w nim i coś innego. Lekka nuta kwasu, przypominająca woń drzewek cytrusowych. Podniecający zapach starej skóry. Ostre, inteligentne perfumy czernidła drukarskiego. I w końcu, przede wszystkim, jest w nim uspokajający zapach drewna.

Nie mówię tu o żywym drewnie, o żywicznych drzewach i świeżych igłach świerków, mówię o martwym, obdartym z kory, wybielonym, przemielonym, wymoczonym, sklejonym, walcowanym i pociętym drewnie – jednym słowem: o papierze. Och tak, moi żądni wiedzy przyjaciele, czujecie go teraz, ten zapach przypominający wam o zapomnianej wiedzy i starożytnych rzemieślniczych tradycjach. A teraz ledwie jesteście w stanie oprzeć się pragnieniu jak najszybszego otwarcia jednej z tych antykwarycznych ksiąg, nieprawdaż? Przyśpieszmy zatem nasz marsz! Z każdym krokiem w kierunku Księgogrodu czujemy, że zapach staje się intensywniejszy i bardziej nęcący. Coraz wyraźniej rozróżniamy szpiczaste dachy domów, setki, tysiące smukłych kominów wystrzeliwujących z dachów. Przyciemniają niebo swym oleistym dymem i dodają nowych aromatów wszechobecnemu zapachowi książek: świeżo zaparzonej kawy, pieczonego chleba, mięsa przyprawionego ziołami, skwierczącego nad węglem drzewnym. Nasze tempo znowu się podwaja; do palącej potrzeby utworzenia jednej z tych ksiąg dołącza pragnienie gorącej filiżanki cynamonowego kakao i kawałka piaskowej babki. Szybciej, szybciej!!

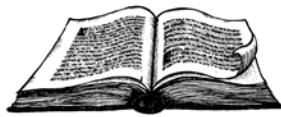
W końcu docieramy do granicy miasta; zmęczeni, głodni, spragnieni, ciekawi i

trochę rozczarowani. Nie ma żadnych zapierających dech w piersiach murów obronnych, żadnej bramy ze strażą – na przykład takiej w kształcie ogromnej książkowej okładki, otwierającej się ze skrzyknięciem na nasze pukanie. Nie, jest tylko parę wąskich uliczek, po których śpieszą Camończycy w różnorodnych formach swego jestestwa, wkraczając do miasta albo opuszczając je. A zazwyczaj robią to ze stosem książek pod pachą, niektórzy ciągną za sobą pełne ich wózki. Miasto jak każde inne, gdyby nie było tych wszystkich książek.

A więc jesteśmy, moi odważni towarzysze drogi, na magicznej granicy Księgogrodu – to tu właśnie w tak mało spektakularny sposób zaczyna się miasto. Za chwilę przejdziemy przez jego niewidzialną granicę, przekroczymy ją i zgłębimy tajemnice miasta.

Za chwilę.

Wcześniej jednak chciałbym na moment przerwać i poinformować, dlaczego w ogóle udałem się w podróż tutaj. Każda podróż ma swój powód, a mój to nadmiar młodości i lekkomyślności i pragnienie wyrwania się ze starych śmieci, chęć poznania życia i świata. Poza tym chciałem dopełnić przyrzeczenia, które złożyłem umierającemu, a przede wszystkim pragnąłem rozwikłać fascynującą tajemnicę. Ale po kolei, moi przyjaciele!

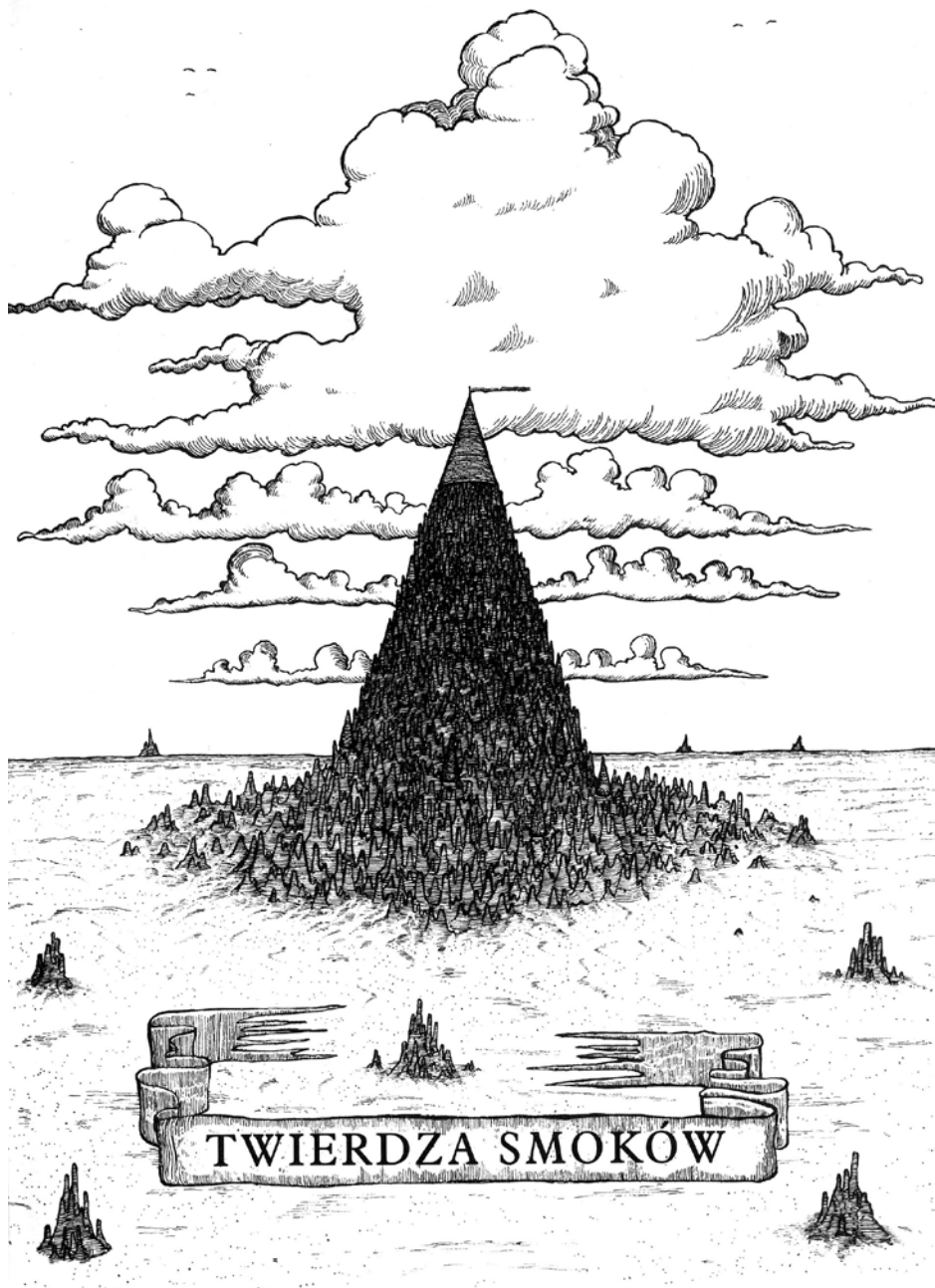


W TWIERDZY SMOKÓW

Gdy młody mieszkaniec Twierdzy Smoków[1] osiąga dojrzałość czytelniczą, rodzice przydzielają mu tak zwanego *ojca poetyckiego*. Jest to zazwyczaj ktoś z krewnych albo z bliskiego kręgu znajomych, kto od tego momentu odpowiada za pisarskie wychowanie młodego dinozaura. Ojciec poetycki uczy swego wychowanka czytania i pisania, wprowadza go w camońską poezję, poleca lektury i uczy warsztatu pisarskiego. Przepytuje go z wierszy i wzbogaca jego słownictwo – i tak dalej, i tak dalej, czyli dba o same nieodzowne rzeczy potrzebne do artystycznego rozwoju swego wychowanka.

Moim ojcem poetyckim był Dancelot Tokarz Sylab. Podejmując się ojcostwa poetyckiego, miał już ponad osiemset lat, prastary kamień w Twierdzy Smoków, a zarazem wujek ze strony mojej matki. Wujek Dancelot był solidnym kowalem rymów bez większych ambicji. Uprawiał poezję na zamówienie, przede wszystkim elogia z okazji świąt, poza tym znany był z mów na okazje toastów i pogrzebów. Właściwie był bardziej czytelnikiem niż pisarzem, bardziej koneserem literatury niż jej twórcą. Zasiadał w niezliczonych gremiach przyznających nagrody, organizował konkursy poetyckie, był wolnym strzelcem jako lektor i autor widmo. Sam opublikował tylko jedną książkę – *O rozkoszach ogrodu* – w której to, w dość dobitnych słowach, opisał tłuste narośla na kalafiorach i filozoficzne implikacje kompostowania. Dancelot kochał swój ogród prawie tak bardzo jak literaturę i nigdy nie miał dość wyszukiwania paraleli między udomowioną przyrodą a poezją. Własnoręcznie zasadzony krzak truskawek miał dla niego taką samą wartość jak samodzielnie ułożony wiersz, liczenie rządków szparagów porównywał ze strukturą rymów, a kupę kompostu uważał za równą filozoficznemu esejowi. Musicie mi pozwolić, moi cierpliwi przyjaciele, zacytować krótki fragment z jego już dawno rozchwytanego dzieła – sposób, w jaki Dancelot przedstawił zwykły, niebieski kalafior odda o wiele bardziej żywy obraz jego osoby, niż ja bym to uczynił tysiącem słów:

[1] Przyp. od W.M.: Ten, kto choć niewiele zna się na camońskiej historii i literaturze, wie, że Twierdza Smoków to poprzecinana jaskiniami skała w Zachodniej Camonii, wznosząca się na płaskowyżu Duli niedaleko Loch Dziura. Skałę zasiedlają wyprostowane i mówiące smoki, wszystkie bez reszty poświęcone literaturze. Jak do tego doszło – niewiedzących proszę o poczytanie o tym w innych publikacjach. Patrz *Od Twierdzy Smoków do Bloxbergu – połowa biografii Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów w: Osiolaś i Kretosia*, jak i fragmenty stron 41-69 w: *Rumo i cuda w ciemnościach*. Dla dalszej lektury tej książki jest to w każdym razie bez znaczenia.



TWIERDZA SMOKÓW

Tresura kalafiora mocno zdumiewa. Poddaje się go zmianie kwiatostanu, a nie listowia. Ogrodnik wpaja baldachimowi kwiatowemu tymczasową otyłość. Jego niezliczone pąki kwiatowe stłoczone w zwartym parasolu tłuszczą wraz z ich łodygami w nieforemną masę niebieskawego tłuszczu roślinnego. Kalafior jest więc kwiatem ginącym we własnym tłuszczu jeszcze przed zakwitnięciem bądź mówiąc dokładniej: ginącą wielością kwiatów, zmarnowanym baldachem wiech. Jakim cudem ten utuczony twór wraz ze swymi opęczniałymi od tłuszczu jajnikami jest w stanie się rozmnażać? Także i on, zbaczając w nienaturalność, powraca później do natury. Ogrodnik nie daje mu oczywiście na to czasu, zbiera kalafior u szczytu jego zabłąkania, mianowicie w najwyższym i najsmaczniejszym stadium otluszczenia, wtedy, gdy roślinny grubasek równy jest w smaku zrazikowi. Za to hodowca nasion zostawia w spokoju tę błękitną masę w kącie ogrodu, by powróciła do tego, co w niej najlepsze. Gdy po trzech tygodniach przychodzi ją obejrzeć, odnajduje, miast półtora kilograma roślinnego tłuszczu, przerzedzony krzak kwiatów otoczony brzęczeniem pszczół, błędnych ogników i chrupiących chrząszczy. Bładoniebieskie, wcześniej nienaturalnie utuczone łodyżki przeobraziły swą otyłość w długość, jako mięsiste szypułki unosząc teraz na swych końcach pewną ilość przerzedzonych, żółtych kwiatów. Tylko te nieliczne niespożyte pączki barwią się na niebiesko, nabrzmiewają, rozkwitają i pęcznieją nasionami. To niewielkie, dzielne stadko uczciwych i wiernych naturze ratuje przyszłość cechu kalafiorów.

Tak, oto Dancelot Tokarz Sylab we własnej osobie. Związany z przyrodą, zakochany w języku, zawsze precyzyjny w obserwacjach, optymistyczny, odrobinę dziwaczny i nudny aż do bólu, jeśli chodzi o temat jego działalności literackiej, czyli o kalafior.

Mam o nim tylko dobre wspomnienia, poza trzema miesiącami, w czasie których, po tym jak to podczas jednego z licznych oblężeń Twierdzy Smoków dostał w głowę kamiennym pociskiem z katapulty i był święcie przekonany, że jest szafą pełną brudnych okularów. Obawiałem się wówczas, że nigdy już nie powróci z tej krainy szaleństwa, ale wydobrzeł jednak po kolejnym ciężkim ciosie w głowę. W czasie jego ostatniej grypy nie nastąpiło, niestety, równie cudowne ozdrowienie.



ŚMIERĆ DANCELOTA

Gdy Dancelot w wieku ośmiuset osiemdziesięciu lat dokonywał właśnie swego długiego dinozaurzego żywota, liczyłem sobie ledwie siedemdziesiąt siedem wiosen i ani razu nie opuściłem jeszcze Twierdzy Smoków. Umarł na skutek właściwie niegroźnej grypowej infekcji, która nadwerżyła jego osłabiony system odpornościowy (wydarzenie, które zasadniczo pogłębiło moje wątpliwości co do niezawodności systemu odpornościowego).

Tak więc siedziałem tego nieszczęsnego dnia przy łożu śmierci i notowałem poniższą rozmowę, ponieważ mój ojciec poetycki poprosił mnie o protokołowanie jego ostatnich słów. Nie, żeby był tak próżny, chcąc zachować dla potomnych swoje ostatnie westchnienia, ale dlatego że wierzył, iż jest to dla mnie jednorazowa okazja zdobycia autentycznego materiału w tej dość specyficznej gałęzi literackiej. Dokonał więc życia, wypełniając swe obowiązki ojca poetyckiego.

Dancelot: Umieram, mój synu.

Ja (tłumiąc łzy, oniemiały): Yhy...

Dancelot: Jestem daleki od aprobowania tego z fatalistycznych pobudek albo filozoficznego dobrodziejstwa starości, ale muszę się jakoś z tym pogodzić. Każdy dostaje swoją beczkę, a moja była zazwyczaj dość pełna.

(Zastanawiając się nad tym później, cieszę się, że użył porównania do pełnej beczki. Oznacza to, że uważał swoje życie za bogate i spełnione. Wiele się osiągnęło, jeśli życie przypomina nam pełną beczkę, a nie puste wiadro.)

Dancelot: Słuchaj, mój chłopcze: Nie mam Ci zbyt wiele do zapisania, przynajmniej w znaczeniu materialnym. Sam to wiesz. Nie zostałem jednym z tych śmierzących twierdzosmoczkańskich pisarzy gromadzących honoraria w workach w piwnicy. Zostawiam ci mój ogród, ale wiem, że za nic masz warzywa.

(To była prawda. Jako młody smok niewiele mogłem zrobić z peanami na cześć kalafiorów i hymnami do rabarbaru zawartymi w książce ogrodowej Dancelota i nie czyniłem z tego tajemnicy. Dopiero w późniejszych latach ziarno zasiane przez Dancelota zaczęło kiełkować i

sam nawet założyłem własny ogród, hodowałem niebieskie kalafiory, a niektóre z mych inspiracji czerpałem wprost z udomowionej przyrody.)

Dancelot: Jestem teraz całkiem goły...

(Mimo powagi sytuacji nie byłem w stanie stłumić parsknięcia, ponieważ użycie słowa „goły” w jego stanie miało w sobie coś niezamierzenie śmiesznego, jak przypadkowe sięgnięcie do szuflady czarnego humoru, które zdecydowanie zostałyby podkreślone na czerwono przez Dancelota w moim manuskrypcie. Ale moje parsknięcie w chusteczkę mogło też ujść za dławione łzami wytarcie nosa.)

Dancelot:...i dlatego nie mogę ci zostawić niczego wartościowego materialnie.

(Kiwnąłem głową i pociągnąłem nosem, tym razem ze wzruszenia. Umierał i martwił się równocześnie o moją przyszłość. To było poruszające.)

Dancelot: Ale posiadam coś, co jest zdecydowanie bardziej wartościowe niż wszystkie skarby Camonii. Przynajmniej dla pisarza.

(Spojrzałem na niego oczami pełnymi łez.)

Dancelot: Tak, można powiedzieć, że jest to prawdopodobnie najwartościowsza rzecz, jaką prócz Orma może w ciągu życia zdobyć pisarz.

(Budował napięcie. Ja na jego miejscu starałbym się jak najszybciej pozbyć istotnych informacji w odpowiednim skrócie. Nachyliłem się.)

Dancelot: Jestem w posiadaniu najwspanialszego tekstu w całej camońskiej literaturze.

(No tak, pomyślałem. Albo zaczął majaczyć, albo chce mi zapisać swoją zakurzoną bibliotekę i gada o posiadanych przez siebie pierwszym wydaniu Rycerza Hempla, tego starocia w świńskiej skórze autorstwa Gryfiusa Strugacza Ód, którego on uważał za równie godnego

naśladowania, co ja za nieczytelnego.)

Ja: Co masz na myśli?

Dancelot: Jakiś czas temu pewien młody camoński pisarz spoza Twierdzy Smoków przysłał mi swój rękopis. Z tradycyjnym wstydlwym blablą, że to jedynie skromna próba, bojaźliwy krok w nieznaną i tak dalej, i czy nie mógłbym mu powiedzieć, co o tym sądzę i że dziękuje z góry.

Uznałem za swój obowiązek czytać wszystkie te niechciane, lecz nadesłane manuskrypty i mogę słusznie przypuszczać, że lektura ta kosztowała mnie sporą część życia i trochę nerwów.

(Dancelot zakasłał niezdrowo.)

Dancelot: Opowiadanie nie było długie, liczyło ledwie parę stron. Siedziałem właśnie przy śniadaniu, zrobiłem sobie filiżankę kawy i przeczytałem już do końca gazetę. Wziąłem więc zaraz ten tekst – każdego dnia dobry uczynek, wiesz, od razu przy śniadaniu, wtedy szybko masz to za sobą. Poprzez długoletnie doświadczenie byłem przygotowany na tradycyjny bełkot młodego pisarza zmagającego się ze stylem, gramatyką, zawodami miłosnymi i okrutnym światem. Westchnąłem więc i zabrałem się do lektury.

(Dancelot westchnął rozdzierająco i nie wiedziałem, czy chodziło tu o naśladowanie tamtego westchnięcia, czy też miało to związek z jego rychłym zejściem.)

Dancelot: Gdy mniej więcej po trzech godzinach znowu sięgnąłem po filiżankę, była wciąż pełna, a kawa zimna. Ale nie potrzebowałem trzech godzin na przeczytanie tego opowiadania, nawet nie pięciu minut. Resztę czasu musiałem spędzić bez ruchu z listem w ręku, w czymś w rodzaju szoku. Jego treść poraziła mnie z takim impetem, któremu dorównać mógłby jedynie pocisk z katapulty.

(Na krótko zabłysło nieprzyjemnie wspomnienie czasów, kiedy to Dancelot uważał się za szafę pełną brudnych okularów. I wtedy, muszę

się do tego przyznać, pomyślałem sobie coś niesłychanego. Ponieważ to, co w następnym momencie przemknęło mi przez głowę, brzmiało dosłownie w ten sposób: „Mam nadzieję, że nie wykituje teraz, zanim mi opowie, co było w tym cholernym liście”.

Nie, nie pomyślałem: „Mam nadzieję, że nie umrze” albo „Musisz żyć ojczyźnie poetyckiej!”, albo coś w tym stylu, tylko właśnie to, co napisałem powyżej. Wstydę się do dzisiejszego dnia, że pojawiło się tam słowo „wykitować”. Dancelot chwycił mój nadgarstek, podniósł się na łóżku i spojrzął na mnie szeroko otwartymi oczami.)

Dancelot: Ostatnie słowa umierającego – a chce ci on powiedzieć coś sensacyjnego! Zapamiętaj sobie ten chwyt artystyczny! Nikt nie będzie w stanie oderwać się od czytania! Nikt!

(Dancelot umierał i w tym momencie nie było dla niego nic ważniejszego, niż nauczenie mnie tego chwytu dla jarmarcznych pisarzy – było to zakończenie ojcostwa poetyckiego w najbardziej poruszającym wydaniu. Zaszlochałem wzruszony, a Dancelot rozluźnił swój uścisk i opadł z powrotem na poduszki.)

Dancelot: Ta historia nie była długa, liczyła dziesięć stron napisanych ręcznie, ale nigdy, rozumiesz, nigdy w całym swoim życiu nie czytałem czegoś, choć w przybliżeniu tak doskonałego.

(Dancelot był przez całe życie namiętym czytelnikiem, prawdopodobnie najpilniejszym ze wszystkich Twierdzosmoczan, z tego też powodu stwierdzenie to było dla mnie ogromnie poruszające. Moja ciekawość osiągnęła nieludzkie rozmiary.)

Ja: Co tam było napisane, Dancelocie, co?

Dancelot: Słuchaj, mój chłopcze, nie mam już więcej czasu, żeby opowiedzieć ci tę historię. Znajdziesz ją w pierwszym wydaniu Rycerza Hempla, które pragnę ci zapisać razem z całą moją biblioteką.

(Wiedziałem! Moje oczy znowu napełniły się łzami.)

Dancelot: Wiem, że niespecjalnie lubisz tę książkę, ale mogę sobie wyobrazić, że któregoś dnia Strugacz Ód przypadnie ci do serca. To kwestia wieku. Zajrzyj do niej raz jeszcze przy okazji.

(Przyrzekłem to, kiwając dzielnie głową.)

Dancelot: Chcę ci powiedzieć, co następuje: Ta historia była napisana tak doskonale, tak bezbłędnie, że zmieniła radykalnie moje życie. Postanowiłem, że na zawsze porzucę pisanie, ponieważ nigdy nie napisałbym czegoś, nawet w przybliżeniu, tak perfekcyjnego. Gdybym nie przeczytał tego opowiadania, nadal żyłbym we własnym niejasnym wyobrażeniu o literaturze pięknej, mniej więcej w wydaniu Gryfiusa Strugacza Ód. Nigdy bym się nie dowiedział, jak naprawdę wygląda doskonała poezja. Ale teraz miałem ją w rękach. Rezygnowałem, ale rezygnowałem z radością. Nie odchodziłem w stan spoczynku z lenistwa albo strachu, czy też z innych przyziemnych przyczyn, tylko z pokory wobec prawdziwie artystycznego szlachectwa. Postanowiłem poświęcić swoje życie w służbie rzemieślniczemu aspektowi pisarstwa. Chciałem trzymać się rzeczy, które mogę przekazać. Wiesz przecież: kalafiory.

(Dancelot zrobił długą pauzę. Myślałem już, że umarł, ale on po chwili kontynuował.)

Dancelot: I wtedy popełniłem największy błąd w moim życiu. Napisałem list do tego młodego geniusza, w którym poleciłem mu udanie się z manuskrypcją do Księgogrodu, aby znalazł tam wydawcę.

(Dancelot westchnął ciężko raz jeszcze.)

Dancelot: I to był koniec naszej korespondencji. Nigdy więcej już o nim nie usłyszałem. Prawdopodobnie udał się za moją radą w podróż do Księgogrodu i stało mu się coś po drodze, być może wpadł w ręce zbójców na gościńcu, albo złapały go demony zbożowe. Powinienem był śpieszyć do niego, roztoczyć opiekę nad nim i nad jego dziełem, a co ja zrobiłem? Wysłałem go do Księgogrodu, jaskini lwa, do miasta pełnego istot, które zbijają majątek na literaturze, ciulaczy i

padlinożerców. Miasto pełne wydawców! Równie dobrze mogłem go wysłać, z dzwoneczkiem u szyi, do lasu pełnego wilkołaków.

(Dancelot charczał, jakby płukał gardło krwią.)

Dancelot: Mam nadzieję, że wszystkie błędy, które popełniłem przy nim, zrekompensowałem przy tobie. Wiem, że masz zadatki na to, by stać się kiedyś największym pisarzem w Camonii. Wiem, że zdobędziesz kiedyś Orma. A w osiągnięciu tego wszystkiego pomoże ci przeczytanie tego opowiadania.

(Dancelot był wciąż oddany starej wierze w Orma, tajemniczą siłą przenikającą niektórych pisarzy w momentach najwyższego natchnienia. My, młodzi oświeceni pisarze, wyśmiewaliśmy te antyczne hokus-pokus, ale z respektu przed naszymi ojcami poetyckimi powstrzymywaliśmy się od cynicznych uwag o Ormie. Oczywiście nie wtedy, gdy byliśmy sami. Znam tysiące dowcipów o Ormie.)

Ja: Zrobię to, Dancelocie.

Dancelot: Ale nie poddaj się strachowi! Szok, który przeżyjesz, będzie straszliwy! Stracisz wszelką nadzieję, będziesz walczył z pragnieniem porzucenia kariery pisarskiej. Być może będziesz nawet myślał o samobójstwie.

(Czy on już bredzi? Żaden tekst na świecie nie mógłby wpłynąć na mnie w taki sposób.)

Dancelot: Musisz pokonać ten kryzys. Udaj się w podróż! Wędruj poprzez Camonię! Poszerzaj horyzonty! Poznaj świat! Kiedyś w końcu szok przekształci się w inspirację. Będziesz czuł pragnienie zmierzenia się z tą doskonałością. I osiągniesz to pewnego dnia, jeśli się nie poddasz. Masz w sobie, chłopcze, to coś, czego nie ma nikt inny w Twierdzy Ślepoków.

(Twierdza Ślepoków? Dlaczego jego usta zaczęły drżeć?)

Dancelot: Jest jeszcze jedna rzecz, chłopcze, którą musisz sobie

zapamiętać: Nie chodzi wcale o to, jak zaczyna się opowiadanie. Ani też o to, jak się kończy.

Ja: Więc o co?

Dancelot: O to, co dzieje się pomiędzy.

(Przez całe życie nie gadał takich banałów. Czyżby żegnał się też z rozumem?)

Ja: Zapamiętam to sobie, Dancelocie.

Dancelot: A właściwie, to dlaczego tu jest tak zimno?

(Było wściekle gorąco, ponieważ mimo ogromnych letnich upałów rozpaliliśmy Dancelotowi w kominku wielki ogień. Spojrzał na mnie niewidzącym spojrzeniem, w którym odbijała się już triumfująca kostucha.)

Dancelot: Tak cholernie zimno... Mógłby ktoś przymknąć drzwi od szafy?

I co robi tam w kącie ten czarny pies? Dlaczego on tak na mnie patrzy? Dlaczego nosi okulary? Brudne okulary?

(Spojrzałem do kąta, w którym jedyną żywą istotą był mały zielony pająk w sieci tuż pod sufitem. Dancelot odetchnął długo i ciężko, po czym na zawsze zamknął oczy.)



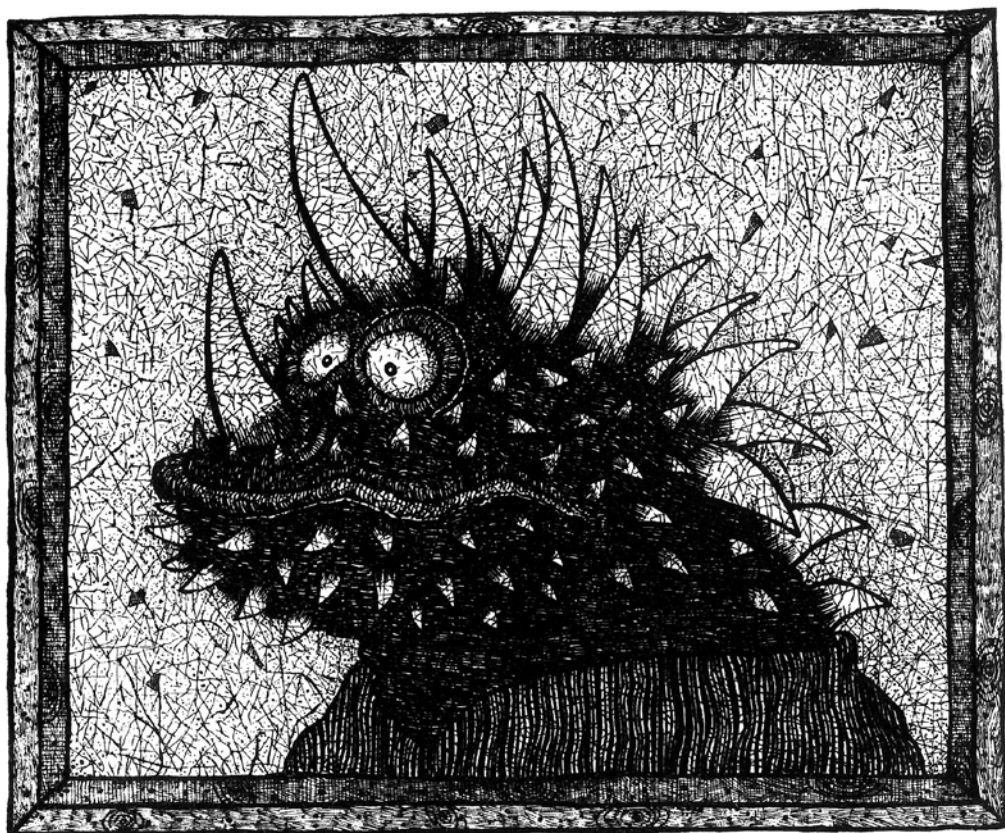
8
LIST

Przez kolejne dni byłem za bardzo zajęty sprawami, jakie pociągnęła za sobą śmierć Dancelota, aby sprawdzić sens jego ostatnich słów. Pogrzeb, porządkowanie spadku, żałoba. Jako jego wychowanek poetycki musiałem napisać odę żałobną, wiersz o co najmniej stu wersach sporządzony w aleksandrynach, który został odczytany w czasie spalenia ciała przed wszystkimi mieszkańcami Twierdzy Smoków. Następnie otrzymałem przywilej rozsypania jego prochów ze szczytu Twierdzy na cztery wiatry. Szczątki Dancelota unosiły się przez chwilę w powietrzu niczym cienka, szara zasłona, po czym rozproszyły się w delikatnej mgle, która powoli opadła i ostatecznie całkowicie się ulotniła.

Odziedziczyłem po nim niewielki dom z biblioteką i ogrodem, toteż postanowiłem opuścić w końcu dom moich rodziców i przeprowadzić się do niego. Przeprowadzka zajęła mi parę dni, po niej wreszcie zabrałem się za segregowanie moich własnych książek w bibliotece Dancelota. Tu i ówdzie wysypywały się na mnie rękopisy, schowane przez Dancelota między książkami; być może, aby uchronić je przed ciekawskimi spojrzeciami. Były to notatki, szybko nakreślone pomysły, czasami całe wiersze. Jeden z nich brzmiał:

*Jestem czarna, drewniana i zawsze zamknięta
Odkąd kamieniem zostałam przymknięta
Tysiące soczewek we mnie spoczywa
Od tego czasu głowę mą rozrywa
Pigułki nie działają tu czarów:
Jestem szafą pełną brudnych okularów.*

No pięknie, nie miałem pojęcia, że Dancelot tworzył w okresie obłąkania. Rozwahałem przez chwilę możliwość zniszczenia rękopisu, żeby usunąć z jego spuścizny tę skazę o rymach częstochowskich. Ale po namyśle stwierdziłem – jako pisarz jest się oddanym prawdzie – zarówno tej dobrej, jak i złej – rękopis należał do czytającej społeczności. Wzdychając, zabrałem się dalej do ustawiania książek, aż dotarłem do tych na S – Dancelot porządkował swoją bibliotekę alfabetycznie według nazwisk autorów. Tu wpadł mi w ręce *Rycerz Hempel* Strugacza Ód i wspomniałem tajemnicze aluzje Dancelota na łożu śmierci. W *Hemplu* miał się skrywać ów sensacyjny rękopis. Zaciekawiony otworzyłem książkę.



Między okładką a pierwszą stroną rzeczywiście leżał pomarszczony list – dziesięć stron, lekko pozółkłych i spleśniałych – to tym rękopisem tak się ekscytowałem? Wyjąłem go i przez chwilę ważyłem w ręce. Dancelot zaciekał mnie tym manuskrypcem, ale i równocześnie ostrzegał przed nim. Przepowiadał, że jego lektura może zmienić moje życie, tak jak zmieniła jego. Cóż, właściwie czemu nie? Łaknąłem zmiany! Byłem przecież jeszcze młody, miałem dopiero siedemdziesiąt siedem lat.

Na zewnątrz świeciło słońce, wewnątrz domu przygnębiały mnie jeszcze resztki obecności mojego zmarłego ojca poetyckiego. Zapach tytoniu z jego niezliczonych fajek, zmięty papier na biurku, ledwie rozpoczęte przemówienie bankietowe, opróżniona do połowy filiżanka herbaty, a ze ściany gapił się na mnie jego prastary portret z czasów

młodości. Nadal był wszechobecny i sama myśl o spędzeniu nocy samemu w tym domu napawała mnie niepokojem. Postanowiłem więc wyjść, usiąść na jednym z murów Twierdzy Smoków i przeczytać rękopis pod gołym niebem.

Wzdychając, posmarowałem sobie chleb marmoladą truskawkową, zrobioną własnoręcznie przez Dancelota, i ruszyłem w drogę.

Jestem pewny, że nie zapomnę tego dnia do końca życia. Słońce dawno już przekroczyło zenit, ale nadal było jeszcze ciepło, a większość mieszkańców Twierdzy Smoków przebywała na świeżym powietrzu. Na ulicach porozstawiano stoły i krzesła, na murach porozkładały się spragnione słońca jaszczury, grały w karty, czytały książki i recytowały sobie wzajemnie najnowsze dzieła. Wszędzie było słychać śmiech i śpiewy – typowy letni dzień w Twierdzy.

Znalezienie jakiegoś spokojnego miejsca wcale nie było łatwe, więc przeciskałem się dalej przez uliczki, aż w końcu jeszcze w marszu rozpocząłem studiowanie rękopisu.



Moja pierwsza myśl była następująca: każde słowo znajdowało się na właściwym miejscu. Cóż, nie jest to nic szczególnego, takie wrażenie sprawia właściwie każda zapisana strona. Dopiero przy dokładnym czytaniu można było zauważyć, że tu i tam coś nie pasowało: tu źle postawiony znak przestankowy, tam wśliznęła się literówka, niezbyt zręcznie użyto metafory, tu słowa gromadziły się zbyt stadnie, ogólnie

wszystkie błędy, jakie można było jeszcze popełnić przy pisaniu. Jednak ta strona była inna – sprawiała na mnie wrażenie perfekcyjnego dzieła sztuki, mimo że nie znałem jej treści. Było to jak z obrazem lub rzeźbą, wobec których na pierwszy rzut oka można już ocenić, czy ma się do czynienia z kiczem, czy z arcydziełem. Takiego wrażenia nie wywarła jeszcze na mnie żadna zapisana strona – zwłaszcza że w ogóle jej jeszcze nie przeczytałem. Ta tutaj wyglądała na wykaligrafowaną przez kreślarza. Każda litera uważała się za suwerenne dzieło sztuki, był to balet znaków mknący poprzez stronę w czarownym korowodzie. Upłynęła dłuższa chwila, nim uwolniłem się od ujmującego ogólnego wrażenia i zacząłem w końcu czytać.

„Tu *naprawdę* każde słowo jest na właściwym miejscu” – pomyślałem po przeczytaniu pierwszej strony. Nie, nie tylko każde pojedyncze słowo, każdy znak przestankowy, każdy przecinek – nawet przerwy między słowami sprawiały wrażenie niezmiernej istotności. A treść? Tekst, z tego, co mogę zdradzić, traktował o przemyśleniach pisarza, znajdującego się w stanie *horror vacui*, w strachu przed pustymi stronicami. Opanowanego absolutnym kryzysem pisarskim, rozmyślającego z rezygnacją, jakim zdaniem powinien rozpocząć swoją historię.

Nic szczególnie oryginalnego, szczerze mówiąc! Ileż tekstów napisano już o tej klasycznej, niemal sztamkowej sytuacji w zawodzie pisarza! Znałem ich pewnie dziesiątki, a parę napisałem nawet sam. Zazwyczaj nie świadczyły one o wielkości pisarza, tylko o jego nieudolności: Nic nie przychodziło mu do głowy, więc pisał o tym, jak to nic nie przychodzi mu do głowy – tak, jakby był flecistą, który zapomniał nut, a bezsensownie dmucha w swój instrument, tylko dlatego, że taki jest jego zawód.

Ale ten tekst obchodził się z owym zużytym pomysłem w sposób tak genialny, tak błyskotliwy, tak dogłębny i równocześnie tak dowcipny, że po paru akapitach wprawił mnie w stan gorączkowego pobudzenia. Jakbym tańczył w rytm niebiańskiej muzyki z piękną dinozaurką dziewczyną, lekko odurzony paroma szklaneczkami wina. Mój mózg obracał się niemalże wokół własnej osi. Myśli, tryskające iskrami jak spadające gwiazdy, sypały się na mnie gradem i gasły z sykiem na mojej korze mózgowej. Stamtąd rozbiegały się z chichotem po głowie, doprowadzając mnie do śmiechu, prowokując do potwierdzania albo zaprzeczania na całe gardło. Jeszcze nigdy lektura czegokolwiek nie zmusiła mnie do tak żywiołowych reakcji.

Zdecydowanie musiałem wywoływać u niektórych przechodniów wielkie zdumienie, paradując wte i wewte po ulicze, deklamując na całe gardło, wymachując listem, wybuchając od czasu do czasu histerycznym śmiechem albo tupiąc nogami w zachwycie. Ale w Twierdzy Smoków dziwaczne publiczne zachowanie należało do

dobrego tonu, stąd też nikt nie doprowadzał mnie do porządku. Być może ćwiczyłem jakąś sztukę teatralną, której bohater popadł w obłąd.

Czytałem dalej. W tym rodzaju pisarstwa wszystko było prawidłowe, do tego stopnia doskonałe, że łzy napłynęły mi do oczu, co przytrafia mi się zazwyczaj jedynie przy słuchaniu wzruszającej muzyki. To było gigantyczne, tak nieziemskie, tak ostateczne! Nie mogąc pohamować szlochu, kontynuowałem lekturę poprzez łzy, aż nagle nowa myśl rozśmieszyła mnie do tego stopnia, że łzy momentalnie wyschły i opanował mnie napad śmiechu. Wyłem ze śmiechu jak pijany idiota, tłukąc się pięściami po udach – na Orma, to było śmieszne! Zziajany nabrałem powietrza, uspokoiłem się na chwilę, zagryzłem wargi i przycisnąłem łapę do ust, ale nie mogąc się opanować, znowu zacząłem wrzeszczeć. Jak pod jakimś przymusem musiałem wielokrotnie powtarzać głośno to sformułowanie, cały czas przerywane histerycznymi napadami śmiechu. Aaaach!!! To było najśmieszniejsze zdanie, jakie w życiu przeczytałem! Dowcip pierwszej klasy, superkawał! Teraz płakałem już ze śmiechu. To nie były jakieś tam rutynowe puenty, coś w takim stopniu błyskotliwego i dowcipnego nigdy by mi się nawet nie przyśniło. Na wszystkie camońskie muzy: To było oszalamiająco, dobre.



Trwało to chwilę, nim przeszła ostatnia fala śmiechu, a ja, dysząc i popiskując, mogłem kontynuować czytanie, przerywane od czasu do czasu sporadycznym chichotem. Łkałem i zawodziłem, a łzy płynęły mi cały czas po twarzy. Dwaj dalecy krewni nadchodzili z naprzeciwka i z wyraźnie smutnymi minami uchylili swych kapeluszy. Wydawało się im widocznie, że jestem jeszcze pogrążony w smutku z powodu straty mego ojca poetyckiego. I akurat w tym momencie musiałem znowu wybuchnąć chichotem, a oni oddalili się szybko, słysząc mój histeryczny śmiech. Po czym uspokoiłem się w końcu na tyle, że mogłem kontynuować czytanie.

Przez następną stronę ciągnął się sznur skojarzeń-perełek, które wydawały mi się tak świeżutkie, tak bezlitośnie oryginalne i równocześnie głębokie, że zawstydziłem się banalności każdego zdania, które do tej pory samemu udało mi się napisać. Jak promienie słońca przebiły i rozświetliły one mój umysł. Pokrzykiwałem z radości i klaskałem w dłonie, a najchętniej podkreśliłbym równocześnie każde zdanie podwójnie czerwonym mazakiem z adnotacją „Tak! Tak! Dokładnie! ” na marginesie listu. Pamiętam jeszcze, że całowałem wszystkie pojedyncze słowa w zdaniach, które szczególnie mi się podobały.

Przechodnie mijali mnie, kręcąc głowami, podczas gdy ja wiwatowałem i tańczyłem z listem poprzez Twierdzę, ale nie zwracałem na nich uwagi. To były zwykłe znaki na papierze, a wprawiły mnie niemal w ekstazę. Ten, który napisał te linijki, poprowadził nasz zawód na obszary dla mnie dotąd zamknięte. Westchnąłem ciężko z pokorą.

I wtedy pojawił się nowy akapit, który uderzył w całkiem nowy ton, tak jasny i czysty jak szklany dzwon. Słowa stały się nagle diamentami, a zdania diademami. To były myśli stężone pod wpływem duchowego ciśnienia, obliczone z naukową precyzją, rozłupane, po czym wyszlifowane i wypolerowane, złożone z precyzją kryształowej doskonałości, przypominające dokładne i jedyne w swoim rodzaju płatki śniegu. Z tych zdań biło zimno, od którego przejęły mnie dreszcze, lecz nie było to ziemskie zimno lodu, ale wzniosłe, wielkie i wieczne zimno przestrzeni kosmicznej. Było to myślenie, pisanie i uprawianie poezji w najczystszej formie – nigdy wcześniej nie czytałem czegoś, choć w przybliżeniu, tak nieskazitelnego.

Chcę zacytować jedno, jedyne zdanie z tego tekstu, a mianowicie to, którym się kończy. Było to równocześnie to wybawiające zdanie, które wymyśla w końcu poeta cierpiący na kryzys pisarski, aby rozpocząć nim swą pracę. Od tego czasu używam tego zdania za każdym razem, gdy ogarnia mnie strach przed pustymi stronicami. Jest ono bezbłędne, a jego działanie za każdym razem jest takie samo: węzeł znika, a na biały papier wylewa się rzeka słów. Funkcjonuje jak zakłęcie i czasami myślę, że naprawdę

nim jest. I jeśli nie jest to dzieło czarodzieja, to przynajmniej jest to najgenialniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek wymyślił poeta. To zdanie brzmi: „*Tu rozpoczyna się historia*”.

Opuściłem list, kolana mi zmiękły i wyczerpany osunąłem się na bruk – no dobrze, bądźmy już całkowicie szczerzy, moi przyjaciele – rozłożyłem się na nim jak długi. Ekstaza opadła ze mnie, upojenie zamieniło się w rozpacz. Niepokojący ziąb przesączał się przez moje żyły. Opanował mnie strach. Tak, Dancelot to przepowiedział: Ten list mnie zdruzgotuje. Chciałem umrzeć. Jak mogłem kiedykolwiek przywłaszczyć sobie miano pisarza? Co wspólnego miały moje amatorskie próby skrobienia po papierze z tą magią, której właśnie byłem świadkiem? Jak mogłem wzbić się kiedykolwiek na takie wyżyny bez skrzydeł najczystszej natchnienia, które posiadał autor tego listu? Zacząłem znowu płakać i tym razem były to gorzkie łzy rozpacz.

Mieszkańcy Twierdzy Smoków zmuszeni do przechodzenia przeze mnie, pytali z zatroskaniem o moje samopoczucie. Nie zwracałem na nich żadnej uwagi. Godzinami leżałem tam jak sparaliżowany, podczas gdy nadeszła już noc i rozbłysły nade mną pierwsze gwiazdy. Gdzieś tam był Dancelot, mój ojciec poetycki i uśmiechał się do mnie z góry.

– Dancelot! – krzyknąłem w rozgwieżdżone niebo. – Gdzie jesteś? Zabierz mnie do swego królestwa zmarłych!

– Zamknij się w końcu i idź do domu, pijaku! – zawołał ktoś oburzony z okna.

Dwaj wezwani strażnicy, którzy wzięli mnie prawdopodobnie za zalanego młodego poetę w kryzysie twórczym (w czym nie byli zbyt dalecy od prawdy) chwycili mnie pod ramiona i zaprowadzili do domu, racząc pocieszającymi frazesami („To wróci!”, „Czas leczy wszystkie rany!”). W domu padłem na łóżko jak przywalony kamienną lawiną. Dopiero w środku nocy zorientowałem się, że chleb z marmoladą, w międzyczasie całkowicie rozmiękły, nadal tkwił w mojej łapie.

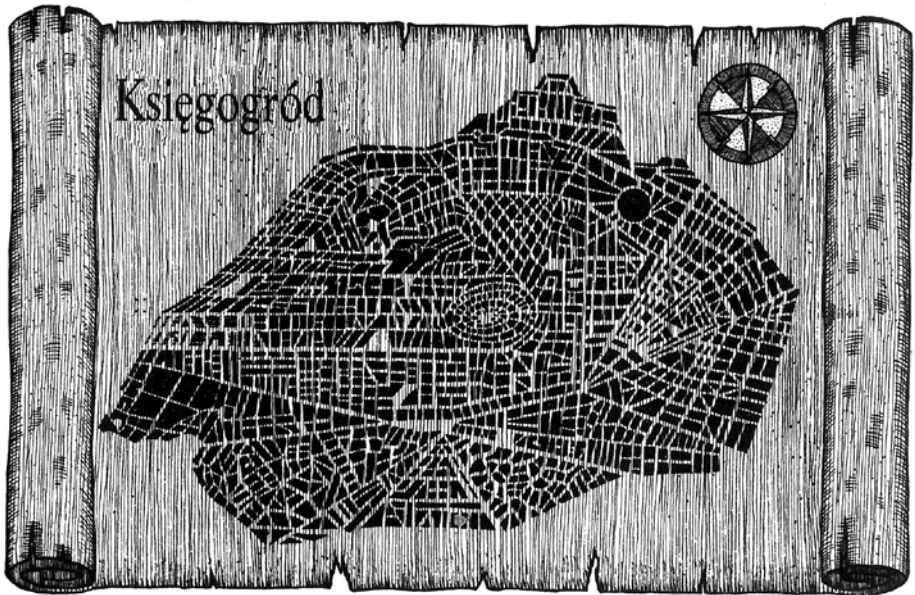


Następnego ranka postanowiłem opuścić Twierdzę Smoków. Po tym, jak całą noc odgrywałem w myślach warianty przewyciężenia mojego kryzysu – rzucenie się z blanków twierdzy, ucieczka w alkohol, zakończenie kariery artystycznej i rozpoczęcie życia pustelniczego, hodowla kalafiorów w ogrodzie Dancelota – zdecydowałem się podążyć za radą mojego ojca poetyckiego i udać się w dłuższą podróż. Napisałem pocieszający list pożegnalny w formie sonetu do rodziców i przyjaciół, wziąłem moje oszczędności i spakowałem podróżny tobołek z dwoma słoikami marmolady Dancelota, bochenkiem chleba i butelką wody.

Opuściłem Twierdzę o świcie, przemykając pustymi uliczkami jak złodziej i odetchnąłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się na zewnątrz. Wędrowałem wiele dni, z nielicznymi przerwami, ponieważ kierował mną jeden cel. Chciałem dotrzeć do Księgogrodu, by podjąć trop owego tajemniczego poety, którego sztuka wprowadziła mnie na takie wyżyny. Powinien on być, wyobrażałem to sobie z moją młodzieńczą ufnością, zająć miejsce mojego ojca poetyckiego i stać się moim nauczycielem i mistrzem. Powinien był poprowadzić mnie w sfery, gdzie powstaje taka poezja. Nie miałem pojęcia, jak wygląda, nie wiedziałem, jak się nazywa, nie wiedziałem nawet, czy w ogóle jeszcze żyje, ale byłem przekonany, że go znajdę – o bezgraniczny optymizmie młodości!!!

Tak to dotarłem do Księgogrodu i stoję teraz tutaj razem z wami, moi nieustraszeni, czytający te słowa przyjaciele. I tutaj, na granicy Miasta Śniących Książek, tutaj dopiero historia rozpoczyna się naprawdę.

Gdy przywyknie się już do obezwładniającego zapachu zbutwiałego papieru unoszącego się z trzewi Księgogrodu, gdy przetrzyma się pierwsze alergiczne napady kichania spowodowane przez unoszący się wszędzie kurz książkowy, gdy oczy powoli przestaną łzawić od gryzącego dymu tysięcy kominów, wtedy można w końcu zacząć podziwianie niezliczonych cudów Księgogrodu.



W Księgogrodzie znajdowało się ponad pięć tysięcy urzędowo zarejestrowanych antykwariatów i, szacunkowo, ponad tysiąc półlegalnych księgarenek, gdzie prócz książek oferowano napoje alkoholowe, tytoń, odurzające zioła i substancje, których używanie wzmagало podobno radość czytania i koncentrację. Istniała także niemal niezmierna liczba „latających” handlarzy, którzy na regałach na kółkach, drewnianych wózkach, w torbach konduktorkach i na taczkach oferowali słowo drukowane w każdej możliwej formie. W Księgogrodzie istniało ponad sześćset wydawnictw, pięćdziesiąt pięć drukarni, tuzin młynów papierniczych oraz stale rosnąca liczba zakładów zajmujących się wytwarzaniem ołowianych liter drukarskich i czernidła

drukarskiego. Były też sklepy oferujące tysiące różnorodnych zakładek do książek i naklejek z nazwiskiem właściciela, kamieniarze specjalizujący się w podpórkach do książek, zakłady stolarskie i meblarskie pełne pulpitów i regałów książkowych. Byli też optycy wytwarzający okulary do czytania i lupy, a na każdym rogu kawiarenki, zwykle z kominkiem i odczytami poetyckimi przez całą dobę.

Widziałem niezliczone jednostki księgowodzkiej straży pożarnej, wszystkie wypolerowane na wysoki połysk, z potężnymi dzwonami alarmowymi i napiętymi w gotowości końskimi zaprzęgami, z miedzianymi zbiornikami na wodę na przywieszkach. Już pięć razy katastrofalne pożary zniszczyły ogromne obszary miasta i wiele książek – Księgogród uchodził za najbardziej zagrożone pożarami miasto na całym kontynencie. Z powodu gwałtownych wiatrów, szalejących stale po ulicach, Księgogród, w zależności od pory roku, był chłodny albo zimny, albo lodowaty, ale nigdy ciepły. Z tego powodu przesiadywano chętnie we wnętrzach, sumiennie opalanych i oczywiście wiele czytano. Stale rozpalone piece, możliwość przeskoku iskry w bezpośrednie sąsiedztwo prastarych, łatwopalnych książek – stwarzało to dosłownie zapalną sytuację, w której w każdej chwili mogła rozszaleć się nowa orgia ognia.

Musiałem oprzeć się pragnieniu zaatakowania pierwszej lepszej księgarni i szperania w księgach, ponieważ nie wyszedłbym z niej do wieczora, a najpierw musiałem przecież zatroszczyć się o nocleg. Tymczasem z błyszczącymi oczami przebiegałem wzrokiem po wystawach i starałem się zapamiętać sklepy dysponujące najbardziej obiecującymi ekspozycjami.

I oto były one, *Śniące Książki*. Tak w tym mieście nazywano antykwaryczne zasoby, ponieważ z handlowego punktu widzenia nie były one ani już naprawdę żywe, ani jeszcze całkiem martwe, znajdowały się bowiem w stanie przypominającym sen. Właściwy żywot miały już za sobą, a rozkład przed sobą, tak więc drzemały sobie milionami milionów na wszystkich regałach i we wszystkich skrzyniach, w piwnicach i katakumbach Księgogrodu. Jedyne książka chwycona poszukującą ręką i otwarta przez nią, książka zakupiona i wyniesiona stamtąd, mogła ożyć nowym życiem. I to było to, o czym śniły wszystkie te książki.



Tutaj: *Tygrys w wełnianej skarpecie* Kalibana Sykoraksa – pierwsze wydanie! Tu: *Ogolony język* Adrastei Sinopy – ze słynnymi ilustracjami Elihu Wahacza! Tutaj z kolei: *Mysie hotele w świeżej wieprzowinie*, legendarny humorystyczny przewodnik autorstwa Jodlera von Hinnena, w nienagannym stanie! *Wieś zwana Płatkami Śniegu* autorstwa Honko Palisady, zachwalana przez wszystkich autobiografia, książka zbrodniarza-poety, stworzona zresztą w lochach Żelaznego Miasta, z autografem napisanym krwią! *Życie jest straszniejsze niż śmierć* – więcej beznadzieją aforyzmy i maksymy PHT Farcevola, w obiciu z nietoperzowego futerka! *Mrówczany bębenek* Zanzeminy Tunelstrachów w legendarnym wydaniu pismem lustrzanym!! *Szklany gość* Zodiaka Dzwonowrzaska! Eksperymentalna powieść Hampto Henksa, *Pies, który szczekał tylko wczoraj* – nic, tylko same książki, o których przeczytaniu śniłem, od kiedy Dancelot z rozmarzeniem mi o nich opowiedział. Do każdej witryny przyklejałem się chrapami i jak pijany przesuwalem się wzdłuż niej po omacku, w ślimaczym tempie posuwając się naprzód. Aż w końcu wziąłem się w garść, postanowiłem nie zwracać uwagi na żadne tytuły i pozwoliłem Księgogradowi oddziaływać na mnie w całej okazałości. Nie widziałem lasu, tylko same drzewa, czy też nie widziałem miasta, tylko same książki. Po flegmatycznym, strawionym na marzeniach życiu pisarza w Twierdzy Smoków, potęgowanym najwyżej od czasu do czasu przejściowym obłączeniem, życie na ulicach Księgogradu obdarowało mnie nagle gradem doznań. Obrazy, kolory, scenki,

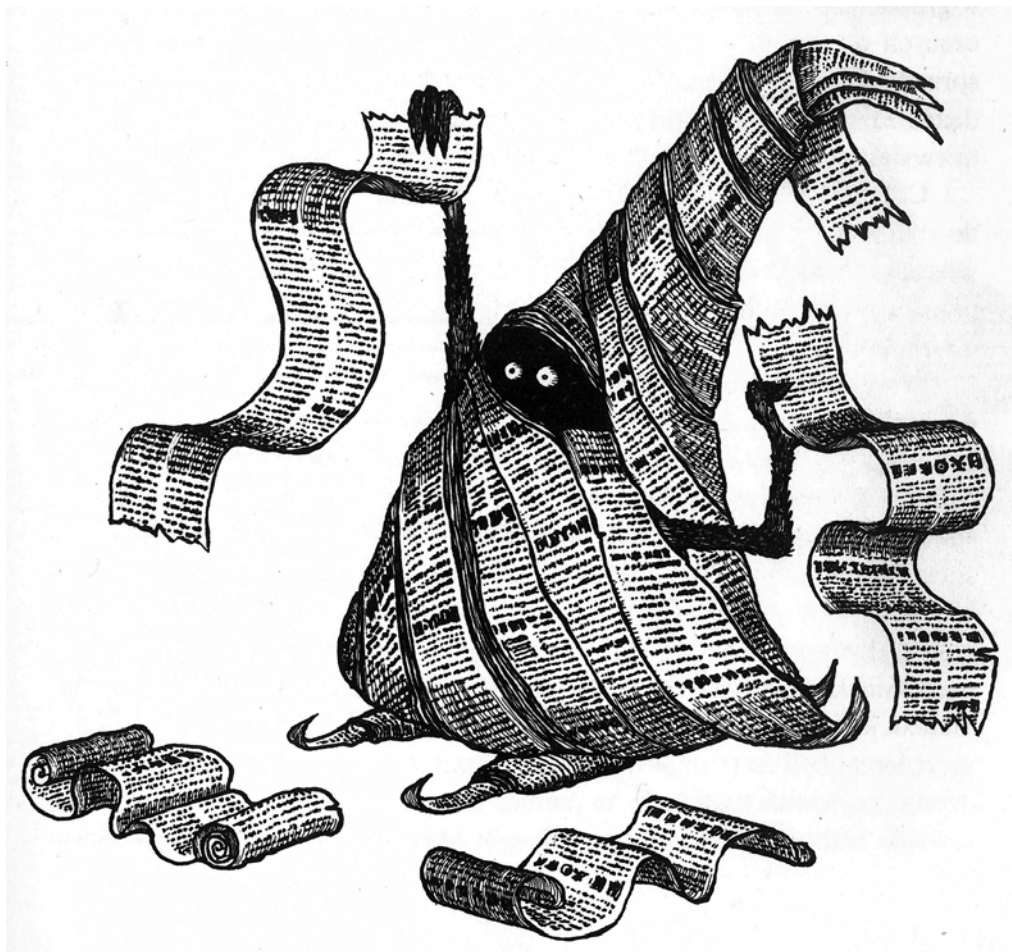
zgiełk i zapachy – wszystko było nowe i pobudzające. Camończycy we wszystkich występujących formach, a każdy miał obcą mi twarz. W Twierdzy wciąż paradowały przede mną znajome oblicza, krewni, przyjaciele, sąsiedzi, znajomi – tutaj wszystko było dziwne i nieznanne.

Oczywiście spotykałem też tego czy innego mieszkańca Twierdzy Smoków. Przystawaliśmy wtedy na chwilę, pozdrawialiśmy się uprzejmie, wymienialiśmy parę banalnych uprzejmości, życzyliśmy sobie wzajemnie przyjemnego pobytu i znowu się żegnaliśmy. Tego rodzaju powściągliwe zachowania cechowały nas wszystkich w czasie podróży, wiąże się to między innymi z faktem, że nie po to wyprawiamy się w nieznanne, aby spotykać podobnych sobie.

Ale teraz dalej, do dzieła, odkrywać nieznanne! Wszędzie dookoła stali wychudzeni poeci i deklamowali na głos fragmenty ze swoich dzieł, w nadziei, że jakiś wydawca lub obrzydliwie bogaty mecenas, spacerując obok, zwróci na nich uwagę. Obserwowałem, jak niektóre wyraźnie dobrze odżywione postaci krążyły wokół ulicznych poetów; grube Dzikuny, które słuchały uważnie i od czasu do czasu robiły sobie notatki. Nie byli to bynajmniej szczodrzy mecenas, tylko agenci literaccy zmuszający rokujących nadzieje autorów do wyniszczających kontraktów, aby wyciskać ich potem bezlitośnie jako widmowych autorów, aż wydoją z nich ostatni oryginalny pomysł – opowiadał mi o tym Dancelot.

Natiftofscy urzędnicy w małych grupach patrolowali czujnie ulice, poszukując nielegalnych sprzedawców, którzy nie posiadali miejscowej licencji. Gdziekolwiek się pojawiali, pośpiesznie wpychano do worków książki i w ruch szły taczki.

Żywe Gazety – chyżonogie karzełki w swoich tradycyjnych papierowych pelerynkach ze stron gazetowych, wykrzykiwały najnowsze plotki i ploteczki ze świata literatury. Za małym wynagrodzeniem pozwalały one przechodniom odczytywać szczegóły ze swoich pelerynek:



Już słyszeliście?: Muliat von Kokken opchnął za bezcen na licytacji wydawnictwu Melisa swoje opowiadanie *Kociół na cytryny*.

Trudno uwierzyć: Zredagowanie powieści Odegna Ogdensa *Pelikan w cieście francuskim* odwlecze się o kolejne pół roku!

Niesłychane: Fantotas Pemm zgapił ostatni rozdział *Pijaka prawdy* z

Wściekłości drzazg Uggli Prudela!

Łowcy książek pędzili od antykwariatu do antykwariatu, zamieniając swe ofiary na żywy pieniądz i szukając nowych zleceń. Łowcy książek! Poznawało się ich po lampach górniczych i latarenkach z meduzami, po odpornych na uderzenia i budzących lęk ubraniach ze skóry, częściach uzbrojenia i kolczugach, po narzędziach i broni, jaką nosili przy sobie: po toporach i szablach, kilofach i lupach, linach, sznurach i butelkach na wodę. Jeden wyrósł spod moich stóp wprost z kanału – imponujący egzemplarz w żelaznym hełmie i drucianej masce. Były ty środki chroniące nie tylko przed kurzem czy niebezpiecznymi insektami tajemniczego świata pod Księgogradem. Dancelot opowiadał mi, że łowcy książek nie tylko wzajemnie odbijali sobie ofiary, walczyli ze sobą i nawet wzajemnie się zabijali. Nietrudno było w to uwierzyć, widząc tę wyłaniającą się z ziemi całkowicie opancerzoną, sapiącą i chrząkającą kreaturę.

Większość przechodniów stanowili po prostu turyści, których do Miasta Śniących Książek zagnała ciekawość. Wielu z nich było poganianych w grupach uliczkami przez przewodników z blaszanymi megafonami, krzyczących do swojej grupy na przykład, w którym to domu Urian Nussek sprzedał *Dolinę Latarni Morskich* jakiemuś wydawnictwu. Zwiedzający podążali za swoim przewodnikiem, terkocząc i wyginając szyje jak gęsi, zdumiewając się każdym banalnym drobiazgiem tego typu.

Co chwila kolejny bezczelny tłuszcioch zastępował mi drogę, wciskając do ręki jedną z karteczek z informacją, który poeta zaszczyci dzisiejszego wieczora jakąś księgarnię z okazji *Drewpory*, czytając fragmenty ze swoich dzieł. Trwało to chwilę, zanim nauczyłem się ignorować tę formę rozboju ulicznego.

Wszędzie dookoła chwiały się małe istotki, poprzebierane za książki na nóżkach, służąc na przykład za reklamę dla *Morskiej panny w filiżance herbaty* albo *Pogrzebu chrząszcza*. Od czasu do czasu potraçały się nawzajem, ponieważ w atrapach książek miały dość ograniczoną widoczność. Potem zazwyczaj wywracały się hałaśliwie na siebie, usiłując pośród ogólnego śmiechu stanąć z powrotem na nogi.

Zdumiony podziwiałem umiejętności ulicznego kuglarza, który żonglował dwunastoma opasłymi tomami. Jeśli któryś z was rzucił kiedykolwiek książkę w powietrze i usiłował ją złapać – wie, jakie to trudne. Powinienem jednakże dodać, że żongler miał cztery ręce. Inni artyści uliczni poprzebierani byli za popularne postaci z camońskiej literatury i za niewielką opłatą recytowali wyuczone na pamięć ustępy z odpowiednich dzieł, dając z siebie wszystko. Na jednym jedynym skrzyżowaniu zobaczyłem Hario Schunglischa z *Pokrojonych w kostki*, Oku Okra z *Gdy płączką kamienie* i męczoną suchotami bohaterkę Zanillę Kaszlak z dzieła Gofida Letterkerla

Zanilla i Murch.



– Jestem jedynie włochatką – wołała właśnie z pełnym dramatyзмом odtwórczyni roli Zanilli – a ty mój ukochany jesteś murchem. Nigdy nie będzie nam dane być razem.

Rzućmy się w Przepaść Demonów!!

Tych parę zdań wystarczyło, aby znowu łzy napłynęły mi do oczu. Gofid Letterkerl był geniuszem! Jedynie z trudem udało mi się oderwać od przedstawienia.

Dalej! Dalej! Na plakatach wiszących w witrynach, które uważnie studiowałem, reklamowano wieczorki poetyckie, salony literackie, premiery książek i konkursy poezji. „Latający” handlarze zaczepiali mnie nieustannie i, próbując wciskać mi sfatygowane tomiszczka, podążali za mną ulicą, deklamując głośno fragmenty ze swych tandet.

Uciekając przed jednym z tych natrętnych gości, dotarłem do pomalowanego na czarno domu, nad którym wisiała drewniana tablica informująca, że jest to *Gabinet Niebezpiecznych Książek*. Psiarz w czerwonej aksamitnej pelerynie krążył wte i wewte przed domem i szczerząc przerażająco kły, szeptał złowieszczo do przechodniów: „Wejście do *Gabinetu Niebezpiecznych Książek* na własną odpowiedzialność! Dzieciom i starcom wstęp wzbroniony! Bądźcie gotowi na najgorsze! Są tu książki, które potrafią ugryźć! Książki, które czyhają na wasze życie! Trujące, duszące i latające książki! Wszystkie są prawdziwe! To nie Tunel Strachów, to rzeczywistość, moi Państwo! Sporządźcie testament i ucałujcie swoich najbliższych, zanim wkroczycie do *Gabinetu Niebezpiecznych Książek*!”.

Z bocznego wyjścia w regularnych odstępach wynoszono na noszach ciała przykryte prześcieradłami, zza zabitych deskami okien co rusz dochodziły stłumione wrzaski, a mimo wszystko turyści tłumnie walili do gabinetu.

– To tylko pułapka na turystów – zagadnął mnie pstrokato ubrany półkarzeł. – Nikt nie byłby na tyle głupi, by publicznie pokazywać prawdziwe *Niebezpieczne Książki*. Nie miałby pan ochoty na coś naprawdę autentycznego? Zainteresowany małym odurzeniem Ormem?

– Co? – odpowiedziałem szybko zirytowany.

Karzeł odsłonił swoją szatę i zaprezentował mi z tuzin małych buteleczek tkwiących pod nią. Obejrzał się nerwowo i ponownie zasłonił je peleryną. – To krew prawdziwych pisarzy, w których krążył Orm – szeptał konspiracyjnie. – Jedna kropla tego do szklanki wina i będziesz miał halucynacje całych powieści! Tylko pięć pyr[2] za buteleczkę!

[2] Przyp. od W.M.: Camońskie środki płatnicze i jednostki miary są tak skomplikowaną sprawą, że wymagałyby osobnej książki. I taką nawet napisano w formie stutomowego Bunkela, w którym druidzki matematyk i narodowy ekonomista Arystoteles von Bunkel skrupulatnie wypisuje i wyjaśnia wszystkie systemy miar odnoszące się do Camonii. To jasne jak na dłoni, że na kontynencie, którego mieszkańcy bywają maleńcy jak groszek, wysocy jak drzewa, a czasami i olbrzymi, istnieją

– Nie, dziękuję – wzbraniałem się. – Sam jestem pisarzem!

– Wy snoby z Twierdzy Smoków uważacie się wszyscy za jakieś niewiędznie co! – wołał za mną karzeł, podczas gdy ja oddalałem się śpiesznie. – A piszecie tylko dzięki atramentowi. A Orm? Może tylko paru z was uda się go osiągnąć!

No tak, najprawdopodobniej trafiłem w najbardziej parszywe zaułki Księgogradu. Dopiero teraz zauważyłem, jak rzucają się tu w oczy stojący wszędzie łowcy książek, załatwiający swe ciemne interesy z jakimiś mrocznymi postaciami. Ze skórzanych worków wyjmowano wysadzone klejnotami książki, po czym zmieniały one właściciela za grube mieszki pełne pyr. Musiał to być jakiś czarny rynek, a ja właśnie na nim wylądowałem.

– Zainteresowany książkami ze *Złotej Listy*? – zagadnął mnie łowca książek odziany od stóp do głów w ciemną skórę. Nosił maskę z mozaiką czaszki, pas z tuzinem przymocowanych do niego noży i dwa topory przy butach. – Chodź ze mną w ciemną uliczkę tam z tyłu, a pokażę ci książki, o których dotąd nawet nie śniłeś.

– Dziękuję bardzo! – zawołałem, szukając pośpiesznie ucieczki. – Nie jestem zainteresowany!

Łowca książek zaśmiał się demonicznie. – Nie mam nawet żadnych książek! – ryczał za mną. – Chciałem tylko skrócić ci kark i uciąć ręce, żeby zamarynować je w occie i sprzedać! Relikwie z Twierdzy Smoków są bardzo pożądane w Księgogradzie.

różnorodne miary i waluty. To, czym dla człowieczka Bonsai jest *piksel*, dla Liczyburaka będzie *vorracem*, a jeśli chciałbym przetłumaczyć obie nazwy za pomocą metra, w obu przypadkach byłbym w błędzie, mimo że zarówno Bonsaje, jak i Liczyburaki mają na myśli jednostkę miary, która proporcjonalnie do rozmiarów ich ciała odpowiada jednemu metrowi. A nie wspominam już nawet o fernhachyckim *hachen* albo o voltigorskim *gork!* Mieszkańcy Twierdzy Smoków, a więc i Rzeźbiarz Mitów, posiadają nawet system miar silnie zorientowany w stronę poezji i niezwykle skomplikowany. Posługują się jednostkami typu *heksametr*, *wysokość upadku* czy *natężenie metafory*.

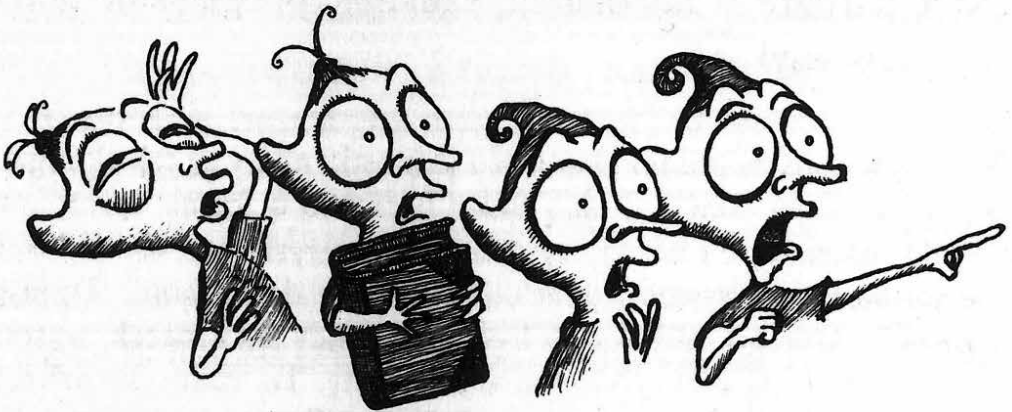
Istnieją rasy olbrzymów, u których drobniaki osiągają rozmiary młyńskich kół, podczas gdy takie formy istot, jak Eydeci, posługują się telepatyczną wymianą prac doktorskich. Ale mimo tego różnorodnego podejścia do zagadnienia pieniędzy, pyra, srebrna moneta w kształcie maleńkiej piramidy, była ogólnie uznanym środkiem płatniczym i regulowała stosunki płatnicze, szczególnie w takich ośrodkach handlowych, jak Księgogród.

Dla jasności pozwoliłem sobie tłumaczyć jednostki camońskie na europejskie w momentach, gdy Rzeźbiarz Mitów opowiada o stosunkach wielkości, odległości czy miar; ale jednak pyrę, której wartość odpowiada mniej więcej jednej sestercji za czasów Wergiliusza, dla zachowania autentyczności wolałem pozostawić nieprzetłumaczoną.

Spieszyłem się, żeby opuścić tę obskurną dzielnicę. Parę uliczek dalej wszystko było znów normalne, jedynie nieszkodliwi turyści i artyści uliczni inscenizujący za pomocą marionetek popularne sztuki. Odetchnąłem. Łowca książek lubił prawdopodobnie ponure żarty, ale przyprawiała mnie o dreszcze sama myśl o tym, że w Księgogrodzie zmumifikowane części ciała twierdzosmoczan mają na rynku jakąś wartość.

Zanurzyłem się ponownie w tłum przechodniów. Cała szkolna wycieczka fernhachyckich karzełków dreptała przede mną nieśmiało, trzymając się za rączki. Ze świecącymi oczami wypatrywały one swych ulubionych liryków.

– Tam, tam! Hosian Rapido! – piszczały nagle i pokazywały palcami na kogoś z roztrzęsieniem, albo – Tam, tam! Klinhard Wrażliwy pije kawę! – Po czym zazwyczaj któryś w ich grupie padał na ziemię zemdłony.



Wędrowałem i wędrowałem, i muszę przyznać, że moja pamięć nie jest w stanie sprostać wszystkim cudom, które tam ujrzałem. To tak jakby wybrać się na spacer poprzez przesadnie bogato ilustrowaną książkę, w której jedna artystyczna myśl prześciga drugą. Przechadzające się litery służące za reklamy dla nowoczesnych drukarni. Ściany domów pomalowane w figury bohaterów ze znanych powieści. Pomniki poetów. Antykwiariaty, z których książki dosłownie wypływały na ulicę. Istoty w każdej postaci grzebiące w skrzyniach z książkami i wywracające się o nie. Olbrzymie węże

z Midgardu ciągnące potężne wozy pełne antykwarycznej tandety z usadowionymi na nich niezgrabnymi Liczyburakami, którzy rzucali tę miernotę całymi furami w tłum. W tym mieście trzeba było się stale schylać, żeby nie dostać w głowę jakąś książką. W całej tej wrzawie wyławiałem jedynie strzępki zdań, ale każda rozmowa zdawała się w jakimś stopniu krążyć wokół książek:

„...książkami Przerożnic możesz mnie przepędzić do Lasu Wilkołaków...”

„...czyta dziś wieczór z okazji DREWPORY w księgarni «Złoty Krój»...”

„...kupiłem pierwsze wydanie drugiej powieści Aurory Janus, z podwójnym błędem drukarskim w przedmowie za jedyne dwie pyry...”

„...jeśli którykolwiek osiągnął kiedyś Orma, to na pewno Dölerich Hirnfidler.

„...typograficznie to hańba dla całej branży drukarskiej...”

„...trzeba by napisać powieść przypisową, nic tylko przypisy do przypisów, to by było coś...”

W końcu stanąłem na skrzyżowaniu, obróciłem się wokół własnej osi i liczyłem przy tym księgarnie znajdujące się na przylegających do niego uliczkach – było ich sześćdziesiąt jeden. Serce podskoczyło mi niemal do gardła. Tutaj i życie, i literatura zdawały się jednością, wszystko krążyło wokół słowa drukowanego. To było moje miasto. To był mój nowy dom.



OBERŻA GROZY

Odkryłem mały pensjonat o wielce obiecującej nazwie *Pod Złotym Piórem*, co brzmiało przyjemnie staromodnie i pozwalało myśleć zarówno o pełnym sukcesów rzemiośle pisarskim, jak i o spokojnym śnie na wypełnionej puchem poduszce.

Pełen nadziei wkroczyłem w mroczny hol i ruszyłem po stęchłym dywanie w stronę drewnianego kontuaru, gdzie, gdy nikt się nie pojawił, zadzwoniłem miedzianym dzwonkiem. Miał ryse i dysonans jego brzmienia wypełnił hol. Obróciłem się i usiłowałem rozpoznać postaci śpieszącego personelu w cieniu odchodzących od sali korytarzy. Jednak nikt nie przyszedł – więc odwróciłem się z powrotem w stronę kontuaru – a tam, ku mojemu przerażeniu, stał recepcjonista, który jakby wyrósł właśnie spod ziemi. Był to mgławiec, rozpoznałem go dzięki bladej skórze. Niezbędną wiedzę na temat mgławców wyczytałem kiedyś we wzorcowej noweli Sebaga Serioza *Wilgotni ludzie*, a z tą trochę niesamowitą camońską formą życia spotykałem się na ulicach już wielokrotnie.

– Tak, słucham? – spytał, a brzmiało to jakby wydawał ostatnie tchnienie.

– Ja... Szukam pokoju... – odpowiedziałem drżącym głosem, i nie więcej niż pięć minut później żałowałem już gorzko, że z miejsca nie uciekłem stamtąd na łeb na szyję. Pokój, za który na żądanie recepcjonisty zapłaciłem z góry, okazał się bowiem rupieciarnią najgorszego gatunku. Snując się marzycielsko, wybrałem sobie najprawdopodobniej najpaskudniejszą norę w całym Księgogradzie. Ani śladu po miękkim puchu, jedynie szorstka narzuta na gnijącym materacu, w którym żwawo coś skrobało. Sądząc po odgłosach, w pokoju obok banda yeti usiłowała muzykować na meblach. Tapeta z mlaskiem odklejała się od ścian, coś biegało pod drewnianą podłogą, popiskując. Nieosiągalnie wysoko w rogu pokoju, głową w dół, zwisał biały, jednooki nietoperz, czekając widocznie na to, abym zasnął, żeby mógł rozpocząć swoje upiorne dzieło. Dopiero potem zorientowałem się, że okna nie mają żadnych zasłon. Gwarantowane, że od piątej rano będzie tu bezlitośnie świeciło słońce, a ja nie zmrużę już oka, bo nie jestem w stanie zasnąć nawet przy najmniejszych promieniach światła. Poza tym zrezygnowałem już z kłapek na oczy, odkąd je raz wypróbowałem, a następnego ranka zapomniałem, że mam je nadal na sobie. Długie minuty trwałem pogrążony w panice, ponieważ byłem święcie przekonany, że przez noc oślepiłem. Biegałem dookoła jak bezgłowy kurczak i jeszcze tak niefortunnie przewróciłem się o stół, że wybiłem sobie staw barkowy.

I tak nie miałem zamiaru spędzić tej nocy w hotelu. Mogłem odłożyć w końcu mój podróżny tobolek i oczyścić się pobieżnie z podróżnego kurzu słonawą zawieszoną, ze

stojącej w pokoju miednicy. To na razie wystarczyło. Antykwariaty w Księgogradzie były otwarte całą dobę, byłem głodny, spragniony i ogarnięty nieposkromioną chęcią spędzenia nocy na szperaniu między książkami. Życzyłem nietoperzowi i bandzie yeti dobrej nocy, po czym rzuciłem się znowu w ruch uliczny.

Jedynie ułamek Księgogradu, może nawet nie dziesięć procent miasta, znajduje się na powierzchni. O wiele większa część mieści się pod ziemią. Jak monstrualny mrówczy kopiec dysponuje ono podziemnym systemem tuneli rozciągających się kilometrami w głąb, w formie szybów, otchłani, korytarzy i pieczar, które łączą się ze sobą w gigantyczny węzeł nie do rozwikłania.

Nikt nie potrafi dziś powiedzieć, kiedy i w jaki sposób powstał ten system jaskiń. Niektórzy naukowcy przypuszczają, że częściowo pochodzi on naprawdę od jakiejś prehistorycznej rasy mrówek, od pradawnych, olbrzymich insektów, które przed milionami lat stworzyły tę konstrukcję, aby chować w niej swe gigantyczne jaja. Antykwariusze w mieście zaklinają się z kolei, że system tuneli powstawał przez tysiące lat, wygrzebany rękami wielu generacji księgarzy budujących magazyny dla swych antykwarycznych książek. Z pewnością dotyczy to części labiryntów, szczególnie tych znajdujących się tuż przy powierzchni.

Istnieją niezliczone teorie wzbogacające te spekulacje kolejnymi. Ja osobiście skłaniam się ku teorii mieszanej, według której pierwotne tunele faktycznie wytworzyła rasa prehistorycznych insektów, a potem poprzez stulecia i tysiąclecia rozbudowywane były przez wzrastającą liczbę istot cywilizowanych. Pewne jest jedynie, że ów świat pod miastem istnieje i że aż do dnia dzisiejszego nie udało się go w pełni zdobyć. Wiele obszarów wprost zapchanych jest książkami, a im głębiej schodzi się w katakumby, tym starsze i cenniejsze się napotyka.

Spacerując uliczkami Księgogradu, nie przypuszcza się, że tuż pod brukiem rozciąga się ogromny labirynt. Zauważyłem, ku mojemu zachwytowi, że prawdopodobnie nie będę musiał tutaj głodować. Prócz kawiarni i gospód było wiele stoisk ulicznych oferujących po przystępnej cenie wyżywienie we wszystkich postaciach. Pieczone kielbaski i nadziewane kurczaki, książkowe robaki zapiekane w glinie, pieczone mysie pęcherze, piwo parowe, latające placki, gorące orzeszki ziemne i zimna lemoniada. Co krok stała wytapialnia serów, gdzie w żeliwnym garnku na małym ogniu topiono ser, w którym za niewielką opłatą można było umoczyć kawałek chleba.

Kupiłem sobie porządną kawał chleba, obficie umoczyłem w serze, i pochłoniąłem go małymi kęsami, wypijając do tego dwa kubki zimnej cytrynowej lemoniady. Po dniach niedostatku w czasie wędrówki ten potężny zastrzyk pożywienia i napojów

dostarczył mi wprawdzie spodziewanego uczucia sytości, ale i niezdrowego wrażenia przejedzenia, które mnie na chwilę zaniepokoiło. Obawiałem się, że mógł to być wybuch jakiejś nieuleczalnej choroby, do czasu, gdy po około godzinnym poobiednim spacerze wszystko rozeszło się dzięki paru dość brutalnym gazom.

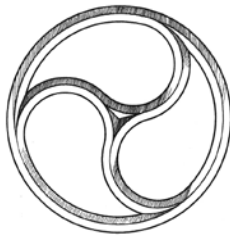
Czegóż nie widziałem na tym spacerze! Nadal zmuszałem się do niewchodzenia do żadnego z antykwariatów, żeby nie zataczać się ze stękaniami przez okolicę załadowany stosem książek. Wszędzie dookoła leżały niewyobrażalne skarby po śmiesznych cenach: *Tam, gdzie krąży grobla* Ektro Tyłwody, tylko pięć pyr – ręcznie sygnowany! *Katakumby Księgogrodu* – zachwalany opis zasobów w labiryntach Księgogrodu autorstwa Kolofonusa Deszczblaska, legendarnego łowcy książek – za trzy pyry! *Osty, bądź co bądź* – wspomnienia melancholijnego arcy pesymisty Humri Lossu, za śmieszne sześć pyr!

Znajdowałem się w elizjum pisarzy, nie było co do tego wątpliwości. Nawet dysponując skromną sumą, jaką pozostawił mi Dancelot, mogłem kupić sobie tu w mig tak różnorodną biblioteczkę, że zazdrościłby mi jej każdy mieszkaniec Twierdzy Smoków. Ale na razie pozwoliłem się tylko ponieść tej myśli.



ANTYKWARIAT KIBICERA

Po tym, jak moje zdumienie nad tłokiem na ulicach trochę już opadło, popychania szynkarzy i natarczywość latających handlarzy stopniowo zaczynały działać mi na nerwy. Wraz z zapadającą ciemnością robiło się zresztą coraz chłodniej, dlatego postanowiłem rozpocząć w końcu szperanie w antykwariatach. Ale od którego zacząć? Lepiej w większym z różnorodną ofertą? Czy powinien to być raczej mały, specjalistyczny antykwariat? Jeśli tak, to z jaką specjalizacją? Liryka? Kryminały? Rikszademońska literatura grozy? Gralsunderska filozofia? Floryntyński barok? Kusiły mnie wszystkie swoimi oświetlonymi świecami witrynami, pełne literackich smakołyków. Ze względu na prostotę wyboru zdecydowałem się na sklep, przed którym właśnie stałem. Na drzwiach wejściowych wygrawerowano osobliwy znak: koło przedzielone we wnętrzu trzema zakrzywionymi liniami.



Sklep był raczej słabo oświetlony, tak, że nie można było odszyfrować tytułów leżących na wystawie książek. Ale właśnie z tego powodu wydał mi się najbardziej tajemniczy i kuszący ze wszystkich antykwariatów przy tej ulicy. Do środka!

Subtelny dźwięk dzwonka obwieścił moje wejście, znajoma stęchlizna wysuszonych książek wypełniła nozdrza i przez moment wydawało mi się, że jestem w sklepie sam. Mój wzrok przyzwyczajał się powoli do mroku, a wtedy mogłem już rozpoznać wyłaniającą się z szarego cienia regałów garbatą postać, której ogromne wylupiaсте oczy lśniły w ciemnościach. Zarejestrowałem głucho, rytmiczne trzeszczenie.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał gnom cienkim i łamliwym głosem, jakby mówił językiem z pergaminu. – Interesuje się pan pismami profesora doktora Abdula Słowiczego?

O mój Boże! Wylądowałem w sklepie specjalizującym się w dziełach tego wariata

z Mrocznych Gór. Akurat tutaj! W niewielkim stopniu byłem zaznajomiony z jego dziełami, ale to już wystarczyło, abym przekonał się, że jego naukowy pogląd na rzeczy daleki był od moich poetyckich pasji.

– Jedynie powierzchownie – odparłem chłodno. Szybko stąd wyjść, zanim z czystej uprzejmości dam sobie wcisnąć jedno z tych nieczytelnych tomiszczy.

– Bez powierzchni nie byłoby głębi – odpowiedział gnom. – Może zainteresuje pana literatura uzupełniająca dotycząca badań Słowiczego w camońskich labiryntach? Jest to wysoce interesująca praca autorstwa doktora Oktafana Kolibryla, jednego z najzdolniejszych uczniów Słowiczego, i nie będę przesadzał twierdząc, że można z niej dowiedzieć się paru rzeczy przydatnych do rozszyfrowania labiryntów.

– Właściwie to niespecjalnie interesuję się labiryntami – odparłem i rozpocząłem odwrót. – Obawiam się, że jestem w niewłaściwym sklepie.

– Och, nie interesuje się pan naukami ścisłymi? Szuka pan beletrystyki? Eskapistycznej literatury dla uciekających przed rzeczywistością? Szuka pan *powieści*? W takim razie rzeczywiście trafił pan pod zły adres. Tu jest jedynie literatura fachowa. – W jego głosie nie było nic wrogiego ani aroganckiego. Brzmiało to jak uprzejma informacja. Złapałem za kłamkę.

– Przepraszam pana bardzo – powiedziałem jak kretyń i nacisnąłem gałkę. – Jestem nowy w mieście.

– Pochodzi pan z Twierdzy Smoków? – spytał antykwariusz.

Zatrzymałem się na chwilę. Jedną z niezmiennych rzeczy w życiu chodzącego w pozycji wyprostowanej dinozaura jest fakt, że każdy na pierwszy rzut oka może stwierdzić, w jakim mieście się on urodził. Nie zdążyłem się jeszcze zorientować, czy jest to wada czy zaleta.

– Prawdopodobnie nie da się tego nie zauważyć – odpowiedziałem.

– Proszę mi wybaczyć tę nieco pejoratywną i uogólniającą uwagę o powieściach. Muszę posługiwać się takimi frazesami, żeby spławić turystów wpadających tu stale z pytaniami o pierwsze sygnowane wydanie *Księcia Zimnej Krwi*. I mimo że jest to antykwariat z wyłącznie fachową literaturą, wielokrotnie już pochłaniałem powieści pochodzące z Twierdzy Smoków. – Zaszuszonego postać pochyliła się nad zawalonymi książkami, stołem i zapaliła świecę. – I proszę wybaczyć mi kiepskie warunki oświetleniowe. W ciemnościach lepiej mi się myśli.

Płomień zapalonego knota rzucił dramatyczne światło na twarz gnoma, najpierw jasno ją oświetlając i tańcząc nerwowo, potem coraz słabiej i spokojniej. Właściciel sklepu był Eydeta, mogłem się tego domyśleć, nie widząc nawet uprzednio żadnego

Eydety. Kształt głowy, wiedziałem to z rozmaitych encyklopedii, był oryginalny i pozwalał mi przypuszczać o zawartości co najmniej trzech mózgów. Teraz wiedziałem już też, że tajemnicze trzeszczenie pochodziło z jego czaszki. Słyszało się po prostu, jak Eydeci myślą.

– Nazywam się Hachmed Ben Kibicer. – Eydetą podała mi pęczek palców, który ostrożnie uściśnąłem.

– Hildegunst Rzeźbiarz Mitów.

– Publikował pan już?

– Tylko w obrębie Twierdzy Smoków.

– W takim razie wybaczy mi pan, że nie czytałem nic pańskiego autorstwa.

Zaśmiałem się sztywno i czułem się jak skończony idiota. Byłem niezapisaną kartką.

– Ale, jak już wspominałem, literatura twierdzosmoczan pochłonęła spory kawałek mojego życia. Napisałem pracę doktorską o działaniu zimnokrwiobiegu dużych jaszczurów, uprawiających pisarstwo, na zgrabność stylistyczną.

– Ach tak? – powiedziałem, jakbym miał pojęcie, o czym on mówi. – I do jakiego doszedł pan wniosku?

– Do takiego, że zimnokrwiobieg może wpłynąć korzystnie na harmonię i kształtność poezji. Twierdzosmoczenie to urodzeni poeci, mogą to udowodnić naukowo.

– Schlebia mi to ogromnie.



– Naprawdę jestem zdania, że ten gatunek czysto organicznie stworzony jest właśnie do pisarskiej działalności. Długi okres życia istotny jest dla osiągnięcia dojrzałości rzemiosła. Trójpalczasty pazur idealny jest do trzymania przyrządu do pisania. Gruba jaszczurza skóra to najlepszy środek przeciw niesłusznym krytykom. – Eydeta zachichotał. – Twierdza Smoków wydała jedne z lepszych powieści w historii camońskiej literatury. *Nieszczęsny pokój* Sartoriusa Tokarza Jambów albo *Wypełnieni światłem księżycy* Hartheima Odlewacza Rymów! *Stanie flaminga* Hyldii Garbarki

Dramów! *Nieskładna noc! Śpiew ostryg! Suche przynęty!* Nie zapominając oczywiście o *Rycerzu Hemplu* Gryfiusa Strugacza Ód.

– Zna pan *Rycerza Hempla!*

– Oczywiście! Przypomina pan sobie fragment, kiedy okulary wpadają rycerzowi do środka zbroi i praktycznie na ślepo musi przejść przez pojedynek na lance? Albo ten, kiedy cios maczugą zwichnął mu żuchwę i przez cały rozdział musi porozumiewać się na migi? Ile się z tego śmiałem! Arcydzieło komizmu!

Nie dotarłem tak daleko w tej powieści. Po około stu stronach składających się głównie z wprowadzenia do pielęgnacji lancy, rzuciłem w kąt tę nudną księgę, którą narzucił mi Dancelot.

– Oczywiście – skłamałem. – Żuchwa. Wyborne!

– Najpierw trzeba się przemęczyć setką stron wprowadzenia do pielęgnacji lancy – powiedział Kibicer. – Ale potem autor przechodzi do rzeczy. Rozdział, w którym pisarz przez sto pięćdziesiąt stron nie używa litery E – geniusz lipogramatyki!

Eydeteta odchrząknął i zacytował:

Kura, podchodzi do stołu

i mówi:

„Tu radość,

gdy kura u stołu

tak punktualna! ”

Zaśmiałem się ze znanstwem.

– Tak, tak... – powiedziałem. – Geniusz. – Nigdy nie czytałem tej bzdury!

– Ale nie tylko powieści! – zawołał Kibicer, który wpadł w cug. – W *Twierdzy Smoków* istnieje także wspaniała literatura fachowa. *O rozkoszach ogrodu* na przykład. Kamień milowy w opisywaniu udomowionej natury.

Byłem zaskoczony. – Zna pan *Dancelota Tokarza Sylab?* – W końcu puściłem klamkę.

– Znać? Pan chyba żartuje. Mógłbym go recytować przez sen:

Tak więc pozostaje nam dla uspokojenia tylko natura. Niemalże instynktownie wychodzimy w plener, na zewnątrz w ogrodzie wśród szumu drzew, pod gwiazdami, oddychamy swobodnie – tam będzie nam łżej na sercu. Od gwiazd pochodzimy i ku gwiazdom zmierzamy. Życie jest jedynie podróżą w nieznane.

Ten mały Eydetta znał dzieło Dancelota lepiej niż ja. Łza stoczyła się z mojego lewego oka.

– Ależ pan najwidoczniej także go ceni! Skoro cytat z jego dzieła wywołuje u pana tak emocjonalne reakcje. To wyrównuje rachunki za pańską nieznamość *Rycerza Hempla*.

Drgnąłem. Psiakrew, ci Eydeci potrafią przecież czytać w myślach, zapomniałem o tym! Muszę być tutaj ostrożniejszy z tym, co myślę.

– Od myślenia nie da się tak łatwo powstrzymać, jak od mówienia – zaśmiał się Kibicer. – Ale proszę się nie męczyć. Wiem już tak dużo o panu, że mogę sobie oszczędzić czytania w myślach. Zna pan Dancelota Tokarza Sylab osobiście, zgadza się?

– Był moim ojcem poetyckim. On niedawno zmarł.

– Och, naprawdę? Proszę wybaczyć mi zatem niedelikatne pytanie. Moje najszczęszone kondolencje. Ten dinozaur był geniuszem.

– Dziękuję. On sam nigdy by tak o sobie nie powiedział.

– To czyni go tym bardziej znaczącym. Kiedy dysponuje się takim potencjałem, jak pozwala przypuszczać lektura *Rozkoszy ogrodu*, i ogranicza się jeszcze do tej jednej jedynej książki – oto prawdziwa wielkość.

Życzyłbym sobie, żeby Dancelot usłyszał te słowa za życia. Łzy znów napłynęły mi do oczu.

– Ależ niech pan siada! Skoro przebył pan taki szmat drogi z Twierdzy Smoków, musi być pan zmęczony. Chce pan kawy muszkatołowej?

Antykwariusz podszedł chwiejnie do dzbanka z kawą, który stał na regale z książkami.

Zupełnie niespodziewanie moje kończyny stały się ciężkie. Wędrowałem od świtu, w hotelu właściwie nie wypocząłem, a potem godzinami biegałem jeszcze po mieście. Jego słowa uświadomiły mi, jak byłem przemęczony. Usiadłem na krześle i otarłem łzy z oczu.

– Proszę się nie bać, naprawdę nie będę już czytał w pana myślach – powiedział Kibicer, wręczając mi pachnącą kusząco filiżankę kawy. – Czy mogę w takim razie w konwencjonalny sposób spytać, co sprowadza pana do Księgogrodu? Nie czynię tego z ciekawości. Być może mógłbym panu pomóc. – Spojrzał na mnie, uśmiechając się przyjaźnie.

Być może, pomyślałem, łaskawa opatrność przywiodła mnie do tego sklepu. Skoro znalazłem tu wielbiciela twórczości Dancelota, dlaczego by nie rozpocząć poszukiwań

u niego?

– Szukam pisarza.

– W takim razie Księgogród jest chyba lepszym do tego miejscem niż, powiedzmy, Cementarne Bagna Dullsgardu. – Śmiech Eydety z własnego dowcipu brzmiał jak napad astmy.

Wyszperałem rękopis.

– Może niech pan to przeczyta. Szukam osoby, która to napisała. Nie znam ani jej imienia, ani nie wiem też, jak wygląda. Nie wiem nawet, czy jeszcze w ogóle żyje.

– Szuka pan fantomu? – Eydeta uśmiechnął się złośliwie. – No dobrze, niech mi to pan pokaże.

Antykwariusz sprawdził najpierw jakość papieru, pocierając nim między opuszkami palców, typowy dla zawodu ruch ręką. – Hm. Doskonały gralsunderski papier czerpany – zamruczał – zakłady papiernicze Obholzer, dwieście gram. – Obwąchał rękopis. – Lekko skwaśniały. Nuta brzoskwiniowa. Drzewo brzoźowe, nieco igieł świerkowych. Środek bielący był niedostatecznie rozrobiony. Nieco sztywnieje na brzegach. – Była to typowa niezrozumiała gadanina księgozrodzkich antykwariuszy, którą słyszałem już na ulicach wśród latających handlarzy.

Kibicer przesunął palcem wskazującym po brzegu książki. – Niespokojny sznyt, co pięć milimetrów nacięcie. Maszyna była już przestarzała. Prawdopodobnie 556-stka. Linie nadrukowane atramentem kałamarnic, stąd wnoszę...

– Może powinien pan zacząć czytać – odważyłem się przerwać.

– Hm? – Zdawał się wyrwany z transu i zaczął długo wpatrywać się w pismo na pierwszej stronie. Najwidoczniej, tak jak ja przedtem, zdumiewał się pięknością kaligraficznego zjawiska, jakim był rękopis. I wtedy w końcu zaczął czytać.

Po paru momentach mruzczał, odczytując zdania jak partyturę i zachowywał się tak, jakby wcale mnie tam nie było. Wiele razy śmiał się, ochryple krzyżąc: „Tak! Tak! Dokładnie!” i zdawał się bardzo poruszony. To, co potem nastąpiło, wyglądało mi na naśladowanie moich własnych reakcji okazywanych w czasie czytania listu w Twierdzy Smoków. Niemal niezauważalnie napady śmiechu przechodziły w wybuchy płaczu, dyszał, bezgłośnie tłukąc się płaską ręką w czoło, wydawał z siebie co chwila okrzyki aprobaty i zachwytu: „No tak! Tak! To jest dobre! Takie... doskonałe!”. Potem opuścił list i długo siedział w milczeniu, wpatrując się w ciemność.

Odważyłem się odchrząknąć. Kibicer się przestraszył, popatrzył na mnie swymi wielkimi, lśniącymi oczami, w których drżały źrenice o barwie bursztynu.

– No i? Zna pan autora? – spytałem.

- To jest potworne – wymamrotał Kibicer.
- Wiem, ktokolwiek to napisał, jest gigantem.

Kibicer oddał mi rękopis, a jego oczy zwięzały do wąskich szczelinek. W całym sklepie pociemniało.

– Musi pan opuścić Księgogród – wyszeptał. – Jest pan w wielkim niebezpieczeństwie!

– Co?

– Proszę, niech pan opuści mój sklep! Proszę natychmiast wracać do Twierdzy Smoków! Albo gdziekolwiek, ale w każdym razie niech pan zniknie z miasta! Proszę nie iść w żadnym wypadku do jakiegoś hotelu! Proszę nikomu nie pokazywać manuskryptu! NI-KO-MU, zrozumiał pan? Niech go pan zniszczy! Niech pan ucieka z Księgogradu i to tak szybko, jak jest to możliwe!

Była to cała ta seria zaleceń, sugerujących dokładną odwrotność tego, co zamierzałem. Po pierwsze, chętnie pozostałbym jeszcze w tym sklepie, żeby pogawędzić z miłym Eydetą. Po drugie, byłem szczęśliwy, że w końcu opuściłem Twierdzę Smoków i za diabły nie chciałem tam wrócić. Po trzecie, oczywiście w końcu chciałem wrócić do hotelu, ponieważ tam znajdowały się moje rzeczy. Po czwarte, miałem zamiar pokazywać rękopis każdemu, kto będzie tego chciał. Po piąte, nigdy nie zniszczyłbym najbardziej doskonałego kawałka literatury, jaki kiedykolwiek widziałem, i w końcu po szóste, nie chciałem opuszczać tego wspaniałego miasta, które zdawało się ziszczeniem moich snów. Lecz zanim zdołałem wypowiedzieć choć jedną z replik, gnom wypchnął mnie już ze sklepu.

– Proszę kierować się moimi zaleceniami – wyszeptał, wypychając mnie za drzwi. – Proszę jak najszybciej opuścić miasto! Do widzenia. Nie: Do niewidzenia! Uciekaj pan! Uciekaj pan, dopóki jeszcze możesz! I proszę unikać trójkoła!

Potem trzasnął drzwiami, zarygłował je od środka i wywiesił w oknie tabliczkę „Zamknięte”. W sklepie zrobiło się ciemniej niż dotąd.



KOLOFONUS DESZCZBLASK

Roztrzęsiony błdziłem po sąsiednich uliczkach. Taka zmiana nastrojów przy stanie wyczerpania i bezdomności, w jakim się znajdowałem, to było już za wiele, moi drodzy przyjaciele. Najpierw bolesne wspomnienia o Dancelocie, potem gościnne przyjęcie przez Kibicera, i zaraz potem to brutalne wyrzucenie za drzwi... Co za niewydarzony, pomarszczony typek!

Wiedziałem, że antykwariusze, szczególnie ci z Księgogrodu, skłaniają się ku ekscentrycznym zachowaniom. Było to, powiedzmy, dyktowane honorem zawodowym. Ale co miał na myśli Kibicer, mówiąc, że powinienem unikać trójkoła? Miał na myśli znak na jego własnych drzwiach? Prawdopodobnie był to tylko jakiś zakręcony dziwak z wyraźnymi zachwianiami umysłu. W sumie nic dziwnego, po lekturze wypalających mózg pism profesora doktora Abdula Słowiczego!

Próbowałem strząsnąć z siebie wspomnienia o tym incydencie, zastanawiając się nad moim dalszym postępowaniem. Potrzebowałem najpierw więcej wiedzy o mieście i jego niepisanych zasadach. Potrzebowałem przewodnika, mapy miasta, a może wydano nawet coś w rodzaju zasad zachowania dla odwiedzających antykwariaty. Być może tylko nieświadomie złamałem którąś z obowiązujących wyłącznie tutaj reguł.

W czasie, gdy rozważałem to wszystko, przypomniała mi się leżąca na wystawie książka Kolofonusa Deszczbłaska *Katakumby Księgogrodu*. Było to dzieło, które podobno najbardziej zbliżyło się do tajemnic Księgogrodu. Chciałem je zdobyć i uraczyć się paroma filiżankami kawy w jakiejś dobrze ogrzanej gospodzie. W ciągu jednej nocy mogłem stać się ekspertem od Księgogrodu, zarywając ją tym samym i nie spędzając jej w wątpliwym towarzystwie białego nietoperza i awanturującej się bandy yeti w pensjonacie *Pod Żłotym Piórem*. Następnego ranka zabiorę stamtąd moje rzeczy i zmienię hotel – postanowiłem.

Całkiem szybko odnalazłem antykwariat, książka leżała jeszcze na wystawie. Zapłaciłem śmieszoną kwotę, wziąłem jeszcze plan miasta i przewodnik po antykwariatach na dokładkę, po czym zaniósłem moje skarby do sąsiedniej kawiarenki. W lokalu odbywał się właśnie odczyt poezji, co oznaczało, że co pół godziny kolejny biedny poeta będzie stawał na stole i deklamował swoje wierszydła, za które w Twierdzy Smoków wysmarowano by go smołą i zrzucano z blanków.

Zdumiony stałem długo przed tablicą, na której kredą wypisano wszystkie możliwe do zamówienia pyszności. Liczba potraw wraz z ich literackimi nazwami oszołomiła mnie: *Atramentowe Wino* i *Kawa Powieściłło*, słodki papier jadalny, który można było także zamówić, *Kakao Pocałunek Muz* i *Woda Pomysłów* (to ostatnie, to w

rzeczywistości dość brutalny, wysokoprocentowy absynt), *Pralinki Grozy* z nadzieniem-niespodzianką (dla czytających horrory, niektóre były wypełnione octem, rybim tranem albo wysuszonymi mrówkami), siedemnaście rodzajów wypieków, nazwanych ku czci różnych ksiąząt poezji, na przykład *Ślimaczki Ojahnn Golgo van Fonthewega* albo *Keksy Dölerich Hirnfidlera*. Potrawy z nazwami znanych bohaterów powieści albo ich autorów, takie jak *Pasztet Księcia Zimnej Krwi* czy *Zapchajmakaron Kainomaca*, zaspokajały potrzebę porządnego posiłku. Była też lekka *Salatka Sylabiczna* z makaronu w literki i grzybów trąbuzońskich. Huczało mi w głowie.

W końcu wziąłem się w garść i zamówiłem. Usiadłem w najdalszym kącie, tuż obok trzaskającego pieca, nad olbrzymim dzbankiem kawy waniliowej *Inspiracja* i słodką bułeczką o nazwie *Loczek Poety*. Upiłem kawy, wgrzyłem się w pyszny *Loczek*, wyciągnąłem *Katakumby Księgogrodu* i zacząłem czytać.



Karzeł o nieprzyjemnie wysokim głosie wygłaszał właśnie swój przechodzący wszelkie pojęcie esej o odrzuceniu przez niego gąbek do mycia, co nie zakłócało jednak mojej koncentracji – mogę czytać w najgorszych warunkach, o ile lektura mnie fascynuje.

A *Katakumby Księgogrodu* utrafiły w moje oczekiwania pod każdym względem. Książka dostarczała nie tylko informacji, ale była także napisana w fascynujący sposób, rzadki dla fachowych książek. Już po pierwszych akapitach okropny odczyt stał się jedynie szumem w tle, przeszkadzającym nie bardziej niż śpiew ptaków. A ja uczepliłem się pięć Kolofonusa Deszczblaska i wraz z nim podążyłem w niewyobrażalnie

poigmatwane labirynty miasta, aby wydrzeć mu wszystkie jego zdumiewające tajemnice.

Kolofonus Deszczblask, moi drodzy przyjaciele, nie zawsze był największym łowcą książek w Księgogradzie. O nie, był taki czas, kiedy nie nazywał się nawet Kolofonus Deszczblask. Wymyślenie sobie dźwięcznego pseudonimu należy do zawodu łowcy książek, a to od razu odróżniło Deszczblaska od jego kolegów, ponieważ wybrał sobie najmniej wojowniczo brzmiące nazwisko.

Naprawdę nazywał się Taron Trekkko. Był wędrownym Psiarzem, którego w czasie jego wojaży przypadkowo rzuciło do Księgogradu. Tak, wtedy nie miał nawet najmniejszego pojęcia o literaturze. Jak większość Psiarzy dysponował jednak fenomenalną pamięcią i jak wielu z jego gatunku wykorzystywał ten dar, by zarabiać po gospodach jako magik liczbowy. Mnożył w głowie stycyfrowe liczby, zonglując równocześnie surowymi jajami. Ale w tym czasie, gdy trafił do Księgogradu, rozgorzał właśnie spór między camońską pramatematyką a arytmetyką druidzką, który podzielił całą ludność Camonii na dwa nieprzejednane obozy. Dlatego też niemal każdy występ magika liczbowego kończył się zbiorową bijatyką. Gdziekolwiek wtedy jakiś Psiarz wetknął tylko swój pysk przez drzwi gospody, gospodarz rzucał w niego od razu dzbanem.

Taronowi Trekkko groziła śmierć głodowa, i to w mieście, w którym roiło się od gospód i spragnionego rozrywki tłumu. Ale szybko zorientował się, na czym można było zarobić o wiele więcej pieniędzy niż na gierkach liczbowych przed pijakami – na rzadkich książkach. Dojście do tego wniosku nie było wielką sztuką – książki sprzedawał tu niemal każdy. Ale istniał też rodzaj bardzo rzadkich egzemplarzy, na które zawsze było ogromne zapotrzebowanie. Były to książki ze *Złotej Listy*.

Książki zgromadzone na tej liście były nie do kupienia w żadnym z księgowradzkich antykwariatów. Naprawdę rzadko pojawiała się któraś z nich, po czym natychmiast kupował ją na aukcji jakiś bogaty kolekcjoner. Były to legendy, które wszędzie budziły pożądanie, porównywalne chociażby z tymi o Diamencie Olbrzymie z Twierdzy Smoków. Należała do nich *Krwawa księga*, *Kłótny demonów Nokimo Norkena* i *Podręcznik niebezpiecznych gestów* – i jeszcze z parę setek tytułów.

Szczególny rodzaj poszukiwaczy przygód – nazywano ich łowcami książek – wyspecjalizował się w ściganiu tych kosztownych dzieł w trzewiach Księgogradu i wydobywaniu ich na powierzchnię. Niektórzy łowcy byli zatrudniani przez kolekcjonerów albo księgarzy, inni prowadzili poszukiwania na własną rękę. Wynagrodzenie wyznaczone za dostarczenie ksiąg ze *Złotej Listy* było tak astronomiczne, że już jeden jedyny znaleziony egzemplarz mógł uczynić z łowcy bogacza.

Był to niebezpieczny zawód – najniebezpieczniejszy ze wszystkich w Księgogradzie. Poszukiwania zaginionej książki mogą się wam wydawać, moi zuchwali towarzysze podróży, nudnym zajęciem jakiegoś skapcaniałego antykwariusza w wolny wieczór. Ale tu, w otchłaniach tego tajemniczego miasta, było to związane z większym ryzykiem niż polowanie na Kryształowe Skorpiony w Szklanych Grotach Przepaści Demonów. W katakumbach pod Księgogradem roilo się bowiem od niebezpieczeństw swoistego rodzaju.

Labiryntom przypisuje się połączenia z *Zaświatem*, owym tajemniczym królestwem Złego, które podobno rozciąga się pod Camonią. Lecz zagrożenia czające się w ciemnościach pod miastem były, zdaniem Kolofonusa, konkretne i wystarczająco niebezpieczne, tak więc mówiąc o nich, nie trzeba było opierać się na wymysłach dla dzieci.

Dziś nie można już dokładnie stwierdzić, kiedy pierwsi łowcy książek zeszli w mroczne otchłanie. Przypuszcza się, że musiało to nastąpić mniej więcej wraz z powstaniem profesjonalnych antykwariatów w Księgogradzie. Przez wiele stuleci, a nawet tysiącleci, miasto to było centrum handlu książkowego w Camonii: od dnia, gdy pojawiły się pierwsze ręcznie napisane książki, aż po dzisiejsze czasy masowej produkcji.

Bardzo wcześnie odkryto, że suche powietrze w labiryntach stwarzało idealne warunki do przechowywania papieru. Przenoszono tam całe biblioteki narodowe, książęta ukrywali swoje literackie skarby, piraci swe książkowe łupy, księgarze pierwsze wydania książek, wydawnictwa zaś całe zasoby.

Na początku Księgogród nie był prawdziwym miastem, a funkcjonował jedynie pod ziemią, w formie zamieszkałych pieczar, ściśle powiązanych ze sobą sztucznymi tunelami, szybami i sztolniami, w których żyły plemiona i bandy najróżniejszych istot. Na powierzchni były jedynie wejścia do grot i parę chałup, dopiero z czasem wyrosło z tego naziemne miasto, aż w końcu osiągnęło dzisiejszą wielkość.

W historii Księgogradu były anarchistyczne i dzikie czasy. Czasy bezprawia i nieporządku, napadów i wypraw łupieżczych, mordów i zabójstw. Tak, nawet prawdziwe wojny o wartościowe biblioteki były w labiryntach na porządku dziennym. Książęta i bezwzględni piraci książkowi rządzą katakumbami, walcząc między sobą do ostatniej kropli krwi, stale wydzierając sobie nawzajem skarby. Książki wywożono i zakopywano, właściciele rozmyślnie zasypywali całe zbiory, aby schować je przed piratami. Bogaci handlarze książkami kazali mumifikować się po śmierci i grzebać razem ze swoimi kosztownościami. Czasami dla pojedynczych wartościowych egzemplarzy całe obszary

labiryntów zamieniano w śmiertelne pułapki z ruchomymi ścianami, naszpikowanymi włócznie i automatycznymi ostrzami, które przeszywały nieostrożnych rabusiów albo ucinają im głowy. Tunele mogły w mgnieniu oka wypełnić się wodą lub kwasem, gdy tylko zahaczyło się o drut, albo delikwent miazdżony był spadającą belką stropową. Inne przejścia były skażone niebezpiecznymi insektami albo innymi zwierzętami, które ostatecznie rozmnożyły się w niekontrolowany sposób i uczyniły katakumby jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Buchemicy, tajne stowarzyszenie antykwariuszy o alchemicznych upodobaniach, odbywali tam swe tajemne rytuały. Uważa się, że powstanie *Niebezpiecznych Ksiązek* przypada właśnie na tę epokę bezprawia.

Potem nastąpiły zarazy i katastrofy naturalne, trzęsienia ziemi i podziemne wybuchy wulkanów, które przepędziły z labiryntów wszystkie obdarzone rozsądkiem istoty. Pozostali jedynie ci najbardziej uparci i odporni.

Był to właściwie początek cywilizowanego życia miasta i narodziny profesjonalnych antykwariatów w Księgogradzie. Niektóre skarby ujrzały światło dzienne, powstały księgarnie i domy mieszkalne, zakładano cechy, uchwalano prawa, przestępców ścigano, podnoszono podatki. Zabudowywano wejścia do świata podziemi, inne zamurowywano, a te, które pozostały, zamykano silnie strzeżonymi drzwiami i pokrywami kanałów. Od tego czasu można było wchodzić jedynie na te obszary labiryntów, które zmierzono, udokumentowano oraz uznano za bezpieczne. A wolno było to robić tylko antykwariuszom, którzy zdobyli licencje na te obszary. Do nich należał przywilej eksploatacji tuneli i sprzedaży ksiązek. Wolno było im także badać głębiej położone tereny, ale wkrótce nikt nie chciał się na to odważyć, po tym jak pierwsi śmiałkowie albo nie wracali w ogóle, albo wracali bardziej martwi niż żywi. Z tego też powodu na scenę wkraczają pierwsi łowcy ksiązek.

Byli to zuchwali awanturnicy zawierający umowy z antykwariuszami lub kolekcjonerami, szukający dla nich rzadkich ksiązek. Nie było wtedy jeszcze żadnej *Złotej Listy*, ale już zaczynały powstawać legendy o najrzadszych ksiązkach. Łowcy ksiązek szukali najpierw na chybił trafił rzadkich i cennych dzieł, często kierując się prostą spekulacją, że im głębiej w ziemi znajdowała się ksiązka, tym bardziej była stara i kosztowna. Łowcy byli zazwyczaj niezgrabnymi i pozbawionymi wrażliwości kreaturami, byłymi żołdakami i przestępcami, często nieumiejącymi nawet czytać. Ich najważniejszą kwalifikacją była nieustrasżoność.

Wtedy, tak jak i dzisiaj, zawód łowcy ksiązek regulowało parę prostych zasad. Ponieważ, kiedy już weszło się w katakumby, nie istniała żadna gwarancja, kiedy, gdzie i czy w ogóle się wyjdzie, obowiązywała pewna umowa: Antykwariat, poprzez

który wychodziło się z powrotem na powierzchnię, miał prawo sprzedać zdobyte książki i zachować dla siebie dziesięć procent. Kolejne dziesięć procent szło do kasy Księgogrodu, lwia część zaś pozostawała przy łowcy książek. Jednak było tajemnicą poliszynela, że łowcy znajdowali sobie także inne, nielegalne wyjścia przez kanalizację, szyby wentylacyjne albo samodzielnie wygrzebane tunele, żeby opchnąć zdobyte książki na czarnym rynku.

Łowcy książek rozwinęli z czasem całą gamę metod pozwalających na znalezienie drogi powrotnej na powierzchnię. Oznaczali regały książkowe kredą, rozciągali długie sznurki albo rzucali skrawki papieru, ziarenka ryżu, szklane paciorki lub kamyczki. Rysowali prymitywne mapy i zadbali o oświetlenie w wielu obszarach labiryntów, przynosząc latarenki składające się z wegetujących w substancjach odżywczych, zakonserwowanych świecących meduz. Wytyczali terytoria, wybijali w ścianach źródelka wody pitnej i gromadzili zapasy żywności. Na swój skromny sposób przysłużyli się katakumbom, powiedzmy, ucywilizowując je.

Łowiectwo książek było jednak i pozostanie ryzykownym sposobem zarabiania na chleb, ponieważ z pokolenia na pokolenie trzeba było zdobywać coraz to nowe obszary labiryntów, a im głębiej się schodziło, tym większe pojawiały się niebezpieczeństwa. Nieznane dotąd formy życia, olbrzymie insekty, wysysające krew latające stworzenia, lawowe robaki, gryzące chrząszcze i jadowite węże nie czyniły ich pracy łatwiejszą. Ale najbardziej niebezpiecznym zjawiskiem dla łowcy książek był nadal inny łowca.

Im rzadsze stawały się te naprawdę kosztowne książki, tym bardziej rosła konkurencja między łowcami. O ile na początku można jeszcze było przebierać w ogromnej ofercie kosztowności, to teraz często wielu łowców gna za tą samą zaginioną biblioteką albo za tą samą książką ze *Złotej Listy*. Wtedy rozpoczyna się wyścig, a nierzadko walka na noże, w której trakcie może wygrać tylko jeden. Katakumby Księgogrodu są przepełnione szkieletami łowców książek, z toporami tkwiącymi w nagich czaszkach. Im bardziej subtelniało życie towarzyskie na górze, tym bardziej brutalne stawało się życie w świecie na dole, aż w końcu panowała tam stała wojna, każdy walczył przeciwko każdemu, bez reguł i bez litości. Taron Trekkko nie mógł wybrać mniej korzystnego momentu, aby przybrać imię Kolofonusa Deszczblaska i zostać łowcą książek.

Kolofonus Deszczblask był pierwszym Psiarzem między łowcami książek, i jako taki idealnie się do tego nadawał. Psiarze są wytrzymali, mają dobrą kondycję, znakomitą pamięć, ponadprzeciętny zmysł orientacji i wiele wyobraźni. Podczas gdy większość łowców odznaczała się jedynie nieustraszoną i brutalnością, Deszczblask

wprowadził do gry nową jakość – swoją inteligencję. Zdecydowanie więcej sił niż jego koledzy po fachu musiał poświęcić walce ze strachem, nie był tak silny i tak bezwzględny jak oni i nie dysponował też energią kryminalistów. Ale miał ułożony plan i ambicję stania się najsłynniejszym łowcą wszech czasów. Najważniejszą bronią, jaką dysponował, była jego fenomenalna pamięć.

W okresie, gdy żył dzięki jałmużnie (i jak sam przyznawał, małym kradzieżom i rabunkom), spędzał wiele czasu w miejskich bibliotekach i w wielu księgarniach, aby przyswoić sobie wiedzę, która zdawała się niezbędna do osiągnięcia jego celów. Nauczył się kilkudziesięciu starych języków, wykuł na pamięć antyczne mapy Księgogrodu i ułożył sobie z nich w głowie wielki plan.

Deszczblask studiował historię wytwarzania książek i ich sztukę, od ręcznych manuskryptów po nowoczesny druk, pracował przez jakiś czas w drukarni i młynie papierniczym. Nauczył się rozpoznawać różne rodzaje papieru i tuszu po samym zapachu, by móc identyfikować je w absolutnej ciemności. Uczęszczał na wykłady na księgowrozkim uniwersytecie na kierunkach geologia, archeologia i górnictwo. Studiował książki o podziemnej florze i faunie, zapamiętując, które rośliny, grzyby, porosty, gady i insekty w labiryntach są jadalne, a które trujące, które niegroźne, a które niebezpieczne. Nauczył się, jak odżywiać się, żując określone korzenie, jak łapie się robaki i które z nich są najbardziej pożywne, jak wykrywać żyły wody pitnej dzięki określonym geologicznym cechom terenu.



Potem Deszczblask poszedł na naukę do jednej z księgozrodzkiej perfumerii książek. Perfumiarz książek był to zawód, którego można było się wyuczyć jedynie w tym mieście. Już od stuleci zamożni księgozrodzcy kolekcjonerzy mieli w zwyczaju perfumować swe książki zapachami produkowanymi specjalnie dla nich. Nadawali tym samym swoim skarbowi pachnącą pieczęć, łatwą do rozpoznania wizytówkę, którą czuło się nawet w ciemnościach – nieoceniona zaleta, kiedy ukrywa się swoje książki pod powierzchnią ziemi.

Kolofonus Deszczblask odznaczał się dobrym węchem. Psiarze nie dysponowali

wprawdzie tak subtelnym nosem jak Wolpertingerzy, nawet nie takim jak psy, ponieważ ich zwierzęce instynkty i zdolności przytępiły się przez pokolenia. Rejestrowały jednak nadal zapachowe niuanse niedostępne dla innych camońskich istot. Deszczblask przestudiował węchem całą bibliotekę zapachów perfumerii Olfactorio von Papyrosa, którego rodzinna firma już od wielu pokoleń naznaczała legendarne biblioteki i rzadkie książki swymi oryginalnymi zapachami. Wyuczył się związanych z nimi tytułów i wydawców, dat – kiedy i gdzie zaginęły, i wszystkich innych danych, których mógł się dowiedzieć. Obwąchiwał skórę i papier, len i tekturę, nauczył się, jak zapachy tych różnorodnych materiałów reagowały na wzbogacanie ich sokiem cytrynowym, wodą różaną i setką innych aromatów.

Wędzone Książki Kucharskie z wydawnictwa Szafran; pachnące melisą pisma leczącego medycyną naturalną doktora Bociana; *Księgi igiel świerkowych* z Zielonej Epoki, nacierana migdałami autobiografia Zaansa z Floryntu; *Rikszademońska księga curry*, biblioteka eteryczna szalonego grafa Eggnarocka – żadna z książkowych perfum nie była Deszczblaskowi obca. Nauczył się, że książki mogą pachnieć ziemią, śniegiem, pomidorami, morzem, rybami, cynamonem, miodem, mokrą sierścią, wysuszoną trawą albo spalonym drewnem. I dowiedział się przy tym, jak zapachy te zmieniają się przez stulecia, jak mieszają się z aromatami świata podziemi i jak często z tego powodu niemal całkowicie się przekształcają.

Prócz tego wszystkiego Deszczblask studiował też oczywiście camońską literaturę. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, czy była to powieść, wiersz czy esej, dramat, zbiór listów albo biografia. Stał się chodzącą encyklopedią, każdy zakamarek jego pamięci był całkowicie zapchany tekstami i faktami o camońskiej literaturze, o życiu i twórczości najróżniejszych artystów.

Kolofonus Deszczblask trenował nie tylko swego ducha, lecz także swoje ciało. Rozwinął technikę oddechu pozwalającą mu na przeżycie w najbardziej dusznych warunkach, głodził się, by schudnąć do minimalnej wagi, która umożliwiłaby mu przeciskanie się przez najwęższe przejścia i otwory. W końcu uznał, że jest już pod każdym względem wykwalifikowany, by rozpocząć karierę jako łowca książek. Chciał zrobić to z hukiem, który usłyszałyby cały Księgoogród.

Nie wybrał dowolnego antykwariatu do swojej pierwszej ekspedycji i nie udał się też na bezmyślne poszukiwania. Nie, zrobił z tego akcję, która w całym mieście została wyśmiana jako urojenia Psiarza z manią wielkości. Poprzez *Latające Gazety* ogłosił, kiedy i gdzie dokładnie wejdzie w labirynty, i gdzie znów pojawi się na powierzchni. Zapowiedział jeszcze, jakie trzy książki wyniesie stamtąd na światło dzienne:

Księżniczkę Srebrnomleczną – jedyny zachowany i podpisany egzemplarz bajki o powstaniu Wolpertingerów, autorstwa Herma von Pfirsinga, oprawiony w nurnowe liście.

Księgę kanibali autorstwa Orloga Goo, opis obyczajów i tradycji Armii Wygłodzonych Kanibali, po spisaniu której autor został pożarty przez obiekty swych badań.

Oraz *Dwanaście tysięcy reguł*, bluźnierczą księgę praw buchemików. Ta książka była prawdopodobnie najbardziej skandaliczną w historii Camonii.

W rzeczy samej było to dość pyszałkowane oświadczenie, ponieważ te trzy książki od lat uważano za zaginione i znajdowały się wysoko na *Złotej Liście*. Jedna jedyna z nich uczyniłaby znalazcę bogatym. Wreszcie Deszczblask polecił dodatkowo ogłosić, że aby uczynić swą akcję *jeszcze* bardziej spektakularną, publicznie się zabije, jeśli w ciągu siedmiu dni nie uda mu się wynieść wymienionych książek na powierzchnię.

W całym Księgogradzie zgodzono się co do tego, że Psiarz stracił rozum. Było absolutnie niemożliwe uczynienie czegoś, co nie udało się przez wszystkie te lata innym łowcom książek, a mianowicie zdobycie paru książek ze *Złotej Listy* naraz. I to jeszcze w ciągu tylko jednego tygodnia!

O zapowiedzianym czasie śmiały Psiarz zszedł do labiryntów Księgogradu odprowadzany szyderym śmiechem licznie zebranych mieszkańców. Tydzień upływał i zaczęto obstawiać zakłady za niepowodzenie Deszczblaska. Zapowiedzianego dnia przed antykwiariatem, poprzez który chciał wyjść na powierzchnię miasta, zebrał się ogromny tłum. Około południa Deszczblask wyszedł chwiejnie na ulicę przez główne drzwi antykwiariatu. Od stóp do głów zbroczony był krwią, w jego prawym ramieniu tkwiła żelazna strzała, a pod pachą trzymał trzy książki: *Księżniczkę Srebrnomleczną*, *Księgę kanibali* i *Dwanaście tysięcy reguł*. Uśmiechnął się, pomachał zdumionemu tłumowi i runął zemdłony.

W kolejnym rozdziale swojej książki Deszczblask opisuje we wszystkich szczegółach, jak zaplanował tę ekspedycję, mówi o szeroko zakrojonych do niej przygotowaniach i o jej przeprowadzeniu. Najpierw złożył sobie w duchu plan labiryntów ze wszystkich szczegółów, jakie zgromadził. Potem kombinował nad faktami o poszukiwanych książkach, które zgromadził. Wiedział dokładnie co do dnia, kiedy zostały wydrukowane i w jakiej drukarni, znał adresy sklepów, do których dostarczono pierwsze wydania. Następnie śledził ich dalszą drogę za pomocą dokumentów: dowiadywał się o tym, jakie części nakładów zostały zniszczone w czasie wielkiego pożaru Księgogradu, jak uratowany kontyngent sprzedano innemu antykwiariatowi, jak to niesprzedane zasoby

przemielono na papier, jak pojedyncze egzemplarze przetrwały, i tak dalej i tak dalej. Z dzienników, listów i rozliczeń wydawniczych wiedział, jak sprzedawały się książki, albo dlaczego skończyły, bądź nie skończyły, jako tandeta. Z dokumentów dowiedział się tak interesujących szczegółów, jak ten, że kiedyś jeden egzemplarz pierwszego wydania *Księżniczki Srebrnomlecznej* pojawił się na wystawie określonego sklepu, że książka została sprzedana na aukcji za niewyobrażalną kwotę, że jej nabywca w drodze do domu został napadnięty, a książka zniknęła. Deszczblask odkrył, że słynny pirat książkowy zwany Czerwoną Ręką, którego pomawiano o kradzież książki, został żywcem zamurowany przez innego kryminalistę zwanego Goliotem Murarzem. W spuściznie po Goliocie z kolei Deszczblask odkrył mapę, na której zaznaczone były wszystkie miejsca, w których przestępca trzymał swoje ofiary wraz z łupami.

Studia nad camońską literaturą i sztuką druku przydały się Deszczblaskowi w labiryncie. Był w stanie przyporządkować każdego pisarza do określonej epoki i prądu literackiego, wiedział, które antykwariaty specjalizowały się w określonych pisarzach albo specjalnościach. Na podstawie stanu okładki i druku mógł określić, z którego wydania pochodzi książka, kiedy ją wydano i w jakim nakładzie. Deszczblask nie musiał, tak jak inni łowcy, grzebać systematycznie w każdym stosie książek, pędził jedynie korytarzami ze swoją latarenką z meduzą, rzucając śpieszne spojrzenia na prawo i lewo. Tak, nawet porządek, z jakim magazynowane były tam różnorodne zbiory, prowadził go dalej do skarbów, których poszukiwał.

Teraz opłaciła się też jego nauka w książkowej perfumerii. Jeden niuch wystarczył mu, by wiedział, że całe pomieszczenie pełne foliałów należało kiedyś do pewnego kolekcjonera, który nadał swym zbiorom zapach świeżo zaparzonej kawy. Deszczblask z całą pewnością mógł wykluczyć, że poszukiwane książki się tam znajdują, ponieważ egzemplarz *Księżniczki Srebrnomlecznej* należał do ekscentryka tak zwariowanego na punkcie kotów, że kazał on spryskać swoje książki nieprzyjemnym zapachem kociego moczu. Mniej obeznany łowca książek szukałby wszędzie węchem tego właśnie zapachu, ale Deszczblask wiedział, że resztki olfaktoriańskich perfum udających koci mocz, po najpóźniej stu latach, przekształcają się w jedyny w swoim rodzaju, ostry zapach gnijących alg. Gdy już głęboko w labiryncie stanął ostatecznie przed jednym ze zwietrzałych murów, czując zapach morza, wiedział, że znalazł swą pierwszą książkę.

W przypadku *Dwunastu tysięcy reguł* Deszczblask, dzięki swoim studiom nad historią literatury, wiedział, w którym roku książka została spalona przez natiftofskie Władze Obyczajowe. Jak zawsze przy takiej okazji jeden egzemplarz zachowano, uroczyście zaniesiono do katakumb i tam zamurovano. Sto lat później odnaleźli go

łowcy książek, zmieniał wielokrotnie właściciela i zaginął w czasie pożaru antykwariatu. Od tego czasu uznawano go oficjalnie za zaginiony. Deszczblask przeszukał uważnie księgi miasta z tego roku i odkrył wniosek o upadłość antykwariusza, do którego należał spalony sklep. Przepatrzył księgozrodzką bibliotekę w poszukiwaniu pozostawionych rękopisów i odnalazł pamiętnik żony antykwariusza, w którym napisała, że jej mąż sam podłożył ogień, a najcenniejsze książki ukrył w labiryntach. Ponieważ pomagała mężowi w ich ukryciu, była w stanie dokładnie opisać drogę.

W podobnie detektywistyczny sposób odnalazł Deszczblask *Księżę kanibali*. Ale chcę oszczędzić wam tego trzeciego opisu, moi drodzy przyjaciele, i zdradzę tylko, że wielką rolę odgrywały tu wiedza na temat antycznego sposobu wytwarzania papieru, technika odlewania mikroskopijnych, ołowianych czcionek do przypisów, upadek orniskiego izosylabizmu w czasie camońskich Wojen Śpiewaków, a także konserwowanie olejem lnianym okładek z koziej skóry.

Krótko mówiąc: Kolofonus Deszczblask znalazł książki jeszcze przed upływem ustalonego czasu, albowiem w ciągu trzech dni. Pozostałe dni musiał więc spędzić w labiryntach, aby trzymać się dokładnie wyznaczonego terminu.

Gdy w końcu chciał już wychodzić na powierzchnię, został napadnięty przez innego łowcę książek. Jak już wspomniano, kryminalna werwa jego kolegów była jedyną cechą, jakiej brakowało Deszczblaskowi. Nie rozważał nawet możliwości, że ktokolwiek odmówi mu prawa do jego zdobyczy.

Był to Rongkong Przecinak, jeden z najślawniejszych i najgroźniejszych łowców książek w Księgozrodzie. Najpodlejszy ze współczesnych, zawdzięczający swe sukcesy głównie temu, że nigdy sam nie szukał książek, tylko z zasady odbierał je innym. Dotarło do niego wyniosłe oświadczenie Deszczblaska i urządził na niego zasadzkę tuż pod antykwariatem, z którego miał wyjść. To było wszystko, co musiał zrobić, poza oczywiście wpakowaniem mu żelaznej strzały w plecy.

Na szczęście dla Deszczblaska, strzała Rongkonga Przecinaka nie trafiła w serce i przebiła tylko ramię. Rozgorzała gwałtowna walka. Deszczblask był nieuzbrojony, ale zdołał zadać Przecinakowi tyle ran zębami, że łupieżczy łowca książek musiał w końcu, ze względu na znaczną utratę krwi, ratować się ucieczką – nie zapominając o przysiędze wiecznej wrogości wobec Deszczblaska.

Psiarz zdołał dotrzeć jeszcze na powierzchnię, runął tam zemdłony i obudził się dopiero po tygodniu. Dotrzymał swej zapowiedzi, a *Latające Gazety* rozpowszechniły to z prędkością wiatru: Kolofonus Deszczblask w ciągu nocy stał się najślynniejszym z łowców książek.

Mógł stać się także najlepiej opłacanym spośród nich, ponieważ kolekcjonerzy i antykwariusze bombardowali go zleceniami. Deszczblask jednak za każdym razem odmawiał. Po tym jak już odpoczął, ruszył wprawdzie na łowy – tym razem uzbrojony i zawsze z respektem przed Rongkongiem Przecinakiem – ale większość ksiązek, które zdobył, zachowywał dla siebie. Wkrótce było już jasne, co zamierza Deszczblask: Chciał zebrać wszystkie książki ze *Złotej Listy*. Udało mu się to z zapierającą dech w piersiach szybkością, a przy okazji wyniósł na powierzchnię także inne książki, które nie były uwzględnione wprawdzie na *Liście*, lecz też były nadzwyczaj cenne. Dał temu wyraz, kupując sobie jeden z najpiękniejszych starych domów w Księgogradzie, w którym założył *Bibliotekę Złotej Listy*, gdzie pod nadzorem można było studiować owe rzadkie księgi dla celów naukowych. I tak Kolofonus Deszczblask stał się największym bohaterem Księgogradu, poszukiwaczem przygód, wzorem i mecenasem zarazem.

Choć bogaty i słynny, nie był jednak w stanie oprzeć się pokusom labiryntów, mimo że jego wycieczki stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Tak jak kochano Deszczblaska na powierzchni, nienawidzono go w katakumbach. Najbardziej brutalni z łowców ksiązek deptali mu po piętach i chcieli odebrać zdobycz: Nassim Ghandari, zwany też Pętlą, ponieważ zakradał się bezgłośnie i dusił drutem. Polder Niewidzialny, zwany tak dlatego, iż był tak chudy, że w ciemnościach brało się go za sztolniową belkę – do czasu aż dostawało się od niego zatrutą strzałką wydmuchaną z rurki. Echo Echo wabiący swe ofiary w zabójcze pułapki głosem i imitacjami odgłosów oraz zjadający je potem, aby zatrzeć wszystkie ślady. Chekani Pełzacz, łowca ksiązek, który moralnie upadł już tak nisko, że poruszał się jedynie płasko na brzuchu, skryty pod manuskryptami, cienki i gibki jak wąż. Tarik Tabari, Hoggno Kat, Hadwin Paxi, Eramun von Griswald, Bliźniaki Toto, Isleif Chesmu, Guldenbart Dłubacz, Laggsiff Jasnwołosy – Kolofonus Deszczblask zawarł z każdym z nich i jeszcze z paroma innymi niezamierzoną znajomość. Ale żadnemu z nich nie udało się odebrać mu łupów, większość łowców ksiązek wyniosła ze spotkań z Deszczblaskiem tylko paskudne rany. Niektórzy zrezygnowali z zawodu, większość omijała go w przyszłości szerokim łukiem. Tylko jeden szukał zawsze konfrontacji – Rongkong Przecinak Straszny. Najbardziej przerażający ze wszystkich łowców ksiązek czatował zawsze na Deszczblaska z żadnym zemsty uporem, zawsze i wszędzie. Niemal dwanaście razy odbyli wyczerpujące ich obu pojedynki, z których właściwie żaden nie wychodził zwycięzcą, bo zazwyczaj przerywali je z przemęczenia. Deszczblask relacjonuje na przykład pojedynkę na kusze, po którym naszpikowany trującymi strzałami dociera jeszcze do antykwariatu Hachmeda Ben Kibicera, który następnie doprowadza go do

zdrowia. Wyobrażacie sobie zapewne moje zdumienie, drodzy przyjaciele, gdy nagle wyczytałem w książce Deszczblaska nazwisko zdziwaczałego Eydety, który zabronił mi wstępu do swego sklepu!

Ale łowcy książek nie są jedynym zagrożeniem czającym się pod miastem. Nikt nie zszedł tak głęboko w labirynty jak Kolofonus Deszczblask i nikt nie widział tylu ich cudów i okropieństw. Relacjonował o przepastnych jaskiniach wypełnionych milionami starożytnych ksiąg, które były pożerane przez świecące robaki i mole. Opowiadał o ślepych i przezroczystych insektach, które polowały w sztolniach na wszystko, co znalazło się w zasięgu ich metrowych macek. O przerażających latających kreaturach, które nazwał *Harpirami* i których straszny wrzask o mało nie doprowadził go raz do szaleństwa. O *Drodze Ksiąg Rdzawych Gnomów*, monstualnym i prastarym systemie szyn, który podobno zbudowany został przed tysiącami lat przez uzdolnioną rzemieślniczo rasę karzełków. Opowiadał o *Unhajmie*, gigantycznym śmietniku w katakumbach, na którym butwiały miliony książek.

Był przekonany o istnieniu *Straszliwych Buchlingów*, owej rasy jednookich cyklopów, które żyjąc głęboko w trzewiach Księgogrodu pożerają podobno żywcem wszystko, co wejdzie w ich zasięg. Deszczblask nie wątpił w baśń ludową o rasie gigantów, którzy żyli w najgłębszych i największych ze wszystkich jaskiń, ogrzewając je wulkanami Camonii. W labiryntach widział tak nieprawdopodobne rzeczy, że niczego, naprawdę niczego nie uważał już za niemożliwe.

Jeśli w tej książce przekroczono granicę między prawdą a fikcją, uczyniono to w tak subtelny sposób, że nie obchodziło mnie, po której stronie właśnie się znajdowałem. Deszczblask całkowicie zauroczył mnie swoją historią. Pochłaniałem rozdział za rozdziałem; w czasie gdy wokół mnie tętniło nocne życie Księgogrodu, ja, zamawiając od czasu do czasu nowy dzbanek kawy, czytałem pożądliwie dalej. Niestety nie jest to możliwe, moi czytający te słowa przyjaciele, by przytoczyć wszystkie informacje o świecie pod moimi stopami, które wyjawił Deszczblask – było ich po prostu zbyt wiele.

Lecz chcę wymienić jeszcze jeden rozdział, ponieważ właśnie w nim, w tym ostatnim rozdziale książka Deszczblaska nabiera dopiero rozpędu: był to rozdział o Królu Cieni.

Historia o Królu Cieni jest jedną z młodszych legend o podziemiach Księgogrodu, ma, być może, ledwie kilkadziesiąt lat. Opowiada ona o narodzinach kreatury, która od tego czasu uprawia swój nieczny proceder w katakumbach i rozszerza swą przerażającą władzę, kilkakrotnie przewyższającą okrucieństwa łowców książek. A legenda jest następująca:

W rozproszonych światłach katakumb Księgogrodu istnieje wiele cieni. Cienie żyjących kreatur, cienie martwych rzeczy, cienie płaszczącego się, latającego i pełzającego zwierza, cienie łowców ksiązek i stalaktytów, żywe plemię sylwetek tańczących bez wytchnienia po ścianach tuneli i regałach książkowych, które już niejednym napędziły strachu, a niektórych doprowadziły do szaleństwa. Któregoś dnia, nie tak dawno temu, ta bezcielesna gromada, jak mówi legenda, mając już dość anarchii, wybrała sobie przywódcę. Cienie rzucały się wówczas na cienie, jedne niuanse ciemności na inne, kontury na kontury – aż powstała z tego wszystkiego pół żywa, pół martwa, pół trwała, pół bezcielesna, pół widzialna, pół niewidzialna kreatura. Ich pan, ich duch, ich wykonawca – Król Cieni.

Była to ludowa wersja legendy, istnieją bowiem różne inne teorie na temat, kim lub czym naprawdę jest Król Cieni. Łowcy ksiązek mówią, że jest on duchem Śniących Książek, uosobieniem ich gniewu za zapomnienie o nich i pogrzebanie w katakumbach. Wierzą oni, że ten duch powstał, aby mścić się na wszystkich żywych istotach i że żyje on w podziemnej budowli, którą zwali Pałacem Cieni. To była wersja łowców ksiązek.

Ci nieliczni antykwariusze, którzy czasami zapuszczali się w głębsze obszary labiryntów, przypuszczają, że Król Cieni to nic innego jak tylko monstualny szkodnik, istota łącząca cechy insekta i nietoperza, wydana na świat przez chorą przyrodę świata labiryntów w jednym celu – zniszczenia ich kosztownych zbiorów. To była wersja handlarzy ksiązek.

Naukowcy z kolei starają się udowodnić, że Król Cieni to prastara forma życia, która w końcu znalazła drogę na powierzchnię z najniższych systemów pieczar. Wierzą oni, że nie kieruje się żadnym celem, tylko ślepo podąża za swymi zwierzęcymi instynktami i napada na wszystko, co przez przypadek spotka, potrzebując po prostu pożywienia. To był wariant empiryczny.

Przeraźnice przepowiadały, że Król Cieni spowoduje koniec Księgogrodu, wywoła wielką katastrofę, która pochłonie wszystko, wymazując miasto z powierzchni Camonii. To była wersja Przeraźnic.

Dzieci księgogrodzkie natomiast były przekonane, że Król Cieni jest złośliwym demonem, który nocą wywołuje przerażające odgłosy w ich szafach. To była wersja dziecięcych strachów.

Wszyscy za to zgadzali się w jednym, że Król Cieni naprawdę istnieje. Czy to jako duch, zwierzę, czy potwór – wielu o nim słyszało, niektórzy byli przez niego ścigani, a paru nawet zabił. Ci, którzy go słyszeli, opisywali jego głos, jako podobny do szelestu stron książki poruszanych przez wiatr. Ci zaś, którzy go widzieli, są teraz martwi.

Cały czas odnajdywano trupy łowców ksiązek, zalane krwią i potwornie okaleczone, z setkami ran ciętych, w których często tkwiły strzępki papieru – fenomen, który tłumaczono faktem, że Król Cieni zabija swoje ofiary bronią z papieru, może jedną z tak zwanych *Niebezpiecznych Książek*. A czasami, szczególnie w ciche noce, w całym Księgogradzie słyszy się niewyobrażalne wycie dochodzące z otchłani.

Także Kolofonus Deszczblask był święcie przekonany o istnieniu Króla Cieni, ale w przeciwieństwie do większości nie wierzył w jego wrodzoną złośliwość. Wierzył nawet, że ta tajemnicza kreatura uratowała mu kiedyś życie, gdy wpadł w zasadzkę Rongkonga Przecinaka. Przecinak chciał przewrócić na Deszczblaska ogromny regał z książkami, ale na chwilę przed niechybną śmiercią poprzez zgniecenie masą ksiązek ktoś wyszarpnął go na bok. Gdy stanął znów na nogi, istota zniknęła, ale Kolofonus Deszczblask był od tego momentu przekonany, że spotkał Króla Cieni.

Od tego czasu był jak opętany tą żywą legendą. Swą teorię, że nie chodzi tu o dziką i złośliwą, ale inteligentną i dobrą istotę, chciał udowodnić, polując na nią i chwytając ją. Bynajmniej nie po to, by ją zabić albo wystawić na pokaz: Deszczblask chciał zdobyć przyjaźń Króla Cieni i puścić go potem znów wolno.

Kazał okratować część swojego domu przypominającą labirynty. Ściany pełne starych ksiązek, wszystko jedynie subtelnie oświetlone światłem meduz. Tam, jak wierzył Deszczblask, Król Cieni mógłby czuć się dobrze i przyzwyczajając powoli do świata na powierzchni, aż któregoś dnia, gdy już całkowicie by go wybadał, zwróciłby mu wolność.

Na ostatnich stronach swej książki Deszczblask relacjonuje przygotowania do wyprawy i zapowiada napisanie później drugiej książki, w której udokumentuje swe polowanie na Króla Cieni. Jego dochodzenie doprowadziło go do kolekcjonera i uczonego o nazwisku Fistomefel Szmejki, któremu przypisywano rozległą wiedzę na temat legend i sprawozdań o Królu Cieni. Szmejki, znany uczonego, do tego stopnia zapalił się do projektu, że w miarę swoich możliwości wspierał Deszczblaska i zainwestował własne pieniądze. To podobno przez znajdujący się w sercu miasta prastary dom Fistomefela Szmejki Kolofonus Deszczblask wszedł na wyprawę do katakumb.

Ostatnie słowa w *Katakumbach Księgogradu* należą jednak do ich wydawcy. Dołączył on do książki smutny epilog, w którym informuje, że zejście Kolofonusa Deszczblaska do labiryntów w domu Fistomefela Szmejki było ostatnią okazją zobaczenia największego ze wszystkich łowców ksiązek żywego. Ponieważ ze swoich poszukiwań Króla Cieni, moi dzielni przyjaciele, nigdy już nie powrócił.

95

GRZANIEC KAWOWY I CHLEB PSZCZELI

Zamknąłem książkę i zaczerpnąłem powietrza. Odkrywca, poszukiwacz przygód, naukowiec, kolekcjoner – i do tego jeszcze tajemniczy koniec, wszystko w służbie literaturze. Kolofonus Deszczblask był bohaterem w moim guście.

Odczyt już dawno się skończył, publiczność rozproszyła się i tylko przy paru stolikach siedziało jeszcze niewielu słuchaczy, pijąc kawę bądź dyskutując. Jeden z nich, siedzący sam przy stoliku naprzeciwko mnie, bezczelnie się do mnie szczyrzył. Był Dzikunem, dobrze odżywiony i szczeciniasty egzemplarz w czarnej pelerynie. Podniósł dzban i wznosząc toast zawołał: – Za Kolofonusa Deszczblaska! Największego ze wszystkich łowców książek!

Potem zamrugał do mnie swoimi świńskimi oczkami. – Czy mogę zaprosić pana na grzańca kawowego – zapytał przyjaźnie. – Może z kawałkiem pszczelego chleba?

Nie miałem nic przeciwko temu. Książka była przeczytana, mój dzbanek pusty i znów byłem głodny. Każdy posiłek, który nie obciążał mojej mizernej podróźnej sakiewki, witałem z radością. Podziękowałem i przysiadłem się do jego stolika.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytałem.

– Każdy, kto interesuje się Kolofonusem Deszczblaskiem, zasługuje na grzaniec kawowy. I chleb pszczeli.

Skinął na obsługę.

– Nie wiedziałem, że był tak interesującą osobistością – powiedziałem.

– Najbardziej błyszczącą na firmamencie Księgogrodu, może mi pan wierzyć. Bawi pan już dłużej w mieście?

– Jestem tu od niedawna.

– *Jestem tu od niedawna* – dobry tytuł na książkę! – powiedział Dzikun i nagryzmoilił coś ołówkiem w leżącym przed nim notatniku. – Proszę wybaczyć, to moja choroba zawodowa: Muszę koniecznie wymyślać dobrze sprzedające się tytuły książek. Jest pan z Twierdzy Smoków?

Stęknąłem. – Jak pan na to wpadł?

Dzikun zaśmiał się. – Przepraszam. To musi zacząć w końcu działać na nerwy – mieć, że tak powiem, adres wytatuowany na czole.

– No cóż. Są gorsze rzeczy.

– W rzeczy samej. Zwłaszcza, gdy adres jest tak szlachetny. Poeci są bardzo cenieni w tym mieście.

– Chciałbym najpierw nim zostać.

– *Chciałbym najpierw nim zostać* – też piękny tytuł na książkę! Interesujące.

Kwiat pana talentu jest tuż przed rozkwitnięciem. To musi być najpiękniejszy moment w karierze artystycznej. Serce przepełnione jest uczuciami i chęcią działania. Głowa płonie od pomysłów.



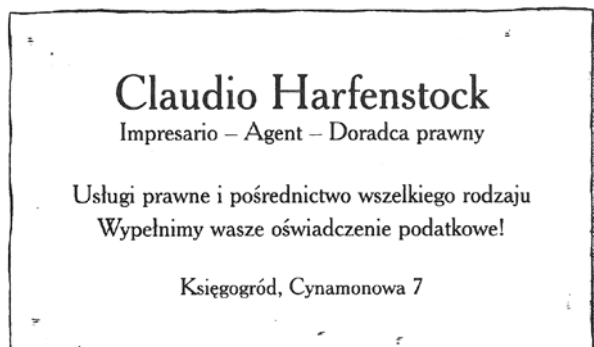
– Właściwie nie określiłbym tego w ten sposób. To truizmy o kreatywnym stanie ducha. W tym momencie na przykład nie mam ani jednego pomysłu.

– Niech pan więc może o tym napisze! Strach przed pustą kartką, panika przed wypaleniem już za miodu. Wspaniały temat!

Przypomniałem sobie o rękopisie w mojej torbie i musiałem się uśmiechnąć. – To też jest schemat.

– Ma pan rację – zaśmiał się grubas. – Co ja tam wiem o pisaniu? Potrafię jedynie liczyć. Pozwoli pan, że się przedstawię. Claudio Harfenstock – jestem agentem

artystycznym. – Wydobył wizytówkę i wręczył mi ją.



– Doradza pan artystom?

– To mój zawód. Potrzebuje pan porady?

– Aktualnie nie. Nie napisałem jeszcze niczego, w czym mógłbym potrzebować porady.

– To przyjdzie, to przyjdzie. A kiedy nastąpi ten moment, przypomni pan sobie może o mojej wizytówce.

Podano napoje i chleb, potężne, grube na kciuk kromki z szarego pieczywa, posmarowane suto masłem i jasnym miodem, w którym pływały martwe pszczoły. Grzaniec kawowy pachniał muszkatem. Obserwowałem pszczoły ze zdziwieniem.

Harfenstock wyszczerzył się. – To wymagająca odrobiny przyzwyczajenia specjalność księgogrodzka, ale później nie będzie pan w stanie się od niej uwolnić, obiecuję! – powiedział. – Szary chleb prosto z pieca posmarowany pieprzowym masłem i miodem, w którym znajdują się prażone pszczoły. Pszczoły przed prażeniem pozbawiane są żądeł i jadu, więc bez strachu. Są chrupkie i przepyszne!

Sięgnąłem po chleb.

– Ale mimo wszystko proszę uważać – upomniał Harfenstock. – Bardzo rzadko zdarza się, że któraś z pszczół nie jest pozbawiona żądła i jadu. A kiedy jad dostanie się do krwiobiegu, można przeżyć parę nieprzyjemnych tygodni z opuchniętą paszczą i majakami w gorączce. To Demoniczne Pszczoły z Miodowej Doliny, bardzo agresywne gatunek. Ryzyko należy jednak też do przyjemności rozkoszowania się księgogrodzkim

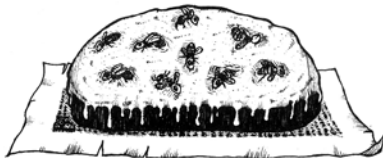
chlebem pszczelim: czające się niebezpieczeństwo, niepewność. Pomaga, jeśli będzie pan żuł powoli i uważał na żądlą. Wtedy ma się z tego jeszcze więcej przyjemności.

Ugryzłem ostrożnie i żułem w skupieniu. Pszczoły smakowały przepysznie, podobnie do prażonych migdałów. Knolfnąłem z uznaniem zębami[3].

– Wyśmienite – pochwaliłem.

– Niech pan spróbuje grzańca kawowego – polecił Harfenstock. – Najlepszy w Księgogradzie.

Upiłem mały łyżeczek. Był gorący i mocny, wypełniał żołądek błogim ciepłem. Krew uderzyła mi do głowy i ogarnęła mnie lekka euforia.



– Jest w nim porządna dawka Uszana z okolic DeLucca. Pięćdziesiąt pięć procent! Proszę więc delektować się kawą rozważnie! – Harfenstock zaśmiał się.

Skinąłem głową. W całym moim życiu nie piłem nigdy żadnego alkoholu mocniejszego niż wino. Pięćdziesiąt pięć procent! Ci z wielkich miast potrafią żyć! Poczulem się dziki i wyzwolony, tak upojony i oddalony od domu.

– Poznał pan Deszczbłaska osobiście? – zapytałem nagle bez zahamowań. – Jaki właściwie jest?

– Bywałem na różnych przyjęciach w jego domu. Podziwiałem jego bibliotekę. Byłem przy tym, jak wrócił ze swej pierwszej wyprawy i zemdłał na naszych oczach. Byłem też, gdy wybierał się na poszukiwanie Króla Cieni.

[3] Przyp. od W.M.: Bardzo mi przykro, ale mogę jedynie przypuszczać, co może oznaczać wyraz „knolfnąć”. Sam go wymyśliłem, żeby przetłumaczyć zupełnie nieznaną mi czasownik z języka camońskiego, prawdopodobnie chodzi o jakiś dialekt z Twierdzy Smoków. Ze sporą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że oznacza on coś, co potrafią zrobić ze swoimi zębami jedynie twierdzosmoczanie, prawdopodobnie chodzi o wydobycie dźwięku oznaczającego uznanie. Całe dni spędziłem na próbach wykonania zębami dźwięku uznania, ale mi się to nie udało.

– Myśli pan, że jest już martwy?

– Mam taką nadzieję.

– Nie rozumiem tego.

– Mam nadzieję, ze względu na *niego*, że jest martwy. Nikt nie wie dokładnie, co naprawdę dzieje się pod tym miastem. – Harfenstock tupnął dwa razy nogą w podłogę.

– Jedno jest za to pewne: nie jest to nic radosnego. Deszczblask zniknął przed pięcioma laty. Że tak powiem – pod książkami.

– Dobry tytuł – wymusnęło mi się – *Pod książkami*.

Harfenstock spojrział na mnie zmieszany.

– Racja – powiedział i nagryzmołił coś szybko w notesie.

– Gdyby jeszcze żył – wymruczał – byłby tam na dole już od pięciu lat. Nikomu bym tego nie życzył.

– Wierzy pan w legendy? W Króla Cieni i tak dalej? W Straszliwe Buchlingi? Pałac Cieni? – uśmiechnąłem się.

Harfenstock popatrzył na mnie poważnie.

– Nikt w Księgogradzie nie wątpi w to, że na dole istnieją rzeczy, których lepiej żeby wcale nie było – powiedział. – Bezprawie. Chaos. Niech pan tylko nie uważa, że rozpowszechniamy po świecie takie plotki dla przyciągnięcia turystów. Jak pan myśli, co moglibyśmy zrobić z tych katakumb, gdyby były całkowicie zdobyte! Osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt procent miasta jest nieużytkiem, bo tkwi we władzy niewiadomo jakich kreatur. Uważa pan to za rozsądne z kupieckiego punktu widzenia? Bzdura!

Harfenstock był poruszony. Na jego obliczu malowało się szczere oburzenie.

– Ale nie możemy przymykać oczu na to, co cały czas się tu rozgrywa. Widziałem nielicznych, którzy odważyli się zejść do katakumb i udało im się wrócić na powierzchnię. Śmiałkowie z oderwanymi kończynami, cali pogryzieni. Nie byli w stanie wydobyć z siebie więcej niż krzyki i bezładny bełkot, a potem umierali. Jeden wpakował sobie nóż w serce na moich oczach.

Świńskie oczka Harfenstocka stały się nienaturalnie wielkie i jasne, zdawały się przenikać mnie na wskroś, gdy wracał do tych strasznych wspomnień. Siorbnąłem z zakłopotaniem trochę kawy i gapiłem się na moje odbicie drżące w filiżance.

Harfenstock otrząsnął się szybko i także upił spory łyk. Potem nachylił się lekko do przodu, trzasnął mnie pięścią w ramię i wyszczerzył zęby.

– Dajmy już temu spokój! Księgogród ma też swoje piękne strony. Co właściwie sprowadza pana do naszego miasta?

Nie miałem ochoty opowiadać ponownie o mojej stracie i żałobie.

– Szukam kogoś – powiedziałem.

– Acha. Wydawcy?

– Nie. Poety.

– Nazwisko?

– Nie znam.

– Co napisał?

– Nie mam pojęcia.

– Jak wygląda?

– Nie wiem.

– Acha. Jak widzę, depcze mu pan już po piętach – Harfenstock zaśmiał się jowialnie. Przez chwilę pomyślałem o ostrzeżeniu Eydety. Potem wygrzebałem list.

– Mam jego manuskrypt.

– O, to dobrze. To niemal coś jak wizytówka. Mogę zobaczyć?

Zwlekałem tylko chwilę i wręczyłem mu rękopis. Harfenstock zaczął czytać. Niezauważalnie pochyliłem się, by obserwować jego reakcje. Czytał, nie okazując emocji, cicho mruczając pod nosem, szybko, bez radości, z opuszczonymi kącikami ust – tak, jak robią to ludzie zmuszeni do częstego czytania z powodów zawodowych. Szukałem na jego twarzy jakichś śladów osłupienia albo zachwytu, ale niczego tam nie było. W środku czytania przerwał i spojrzął na mnie, nic nie rozumiejąc.

– No i? – spytał. – Dlaczego go pan szuka?

– No tak, nie zauważył pan niczego?

Harfenstock popatrzył jeszcze raz na manuskrypt.

– Nie. Coś mi umknęło?

– Nie uważa pan, że ten tekst jest nadzwyczajny?

– W jakim sensie nadzwyczajny?

– Nadzwyczajnie dobry.

– To tutaj? Nie – wręczył mi z powrotem kartki.

Oniemiałem.

– Zdradzę coś panu – powiedział Harfenstock i, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia, zniżył głos, jakby powierzał mi jakąś kompromitującą tajemnicę.

– Być może ten tekst jest naprawdę nadzwyczajny. Być może jest to największa tandeta, jaką kiedykolwiek napisano. Jeśli istnieje ktoś, kto w *ogóle* nie jest w stanie tego ocenić, to ja nim jestem. Nie potrafię odróżnić dobrego rękopisu od kawałka tortu. Nie chcę nawet myśleć, ile dobrej literatury miałem już w ręku, w *ogóle* tego nie spozostzegając. Chce pan wiedzieć, co naprawdę mnie interesuje?

– Tak – skłamałem uprzejmie.

– Cegły.

– Cegły?

– Cegły i zaprawa. Chętnie muruję. Każdego wieczoru idę do mojego ogrodu i buduję sobie mały murek z cegieł. To mnie relaksuje. Następnego ranka znowu go rozbieram. Wieczorem odbudowuję. Lubię wilgotny zapach zaprawy. Ból mięśni wywołany przez pracę. Świeże powietrze, ruch. Wspaniale się przy tym męczę i łatwo po tym zasypiam.

Skinąłem głową.

– W moim zawodzie nie chodzi o rozpoznanie dobrej czy też złej literatury. Prawdziwie dobra literatura rzadko doceniana jest przez współczesnych. Najlepsi poeci umierają w biedzie. Niedobrzy zarabiają pieniądze. Tak było od zawsze. Co takiego mam jako agent z jakiegoś geniusza poezji, który zostanie odkryty dopiero w przyszłym stuleciu? Wtedy ja też będę już martwy. To, czego potrzebuję, to miernot odnoszących sukcesy.

– To brzmi szczerze.

Harfenstock spojrzał na mnie zmartwiony.

– Czy nie byłem teraz zbyt szczerzy? – westchnął. – Serce mam jak na dłoni. To moja słabość. Niektórzy dość ciężko znoszą prawdę.

– Postanowiłem sobie, że prawda nie odbierze mi radości z pracy – powiedziałem.

– Wiem, że pisanie to ciężki kawałek chleba, który rzadko bywa sprawiedliwie wynagradzany.

– To dobre nastawienie. Proszę pozostać sobie wiernym, uniknie pan potem gorzkich łez. Wie pan co, znam się na ludziach. To mój kapitał. Potrafię tak samo dobrze obchodzić się z wrażliwymi artystami, jak z bezwzględnymi wydawcami. Jestem jak smar: Nie dostrzega się mnie, jestem praktycznie niewidzialny, ale jestem wszędzie i beze mnie nic by nie ruszyło. Nikt nie uważa mnie za szczególnie ważnego, niektórzy nawet mną gardzą – nawet paru moich najlepszych klientów! – Ale beze mnie maszyny drukarskie nie ruszyłyby naprawdę. Jestem olejem w ich trybach.

Harfenstock wypił spory łyk kawy i wytarł usta.

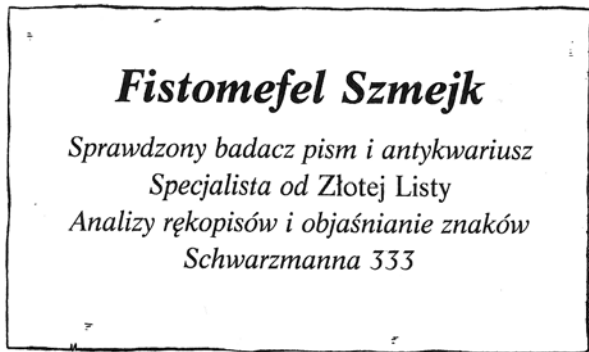
– Być może to tutaj, to najlepsze opowiadanie w całej historii camońskiej literatury – powiedział i poklepał rękopis. – Ale być może są to tylko wycpociny jakiegoś pisarzyny bez talentu – nie mam pojęcia. Dla mnie wszystkie teksty są takie same. Blabla. Słowa ciągnięte na sznurku, nic więcej. Czy jest to kartka z zakupami mojej żony, czy doskonały wiersz Fotoniana Kodiaka – dla mnie to wszystko jedno. A wie

pan, co to oznacza w moim zawodzie? – To błogosławieństwo. Być może, gdybym był w stanie, zakochałbym się w tym tekście tak jak pan. I strawiłbym życie, poszukując tego pisarza. Być może bym go znalazł. I bezskutecznie próbowałbym wypuścić go na rynek. Zamiast podpisać jutro rano umowę z Zokelem Transem na wyłączność jego trzech następnych książek dla analfabetów.

Znałem książki Transa. Nie zawierały żadnego tekstu, tylko na każdej stronie wydrukowany był prosty obrazek jakiejś rzeczy albo zwierzęcia. Cieszyły się wielką popularnością wśród analfabetów i sprzedawano je w ogromnych nakładach.

– Ale być może mógłbym panu pomóc – powiedział Harfenstock. – Może. Mogę dać panu pewien adres. To antykwariat w Śródmieściu. Właściciel zna się na rękopisach jak nikt inny w Księgogradzie. Proszę!

Wręczył mi kolejną wizytówkę. Było na niej napisane:



– Fistomefel Szejnk? – spytałem zbity z tropu. – Przypadkiem nie ten, z którego domu...

–...Deszczblask zniknął w labiryntach, dokładnie. Ważny obywatel tego miasta. Odwiedzając go, wkroczy pan na historyczną ziemię. Jego dom jest naprawdę wart obejrzenia. – Zaśmiał się znowu jowialnie.

– Nie odmówię sobie tej przyjemności.

– Niech pan pójdzie tam jutro, otwiera dopiero w południe i wczesnym wieczorem zamyka. Antykwariaty w sercu miasta mogą pozwolić sobie na takie fanaberie. I przy okazji: Niech pan rzuci okiem na asortyment. Jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju.

– Dziękuję bardzo. Oczywiście za pyszny posiłek także.

– To była inwestycja handlowa. Zapłać dobrze zapowiadającemu się artyście za posiłek, a on ustawi cię być może na całe życie. To mądrość impresariów. Niestety do tej pory u mnie się nie sprawdziła.

Połknąłem szybko ostatni kawałek chleba i chciałem się właśnie podnieść, aby pożegnać się z Harfenstockiem, kiedy nagle poczułem kłujący ból w podniebieniu.

– Akh! – wystękałem.

– Coś się stało? – spytał Harfenstock.

Wskazałem na moje usta. – Akh! – wystękałem ponownie.

Harfenstock przeraził się. – Pszczele żądło? Proszę się nie ruszać! Proszę bardzo szeroko otworzyć paszczę! Bez paniki! Pszczoła jest martwa, więc nie może już wstrzyknąć swojego jadu. Ale najmniejszy nacisk na pańskie ciało wystarczy, żeby dostała się do pańskiego krwiobiegu i zamieniła pana w bełkoczący wrak. Niech mi pan pozwoli!

Otwarłem usta tak szeroko, jak było to możliwe, żeby Harfenstock mógł się dostać do żądła. Pot spłynął mi po twarzy. Manipulował w moim gardle i postękiwał. Wstrzymałem oddech i nie poruszałem się. Potem poczułem znowu krótki ból w podniebieniu i impresario cofnął się. Trzymał wysoko martwą pszczołę i ponownie się wyszczerzył.

– Nie zapomni pan nigdy tego pszczelego chleba – powiedział. – Ale ostrzegąłem pana: Ta przyjemność jest związana z niebezpieczeństwem.

Otarłem pot. – Dziękuję bardzo – wysapałem. – Nie wiem nawet, jak mam...

– Musi mi pan teraz wybaczyć – powiedział nagle Harfenstock i przytknął pszczołę na podłogę. – Była to długa noc pełna koszarnej poezji i chciałbym zażyć trochę snu. Może zobaczymy się jeszcze.

Uścisnąłem jego dłoń. Harfenstock popatrzył w pustkę i wymamrotał:

– Hm – *Zażyć trochę snu*. Dobry tytuł, co?

– Właściwie to nie – odpowiedziałem. – Brzmi nudnie.

– Racja! – zaśmiał się agent. – Jestem już naprawdę przemęczony. Zostałem jeszcze chwilę, po tym jak opuścił już lokal. Nasłuchiwałem nieregularnych uderzeń serca, na wypadek, gdyby trochę pszczelego jadu znalazło drogę do mojego krwiobiegu, serce było jednak rytmicznie jak zegar.

Z DOMU STRACHÓW DO DOMU STRACHÓW

Pospacerowałem z powrotem do hotelu. Trwała głęboka noc, ale wiele antykwariatów było nadal otwartych, a na ulicach panował swawolny nastrój. Wszędzie stały grupki ludzi czytających sobie wzajemnie na głos książki, śmiejących się, plotkujących, pijących wino, piwo dymne albo kawę. Obejrzałem sobie parę witrzyn i z trudem już opierałem się pokusie wejścia w końcu do jakiegoś sklepu, żeby w nim poszperać.

Sporo wysiłku woli kosztowało mnie opuszczenie tłumu i odnalezienie mojego pokoju hotelowego. Yeti w sąsiednim pokoju wyraźnie się już uspokoiły, a teraz chrapały i popiskiwały jak pozatykane kobzy. Położyłem się na łóżku, chciałem chwilę odpocząć i wyciągnąć nogi. Wlepiłem wzrok w nietoperza, a on odpowiedział mi tym samym. Potem zasnąłem.

We śnie błądziłem długim tunelem, wzdłuż którego ścian stały regały pełne prastarych foliałów. Dancelot unosił się niespokojnie przede mną, był przezroczystym duchem, i ciągle wołał: – W dół! W dół! Na dół!

Wszystkie możliwe postaci z książek, które czytałem, wychodziły nam naprzeciw: Książę Zimnej Krwi, bohater mej młodości, przegalopował obok na swym koniu „Śnieżyca”; Prospopa Tonatas, suchotniczy sprzedawca dywanów z *Makaronu Califa*, Koriolan Koriolint, szmugler i filozof z *Wyroczni pumeksu*, dwunastu braci z *Dwunastu braci* i inne znane figury z powieści zastępowały nam drogę. A wszystkie krzyczały do nas: „Z powrotem! Z powrotem! Idźcie z powrotem! ”. Ale Dancelot przepływał przez nie, a ja unosiłem się z nim, ponieważ sam też stałem się duchem. Z głębi tunelu wyleciał na mnie z piskiem olbrzymi, biały, jednooki nietoperz, towarzyszyły mu prażone pszczoły, które złośliwie bzyczały. Nietoperz otworzył na oścież swój paskudny pysk i szykował się, aby mnie połknąć. Pamiętam jeszcze, że pomyślałem właśnie: „Ha! Nie może mnie pożreć, jestem duchem! ” – ale on już mnie pożarł.



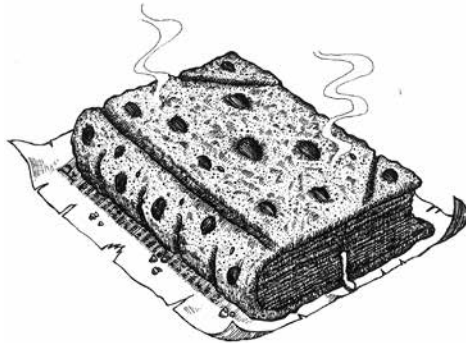
Obudziłem się. Nietoperz wisiał nadal nieruchomo w swoim kącie i gapił się na mnie. Prawdopodobnie był już od dawna martwy i umarł z otwartym okiem. Yeti hałasowały znowu w sąsiednim pokoju, obudziły się właśnie i od razu zaczęły się głośno kłócić.

Potem doszło do bijatyki. Meble rozpadały się w strzępy, a w moim pokoju spadł obraz ze ściany. Podniosłem się ze stęknieniem, nadal pijany snem spakowałem mój tobolek i opuściłem tę oberżę grozy.

Spacerowałem uliczkami, a chłodne poranne powietrze oczyściło mój umysł i pobudziło do życia. Nabrałem ochoty na małe śniadanie i zamówiłem sobie w kawiarni filiżankę kawy z buchlingiem – słodkim ciastkiem w kształcie książki, wypełnionym musem z jabłek, naszpikowanym pistacjami i migdałami. Dziwnym trafem ów specjał nosił tę samą nazwę, co owe osławione i straszne kreatury, które podobno uprawiały pod miastem swój nieczny proceder. Handlarz, nim wręczył gorącą pieczoną książkę, zapakował ją w stronę, którą wyrwał z jakiegoś antykwarycznego dzieła. Nakłuł ją długą igłą, tak, że wypłynęło z niej pachnące cynamonem nadzienie, wyglądające jak płynna zakładka do książki.

W gospodzie siedział jeszcze jeden mieszkaniec Twierdzy Smoków, Faxilian Rybak Sztanc, mój były kolega z klasy. Opowiedziałem mu o śmierci Dancelota, a on złożył mi ze współczuciem kondolencje. Dał mi także, gdy tylko opowiedziałem mu o parszywych warunkach, w jakich przyszło mi nocować, adres podobno zadbanej i taniej gospody. Potem życzyliśmy sobie nawzajem szczęśliwej podróży i pożegnaliśmy się.

Trochę później znalazłem w wąskiej uliczce mały pensjonat, z którego wychodziło właśnie paru dobrze wyspanych i sprawiających wrażenie zadowolonych Natiftofów. Jeśli oni, pedantyczni, miłujący porządek i uchodzący za skąpych, faworyzowali ten zakład, naprawdę musiało być tam czysto i tanio. Prawdopodobnie też i cicho, bo Natiftofowie nie obawiali się wzywania sił porządkowych, jeśli uznali, że coś zakłóca ich ciszę nocną.



Kazałem pokazać sobie pokój. Był całkowicie wolny od nietoperzy, woda w misce zachwycała krystaliczną czystością, ręczniki i pościel były wyprane, a z sąsiedniego pokoju nie dochodziły żadne zakłócające spokój hałasy, a jedynie stłumione głosy uprzejmych sąsiadów. Wynająłem ten pokój na tydzień i po raz pierwszy, odkąd dotarłem do tego miasta, porządnie się umyłem. Odświeżony i zaciekawiony udałem się na następną wycieczkę.

Książki. Książki, książki, książki, książki. Stare książki, nowe książki, drogie książki, tanie książki, książki w witrynach, regałach, wózkach, workach, nieposegregowane, leżące na stertach lub pedantycznie ułożone za szkłem. Ustawione w ryzykowne wieże, rozłożone na trotuarze, zasznurowane w paczki (*Spróbujcie szczęścia! – Kupcie naszą paczkę niespodziankę!*), prezentowane na marmurowych kolumnach, zakratowane w ciemnych drewnianych szafach (*Nie dotykać – sygnowane pierwsze wydania!*). Książki w skórze i lnem, ozdobione futrem albo jedwabiem, z okuciami z miedzi i żelaza, srebra i złota. Na niektórych wystawach leżały takie całkowicie wysadzone diamentami.

Były opowieści przygodowe z dołączonymi chusteczkami do ocierania potu. Opowieści grozy z wprasowanymi liśćmi waleriany, które można wachać dla uspokojenia, gdy napięcie sięga zenitu. Książki z ciężkimi zamkami, zapieczętowane przez natiftofską cenzurę (*Kupno dozwolone, czytanie zabronione!*). Jeden ze sklepów prowadził wyłącznie „połowiczne” dzieła, same rękopisy kończące się w połowie, ponieważ ich autorzy zmarli w trakcie pisania. Inny miał w ofercie jedynie rękopisy leworęcznych, napisane pismem lustrzanym. Inny z kolei posiadał tylko powieści, których bohaterami były owady. Widziałem jeden antykwariat, który odwiedzały jedynie karły z blond brodami noszące opaski na oczach. Antykwariat wolpertingerski, w którym były wyłącznie książki o szachach.

Wielkie księgarnie nie miały jednak żadnej specjalizacji i prezentowały swoją ofertę zazwyczaj dość nieuporządkowaną – wyraźnie ceniony przez klientelę pomysł, co było widać, gdy radośnie w nich szperano. W wyspecjalizowanych antykwariatach było niemożliwe zdobycie, za rozsądną cenę, pierwszego, sygnowanego wydania książki jakiegoś znanego pisarza, ponieważ tam nie było takich gratek. Za to w zasznurowanej paczce-niespodziance jakiegoś wielkiego antykwariatu można było znaleźć książkę wielokrotnie przekraczającą cenę całej paczki. A jeśli odważyło się w jednym z takich ogromnych sklepów zejść parę pięter niżej w podziemne kondygnacje, szanse odkrycia czegoś naprawdę wartościowego rosły niepomierne.

W Księgogradzie funkcjonowało niepisane prawo: Cena przypisana książce jest obowiązująca i basta! Przy takim zatręśieniu książek nieustannie wnoszonych do miasta, musiało dochodzić do sytuacji, że handlarze i ich uczniowie nie byli w stanie sprostać prawidłowej wycenie książek w trakcie ich segregowania. Czasami nie starczało nawet czasu na obejrzenie towaru – całe skrzynie i worki opatrywano jedną ceną i sprzedawano za bezcen. I tak trafiały do handlu wartościowe książki, źle je przyporządkowywano, skazywano na banicję w lochach, przysypywano stosami

taniej tandety. Spadały za regały, drzemały w skrzyniach pod pożółkłymi katalogami wydawniczymi lub leżały nieosiągalne na wysokich regałach, podgryzane przez szczury i robaki. Te skarby były główną przyczyną atrakcyjności, jaką emanował Księgogród. Turyści byli, że tak powiem, amatorskimi łowcami książek – każdemu mogło się poszczęścić, pod warunkiem, że szukał wystarczająco długo.

Większość odwiedzających była jednak przez swoich przewodników, od razu po przyjeździe, zaciągana do olbrzymich sklepów, gdzie przeważnie zgromadzono bezwartościowe rzeczy. Lecz personel umieszczał zawsze małe kosztowności między tanim towarem, także i tutaj jakiś szczęśliwy turysta mógł dokonać takiego czy innego znaleziska. Kiedy trzymał triumfująco nad głową książkę, ciesząc się głośno śmieszną ceną, była to reklama najskuteczniejsza z możliwych. Lotem błyskawicy rozchodziła się wiadomość, że ktoś nabył za parę pyr pierwsze wydanie Monkena Mixnudsza *Światła nawigacyjne w półmroku*, i sklep całą noc był pełen klientów szperających w poszukiwaniu podobnych gratek.

Te antykwariaty dla masowej klienteli zamurowały swoje zejścia do labiryntów, zasypując je książkami lub zastawiając regałami do tego stopnia, że żaden z klientów nie mógł tam zbłądzić. Wystarczyło jednak oddalić się parę ulic od wielkich księgarni i tanich kawiarni, a było już bardziej interesująco. Sklepy stawały się mniejsze i bardziej wyspecjalizowane, ich fasady kunsztowne i oryginalne, oferowane książki starsze i droższe. A stąd można było już schodzić w określone obszary katakumb. *Określone* obszary, należałoby zaznaczyć, bo sklepy te pozwalały klientom na zejście jedynie parę pięter w dół do labiryntów, potem i te dalsze przejścia były zastawione i zamurowane. Zabłądzenie w podziemnych przejściach było całkiem możliwe, ale prędzej czy później każdy odnajdywał drogę na zewnątrz.



Im dalej od centrum miasta, tym domy stają się starsze i bardziej zwietrzałe, sklepiki coraz mniejsze, a turyści coraz rządsi. W antykwariatach tam się znajdujących trzeba było czasem pociągnąć za dzwonek bądź zastukać kołatką, żeby zostać wpuszczonym. O ile klient nie był znanym łowcą książek, personel ostrzegał go dokładnie, pouczając o niebezpieczeństwach i zwracał uwagę na możliwość zakupu pochodni, lamp oliwnych, prowiantu, map i broni. Oferowano tu długie na kilometry i odporne na zerwanie sznurki, które przywiązywało się do haka w sklepie – metoda, dzięki której w miarę bezpieczny sposób można było spróbować przygody. Inne antykwariaty oddawały do dyspozycji klientów wykształconych uczniów, orientujących się dobrze na określonych obszarach katakumb i oferujących oprowadzanie na czas wędrówki.

Wiedziałem to wszystko z książki *Deszczbłaska* i świadomy tej wiedzy wyobraziłem sobie bramy do tajemniczego świata w małym niepokaznym sklepiku. Jednak w tym momencie nie interesowało mnie opuszczenie powierzchni miasta. Podążałem właśnie z bardzo szczególną misją: Byłem w drodze na ulicę Schwarzmanna 333, do antykwariatu *Fistomefela Szejmka*.

Wszedłem na wielki plac – po wszystkich tych wąskich ulicach i ciasnych uliczkach był to niezwykle widok. Jeszcze bardziej niezwykle zdawało się mi to, że nie był wybrukowany, a wszędzie ziały z ziemi wielkie dziury, między którymi biegali turyści. I dopiero gdy zobaczyłem, że w każdej z dziur ktoś tkwił, dotarło wreszcie do mnie: Był to osławiony *Cmentarz Zapomnianych Poetów!*

Plac nazywany jest tak jedynie potocznie, oficjalnie nosi nazwę *Placu Dołów*. Była

to jedna z raczej mało przyjemnych osobliwości tego miasta, o której ściszym głosem opowiadał mi jeszcze Dancelot. Nie chodziło o prawdziwy cmentarz – nikt nie był tu pogrzebany, przynajmniej nie w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. W dołach gnieździł się ci pisarze, których nie było stać w Księgogradzie na żaden dach nad głową. Uprawiali poezję na zawołanie turystów, w zamian za odrobinę drobniaków.

Dreszcze przeszły mi po plecach. Doły wyglądały naprawdę na świeżo wykopane mogiły, a w każdym wegetował skończony pisarz. Nosili brudne, podarte ubrania albo okrywały ich stare sukna, pisali na odwrocie zużytego papieru. Doły były ich mieszkaniami, nocą albo w czasie deszczu naciągali na nie naprędce parę plandek. Był to najniższy stopień w drabinie kariery, na który można było spaść, będąc pisarzem w Camonii, koszmar każdego członka piszącego cechu.

– Mój brat jest kowalem! – zawołał turysta do środka dołu. – Napisz coś o podkowach!

– Moja żona nazywa się Grella – zawołał inny. – Wiersz dla Grelli proszę!

– Te, poeta! – darł się pijak. – Napisz mi jakiś wiersz!

Pędziłem przez plac przyspieszonym krokiem. Wiedziałem, że lądowali tu także pisarze ze znakomitą przeszłością i zadawałem sobie wiele trudu, żeby nie patrzeć w doły. Ale to było niemal niemożliwe, jak pod przymusem, zerkałem na prawo i na lewo. Dzieci rzuciły z drwiną piasek na głowy tych biednych gości. Pijany turysta wpadł do dołu, jego hałaśliwi przyjaciele pomagali mu się z niego wydostać, podczas gdy z drugiej strony sikał do środka pies. Poeta siedzący w dole nie zwracał na to uwagi i pisał wiersz na kawałku kartonu.

I wtedy stało się coś strasznego: Rozpoznałem kogoś z mojego gatunku! W jednym z dołów siedział Owidios Szlifierz Wersów, mój idol z czasów młodości. W trakcie popularnych odczytów w Twierdzy Smoków siedziałem zawsze u jego stóp. Później udał się na obczyznę, by zostać słynnym wielkomiejskim poetą, i od tego czasu, no tak, od tego czasu nikt i nim nie słyszał.

Szlifierz Wersów napisał sonet dla paru turystów i odczytywał go właśnie ochryplym głosem, za co obsypali go drobniakami, kretyńsko chichocząc. Podziękował za to z przesadną wylewnością, obnażając przy okazji zaniedbane zęby. Wtedy odkrył moją obecność i rozpoznał we mnie jednego z siebie podobnych. Jego oczy napełniły się łzami.

Odwrociłem się i uciekłem z tego okropnego miejsca. Straszne, że może do tego dojść. W naszym zawodzie było się zawsze zagrożonym niepewną przyszłością, sukces i klęska leżą blisko siebie. Biegłem, nie, gnałem, by jak najszybciej zostawić za sobą

Cmentarz Zapomnianych Poetów.

Gdy się w końcu zatrzymałem, znalazłem się w jakieś nędznej uliczce. Najwidoczniej opuściłem turystyczną część miasta, ponieważ nie było tu już żadnego antykwariatu, tylko parszywe rudery, z których wydobywały się najgorsze zapachy. Przy wejściach laziły opatulone postacie, jedna z nich wyszczała, gdy przechodziłem obok:

– Te, może mała krytyka?

O rety – wylądowałem na *Jadowitej Uliczce!* To nie był już nawet żaden z zabytków Księgogrodu, tylko jedno z miejsc, których z zasady należało unikać, o ile miało się jeszcze odrobinę rozsądku. *Jadowita Uliczka* – słynna ulica krytyków do wynajęcia! Tu żyły istne szumowiny Księgogrodu; samozwańczy krytycy literaccy, piszący za opłatą niszczące recenzje. Można tu było wynająć plujących jadem krytyków i podjudzić ich przeciwko nielubianym kolegom po piórze – uważając taką metodę za konieczną i nie mając żadnych skrupułów. Prześladowali oni swoją ofiarę, aż jej sława i dobre imię zostało całkowicie zniszczone.

– Totalne zmieszanie z błotem? – wyszeptał paszkwilant. – Pracuję dla wszystkich wielkich gazet!

– Nie, dziękuję! – odpowiedziałem i ledwo opanowałem impuls rzucenia mu się do gardła. Ale nie mogłem odmówić sobie jednej uwagi. Zatrzymałem się.

– Dlaczego taka rynsztokowa kreatura jak ty pozwala sobie na wciąganie uczciwych pisarzy w szlam, z którego sam się wywodzisz?

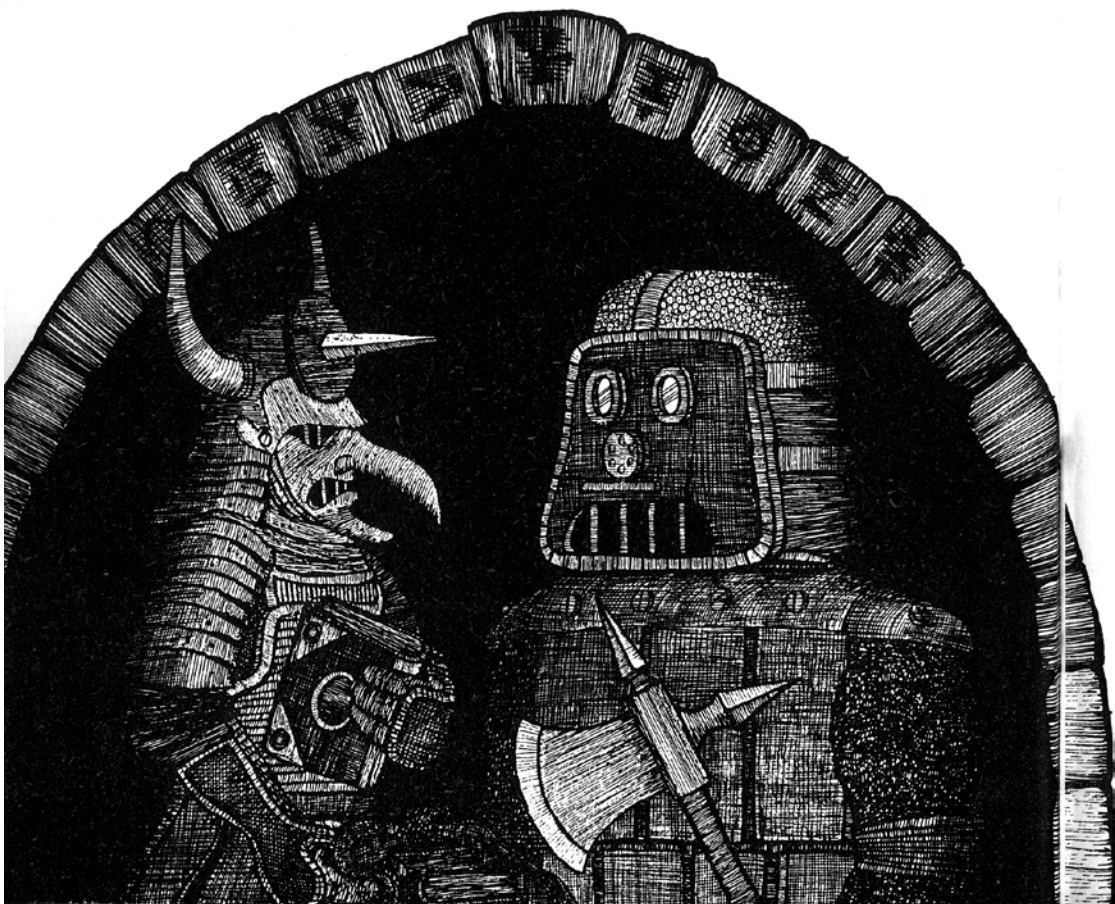
Zamaskowany wydał z siebie obrzydliwie siorbiący dźwięk.

– A kim ty jesteś, że pozwalasz sobie obrażać mnie w ten sposób? – spytał cicho.

– Ja? Nazywam się Hildegunst Rzeźbiarz Mitów! – odparłem dumnie.

– Rzeźbiarz Mitów, hm – wymruczał, wyjął z peleryny notes i ołówek i coś zapisał.
– Jeszcze nic nie publikowałeś, hm, wiedziałbym o tym, gdyby było inaczej. Mam oko na camońską literaturę współczesną. Ale ponieważ pochodzisz z Twierdzy Smoków, jeszcze coś opublikujesz. Wy, cholerne jaszczury, nie potraficie przecież trzymać się z dala od atramentu.

Oddaliłem się. Po co wdawałem się w jakąkolwiek rozmowę z tą hołotą!



– Laptantidel Latuda! – wołał jeszcze za mną. – Nie musisz zapisywać sobie mojego nazwiska. Jeszcze o mnie usłyszysz! [4]

[4] Przyp. od W.M.: Dla tych, którzy nie są zaznajomieni z biografią Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów, wyda się interesujący fakt, że chodzi tu o historyczne spotkanie, które wywarło znaczący wpływ na jego dalsze życie. Laptantidel Latuda stał się jego arcywrogiem, prześladując go uporczywie niszczącymi krytykami, gdy tylko Rzeźbiarz Mitów zaczął publikować. Więcej na ten temat w różnorodnych dygresjach Rzeźbiarza Mitów zawartych w *Osiolasiu i Kretosi*, oraz *Od Twierdzy Smoków do Bloxbergu*.

Jadowita Uliczka była oczywiście ślepą uliczką. W mrocznym wejściu do domu stało dwóch łowców książek i targowało się głośno o czarnorynkowy towar. Musiałem więc jeszcze raz przejść koło tych wszystkich ruder i tego brudasza, który psioczył za moimi plecami. Trząsałem się jak przemoknięty pies, gdy opuściłem w końcu to gniazdo żmij.

Przeszedłem przez dzielnicę zecerską, w której domy opatrzone były klamkami ze zużytych ołowianych liter i pospacerowałem w stronę Alei Lektorów, gdzie z okien wydobywały się stale jęki i przekleństwa pracujących lektorów. Najwidoczniej wielu z nich rozpaczało, czytając kwiatki stylistyczne i korygując interpunkcję. Z okna na pierwszym piętrze spadł na mnie papierowym deszczem stos rękopisów poprzedzony krzykiem wściekłości.

Teraz obszary turystyczne miałem już definitywnie za sobą, podążając coraz głębiej w stare miasto, do serca Księgogrodu. Nie było tu żadnych artystów ulicznych i deklamujących poetów, żadnych Latających Gazet i wytapialni sera, jedynie prastare domy z matowymi oknami smarowanymi od środka sadzą, by powstrzymać szkodliwe światło słońca. Nie było też niemal żadnych szyldów sklepowych, tak że trzeba było zgadywać, które sklepy w ogóle są antykwariatami. Tutaj uprawiano handel antykwareczny na najwyższym poziomie, za tymi przyczernionymi szybami siedzieli być może właśnie bogaci kolekcjonerzy i znani handlarze, pertraktujący w sprawach książek wartych tyle co nieruchomości. W tej okolicy mimowolnie chodziło się na palcach.

Ponieważ nie było jeszcze południa i sklep *Fistomefela Szmejka* z pewnością był zamknięty, stanąłem na rozwidleniu ulic, zastanawiając się, czy nie powinienem zabić czasu, wstępując do jakiegoś sklepu. Na drzwiach antykwariatu, nad którego przyczernionymi oknami wyrzeźbione były przerażające maski, odkryłem ponownie koło podzielone na trzy części, które widniało także na sklepie *Kibicera*.

Odczytałem maleńki szyld sklepowy poniżej.

INACEA ANACACI
Literatura Przeróżnic i kłątwy

Oho! Antykwariat Przeróżnic! Pewnie prowadzony przez prawdziwą Przeróżnicę! Od dzieciństwa marzyłem, żeby spotkać prawdziwą Przeróżnicę. Zapełniały one książki dla dzieci i stare baśnie czytane mi do snu przez Dancelota, i oczywiście moje koszmary. Teraz miałem okazję obejrzenia sobie jednej naprawdę, przecież dorosłem już na tyle, żeby nie uciec z krzykiem na jej widok. A więc do środka! Nacisnąłem klamkę przepełniony przyjemnym dreszczem.

Żelazne krakanie nieoliwionych od wieków zawiasów zaanonsowało moje wejście. Wnętrze antykwariatu wypełniała poświata paru lampek oliwnych. Kurz książkowy, wzniecony moim energicznym wejściem, tańczył wokół mnie, wznosząc się do nosa. Musiałem kichnąć.

Wysoka i chuda postać w czarnym ubraniu wystrzeliła nagle zza stosu książek, jak diabeł z pudełka i wykrzknęła: – Czego pan sobie życzy?

O mało nie stanęło mi serce. Przeróżnica była naprawdę nadzwyczaj paskudna.

– Ja, eee, niczego sobie nie życzę – wyjąkałem – chciałem się jedynie rozejrzeć.

– Tylko rozejrzeć? – powtórzyła Przeróżnica z niesłabnącą siłą głosu.

– Eh, tak. Pozwoli pani?

Chuda, tykowata postać szła chwiejnie w moim kierunku, wyginając nerwowo cienkie palce.

– To specjalistyczny antykwariat – zakrakała wrogo. – Wątpię, żeby znalazł pan tutaj to, czego szuka.

– Ach tak? – odparowałem. – A w czym się pani specjalizuje?

– W literaturze Przeróżnic! – wrzasnęła triumfalnie Przeróżnica, jakby już samo to słowo miało wygonić mnie ze sklepu.

Udawałem niewzruszonego i zacząłem błędzić wzrokiem po tytułach. Książki wróżbiarskie, formułki zaklęcia kurzajek, klątwy – nic ciekawego dla tak oświeconego smoka jak ja. Nie miałem wprawdzie nic przeciwko nadprzyrodzonym strachom na lachy, ale nieprzyjemne zachowanie Przeróżnicy prowokowało mnie. Zamiast zaraz stamtąd zniknąć, zostałem w sklepie i skakałem pośród regałów.

– Och, poezja Przeróżnic – szczebiotałem. – Jakie to podniecające! Interesuję się niesamowicie wróżbami z krecich wnętrzności. Poszperam zatem nieco wśród pani skarbów.

Postanowiłem sobie nauczyć tę starą zmore parę zasad obycia towarzyskiego. Teraz chciałem przeprowadzić to z zapierającą dech w piersiach bezczelnością. Wziąłem z regału jedną z książek.

– Hm... *Przepowiadanie przyszłości poprzez objaśnianie koszmarów* autorstwa

Noppesa Pa. To byłoby coś dla mnie!

– Proszę odłożyć tę książkę z powrotem na regał. Jest zarezerwowana.

– Dla kogo? – zapytałem ostro.

– Dla, eh, dla... Nie znam nazwiska klienta.

– Więc teoretycznie mogłaby być zarezerwowana także dla mnie. Mojego nazwiska też pani nie zna.

Przerażnica wyginała bezradnie swe cienkie jak ołówki palce. Rzuciłem książkę w kierunku regału tak, że przefrunęła tuż obok niego i wylądowała na podłodze.

– Hopla! – powiedziałem.

Przerażnica pochyliła się po książkę ze stęknieniem.

– A cóż to takiego? – zawołałem zachwycony i wskazałem wyciągniętym palcem na grubą książkę. – Książka z orniskimi kłótwami na Przerażnicy!

Celowo niezgrabnie kartkowałem tę kosztowną książkę, zaginając parę stron i zacząłem czytać z niej głośnym i drżącym głosem, machając wolną ręką w kierunku Przerażnicy, jakbym czarował.

*Między smukłymi bambusa pniami
tuż nad Upiorów Trawami
płoną martwe oczy
i duch ze światła kroczy...*

Przerażnica trzymając, jakby dla ochrony, rękę przed twarzą, zaczęła się chować. – Proszę to zostawić! – zapiszczała. – To bardzo skuteczne kłótwy!



Zaraz padnę – ona naprawdę wierzyła w te kretyńskie hokus-pokus. Rzuciłem książkę na bok. Zwaliła się do starej, ciemnej drewnianej skrzyni, z której wzbila się chmura najdelikatniejszego kurzu książkowego. Wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Powoli odwróciłem się w kierunku Przeróżnicy. Wskazałem na nią inkwizytorsko palcem i uniosłem odrobinę moje skórzaste skrzydła, sprawiając, że peleryna wyduła mi się na ramionach.

– Miałbym jeszcze jedno pytanie – powiedziałem.

Był to stary smoczy trik. Moje skrzydła nie nadają się do latania, dziedziczne

wspomnienie po jakimś pterodaktylu, przodku moich prehistorycznych krewnych – ale do unoszenia nadawały się idealnie. Zabawnie było zawsze obserwować, jakie wrażenie wywierały na nieprzygotowanych na ten widok. Wyciągnąłem rękopis zza pazuchy i trzymałem tuż przed nosem Przeroźnicy – tak blisko, by mogła rozróżnić pismo.

– Nie zna pani przypadkiem autora tych linijek? – spytałem ostro.

Oblicze Przeroźnicy skamieniało. Jak zahipnotyzowana gapiała się na pismo, wydając z siebie piskliwe odgłosy. Chwiejnie odeszła do tyłu, wpadła na regał i trzymając się go mocno, postękiwała, jakby przechodziła właśnie zawał serca. Jej gwałtowna reakcja zaskoczyła mnie.

– Zna pani autora, prawda? – zapytałem. Jej zachowania nie dało się inaczej wytłumaczyć.

– Nie. Nie znam nikogo – zakrakała Przeroźnica. – Proszę opuścić mój sklep!

– Muszę koniecznie dowiedzieć się, kto to napisał. Proszę mi pomóc!

Przeroźnica zrobiła krok do przodu i przybrała groźną postawę. Zmrużyła oczy do małych szparek i dramatycznie wyszeptwała:

– *Zejdzie on głąboko w głąbie! Przeklęty będzie wśród Żywych Książek! Wędrować będzie z tym, którego znajdą wszyscy, lecz nikt nie wie, kim jest!*

Wiedziałem, że Przeroźnice posługują się takimi grobowymi sentencjami, żeby zrobić wrażenie na klientach. Mnie to nie ruszało.

– To miała być groźba? Czy przepowiednia Przeroźnicy?

– To wszystko nastąpi, jeśli ten rękopis nie zostanie natychmiast zniszczony. Nie mogę nic więcej powiedzieć. A teraz wynocha z mojego sklepu!

– Ale najwyraźniej wie pani, kto... – spróbowałem podnieść ponownie kwestię.

– Wynocha! – wrzeszczała Przeroźnica. – Albo zaalarmuję Straż Książkową! Weszła za ladę i chwyciła sznur zwisający z wielkiego dzwonu pod sufitem.

– Wynocha! – powtórzyła jadowicie.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Odwróciłem się do wyjścia.

– Jeszcze jedno! – powiedziałem.

– Proszę iść – dyszała Przeroźnica. – Proszę po prostu wyjść!

– Co oznacza to podzielone na trzy części koło nad pani drzwiami?

– Nie wiem – odpowiedziała Przeroźnica. – Do niewidzenia. I niech pan się nigdy nie ośmiela wchodzić do tego sklepu.

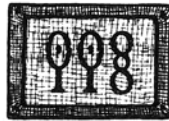
– Myślałem, że Przeroźnice wiedzą wszystko. Ale wiedzą zaskakująco niewiele – powiedziałem na pożegnanie, otworzyłem irytująco powoli drzwi, każąc zawiasom pischceć, i wyszedłem na zewnątrz.

Lekko zbaraniały stałem w promieniach słońca i nasłuchiwałem odgłosów z antykwariatu. Przerożnica, klnąc niezrozumiale pod nosem, manipulowała coś przy zamku od drzwi wejściowych. Po raz kolejny zaryglowano za mną drzwi od sklepu.

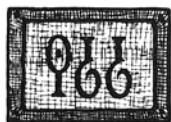
Świetnie! Robiłem szybkie postępy. Nie byłem nawet dwóch dni w Księgogradzie, a już do dwóch antykwariatów miałem zakaz wstępu.



LABORATORIUM LITER FISTOMEFELA SZMEJKA



Siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem... Na szczęście byłem obeznany z przestarzałymi cyframi buchemicznej mistyki liczb, inaczej nie potrafiłbym odczytać numerów domów. Uliczka Schwarzmanna to najstarsza ulica w Księgogradzie. Domy tutaj były tak stare i wałące się, że do połowy tonęły w gruncie, a ich dachy wyglądały jak nałożone krzywo na ruiny kapelusze alchemików. Osty wyrastały z murów, a grube dywany traw, w których gniazdowały ptaki, rozpościerały się na dachach. Dachy leżących naprzeciwko siebie budynków dotykały się niemal, tak mocno do przodu pochyliły się te wałące domy. Tak, te zgrzybiałe ruiny wydawały się coraz bardziej pochylać ku sobie, jakby oceniając mnie, nieproszonego gościa. Mimo że było południe i świeciło słońce, poruszałem się w wąskiej uliczce niemal wyłącznie w cieniu. Wyobraziłem sobie, że wszystkie domy tworzą jeden wielki budynek, do którego wślizgnąłem się niczym złodziej. Prócz owadów i kocich wrzasków nie było słycać żadnego dźwięku. Bruk popękany był w wielu miejscach, w których wyrastały chwasty, a od czasu do czasu widziałem przemykające przez ulicę wychudzone szczury. Czy ktoś w ogóle tu jeszcze mieszkał? Nic dziwnego, że nie zapuszczał się tu żaden normalny turysta. Czuję się, jakbym wkroczył niewidzialną bramą w inny czas, jakbym cofnął się o stulecia, może tysiąclecia, w przeszłość do zapomnianej epoki, w której królował rozkład.

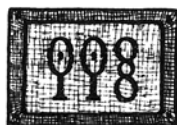


Sto dwadzieścia siedem, sto dwadzieścia osiem... Zmroziło mnie i wprost musiałem pomyśleć o pewnym rozdziale z książki *Deszczblaska*, w którym opowiadał o tej okolicy i jej ponurej historii, i o legendzie o Czarnym Człowieku z Księgogradu. Mieszkali tu przed stuleciami *buchemicy*, wpływający znacznie na losy miasta. Buchemia była księgogradzką odmianą alchemii. Buchemicy byli po części naukowcami, lekarzami, po części szarlatanami i po części antykwariuszami, którzy założyli tu swój cech. Sztuka druku, antykwariaty, chemia, biologia, fizyka i literatura łączyły się tu zgubnie z magią zaklęć, przepowiadaniem przyszłości, objaśnianiem gwiazd i innymi hokus-pokus, a to, co z tego powstało, przyczyniło się do wypełnienia bibliotek literaturą grozy.



Dwieście cztery, dwieście pięć... W tych starych domach podejmowano się dziwacznych prób przemieniania czernidła drukarskiego w krew i krwi w czernidło drukarskie – jakiegokolwiek chore motywy by się za tym kryły. Musiały rozgrywać się tu sceny nie do opisanego, gdy buchownicy zbierali się na uliczkach w czasie pełni księżyca, odbywając swe rytuały zawarte w *Księdze dwunastu tysięcy reguł*, przeprowadzając przy okazji przerażające eksperymenty na zwierzętach i innych formach życia. Działo się to w epoce, gdy księgozrodzianie przepędzeni zostali z labiryntów katastrofami naturalnymi i zarazami, w czasie, gdy cywilizacja dopiero zaczynała pączkować. Była to pogmatwana faza przejściowa między barbarzyństwem i praworządnością, między magicznymi kultami a prawdziwą kulturą.

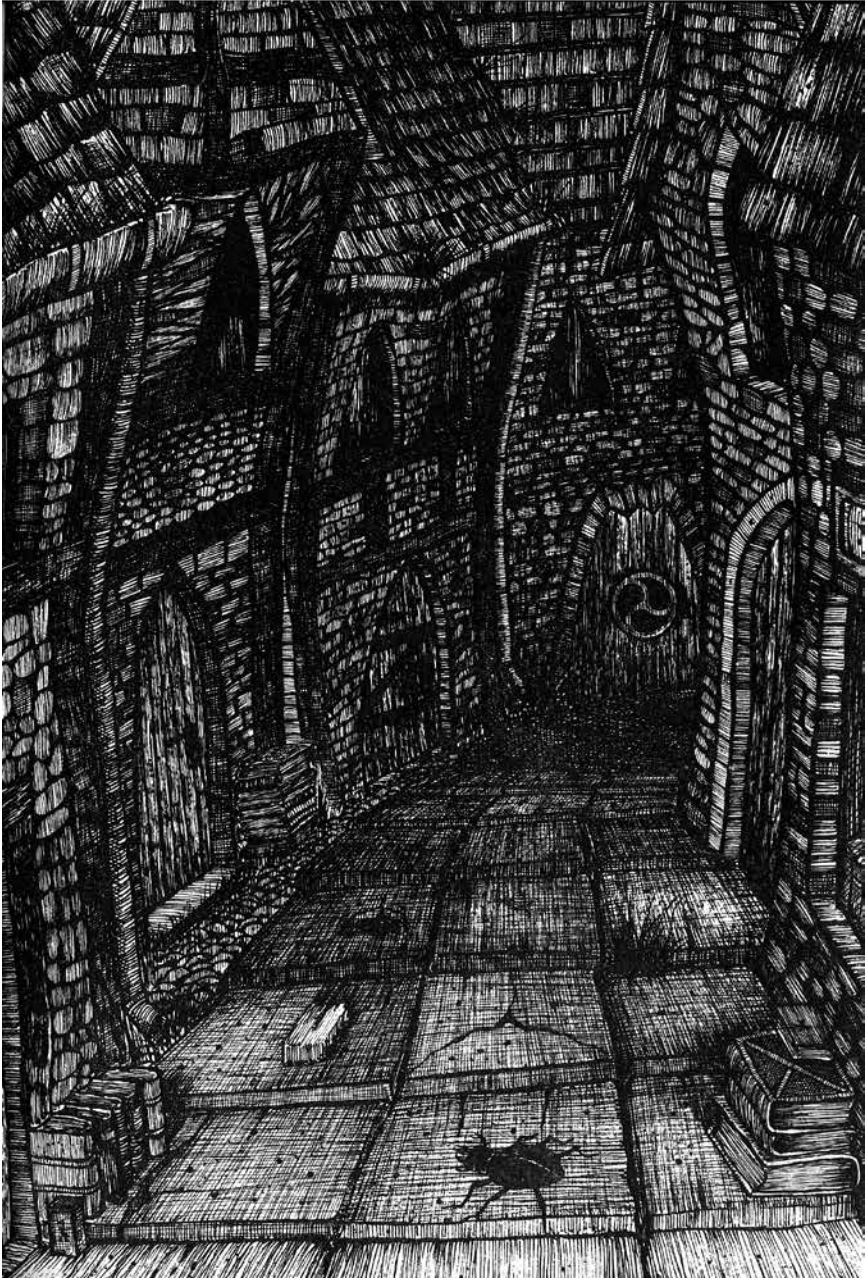
W jednej z uliczek odchodzących z uliczki Schwarzmanna, na uliczce Cierpienia, powstał pierwszy Cierpiący Człowieczek. Tu hodowano latające koty i podobno nawet Żywe Księgi. Opanowani manią wielkości buchownicy, wierzący, że wszystko, co fantazja stworzy na papierze, da się także stworzyć w rzeczywistości, przeprowadzali tu swe straszliwe eksperymenty. Długi czas roilo się w tej okolicy od nieopisywalnie przeraźliwych kreatur.

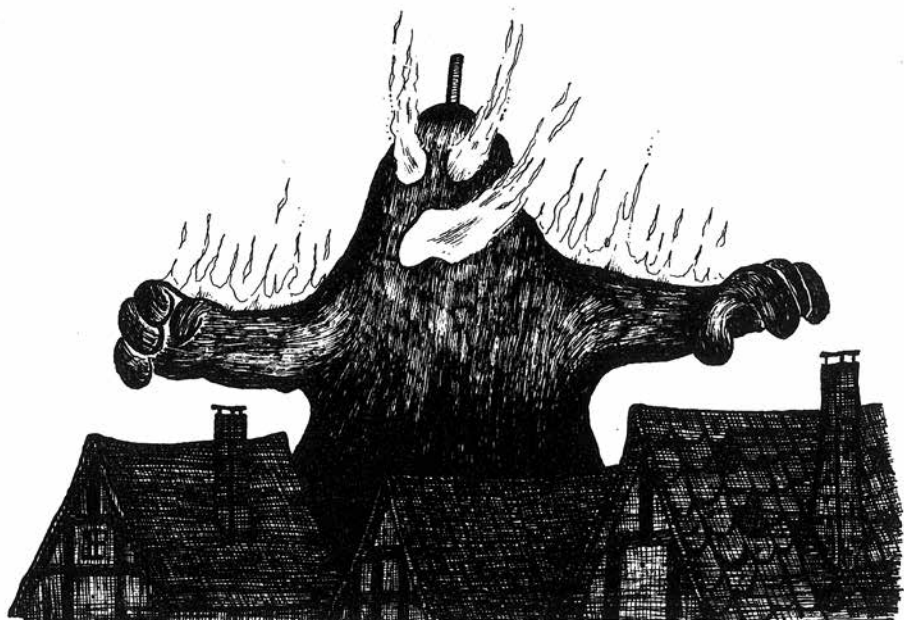


Dwieście czterdzieści osiem, dwieście czterdzieści dziewięć... Któregoś dnia, jak pisał Deszczblask, buchownicy chcieli stworzyć olbrzyma, gigantyczną kreaturę z papieru, mającą chronić Księgozród przed wszystkimi wrogami. Ugotowano książki, czernidło

drukarskie wymieszano z ziołami, odprawiono rytuały, aż w końcu ze zmiażdżonego papieru, zmiażdżonych zwierząt i zmiażdżonego dullsgardzkiego torfu cmentarnego uformowano postać trzykrotnie większą niż dom. Nasycili go czernidłem drukarskim, by wyglądał jeszcze bardziej przerażająco i nazwali Czarnym Człowiekiem. Następnie paru buchemiców zabiło się, ofiarowując mu swoją krew, aby się jej napił.

Na koniec wsadzili mu w głowę żelazny pręt i podczas burzy postawili go z nogami w dwóch wannach pełnych wody. Potężna błyskawica uderzyła podobno w ten pręt z żelaza i obudziła Czarnego Człowieka do życia. Wydał z siebie przerażający wrzask i, otoczony wyładowaniami elektrycznymi, wstał z wody. Buchemicy wiwatowali i rzucali w powietrze swe szpiczaste kapelusze, lecz wtedy Czarny Człowiek pochylił się, chwycił jednego z nich i pożarł z duszą i kośćmi. Następnie maszerował przez miasto, łapiąc na chybił trafił wrzeszczących mieszkańców i połykał ich. Zrywał dachy z domów, sięgał do środka i pożerał wszystko, co się ruszało.

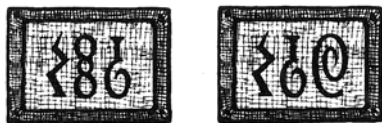




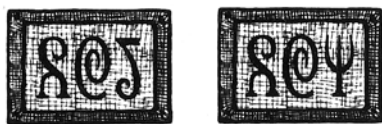
Pewien dzielny mieszkaniec Księgogrodu podpalił w końcu Czarnego Człowieka pochodnią. Lecz teraz olbrzym zataczał się, rycząc i płonąąc, poprzez miasto, zapalając swymi płomieniami dom po domu, ulicę za ulicą – aż w końcu rozpadł się w stos szarego popiołu. Tak wybuchł podobno pierwszy wielki pożar Księgogrodu.



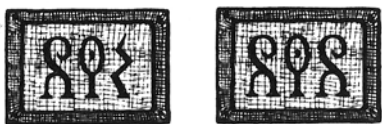
Trzysta, trzysta jeden... Tak naprawdę, to chyba jakiś roztrzepany antykwariusz wyrócił lampę oliwną, a przez stulecia stworzono tę jeżącą włosy na głowie opowieść.



Trzysta jednaście, trzysta dwanaście... Kiedy przemyka się przez czarne jak kruki ruiny, ta stara bajka zdaje się niemal przekonująca. Jeśli kiedykolwiek gdzieś w Camonii przemieniano czernidło drukarskie w krew, a papier w żywe istoty – działo się to tutaj, w sercu tego szalonego miasta.



Trzysta dwadzieścia dwa, trzysta dwadzieścia trzy... Księgogradzkie Stare Miasto było światem między szaleństwem a rzeczywistością, alchemią zastygłą w architekturze.



Trzysta trzydzieści dwa... trzysta trzydzieści trzy! Zatrzymałem się, bo w końcu stałem przed poszukiwanym przeze mnie domem: Schwarzmanna 333. Był to antykwariat należący do Fistomefela Szmejka.

Ale cóż za rozczarowanie! Dom był prawdopodobnie najmniejszym, jaki do tej pory

widziałem w Księgogradzie – raczej domek czarownicy albo altanka ogrodowa niż poważny antykwariat, wciśnięty między dwie czarne ruiny, zamieszkałe pewnie tylko przez nietoperze. Jediną zdumiewającą rzeczą był fakt, że po wszystkich tych stuleciach nadal stał. Dom przy Schwarzmanna 333 musiał mieć bowiem już parę stuleci na karku. Drewno, z którego zbudowano go, wyglądało jak wrośnięte, nie wyrównano go przed zastosowaniem – jedno ze znamion wczesnego księgorodzkiego budownictwa. Konary wiły się krzywo i ukośnie poprzez mury, drewno było czarne jak smoła i skamieniałe. Między drewnem ułożono warstwami kamienie, widocznie bez zastosowania zaprawy – sztuka, którą nikt już dzisiaj nie włada. Granit i marmur, maleńkie krzemienie i zastygła lawa, rudy żelaza, nawet kamienie półszlachetne, topazy i opale, kryształ i skalenie. A wszystko tak mądrze wybrane, zręcznie ociosane, kunsztownie oszlifowane i tak wyrafinowanie połączone ze sobą, że żaden z kamieni nie znajdował się na złym miejscu i wspierały się one wzajemnie. Zaprawa skruszałaby przez te lata, budynek dawno by się zawalił, ale ta wczesna sztuka budownictwa triumfowała nad swoim wiekiem. Zawstydzilem się mego poprzedniego osądu i jeszcze raz dokładnie przyjrzałem. Ten dom był naprawdę dziełem sztuki, trójwymiarową mozaiką, przemyślaną w najbardziej mikroskopijnych szczegółach. Stwierdziłem, że między małymi kamieniami znajdują się jeszcze mniejsze, a między nimi z kolei całkiem maleńkie, aż do wielkości ziarenek ryżu – wszystkie złączone ze sobą na tysiąclecia. Pochyliłem mój głupi łeb w głębokim szacunku. Tak tworzy się ponadczasową sztukę, pomyślałem. Tak musiano kiedyś i pisać.



– Tak, ten dom jest klejnotem, widać to dopiero na drugi rzut oka – powiedział jakiś głęboki głos. Przestraszony wyrwałem się z zamyślenia.

O drzwi domu, które otworzyły się bezszelestnie, opierał się Robakin. Widziałem już

w Księgogradzie paru przedstawiciele tego gatunku, ale ten był szczególnie wyjątkowym egzemplarzem. Tułów robaka wyglądał dość groteskowo przy jego czternastu chudych ramionkach i pozbawionej szyi głowie ze szczęką rekina. Osobliwości tego zjawiska nie umniejszał fakt, że nosił kapelusz pszczelarza.

– Moje nazwisko Szmejk. Fistomefel Szmejk. Interesuje się pan wczesną literaturą księgogradzką?

– Właściwie, to nie – odparłem trochę zmieszany, szperając w poszukiwaniu wzytówki. – Pański adres dostałem od Claudio Harfenstocka...

– Ach, kochany Claudio! Przyszedł pan w sprawie antykwariatu?

– Właściwie, to też nie. Posiadam pewien rękopis, który...

– Życzy pan sobie ekspertyzy?

– Dokładnie.

– Wspaniale! To mile widziane urozmaicenie. Miałem właśnie zamiar wyczyścić mój ul – z czystej nudy. Niech pan wejdzie.

Fistomefel Szmejk ustąpił mi drogi, wycofując się w głąb domu, a ja wszedłem, kłaniając się uprzejmie.

– Hildegunst Rzeźbiarz Mitów.

– Bardzo mi miło. Pochodzi pan z Twierdzy Smoków, nieprawdaż? Jestem wielkim wielbicielem poezji smoków! Proszę za mną do laboratorium!

Robakin chlupotał przede mną, a ja podążałem za nim krótkim, ciemnym korytarzem.

– Niech nie zmyli pana ten kapelusz – kontynuował gadatliwie. – Nie jestem prawdziwym pszczelarzem. To tylko hobby. Gdy pszczoły nie nadają się już do produkcji miodu, są prażone i marynowane w miodzie. Uważa pan to za bezduszne?

– Nie – odpowiedziałem i przesunąłem językiem po podniebieniu. Nadal był tam lekko zaogniony punkcik.

– Cały ten wysiłek dla jednego słoika miodu na wiosnę jest właściwie śmieszny. Kapelusz noszę tylko dlatego, że uważam go za szykowny – Szmejk zaśmiał się gardłowo.

Korytarz kończył się zasłoną, składającą się z łowianych czcionek drukarskich połączonych ze sobą cienkimi sznurkami. Szmejk rozdzielił ją swym potężnym ciałem, a ja podążałem za nim.

Już trzeci raz tego dnia wkroczyłem w inny świat. Za pierwszym razem w zatęchły i zakurzony antykwariat Przeróżnicy, za drugim w niesamowite, historyczne serce Księgogradu, a teraz wpuszczono mnie w świat liter – do pomieszczenia poświęconego całkowicie piśmiu i badaniom nad nim. Był to sześciokątny pokój ze szpiczasto

zbiegającym się sufitem. Wielkie okno zostało przyciemnione czerwoną, aksamitną zasłoną. Przy pięciu pozostałych ścianach stały regały, na których piętrzyły się papiery w różnorodnych formatach i kolorach. Probówki, butelki, naczynia wszelkiego rodzaju wypełnione płynem lub proszkami. Setki gęsich piór powtykanych starannie w małe drewniane stojaczki. Metalowe pióra posortowane w skrzyneczkach z masy perłowej. Atrament w każdym możliwym do pomyślenia kolorze, czarny, niebieski, czerwony, zielony, fioletowy, żółty, brązowy, nawet srebrny i złoty. Pieczątki, poduszki na pieczątki, lak do pieczęci, lupy różnorodnej wielkości, mikroskopy, aparatury chemiczne, których jeszcze nigdy nie widziałem. Wszystko to tonęło w niespokojnym, ciepłym blasku świec, migoczących tu i ówdzie na regałach.

– Nazywam to moim Laboratorium Liter – powiedział z nieukrywaną dumą Szejmk.
– Badam słowa.

Zaskoczyła mnie przede wszystkim wielkość pokoju. Ten dom sprawiał z zewnątrz wrażenie tak małego i mizernego, że aż nie chciało mi się wierzyć, że zmieściło się w nim tak ogromne laboratorium. Mój szacunek do antycznej, księgozrodzkiej sztuki budowania wzrósł jeszcze bardziej, gdy usiłowałem zapamiętać jak najwięcej szczegółów tego godnego uwagi miejsca.

Wszędzie królowało pismo. Aksamitna zasłona na oknie zadrukowana była camońskim alfabetem, między regałami wisiały tablice okulistyczne z różnorodnym pismem, oprawione w ramki dyplomy, obazgrane tabliczki łupkowe, malutkie karteczki z notatkami przypięte igłami do ściany. W pomieszczeniu stał do dyspozycji potężny pulpit przeładowany rękopisami, kałamarzami i lupami. Czcionki każdej wielkości, frezowane z drewna albo odlane z ołowiu, leżały dookoła na małych stolikach. Czernidło drukarskie w butelkach, wszystkie opisane według składu i rocznika, jak kosztowne wina. Z sufitu zwisały sznury z różnym pismem supełkowym, na których bujały się gipsowe tabliczki z wrytymi na nich hieroglifami. Tu i tam stały osobliwe mechaniczne urządzenia, których przeznaczenie i pochodzenie było dla mnie całkowicie zagadkowe. Podłoga wykafelkowana była płytami z marmuru, na których kunsztownie wygrawerowano różne alfabety, runy druidzkie, przeraźnicowy gotyk, pranatiftofski, starocamoński i tak dalej.

Na środku podłogi znajdowały się wielkie zamknięte drzwi – czy było to wejście do labiryntu? A w kącie stała skrzynia pełna foliałów – były to jedyne książki, które dotychczas zauważyłem w domu. Niezbyt wiele jak na antykwiariat. Jest tu jakaś przyległa biblioteka?

– Jest jeszcze mała kuchnia i sypialnia, ale zazwyczaj przebywam tutaj – powiedział

Szmejk, jakby czytając w moich myślach.

Nie ma biblioteki? Więc gdzie były jego książki?

Dopiero teraz zauważyłem regał z Cierpiącymi Człowieczkami. Było to sześć sztuk małych, sztucznych stworzeń, awanturujących się w swoich flaszeczkach i stukających w szkło[5].

– Wypróbuję na Cierpiących Człowieczkach dźwiękową jakość literatury – objaśniał Szmejk. – Czytam im wiersze i prozę. Nie rozumieją oczywiście ani słowa, ale reagują na melodię języka. Przy złej liryce wiją się jak w bólach. Przy dobrej zaczynają śpiewać. Rozpoznają smutne teksty po dźwiękach i zaczynają płakać.

Zatrzymaliśmy się przed dziwaczną maszyną, drewnianą kulą przypominającą globus, jednak bez mapy, za to z wrytymi na niej literami alfabetu camońskiego. Najwidoczniej wprawiało się ją w ruch za pomocą pedału.

– Maszyna do pisania powieści – zaśmiał się Szmejk. – Antyczne urządzenie, o którym naprawdę mniemano, że jest w stanie produkować literaturę w mechaniczny sposób. Typowy idiotyzm buchemików. Kula wypełniona jest ołowianymi sylabami, które wysypują się na dole i układają, gdy pociągnie się za tę dźwignię. Oczywiście wynikają z tego tylko zdania typu „Pilgedon zadowolara foncał nat tuta haluśma”, albo coś tym stylu. Gorsze niż poezja dźwiękowa camońskiego gagaizmu! Mam słabość do takich nieużytecznych gratów. A oto Lodówka Pomysłów.

Szmejk wskazał na kolejne dwa groteskowe urządzenia.

– To musiały być niewinne czasy, gdy uważano coś takiego za techniczny postęp. Wszystkie legendy o mrocznych rytuałach i ofiarach to całkowita bzdura. To były dzieci bawiące się literami i czernidłem. Ale jak przyjrzę się za to naszemu nowoczesnemu przemysłowi literackiemu... – Szmejk wyrzucił oczami.

Skinąłem twierdząco.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie – powiedział – to uważam, że lepiej żyć dziś niż w tamtych mrocznych czasach.

[5] Przyp. od W.M.: Cierpiący Człowieczek to popularny wśród camońskich naukowców środek służący do wypróbowywania działań środków chemicznych i leków, bez sięgania po żywe istoty. Cierpiący Człowieczek składał się głównie z torfu z Cementarnych Bagien Duli oraz mieszanki unbiskantyjskiego piasku, tłuszczu, gliceryny i płynnej żywicy. Te składniki formowano w Człowieczka i ożywiano za pomocą alchemicznej baterii.

Przy dobrej opiece i składowaniu w butelce z substancjami odżywczymi wytrzymuje on około miesiąca. Ma wszelkie znamiona żywej istoty, reaguje na zimno, upał i wszelkie możliwe chemiczne substancje.

– Wówczas nie było w każdym razie krytyków do wynajęcia – odpowiedziałem.

– Dokładnie – zawołał Szmejk. – Widzę, że mówimy tym samym językiem.

Wskazałem na opuszczane drzwi.

– Czy to... – zapytałem.

– Tak, oto ono! – odpowiedział Szmejk. – Moje całkowicie prywatne wejście do Camońskiego Labiryntu. Schody do świata zmarłych. Uhuuu! – zamachał wszystkimi czternastoma rączkami.

– Czy to wejście, przez które Deszczblask...

– Tak, dokładnie – Szmejk ponownie przerwał moje nieśmiałe pytanie.

– Tędy wszedł Kolofonus Deszczblask, aby szukać Króla Cieni. – Jego twarz spoważniała. – Nawet po pięciu latach żyję wciąż nadzieją, że któregoś dnia powróci. – Westchnął.

– Przeczytałem jego książkę – powiedziałem. – Od tego czasu zadaję sobie pytanie, co jest w niej prawdą, a co fikcją.

Ciało Szmejka uległo robiącej wrażenie przemianie. Jego robacze ciało, sprawiające do tej pory wrażenie miękkiego i podatnego na zranienia, ściągnęło się i wystrzeliło w górę. Wzrok Szmejka stał się twardy i przeszywający, a jego wszystkie pięści zacisnęły się.

– Wiarygodność Kolofonusa Deszczblaska nie ulega żadnej wątpliwości! – zagrzemiał nade mną, aż na regałach dookoła zabrzęczały próbówki.

– Był bohaterem! Prawdziwym bohaterem i poszukiwaczem przygód. Nie musiał kłamać o swych przygodach. Przeżył to wszystko naprawdę. I drogo za to zapłacił.

Cierpiący Człowieczkowie zadrżeli na dźwięk głosu Szmejka i paru z nich zaczęło płakać. Poruszyło mnie to straszne zjawisko. Zauważył to i niezwłocznie zmienił swoje zachowanie. Znów zapadł się w siebie i przemówił ściszym głosem.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział uczoney – to dla mnie wciąż bardzo drażliwy temat. Kolofonus Deszczblask był moim przyjacielem.

Szukałem właściwych słów, którymi mógłbym ostrożnie oddalić się od tematu.

– Wierzy pan w istnienie Króla Cieni? – zapytałem.

Szmejk zastanowił się przez chwilę. – To nie jest właściwie sformułowane pytanie – przemówił potem cicho. – Nikt, kto mieszka dłużej w Księgogradzie, nie wątpi w jego istnienie. Często słyszałem jego wycie podczas cichych nocy. O wiele bardziej interesujące wydaje mi się pytanie: Czy jest on dobry, czy zły? Deszczblask wierzył z zasady w jego łagodność. Inni natomiast uważają, że Król Cieni osobiście go zabił.

– A jakiego zdania jest pan?

– Na dole istnieje milion niebezpieczeństw, które mogłyby być odpowiedzialne za jego zniknięcie. Istnieją tam Pająxxxxxy, dochodzące do rozmiarów konia. Harpiry. Straszliwe Buchlingi. Mściwi łowcy książek. I kto wie, jakie jeszcze inne bezlitosne kreatury. Dlaczego akurat Król Cieni miałby być odpowiedzialny za zniknięcie Deszczblaska? O Boże, zresztą można by o tym spekulować w nieskończoność.

– Wie pan, dlaczego właściwie Straszliwe Buchlingi nazywają się tak, a nie inaczej?
– zapytałem. – Naprawdę są takie straszliwe?

– Łowcy książek ochrztili je w ten sposób. Z takiego powodu, że buchlingi nie wzdrygają się nawet przed pożeraniem kosztownych książek. Podobno żywią się książkami, jeśli w pobliżu nie ma nic żywego do zjedzenia. – Szmek zaśmiał się. – Łowcy książek uważają, że pożarcie kosztownej książki jest straszniejsze niż zjedzenie istoty żywej.

– Zdaje się, że mają własne zasady.

– Łowcy książek są niebezpieczni. Niech pan po prostu na nich uważa! Z przyczyn zawodowych mam od czasu do czasu z nimi do czynienia, ale usiłuję ograniczać te kontakty, na ile jest to możliwe. Po spotkaniu z łowcą książek człowiek czuje się za każdym razem jak nowo narodzony. O ile uda mu się przeżyć.

– Możemy przejść do najważniejszej kwestii? – zapytałem.

Smek wyszczerzył zęby. – Ma pan dla mnie pracę? Nie zechciałby pan najpierw herbaty? Albo pszczelego chleba?

– Nie, dziękuję! – odmówiłem gwałtownie. – Nie chcę nadwierać pańskiej gościnności. Szukam autora pewnego rękopisu. Musi gdzieś tu... – Szperałem w mojej pelerynie w poszukiwaniu listu, ale nie mogłem go od razu znaleźć. Po moim dramatycznym występie w domu Przeraźnicy, wepchnąłem go na chybił trafił do którejś kieszeni.

– No, niech pan mi to pokaże – mruknął Smek i chwycił manuskrypt, który w końcu wydobylem. W prawe oko wcisnął sobie monokl z grubego szkła i rozłożył papier.

– Hm... – zamruczał. – Papier pochodzi z zakładów papierniczych Obholz, dwieście gram, ciężki gralsunderski papier czerpany. Niespokojne przycięcie, prawdopodobnie przestarzała 556-tka albo 557-ka. Wysoka kwasność.

– Wiem – powiedziałem niecierpliwie. – Chodzi o treść.

Byłem ciekawy, w jaki sposób zareaguje na tekst. Jeśli znał się trochę na literaturze, musiał okazać poruszenie.

Fistomefel Smek podniósł list przed monokl. Już w trakcie czytania pierwszego

zdania niewidoczna błyskawica przeszła jego gąbczaste ciało. Wyprężył się i zadrżał, małe fale podniecenia przepłynęły przez masy jego tłuszczu. Wydał z siebie dźwięk, jaki są w stanie wytworzyć tylko Robakiny, ostry gwizd z towarzyszącym mu niskim buczeniem. Potem wciągnął głęboko powietrze i czytał chwilę w milczeniu. Nagle zaryczał – tym razem ze śmiechu. Był to długotrwały napad śmiechu, który sprawił, że jego tors przelewał się w górę i dół niczym skórzany wór pełen wody. Uspokoił się, popiskując i ciężko dysząc, chichotał głupio i mruczał słowa aprobaty, przerywane momentami cichego wzruszenia.

Musiałem się uśmiechnąć. Tak, pokazał całą gamę wzruszeń, którą wywołał ten list także u mnie i Kibicera. Grubasek znał się trochę na literaturze i miał też poczucie humoru.

W końcu uczoney popadł w tępe zamyślenie. Zdawało się, że już mnie dla niego nie ma. Jego spojrzenie stało się szkliste, długie minuty nie poruszał się w ogóle. Potem wreszcie opuścił list. Wyglądał, jakby przebudził się z głębokiego snu.

– O mój Boże – powiedział i spojrzał na mnie oczami mokrymi od łez. – To jest przecież sensacyjne. To dzieło geniusza.

– No i? – zapytałem niecierpliwie. – Zna pan autora? Albo może mi pan dać jakieś wskazówki?

– To nie tak – uśmiechnął się Szymejk, obserwując kartki dokładnie, tym razem za pomocą ogromnej lupy. – Muszę najpierw zrobić analizę sylab. Potem grafologiczny równoległobok. Konieczne byłoby zmierzenie stylu, poza tym muszę przeliczyć natężenie metafory na liczbę liter. Wzorcowanie kaligraficzne pod mikroskopem alfabetycznym. Próbę akustyczną na Cierpiących Człowieczkach. Analizę resztek naskórka na rękopisie – no tak, to w sumie wszystko. To będzie... to będzie trwało co najmniej całą noc. Zróbmy tak: Jeśli zostawi mi pan zaraz rękopis, jutro w południe będę mógł powiedzieć panu trochę więcej. Nazwiska autora prawdopodobnie nie, ale parę cech na pewno. Czy jest lewo-, czy praworęczny. Ile miał lat w czasie, gdy to spisywał. Z jakiej części Camonii pochodzi. Wagę ciała. Charakter, temperament. Jacy autorzy na niego wpłynęli. Jakim atramentem pisał. Skąd pochodził atrament. I tak dalej. Jeśli po spisaniu tego rękopisu został słynnym pisarzem, można wykryć, jak się nazywa. Ale to trwa już dłużej. Musiałbym przeprowadzić badania w bibliotece rękopisów. Zostaje pan jeszcze chwilkę w Księgogradzie?

– Zależy to od tego, ile będzie kosztowała ta ekspertyza.

Szymejk wyszczerzył się. – Niech się pan o to nie martwi! To na koszt domu.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Ach, wie pan, ja pracuję z zasady za darmo. Pieniądze zarabiam w antykwariacie. Całkiem o tym zapomniałem. Jaki antykwariat ma na myśli, tę skrzynkę w rogu?

– Ale jedną rzeczą, jaką mogę powiedzieć panu już teraz, jest to – kontynuował Szmejk – że mamy tu do czynienia z cennym rękopisem. *Jak* jest on cenny, to się jeszcze okaże. Musi się pan wystrzegać opowiadania o nim komukolwiek. W Księgogradzie jest masa podejrzanych elementów. Zasztyletowano tu już skrycie niejednego za niesygnowane drugie wydania.

– Czy chce pan zatrzymać te papiery?

– Jeśli chce pan szybkich wyników – tak. Ale jeśli wolałby pan zlecić ekspertyzę komuś innemu... – wręczył mi rękopis – mógłbym dać panu adresy paru moich znakomych kolegów.

– Nie, nie – broniłem się. – Niech pan go zatrzyma tylko na tę noc.

Spiesz mi się dość mocno.

– Dam panu pokwitowanie – powiedział.

– Nie jest konieczne – odrzekłem zawstydzony. – Ufam panu.

– Nie, nalegam na to. Należę do księgogradzkiej Gildii Objaśniających Pisma. Tu wszystko przebiega według przepisów. – Wypisał pokwitowanie i wręczył mi je.

– No – powiedział – tyle, jeśli chodzi o pracę – teraz przyjemność. Chciałby pan rzucić okiem na mój asortyment?

– Chętnie – odparłem. Jaki asortyment miał na myśli? Asortyment Cierpiących Człowieczków?

Szmejk wskazał na skrzynkę z książkami.

– Proszę niech pan bierze! Niech pan szpera, ile dusza zapragnie! Może znajdzie pan coś dla siebie.

Prawdopodobnie chciał mi w ten zawołowany sposób powiedzieć, że w zamian za jego darmowe usługi powinienem zakupić u niego jakąś książkę. Być może znajdę jakąś, przy której będę mógł poudawać zachwyconego. Podszedłem do skrzyni, ukląknę i podniosłem pierwszy tom z brzegu. O mało nie upuściłem go z powrotem – to była *Krwawa Księga!*

Szmejk zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Wyglądał strony rękopisu ciężkim przyciskiem do papieru, mrużąc coś sobie pod nosem.

Gapilem się na *Krwawą Księgę*. Niesamowite! Naprawdę było to oprawione w skórę ze skrzydeł szczuoperzy wydanie tego dzieła, spisane podobno krwią demonów! Jedna z najbardziej poszukiwanych ksiąg ze *Złotej Listy!* Unikat. Ekspонат muzealny. Ta książka nie była już nawet warta tyle co dom, ale co cała dzielnica!

– Niech pan zajrzy do środka – polecił Szmejk, uśmiechając się.

Drżącymi rękami otworzyłem to ciężkie dzieło. Mój wzrok padł na następujący fragment.

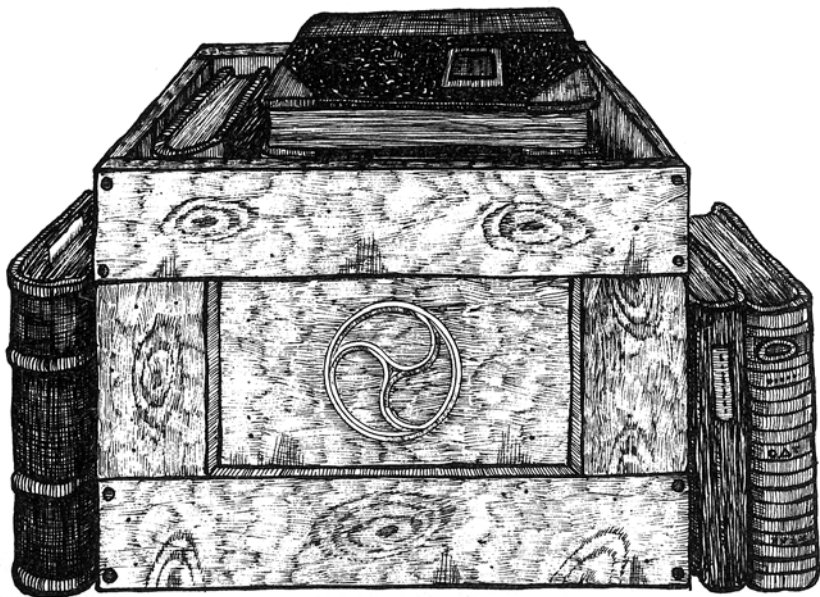
*Czarownice stoją zawsze między brzoza*mi – napisano tam. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale tych parę słów wzbudziło we mnie strach, jakiego jeszcze nigdy nie czułem. Zimny pot zrosił mi czoło.

Zatrzasnąłem książkę i odłożyłem ją na bok.

– Interesujące – powiedziałem drżącym głosem.

– Demonistyka nie jest dla każdego – powiedział Szmejk. – Dla mnie jest też za mroczna. Ale nie czytam jej – ja tylko ją posiadam. Niech pan spokojnie szpera dalej! Może znajdzie pan coś odpowiedniego.

Podniosłem następną książkę ze skrzyni. I znów wzdrygnąłem się, czytając tytuł: To było *Milczenie syren* autorstwa Grafa Klanthu Kainomaca, i to sygnowane pierwsze wydanie. To trywialna literatura, trzeba przyznać, ale za to jaka! Była to jedyna książka Kainomaca, która nie odniosła sukcesu, całe pierwsze wydanie, prócz tego jednego egzemplarza, przemielono na papier. Potem nadszedł sukces Kainomaca – i wartość *Syren* wzrosła niezmiernie. Oczywiście dodrukowano później książkę, ale ten egzemplarz pierwszego wydania z ilustracjami Werny Tosler był wart majątek. Odważyłem się uchylić okładkę i poszukać ceny. Była faktycznie w środku, maleńkie cyferki naskrobane ołówkiem w rogu, a mnie zrobiło się słabo z powodu ich astronomicznej wielkości. Ostrożnie odłożyłem książkę na bok.



– Nie ma pan ochoty na powieści trywialne? – spytał Szmejk. – No tak, to raczej coś dla młokosów. Proszę obejrzyć sobie kolejną!

Podniosłem ze skrzyni następną ciężką księgę.

– To *Słoneczne kroniki*! – wysapałem. – Jedna z najdroższych ksiązek na świecie!

– Tak – wyszczerzył zęby Szmejk – tylko dlatego, że czernidło drukarskie wymieszano z proszkiem ze zmielonych diamentów zaćmienia księżyca. Literacko jest bezwartościowa. Ale litery skrzą się tak pięknie w świetle świec.

– Obawiam się, że nie ma tu niczego na mój portfel – stwierdziłem, podnosząc się. Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze takich skarbów.

– I tu ma pan rację – powiedział Szmejk. – Pozwoliłem sobie tylko na mały żart. Chciałem się trochę pochwalić. To mali przyjaciele w moim samotnym zawodzie. Gdyby grzebał pan dalej, znalazłby pan jeszcze z siedem tytułów figurujących na *Złotej Liście*. I to dość wysoko usytuowanych.

– Polecono mi pana zbiór jako wart obejrzenia. Nie okłamano mnie.

– No tak – powiedział Szmejk. – Niektórzy zapychają olbrzymie hale tysiącami ksiązek i zatrudniają armię sprzedawców. Ja wolę pracować sam. Jestem nastawiony

bardziej na specjalizację. A dokładnie ujmując, jest to najbardziej wyspecjalizowany antykwariat w mieście. Teraz zapewne rozumie pan, dlaczego mogę zrezygnować z honorariów. – Mówiąc to, odprowadzał mnie na zewnątrz.

– Mogę zarekomendować panu coś jeszcze na odchodnym? – spytał Fistomefel Szmek, gdy stałem już ponownie na ulicy. – Prawdziwie poufną wskazówkę?

– Chętnie.

– Więc niech pan spędzi dzisiejszy wieczór, oglądając sobie właśnie to – wręczył mi ulotkę.

Zaproszenie

*„Od pradźwięku do muzyki mumańskich okulistów”
Historyczny trąbuzonowy koncert w Księgogradzkim amfiteatrze*

*Muzykuje Mglawcowa Orkiestra Trąbuzonistów
Sponsorowana przez Fistomefela Szmejkę*

*Po zachodzie słońca w parku miejskim
Wstęp wolny!*

Proszę wziąć ze sobą ciepły szal!

– Co to? – spytałem. – Jakieś przedstawienie muzyczne?

– Nie można tego tak określić. Wykracza to poza tradycyjny muzyczny występ. Niech pan mi wierzy – spodoba się panu. To naprawdę wielka atrakcja. Nie dla turystów.

– Szczerze mówiąc, miałem dziś wieczór zamiar posłuchać sobie jakiegoś literackiego przedstawienia. Drewpora – wie pan...

– Eeee, Drewpora! – Szmejk machnął ręką. – Drewporę ma pan w Księgogradzie każdego wieczoru! A występu Mglawcowej Orkiestry Trąbuzonistów nie można obejrzeć codziennie! To wydarzenie! Ale nie chcę wcale pana namawiać – może ma

pan alergię na muzykę trąbuzonową.

– Nie mam pojęcia. Nie słyszałem jeszcze żadnej.

– Koniecznie więc musi pan tam pójść. To przygoda akustyczna. Życzyłbym sobie sam się tam udać – westchnął Szmejki. – Ale praca... – klepnął z jękiem w rękopis.

– Do widzenia – pożegnałem się. – Jutro w południe przyjdę ponownie.

– Tak, do jutra! – Szmejki zamachał raz jeszcze i zamknął cicho drzwi.

Dopiero gdy spacerem wydostałem się z serca miasta do ożywionych ruchem dzielnic (tym razem zrobiłem spore koło, żeby ominąć Jadowitą Uliczkę i Cmentarz Zapomnianych Poetów), zauważyłem jedną rzecz: uliczka Schwarzmanna miała kształt spirali, która wiła się wielokrotnie wokół geograficznego centrum miasta, w którego środku stał dom Fistomefela Szmejki. Musiał być to więc pierwszy z naziemnych domów w mieście.



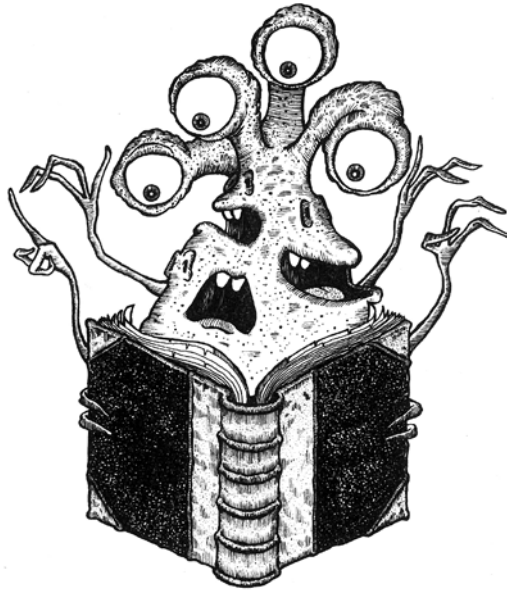
DREWPORA

Drewpora – tak nazywano w Księgogradzie spokojne godziny wieczorne, błogie zakończenie księgarskiego i literackiego zamętu w ciągu dnia. Gdy do kominków wkładano grube belki drewna i zapalano fajki, gdy ciężkie wina roztaczały swe aromaty w brzuchatych kielichach, a lektorzy rozpoczynali odczyty: wówczas zaczynała się DREWpora. Polana trzaskały i trzeszczały wtedy w ogniu, a złotawy blask wypełniał sale odczytów. Otwierano stare foliały i pierwsze wydania prosto z drukarni, a słuchacze przybliżali się, by słuchać deklamacji, wypróbowanych lub ryzykownych dzieł, esejów lub nowel, fragmentów powieści albo korespondencji, liryki lub prozy. DREWpora była czasem, kiedy ciało udawało się na spoczynek, a duch budził się prawdziwie do życia, czasem, w którym fantomy poezji powstawały z papieru, by tańczyć wokół głów słuchaczy i czytających.

DREWpora była poza tym – spójrzmy prawdzie w oczy – czasem na reklamę. Smutne to, lecz prawdziwe: Także i camońska literatura musiała ulec prawom rynku. A akurat w Księgogradzie, mieście niezliczonych książek, skupienie uwagi wszystkich na konkretnym nowym dziele było rzeczą bardzo trudną. I przede wszystkim do tego służyła właśnie DREWpora ze swymi odczytami.

Wszyscy mistrzowscy lektorzy w Księgogradzie należeli do jednego cechu, który istniał od stuleci, kierującego się rygorystycznymi prawami i regułami. Wstąpienie do niego wiązało się z ciężkimi egzaminami wstępnymi. Każdy, kto prowadził w Księgogradzie profesjonalne odczyty, musiał przejść ciężką szkołę i opanować swe rzemiosło. Często prowadzącymi byli dawni aktorzy albo śpiewacy, dysponujący mocnymi strunami głosowymi i nadzwyczajną mimiką. Lecz w całej Camonii wiadano jedno: Lektorzy z Księgogradu byli najlepsi. Ich głosy bez wysiłku wznosiły się na najwyższe partie sopranów i opadały w najgłębsze basy, gdy wymagał tego tekst. Gdy trzeba było, śpiewali jak słowiki bądź wyli jak wilkołaki, prychali jak żbiki i syczeli jak klabauterskie upiory, potrafili przerazić śmiertelnie swą publiczność albo doprowadzić ją do histerycznego śmiechu.

Każdy pisarz w Camonii marzył, by księgogradzki mistrz lektorski deklamował fragmenty z jego książki, ale nie każdemu było to dane. Mistrzowie bowiem byli kapryśni i wybredni, a ci którymi wzgardzili, funkcjonowali jako drugi gatunek, niezależnie od tego, ile zdobyli nagród, czy ile sprzedali książek.



Stanąłem przed czarną tabliczką łupkową, na której anonsowano przedstawienia tego wieczoru. Miałem do wyboru między odczytami z *Łodzi pełnej groszku* Herleba Horcha, *Powietrznym obliczem* Behemota Orkana, *Moje sekundy są dłuższe niż wasze włosy* Kokonusa Nusgoko i *Chore* dziękuje Goliata Wczoraj. Poza tym odbywały się odczyty *Domu o stu stopach*, *Tchnienia i cienia*, *Tam, gdzie rośnie wiatr*, *Jeśli już, to wczoraj* i *Nieśmieszne ciastko* – wszystko w jednej małej uliczce, obok dwudziestu innych nie tak pierwszorzędnych przedstawień – wszystko za darmo, czasami nawet z piwem gratis!

Przemykałem od wystawy do wystawy, widziałem ludzi zbierających się wokół trzaskających kominków, z filiżankami herbaty albo kieliszkami wina w rękę, śmiejących się i rozmawiających, pełnych radości oczekiwania. Naprawdę miałem to sobie odpuścić – dla jakiegoś trąbuzońskiego koncertu?

Eeee – Drewpora! – głos Szmejka odbijał się echem w mojej głowie – *Drewporę ma pan w Księgogradzie każdego wieczoru! A występu Mgławcowej Orkiestry Trąbuzonistów nie można obejrzeć codziennie!*

Zgadza się: Drewpora była w Księgogradzie faktycznie każdego wieczoru, a

ja oczywiście miałem zamiar zostać tu jeszcze troszkę. Aluzje Fistomefela Szmejka rozbudziły moją ciekawość. *Wydarzenie*, powiedział. *I nie dla turystów, co szczególnie* mnie nęciło, właśnie dlatego, że sam byłem turystą. Drewnopora była dla pospólstwa – ja zostałem powołany do wyższych rzeczy. Zaproszony osobiście przez najznakomitszego obywatela miasta. Uwolniłem się od witryn, a moje stopy niemal same z siebie poprowadziły mnie w kierunku parku miejskiego.



Słońce dawno już zaszło, powietrze było świeże i chłodne, zrobiło mi się zimno, ponieważ zapomniałem, wbrew uwadze w zaproszeniu, zabrać ze sobą ciepły szal. I faktycznie, każdy z gości miał szal, a ja poczułem się jeszcze bardziej nie na miejscu. Byłem jedynym twierdzosmoczaninem na widowni. Siedziano na świeżym powietrzu w parku, tuż przed muszlą dla orkiestry, na poustawianych w długich rzędach krzeselkach ogrodowych. Mogłem siedzieć w ciepłym antykwariacie przy trzaskającym kominku z przepysznym grzańcem w ręce, słuchając mistrzowskiego odczytu z *Jeśli już, to wczoraj* – powieści w której temat „przepuszczone okazje” potraktowano w szczególnie wyrafinowany sposób.

Przepuszczone okazje, ha! Właśnie przepuszczałem teraz między innymi odczyt na trzy głosy z *Nieśmiesznego ciastka*, fantastycznie śmieszną opowieść o życiu wielkiego humorysty, Anegdotyna Pekko. Albo wieczór liryki z poezją Xeppe Ŭpo – mojego idola, jeśli chodzi o poezję. Zamiast tego czekałem, drżąc z zimna na całym ciele, na najprawdopodobniej męczący występ orkiestry dętej. Jeśli koncert zaraz się nie zacznie, wstanę po prostu i – ach, muzycy w końcu wchodzą na scenę! I mój entuzjazm opadł jeszcze bardziej – to byli przecież mgławcy! Całkiem o tym zapomniałem! Że też akurat mgławcowi muzycy! Nie żebym przyłączał się do ogólnych uprzedzeń krążących na temat mieszkańców tego miasta. Ale było powszechnie znanym faktem, że z powodu klimatu ich ojczyzny skłaniali się oni w ponadprzeciętnym stopniu ku melancholii. Zbiorowisko depresyjnych istot z głęboko zakorzenioną tęsknotą za śmiercią. Przypisywano im nawet kryminalne machinacje, piractwo i tym podobne sprawy. Trudno było oczekiwać po nich skocznych serenad.

Sam rzut oka na mgławców także nie przyczynił się za bardzo do poprawy mojego samopoczucia. Wyglądali jak chmury deszczowe wepchnięte w czarne garnitury, z gąbczastymi, nabrzmiałymi obliczami, bezbarwną skórą i melancholijnym spojrzeniem. Gapił się na publikę tak cierpiącym wzrokiem, jak gdyby zaraz mieli wybuchnąć płaczem albo popełnić zbiorowe samobójstwo. Wzbierało we mnie nieprzyjemne wrażenie uczestniczenia w stypie, więc pozwoliłem spojrzeniu krążyć niecierpliwie po publiczności. I wtedy w pierwszym rzędzie odkryłem Hachmeda Ben Kibicera. Gapił się na mnie swymi żółtymi oczami pełnymi wyrzutu – a obok niego siedziała Inacea Anazaci, Przeraźnica z antykwariatu horrorów! Mówiła coś do Kibicera, wskazując na mnie oskarżycielsko palcem. Zapadłem się jeszcze głębiej na moim niewygodnym krzeselku. A mogło być tak pięknie.

Koncert rozpoczął się przykrą uwerturą: Muzycy nadykali policzki, upodabniając

swe rysy jeszcze bardziej do żabich, po czym pierwsze miażdżące tony wydobyły się krzywo z ich instrumentów – dysonans pisków bez jakiegokolwiek harmonii[6]. Grali tak nierówno, najwidoczniej nawet z premedytacją, a niektórzy z tych głupków wydawali z siebie jedynie rżące dźwięki – nie wierzyłem własnym uszom. To nie było już nawet złe, to była bezczelność, dręczenie publiczności z premedytacją i jak dla mnie ostateczny sygnał do odejścia.

Zwinąłem pelerynę i chciałem właśnie poprosić sąsiada z boku, aby mnie przepuścił, gdy pierwsze harmonijne dźwięki zaczęły się perlic w lodowatym powietrzu, tu i ówdzie muzycy odnajdywali się w duecie. Dopiero teraz zrozumiałem, że artyści widocznie musieli się dopiero rozgrzać. Postanowiłem dać im jeszcze jedną szansę.

Trąbuzonista zaczął grać swobodny i wdzięczny temat, do którego kolejno dołączali inni. Wszystko zabrzmiało nagle spójnie. Obejrzałem się, żeby sprawdzić reakcję publiczności i stwierdziłem, że wszyscy mieli zamknięte oczy, a ich ciała kołysały się lekko w takt muzyki. Być może należy to tutaj do dobrego tonu, przynajmniej oszczędza się sobie rozpaczliwego widoku żabich facjat mgławców, więc także zamknąłem oczy i skoncentrowałem się całkowicie na muzyce.

Oczyrna duszy widziałem swawolną gromadę elfosów tańczącą w powietrzu nad oblanym światłem, pagórkowatym, wiosennym krajobrazem. Temat trąbuzonisty, który nasunął mi w wyobraźni obraz trzepoczących elfów, brzmiał niemal jak grany na harfie, tak lekko i perliście płynęły te dźwięki do mych uszu. Osy uformowały się w korowód, a obraz zmieniał się z każdą małą wariacją: Cytrynowe motyle wzlatywały rojami w niebo, stadko kolibrów dołączyło do elfosów, znajdując miejsce w ich korowodzie,

[6] Przyp. od W.M.: Możliwe, że pomoże komuś, jeśli w tym miejscu opiszę krótko trąbuzon, gdyż Rzeźbiarz Mitów wiedzę na jego temat wśród czytelników camońskich słusznie uważa za oczywistą. Trąbuzony są jedynymi instrumentami muzycznymi, które można hodować. Muszle trąbuzonów żyją na rafach koralowych zachodniocamońskiego wybrzeża, szczególnie często wstępują w okolicach miasta Mgławiec, zawdzięczając swoją nazwę dalekiemu podobieństwu do obu instrumentów dętych – trąbki i puzonu. Chodzi tu o ekstremalnie długą, przypominającą kształtem rurę, muszlę, z ciałem w kształcie połkniętego knota, wypełniającą podwodny świat, oczywiście tak długo, jak w nim żyje, swoją upiorną muzyką przypominającą śpiew wielorybów.

Mgławcowi rybacy szlamu byli pierwszymi, którzy wpadli na pomysł używania obumarłych trąbuzońskich muszel wyrzucanych regularnie na brzeg jako instrumentów. Opatrzyli je ustnikami i wentylami, osiagając z czasem taką wirtuozerię, że wydobywali z nich najsubtelniejsze tony. Później zaczęli hodować sztucznie trąbuzony, by ostatecznie przerabiać je na instrumenty i handlować nimi w całej Camonii.

dmuchawce krążyły w powietrzu. Ogarnęły mnie wiosenne uczucia, mój zły nastrój zdmuchnięto i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Z trąbuzonu zabrzmiał nowy, jasny jak dzwon dźwięk, a nad otoczeniem rozpostarła się właśnie wielobarwna tęcza.

Otworzyłem oczy, byłem przykro dotknięty kiczowatymi motywami, które ukazały się w mojej głowie. Lekko zakłopotany obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek zauważył moją krótką ekstazę. Byłem zaskoczony tym, co zobaczyłem: Cała rzesza słuchaczy znajdowała się w stanie zbiorowego zachwyty. Z zamkniętymi oczami mruzcili wszystkie melodie, pozwalając swym ciałom kołysać się w takt muzyki, wyglądali jak żywe metronomy. I wtedy – zupełnie nagle – trąbuzoniści odłożyli swoje instrumenty, a słuchacze obudzili się z transu. Zaczęły się pokasływania i szuranie krzesłami dookoła, a muzycy czyścili ustniki długimi szczoteczkami i przewracali nuty. I to nie był nawet jeszcze początek. Właściwy koncert miał się dopiero zacząć.



KONCERT TRĄBUZONOWY

Wyjątkowo gruby mgławiec podniósł się, nabrał powietrza i zagrał czysty ton, i trzymał go.

Długo.

Bardzo długo.

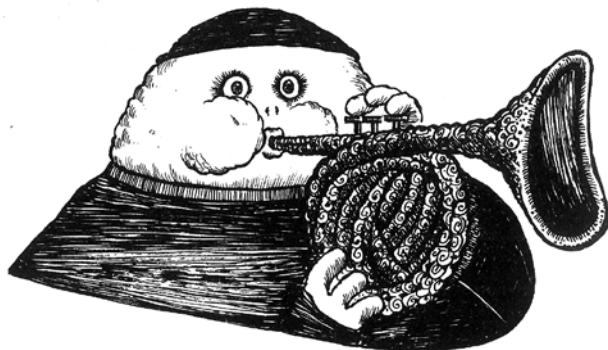
Wręcz sensoryjnie długo – technicznie właściwie niewykonalnie. Bez zaczerpnięcia oddechu, bez osłabienia dźwięku lub wprawienia go w drżenie, utrzymywał go minutami. Nie był to szczególnie piękny ton, nie był głęboki, nie był wysoki, był przeciętny.

Znów zamknąłem oczy i zobaczyłem czarny promień ciągnący się prosto jak po sznurku i nieskończenie po pustym białym pomieszczeniu. I równocześnie wiedziałem – nie pytajcie mnie skąd, moi przyjaciele – że był to legendarny *Buchtingowy Pradźwięk*, pierwszy oficjalnie uznany ton w camońskiej historii muzyki.

Ciepło huczał on w mych uszach, a z podświadomości wynurzyła się pewna historia. Czy było to wspomnienie z czasów szkolnych? Albo wyblakła wiedza z jakiejś lektury? Była to stara buchtingowa legenda o pradźwięku, którego znalezienie zlecił swoim muzykom ówczesny władca tego miasta, książę Orian von Buchting. Ów pradźwięk, wedle jego życzenia, miał stworzyć podstawy całej camońskiej muzyki, stanowić wzorzec, według którego należało w przyszłości komponować i muzykować. Nie miał być to szczególnie afektowany dźwięk, ale też nie powściągliwy, nic radykalnego albo ekstremalnego, tylko dźwięk, który mógł być doceniony przez wszystkich – bez popadania w kołtuństwo. Orian rozkazał wynaleźć ten dźwięk bezzwłocznie.

Buchtingowi muzycy rozjechali się po świecie, by mierzyć wszystkie możliwe dźwięki, od ogłuszającego huku kowalskich młotów na kowadłach, po niemy okrzyk strachu ostryg, którym brutalnie otwierano muszle. Ale wszystkie te dźwięki były albo za głośne, albo za ciche, za ostre lub za głuche, za cienkie lub zbyt obszerne, za czyste bądź za ciemne. Muzycy byli już zrozpaczeni, ponieważ książę znany był ze swej bezwzględności. Tym poddanym, którzy nie wypełniali sprawnie jego rozkazów, rozkazywał jeść floryntyńskie szklane ostrza.

Jeden z tych muzyków, całkowicie zrozpaczony, przechodził koło pewnego domu, z jego okna rozległ się dokładnie ten dźwięk, którego wszyscy poszukiwali: nie za wysoki, nie za głęboki, czysty, ciągły i solidny. Doskonale niewinny, prosty ton, na którym można było tworzyć całe symfonie.



Muzyk – młody natiftofski kawaler słusznego wzrostu – wszedł do domu i znalazł tam prześliczną natiftofską dziewczynę – również nieskazitelnej budowy – która grała właśnie na fletni. Muzyk zakochał się na zabój w dziewczynie, a dziewczyna w nim. Zabrał ukochaną do księcia, przed którym zagrała na swej fletni ów dźwięk, i pradźwięk uznano oficjalnie za wynaleziony i zalecany.

Można już się domyślić, że to nie mógł być koniec; legenda musi mieć nieszczęśliwe zakończenie, jak wszystkie camońskie historie. Tak więc i księżę zakochał się w dziewczynie i rozkazał zjeść swojemu rywalowi talerz pełen szklanych sztyletów, na skutek czego skonał on wśród rżężenia. Także dziewczyna z rozpacz po ukochanym połknęła parę ostro zakończonych przedmiotów i rozstała się z życiem w straszliwy sposób. Wreszcie i księżę Orian von Buchting, nie mogąc znieść poczucia winy, spożył własne klejnoty koronacyjne i zmarł w męczarniach, doznając gwałtownych krwotoków wewnętrznych. Lecz pradźwięk stanowi od tego czasu podstawę całej camońskiej muzyki.

Ta krótka i pełna dramatyzmu historia stanęła przed moimi oczami tak plastycznie jak przedstawienie teatralne – wywołana tym jedynym ciągłym dźwiękiem z trąbuzonu, który właśnie powoli wybrzmiewał.

Otworzyłem oczy. Gruby trąbuzonista oderwał usta od swego instrumentu i usiadł. Opadłem na krzesło. To było niewiarygodne: Muzyka, opowiadająca historie i nieposługująca się przy tym śpiewem. To było lepsze niż słuchanie odczytu. To było lepsze niż jakakolwiek konwencjonalna muzyka. Tak, to była nowa dyscyplina artystyczna: muzyka literacka!

Teraz podniosło się pięciu innych trąbuzonistów. Zaczepnęli nieco powietrza i zagrali pięć dźwięków, każdy z nich był inny, krążących wciąż na nowo w tej samej kolejności: pentatońska gama, prosto utkana wczesna muzyka, początek wszelkiego porządku dźwięków, prymitywna, ale poruszająca i czysta jak piękna, dziecięca piosenka, jak śpiew prachmur.

Znów zamknąłem oczy i ujrzałem natychmiast krajobraz z zamierzchłych czasów. Płonące czerwienią zachodzące słońce oblewało światłem wulkaniczny krajobraz, sprawiając, że kamienie wyglądały jak stopiona lava. I poza kamieniami nie było tam niczego, żadnej żywej istoty, czystej geologii nie obrażała swą obecnością żadna roślina. Ogarnął mnie głęboki spokój. Słońce szybko zaszło, a nad kamieniami wysklepione było jedynie ciemnoniebieskie niebo. Stopniowo nowe dźwięki wślizgiwały się w grę trąbuzonistów, a z każdym kolejnym rozbłyskiwała na niebie nowa gwiazda, biała i lśniąca. Muzycy zaczęli jeszcze subtelniej manipulować przy zaworach, i teraz meteory z sykiem przecinały czerń nieba. Zagrzmiał głęboki basowy dźwięk, a wraz z nim poprzez mój obraz nieba przeleciała z grzmotem kometa, ciągnąc za sobą jasnozielony ogon. Trąbuzon za trąbuzonem przyłączały się do gry, a im bardziej wzmagała się muzyka, tym więcej widziałem skupień ogromnych płonących słońc, wreszcie tworzyły się z tego całe galaktyki – i nagle wiedziałem, jaki rodzaj muzyki właśnie grano.

Była to *Muzyka Kosmicznego Porządku* – dziwny zakręt w historii camońskiej muzyki, stworzony na rozkaz wczesnohistorycznego imperatora zwanego Slendro Peloggiem Posprzątany. Ten chorobliwie biurokratyczny despota czuł się zagrożony nieskrępowanie kreatywną wolnością zawartą w sztuce muzyki, dlatego chciał zmusić ją do możliwie ścisłego porządku, a porządek kosmiczny wydawał mu się najlepszy do tego celu. Pelogg zarządził, że cała camońska muzyka musi dostosować się do harmonii wszechświata, co pociągnęło za sobą wieloletnie dostrajanie instrumentów, w czasie którego muzycy musieli zorientować się w mapach nieba, gwiazdozbiorach, torach komet i fazach księżyca. Było to błędna droga zarówno z muzycznego, jak i astronomicznego punktu widzenia, która nie doprowadziła oczywiście do muzyki kosmicznej harmonii, tylko, wskutek niemożności pogodzenia sztuki i astronomii, do nieznośnego hałasu. Aby skrócić już tę przykrą historię: Czołowi muzycy owego czasu zdobyli szturmem pałac despoty i zasztyletowali go wspólnie kamertonami.

Widziałem to wszystko w wyraźnych obrazach przed oczyma mojej duszy: Pelogg zataczający się, krwawiący z dziesiątków ran po kamertonach, idzie przez ogrody swojego pałacu i wpada w końcu do stawu ze złotymi rybkami, w którym woda zabarwia się na różowo. Muzyka trąbuzonowa wzmogła się już do trudnej do zniesienia kakofonii,

a mój wzrok wzniósł się od trupa despoty w kierunku kosmosu, gdzie rozszalał się chaos, planety i gwiazdy poruszały się w dzikim tańcu przeraźliwej muzyki, aż cały wszechświat zapadł się w końcu w jednym gwiazdno-planetarynym wirze, który krążąc zniknął w czarnej nicości – wtedy muzyka trąbuzonowa nagle zamilkła.

Wytrzeszczyłem oczy. Dysząc ciężko, usiadłem na krawędzi mojego krzeselka, zlany potem, mimo panującego zimna.

Wszyscy słuchacze rozmawiali między sobą poruszeni. Zobaczyłem Kibicera, który kazał Przerażnicę otrzeć sobie pot z czoła.

– To takie wspaniałe – sapał siedzący obok mnie karzeł. – Słyszałem to już dziesiątki razy, a wciąż na mnie działa. Co ja mówię – jest coraz lepsze.

– Uczucie porwania w ten gwiazdny wir jest silniejsze za każdym razem – powiedział ktoś za mną. – Przez jeden cudowny moment wydawało mi się, że sam jestem gwiazdą.

To było niesamowite! Wszyscy mieliśmy tę samą wizję. Publiczność tu zgromadzona była najwidoczniej stałą grupą, która wielokrotnie słuchała tej muzyki. Widziała do tego te same obrazy, śniła o tych samych historiach. Gdybym nie był świadkiem tego, nigdy nie uwierzyłbym, że możliwa jest taka forma przekazu artystycznych treści. Dopiero teraz przestałem żałować, że tu przyszedłem. Muszę jutro osobiście podziękować za to Fistomefelowi Szejmowi.

Trębaczce znów rozpoczęli grać, dźwięki brzmiały teraz jak flety, nosowo, lub jak lutnie, więc zamknąłem ochoczo oczy. Zobaczyłem kamienne zamki na tle szarego, chmurnego nieba. Chorągwie trzepoczące nad górami trupów poległych wojowników, w zbrojach pokrytych zakrzepłą krwią. Kłótlive wrony siedzące na szubienicach, z których zwisali powieszani. Płonące stosy z przywiązanymi do nich spalonymi szkieletami – znajdowałem się najwidoczniej w camońskim średniowieczu.

Było dla mnie zagadką, jak muzycy wydobywali ze swoich trąbuzonów dźwięki przywodzące na myśl prymitywne instrumenty dęte i strunowe z tamtego czasu; beczące trąbienie i monotonne dźwięki katarynki, zmiękczający kamienie lament kobz i źle nastrojone gęśle. Za jednym zamachem ogarnąłem wzrokiem najukochańszy krajobraz, niekończące się rzędy winnic pod promiennym letnim niebem. A pośród nich ujrzałem wzgórze, wyglądające jak otwarta czaszka olbrzyma, wypełniona czarną wodą.

To musiały być Winały, największe tereny z winnicami na obszarze Camonii, rozciągające się wokół gorgyleńskiej Czaszki Bolloga. Ponownie wiedziałem coś, nie mając pojęcia, skąd to wiem: że była to opowieść o Gizzardzie von Ulfo i jego legendarnym Winie Komety. Znałem ją dotychczas jedynie w skróconej wersji wierszowanej, z utworu Alego Aria Ekkminera *Wino Komety*. Lecz mój umysł wypełnił

się nagle wszystkimi szczegółami tego straszliwego średniowiecznego dramatu.

Co tysiąc lat kometa Lindenhoope, przechodząc przez nasz System Słoneczny, zbliża się tak bardzo do naszej planety, że przemienią swym blaskiem całe lato w jeden, niekończący się słoneczny dzień.

Gizzard von Ulfo, możnowładca z czasów camońskiego średniowiecza, właściciel licznych wzgórz z winnicami i alchemik z zamiłowaniem, przekonany był, że winorośle posadzone krótko przed owym latem bez nocy, wydadzą winogrona, których smak prześcignie wszystko, co kiedykolwiek trafiło w butelki – chciał stworzyć *Wino Komety*.

Kometa zbliżała się, nadszedł najdłuższy ze wszystkich dni, a żar słońca i blask ciała niebieskiego sprawiły, że winorośle Gizzarda von Ulfo zyskały jakość przechodzącą dalece wszelkie oczekiwania. Rośliny rosły niewiarygodnie szybko, winogrona były ogromne jak arbuzy, tak, że musiano je zbierać pojedynczo i ze stękaniami zanosić do prasy. Ich sok był gęsty i ciężki, pełen aromatu i wyśmienity, a stworzone z niego wino było najlepsze w dziejach świata. A Gizzard von Ulfo posiadał tysiące beczek tego wina. Pewnego dnia Gizzard zwołał wszystkich swych zarządców winnic, budowniczych beczek, wyciskających sok, ogrodników i zbierających winogrona na swoim dworze, po czym zamknęto bramy. Bez słowa stanął z siekierą przed swymi ludźmi i zaczął wyrąbywać w beczkach dziury. Myślano już, że stracił rozum i chciano go powstrzymać, lecz on nie dał sobie przeszkodzić i nie spoczął, póki nie rozbił ostatniej beczki, póki ostatnia kropla nie spłynęła do ziemi, a cała posiadłość nie była przesycona *Winem Komety*.

Na koniec Gizzard von Ulfo, trzymając wysoko butelkę, oświadczył triumfalnie: – A więc, słuchajcie... Oto ostatnia i jedyna już butelka *Wina Komety*. Najsmaczniejszego, najlepszego, najrzadszego i najdroższego wina w Camonii. Nie muszę składować już żadnych beczek ani butelek, nie muszę płacić już podatków i wynagrodzeń, i nie będę musiał pozwalać camońskiemu urzędowi alkoholowemu na terroryzowanie mnie. Potrzebuję wyłącznie tej jedynej butelki, której wartości nie da się nawet ocenić, muszę jedynie obserwować, jak z dnia na dzień staje się jeszcze cenniejsza. Odchodzę na emeryturę.

– A my? – zapytał jeden z pracowników. – Co będzie z nami?

Gizzard von Ulfo popatrzył na niego ze współczuciem.

– Z wami? – odparł. – A co ma niby z wami być? Będziecie oczywiście bezrobotni. Niniejszym jesteście wszyscy bezterminowo zwolnieni.

Dopiero w tym momencie, gdy stał tam wśród setek zwolnionych pracowników, z butelką najdroższego wina wszech czasów w ręce, zaświtało Gizzardowi von Ulfo w

głowie, że być może lepiej byłoby przekazać wiadomość o zwolnieniach na piśmie. W oczach jego pracowników błyszczała żądza mordu – i posiadania owej niewyobrażalnie drogiej butelki wina.

Krąg wokół Ulfo zacieśniał się powoli, coraz bardziej i bardziej.

– No pięknie – pomyślał sobie Gizzard von Ulfo, który był może kiepskim pracodawcą, ale nie był tchórzem. – Jeśli mam już umrzeć, to przynajmniej pijany! Nikt prócz mnie nie będzie posiadał *Wina Komety*.

Odbił główkę butelki i wypił jej zawartość jednym haustem, po czym został pokonany przez swoich pracowników. Ale nie docenił chciwości, którą rozbudziła jego przemowa. Pracownicy zanieśli Gizzarda von Ulfo do największej prasy winogron w posiadłości i wrzucili go do niej, po czym wycisnęli. Miażdżyli go, aż ostatnia kropla *Wina Komety*, wymieszana z krwią Gizzarda von Ulfo, nie została wyciśnięta, i włali tę przerażającą mieszankę do butelki. Było to teraz naprawdę najrzadsze i najdroższe wino w całej Camonii.

Lecz prawdziwie straszna historia *Wina Komety* miała się właściwie rozpocząć dopiero teraz, ponieważ swym stale zmieniającym się właścicielem przynosiło ono zawsze najgorsze nieszczęścia.

Pracownicy zostali straceni za zamordowanie Gizzarda von Ulfo, następny właściciel butelki został zabity przez spadający meteoryt, kolejny został pożarty w czasie snu przez mrówki. Wszędzie, gdzie pojawiała się ta butelka, szerzyły się wkrótce mordy i zabójstwa, szaleństwo i wojna. Przypisywano temu winu wszelkie możliwe właściwości. Niektórzy wierzyli, że potrafi budzić martwych do życia i było ono szczególnie wysoko cenione w kręgach alchemików. *Wino Komety* przechodziło z rąk do rąk, znacząc Camonię krwawym szlakiem, który nagle się urywał, a butelka z krwią i winem Gizzarda von Ulfo jakby znikła z powierzchni ziemi.

W epilogu zarejestrowałem jeszcze dudniące tremolo, w którym brzmiała cała groza tej opowieści. Potem nastąpiła absolutna cisza.

Obudziłem się jak z hipnozy. Wokół mnie panowało podniecone zamieszanie, a trąbuzoniści czyścili z zadowolonymi minami ustniki od instrumentów.

– To było nowe – zdumiał się karzeł obok mnie. – Historii o *Winie Komety* nie było jeszcze w zeszłym tygodniu w programie.

Acha! Więc nie grają ciągle tego samego. Czuję się zaszczycony, mogąc uczestniczyć w swego rodzaju premierze, i poczułem się bliższy tej grupie wielbicieli muzyki mgławcowych trąbuzonistów. Nawet dziesięć robali Midgardu nie zrzuciłoby mnie teraz z mojego miejsca. Chciałem więcej. Chciałem muzyki trąbuzonowej.

Słuchacze uspokoiли się, a muzycy siedli znów do instrumentów.

– Myślę, że następna będzie Makabryczna Muzyka – powiedział karzeł z wyraźną radością w głosie. – Będzie pasowała do krwawej opowieści o *Winie Komety*.

– Makabryczna Muzyka? – spytałem.

– Proszę dać się zaskoczyć – powiedział tajemniczo karzeł. – Teraz będzie niesamowicie, haha! Ale zaraz, nie wziął pan żadnego szala? Doprowadzi się pan jeszcze do śmierci.

W tym momencie było mi to całkowicie obojętne. Byłem gotowy ponieść każdą ofiarę dla muzyki trąbuzonowej.

Część mgławcowych muzyków zagrała ostre tony, które wspięły się w nocne niebo, pozostali zaś grali dyskretne basy. Zamknąłem znów oczy, ale tym razem nie ujrzałem żadnej oszałamiającej panoramy. Moja głowa wypełniła się za to wiedzą o Makabrycznej Muzyce derwiszów w czasie przebrzmiewającego już camońskiego średniowiecza – o której naprawdę nie miałem do tej pory pojęcia.

Wiedziałem niespodziewanie, że u podstaw muzyki derwiszów leży siedmiostopniowa gama, której odstępny mierzy się interwałem o nazwie *szutri* – dwa szutki to pół dźwięku, cztery szutki to cały dźwięk, a dwadzieścia cztery szutki to cała oktawa. Fakt, że interwał nazwano imieniem muzyka, to jedyne w swoim rodzaju wydarzenie w historii camońskiej muzyki. Hulasebdender Szutki, legendarny derwisz, kompozytor późnego średniowiecza, wynalazł muzykę hałasów, którą można było wmieścić w każdą dowolną kompozycję. Bazowała ona na dźwiękach wywołujących strach: wycie psów pośród nocy, skrzypienie drzwi, kocie wrzaski, głosy szepczące z nicości, odgłosy tortur dochodzące z piwnicy, wredny chichot z poddasza, zawođenje kobiet na bagnach, wrzaski z zakładu dla obłąkanych, paznokcie drapiące po łupkowych tabliczkach – każdy dźwięk potrafiący przerazić i dający się przedstawić za pomocą instrumentów. Ta Makabryczna Muzyka została wymieszana z popularnymi ówczesnie utworami, odnosząc niesamowity sukces. Chadzano wówczas na koncerty, żeby się przerażać. Owacje miały formę krzyków przerażenia, przypadki omdlenia były równoznaczne z prośbami o bisy, a gdy publiczność z krzykiem szturmowała do wyjścia, uznawano, że koncert odniósł pełen sukces. Modną fryzurą były włosy stojące ze strachu, poobgryzane paznokcie uchodziły za szykowne, a spotykając się niespodziewanie na ulicy, pozdrawiano się efektownym „Buuuuuu!”, wyrzucając gwałtownie ręce w górę. Z tej epoki pochodzi cała masa instrumentów: szubieniczna harfa, dudy grozy, pietra, podwójny wyjący flet, piła śmierci, dwunastoramienny hałas z piwnicy, dusząca torba. Nie od parady czasy Hulasebdendera Szutki nazywano

Przerażającą Epoką.

Muzyka znów się skończyła i otworzyłem oczy. Karzeł siedzący obok wyszczerzył się do mnie.

– Teraz wie pan już, o co chodzi. Makabryczna Muzyka. Teraz to dopiero się zacznie! Bądź pan gotowy na wszystko! – Oparł się o krzesło, zamknął oczy i westchnął z błogością.

Czterech muzyków zaczęło wydobywać ze swoich trąbuzonów taki skowyt, że automatycznie nasuwała się myśl o ogarach tonących właśnie w przyzamkowym stawie. Dwóch innych muzyków wydobyło z instrumentów meczący śmiech, którym górskie demony wywołują lawiny. Gruby trąbuzonista w środku orkiestry zagrał na swoim instrumencie tak beznadziejny dźwięk, że brzmiał on jak ostatnie tchnienie kogoś wieszanego właśnie na szubienicy. Wydawało mi się także, że słyszałem zawodzenia pochowanych żywcem i wrzaski palonych Przeraźnic.

Lekko zaniepokojony zamknąłem oczy. Jakie przerażające obrazy wywoła też we mnie ta muzyka? Jaką makabryczną historię opowie?

Lecz wprawdzie zobaczyłem jedynie książki. Spoglądałem po prostu w niekończący się korytarz zastawiony regałami i starymi księgami – był to antykwariat? Co niesamowitego mogło się wydarzyć w antykwariacie? Dokładnie obejrzałem sobie grzbiety książek. Mój Boże, były to nie tylko stare książki, były to *prastare* książki, tak antyczne, że nie potrafiłem odszyfrować pisma w ich tytułach. Samotne lampy pod sufitem rzucały upiorne, pulsujące światło, w którym coś się poruszało. Czy były to opisywane przez Deszczbłaska lampy z meduzami?



I nagle pojąłem – to były katakumby Księgogrodu! Oczywiście, labirynty pod miastem, a ja właśnie się w nich znajdowałem! To było fantastyczne: podróż pod ziemię, w ten tajemniczy i niebezpieczny świat, bez ryzykowania czymkolwiek! Musiałem nasłuchiwać jedynie muzyki i oddawać się obrazom.

Otworzyłem na chwilę oczy i zaraz je zamknąłem, powtarzałem to wielokrotnie, raz za razem, i faktycznie bez trudu mogłem przeskakiwać między parkiem a katakumbami. Oczy otwarte – park, oczy zamknięte – katakumby.

Park.

Katakumby.

Park.

Katakumby.

Park.

Katakumby.

W końcu zostałem z zamkniętymi oczami. Mimo, że siedziałem właściwie na niewygodnym krzeselku ogrodowym w księgogradzkim parku, przemykałem powoli głęboko pod ziemią, poprzez słabo oświetlony korytarz pełen książek. Frapujące, ile potrafi dokonać ta trąbuzońska muzyka. A wszystko wyglądało tak prawdziwie! Przytłaczający zapach starego papieru – niepojęte, tę historię można było nawet wąchać! Nie wszystkie lampy z meduzami pod sufitem funkcjonowały, uwięzione w środku zwierzęta rzucały swe niespokojne światło, w innych brakowało szkła, a meduzy uciekły ze swego więzienia. Widziałem nawet niektóre z tych świecących kreatur, przyklepione w trakcie ucieczki do regałów, i inne, które leżały już wyschnięte na podłodze.

Co za niesamowity świat! Wszędzie szeleściło, prawdopodobnie były to robaki książkowe przegryzające się przez papier. Słyszałem piszczące szczury i pełzające chrząszcze. A nad wszystkimi dźwiękami unosiła się cieniutka mgiełka. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie słyszę już muzyki trąbuzonowej.

Chciałem otworzyć jeszcze raz oczy, żeby uspokoić się widokiem parku, ale nie udało mi się. Moje oczy były jak zaszyte. Widziałem za to wyraźnie przygnębiający obraz katakumb – co za przedziwny stan: widzieć z zamkniętymi oczami. I nie był to już żaden przyjemny dreszczyk, żadne błogie przerażenie, to, co odczuwałem teraz, było nagim strachem.

Usiłowałem się uspokoić, wmawiając sobie, że to po prostu kolejny wariant, kolejny trik dla spotęgowania efektu koncertu. Tym razem sam tkwiłem w środku historii. Być może nawet jako główny jej bohater. Jaka była to historia? I *kim* ja byłem?

Przemykałem korytarzem, rzucając nerwowe spojrzenia na prawo, lewo, na górę i dół. I wtedy przeszło mnie bardzo osobliwe wrażenie: Mogłem rozpoznać węchem, jakie książki znajdowały się na regałach. Nie musiałem tracić czasu na ich oglądanie, wietrzyłem cytrynowy zapach zaginionego zbioru księcia książek Agu Gaaz Oczytanego, którego biblioteka była w tym momencie dla mnie bez znaczenia, ponieważ teraz wiedziałem w czyjej historii i skórze tkwiłem: Byłem Kolofonusem Deszczblaskiem, łowcą książek.

To było niewiarygodne! Nie, wręcz przeciwnie, to było o wiele za bardzo wiarygodne, było przygnębiająco prawdziwe. Nie potrafiłem już odróżnić snu od rzeczywistości. Stałem się całkowicie inną postacią, myślałem jej myślami, czułem jej strach. Wiedziałem teraz także, dlaczego te kosztowne książki dookoła nie miały w tej

chwili dla mnie żadnego znaczenia: Ja, Deszczblask, uciekałem. Ja, Deszczblask, nie byłem w labiryntach sam. Ja, Deszczblask, nie byłem już łowcą, tylko ofiarą. Byłem ścigany przez Króla Cieni.

Mogłem go już niemal usłyszeć, szelesty i oddechy za książkami, i czasami miałem wrażenie, że czuję jego gorący oddech na moim karku, jego ostre pazury szukające mnie po omacku. Zrezygnowany spróbowałem ponownie otworzyć oczy, lecz to mi się nie udało. Byłem zamknięty w ciele łowcy książek, uwięziony w katakumbach Księgogrodu.

Czy można było umrzeć w urojonej historii? We śnie? Co będzie, jeśli Deszczblask zostanie zabity? Czy w ogóle była to jeszcze historia? Czy też była to rzeczywistość? Nie byłem w stanie już tego ocenić. Jedyne, co wiedziałem, to fakt, że czułem wyczerpanie Deszczblaska każdym włóknom mojego ciała, jego obolałe mięśnie, płonące płuca, szaleńczo bijące serce. Niespodziewanie korytarz się skończył, a ja stałem przed ścianą z papieru. Ułożone bez ładu i składu rękopisy zagroziły mi drogę, piętrząc się aż pod sufit. Ślepa uliczka.

Zastanawiałem się gorączkowo, co mogę zrobić. Zawrócić? I wbiec w łapy Królowi Cieni? A może spróbować zburzyć mur z papieru? Zdecydowałem się na to ostatnie i chciałem właśnie rozpocząć pracę, gdy papiery nagle zaczęły się poruszać. Nie zostały poruszone, ale same się poruszały, przesuwwały się po sobie jak węże, szeleszcząc zwiijały się i znowu wyprostowywały. Ostatecznie przybrały formę czegoś, postać tak, tak straszną, że...

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaah!

Ktoś krzychał z całej siły.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaah!

Czy był to Deszczblask krzycający ze strachu?

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaah!

Nie, to byłem ja, Hildegunst Rzeźbiarz Mitów, zniewieściały jaszczur, który rzucił się na ziemię i żebrał o darowanie życia.

– Proszę! – błagałem łkając. – Proszę, nie! Nie chcę umierać!

– Może pan znowu otworzyć oczy – powiedział jakiś głos. – Muzyka już się skończyła.

Otworzyłem oczy. Leżałem na wznak na trawie, przy moim krzeselku ogrodowym, a karzeł i inni słuchacze pochylali się nade mną.

– Czy to turysta? – zapytał ktoś.

– Wygląda, jakby pochodził z Twierdzy Smoków – powiedział ktoś inny.

To było dopiero krepujące! Podniosłem się ze stęknięciem, strzepałem źdźbła z mojej peleryny i znów usiadłem. Cała publiczność gapiała się na mnie, czułem świdrujące spojrzenia Kibicera i Przeróżnicy, nawet orkiestra patrzyła w moim kierunku.

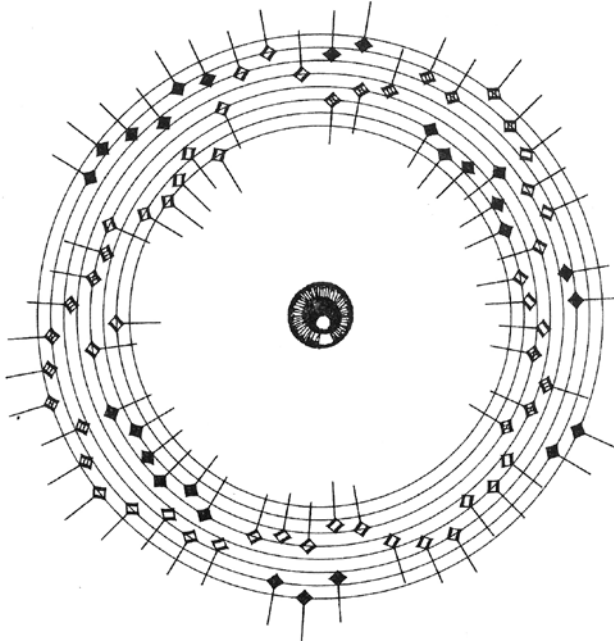
– Nie musi się pan czuć niezręcznie – zaszeptał ze zrozumieniem siedzący obok mnie karzeł. – Przytrafiło się to już wielu innym. To dość intensywne doświadczenie, przeżywać we własnym ciele ostatnie chwile Kolofonusa Deszczbłaska.

– Można tak powiedzieć – zasyczałem w jego kierunku, próbując jak najgłębiej zatopić się w moim krzeselku. Naturalnie, że było mi mimo wszystko nieprzyjemnie, gdy wyobrażałem sobie, jak – właściwie to jak długo? – krzycząc i skowycząc, tarzałem się przed wszystkimi na ziemi. Z tego też powodu byłem szczęśliwy, że mgławcy chwycili za instrumenty i skierowali na siebie całą uwagę.

Brzmiało to niemal tak, jakby ponownie sprawdzali zawory w swoich instrumentach. Pozornie na chybił trafił, ten czy inny grał jakiś pojedynczy dźwięk, poza tym nie robili niczego. Czy koncert już się skończył? Był to jakiś rytuał? Na próbę przymknąłem oczy, tym razem jeszcze bardziej bojaźliwie i nieśmiało niż przedtem.

Obraz, który teraz ujrzałem, był dość abstrakcyjny. Żadnego krajobrazu, żadnej osoby, żadnych pomieszczeń, widziałem tylko punkty, małe świecące plamki w różnych kolorach – żółte, czerwone, niebieskie – zapalające się po sobie po kolei w układzie przypominającym koło, z początku wolno, potem w coraz mniejszych odstępach czasu. Dźwięki nie łączyły się ze sobą, nie tworzyły żadnej harmonijnej muzyki. Żółty, czerwony, niebieski, następowały nieprzerwanie po sobie – żółty, czerwony, niebieski, cały czas dookoła. Po raz pierwszy nie odczuwałem niczego przy muzyce trąbuzonowej, żadnej euforii, żadnego strachu, nie pojawiała się żadna opowieść.

– Rondo Optometryczne! – wysapał karzeł obok mnie. – Grają mumańską muzykę okulistów.



W zdumiewający sposób wiedziałem też i to, mimo że wcześniej nic nie słyszałem o muzyce mumańskich okulistów. Tak, nagle stałem się ekspertem od tego marginalnego kierunku muzycznego, wiedziałem o nim wszystko. Na przykład to, że okuliści mumańscy rozwinęli metodę diagnozowania polegającą na obserwacji wnętrza oka przez kryształ kalejdoskopowy, który można znaleźć w Górach Hutze. Aby móc zajrzeć poprzez źrenicę do każdego zakamarka oka, lekarz wydaje pacjentowi polecenia, w którym kierunku ma spoglądać: w górę, w górę na prawo, w prawy środek, w lewo na dół, całkiem na dół, w dół na lewo i tak dalej, aż jego spojrzenie zatoczy kompletny okrąg. Mumańscy okuliści byli oczywiście Mumami, a Mumy, jak wiadomo, mają sześcioro uszu, rejestrują wysokie frekwencje, które poza nimi słyszą jedynie pająki. Ich umysł przerabia wszystko, co usłyszą, w muzykę, dlatego też bezustannie mruczą sobie pod nosem – naturalnie robią to także mumańscy okuliści w trakcie pracy. Zdarzyło się pewnego razu, że jeden z nich, niejaki doktor Doremus Fasolati, zdał sobie sprawę, że krążenie źrenicy połączone z melodyjnym mručeniem działa uspokajająco na pacjentów, mało tego, wprawia ich nawet w lekką ekstazę, tak że opuszczają jego

gabinet w pogodnym nastroju, niemalże w euforii – niezależnie od tego, jak druzgocąca była diagnoza. To doprowadziło Fasolatiego do wynalezienia muzyki optometrycznej, uporządkowania nut w kształcie koła, które wiodło motyw muzyczny cały czas do miejsca, w którym się rozpoczął, każąc mu zaczynać od początku. Tyle, jeśli chodzi o moją świeżo zdobytą wiedzę na temat muzyki mumańskich okulistów.

– Optometryczne Rondo! – wołali słuchacze. – Zagrajcie Optometryczne Rondo!

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że mgławcowi trąbuzoniści podnoszą się. Ze wszystkich stron dobiegały ostre krzyki zachwytu. Ponownie zamknąłem oczy.

Teraz każdorazowo po trzech trąbuzonistów grało jeden dźwięk, dzięki czemu brzmiał on o wiele głośniej, mocniej i przenikliwiej. Światła, które wywołał, były jaśniejsze niż przedtem, a fale dźwięku doprowadziły moje ciało do drżenia. Potrójny dźwięk rozbrzmiewał po kolejnym potrójnym dźwięku, a światła zaczęły krążyć. Mój wzrok, słuch i myśli też zaczęły krążyć, wszystko coraz szybciej i szybciej. Żółty żółty żółty, czerwony czerwony czerwony, niebieski niebieski niebieski, wirująca trójca kolorów, płonąca tęcza, która zamknęła się w okręgu i toczyła się przez ciemność wszechświata. Opadły ze mnie wszelkie wątpliwości, oddałem się całkowicie zachwytowi, jaki wywoływały we mnie te abstrakcyjne dźwięki. Dotarliśmy na obszary wykraczające poza każdą z literackich muzyk, obszary, gdzie historie, obrazy, postaci czy losy nie mają już żadnego znaczenia. Wszystko, co słyszałem do tej pory, zdawało się mi banalną utarczką, ponieważ to, co przeżywałem teraz, było tak intensywne, że jestem w stanie wyrazić to tylko jednym zdaniem: *Stałem się muzyką*.

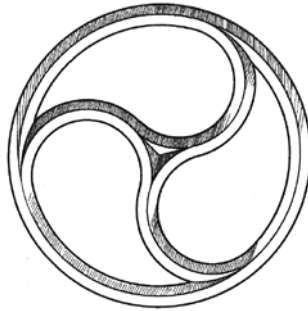
Zaczęło się to tak, że się rozpuściłem. Tak musi czuć się para wodna opuszczająca gotującą się ciecz, unosząc się w chłodniejsze masy powietrza. Po raz pierwszy w życiu czułem się prawdziwie wolny od wszystkich ziemskich obowiązków, wolny od mojego ciała, uciekający przed własnymi myślami.

Potem stałem się dźwiękiem, a kto jest dźwiękiem, stanie się falą. Ośmielę się stwierdzić: Ten, kto wie, co to znaczy być falą dźwięków, jest już całkiem blisko tajemnic wszechświata. A teraz to rozumiałem, rozumiałem tajemnicę muzyki, rozumiałem, dlaczego przewyższa ona o niebo wszystkie inne sztuki: Chodzi o jej bezcielesność. Gdy uwalnia się ona od swojego instrumentu, należy ponownie tylko do siebie – samodzielny, wolny twór składający się z dźwięku, nieważka, bezcielesna, doskonale czysta i całkowicie harmonijna ze wszechświatem.

Tak właśnie się czułem, byłem muzyką i tańczyłem w płonącym kręgu, wysoko nad wszystkim. Gdzieś tam na dole był świat, było moje ciało, były moje troski, ale wszystko zdawało mi się teraz drugorzędne. Tu było koło z ognia, liczyła się tylko jego

obecność, wirowało i wirowało, aż wielobarwne światło zdawało się wpływać także do jego wnętrza, po trzech zakrzywionych torach łączących się w jego środku.

I wtedy je zobaczyłem. *Trójkokoło.*



Trójkokoło, tajemniczy znak widniejący nad antykwariatami Kibicera i Inacei Anacaci. Rozbłysło ono przed moimi wewnętrznymi oczami, wywołane mocą muzyki trąbuzonowej, która huczała teraz z coraz większą głośnością. Ten płonący okrąg był najpiękniejszą, najdoskonalszą, najwspanialszą rzeczą, jaką widziałem w życiu. Chciałem mu służyć i być mu posłuszny, było to moim jedynym pragnieniem.

I wtedy wszystko nagle ustało. Muzyka przestała grać, znak zniknął, a ja spadałem. Spadałem głęboko, głęboko w dół. Na świat, na Camonię, na moje ciało i – cyk! – mój dopiero co uwolniony duch tkwił ponownie nieubłagane w mym ciele, ściśnięty między moimi własnymi atomami.

Otworzyłem oczy. Mgławcy odłożyli instrumenty i zaczęli się pakować. Publiczność podniosła się z miejsc. Żadnego aplauzu. Zmieszany obejrzałem się. Co za przedziwny koniec dla tak sensacyjnego koncertu! Chciałem zadać karłowi obok parę pytań, ale on już zniknął. Zobaczyłem Kibicera i Przeróżnicę oddalających się śpiesznie wraz z tłumem. Publiczność dookoła potykała się o rzędy krzeseł, a ja jedyny tkwiłem nadal jak zaczarowany na moim ogrodowym krzesełku w parku miejskim Księgogradu.

Wtedy wszystko stało się dla mnie jasne: Ja też nie miałem ani chwili do stracenia! Jak mogłem o tym zapomnieć: Moim jedynym celem w życiu było zdobycie takiej liczby książek, jaką byłem w stanie zgarnąć i udźwignąć. Szybko, szybko, zanim

inni mnie uprzedzą! Książki, książki! I musiały być to oczywiście Śniące Książki z antykwariatów noszących znak trójkoła. Rzuciłem się za innymi.



W KSIĄŻKOWYM AMOKU

Biegliśmy naprzód, rozpychając się i poszturchując wzajemnie, aby jak najszybciej opuścić park.

Wkrótce byłem w grupie znajdującej się w czołówce, w której byli też Hachmed Ben Kibicer i Przerożnica, ale nie zwracaliśmy na siebie zupełnie uwagi. Miałem misję, musiałem kupić książki, dużo książek, nic innego mnie nie interesowało. Tak, jakby muzyka trąbuzonowa wypłukała z mojego umysłu wszystko prócz tej jednej myśli, maszerowałem naprzód wyprężony jak żołnierz, klepiąc w kółko jedno polecenie: *Muszę – kupić – książki. – Kupić książki! Kupić książki! Kupić książki, książki, książki!*

W końcu pojawiła się pierwsza ulica – ale nie było przy niej żadnego antykwariatu. Prawdopodobnie była to jedyna ulica w całym Księgogradzie, przy której nie było antykwariatu, i akurat tam musieliśmy się zapędzić! Co za marnotrawstwo czasu! Dyszałem z niecierpliwości, inni przeklinali. Dalej! Dalej!

Następna ulica: cztery antykwariaty, ale żaden nie miał znaku trójkoła. Cholera, są do niczego! Dalej!

Następna ulica: dwanaście księgarni, z tego dwie ze znakiem trójkoła – wśród triumfalnego wrzasku zaatakowaliśmy sklepy, wpadliśmy tam jak horda zalanych barbarzyńców, tak gwałtownie i głośno, że klienci w sklepie od razu uciekli, a właściciele obwarowali się za kontuarami, rzucając w naszym kierunku przerażone spojrzenia.

Rozglądałem się gorączkowo. Książki, nareszcie! Które wziąć? Obojętnie! Najważniejsze są książki! Kupować! Kupować! Chwyciłem wielki kosz na zakupy i wrzucałem do niego książki jak leci, zmiatałem je z regałów, nie zwracając uwagi ani na tytuł, ani na autora, ani na cenę, ani na ich stan. Było mi wszystko jedno, czy jest to drogie pierwsze wydanie czy tania tandeta, czy książki utrafiły w któreś z moich zainteresowań, czy też kupowanie ich nie miało żadnego sensu. Dopadł mnie nienasycony głód książek, który można było ukoić tylko w jeden sposób: kupować, kupować, kupować.

Zdarzyła się pewna niemiła sytuacja z Przerożnicą, gdy przypadkowo oboje rzuciliśmy się na tę samą książkę. Szarpaliśmy ją chwilę w obie strony, szczerzyliśmy zęby i prychnęliśmy na siebie, aż w końcu Przerożnica straciła zainteresowanie i rzuciła się na jakiś stos książek, niczym wygłodniały sęp na martwą owcę.

Byliśmy w amoku książkowym! Publiczność trąbuzonowa grzebała dookoła mnie w książkach, kupujący poszturchiwali się i popychali, zgarniali książki, jakby jutro miało nie być już ani jednej. Tu i tam niekiedy się tłukli, ale większość energii poświęcano na pozбиieranie towarów. Ciężko obciążony sunąłem chwiejnym krokiem przez sklep,

spiętrzając stos w moim koszu o kolejne książki.

Pierwsi udawali się teraz do kas, ponieważ nie byli w stanie udźwignąć już niczego więcej. I tu wydarzały się dramatyczne sceny, ponieważ cena zgromadzonych dzieł przekraczała aktualny stan portfela kupującego. Niektórzy płakali i darli na sobie ubrania, gdy antykwariusz zatrzymywał pojedyncze książki, a ja uważałem te gesty za całkowicie odpowiednie. Jak ten handlarz mógł być tak bezlitosny?

W końcu zataczając się pod ciężarem kosza, sam dotarłem do kasy. Antykwariusz chciał zatrzymać znaczną część książek, głównie kosztowne pierwsze wydania, tylko dlatego, że nie mogłem za nie zapłacić! To było podłe i drobnomieszczańskie, zacząłem płakać i lamentować, ale nie dał się zmiękczyć. Dziko go objechałem i wyniosłem się stamtąd, jak tylko zapakowałem do olbrzymiego worka ogromną ilość książek, na które pozwoliły mi fundusze. Byłem spłukany z pieniędzy, ale szczęśliwy.

Gdy dotarłem do gospody, opróżniłem cały ładunek na środku pokoju. Gapilem się chwilę na górę książek, szczerząc z zadowolenia zęby, po czym padłem na wznak na łóżko i natychmiast zasnąłem długim, pozbawionych marzeń snem.

JO

CZTERYSTA PRZEPISÓW Z ŻAB

Kiedy się obudziłem, pomyślałem najpierw, że jestem w niewłaściwym pokoju, albo że jakiś wariat wrzucił tu przez noc górę książek. Potem wszystko mi się przypomniało: Koncert. Muzyka mgławcowych trąbuzonistów. Pradźwięk. *Wino Komety Gizzarda von Ulfo*. Król Cieni. Muzyka mumańskich okulistów. Płonące trójkoło. Amok książkowy.

Pijany snem podszedłem do moich ofiar. Podniosłem jedną z książek i popatrzyłem na tytuł.

Przeczytałem – *Czyszczenie kominków dla zaawansowanych* Biserko Gobbela.

Wziąłem inną.

Dwa tuziny na blankach – podręcznik technik biczowania autorstwa Dottfrieda Egga.

Wyrzuciłem ją i wziąłem kolejną.

Sto zabawnych natifofskich anegdot.

Co to za tandeta? Podnosiłem jedną za drugą i kręcąc głową oceniałem ich tytuły.

Małe kompendium wiedzy o węzłach dla leworęcznych.

Wydmuchiwanie szkła miechami.

Wszystko o chronicznych wzdęciach.

Prehistoryczne mumifikowanie owadów w subtropikalnych bagnach węglowych (w dwudziestu czterech tomach).

Kanibalizm stosowany.

Jak czesać kurę.

Tabele korozyjne dla znawców rdzy.

Mycie brody gąbką naturalną.

Wielka encyklopedia hebli.

Czterysta przepisów z żab – no tak, kto kupił te wszystkie idiotyzmy? *Ja* to zrobiłem?

Przekopywałem się przez górę książek, z tytułu na tytuł coraz bardziej trzeźwy i zrezygnowany. Nie kupiłem żadnej interesującej ani kosztownej książki, tylko śmieci i tandetę, wydałem całe moje oszczędności na książki, którymi w najlepszym razie można było rozpalić w piecu.

Zrezygnowany podszedłem chwiejnie z powrotem do łóżka i położyłem się. Dopiero teraz poczułem pulsujący ból w głowie. Nie była to chyba, mam nadzieję, nieuleczalna choroba mózgu? Być może muzyka wyzwoliła drzemiącą we mnie psychozę, za sprawą której znajduję się niebawem w izolatce księgozrodzkiego zakładu dla obłąkanych, ubrany w kaftan bezpieczeństwa. Doprowadziła mnie już do finansowej ruiny, dlaczego nie

miałaby doprowadzić mnie też do szaleństwa? Cicho! Czyżbym słyszał jakieś głosy? Tak, bez wątpliwości były to głosy w głowie, demencja trzymała mnie już w swych lodowatych pazurach, szepcząc mi do ucha swe chore rozkazy. Jednak nie, to tylko sprzątaczkę porządkującą sąsiedni pokój. Spróbowałem się uspokoić.

Jak mogło do tego dojść? Czy muzyka trąbuzońska dysponowała taką mocą? Skoro potrafiła doprowadzić mnie do lamentowania i tarzania się po ziemi, wmawiając mi, że jestem Kolofonusem Deszczblaskiem, można było spodziewać się po niej wszystkiego.

Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do Twierdzy Smoków ze spuszczoną głową, zrujnowany i załamany. Nie miałem już nawet pieniędzy, żeby zapłacić za hotel czy za śniadanie. Czy księgarz przyjmie z powrotem książki? Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, gdzie w ogóle znajdował się ten antykwariat.

I wtedy pomyślałem o Fistomefelu Szmejku. Powiedział, że mój rękopis jest cenny. Może mógłbym mu go sprzedać!

Obróciłem się z jękiem. Tak nisko już upadłem! Byłem gotowy sprzedać za bezcen spadek po Dancelocie, żeby tylko dostać śniadanie. Mogłem od razu pójść na *Cmentarz Zapomnianych Poetów* i wykopać sobie własną dziurę. Zamknąłem oczy i ponownie ujrzałem płonące trójkąło. Nie tak jasne i promieniste jak wczoraj, ale ze wszystkimi swoimi kolorami, piękne i fascynujące. Zniósłbym jeszcze trochę muzyki trąbuzonowej, pomyślałem.

Wtedy otworzyłem oczy i zerwałem się z łóżka. Co ta muzyka ze mną zrobiła? Zrezygnowany patrzyłem na górę bezwartościowych książek. Muszę koniecznie wyjść na świeże powietrze. Umyłem się i przyszykowałem do drogi.

Gdy tylko przekradłem się pod świdrującym wzrokiem hotelarza w recepcji – widział jak wracałem w środku nocy z ogromnym worem książek, wydając triumfalne wrzaski – wyszedłem na zewnątrz. Byłem zaskoczony, że na ulicach Księgogrodu tyle się już dzieje. Musiałem spać nadzwyczaj długo. Oceniając po położeniu słońca – zbliżało się południe. Było mi to na rękę, mogłem od razu udać się do Laboratorium Książek Fistomefela Szmejka.



DZIEDZICTWO SZMEJKÓW

Fistomefel Szmek oczekiwał mnie z wystawnym śniadaniem: chleb pszczeli (bez pszczoł), jajka, biała kawa, sok jabłkowy i ciepłe Loczki Poety – jak gdyby się domyślał, że wpadnę do niego wyголоđniały.

Siedzieliśmy w jego małej, przytulnej kuchni, a uczony szczyrzył się, patrząc, jak rzucam się na śniadanie. Wypiłem litry kawy, spałaszowałem trzy chleby pszczele, cztery jajka i dwa Loczki Poety, opowiadając w międzyczasie o wczorajszych wydarzeniach.

Szmek zaśmiał się. – Powinienem był pana uprzedzić – to w końcu mgławcowi muzycy. Przy nich trzeba być przygotowanym na wszystko. Przeżyłem raz koncert, po którym wszyscy słuchacze – nie wyłączając mnie – zbeczęścili cmentarz Przeraznic. Na jedną noc wtrącono nas nawet do więzienia. To humor mgławców – wszystko ma swoją cenę. Ale niech pan sam powie – nie było to tego warte?

– Właściwie, to tak – odpowiedziałem, przeżuwając. – W jakimś stopniu na pewno. Ale teraz jestem bankrutem.

– Wcale tak nie uważam.

– Co ma pan na myśli?

– Pański manuskrypt. Zbadałem go szczegółowo. I uważam, że jest znacznie kosztowniejszy, niż to wczoraj zakładałem.

– Naprawdę?

Humor poprawił mi się momentalnie. Nalałem sobie jeszcze więcej kawy.

– W rzeczy samej, mój drogi! – powiedział Szmek. – Jego wartość jest kolosalna, szczególnie tu w Księgogradzie. Sprzedanie go za znaczną sumę nie będzie żadnym problemem. Jeśli pan chce, mogę panu przy tym pomóc – nie wymagając procentów, oczywiście. Jeśli zaś wolałby go pan zatrzymać – w całym mieście otrzyma pan na niego kredyt.

– To wspaniale. Czy zdołał pan zidentyfikować autora?

– W istocie, zdołałem.

– Ach tak? Kto to jest?

Szmek znów się wyszczerzył i podniósł się. – Mogę uczynić to nieco bardziej pasjonującym? Pokazując panu przy okazji jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic Księgogradu? Proszę za mną!

Opuścił kuchnię, wepchnąłem sobie do paszczy jeszcze jeden Loczek Poety i podążyłem za nim. Uczony zaprowadził mnie do swojego Laboratorium Liter i wskazał na regał z Cierpiącymi Człowieczkami. Spojrzałem w kierunku butelek, zawahałem się i przyjrzałem się dokładniej raz jeszcze. Wszyscy Cierpiący Człowieczkowie unosili się

bez ruchu w swych substancjach odżywczych.

– Są martwi – powiedział Szmejk. – Pański tajemniczy poeta ma ich na sumieniu.

– Co pan ma na myśli?

– Wczoraj w nocy czytałem Cierpiącym Człowieczkom ustępy z pańskiego manuskryptu, aby sprawdzić jakość i melodię języka. Najpierw zaczęli śpiewać, potem płakać. W końcu po kolei zaczęli opadać i umierać. Jakość tekstu ich zabiła. To było zbyt wiele dla tak małych istotek.

– Niewiarygodne – powiedziałem. – Przydarzyło się panu już coś takiego?

– Nie – odparł Szmejk. – Jeszcze nie. Zaprowadził mnie do szeroko otwartej kłapy w podłodze. – Proszę za mną.

W dół prowadziła rozpadająca się ze starości drewniana pochylnia; zastękała udreńczona, gdy przetoczył się po niej Robakin, a ja ostrożnie schodziłem za nim. Na dole było wilgotno i chłodno – i zupełnie nieciekawie. Typowa stara piwnica z paroma zakurzonymi regałami, na których leżały owoce, stały słoiki z miodem i wina domowej roboty. Pajęczyny, drewno do kominka, tu i tam połamane sprzęty z laboratorium, poza tym nic.

– To ma być ta najpilniej strzeżona tajemnica Księgogrodu? – zapytałem. – Boi się pan, że ktoś się dowie, że nie lubi pan sprzątać?

Szmejk uśmiechnął się, nacisnął lekko regał, a on odskoczył wraz z leżącym za nim murem. Spojrzałem w długi podziemny korytarz wypełniony pulsującym światłem.

– Jest pan gotowy na wejście do katakumb Księgogrodu? – zapytał Szmejk, wskazując lewą połowę ramion wejście do tunelu. – Proszę się nie bać, to będzie wycieczka z przewodnikiem. Powrót gwarantowany.

Wkroczyliśmy w korytarz oświetlony dyskretnie lampkami z meduzami – panowała tu atmosfera podobna do tej z mojej wizji trąbuzonowej, lecz nie było żadnych książek ani regałów. Na ścianach wisiały obrazy olejne, przedstawiające wyłącznie Robakiny w różnych kostiumach.

– Wszyscy to Szmejkowie – powiedział Szmejk bez dumy w głosie, gdy przechodziliśmy obok obrazów.

– Moi przodkowie. Tam! To Prosperius Szmejk, był kiedyś głównym katem we Floryncie. Ta z przebiegłym wzrokiem, Behula Szmejk, osławiona kobieta-szpieg, nie żyje od trzystu lat. Ten paskudny typ z tyłu to Halirrhotius Szmejk, nikczemny pirat, który w czasie przedłużającej się ciszy morskiej zjadł własne dzieci. No cóż, krewnych nie można sobie wybrać, nieprawdaż? Rodzina Szmejków jest rozrzucona po całej Camonii.

Jeden z portretów wzbudził moje zainteresowanie. Postać na obrazie charakteryzowała się niezwykle chudością, nie miała w sobie nic z otyłości typowej dla Robakinów i dysponowała przesywającym wzrokiem, w którym zdawało się błyszczyć szaleństwo.

– Hagob Saldaldian Szmejk – wyjaśnił Fistomefel. – Mój bezpośredni przodek. Od niego mam... ale o tym później. Był artystą. Tworzył rzeźby. Mój cały dom jest ich pełny.

– Ależ ja nie widziałem w domu ani jednej rzeźby – wtrąciłem.

– Nic dziwnego – odpowiedział Szmejk. – Bo i nie da się ich zobaczyć gołym okiem. Hagob tworzył mikrorzeźby.

– Mikrorzeźby?

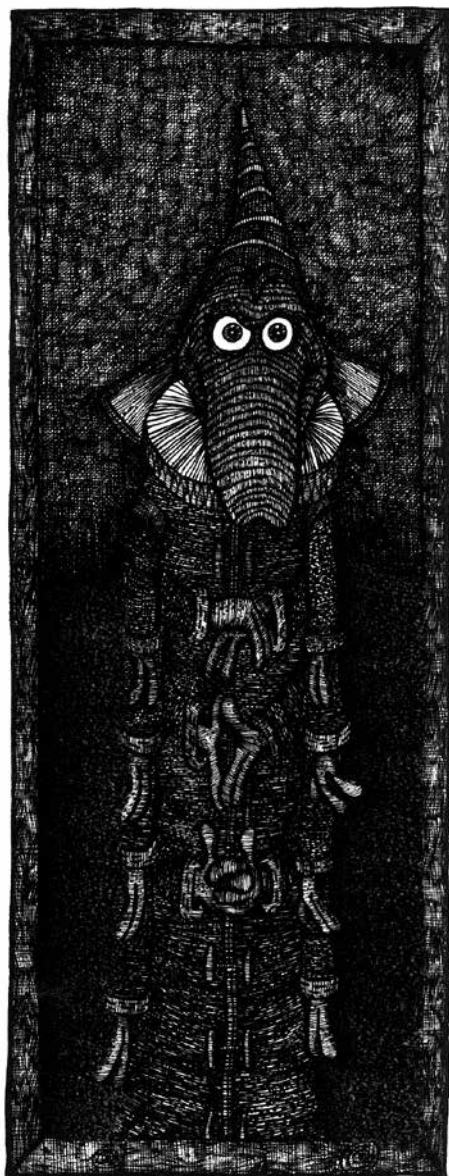
– Tak, najpierw z pestek czereśni i ziarenek ryżu. Potem materiały, których używał, stawały się coraz mniejsze. Pod koniec strugał rzeźby z końcówek włosów.

– Czy to możliwe?

– Właściwie to nie, ale Hagobowi się to udawało. Pokażę panu parę prac pod mikroskopem, jak wrócimy. Wystrugał na rżesie kompletną bitwę pod Lasem Nurneńskim.

– Pochodzi pan z niezwyklej rodziny – zdumiałem się.

– Tak – westchnął Szmejk. – Niestety.



Im dalej schodziliśmy pochyłym korytarzem, tym starsze widzieliśmy obrazy. Poznać to można było po rysach na farbie olejnej i warstwach lazuru, po wyraźnie

prymitywniejszym sposobie malowania i kostiumach, jakie mieli na sobie portretowani.

– My, Szmejkowie, jesteśmy w stanie prześledzić korzenie naszego drzewa rodowego aż do brzegów oceanów Camonii – możemy sięgnąć pod jego powierzchnię i zejść jeszcze głębiej. Głęboko, głęboko w dół, aż do dna morza. Lecz nie bądźcie to kokieterią z mojej strony, jeśli powiem, że moje pochodzenie jest mi właściwie obojętne. Szmejkowie zawsze zachowywali wobec siebie dystans. Życie samotnicze to także część naszego dziedzictwa.

Korytarz odbił w innym kierunku, ale oszczędny wystrój nie uległ zmianie: od czasu do czasu lampa z meduzą pod sufitem i obraz olejny na ścianie, to wszystko.

– Tullafahd Szmejk – wyjaśnił Fistomefel – zwany także Pustynnym Skorpionem. Kazał topić swych wrogów w piasku. To jest wykonalne, jeśli są to lotne piaski.

Wskazał na inny obraz.

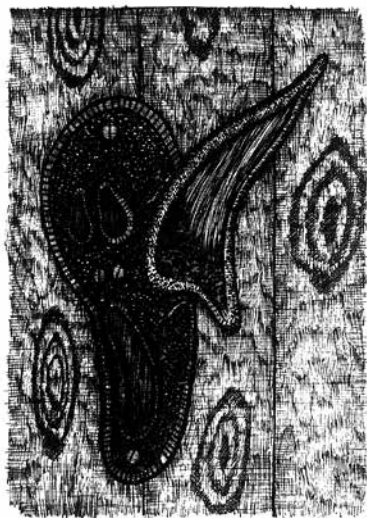
– Okusaisai Szmejk. Kontrolował świat przestępczy w Żelaznym Mieście. Kazał wykuć sobie szczękę ze stali i pożerał swoich rywali żywcem – jedyny Szmejk, który upadł do poziomu diabelskich cyklopów. A to Cettrosilia Szmejk. Wszystkich swoich mężów rozżarzoną pogrzebaczem... ach, to zbyt nieapetyczne, aby o tym opowiadać. Oszczędzę nam dalszych wyjaśnień. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Skoro korytarz schodził nieustannie stromo w dół, musieliśmy być już dość głęboko pod ziemią, ale do tej pory nie widziałem ani jednej książki. Nagle skończył się, a my staliśmy przed ciemnymi drewnianymi drzwiami z żelaznymi okuciami.

– No, to jesteśmy na miejscu – powiedział Szmejk. Pochylił się i zasłaniając się ręką, wymruczał coś niezrozumiale w prastary zardzewiały zamek.

– Buchemiczny zamek na zakłęcie – wyjaśnił niemal przepraszająco, gdy podniósł się ponownie.

Drzwi otworzyły się z piskiem, bez naciśnięcia na klamkę.



– Alchemiczne czary-mary z poprzedniego stulecia. W rzeczywistości to żadna magia. Mechanika ciężkości wyzwalana falami dźwięku. Ale muszą to być właściwe fale dźwięku. Oszczędzam sobie ciężkiego klucza. Pan pierwszy!

Przeszedłem przez drzwi i stanąłem nagle w największym pomieszczeniu, jakie widziałem w życiu. Nie miało żadnego kształtu, który dałoby się opisać za pomocą geometrycznych pojęć, rozciągało się we wszystkich kierunkach, w górę, na dół, wszcz. Ziejące przepaści, kamienne sklepienia wypiętrzone na ogromną wysokość. Tarasy piętrzyły się na sobie, jaskinie rozgałęziały się, a od nich z kolei odchodziły kolejne jaskinie. Ogromne stalaktyty zwisały z góry, a z ziemi wystrzeliwały stalagmity. W tych ostatnich były wykute schody. Kamienne mosty rozciągały się nad wąwozami – a wszędzie pulsowało światło lamp z meduzami, świeczników zwisających na łańcuchach z góry lub umocowanych na ścianach. Było to pomieszczenie złożone z wielu, w którym wzrok mógł błędzić w nieskończoność, aż gubił się w ciemnościach. W żadnym miejscu nie czułem się nigdy tak zdezorientowany. Lecz naprawdę zaskakujący w tym wszystkim nie był wcale kształt pomieszczenia, wielkość ani oświetlenie. Zaskakujący był fakt, że znajdowało się tam pełno książek.

– To mój magazyn – wyjaśnił Szmejk mimochodem, jakby otworzył tylko drzwi od szopy.

Musiąły tu być setki tysięcy, jeśli nie miliony książek! Więcej, niż widziałem w całym Księgogradzie! Każde miejsce tej monstrualnej jaskini stalaktytowej było wykorzystane do składowania książek. Regały wykute bezpośrednio w skałę, inne z drewna wznosiły się na zawrotną wysokość, z opartymi o nie długimi drabinami. Wszędzie leżały foliary, w stosach, spiętrzone w istne góry, ułożone obok siebie w niekończących się rzędach. Były tam proste regały w surowym stanie, kosztowne oszklone szafy antykwaryczne, kosze, beczki, wózki i skrzynie pełne książek.

– Sam nie mam pojęcia – powiedział Szmek, jakby czytając w moich myślach. – Naprawdę nie wiem, ile tego jest. Nie wiem, kto zgromadził te wszystkie książki. Wiem tylko, że według konstytucji księgowrodzkiej wszystko to należy do mnie.

– Czy to sztucznie stworzone pomieszczenie? – spytałem. – Czy prawdziwa jaskinia stalaktytowa?

– Wydaje mi się, że w dużej części powstało to w naturalny sposób. Wszystko stało tu kiedyś pod wodą, wskazują na to skamieliny na skałach, za które każdy księgowrodzki biolog dałby sobie uciąć prawą rękę – zaśmiał się Szmek. – Ale cała powierzchnia kamieni wygląda jak wypolerowana, stąd wrażenie sztucznego pochodzenia. Zakładam, że jakieś pracowite dłonie pomogły tu naturze – więcej też nie jestem w stanie powiedzieć.

– I to wszystko należy naprawdę do pana? – zapytałem jak idiota.

Myśl, że taka ilość książek może należeć do jednej osoby, wydawała mi się absurdalna.

– Tak. Odziedzyczyłem to.

– Czyli to jest to dziedzictwo Szmejków? Dziedzictwo pańskiej – proszę mi wybaczyć, lecz są to pańskie własne słowa – zdegenerowanej rodziny? Musiała być jednak zdumiewająco kulturalna.

– Och, proszę nie sądzić, że kultura i degeneracja wykluczają się nawzajem – westchnął Szmek. Wziął z regału jedną z książek i popatrzył na nią w zadumie.

– Musi pan wiedzieć, że to wszystko nie należało do mnie od urodzenia – kontynuował. – Dorastałem daleko od Księgowrodu, w Gralsundzie. Interesy, które tam prowadziłem, nie miały naprawdę nic wspólnego z książkami. I nie szły, no cóż, nie szły mi zbyt dobrze. Któregoś dnia zostałem więc całkowicie bez środków. Proszę się nie bać, nie będę teraz pana zdręczał historią mojej młodzieńczej biedy, przejdę od razu do radosnej części.

Szmek odłożył książkę z powrotem. Pozwoliłem, aby mój wzrok błądził po niesamowitej scenerii książkowej groty. Wysoko między stalaktytami fruwały białe

nietoperze.

– Któregoś dnia dotarło do mnie pismo księgowo-grodzkiego notariusza – kontynuował Szejnk. – Szczerze mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty na udanie się do tego zakurzonego miasta książek, ale w liście było napisane, że mam tam objąć spadek, który, jeśli nie pojawię się osobiście, przypadnie w udziale ogółowi. Nie było tam wprawdzie napisane, na czym polegał spadek, albo ile był wart, ale w tym czasie przyjąłbym w spadku nawet szalet publiczny. Wybrałem się więc w podróż do Księgogrodu. Okazało się, że spadek – spuścizna po moim wujecznym dziadku Hagobie Saldaldianie Szejnku – składał się z małego domku, znajdującego się teraz z pół kilometra nad naszymi głowami.

Pół kilometra ziemi i skał leży między nami a powierzchnią ziemi? Ta myśl nie była dla mnie zbyt przyjemna.

– Objąłem spadek, oczywiście dość rozczarowany, ponieważ w czasie mojej podróży do Księgogrodu fantazjowałem sobie o dość spektakularnej spuściznie. Ale bądź co bądź – własny dom, chroniony jako zabytek, nie musiałem już płacić czynszu – w mojej sytuacji był to krok naprzód. Jako mieszkaniec Księgogrodu mogłem studiować bezpłatnie na Uniwersytecie Księgowo-grodzkim. Zapisalem się więc na wykłady z literatury camońskiej, antykwariatów i na naukę o piśmie, bo było widoczne jak na dłoni, na czym można zrobić w tym mieście pieniądze. W międzyczasie wykonywałem różne podłe zawody, od wędrującej książki po zmywacza nożyc. Ktoś z czternastoma dłońmi zawsze znajdzie pracę.

Szejnk popatrzył na swe wszystkie dłonie i westchnął.

– Któregoś wieczoru grzebałem w piwnicy, szukając czegoś, co mógłbym sprzedać, ale znalazłem w niej tylko puste regały. Cóż, regały w Księgogrodzie są zawsze potrzebne, więc pomyślałem sobie, że zaniosę jeden na górę, trochę odnowię i sprzedam. Gdy chciałem odsunąć go od ściany, stało się to, co sam pan widział: otworzyły się tajemne drzwi i wskazały mi drogę do właściwego spadku Hagoba Saldaldiana.

– Czy pański wuj zgromadził tutaj to wszystko?

– Hagob? Niemożliwe. Z tego, co o nim wiem, miał nierówno pod sufitem. Strugał pod mikroskopem mikrorzeźby za pomocą samodzielnie wynalezionych narzędzi. W Księgogrodzie uchodził za pomyłonego, za dziwaka. Był znany z tego, że żebrał o jedzenie w piekarniach i gospodach – może pan sobie to wyobrazić? Siedział na nieprzebranych skarbach, dłuubał sobie sceny z camońskiej historii na końskim włosiu, a żarł suche bułeczki i odpadki z kuchni. Nie znaleziono nawet jego ciała. Jedynie testament.

Co za historia, moi przyjaciele! Testament szaleńca. Najcenniejsza biblioteka w Camonii, głęboko pod ziemią. Ten materiał błagał, żeby przerobić go na literaturę. W ciągu paru sekund w głowie ułożyła mi się cała struktura powieści. Mój pierwszy od wieków pomysł nadający się do czegokolwiek!

Szmejk przeczłogał się do żelaznej balustrady, skąd mógł zerkać w głęboką otchłań, której ściany zastawione były regałami.

– Właściciel domu – opowiadał dalej – w którym istnieje wejście do podziemnej jaskini z książkami, staje się automatycznie właścicielem tej jaskini wraz z jej zawartością. Tak jest od setek lat. A to tutaj, to największa jaskinia z największymi zbiorami antykwarycznych książek w całym Księgogradzie. Należy od wieków do rodziny Szmejków.

Wciąż gapił się w głębie.

– Cóż, byłoby satysfakcjonujące, gdyby te książki były przeciętnej jakości. Ale to same kosztowności. Pierwsze wydania. Zaginione biblioteki. Tysiącletnie rzeczy, w których istnienie nikt już nie wierzy. Niektórzy antykwariusze byłiby szczęśliwi, posiadając choć jedną, jedyną książkę ze zgromadzonych tu dóbr. To nie tylko największa jaskinia w Księgogradzie, to największy skarb miasta. Znajdują się tu niektóre książki ze *Złotej Listy*.

– Nie boi się pan, że ktoś się tu włamie? Na górze jest tylko ten mały domek, i ten śmieszny zamek na zakłęcie...

– Nie. Nikt się nie włamie. To niemożliwe.

– Ach – założył pan pułapki!

– Nie, nie ma tu żadnych pułapek. Jaskinia nie jest w ogóle chroniona.

– Czy nie jest to odrobinę... ryzykowne?

– Nie. A teraz zdradzę coś panu: Nikt nie włamie się do tej jaskini, ponieważ nikt nie ma pojęcia o jej istnieniu.

– Nie rozumiem. Powiedział pan, że należy ona od wieków do rodziny Szmejków.

– Dokładnie. A oni przez stulecia wymazywali wspomnienie o tej jaskini. Przekupywali księgowo urzędników. Znikały zapisy z ksiąg wieczystych. Fałszowano książki do historii i mapy. Podobno znikały też nawet jakieś osoby.

– O mój Boże! Skąd pan to wie?

– Tu, w grocie, istnieje niezmiernie duża ilość dokumentów mojej rodziny. Dzienniki, listy, papiery wszelkiego rodzaju. Otchłanie same się otwierają, nigdy by pan w to nie uwierzył. Szmejkowie to rodzina zepsuta do szpiku kości. Mówiłem już panu, że nie jestem szczególnie dumny z mojego pochodzenia. – Szmejk popatrzył na mnie

poważnie.

– Ta jaskinia właściwie nie istnieje. Wiem o niej jedynie ja i paru moich najbliższych współpracowników, do których mam absolutne zaufanie. Kolofonus Deszczblask oczywiście też. I teraz także pan.

Zaniemówiłem na moment.

– I dlaczego wtajemniczył pan akurat *mnie*? Zupełnie obcego?

– To też jeszcze panu wytłumaczę. Ma to związek z pańskim rękopisem. Lecz niech pan pozwoli przejść do naprawdę interesującej części mojej opowieści.

– Jest jeszcze *bardziej* interesująca część? – musiałem się zaśmiać.

Szmejki oderwał się od balustrady i wyszczerzył do mnie. – Wie pan, ludzie w tym mieście uważają mnie za antykwariusza z bardzo wyspecjalizowanym asortymentem. Za szczęśliwego spadkobiercę, dorobkiewicza z dobrą ręką do wartościowych ksiązek i świetnymi relacjami z kolekcjonerami i łowcami ksiązek, za kogoś, kto nie posiada w domu niczego prócz skrzynki ksiązek.

Przybrał nagle wyraz twarzy, którego nie byłem w stanie rozszyfrować.

– Ale tu, na dole, jestem inny. Widzi pan tam ten regał? Z pierwszymi wydaniem z czwartego stulecia? Dzięki jednej z tych ksiązek mógłbym kupić całą dzielnicę w Księgogradzie. Albo przekupić na całe życie jakiegoś polityka. Albo wynieść na urząd jakiegoś burmistrza, finansując mu kampanię wyborczą. Oczywiście nie robię tego.

– Oczywiście, że nie – powiedziałem. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza Szmejki. Mam nadzieję, że niedługo wspomni o moim rękopisie.

– Nie, oczywiście nie robię tego sam. Każę załatwić to moim figurantom.

O czym on mówi? Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Szmejki patrzył się na mnie nieprzerwanie.

– Nie kupuję ksiązek. Kupuję całe antykwariaty. Sprzedaję całe kontyngenty ksiązek. Zalewam rynek tanimi książkami, rujnując okoliczną konkurencję, a gdy plajtują, kupuję ich sklepy za bezcen. Ustalam wysokość czynszu w całym Księgogradzie. Należy do mnie większość wydawnictw w mieście. Prawie wszystkie młyny papiernicze i drukarnie. Wszyscy lektorzy w Księgogradzie są na mojej liście plac, tak samo jak wszyscy mieszkańcy *Jadowitej Uliczki*. Ja ustalam ceny papieru. Nakłady. Ja decyduję, jaka książka odniesie sukces, a jaka nie. Ja tworzę wziętych pisarzy i ja ich niszcze, kiedy tylko mi się to spodoba. Jestem władcą Księgogradu. *Jestem camońską literaturą*.

Czy to jakiś żart? Czy uczony poddawał mnie jakiemuś sprawdzianowi? Raczył mnie próbką swojego dziwnego humoru?

– A to dopiero początek. Zaczynając od Księgogradu, całą Camońkę pokryję

siecią moich antykwariatów. Mamy już filie w Gralsundzie, Floryncie i Atlancie, i mogę pana zapewnić, że interesy idą wyśmienicie. Któregoś, nie tak odległego, dnia będę kontrolował cały handel książkami i nieruchomościami w Camonii, a stąd tylko mały kroczek do politycznego jedynowładztwa. Jak pan widzi, myślę już w szerokich perspektywach.

– Pan żartuje – odparłem bezradnie.

– Nie. Nie żartuję. I proszę traktować mnie poważnie, bo w jedno może pan mi naprawdę wierzyć: Szczególnie dla typów pańskiego pokroju będzie to mało zabawne.

– Jego głos nabrał ostrej barwy, która mnie zmroziła.

– Typów jakiego pokroju? – zapytałem.

– Artystów! – krzyknął Szejmek i wypowiedział to słowo tak, jakby mówił „szczury”.

– Obawiam się, że artyści będą najbardziej cierpieć pod moją władzą. Bo mam zamiar zlikwidować literaturę. Muzykę. Malarstwo. Teatr. Taniec. Wszystkie gałęzie sztuki. Cały ten dekadenski balast. Każę spalić wszystkie książki w Camonii. Wszystkie obrazy olejne każę wymyć kwasem. Każę rozbić wszystkie rzeźby, porozrywać wszystkie partytury. Z instrumentów muzycznych każę zrobić stopy. Ze strun skrzypcowych będą wiązane powrozy. I wtedy zapanuje cisza – kosmiczna cisza i porządek. Wtedy będziemy mogli w końcu odetchnąć. I zacząć od początku. Wolni od plagi, jaką jest sztuka. Świat, w którym będzie istniała jedynie rzeczywistość. – Szejmek jęknął z rozkoszą.

Jeśli nie był to żart, pomyślałem, mogła to być tylko próba jakiejś sztuki teatralnej. Albo początek poważnej choroby umysłowej. Widocznie było to rodzinne. W oczach Hagoba Saldaldiana Szejmka też płonęło szaleństwo.

– Potrafi pan sobie wyobrazić, jak czyste będą nasze myśli, gdy uwolnimy je od sztuki? – zapytał Szejmek. – Gdy wymieciemy nasze zaśmiecone umysły z bezsensownego brudu wyobraźni? Ile czasu zyskamy, by troszczyć się o prawdziwe aspekty życia? Nie, oczywiście, że nie potrafi pan sobie tego wyobrazić. Jest pan przecież *poetą*.

Splunął mi tym słowem prosto w twarz.

– Usunięcie wszystkich gałęzi sztuki nie odbędzie się pewnie bez usunięcia wszystkich artystów. Żałuję, ponieważż wielu artystów znam osobiście, niektórzy z nich są naprawdę miłymi ludźmi – a nawet przyjaciółmi. Trzeba ustalić jednak jakieś priorytety.

Rysy Szejmka stwardniały.

– Tak, przyjaciele będą musieli umrzeć. Pewnie będzie pan chciał spytać: Czy jestem gotów wziąć na siebie winę za to wszystko – czy nie będę czuł żadnych wyrzutów

sumienia? Odpowiedź jest całkiem prosta: nie. Na moim stanowisku nie można sobie po prostu pozwolić na wyrzuty sumienia. Na szczęście kurczą się wraz z narastającą władzą, to całkiem naturalny proces.

Miałem już naprawdę dość.

– Chciałbym już iść – powiedziałem. – Czy mógłby mi pan oddać rękopis?

Szmejki zachowywał się, jakby nie słyszał mojego pytania.

– Jedyną formą sztuki, którą dopuszczę, będą koncerty trąbuzonowe – ponieważ w rzeczywistości nie jest to żadna sztuka, tylko nauka. Myśli pan pewnie, że to, co pan wczoraj usłyszał, było muzyką. Muszę wyprowadzić pana z błędu – to była alchemia akustyczna. Hipnoza poprzez vibracje. Muzyka jest najpotężniejszą ze wszystkich sztuk – musiałem to po prostu wykorzystać. Niech pan spróbuje zmusić publiczność wierszem do tańca! Albo do maszerowania. Niemożliwe! Tylko muzyka to potrafi. Odkryłem tu na dole partytury Doremiasa Fasolatiego, Ronda Optometryczne i od razu rozpoznałem ich potencjał. Uporządkowanie nut w okręgu trafiło do mnie, zanim przeczytałem jakąkolwiek nutę. Wszystko krąży, mój drogi! Za pomocą Mgławcowej Orkiestry Trąbuzonowej udało mi się przekształcić muzykę we władzę. Nuty w żołnierzy. Instrumenty w broń. Słuchaczy w niewolników! Myśleliście, że słuchacie muzyki, ale to wszystko były jedynie rozkazy w hipnozie. Wczoraj kazaliśmy wam kupić książki, a jutro może spalicie miasto. Moglibyśmy rozkazać wam nawet pożreć się wzajemnie i uczynilibyście to z radością.

Jakkolwiek nieprzyjemna byłaby ta sytuacja, nie czułem się zagrożony. Całkowicie dorównywałem grubemu robakowi masą ciała i znałem drogę powrotną.

– Czy wręczy mi pan teraz mój manuskrypt? – spytałem raz jeszcze, tak uprzejmie i stanowczo, jak tylko było to możliwe. Jeśli nie zareaguje teraz, po prostu sobie pójdę i własnoręcznie postawię na głowie cały dom, aż go znajdę.

– Och, przepraszam pana bardzo – powiedział Szmejki i ponownie stał się uprzejmym gospodarzem. – Rękopis! Trochę się zapędziłem z tą pogawędką.

Pochylił się, a jego głos nabral konspiracyjnej barwy.

– Zachowaj pan dyskrecję wobec moich intymnych wyznań, nieprawdaż? Byłoby mi nieprzyjemnie, gdyby coś z tego doszło do publicznej wiadomości.

Na bank zwariował. Kiwnąłem głową z ostrożności.

– Rękopis, tak – powiedział i z chlupotem podszedł do regału. – Przecież dlatego tu jesteśmy. Muszę panu coś jednak najpierw pokazać. Tu, w tej książce.

Wyciągnął z regału czarną książkę, na której okładce wytłoczone w złocie widniało te podejrzaną trójkoło.

– To niesamowicie stara książka, którą kazałem ponownie oprawić. Co sądzi pan właściwie o moim trójkole? Sam je zaprojektowałem.

Nie odpowiedziałem.

– Symbolizuje trzy składniki władzy: władzę, władzę i władzę.

Zaśmiał się i wręczył mi książkę.

– I co mam z tym zrobić? – spytałem.

– Ma pan do mnie trzy pytania. Po pierwsze, chciał pan wiedzieć, dlaczego wtajemniczyłem w to wszystko akurat pana, zgadza się? Po drugie, chciał pan wiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z pańskim rękopisem.

I po trzecie, chciał pan wiedzieć, ile z tego, co panu opowiedziałem, jest prawdą. Do trzech razy sztuka, nieprawdaż? Jedyna odpowiedź na te wszystkie trzy pytania jest zawarta w książce z trójkołem. Oczywiście na stronie 333.

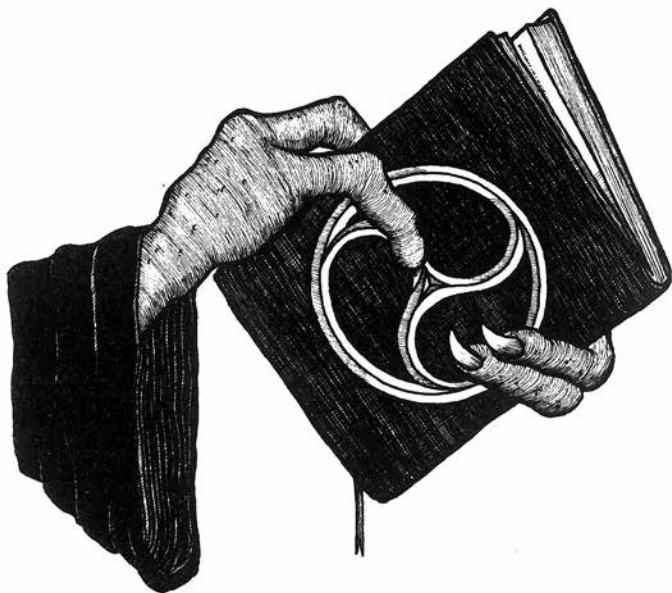
Zwlekałem z otwarciem książki.

– Jak odpowiedź na wszystkie dzisiejsze pytania może być zawarta w tak starej książce?

– Odpowiedzi na niemal wszystkie dzisiejsze pytania zawarte są w starych księgach – odparł Szmek. – Jeśli chce się pan dowiedzieć – proszę sprawdzić. Jeśli nie – niech pan po prostu tak to zostawi.

Czy była to kolejna manifestacja jego choroby umysłowej? Czy on wierzył – co w tych przypadkach było normalną rzeczą – w znaki i rozkazy ukryte w tekstach, w mistykę liczb albo w głosy dochodzące z ksiąg? To by pasowało. Ale dlaczego, do kogo, nie miałbym po prostu tego sprawdzić? Przynajmniej mogłem się w ten sposób przekonać, czy naprawdę mam do czynienia z wariatem: Jeśli tekst na stronie 333 nie miał absolutnie żadnego odniesienia do naszej sytuacji, moja diagnoza była słuszna. W takim wypadku mogłem tylko uciekać stąd jak najszybciej i mieć nadzieję, że nie jest to zaraźliwe.

Otworzyłem książkę w przypadkowym miejscu. Strona 123. Aż po numer w dole strony była ona pusta. Spojrzałem na Szmejka, który się uśmiechał.



Kartkowałem dalej.

Strona 245. Żadnego tekstu, żadnej ilustracji. Także sąsiednia strona była pusta.

299. Żadnego tekstu.

– Przecież niczego tu nie ma. – powiedziałem.

– Patrzy pan przecież w nieodpowiednie miejsca – odpowiedział Szmejk i uniósł trzy palce. – Strona 333.

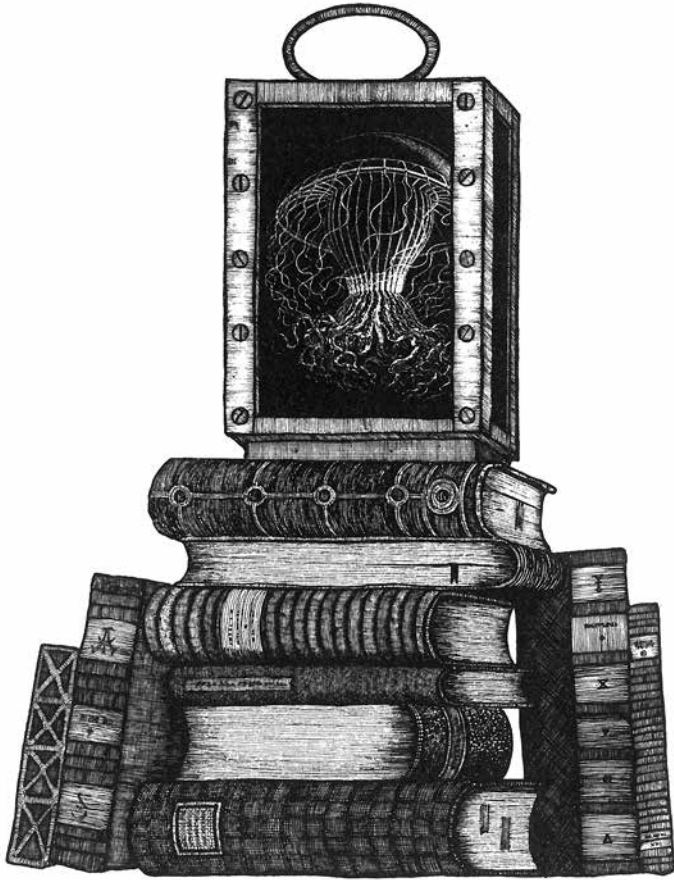
Kartkowałem.

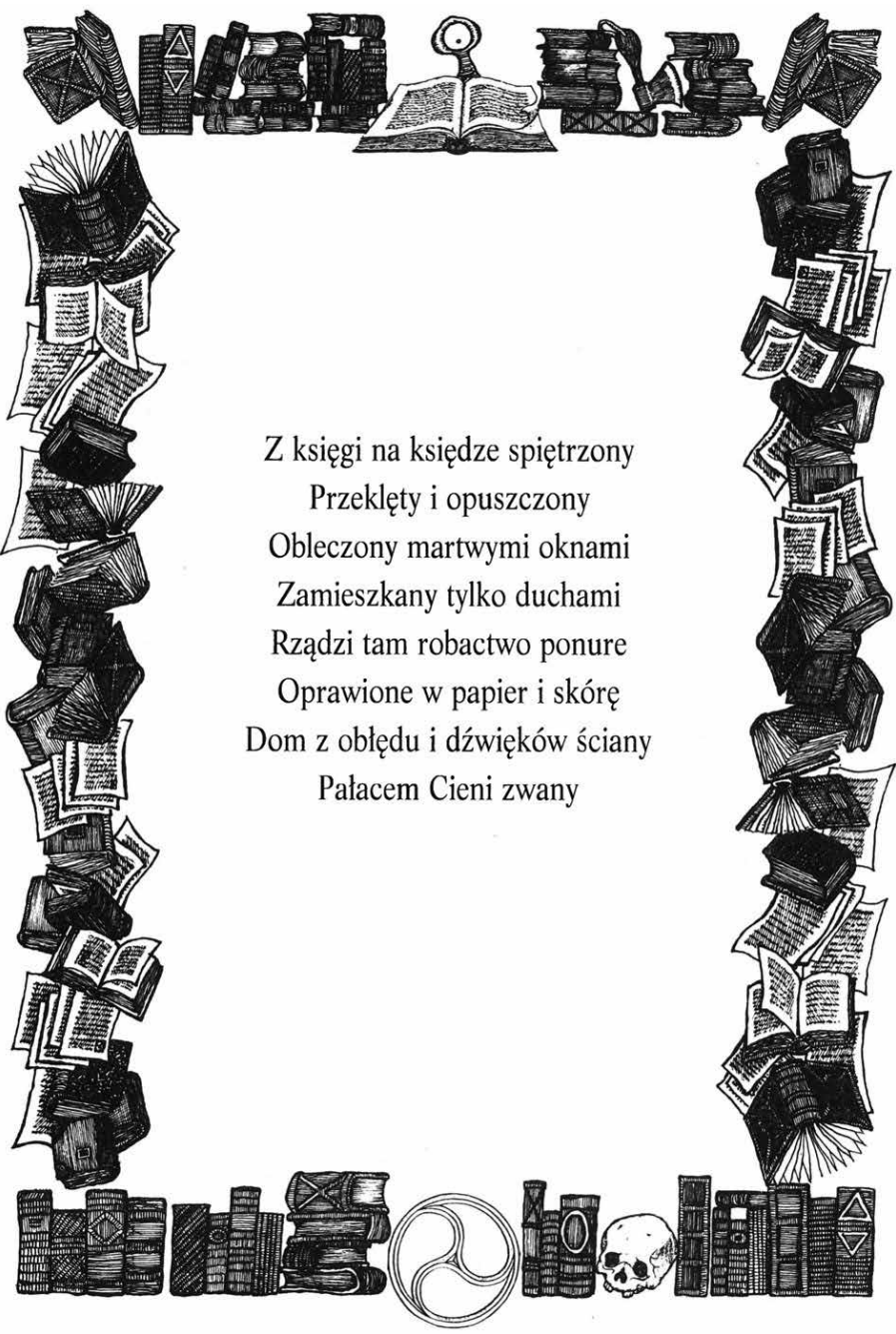
Strona 312. Żadnego tekstu.

Strona 330. Żadnego tekstu.

Strona 333. Teraz dopiero ją otworzyłem. Rzeczywiście coś tam było, zapisane bardzo małym drukiem. Położyłem dłoń na kartce, wyteżyłem wzrok i przyjrzałem się jej bliżej. Dziwny chłód ogarnął czubki moich palców. Na tej i na sąsiadującej stronie widniało cały czas jedno i to samo zdanie:

CZEŚĆ DRUGA
KATAKUMBY
KSIĘGOGRODU



A decorative border of books and papers surrounds the text. At the top, there are stacks of books and an open book with a magnifying glass over it. On the left and right sides, there are vertical columns of books and papers, some open and some closed. At the bottom, there are more stacks of books, a skull, and a circular symbol with three curved lines inside.

Z księgi na księdze spiętrzony
Przeklęty i opuszczony
Obleczony martwymi oknami
Zamieszkany tylko duchami
Rządzi tam robactwo ponure
Oprawione w papier i skórę
Dom z obłądu i dźwięków ściany
Pałacem Cieni zwany

*Z księgi na księdze spiętrzony
Przeklęty i opuszczony
Obleczony martwymi oknami
Zamieszkaný tylko duchami
Rządzi tam robactwo ponure
Oprawione w papier i skórę
Dom z obłądu i dźwięków ściany
Pałacem Cieni zwany*



ŻYWY TRUP

Zostałem otruty, och moi drodzy przyjaciele, trucizną, którą nasączone były strony tej prastarej książki – teraz pewnie rozumiecie, co miałem na myśli mówiąc, że książki mogą zranić, a nawet zabić. Stałem się ofiarą jednej z *Niebezpiecznych Ksiąg*.

Trucizna działała szybko, bardzo szybko: Ledwie dotknąłem palcami stron, a już lodowata fala przeszła moje ciało, strumień zimna, który zamroził wszystkie naczynia krwionośne, każdy nerw i pojedynczą komórkę, aż straciłem czucie i w końcu nawet oczy odmówiły mi posłuszeństwa. *Zostałeś właśnie otruty.*

To zdanie było jedynym, co pozostało. W całkowitej ciemności pozostała jedna, jedyna myśl, która powtarzała się bez końca:

Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty.

Znacie te przerażające sny, w których jest się złapanym w wieczną pętlę, w której musicie śnić ciągle to samo? To działo się właśnie ze mną, wraz z tym strasznym zdaniem:

Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty.

Czy to jest śmierć? Gdy ostatnia rzecz, którą się widziało, słyszało albo pomyślało, powtarza się w nieskończoność, aż ciało rozpadnie się na swe pierwotne składniki?

Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty. Zostałeś właśnie otruty.

Niespodziewanie znów ujrzałem światło, tak nagle i zaskakująco, że pewnie bym krzyknął, gdybym był w stanie to zrobić. Co się ze mną działo?

Wtedy rozpoznałem Fistomefela Szejka. Zobaczyłem najpierw jego nieostrą sylwetkę, potem obraz stawał się coraz bardziej wyraźny i wyraźny. Pochylił się nade mną, a obok niego znajdował się... – Faktycznie, to był Claudio Harfenstock, przyjazny Dzikun i agent literacki! Patrzyli na mnie z zaciekawieniem.

– Znów dochodzi do siebie – powiedział Harfenstock.

– To faza aktywna – stwierdził Szejek. – Zdumiewające, jak precyzyjnie działa nadal ta trucizna, po wszystkich tych latach.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale moje usta były jak zapieczętowane. Za to wzrok mi się polepszał coraz bardziej, no tak, miałem wrażenie, że w całym moim życiu nie widziałem tak dobrze. Ci dwaj promieniowali nienaturalnym blaskiem, widziałem tak wyraźnie każdy włos i por na skórze, jakbym obserwował ich przez lupę.

– Zapewne chciałby pan teraz wyrazić swoją opinię – powiedział Szejek – ale

trucizna równie mocno paraliżuje język, jak stymuluje postrzeganie akustyczne i optyczne. Ma pan chwilowo wzrok orła z Mrocznych Gór i słuch nietoperza – proszę się tym nie irytować! Całe pańskie ciało pozostanie sparaliżowane i wkrótce zapadnie pan w głębokie omdlenie. To wszystko, co robi z panem trucizna – nie umrze pan więc od niej. Zaśnie pan, a potem obudzi się znowu. Zrozumiał pan?

Chciałem skinąć głową, nie mogłem jednak poruszyć żadnym mięśniem.

– Ojej, jaki jestem niewrażliwy! – zawołał Szmejk, a Harfenstock zaśmiał się głupekowato.

– Jakże może mi pan odpowiedzieć? Cóż, mogę wprawdzie nie mieć manier, ale nie jestem też mordercą. To pozostawiam innym. Tu na dole jest wystarczająca liczba bezlitosnych kreatur, które chętnie wyręcą mnie w tej brudnej robocie.

– Dokładnie – powiedział Harfenstock niecierpliwie, oglądając się nerwowo dookoła. – Znikajmy stąd wreszcie.

Fistomefel Szmejk nie zwracał na niego uwagi. To niewiarygodne, jak wyraźnie widziałem ich obu przed sobą. Wydawało się, że świecą od wewnątrz zimnym, nierzeczywistym światłem. Moje źrenice musiały się rozszerzyć w nadzwyczajnym stopniu, a serce pompowało krew trzy razy szybciej, ale całe moje ciało było sztywne jak deska. Byłem żywym trupem.

– Cóż, mój drogi, trochę za mocno grzebał pan na powierzchni Księgogrodu – powiedział Szmejk, a jego głos był zniekształcony i brzmiał boleśnie głośno – Przynieśliśmy pana bardzo głęboko w katakumby pod Księgogrodem, tak głęboko, że na drogę powrotną musieliśmy sobie wyłożyć długi, bardzo długi sznur. Niech pan to potraktuje jak zesłanie. Mogłem pana zabić, ale tak jest o wiele bardziej romantycznie. Niech pan pocieszy się myślą, że spotka pana ten sam koniec, co Kolofonusa Deszczblaska. Popęłnił ten sam błąd, co pan. Zwrócił się ze swoimi sprawami do niewłaściwej osoby. Czyli do mnie.

Harfenstock zaśmiał się nerwowo.

– Musimy już zwiewać – powiedział.

Szmejk uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

– I proszę potraktować jako część kary fakt, że nie wyjaśnię już panu, co takiego ma w sobie ten rękopis. To dość długa historia. A na to nie ma już naprawę czasu.

– Chodź wreszcie – ponaglał Harfenstock.

– Popatrz – powiedział Fistomefel Szmejk. – Zaczyna się faza pasywna. Poznaje się to po zmniejszających się źrenicach.

Opanowało mnie wielkie zmęczenie.

– Żrenice. Żrenice. Żrenice. Żrenice... – przebrzmiewał głos Szmejka w coraz bardziej słabnym echu. Mój duch zgasł jak płomień świecy na wietrze. Zrobiło się znów ciemno.

– Życzę ci dobrej nocy, mój drogi! – powiedział Szmejk. – I proszę pozdrowić ode mnie Króla Cieni, gdy go pan zobaczy.

Usłyszałem jeszcze śmiejącego się bez entuzjazmu Harfenstocka i zemdląłem.



NIEBEZPIECZNE KSIĄŻKI

Gdy się obudziłem, pomyślałem najpierw, że znów jestem na koncercie trąbuzonowym i mam halucynacje, że znajduję się w katakumbach Księgogrodu. Spoglądałem w niekończący się korytarz, zastawiony regałami po lewej i prawej stronie, oświetlony lampkami z meduzami.

Lecz w czasie, gdy moje znieczulone ciało uwalniało się powoli od sztywności, zaświtało mi, że naprawdę znajduję się w labiryncie pod miastem. Po części leżałem, po części siedziałem, moje ciało zostało oparte o regał. Czułem, jak ciepło wraca najpierw w stopy, potem w nogi, w mój tułów, a wreszcie do głowy. W końcu podniosłem się z jękiem i strzepałem kurz z peleryny.

Dziwnym trafem nie opanowała mnie panika. Być może było to następstwo trucizny, być może moje nerwy były jeszcze zbyt przytępione. Czcigodne towarzystwo starych ksiąg też przyczyniało się do mego uspokojenia. Tak, moi wierni, czytający przyjaciele, mimo tego przykrego i zaskakującego obrotu spraw, byłem pełen optymizmu. Bo cóż takiego straszego się stało? Żyłem. Zgubiłem się w podziemnym antykwariacie Księgogrodu, to wszystko. Były tu korytarze, światło, regały, książki – nie był to żaden dziki, mroczny podziemny świat. Książki były dobitnym dowodem na to, że kto chciał, znajdował drogę w tę stronę i z powrotem, gdzieś tam nade mną były setki wyjść. Muszę szukać ich tylko wystarczająco długo i znajdę któreś z nich – nawet, jeśli miałyby to trwać całymi dniami. Szmek i Harfenstock nie mogli z pewnością zawlec mnie zbyt daleko, ci dwaj brzuchacze nie wyglądali na sportowców.

Maszerowałem więc przed siebie i usiłowałem zanalizować swoją sytuację. Tak, co do tego nie było wątpliwości: Fistomefel Szmek i Claudio Harfenstock, rzekomi przyjaciele, byli w rzeczywistości moimi najgroźniejszymi wrogami w Księgogrodzie. Lata izolacji w Twierdzy Smoków nie przyczyniły się najwyraźniej do mojego obycia w świecie. Byłem zbyt łatwowierny.

Pozostawało jednak zagadką, co ci dwaj mieli przeciwko mnie. A może stałem się ich ofiarą przez przypadek? Może byli kimś w rodzaju piratów książkowych, zgranym zespołem ograbiającym prostodusznych turystów? Harfenstock z pełną premedytacją zwabił mnie w sieć pająka przy Schwarzmanna 333, to było pewne. Prawdopodobnie sprzedają właśnie mój cenny rękopis jakiemuś bogatemu kolekcjonerowi. Był już pewnie na zawsze stracony – a moje poszukiwania tajemniczego autora dobiegły końca. Przy tej smutnej myśli obmacałem się mimowolnie, poszukując zaginionego rękopisu – i znalazłem go od razu w jednej z kieszeni mojej peleryny!

Stanąłem, wyciągnąłem go i gapilem się na niego z niedowierzaniem. Szmek musiał

włożyć mi ten list z powrotem, by skazać go razem ze mną na zesłanie w katakumbach. Ale to nie miało sensu! I czyniło wszystko jeszcze bardziej tajemniczym.

Bał się tego listu, taki musiał być motyw! A także tego, że mógł stać się znany ogółowi. Z jakiegoś powodu rękopis wydawał się mu niebezpieczny. Tak niebezpieczny, że nie wystarczyło schować go w podziemnym magazynie, chciał się go pozbyć od razu razem ze mną. Co go tak niepokoiło? I co takiego wprowadziło w roztrzęsienie Kibicera i Przerażnicę? Czy ci dwoje byli w zмовie ze Szejkiem i Harfenstockiem? Czy coś mi umknęło, jakieś zaszyfrowane przesłanie zawarte między wierszami, które mogli odczytać tylko doświadczeni antykwariusze i eksperci od pisma? Choć maksymalnie wytrzeszczałem oczy, wpatrując się w list, nie chciałem ujawnić mi swej tajemnicy. Schowałem go ponownie i poszedłem dalej.

Książki, nic, tylko książki. Wystrzegłem się dotykania którejs z nich. Im bardziej słabło działanie trucizny w moim organizmie, tym nieufniej na nie patrzyłem. Nigdy już nie otworzę książki bez uprzedzeń. Oprawiony papier stracił dla mnie swą niewinność. *Niebezpieczne Książki!* Jakże dobitnie ostrzegęła przed nimi książka ze wspomnieniami Deszczblaska. Poświęcił im cały akapit, teraz wszystko mi się znowu przypomniało. Teraz, kiedy było już za późno.

Historia *Niebezpiecznych Książek* rozpoczęła się prawdopodobnie tym, że jeden z książkowych piratów rozbił drugiemu czaszkę za pomocą ciężkiego tomu. W tym historycznym momencie zauważono, że książki mogą zabijać i od tego czasu metody napytania innym biedy za pomocą książek przez stulecia powielały się i subtelniały.

Książki-pułapki łowców książek były tylko jednym z wariantów. Te fabrykowane – głównie, by zdziesiątkować konkurencję – imitacje szczególnie poszukiwanych i kosztownych dzieł, perfekcyjnie przypominające pierwowzory, były jednak wyposażone w śmiertcionośne mechanizmy. W wydrążonym tomie znajdowały się zatrute strzały i urządzenia do ich wystrzeliwania, małe odłamki szkła wyrzucane przez niewielkie katapulty, sikawki ze żrącymi kwasami albo hermetycznie zamknięte trujące gazy. Wystarczyło otworzyć jedną z takich książek, by zostać oślepionym, ciężko rannym albo zabitym. Łowcy książek zabezpieczali się przed tym maskami i hełmami, kolczugami, żelaznymi rękawicami i innymi urządzeniami – *Książki-pułapki* były głównym powodem ich fantazyjnego i wojowniczego ubioru.

Książki Toksyczne impregnowane trucizną działającą przez dotyk były stosowane szczególnie w czasach camońskiego średniowiecza. Za ich pomocą likwidowano politycznych przeciwników i obalano królów, ale też pozbywano się konkurencyjnych pisarzy i natrętnych krytyków. Pomysłowość, z jaką buchemicy tego czasu rozwinęli

mnożność trucizn, była imponująca. Poprzez dotknięcie jednej, jedynej strony można było oniemić, ogłuchnąć, zostać sparaliżowanym albo zwariować, nabawić się nieuleczalnej choroby czy też zasnąć snem wiecznym. Niektóre toksyny wywoływały śmiertelne napady śmiechu albo zaniki pamięci, delirium albo chorobliwe dreszcze. Innym wypadały wszystkie włosy i zęby albo usychał język. Istniała trucizna, która, gdy weszło się z nią w kontakt, powodowała słyszenie cienkich głosów, tak długo śpiewających w uszach, aż delikwenci dobrowolnie rzucali się z okien. Wariant, który mnie spotkał, był jeszcze w miarę nieszkodliwy.

Kolofonus Deszczblask opisywał, że pewne wydawnictwo z tego czasu zawsze jeden egzemplarz w każdym nakładzie infekowało śmiertelnością toksyną – i robiło sobie tym samym reklamę. Można by przypuszczać, że te książki zalegały na regałach jak ołów, ale działało się wręcz przeciwnie.

Sprzedawały się jak świeże bułeczki. Obiecywały dreszczyk, którego nie mogła zaoferować normalna książka: dreszcz prawdziwego niebezpieczeństwa. Czytano je ze spoconym czołem i kartkowano drżącymi dłońmi, niezależnie od tego, jak nudna była ich treść. Podobno książki te były szczególnie popularne wśród starszych wojowników i poszukiwaczy przygód, którzy ze względów zdrowotnych nie mogli już narażać się na większe cielesne mordęgi.

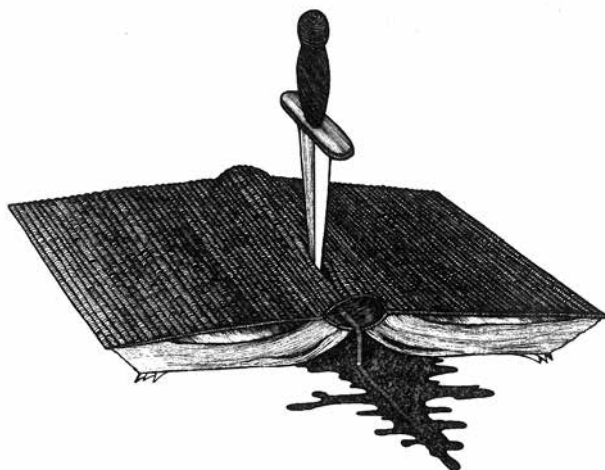
Gdy camońskie średniowiecze już przebrzmiało, *Toksyczne Książki* wyszły z mody, także z tego powodu, że nie były już do pogodzenia z nowoczesnym prawodawstwem. Za to strach i groźbę budziły teraz *Analfabetyczne Książki Terrorystyczne*. Były to imitacje i rozwinięcia *Książek-pułapek*, przemycane do księgarni przez radykalną sektę nastawioną wrogo do literatury. Gdy otwierało się jedną z *Analfabetycznych Książek Terrorystycznych*, cały sklep wylatywał w powietrze. Sekta produkująca owe *Książki-pułapki* nie nosiła żadnej nazwy, gdyż jej członkowie zasadniczo odrzucali słowa. Generalnie odrzucali poza tym zdania, akapity, rozdziały, powieści, każdą formę prozy, wszelką lirykę i w ogóle książki. Sklepy, w których sprzedawano książki, były dla nich obrazą ich fanatycznego analfabetyzmu i uchodziły za siedlisko zła, które trzeba było wymazać z oblicza Camonii. Szmuglowali oni swoje zdradzieckie *Książki-bomby* do księgarni, bibliotek i antykwariatów, chowali je między dobrze sprzedającymi się i chętnie czytanymi dziełami i zwiewali. Analfabetyści spekulowali, że wkrótce nikt więcej nie odważy się na otworzenie jakiegokolwiek książki.

Nie docenili jednak pasji czytelniczej wśród camońskiej ludności, która pogodziła się z ryzykiem rozerwania ciała za lekturę książki. Eksplozje stały się z czasem coraz rzsadsze, aż w końcu kiedyś sekta się rozwiązała, ponieważ przedwczesna detonacja

przy budowie *Książki-bomby* oderwała ich przywódcy głowę. Ale otwieranie książek pozostało ryzykowną rzeczą. Nawet po stuleciach wszędzie mogą się jeszcze skrywać *Analfabetyczne Książki Terrorystyczne*, ponieważ do obiegu wprowadzono niesamowite ich ilości. I tak szczególnie antykwaryaty spotykało od czasu do czasu to, że któryś z nich wylatywał w powietrze, pozostawiając po sobie jedynie głęboki krater. W Księgogradzie wyleciało już w powietrze piętnaście antykwariatów.

W Camonii istniało tyle rodzajów *Niebezpiecznych Książek*, ile było powodów życzenia komuś źle. Żądza zemsty, chciwość, zazdrość i zawiść były motywami, dla których je budowano, czasem także i miłość, gdy w grę wchodziła zazdrość lub nieodwzajemnione uczucie. Zatrute, ostre jak brzytwa brzegi książki, winiety, których dotknięcie wywoływało bezdech, etykiety z trującymi zapachami – wypróbowywano wszystko. Ten, kto miał zwyczaj zwilżania śliną koniuszków palców w czasie kartkowania, żył szczególnie niebezpiecznie, ponieważ wystarczyła mała ilość trucizny przetransportowana z kartek do jego ust, by z krwawą pianą na ustach padł na ziemię rżąc. Małe ranki, powstałe przez zacięcie na zainfekowanym bakteriami złotym brzegu książki, mogły doprowadzić do zakażenia krwi. Zakodowane w księgach buchemików posthipnotyczne rozkazy były w stanie doprowadzić czytelników, nawet parę dni później, do rzucenia się ze skał do morza albo do wypicia litra rtęci.

Z czasem historie o *Niebezpiecznych Książkach* rozmnożyły się do tego stopnia, że trudno było już odróżnić prawdę od legendy. Podobno w katakumbach Księgogradu istniały książki poruszające się o własnych siłach, pełzające, a nawet latające. Były one bardziej podstępne i przerażające niż niektóre szkodniki i owady i trzeba było unieszkodliwiać je za pomocą broni, jeśli chciało się od nich opędzić.



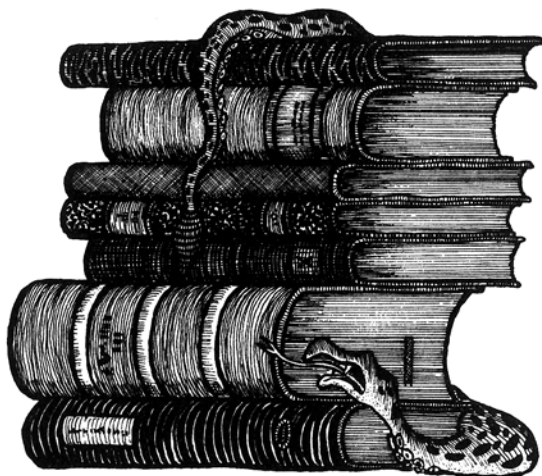
Przebąkiwano o książkach, które szeptały i jęczały w ciemnościach, i o takich, które dusiły swych czytelników zakładkami, gdy ci zasypiali w trakcie lektury. Podobno zdarzyło się też kiedyś, że jeden z czytelników zniknął całkowicie w jednej z *Niebezpiecznych Książek* i już nigdy więcej go nie widziano. Znalaziono tylko jego fotel, z leżącą na nim otwartą książką, w której pojawił się nowy bohater noszący nazwisko zaginionego.

Były to myśli i historie, które przelatywały mi przez głowę, gdy błądziłem po labiryntach, moi drodzy przyjaciele. Nie wierzyłem ani w duchy, ani w czarownice, ani w przekleństwa Przerażnic, ani w żadne inne hokus-pokus tego rodzaju, ale fakt, że *Niebezpieczne Książki* istnieją, stwierdziłem na własnej skórze. Postanowiłem sobie, że tu na dole w żadnym wypadku nie otworzę żadnej książki.

Więc po prostu szedłem dalej, nie zwracając na nie większej uwagi. Mój optymizm w międzyczasie już uleciał. Nie widziałem niczego prócz ścian pełnych książek, których nie odważyłem się dotknąć, od czasu do czasu zauważałem jakąś zdechłą meduzę – równie dobrze mógłbym iść przez zdziczały labirynt pełen trujących pokrzyw. Prócz moich własnych kroków rejestrowałem każdy niesamowity dźwięk, który wszedł do camońskiej literatury: szelesty i pukania, skowyty i wycie, szepty i chichoty – jak gdybym wpadł w partyturę z Makabryczną Muzyką Hulasebdendera Szruti. Te dźwięki dochodziły pewnie z kanalizacji pod miastem, echa nadziemnego pochodzenia. Ale

skoro przeszły przez wszystkie warstwy ziemi i zbłądziły tu przez rury i korytarze, powinny były zmienić się w zupełnie inne dźwięki. Była to upiorna muzyka katakumb.

W końcu opadłem na ziemię. Jak długo byłem już w drodze? Pół dnia? Cały dzień? Dwa dni? Straciłem wszelką orientację – czasową, przestrzenną, moralną. Nogi mnie bolały, głowa huczała jak dzwon. Leżałem tam po prostu. Nasłuchiwałem przez chwilę zastraszających dźwięków z labiryntów, a potem zasnąłem z wyczerpania.



§

MORZE I LATARNIE MORSKIE

Obudziłem się niewyspany, głodny, spragniony – i w kiepskim towarzystwie. Po moich nogach, ramionach, brzuchu, twarzy pełzały i łążyły dziesiątki owadów i innego paskudztwa: przezroczyste czerwie, robaki, węże, święcące chrząszcze, długonogie książkowe straszdyła, uzbrojone w zęby szczypacze, ślepe, białe pająki – skoczyłem z krzykiem obrzydzenia, uderzając dziko po sobie. Robactwo uciekało we wszystkich kierunkach, podczas gdy ja odstawiałem groteskowy taniec i w panice otrzępywałem swoją pelerynę. Padalec książkowy zasyczał raz jeszcze niebezpiecznie i brzęknął swoją grzechotką, nim zniknął ostatecznie za stosem książek. Dopiero, gdy przekonałem się, że przepędziłem ostatnie szkodniki, uspokoiłem się w pewnym stopniu.

Potem znów pomaszero wałem przed siebie. Co innego mi pozostało? W międzyczasie straciłem wszelką nadzieję. Nie było powodów, bym wierzył, że zbliżyłem się do wyjść z labiryntu – być może wpadłem jeszcze głębiej. A owady udowodniły mi, jak szybko można stać się częścią bezlitosnego, podziemnego łańcucha pokarmowego. Pólmartwe świecące meduzy w trakcie ich bezsensownej ucieczki, które od czasu do czasu widziałem, nie przyczyniały się bynajmniej do poprawy mojego samopoczucia – zbyt wyraźnie przypominały mi o mojej własnej sytuacji. Sam też tak wkrótce skończę, wycieńczony i wysuszony, zjedzony przez insekty na ziemi któregoś z tuneli. A wszystko to z powodu jednego listu.

Myśl o rękopisie kazała mi się na chwilę zatrzymać i wyjąć go ponownie. Może jednak odszyfruję owo tajemne przesłanie, które doprowadziło mnie do tej paskudnej sytuacji? Które być może będzie pomocne w wydostaniu się z niej? Była to idiotyczna, przeniknięta rezygnacją nadzieja, ale jedyna, która mogła mnie w tym momencie zmobilizować. Zacząłem więc ponownie studiować list. Czytałem go z takim samym zachwytem, ze wszystkimi emocjami, których doznałem w czasie pierwszej lektury i to zapewniło mi chwilową ulgę – aż dotarłem do końcowego zdania:

„Tu rozpoczyna się historia”.

Było to tak pełne nadziei, tak bezgranicznie optymistyczne, że lzy radości napłynęły mi do oczu: najbardziej ufne zdanie końcowe, jakie można umieścić w opowiadaniu. Schowałem rękopis, poszedłem dalej, rozmyślając przy tym o zdaniu, które znów rozruszało mi umysł. Nagle przeszła mnie myśl, że tajemniczy autor chciał mi coś poprzez nie powiedzieć.

„Tu rozpoczyna się historia”

Lecz co chciał powiedzieć? To, że moja własna historia rozpoczyna się dopiero

tutaj? To byłaby już jakaś pocieszająca myśl. A może powinienem brać to zdanie *jeszcze* bardziej dosłownie?

Nie pytajcie mnie, moi drodzy przyjaciele, skąd wzięło się u mnie to przekonanie, ale byłem pewny, że zdanie jest zagadką, a jej rozwiązanie przybliży mnie do oswobodzenia. Dobrze więc, potraktujmy je dosłownie.

„*Tu rozpoczyna się historia*”.

Gdzie było *tu*? *Tu* w katakumbach? *Tu* gdzie właśnie szedłem? Zgoda! Lecz czyją historię miał na myśli, jeśli nie moją? Co było tutaj prócz mojej skromnej osoby? Owady, jasne. Książki, naturalnie.

Genialna myśl uderzyła we mnie z taką siłą, że mało mnie nie przewróciła. Książki, o ja głupi! Naturalnie, ignorowanie książek było całkowicie idiotyczne – jeśli miałem już oczekiwać jakiegokolwiek pomocy, to tylko od nich. Byłem otoczony tysiącami mądrych pomocników, a nie korzystałem z nich, bo jedno przykre doświadczenie i parę legend o *Niebezpiecznych Książkach* powstrzymywały mnie od tego.

Muszę pomyśleć o metodzie Kolofonusa Deszczblaska, który orientował się przecież według książek. Przede wszystkim chodziło o kolejność, w jakiej umieszczano w labiryncie różne biblioteki i zbiory, co doprowadziło go do jego znalezisk – czyż nie było logiczne, że komu innemu książki mogą pomóc w wydostaniu się z powrotem na powierzchnię?

Nie dysponowałem wprawdzie gruntowną wiedzą Deszczblaska, ale miałem jakieś pojęcie o literaturze camońskiej. A ustalenie wieku książki na podstawie aktualnego stanu, autora, treści i metryki nie było wielką sztuką. Właściwie było to całkiem proste: Im starsze były otaczające mnie książki, tym głębiej musiałem znajdować się w katakumbach. Im młodsze się stawały, tym bliżej byłem wyjść. Nie musi zawsze tak być, ale na pewno wystarczająco często. Większość bibliotek była odbiciem czasów właściciela. Będę orientował się według tego prostego kompasu i dotrę na wolność – jeśli tylko zbiorę się na odwagę, by studiować książki.

A co takiego mam do stracenia? Jeśli jedna z *Niebezpiecznych Książek* urwie mi głowę albo wpakuje trującą strzałę między oczy, spotka mnie przynajmniej szybki i miłosierny koniec, zamiast śmierci głodowej w męczarniach albo stania się pokarmem dla robactwa. Lepiej umrzeć wyprostowanym, niż pełzając jak meduza! Teraz trzeba tylko pokonać strach i otworzyć książkę. Zatrzymałem się.

Podszedłem do regału.

Wziąłem przypadkową książkę.

Ważylem ją w ręce.

Czy jest nadzwyczaj ciężka, klekocze coś w jej środku?

Nie.

A może jest zbyt lekka, ponieważ znajduje się w niej wydrążenie, wypełnione śmiercionośnym gazem?

Nie, nie jest też za lekka.

Zamknąłem oczy i odwróciłem twarz.

I otworzyłem ją.

Nic się nie stało.

Żadnej eksplozji.

Żadnej zatrutej strzały.

Żadnej chmury z odłamków szkła.

Potem dotknąłem nieśmiało stron.

Żadnego uczucia lepkości na palcach.

Czy zauważam objawy nadchodzącego szaleństwa?

Trudno powiedzieć.

Knolfnąłem zębami. Nie, zęby też mi nie wypadają, wszystko było stabilne.

Zawroty głowy? Mdłości? Podwyższona temperatura?

Nic z tych rzeczy.

Otworzyłem znów oczy.

Uff! To była całkiem normalna, niewinna książka bez mechanizmu detonacyjnego, bez śmiercionośnych gazów czy sikawek z kwasem. Była to książka jak większość innych. Papier z literami, oprawiony w skórę z bagiennych świń. Ha! Czego innego oczekiwałeś paranoiczny tępaku? Prawdopodobnie szansa natrafienia na *Niebezpieczną Książkę* między wszystkimi tymi dziełami była jak jeden na miliard.

Przeczytałem tytuł. He, znałem nawet tę książkę, chociaż tylko powierzchownie! Chodziło o *Nic ważnego* Orkosa von Dannena, główne dzieło gralsunderskiego egalizmu. Był to kierunek filozoficzny postulujący radykalną obojętność.

Jest naprawdę obojętne, czy przeczytacie Państwo tę książkę, czy nie, brzmiało pierwsze zdanie, które za każdym razem powstrzymywało mnie od kontynuowania lektury. Tak było i teraz. Odstawiłem nieprzeczytaną książkę na regał – reakcja, która zachwycałaby każdego egalistę, ponieważ dokładnie odpowiadała celom ich filozofii: Nie wywoływać żadnej reakcji.

Lecz ta książka dostarczyła mi ważnych informacji. Mogła pochodzić tylko z camońskiego wczesnego średniowiecza – ponieważ egaliści działali w tym czasie, poza tym było to oryginalne wydanie i do tego pierwszy nakład.

Poszedłem dalej, mijając wiele regałów i książek, nie zwracając na nie żadnej uwagi, pozostawiając za sobą korytarz za korytarzem. Potem zatrzymałem się, wziąłem na chybił trafił jakąś książkę, otworzyłem ją i przeczytałem:

– *Życie jest niestety krótkie – zauważył książę Sommervogel z głębokim westchnieniem.*

– *Cóż – odparł jego przyjaciel Rocco Niapel, uśmiechając się, podczas gdy nalewał sobie szklankę wina – nie będę oponował, jeśli tym samym chcesz wyrazić pogląd, że egzystencja jest druzgocąco ograniczona.*

Wchodzi Madame Fonsecca.

– *Och – woła rozbawiona – widzę, że panowie rozmawiają znów o tej pożałowania godnej okoliczności, że bytowanie nasze na tym padole podlega zatrważającemu ograniczeniu w czasie.*

Była to *powieść abundowa*, bez wątpienia, groteskowa pomyłka camońskiej literatury, w której jedna główna myśl powtarzana była w niekończących się wariacjach. A kiedy tworzyli *abundoniści*? W późnym średniowieczu, jasne! Byłem więc na właściwej drodze, poruszałem się od wczesnego do późnego średniowiecza.

Dalej! Szybko! Biegłem długo wzdłuż regałów, nie zwracając uwagi na ich zawartość. Widziałem dwie meduzy w różnych kolorach, które przywarły do siebie w śmiertelnej walce, ale ten widok nie mógł mnie już skonsternować. Znów byłem pełen nadziei. Potem zatrzymałem się.

Woda nie przetnie chleba – brzmiała pierwsza linijka tomiku wierszy, który właśnie otworzyłem. Jakże się to nazywało? Dokładnie, to była adynacja, nieprawdopodobieństwo w naturze. A jaka szkoła poetycka rozpoczynała swe wiersze tradycyjnie z nieprawdopodobieństwem naturalnym? Adynacjaliści oczywiście! A kiedy tworzyli adynacjaliści? Przed abundonistami czy po nich? Po nich, po nich! Średniowiecze miałem już za sobą, a teraz dotarłem do camońskiego baroku.

Od teraz sprawdzałem w coraz mniejszych odstępach, dawałem sobie więcej czasu, na niektórych regałach sprawdzałem więcej książek i wyteżałem całą literacką wiedzę, jaką wbił mi do głowy Dancelot: Czy Horazio von Senneker tworzył *przed* Pistolariusem Genkiem czy *po*? Kiedy Platoto de Nedici wprowadził do camońskiej literatury adaptcjonizm? Czy Glorian Kürbisser należał do Gralunderskiego Cyrkla czy do Grupy Tralamander? Czy oksymoronistyczna poezja Freddy’ego Włochatego pochodziła z Niebieskiego czy Żółtego Okresu?

Dziękowałem poniewczasie mojemu ojcu poetyckiemu za bezlitosność, z jaką kazał mi wkuwać te wszystkie fakty. Przeklinałem go wtedy za to, a teraz uratują mi

może życie! Tak, jakbym żeglował przez ciemne morze, na którym na małych wyspach stały niezliczone latarnie. Latarniami byli poeci, którzy poprzez stulecia przekazywali sobie nawzajem samotne przesłania, a ja żeglowałem za światłem nawigacyjnym poezji, od wyspy do wyspy – to była moja nić w labiryncie. Zapomniałem o głodzie i pragnieniu, porywałem książki z regałów, czytałem, kombinowałem, śpieszyłem dalej. Zatrzymałem się ponownie i wziąłem nową książkę:

Kosmos implodował – brzmiało pierwsze zdanie. Bez wątplenia powieść antyklamaksowa, gatunek, którego przedstawiciele rozpoczynali swoje dzieła w najbardziej emocjonującym i spektakularnym momencie – czyniąc fabułę stopniowo coraz bardziej błahą, aż w końcu urywała się ona na jakiejś marginesowej uwadze. Antyklamakści należeli do camońskiego romantyzmu – znów dotarłem jedną epokę dalej.

Uwolnił cmok swe usta od jej ust i usiadł chrzęst na rozklekotanym krześle. Podniósł szelest papier i obserwował go mrug.
– *Czy to jego testament?* – *spytał och.* *N*
Westchnęła *stę.*
– *Nie odziedziczymy więc posiadłości Dunkelstein, tylko stary taboret do dojenia?* – *Rzucił prast papier do kominka, gdzie trzask splonął. Zaśmiał się heh i splunął smark na podłogę.*
Zapłakała szloch.

O rany – onomatopoeetycki utwór! Autorzy z tamtego czasu stracili przypuszczalnie wiarę w siłę wyobraźni swoich czytelników i wierzyli, że muszą wykorzystywać w swej poezji tego typu sztuczki – co według naszych współczesnych upodobań rujnowało nawet najbardziej dramatyczny tekst. Ludzie typu Roili Fantono i Montanios Truller pisali tak przekonani, że są szalenie nowocześni. Dziś na podstawie takich głupot można było tylko stwierdzić anachroniczność tekstu. Jednak: były to początki nowoczesnej camońskiej powieści, pierwsze eksperymentalne próby raczkowania nowej literatury – poruszałem się nieprzerwanie w stronę nowożytności.

– *Graf von Elfensenf? Czy mogę przedstawić panu profesora Felmegora La Fitti, wynalazcę powietrza bez tlenu? Może zagralibyśmy w trójeczkę partyjkę rumo.*

O tak, zdecydowanie dotarłem do czasów nowożytnych, ten kawałek dialogu wystarczył, aby mi to udowodnić. Była to powieść o Grafie von Elfensenf autorstwa Mineoli Hicka, prekursor wszystkich camońskich kryminałów, których Hick napisał dziesiątki, dokładnie przed dwustu laty. Literatura niezbyt wysokich lotów, lecz

szczególnie lubiana była wśród młodzieży, popularnością dorównywała niemal powieściom o Księciu Zimnej Krwi. Ta tutaj to *Graf von Elfensenf i Bezdechowy profesor*, którą jako młodzian czytałem z sześć razy. Inne części *Grafa von Elfensenfa* też stały na regale, od *Grafa von Elfensenfa i Żelaznych kartofli* po *Grafa von Elfensenfa i Niemartwego pirata*. Miałem ogromną ochotę przeczytać je wszystkie raz jeszcze, ale nie był to naprawdę odpowiedni moment.

Zamiast tego wziąłem z regału książkę, która stała obok. Była mała, oprawiona w czarną skórę i bez tytułu. Otworzyłem ją i przeczytałem:

Droga Łowcy Książek Rongkong Przecinak

Strzał w sedno! To była już naprawdę nowożytna książka. Rongkong Przecinak – czy to przypadkiem nie ten, który najbardziej bezlitośnie ścigał Deszczbłaska? Można by powiedzieć – współczesny! Idąc dalej, czytałem urywkami.

I. Katakumbum

Łowca książek jest samotny jak Pająxxxx w labiryncie.

Jego domem jest ciemność. Jego nadzieją jest śmierć.

Uhu, mroczny materiał. Lecz napisał to w końcu łowca książek, a przecież nie wszyscy z nich byli tak błyskotliwi jak Kolofonus Deszczbłask.

II. Katakumbum

Wszyscy łowcy książek są równi.

Równie bezwartościowi.

Hm, bardzo sympatyczny gość z tego Rongkonga Przecinaka. Jeden z tych, których nie chciałoby się spotkać tu na dole w ciemnościach.

III. Katakumbum

To, co żyje, można zabić.

To, co jest martwe, można zjeść.

Widocznie chodziło tu o ograniczoną filozofię zawodowego mordercy. Niekoniecznie było to coś, co chciałbym przeczytać. Ale najistotniejszy był fakt, że chodziło o współczesne dzieło. Wyrzuciłem tę miernotę za siebie, podszedłem do regału i wziąłem do ręki nową książkę. Był to szczególnie rzucający się w oczy egzemplarz, kosztownie ozdobiony, ze srebrnymi, złotymi i miedzianymi okuciami, okładka wykonana z połyskującej stali. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, och drodzy przyjaciele, gdy ją otworzyłem i zamiast stron i liter ujrzałem skomplikowaną mechanikę. Równocześnie kamień spadł mi z serca. Gdyby była to jedna z *Niebezpiecznych Książek*, byłbym już bez głowy albo stałbym tam ze strzałą między oczami. Ale w takim razie, co to takiego było?

Widziałem kręcące się kółka zębate, napinające się sprężynki, małe poruszające się korbowody. I wtedy w górnej części książki, wyglądającej jak skrzyneczka albo teatr dla lalek, otworzyła się miedziana kurtyna i na małej scenie pojawiły się małe figury z metalu. Były płaskie jak lalki z teatru cieni, ale imponująco żywe. Przedstawiały najwyraźniej łowców książek, oddanych kunsztownie i dokładnie w ich wojennych uzbrojeniach. Pojedynkowali się na topory i ostrzeliwali strzałami, aż wszyscy padli. Mimo krwawej fabuły było to wykonane milutko i wysoce wyrafinowane. Potem miedziana kurtyna znów się opuściła i zamknęła mały teatr, ku mojemu wielkiemu

rozczarowaniu.

To był świetny wynalazek, inteligentna zabawka dla dorosłych! Po raz pierwszy zapragnąłem, mimo mojej niepewnej sytuacji, posiadać jakąś książkę z katakumb. Musiałem ją tylko wziąć ze sobą. Biorąc pod uwagę stan rzeczy, z pewnością znaję zaraz wyjście, a na górze w Księgogradzie tak rzadka rzecz była pewnie warta majątek.

O, teraz w dolnej części mechanicznej książki coś się poruszyło! Było tam kilkadziesiąt maleńkich okienek, wszystkie w jednym rzędzie, w których wirowały litery camońskiego alfabetu. Potem zrobiły klapklapklapklapklapklapklapklap! Litery zatrzymały się i ułożyły zdanie, które brzmiało:

SZEROKIEJ DROGI ŻYCZY GULDENBART DŁUBACZ

– Co proszę? – spytałem idiotycznie, jakby to książka do mnie przemówiła, a jako odpowiedź rozbrzmiała z jego mechanicznego wnętrza melodia zegara z kurantem. Był to tradycyjny camoński marsz pogrzebowy, który graliśmy także w czasie kremacji Dancelota. Popatrzyłem raz jeszcze:

SZEROKIEJ DROGI ŻYCZY GULDENBART DŁUBACZ

Po misternym teatrzyku lalek była to jednak rozczarowująca i nic niemówiąca wiadomość. A może była to zagadka?

Zaraz, zaraz: Guldenbart Dłubacz – czy to przypadkiem nie ten łowca książek, o którym Deszczblask opowiadał, że zwykł wybijać swoich konkurentów szczególnie wyrafinowanymi *Książkami-pułapkami*? Dokładnie, Guldenbart był byłym zegarmistrzem wykorzystującym swoją wiedzę o mechanice precyzyjnej, aby...

Dopiero teraz zauważyłem, że od grzbietu książki w stronę regału biegnie cienki, srebrny drut, który gwałtownie wibruje. Rzuciłem książkę, upadła z brzękiem i dalej grała marsz żałobny – lecz było już o wiele za późno. Zarejestrowałem dźwięczenie drutów, usłyszałem, jak napinały się z jękiem w całym korytarzu, jakby strojono

ogromną harfę – a potem usłyszałem za sobą gruchot, jak jakiś daleki grzmot. Rzuciłem do tyłu strwożone spojrzenie.

W wyżej położonym końcu korytarza przewracały się ogromne regały, jeden za drugim – wyciągając tę wyrefinowaną *Książkę-pułapkę*, uruchomiłem ukryty mechanizm. Jak klocki domina jeden regał powalał na ziemię następnym, książki spadały setkami i tysiącami na spadziste podłogę, regały z hukiem obalały się jeden za drugim. Drewno, papier i skóra spiętrzyły się w potężną falę, która sunęła szybko w moim kierunku, podobna do lawiny błotnej gnającej przez wysuszone koryto rzeki.

Uciekałem na dół, w głąb korytarza, ale nie dotarłem daleko. Lawina już mnie dopadła i porwała ze sobą, wśród kłębiących się książek wpadających na moją głowę i ciało straciłem wszelką widoczność. Przewróciło mnie, wrzeszczałem ze wszystkich sił, i potem nagle wszystko poleciało w dół. Razem z powodzią książek spadałem w przepaść, wszystko stało się jedynie potężnym szelestem. Potem nagle poczułem straszne szarpnięcie, zderzenie i grad książek runął na moje plecy – musiały spadać na mnie tysiącami. Nagle zapadła zupełna cisza i ciemność. Nie mogłem się ruszać. Ledwie byłem w stanie oddychać. Zostałem pochowany żywcem pod książkami.

∫∫
UNHAJM

Jeśli mieliście jakieś wątpliwości co do faktu, że książki naprawdę potrafią być niebezpieczne, moi drodzy przyjaciele, teraz z pewnością się one rozwiały. Rzuciły się na mnie tysiącami i wspólnie usiłowały mnie zmiażdżyć i udusić. Nie mogłem nic zobaczyć, nie mogłem poruszać ani rękami, ani nogami, powietrze nabierałem z trudem. Książka wpakowała mnie w tę sytuację. *Niebezpieczna Książka*.

SZEROKIEJ DROGI ŻYCZY GULDENBART DŁUBACZ

Teraz zrozumiałem. Był to widocznie wyraz poczucia humoru łowców książek. Wpadłem w pułapkę, która nie była przeznaczona nawet dla mnie, tylko dla któregoś z konkurentów Guldenbarta, a ja wraz ze świeżo odzyskanym zaufaniem do słowa drukowanego włożyłem w nią na oślep. Deszczblask opisywał, że łowcy książek zamieniali całe korytarze i obszary labiryntów w śmiertelne pułapki. Najważniejsze rzeczy przypominają mi się najwidoczniej dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Jak jesienny liść włożony do książki, aby zasechł, leżałem pod górą papieru. Próbowałem ruszać rękami, nogami, obrócić głową, ale ledwie udało mi się skrzywić pazur. Oddychanie stawało się z każdym oddechem coraz bardziej męczące, ponieważ wciągałem przy tym więcej kurzu książkowego niż powietrza. Było tylko kwestią czasu, że się uduszę.

Uduşony pod książkami – Dancelot z pewnością nie wyśpiewał mi nad kołyską, że odejdę kiedyś w taki sposób. Jeśli los potrafi być ironiczny, to miałem dość hojną tego próbkę.

Nie wiedziałem nawet, czy byłem tylko ściśnięty, czy może sparaliżowany. Może w czasie tego brutalnego upadku połamałem sobie wszystkie kości – bóle w każdym razie za tym przemawiały. Lecz to wszystko było mi teraz obojętne. Zabierałem się właśnie do pożegnania z tym okrutnym światem i, możecie mi wierzyć, moi kochani przyjaciele, że w tych okolicznościach uważałem to za łaskę. Wszystko było lepsze niż ta męka i bóle, nawet śmierć. Oby tylko nadeszła jak najszybciej. Ale moje życie ulatywało męcząco powoli.

Coś się pode mną poruszyło. Czuję, jak jestem unoszony, raz, dwa razy, trzy razy, wraz z całą górą papieru, która leżała na mnie. Pomnażało to moje męki, ponieważ

przez to byłem jeszcze boleśniej miażdżony. Czymkolwiek było to, co poruszało się pode mną, musiało być ogromne jak wieloryb. Bez trudu unosiło mnie i ciężar nade mną, żebra w mojej klatce piersiowej trzeszczały, i słyszałem, jak masa książek nade mną rusza z miejsca. Zagruchotało i nagle nacisk z góry odczuwalnie zmalął. Ogromna część papierów musiała się osunąć i mogłem się w końcu poruszać. Nie, jednak widocznie nie miałem zmiażdżonych wszystkich kości. Bóle były straszliwe, ale mogłem poruszać rękami i nogami, odgarniać książki na bok i spychać je do tyłu. Jak dziki uderzałem o nie i spychałem. Rumowisko poluzniło się, w końcu nabrałem więcej powietrza. I wtedy zobaczyłem światło! Rozproszone, barwne światło wpadające przez małe szparki, nie tak daleko ode mnie. Wyciągnąłem rękę w jego kierunku i wysunęła się na zewnątrz! Wiergałem i kopałem jak szalony – i wynurzyłem się, wynurzyłem się z morza książek, w którym niemal utonąłem.

Sapiąc i kaszląc, dysząc i kichając, charcząc i plując, wygrzebałem się na zewnątrz, i w końcu zwymiotowałem całą flegmę i kurz. Chciwie chwytałem powietrze, wiele razy. Potem spróbowałem się obejrzeć, ale mój wzrok był nadal przyćmiony przez kurz, widziałem tylko rozproszone plamki światła. Wymagało to znacznego wysiłku, aż cały uwolniłem się z rumowiska, z luźnej masy mączki papierniczej, skrawków papieru, podartych i całych książek, okładek i luźnych stron. Podpełzłem naprzód i podniosłem się. Trudno nazwać staniem to, co robiłem na tej niestabilnej rupieciarni. Cały czas zapadałem się jedną albo drugą nogą. Ale wkrótce wyćwiczyłem się na tyle, że mogłem ocierać sobie z oczu śmieci i oglądać się bez padania przy tym jak długi.

Wysoko nade mną wysklepiał się kamienny strop. Znajdowałem się w jaskini mającej kształt półkuli o średnicy co najmniej kilometra. Strop był porowaty, poprzecinany wieloma małymi lub dużymi dziurami – przez jedną z nich musiałem spaść ze wszystkimi książkami. Między otworami przyklepiane były całe kolonie świecących meduz, we wszystkich możliwych kolorach i rozmiarach, one były źródłem tego pulsującego światła. Musiała być to jakaś odmiana pochodni-meduz, która była w stanie funkcjonować także poza substancjami odżywczymi. Były zdecydowanie większe i świeciły intensywniej. Prawdopodobnie zwierzęta te rozwinęły się z egzemplarzy, które uciekły z lampek. Pomyślałem o dwóch meduzach, zwartych ze sobą w śmiertelnej walce – może nie była to nawet żadna walka, tylko akt miłosny...

Gromady śnieżnobiałych nietoperzy latały gęsto pod stropem w niekończących się pętłach, wypełniając powietrze swym ostrym piskiem. Potem nagle zagruchotało i zagrzmiało; z jednej dziury wylał się potok rupieci z kurzu i papieru, wpadając do morza książek, na szczęście w bezpiecznej odległości ode mnie.

Wszystkie te zbutwiałe, zniszczone i pożarte przez owady książki, skrawki papierów, wieże z drewna i wszystkie inne śmieci w tym wielobarwnym świetle wyglądały rzeczywiście jak powierzchnia morza. Zwłaszcza że wszystko to nieustannie się poruszało, podnosiło i opadało. Wolałem nie myśleć, jakie to stwory wywoływały taki niepokój – prawdopodobnie była to armia czerwi i szcurów, robaków i chrząszczy, zajętych skrzętnym i ostatecznym zniszczeniem literatury. Czy nie ma przypadkiem takiego wiersza Perla la Gadeona, który nosi tytuł *Robak Zwycięzca*?

Tak, moi drodzy przyjaciele, widocznie spadłem o jedno piętro niżej w tym systemie jaskiń, zsunąłem się głębiej do jego trzewi. I nawet wiedziałem, jak nazywało się to miejsce. Nie mogło to być nic innego jak *Unhajm* – zwałowisko śmieci w katakumbach. Kolofonus Deszczblask był tutaj i poświęcił tej osławionej jaskini i jej okolicy cały rozdział swej książki. Twierdził, że jest to najbrudniejszy i najbardziej zapuszczony obszar labiryntów. Mieszkańcy wyrzucali tu przez stulecia nie tylko książkowe śmieci. Wiele zamieszkałych jaskiń w wyższych obszarach dysponowało szybami, prowadzącymi aż do dziur w stropie Unhajmu, i wrzucano w nie wszystko, co straciło w katakumbach jakąkolwiek wartość. Książkowi piraci pozbywali się w ten sposób ciała swych ofiar; dekadency książęta książkowi wrzucali swe codzienne odpadki i ekskrementy; buchemicy swoje trujące śmieci i pozostałości po nieudanych eksperymentach. Deszczblask utrzymywał, że istnieją szyby prowadzące aż na powierzchnię miasta, do prastarych domów przy uliczce Schwarzmanna.

Tu na dole zebrały się odpady stuleci, humus dla straszliwych roślin i form życia wszelkiego rodzaju. Były tu owady i szkodniki, rośliny i zwierzęta, których poza tym nie dało się spotkać w żadnej z części labiryntów.

Nawet łowcy książek omijali to miejsce szerokim łukiem, ponieważ nie dało się stąd nic wynieść prócz straszliwych chorób. Unhajm – chore wnętrza Księgogrodu, przegniłe trzewia katakumb, ich bezlitosny układ trawienny. Nie panował tu nikt, ani łowcy książek, ani Król Cieni – tylko rozkład. To, co odbyło drogę przez labirynty do Unhajmu, rozkładało się najpóźniej w tej jaskini, przerobione na składniki morza książek, na którym stałem właśnie z drżącymi nogami.

Błądziłem wzrokiem po jaskini. Znajdowałem się mniej więcej w jej środku, do brzegu miałem około pół kilometra. Nie za daleko, ale z pewnością nie będzie to bezpieczny marsz po tym papierowym rumowisku. Dookoła widziałem liczne wyjścia – prawdopodobnie bramy, przez które mieszkańcy katakumb w dawnych czasach także wwozili śmieci. Było mi całkowicie obojętne, które wyjście mam wybrać, ponieważ to, co leżało za nimi, było równie niepewne. Pomaszerowałem po prostu w kierunku

jakiegokolwiek wyjścia.

Cały czas zapadałem się, czasem po kostki, czasem po kolana, czasem po biodra, ale nie na tyle głęboko, abym nie mógł wygrzebać się o własnych siłach. Gdzie tylko stanąłem, roiło się coś i szeleściło i zadawałem sobie trud, żeby nie patrzeć, co takiego tam spłoszyłem.

Od stóp po głowę byłem biały jak duch od kurzu książkowego, każdy mięsień w moim ciele był obolały od upadku i miażdżenia, i łzy leciały mi z oczu ze zrezygnowania. Lecz, moi jedyni przyjaciele, mimo że ta droga cierpienia była z pewnością najgorszym momentem mojego dotychczasowego życia, brnąłem hardo naprzód. Przeżyłem spotkanie z *Książką-pułapką* i głęboki upadek, byłem pochowany żywcem i powstałem – nigdy wcześniej bym nie pomyślał, że jestem aż tak wytrzymały. Nie było mi przeznaczone skończyć tutaj na dole, o nie! Przyrzekłem Dancelotowi na łożu śmierci, że zostanę największym poetą w Camonii i chciałem dotrzymać tego przyrzeczenia, wbrew wszystkim Szmejkom i łowcom książek, wbrew całemu robactwu w katakumbach. Wydobędę się z tego Hadesu, nawet, jeśli miałbym wygrzebywać się na powierzchnię własnymi pazurami i zębami.

Setki pomysłów przelatywały mi przez głowę, pomysły na powieści, wiersze, eseje, opowiadania, sztuki teatralne – wydobyte przez moją wściekłość i upór. Był to fundament pod całokształt twórczości, na cały regał pełen książek Rzeźbiarza Mitów, który formował się właśnie teraz, w momencie, kiedy nie miałem nawet możliwości zanotowania czegokolwiek. Usiłowałem zatrzymać te pomysły, przyszpilić je do ścian mego umysłu, lecz one wymykały mi się jak śliskie ryby. Był to najbardziej kreatywny stan, w jakim się kiedykolwiek znajdowałem, i nie miałem przy sobie nic do pisania! Było to tragiczne i śmieszne zarazem, na przemian śmiałem się i przeklinałem i nawet przekleństwa, które z siebie wyrzucałem, zapierały dech w piersiach – tak były oryginalne.

Mniej więcej połowę uciążliwej drogi miałem już za sobą, gdy nagle coś zaczęło hałasować w morzu książek. Nie, to była jedynie normalna aktywność małych zwierzątek, i wtedy stało się coś dramatycznego – poruszyło się coś większego. Jedyne parę rzutów kamieniem ode mnie rumowisko podnosiło się i opadało o kilka metrów, i przypomniałem sobie o ruchach, jakie odczuwałem, kiedy byłem pogrzebany pod książkami. Tak, coś było tam pod powierzchnią. Po falach, jakie wywoływało, mogłem obserwować, że krąży wokół mnie – a jego kręgi stawały się coraz mniejsze. Z głębin morza książek wydobyło się grzmienie, tak rozdrażnione i groźne, że cała wściekłość i upór momentalnie ze mnie uleciały. A wraz z nimi każdy pomysł, który błędził jeszcze

po mojej głowie. Za to serce i umysł wypełniły się zimnym strachem. Tak musi czuć się ktoś osaczony na środku oceanu przez rekina albo przez wilkołaka w nocnym lesie. Gdzie był teraz ten potwór? Może dokładnie pode mną, z szeroko otwartą paszczą?

I wtedy się wynurzył. Książki setkami wylatywały w powietrze, pył książkowy kłębił się ku górze, strony fruwały, robactwo unosiło się – a pomiędzy tym wszystkim poruszała się największa kreatura, jaką kiedykolwiek widziałem.

Robak Zwycięzca!

Tak, może był to robak, największy z robaków książkowych w Unhajmie, albo może jakiś wąż, albo całkiem nowa forma życia – drzewo genealogiczne tego monstrum było mi teraz całkowicie obojętne. Widoczna jego część, wystająca z morza książek, była tak gruba i długa jak dzwonnica, jego bladożółta skóra przesycona była brązowymi brodawkami. Z jego białawego podbrzusza trzepotały setki czułek lub nówek czy rączek, nie byłem w stanie stwierdzić tego dokładnie. Wokół paszczy, która ziała na jego górnym końcu, sterczały zakrzywione długie zęby, ostre, szpiczaste i niebezpieczne jak maczety. Olbrzym zamarł tylko na moment, słyszało się strumień powietrza, który najwyraźniej w siebie wessał. Wyprostował się jeszcze w górę, zaryczał ogłuszająco i rzucił się w morze książek, że aż huknęło, jak gdyby upadł naraz cały las. Kurz zawirował w szarych chmurach i całkowicie otulił robaka. Potem znów opadł, a ja zobaczyłem, jak monstrum ze swym ogromnym cielskiem toczy się dokładnie na mnie.

Ten, kto nie poruszał się nigdy po zbutwiałych książkach, nie ma pojęcia, jakie jest to trudne. Nie wiem już, ile razy potykałem się i upadałem, przewracałem się i toczyłem po zboczach pożółkłego papieru, jak często wstawałem albo pełzałem na czworakach. Cały czas stawałem na książkach, które rozpadały się w pył albo kolonie mączniaków, na papier, który pękał jak cienki lód.

Robak wypełnił jaskinię swym pożądlivym rykiem, wprowadził nietoperze w piskliwą panikę, i dopiero teraz morze książek naprawdę zaczęło się poruszać. Możecie mi wierzyć, moi najdrożsi przyjaciele, że chętnie poprzestałbym na niewiedzy o tym, co łąziło i czaiło się pod powierzchnią Unhajmu, lecz ta łaska nie była mi dana. Szaleństwo olbrzymiego robaka zaalarmowało wszystkich mieszkańców tej hałdy śmieci i wyszli na górę, by sprawdzić, jaki bezczelny intruz zakłócił ich trawienny sen.



Wyglądało to tak, jakby otwarto wrota piekieł, piekieł wyrzucających nieustannie nowe kreatury, które chciały prześcigać się wzajemnie w obrzydliwości i mroczności. Chruszcze wielkie jak bochenki chleba, opalizujące czernią, z chrzęszczącymi kleszczami, wygrzebały się z rumowiska. Okładka ogromnego foliału otworzyła się. Wyszedł z niej pajak z powiewającymi białymi włosami i ośmioma szafirowymi oczami, jego nogi były dłuższe niż moje. Gapił się na mnie. Rzuciłem się dalej, ogarnięty koszmarnym strachem, że zaraz poczuję na karku jego włochate kończyny. Zamiast tego zaszeleściło i zatrzeszczało wokół mnie, i zobaczyłem długą czarną maczkę wynurzającą się z głębin i macającą na oślep wokół siebie. Tłusta, mięsista kula nabrzmiała między poźółkłymi papierami, jak pęcherz z błotem, po czym z obrzydliwym dźwiękiem wypuściła ze swego wnętrza chmurę książkowego kurzu. Bezbarwne skorupiaki, świecące skorpiony i mrówki, olbrzymie gąsienice we wszystkich barwach i przezroczyste węże wygrzebały się na powierzchnię. Mieszkańce z łuskami i skrzydłami, rogami i kleszczami, na które nie znałem nawet określenia, wygrzebywały się na zewnątrz i rozbiegały na wszystkie strony. Był to karnawał potworów, rezultat trwającej przez stulecia degeneracji i braku higieny.

To wszystko działało jednak na moją korzyść, moi przyjaciele, ponieważ rozwścieczony robak był ślepy i orientował się tylko za pośrednictwem słuchu, a wśród tego całego hałasu dookoła stracił mój trop. Rzucał się to tu, to tam, przekopywał zakurzone masy i dzielił papierowe morze wraz z jego mieszkańcami swymi ostrymi jak brzytwy zębami. Lecz ja dawno już uciekłem z jego pola rażenia.

Teraz pomiędzy mieszkańcami Unhajmu rozgorzała walka, wojna, w której każdy walczył przeciwko każdemu. Nawet w najgorszych koszmarach nie widziałem tak przerażających scen: białowłosy pająk został rozerwany przez czarne macki. Ogromny ślepy szczur został otoczony przez dziesiątki chrząszczy i rozszarpany ich kleszczami. Dwa lśniące czerwono skorpiony tańczyły wokół siebie z uniesionymi żądłami, gdy nagle otworzyła się pod nimi rycząca paszcza, w której zniknęły. Trzy olbrzymie skorupiaki rozgniatały swymi ogromnymi kleszczami istotę, która kpiła sobie z wszelkiego opisu – a w środku tej piekielnej scenerii byłem ja, sapiąc, rozkopywałem za sobą rumowisko. Oczekiwałem, że w każdej chwili grunt ucieknie mi spod nóg i połknie mnie jakaś olbrzymia paszcza lub, że złowi i udusi mnie jakaś macka. Lecz te potwory były tak zajęte wzajemnym wykańczaniem się, że żaden z nich nie wykazywał zainteresowania mną. Pyskowały i wrzeszczały, strzykały swoim jadem, dusiły się, kłuły i gryzły bezlitośnie i dziko – a ja maszerowałem przez to wszystko, jakbym miał na sobie czapkę-niewidkę. Być może był to oczyszczający rytuał, który regularnie odbywały, święta bitwa, z której przyjezdni byli z zasady wyłączeni. Być może wydzielałem zapach, który czynił mnie nieinteresującym jako przeciwnika bądź ofiarę – któż zrozumie chorą naturę tego przeklętego miejsca?

Najważniejsze było jedynie to, że dotarłem w końcu do brzegu jaskini, żywy i bez szwanku. Całkowicie wyczerpany wkroczyłem na kamienny grunt. Odpocząłem parę chwil, posapując i rzuciłem ostatnie spojrzenie na hałdę. Niedaleko mnie mocowały się w pyłe książkowym dwa ogromne jak drzewa wije, rozbryzgując swe żrące kwasy. Ale bitwa już niemal wszędzie była na ukończeniu. W górę niosły się dźwięki różnorodnego mlaskania, rozdzierania i połykania, rozpoczęła się uczta zwycięzców. Dziwne uczucie, mieszanina obrzydzenia i ulgi, dopadło mnie w tym straszliwym momencie, którego nie chcę już wylewniej opisywać, moi dzielni przyjaciele.

Gdybym miał mniej szczęścia, mógł być to i mój los: zostałem pożarty i przetrawiony w Unhajmie, olbrzymim brzuchu katakumb. Odwróciłem się ze zgrozą.

Teraz, gdy życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, odezwały się ponownie moje lęki z całą ich kreatywnością: Co będzie, jeśli złapałem na łańdźce jakąś straszłą chorobę? Nawdychałem się i dotykałem pewnie z miliard bakterii i wirusów – niektóre ze zwierząt same wyglądały jak straszliwe choroby. Otrząsnąłem i strzepałem z peleryny obrzydliwy kurz.

Od jaskini odchodziły liczne większe i mniejsze wyjścia. Niektóre były całkowicie zapchane książkowym gruzem, z innych nadchodziły marszem całe armie owadów zwabione odgłosami trupiej uczty. Wybrałem tunel, w którym widziałem tylko pojedyncze książki, pokryte grubym kurzem, i żadnych innych zwierząt prócz świecących meduz, które w ślimaczym tempie pęzły długą procesją po wysokim stropie, nie wiadomo dokąd.

Euforia, która pojawiła się wraz z wejściem na stały łańdźce, nagle uleciała. Jeszcze nie opuściłem Unhajmu, wiedziałem z książki Kolofonusa Deszczblaska, że obszary wokół śmietniska dorównywały mu ponurością i niebezpieczeństwem. Mieszkańcy katakumb przez stulecia używali tych tuneli i jaskiń jako grobowców, pogrzebano tam tysiące trupów. Podobno były tu też ukryte mauzolea zabezpieczone najbardziej wyrafinowanymi pułapkami. W tych grobowcach kazali się chować bogaci książęta książkowi wraz ze swymi najcenniejszymi skarbami. Zdumiewające, ale nawet najbardziej chciwi łowcy książek trzymają się z daleka od tego miejsca, tak samo jak z zasady unikają tych obszarów. Wielu z nich jest przekonanych, że straszą tu upiory i mumie, wędrują szkielety i żadne zemsty duchy zamordowanych. Powiada się, że między grobowcami Unhajmu narodził się Król Cieni. Było to ponure królestwo zmarłych, do którego od długiego czasu odważały się wkraczać jedynie owady i szkodniki świata podziemi.

Nie muszę zapewne zaznaczać, moi drodzy przyjaciele, że nie wierzyłem w takie bzdury, lecz sama myśl o wędrowaniu poprzez tysiące anonimowych grobów jest nieprzyjemna nawet dla najbardziej oświeconego umysłu. Cmentarzy unikam nawet przy świetle dziennym, przy kremacjach i pogrzebach zaś jestem obecny jedynie wtedy, kiedy nie da się naprawdę już tego uniknąć, jak w przypadku mojego ojca poetyckiego. Nie mam żadnych chorych ciągót i chcę spojrzeć śmierci w oczy naprawdę dopiero wtedy, gdy nadejdzie mój czas – z tego też powodu okolica ta miała druzgoczący wpływ na mój nastrój. Nawiedziły mnie wspomnienia przeczytanych w młodości horrorów. Nie mogłem nie myśleć o rękach szkieletów wydobywających się z ziemi, chwytających wędrowców za kostki i wciągających w otchłanie. O jęczących duchach

wychodzących ze ścian i biorących w lodowate objęcia, o szaleńczo śmiejących się czaszkach pływających w ciemnościach. Im bardziej oddalałem się od hałdy, tym ciszej robiło się wokół mnie, aż w końcu nie słyszałem niczego prócz własnych kroków.

A z każdym krokiem wkraczałem coraz głębiej i głębiej w królestwo zmarłych – nawet ani jeden chrząszcz nie pojawił się na mojej drodze. Wrzaski nietoperzy, które działały mi tak na nerwy, całkowicie ucichły. Jedynymi żywymi istotami, prócz mnie, wydawały się zmutowane meduzy, które najwidoczniej wykorzystały szansę zdobycia i zaludnienia tej opuszczonej części katakumb. Były wszędzie, w najróżniejszych rozmiarach i kolorach, pojedynczo bądź w koloniach przylepiały się do ścian i stropu, obejmowały głązy i stalaktyty. Powoli zaczynałem brzydzić się tymi kreaturami. Ich zdolność do przystosowania się i cicha obecność miały w sobie coś niesamowitego i odrażającego. Coraz częściej natykałem się na rzeczy odpowiadające opisom Deszczblaska. Trafiłem do tunelu pełnego pootwieranych pustych grobów, tu i tam leżały dookoła pojedyncze kości lub czaszki. Za to książek widziałem coraz mniej. Jeśli znajdowały się kiedyś na tym obszarze, dawno już zamieniły się w pył, przez który brodziłem. Odpocząłem nieco w jednej z pieczar z kamiennymi piramidami wielkości człowieka, które prawdopodobnie były grobowcami. Ale niepokój, jaki wzbudzało to miejsce i cisza w nim panująca, pognały mnie wkrótce dalej.

W ciągu leżących obok siebie pieczar zobaczyłem ogromne zwały spiętrzonych kości i czaszek, kości udowych, kości ramion – wszystkie posortowane na osobnych stosach. Deszczblask relacjonował, że niektórzy pramieszkańcy katakumb nie zadawali sobie nawet trudu, by chować swych zmarłych. Pozwalali po prostu, by trupy piętrzyły się w stosach i rozkładały, nie zwracając uwagi na ryzyko zachorowania, jakie niesła ze sobą taka metoda grzebania zmarłych. Całe połacie labiryntów zostały wyludnione przez straszliwą zarazę, przenoszoną przez pewien gatunek szczurów, aż buchemicy wynaleźli w końcu skuteczną truciznę na te szkodniki. Przechodziłem obok dziesiątek stert zwłok i musiałem cały czas wmawiać sobie, że po setkach lat z pewnością nie mogą mnie już niczym zarazić.

Od teraz wszędzie widziałem tylko kości. Mieszkańcy pieczar obdarzeni artystycznymi zdolnościami używali kości do celów dekoracyjnych, układali z nich na ścianach ornamenty albo brukowali czaszkami całe tunele – tutaj sformułowanie *kostka brukowa* nabiera nagle całkiem nowego znaczenia. Wymagania i zdolności artystyczne musiały się z czasem rozwinąć, ponieważ wkrótce napotykałem na swej drodze zrekonstruowane szkielety, zastygłe w codziennych pozach: stojące, siedzące, opierające się o ścianę, siedzące na ziemi, spotykałem nawet grupy tańczące w

kółeczkach. Z ciarkami na plecach przechodziłem przez pieczarę pełną szkieletów, które kunsztownie ułożono w typowo jarmarcznych scenkach: targujących się, spacerujących, zachwalających towar lub kupujących – tyle że zamiast kapustą handlowali czaszkami.

Nie wiadomo, kiedy przyzwyczaiłem się do widoku niezliczonych szkieletów, tak samo obojętnie się na wszystko, co spotyka się w ogromnej ilości. I nie wzdrygałem się już nawet, widząc nagle za zakrętem tunelu szkielet pozdrawiający mnie uniesioną ręką. W tym martwym świecie było nawet coś pocieszającego, ponieważ nieobecność życia oznaczała także nieobecność niebezpieczeństwa. Całe zło pochodzi od żywych. Martwi są nastawieni pokojowo.

Mimo to, nie miałbym nic przeciw wymianie ich towarzystwa na towarzystwo antykwarycznych ksiąg. Trupy i grobowce nie dawały mi żadnych wskazówek co do kierunku, mogłem jedynie potykać się dalej przez ten najwyraźniej niekończący się podziemny cmentarz. Jedna z grot była tak wypełniona urnami, że przechodząc przez nią, przewracałem niektóre nogami. Jedna z nich wywołała prawdziwą reakcję łańcuchową, powodując upadek setki innych i uwalniając ich pyłową zawartość. Wiatr ciągnący przez pieczarę wzbіл wysoko wirujące chmury kurzu, wionął mi w twarz i przeniknął do moich dróg oddechowych, osadził się na języku i zalepił mi oczy. W ustach i na oczach miałem prochy zmarłych! I kto wie, na jakie przerażające choroby umarli! Jeszcze wiele godzin później musiałem spluwać, kiedy wydawało mi się, że znalazłem odrobiny pyłu pomiędzy zębami.

W czasie marszu przez ten smutny świat widziałem groby i poznałem różne sposoby grzebania zmarłych, kamienne mauzolea i szklane sarkofagi, trupy w bursztynie i olbrzymie grobowce, które mogły zawierać w zasadzie tylko szczątki doczesne gigantów. Trafiłem na opisywaną przez Kolofonusa Deszczblaska *Halę Glinianych Wojowników*, pieczarę stalaktytową, w której wojownicza rasa olbrzymów chowała swych zmarłych w pozycji stojącej, pakując ich w glinę, pokrywając całkowicie polanami drewna i ostatecznie podpalając. Pozostawała po tym wypalona gliniana figura wraz z upieczonym w środku trupem.

Od *Hali Glinianych Wojowników* odchodziło pięć różnych tuneli, a ja wszedłem po prostu w pierwszy z brzegu. Jak zdołałem zauważyć w następnym momencie, popełniłem dramatyczny błąd. Nie widziałem jeszcze nigdy Pajaxxxa, lecz dzięki starannemu opisowi Deszczblaska wiedziałem natychmiast, że znajduję się pod jednym z nich. Trzy, cztery, pięć, sześć albo i więcej szarych, owadzich nóg opuściło się właśnie, otaczając mnie. Byłem uwięziony, och moi dzielni przyjaciele, byłem uwięziony w żywej klatce!

56

PODWÓJNY PAJĄK

Jeśli ktoś chciałby się zorientować, jak wygląda Pająxxxx[7], najlepiej będzie, jeśli wyobraz sobie podwójnego pająka. Podwójny pająk tylko z jednym tułowiem, za to z szesnastoma nogami, a zamiast oczu z szesnastoma metrowymi czułkami. Kreatura, która potrafi biegać nie tylko po ziemi, ale także po suficie i po ścianach – i to w tym samym czasie.

Deszczblask wiedział ze swych obserwacji, że Pająxxxxy są ślepe i głuche i że nie dysponują żadnym zmysłem powonienia – na ich całą percepcję, jak to zwykle bywa u podziemnych kreatur, składał się wyłącznie dotyk. Pająxxxx nie wie, co to Góra i Dół, Przód i Tył, zna tylko niekończące się Naokoło, które bada bez wytchnienia szukając pożywienia – a pożywieniem dla Pająxxxxa jest w zasadzie wszystko, co się rusza. Obmacuje systematycznie tunel i pożera wszystko, co wpadnie pod jego czułki, czy to robaka książkowego, czy chrząszcza, węża, nietoperza, szczura, czy łowcę książek. Pająxxxx jest odporny na wszystkie trucizny, którymi dysponują niektóre formy życia w katakumbach, i właściwie nie da się go zranić. Jego małe łuski składają się z wytrzymałego granitu, od którego odbija się każda, nawet najostrzejsza broń. Deszczblask przypuszczał, że skrywają się pod nimi mięśnie z drewna, kości ze spiżu, organy z węgla i serce z diamentu, które przenika płynąca zamiast krwi żywica – prawdziwe stworzenie z głębi ziemi, istota łącząca w sobie roślinę, zwierzę i minerał. Także i jego aparat gębowy jest nie do pokonania: pysk pełen kamiennych zębów do przeżuwania, spiżowe kleszcze do rozrywania i długi ryjek do wysysania ofiary. Deszczblask uważał Pająxxxxy za użyteczne stworzenia, oczyszczające labirynty ze szkodników – trzeba było tylko schodzić im z drogi szerokim lukiem.

Tego ostatniego niestety zaniedbałem. Ale, moi drodzy przyjaciele, są też dobre wiadomości! Po pierwsze: Ta szkarada w ogóle mnie jeszcze nie zauważyła. Jeśli Deszczblask miał rację w swoich obserwacjach i Pająxxxx naprawdę był ślepy, głuchy i pozbawiony zmysłu węchu, wtedy nie miał prawa zarejestrować mojej obecności. Dotknąć mnie jeszcze nie dotknął, ani czułkami, ani odnóżami. Prawdopodobnie tylko przypadkiem opuścił odnóża właśnie w tym momencie, gdy chciałem pod nim przejść i tkwiłem w jego więzieniu, podczas gdy on nie miał nawet o tym pojęcia.

[7] Przyp. od W.M.: W alfabecie camońskim istnieje litera, która symbolizuje wiele odnóży i występuje w nazwie każdej formy życia, która ma więcej niż osiem nóg. Takiej litery nie ma jednak w naszym alfabecie, z tego też powodu dopomogłem sobie, używając czterokrotnie litery x, co według mnie wystarczająco już symbolizuje szesnaście odnóży. Nie oznacza to jednak, że trzeba wymawiać wszystkie cztery x. Proszę wymawiać nazwę Pająxxxx tak, jakby posiadała tylko jedno x.

Druga dobra wiadomość: Uwagę Pająxxxxa zajmowało coś innego. Był mianowicie zajęty wysysaniem świecącej meduzy, którą wymacał na stropie tunelu. Wsadził swój trąbopodobny ryjek w pożałowania godną meduzę, wydając przy tym obrzydliwy dźwięk siorbania, podczas gdy siła światła jego ofiary coraz bardziej słabła.

Trzecia dobra wiadomość: Odstępy między odnóżami były na tyle szerokie, że z odrobiną zręczności mogłem się stamtąd wyslizgnąć. Największe ryzyko stwarzały bez wątpienia wijące się dookoła czułki, ale były one w tym momencie zajęte głównie obmacywaniem meduzy. Poza tym musiałem uważać na niemal niewidoczną pajęczą sieć rozpinającą się między odnóżami Pająxxxxa – tym sposobem polował na latające zwierzęta typu mole i nietoperze, była to niemal perfekcyjna maszyna do polowań.

Zwinąłem moją pelerynę, nabrałem głęboko powietrza, wciągnąłem brzuch i głowę, by stać się jak najchudszy i najmniejszy i prześlizgnąć się bokiem przez powstały rozstęp. Pająxxxx nade mną zdawał się naprawdę nie zauważać tego wszystkiego. Jego pożądlive siorbanie stłumiło teraz zadowolone mruczenie, które pozwalało wnioskować, że posiłek zaabsorbował go całkowicie.

A więc dalej, centymetr po centymetrze przesuwalem się, wstrzymując oddech. W pulsującym, bladoróżowym świetle umierającej meduzy widziałem każdą pojedynczą granitową łuskę na odnóżach Pająxxxxa – jeszcze żaden smok nie podszedł tak blisko tych bestii. Jeszcze kawałeczek i byłem na zewnątrz. Jeszcze... kawałeczek... iii... wyciągnąłem nogę – i byłem wolny! Niestety tylko na krótką chwilę, ponieważ Pająxxxx właśnie zmienił pozycję. Wyciągnął ryjek z meduzy i wbił go w inne miejsce w galaretowatej masie. Przemieścił przy tym około tuzina swoich odnóży, machając i siekając mi nad głową, postawił je z powrotem na ziemi, opuszczając przy tym jeszcze parę czułków, które piasnęły o ziemię jak mokre liny. Także i tym razem mnie nie dotknął, ale tkwiłem teraz w jeszcze węższym więzieniu.

Serce mi waliło i usiłowałem się uspokoić. Przestrzeń między dwoma odnóżami była wystarczająco szeroka, aby się przez nią wydostać, lecz w jej środku rozciągała się delikatna sieć pajęczego jedwabiu, tak wielka, że musiałbym pod nią przepelznąć na kolanach. Usiłowałem stłumić myśl, że Pająxxxx może jednak mnie zauważył i prowadzi ze mną tylko okrutną grę.

Ostrożnie opadłem na kolana. W pajęczej sieci wisiwały maleńkie mole i tunelowe komary, także wysane do końca, a pożądlive dźwięki siorbania nade mną potwierdzały jedynie przypuszczenia Deszczblaska, że Pająxxxx nie wzgardzi nawet najmniejszym żywym pokarmem.

Pełzłem między odnóżami, zawijając wokół siebie pelerynę tak ciasno, jak było

to możliwe, poruszałem się powoli, skoncentrowany na tyle, na ile pozwalały mi na to nerwy. Dwoje czułków w węzowych ruchach smagało przede mną powietrze nad podłożem tunelu. Ciecz wypływająca z meduzy kapała mi na kark, ale nie pozwoliłem, by zmusiło mnie to do zbyt gwałtownych ruchów. Popatrzyłem jeszcze raz w górę, aby się upewnić, czy Pająxxxx nadal był zajęty swoją ofiarą. Tak, był. Mruczając z zadowoleniem, wsysał się w meduzę. Spojrzałem ponownie w ciemność tunelu, do którego chciałem uciec. I wtedy go zobaczyłem.

Białego jednookiego nietoperza!

Jak gdyby śledził mnie z *Oberży Grozy*, z pokoju strachów w hotelu *Pod Żółtym Piórem*, poprzez moje koszmary aż tutaj – tak zdecydowanie zmierzał do czarnej nicości tunelu, silnie poruszając skrzydłami, prosto na mnie i na Pająxxxxa.

Naturalnie nie była to martwa kreatura z mojego pokoju, ale jestem przekonany o tym, że był to przynajmniej jego bliski krewny, brat albo kuzyn, który otrzymał rozkazy z zaświatów, by wpędzić mnie w jeszcze większe tarapaty. To głupie zwierzę miało najwyraźniej zamiar przelecieć między odnóżami Pająxxxxa. I oczywiście nie zauważało cienkiej pajęczej sieci, która była między nimi rozpięta.

Wstawać i uciekać – to wszystko, co mogłem teraz zrobić. Ale nietoperz był szybszy. Jedno uderzenie skrzydeł wystarczyło, aby zaszeleścił w niewidzialnej pułapce, zaplątał się dokumentnie wśród lepjących nici, piszczał i trzepotał – i zaalarmował Pająxxxxa, nim zdążyłem podnieść się ledwie do połowy.



Jego nogi zacieśniły się dookoła, jego czułki biczowały powietrze jak zerwana lina. Dostałem cios w klatkę piersiową, przewróciłem się do tyłu, zahaczając o owadzie

odnóże i oto leżałem już na ziemi. Pająxxxx wyszarpnął ryjek z meduzy, rozbryzgując długie pasma świecącej cieczy i zniżył na mnie swe szare cielsko. Jego liczne czułki wędrowały po moim całym ciele, twarzy, a równocześnie obmacywał też miotającego się nietoperza.

Musiał być to wielki dzień w życiu kulinarnym Pająxxxxa, który będzie wspominać jeszcze długo z rozrzewnieniem. Najpierw tłusta meduza jako przystawka, potem delikatna przekąska w postaci włochatego białego nietoperza, i ostatecznie jako danie główne ten dotychczas nieznany smakołyk ze skórzastą skórą i podniecającym apetyt potem. Słyszałem jak w jego wnętrzu bulgoczą soki trawienne. Jego kleszcze kłapały z podnieceniem.

Balansował swym masywnym cielskiem na ośmiu dolnych odnóżach, podczas gdy pozostałymi odstawiał na stropie jakiś taniec. Widocznie zastanawiał się nad tym, którą z ofiar ma spożyć jako pierwszą. Dużą czy małą? Małą czy dużą? Nie mógł się zdecydować i kłapał dalej kleszczami, aż wsunięto mu pomiędzy nie książkę.

Książka?

Czy miałem halucynacje właśnie ze strachu? Skąd wzięła się ta książka? Odwróciłem głowę do tyłu i zobaczyłem nad sobą całkowicie opancerzoną postać. To był łowca książek! Tkwił w zbroi składającej się z wielu różnorodnych metalowych części, która nie pozostawiała żadnego wolnego miejsca na jego ciele. Głowę i twarz zakrywał hełm i żelazna maska. Jedno z ramion miał wyciągnięte i wpychał Pająxxxowi książkę między kleszcze. Dokładnie: książkę.

– Żryj to! – powiedział głębokim głosem.

Zobaczyłem jeszcze, jak Pająxxxx, wykazując się szybkim refleksem, wgrzyza się w książkę, podczas gdy opancerzony rzucił się na mnie z całym impetem i wszystko pociemniało. Słyszałem rozgryzanie i chrupanie – Pająxxxx ćwiartował książkę – a potem ogłuszającą detonację! Uzbrojenie leżącego na mnie łowcy książek wibrowało i pobrzękiwało, i zalała mnie fala gorąca. Potem znów zrobiło się cicho. Chwilę nie działał się nic, aż łowca książek, stękając, podniósł się i odsłonił mi widoczność. Wstałem, a w moich uszach rozlegał się przeraźliwie wysoki gwizd.

Ciało Pająxxxxa rozrzucone było po całym tunelu. Jego odnóża tkwiły jak lance w ścianach i podłożu, wszędzie leżały jego kamienne łuski. Ze stropu kapala żywiczna ciecz.

– Nie pomyślałbym, że jedna z tych *Analfabetycznych Książek Terrorystycznych* może się na coś przydać – powiedział łowca książek, pomagając mi wstać. – Z powodu tych cholernych książek musimy ganiać w takich irytujących zbrojach.

– Dziękuję – powiedziałem. – Uratowałeś mi życie.

– Unieszkodliwiłem tylko *Niebezpieczną Książkę* – powiedział łowca książek i starł z siebie trochę śluzu Pajaxxxa. Przeszedł parę kroków w dół tunelu, wygrzebał coś z rumowiska granitu i węgla. Był to połyskujący diament wielkości pięści.

– Rzeczywiście – mruknął – naprawdę mają diamentowe serce. Potem odwrócił się do mnie. – Mogę się przedstawić? Nazywam się Kolofonus Deszczblask. Czy pozwolisz zaprosić się po tych strasznych przeżyciach na mały posiłek? Do mojego skromnego domu?



CZASZKA TYTANA

Czy był to koniec moich nieszczęść, światło na końcu tunelu? Kolofonus Deszczblask we własnej osobie uratował mi życie, och moi przyjaciele, a teraz prowadzi mnie do swego podziemnego domu, by mnie ugościć – czy w tych okolicznościach mogło mi się przytrafić coś lepszego? Jeśli istniał ktoś, kto był mi w stanie tu pomóc, to na pewno był nim największy ze wszystkich łowców ksiązek.

Najpierw był to regularny marsz milczenia. Kolofonus Deszczblask nie był widocznie mężem słowa. Brnął po prostu z przodu i mówił co najwyżej „Tędy!” albo „Ostrożnie, przepaść!” albo „Zniżyć głowę!”.

Dotarliśmy wkrótce do tej części katakumb, w której nie było nawet świecących meduz, a jedynie szare kamienie, oświetlane tylko wędrującym światłem pochodni z meduz Deszczblaska. Przez długi czas widziałem jedynie to: milczącego łowcę ksiązek, który maszerował przede mną wąskimi granitowymi korytarzami, wchodząc po naturalnych stopniach, niczym jakiś niesamowity kamerdyner z kiepskiej powieści grozy. Im bardziej wąsko się stawało, tym większy był mój niepokój, skały przypominały mi zbyt dobitnie o tym, że ciążyły nad nami warstwy grube na kilometr.

Nagle zastąpiła nam drogę pokryta czarnym futrem istota o czerwonej twarzy, wyglądająca jak straszliwie zniekształcona małpa, zaprezentowała nam swój imponujący zgrzyz i wydała z siebie nie mniej imponujący wrzask. Deszczblask załatwił ją szybko, nie wypuszczając z rąk pochodni. Wziął srebrny topór i parę sekund później było już po wszystkim. Kiedy zmusiłem się do przejścia przez miejsce bitwy, ze ścian kapała zielona krew.

– Nie dotykaj krwi – ostrzegł mnie Deszczblask. – Jest trująca.

W końcu pomieszczenia powiększyły się. Kroczyliśmy przez wysokie hale pełne ech pochodzących od naszych kroków i kapiącej wody. Rozżarzone robaki lawowe lepiły się do ścian, umożliwiając memu małomównemu przewodnikowi schowanie na jakiś czas pochodni. Nic tu nie przypominało o kulcie książki w katakumbach, były to jaskinie nietknięte od tysiącleci, z różnych zapewne powodów.

Ostatecznie dotarliśmy do czarnej groty pełnej powrastanych w siebie stalaktytów. Deszczblask maszerował dalej bez słowa, zmierzając ku sobie tylko wiadomemu celowi poprzez kamienne gromady, aż nagle się zatrzymał. Podniósł pochodnię i spoglądał w panującą na górze ciemność, jakby coś tam usłyszał. I ja nasłuchiwałem bez oddechu. Czy z góry groziło jakieś niebezpieczeństwo? Zanim zdążyłem o to zapytać, Deszczblask wyjął ze swej zbroi wielki żelazny klucz. Włożył go do dziury w stalagmicie, który piął się wysoko. Usłyszałem kliknięcie, a potem z ciemności nad nami głośny szczeł

łańcuchów. Zbliżała się do nas z góry monstrualna biała czaszka. Wisiała na grubych łańcuchach i była tak ogromna, że zmieściłby się w niej dom Fistomefela Szmejka. Była to czaszka olbrzyma, prawdopodobnie cyklopa, ponieważ miała tylko jeden oczodół. Z brzękiem osadziła się na podłożu i odgłosy łańcucha ucichły.

– Co to jest? – zapytałem zaskoczony.

– To mój dom, gdy przebywam w katakumbach – odpowiedział Deszczblask. – Znalazłem ją i jest moja. Wieszam ją tam na górze, gdy jestem w drodze, bo jest pełna kosztowności. Zaczekaj! Zapalę światło.

Deszczblask wspiął się przez oczodół do środka głowy. Przypomniałem sobie, że nie napisał nigdy w swojej książce, gdzie śpi, gdy wyprawia się na długie łowy do katakumb. To w ogóle mnie nie zaskoczyło! Było naturalne, że każdy łowca książek trzymał w tajemnicy swoje miejsca postojów. Po paru chwilach we wnętrzu czaszki zamigotało ciepłe światło świecy.

– Wejdz! – zawołał łowca książek.

Nieśmiało wspiąłem się przez nietypowe wejście do domostwa Deszczblaska.

Wsadzał właśnie swoją pochodnię z meduzami do glinianego garnka wypełnionego substancjami odżywczymi, żeby znów mogły się napić do syta. Wnętrze czaszki urządzone jak mieszkanie. Był tu gruby drewniany stół, krzesło, posłanie z futer, dwa regały ze szklanymi pojemnikami i książkami. Na ścianach wisiały różnorodne bronie i części uzbrojenia, pomiędzy nimi rzeczy, których nie mogłem dokładnie rozpoznać w tym rozproszonym świetle, tak samo jak zawartości szklanych pojemników. Muszę przyznać, że mieszkanie Deszczblaska wyobrażałem sobie jako bardziej kulturalne. Bądź co bądź było w nim też parę książek. Pewnie niesamowicie kosztowne, pomyślałem. Diament, który był wcześniej sercem Pająxxxxa, leżał na stole, migocząc.

– Czy tu na dole są olbrzymy? – zapytałem.

– Dlaczego nie? – odpowiedział, siadając na krześle. – Nie widziałem żadnego żywego, ale są tu olbrzymie jaskinie, olbrzymie robaki, olbrzymie Pająxxxxy – dlaczego nie miałyby być też olbrzymich olbrzymów?

Też chętnie bym sobie usiadł, ale nie było tam drugiego krzesła.

– Teraz mogę to powiedzieć – chrząknął łowca książek. – Wcale nie nazywam się Kolofonus Deszczblask.

– Co? – spytałem zbaraniały.

– Pomyślałem sobie, że chętniej ze mną pójdziesz, jeśli przedstawię się jako Kolofonus Deszczblask. Wszyscy lubią Kolofonusa Deszczblaska. Mnie nie lubi nikt. Moje prawdziwe nazwisko to Hoggno Kat.

Hoggnio Kat? To nazwisko zupełnie mi się nie podobało. Czyżbym znowu wpakował się w pułapkę łowcy książek? Serce podskoczyło mi do gardła, ale starałem się nie okazywać strachu.

Zapalił kolejne świece na stole i mogłem teraz rozróżnić prawie wszystkie detale pomieszczenia. Książki na regałach były ogromnie wartościowe, ze srebrnymi i złotymi okuciami, widział to nawet taki laik jak ja. Był tam także egzemplarz książki Kolofonusa Deszczbłaska.

Rzeczy, które wisiały na ścianie między różnymi rodzajami broni, były zmumifikowanymi głowami. W koszu leżały oskrobane do czysta czaszki i kości. Widziałem piły i chirurgiczne skalpele. Szklane pojemniki na regałach były wypełnione ciekłą krwią i marynowanymi organami, inne żywymi robakami i czerwiami. Widziałem serca i mózgi zakonserwowane w wielobarwnych cieczach. Ucięte dłonie. Przypomniałem sobie o spotkaniu z łowcą książek na czarnym rynku. *Relikwie z Twierdzy Smoków są pożądane w Księgogradzie*, powiedział. Przeszły mnie ciarki. Trafiałem do jaskini profesjonalnego mordercy, a może nawet wariata.

– To pseudonim – powiedział Hoggnio. – A ty jak się nazywasz?

– Hilde...gunst Rze...źbiarz Mitów – wykrztusiłem z trudem. Mój język przykleił się do podniebienia, ponieważ nie miałem już prawie śliny w ustach.

– Czy to pseudonim?

– Nie, to moje prawdziwe nazwisko.

– Ale brzmi jak pseudonim – upierał się łowca książek.

Pilnowałem się, żeby jeszcze raz nie zaprzeczyć. Powstała nieprzyjemna pauza w rozmowie.

– Miałbyś ochotę na nieco konwersacji? – spytał nagle Hoggnio, tak głośno, że się wzdrygnąłem.

– Co?

– Konwersacja – powiedział łowca. – Moglibyśmy chwilkę porozmawiać? Nie rozmawiałem z nikim od roku – zniżył głos do szeptu. Widocznie naprawdę wyszedł z wprawy w sprawach komunikowania się z innymi.

– Och – powiedziałem. – Naturalnie! – Byłem gotowy na wszystko, co mogło przełamać te lody.

– Dobrze. Eee... Jaka jest twoja ulubiona broń? – spytał Hoggnio.

– Co proszę?

– Twoja ulubiona broń. No cóż... trochę przyrdzewiałem, jeśli chodzi o konwersację. Może ty wolałbyś zadawać pytania?

– Nie, nie – odpowiedziałem szybko. – Robisz to bardzo dobrze. Moją ulubioną bronią jest, eee, topór. – Oczywiście skłamałem. Właściwie nie lubię żadnej broni.

– Acha – powiedział Hoggno. – Czy to możliwe, że mówisz to, co chciałbym usłyszeć?

Wolałem nie odpowiadać. Każde słowo musiało być tu wyważone.

– Przepraszam – powiedział Hoggno. – To było nieuprzejme. Chciałeś być pewnie tylko miły. Od roku już... ale o tym dopiero co wspominałem.

Znowu dręcząca pauza.

– Eee... – powiedział Hoggno.

Pochyliłem się.

– Eee...

– Tak...?

– Zapomniałem, o co chciałem teraz spytać.

– Może chcesz dowiedzieć się czegoś o mnie. Pochodzenie, zawód i takie tam. – Chciałem skierować rozmowę na inne tory i wspomnieć, że jestem pisarzem. To musi zabrzmieć dla niego uprzejmie. W końcu żył z ludzi takich jak ja.

– Dobrze. Kim jesteś z zawodu? – spytał Hoggno.

– Jestem pisarzem! – pochwaliłem się. – Z Twierdzy Smoków! Moim ojcem poetyckim był Dancelot Tokarz Sylab.

Łowca chrząknął. – Nie interesuję się żyjącymi pisarzami. Ich książki nie przynoszą pieniędzy. Przynajmniej nie mnie. Tylko martwy pisarz to dobry pisarz.

– Nie wydałem jeszcze żadnej książki – powiedziałem nieśmiało.

– Więc tym bardziej jesteś niewiele wart. Co robisz tu na dole, pisarzu bez książki?

– Przywleczono mnie tutaj.

– To najdurniejsza wymówka jaką słyszałem, odkąd odrąbałem nogi Guldenbartowi Dłubaczowi. On z kolei powiedział, kiedy złapałem go na moim terytorium, że popsuł mu się kompas. Ale to przynajmniej nie było kłamstwo. Jego kompas był naprawdę popsuty.

Hoggno wskazał na kompas z rozbitym szkłem, przytroczony do jego pasa z trofeami.

– Zabiłeś Guldenbarta Dłubacza?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że odrąbałem mu nogi.

– Hoggno wskazał na dwa pojemniki na regale, w każdym unosiła się noga.

– Nie kłamię – powiedziałem. – Przywleczono mnie do katakumb. Mógłbym dostać trochę wody? – W rogu jaskini widziałem dzbanek pełen wody.

– Nie. Kiepsko tu na dole z wodą. Kto cię przywłókł?

– Niejaki Szmejk.

– Fistomefel Szmejk?

– Znasz go?

– Jasne. Każdy łowca książek zna Szmejka. Dobry klient. Wszyscy lubią Szmejka.

Zaśmiałem się udręczony. – Czytałeś książkę Kolofonusa Deszczblaska? – spytałem, żeby zmienić temat.

– Jasne – powiedział Hoggno. – Każdy łowca książek ją czytał. W każdym razie ci, którzy potrafią czytać. Nie lubię go, ale można się od niego wiele nauczyć. – Wskazał na diament na stole. – Trzeba naprawdę na to wpaść, że w Pająxxxach są diamenty.

– Co wy, łowcy książek, macie właściwie przeciw Deszczblaskowi? – spytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

Hoggno zachowywał się, jakby nie usłyszał pytania.

– Czym ty właściwie jesteś? Jaszczurem? – spytał.

– Ja, eee, smokiem – odpowiedziałem. Czuję, jak Hoggno ocenia mnie z za swojej maski.

– I? Jak w ogóle smakują smoki?

Przestraszyłem się. – Jak co?

– Jak smakują smoki.

– Skąd mam to wiedzieć? Nie jestem przecież kanibalem.

– A ja tak.

– Co?

– Jem wszystko – powiedział Hoggno. – Od wieków nie jadłem niczego świeżego. Tylko marynaty i robaki. Wskazał z pogardą na pojemniki z krwią, wnętrznościami i pełzającymi robakami. – I meduzy. Ale w ostatnim czasie zjadłem tyle tych przeklętych meduz, że sam już świecę w ciemnościach. Oceeniłem swoją szansę ucieczki. Nie wyglądała dobrze.

– W ostatnim czasie nie jadłem zbyt wiele – odpowiedziałem. Liczyłem, że może wzbudzę tym jego współczucie.

– Ale wcale tak źle nie wyglądasz. Jesteś dość tłusty.

– Nie możesz mnie zeżreć! Zostałem otruty. Mój cały krwiobiegi jest pełen trucizny.

– To dlaczego nie jesteś martwy?

– No cóż... ponieważ ta trucizna tylko usypia, tak mi się wydaje.

– To dobrze. Od wieków nie brałem już żadnych narkotyków. – W jego głosie nie było ani cienia ironii. Naprawdę poważnie traktował to wszystko, co powiedział.

Powoli kończyły mi się argumenty.

– Mam kosztowny rękopis – powiedziałem. – Dam ci go, jeśli zaprowadzisz mnie na górę.

– Wezmę go sobie po prostu, gdy cię już zjem – powiedział Hoggno. – Tak będzie prościej.

Teraz nie miałem już naprawdę żadnych argumentów.

– Dość konwersacji – powiedział Hoggno. – Wiem teraz, dlaczego mi ich nigdy nie brakowało. Rozmówcy usiłują cię tylko zdenerwować. – Wstał i wziął ze ściany topór. Potem przesunął powoli swym opancerzonym kciukiem po klindze, która wydała cienki odgłos.

– Zrobię to krótko i bezboleśnie – obiecał. – No cóż, czy naprawdę będzie to bezbolesne, nie wiem, ale krótkie – to mogę zagwarantować. Nie jestem takim chorym bękartem jak Rongkong Przecinak. Zabijam, żeby przeżyć. A nie, żeby mieć z tego frajdę. Przerobię cię całkowicie. Zjem twoje mięso i zamarynuję organy. Ręce zakonserwuję i opchnę jakiemuś głupiemu turyście. Twoją głowę zmumifikuję i sprzedam jakiemuś antykwariatowi Przeróżnic. Zdejmij ubranie, żeby się nie zakrwawiło!

Pociłem się. W jakiś sposób musiałem zyskać na czasie. Walka była w każdym razie bezcelowa, był uzbrojony i opancerzony, poza tym był doświadczonym wojownikiem.

– Czy mógłbym przynajmniej dostać łyk wody, zanim mnie zabijesz? – błagałem.

Hoggno zastanowił się. – Nie – powiedział następnie – ponieważ i tak zaraz będziesz martwy, byłoby to marnotrawstwo.

Nagle przez czaszkę przeleciał powiew wiatru, wprawił świece w migotanie i na ścianach zaczęły tańczyć cienie. Hoggno odwrócił się do wejścia i wydał z siebie dźwięk zaskoczenia.

– To jest... – powiedział i zamilkł w połowie zdania. Podniósł topór.

Płomienie świec zgasły, zrobiło się całkowicie ciemno, widziałem jedynie kilka maleńkich białych punktów, końcówki tłących się knotów. W ciemnościach usłyszałem szelest, jakby ogromna księga była kartkowana przez burzę. Potem dzięki prychnania, Hoggno przeklinał, jego topór ciął ze świstem powietrze. Pochyliłem się i kucnąłem. Brzęk, hałas, jak gdyby coś rozrywano, znowu papierowy szelest – i potem cisza.

Siedziałem chwilę w ciemnościach, drżąc ze strachu, z dziko walącym sercem. W końcu wymacałem sobie drogę do stołu, znalazłem zapałki i drżącymi rękami zapaliłem świecę. Z ledwością odważyłem się rozejrzeć.

Hoggno Kat leżał na ziemi – w dwóch częściach. Jego głowa była oddzielona i wraz z hełmem postawiona obok korpusu. W lewej ręce trzymał parę skrawków papieru,

przesyconych krwią. Zabrakło mi zimnej krwi, by zdjąć hełm i zobaczyć, do jakiego gatunku należał Hoggno. Usiadłem na krześle i dyszałem przerażony.

Minął dłuższy czas, nim w jakimś stopniu się uspokoiłem. Potem, jak przebudzony z jakiegoś transu, chwyciłem dzbanek z wodą i wypilem aż do dna. Wziąłem ze ściany jeden z noży, wsadziłem go w kieszeń mojej peleryny i wyciągnąłem pochodnię z glinianego garnka. Następnie opuściłem to upiorne miejsce.

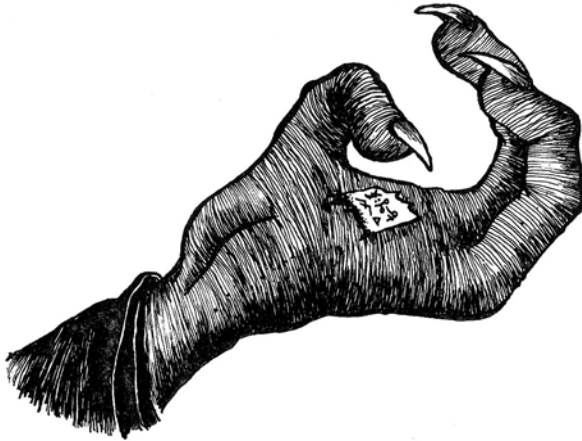


KRWAWY ŚLAD

Na zewnątrz stanąłem niezdecydowany przed czaszką tytana. W jej wnętrzu migotało niestrudzenie światło świecy, przeświecało przez otwory po zębach i nadawało jej niepokojące złudzenie żywotności. W którą stronę powinienem się zwrócić? Poprzez wąski kamienny labirynt z powrotem do Pająxxxxów i innych kreatur Unhajmu? Nie, dziękuję, kolejny raz już nie!

A więc w innym kierunku? W ciemność, w niewiadomą? W świat pełen jeszcze bardziej potwornych niebezpieczeństw? Były to kuszące możliwości, nie mogłem zdecydować się między powieszeniem a wypatroszeniem. Trzymałem pochodnię naprzeciw ciemności i spoglądałem w nicość. Zaraz – a co to takiego? U moich stóp leżał skrawek papieru.

Podniosłem go. Był podobny do tego, który trzymał w ręce martwy Hoggno, poplamiony trochę krwią. Przy bliższej obserwacji dało się rozróżnić przyblakłe pismo, którym był pokryty. Było to nieznanne mi pismo, może jakieś runy buchemiców, albo coś w tym stylu. A tam, kawałek od czaszki olbrzyma leżał kolejny skrawek. Podszedłem do niego, podniosłem go – i zobaczyłem jeszcze jeden, w odległości paru metrów! Co to było, ślad? Siady, które pozostawił morderca Hoggno? A jeśli tak, zostawił je celowo, czy nie? Naprawdę mam za nimi podążać?



No cóż, zawsze była to trzecia możliwość. Teraz mogłem wybierać między

powieszeniem, patroszeniem a ścięciem. Lecz może istniała jeszcze jakaś iskra nadziei. Mogło być i tak, że nie zostawił tych śladów celowo, wtedy zaprowadziłby mnie w cywilizowane obszary, nie mając o tym pojęcia. A jeśli rozłożył je świadomie, niekoniecznie musiał kierować się złymi zamiarami. Gdyby chciał mnie zabić, mógłby zrobić to bez trudności w pieczarze Hoggno.

Pozostawiłem więc w ciemnościach dom wraz z jego przerażającą zawartością i podążyłem śladem krwawych skrawków. Poprowadził mnie wpierw lasem stalaktytów, w którym żyły jedynie małe i tchórzliwe zwierzątka, uciekające z piskiem i szelestem przed światłem mojej pochodni. Nękała mnie kąpiąca stale ze stropu woda, działająca niczym jakaś wyrefinowana tortura, aż dotarłem w końcu do suchego i wąskiego tunelu z granitu, który poprowadził mnie zygzakami w górę. Przypomniałem sobie o odrażającej małpie, która w podobnym korytarzu zabiegła drogę mi i Hoggno, i pytałem się, co bym zrobił, gdybym spotkał taką kreaturę sam. Prawdopodobnie nie zdążyłbym nawet znaleźć na czas noża w pelerynie.

W końcu dostałem się na szerokie pole pokryte luźnym gruzem, pochodzącym pewnie z zapadniętego stropu jaskini – widziałem nad sobą jedynie głęboką ciemność, w której awanturowały się nietoperze. Dookoła śpiewał cienkim głosem wiatr, chłodny niewidzialny prąd płynący od dłuższego czasu naprzeciw mnie. Poprzez jakieś kanały odnalazł swą drogę od powierzchni, aż do mnie tutaj. Zazdrościłem wiatrowi jego tajemnej wiedzy, dzięki której znalazłbym może drogę do góry.

Później robiło się coraz cieplej i dostałem się do sztolni czystego węgla. Podnosiłem skrawek za skrawkiem, głowiłem się nad runami i bezradnie chowałem je w moich licznych kieszeniach.

Po jakimś czasie miałem dość zbieractwa. Ponieważ i tak nie potrafiłem odszyfrować tego pisma, pozostawiałem ścinki tak, jak leżały. Długi czas patrzyłem głównie na ziemię, żeby nie przeoczyć żadnego z nich, nie zważając zupełnie na stan tuneli – stąd tym większa była moja radość i zaskoczenie, gdy stwierdziłem, że są murowane z grubych kamieni. Nie było to już żadne z naturalnie powstałych przejść, tylko sztuczny tunel! Wróciłem znów do cywilizacji, nawet, jeśli miała tak prymitywną formę. I nadal znajdowałem skrawki papieru. Były teraz coraz rzadsze, odstępów między nimi coraz większe – i w końcu natrafiłem na pierwszą książkę!

Leżała na ziemi, na środku całkowicie pustej drogi. Znajdowała się w zaawansowanym stanie rozkładu i wiedziałem, że obróci się w pył, gdy tylko jej dotknę. Pozostawiłem ją więc nienaruszoną. Na książce leżał jeden z krwawych skrawków i coś mówiło mi, że jest to ostatni i że odtąd sam muszę już znaleźć drogę. Usiadłem, oparłem

się o ścianę, szczęśliwy i nieszczęśliwy, zmęczony i rozbudzony zarazem. Udało mi się – ale dokąd trafiłem? Uciekłem z dzikiej części katakumb, z hałdy Unhajmu. Ale gdzie byłem teraz?

Zamknąłem oczy. Odpocząć, choć na chwilkę. Nie zasypiać! Było to ehh... niemożliwe, ponieważ przed oczyma mej duszy zaraz zaczęły tańczyć obrazy: straszliwe owady z morza książek, robak olbrzym, Pająxxxx, pozbawiony głowy Hoggno... Otworzyłem znowu oczy i musiałem stwierdzić z przerażeniem, że pochodnia z meduzami zgasła. Siedziałem w całkowitych ciemnościach. Panicznie macałem, szukając pochodni, ale nie mogłem jej znaleźć. Może ktoś mi ją zabrał? Może mój tajemniczy przewodnik? Jak mógł tego dokonać, że nawet nie zauważyłem, przez tak krótką chwilę? Macałem dalej i natrafiłem przy tym na książkę – rozpadła się w pył w moich rękach i poczułem białe, grube robaki pełzające po mojej ręce. I wtedy usłyszałem tchnienie.

– Hhhhhhhhhhhhhhh...

Nie byłem sam. Coś było tam w ciemnościach.

– Hhhhhhhhhhhhhhh...

I zbliżało się.

– Hhhhhhhhhhhhhhh...

Jeszcze bliżej. Przycisnąłem się plecami do ściany.

– Hhhhhhhhhhhhhhh...

Obcy był już całkiem blisko mojej twarzy, czułem jego oddech, czułem jego zapach – a był taki, jakby otwarto drzwi gigantycznego antykwariatu; tak jakby podniosła się z niego burza czystego kurzu książkowego i wraz ze zgnilizną miliona zbutwiałych foliałów wionęła mi w twarz – to był oddech Króla Cieni!

Ktoś coś powiedział i obudziłem się. Tak, obudziłem się, otworzyłem oczy i znów ją zobaczyłem, pochodnię, ani nie zgasła, ani nikt jej nie ukradł, dzielnie oświetlała prastarą księgę i leżący na niej krwawy skrawek. Zdrzemnąłem się tylko na chwilę. Zdrzemnąłem, by śnić o Królu Cieni.



TRZEJ POECI

Ależ tak, moi drodzy przyjaciele, słyszałem głosy! Na pewno. A może były to tylko resztki snu? Zbłąkane echa, szelesty w labiryncie? Wziąłem pochodnię, podniosłem się, stękając, i tak! – znowu coś usłyszałem. Dochodziło z następnego tunelu. Podążyłem za szmerem, jedynie niezrozumiałym szeptem, a potem, gdy wszedłem w tunel, znowu odgłosy zanikły.

Za to książki! Cały korytarz pełen książek, rozłożone na podłodze, zeżarte przez robaki, ale bądź co bądź: książki. Brodziłem uszczęśliwiony przez papierowe śmiecie, które zdawały mi się cenniejsze niż skarbiec pełen diamentów – i znów coś tam było, ten szept z bocznego korytarza. I czy nie było tam też światła? Zakryłem pochodnię i wszedłem w kolejną sztolnię. Meduzy przyklejone były do stropu i roztaczały swój niesamowity blask, lecz tym razem widząc je, czułem się, jakbym zobaczył ponownie światło słońca. Tutaj stały też regały, stare ruiny z drewna, przeżarte przez robaki, pokryte pajęczynami i kurzem, ale z wieloma książkami – powoli powracałem do świata porządku! Ha, porządek! Naprawdę, moje wymagania stały się bardzo skromne, jeśli za porządek uważałem już parę robaczywych regałów ze zbutwiałymi tomami. Podeszedłem do jednego i chciałem wyszukać sobie książkę.

– I? – spytał ktoś tak głośno, że aż się wzdrygnąłem.

– I? Na moje oko to kicz! – odpowiedział ktoś. – Tandeta najgorszego rodzaju.

– Na twoje oko wszystko, co nie jest spisane w pracamońskich runach, to kicz. Jesteś beznadziejnie anachroniczny.

Głosy dochodziły z następnego korytarza. Wyciągnąłem sztylet z peleryny.

– Hoho, posłuchajcie no tego! – powiedział trzeci głos.

Przywarłem do regału. *Trzech łowców książek?* Byłem zgubiony!

– *Tobie tylko, kochające serce* – kontynuował ostatni głos – *i wam, łzy me zaufane, Samotny nucę smutnie najrzewniejszą z pieśni. Tylko oko moje błądzi za nią jak w ogniu tęsknoty, I, do skarg nawykłe, słyszy ją ucho me cichsze!*

Przejęła mnie ciekawość i zapomniałem przez to prawie o strachu. Wciąż mogłem uciec po kryjomu, ale musiałem po prostu wiedzieć, kto to był. Wetknąłem pochodnię, podniosłem nóż i wślizgnąłem się do odnogi tajemniczego korytarza.

Odetchnąłem tam głęboko i spojrzałem ostrożnie do środka. Był także pełen regałów z książkami, a w jego centrum, po kolana w papierze, stały trzy przedziwne postacie, o których z miejsca mogłem jedynie powiedzieć, że zdecydowanie nie były łowcami książek.

W pewien sposób wyglądały podobnie, chociaż były różnorodnej postury: jeden

gruby i przysadzisty, drugi szczupły, a trzeci wręcz mizerny. Ich wspólną cechą było to, że były dość małe – największy sięgał mi do pasa – i to, że każdy z nich miał tylko jedno oko. Szczupły czytał dwóm pozostałym z książki:

*Czegóż to, o naturo, dlaczego, matko ma nieczuła,
Dalaś mi na uczucia serce nazbyt giętkie?
A do serca giętkiego miłość nie do pokonania,
Ciągłe pożądanie, lecz kochanki żadnej?*

Gnom rzucił książkę na podłogę. – A więc na moje oko to też kicz – powiedział. – Golgo ma rację.

– Nie uważam tego za aż taaaaaaak nudne – stwierdził najmniejszy gnom – *Tylko oko moje błądzi za nią jak w ogniu tęsknoty* – przemawia to do mnie.

– A co? – spytał podstępnie gruby. – Co takiego ci to mówi?

– No cóż – odpowiedział mały – *oko* jest w liczbie pojedynczej, z tym mogę się już utożsamić.

Malcy nie wyglądali na takich, którzy mogli stanowić dla mnie jakieś niebezpieczeństwo. Były to gnomy jaskiniowe albo coś w tym rodzaju, jakiś nieszkodliwy ludek karzełków. Były też najwyraźniej zainteresowane literaturą – co wielkiego mogło mi się stać?

Wyszedłem z ukrycia, podniosłem rękę w pozdrowieniu – i dopiero wtedy przypomniało mi się, że trzymam w niej nóż. Gdy wynurzyłem się tak nagle z ciemności, z moją powiewającą peleryną i podniesionym sztyletem, musiałem wyglądać jak jakiś skrytobójca.

Gnomy przestraszyły się bardzo i, wpadając najpierw na siebie, rozbiegły się w trzech różnych kierunkach. Schowały się za regałami, stosami książek i papieru.

– Łowca książek! – zawołał jeden.

– Ma nóż! – krzyknął drugi.

– Chce nas zabić! – wyszeptał trzeci.

Stałem i rzuciłem nóż na ziemię. – Nie jestem łowcą książek – zawołałem głośno. – Nie chcę nikogo zabić. Potrzebuję waszej pomocy.

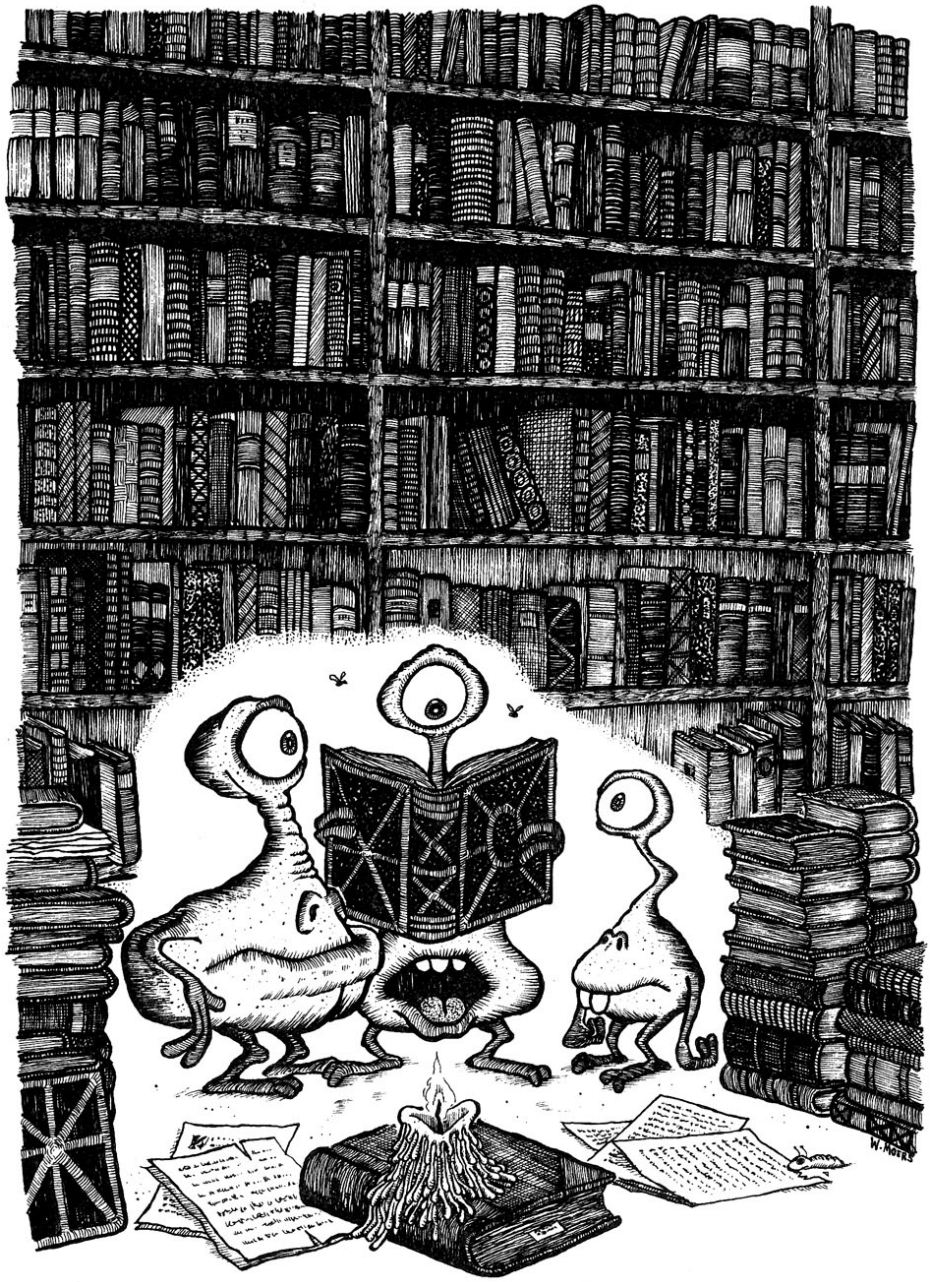
– Pewnie. I stąd ten nóż.

– Rzuciłem go – powiedziałem. – Ja tylko zabłądziłem.

– Wygląda niebezpiecznie – zawołał jeden z gnomów. – Jest jaszczurem. Prawdopodobnie pod peleryną ukrywa swoje inne bronie. Ci łowcy książek stosują najpodlejsze sztuczki.

– Jestem smokiem – powiedziałem – pochodzę z Twierdzy Smoków.

Już po raz drugi musiałem to komuś wyjaśniać. Ci mieszkańcy katakumb byli wszyscy dość mocno oderwani od rzeczywistości.



Zza stosu książek podniosło się teraz powoli jedno oko i gapiło się na mnie z zaciekawieniem.

– Pochodzisz z Twierdzy Smoków?

– To mój dom.

Kolejne oko zerknęło przez szparę między dwiema grubymi książkami na regale.

– Spytaj go o coś z literatury twierdzosmoczańskiej! – powiedział należący do niego gnom.

– Jak nazywa się główne dzieło Gryfiusa Strugacza Ód? – spytał ten za stosem.

– *Rycerz Hempel* – westchnąłem.

Gnomy knolfnęły zębami[8].

– A jakie są w nim najśmieszniejsze momenty?

– Pff... nie mogę się zdecydować – odparłem – albo ten moment, kiedy okulary wpadają rycerzowi do zbroi – albo rozdział lipogramatyczny, w którym Strugacz Ód obchodzi się całkowicie bez używania litery E.

Dziękowałem losowi za spotkanie z Kibicerem. A mojej bezwstydnoci dziękowałem za to, że to kłamstwo tak gładko przeszło przez moje usta.

Trzeci z gnomów uniósł swe oko jak kwiat zza sterty papierów i zadeklamował:

*Kura, podchodzi do stołu
i mówi:...*

Wpadłem mu w słowo i dokończyłem szybko:

*Tu radość,
gdy kura u stołu
tak punktualna!*

– To *musi* być smok – powiedział jeden z gnomów.

– Zgadza się. Nikt inny nie przeczytałby dobrowolnie tego nudnego tomiszczka Strugacza Ód. Poza nami oczywiście – zawołał drugi.

– *Hempel* wcale nie jest taki zły. Jeśli przebiję się przez rozdział o pielęgnacji lancy, tomisko nabiera naprawdę rozpędu – odpowiedział trzeci.

[8] Przyp. od W.M.: Najwidoczniej poza twierdzosmoczanami także gnomy potrafią knolnąć zębami. Wychodzę z założenia, że Rzeźbiarz Mitów chciał przez to powiedzieć, iż wydały z siebie odgłosy uznania. Nie wiadomo mi jednak, w jaki sposób mógł ocenić, że zrobiły to zębami, skoro były schowane. Ale puśćmy to mimo uszu jako fantazję pisarską.

– Nazywam się Hildegunst Rzeźbiarz Mitów – powiedziałem.
– Nic mi to nie mówi.
– Mnie też nie.
– W życiu nie słyszałem tego nazwiska.
– Nic dziwnego – powiedziałem zawstydzony. – Niczego jeszcze nie opublikowałem.
– I co robisz tu na dole, w katakumbach, jeśli nie polujesz na książki?
– Sprowadzono mnie tu wbrew mojej woli. Zgubiłem się. Jedyne, na co poluję, to wyjście.

– To dzieje się od tysięcy lat – powiedział gnom za regałem. – Katakumby są pełne szkieletów. Ci z góry uwielbiają wyrzucać swoje śmieci do naszego środowiska.

Słowa o śmieciach łaskawie zignorowałem.

– To pierwszy mieszkaniec Twierdzy Smoków stojący przede mną we własnej osobie – powiedział ten za stertą książek. – Czytałem wszystko, co tam napisano, ale nigdy nie widziałem jeszcze żadnego smoka.

Usiłowałem sprostac tej historycznej chwili, wygładzając moją pelerynę.

– Jesteśmy wielkimi wielbicielami literatury z Twierdzy Smoków – powiedział ten za stosem papierów.

– Czuję się zaszczycony. Wiecie więc już nieco o mnie. Mogę teraz spytać, kim wy jesteście?

Gruby wyszedł kawałek ze swego ukrycia i zadeklamował:

*Błahym pytanie się widzi
Na ustach tego, co tak gardzi słowy,
Co pozorami wszelkimi się brzydzi,
Chce zawsze dotrzeć do słów osnowy.*

Usiłowałem wyjaśnić sobie przemowę gнома. Dlaczego miałbym gardzić słowem? Z drugiej strony – rzeczywiście brzydziłem się wszelkimi pozorami. Nie rozumiałem z kolei znowu ostatniego wersu.

– Co masz na myśli? – spytałem. – Powiedz po prostu, kim jesteś!

Odważył się wyjść jeszcze kawałek ze swego ukrycia.

*Jam częścią części, która ongiś wszystkich była
Jam częścią tej ciemności, co światło zrodziła*

Dlaczego wydaje mi się to znajome? Zaraz! To był cytat! Cytat z... z...

– To był cytat z Ojahnn Golgo van Fonthewega! – zawołałem. Jasne, że był to Fontheweg, ten trudny do zniesienia odyniec camońskiej klasyki. Ulubieniec wszystkich krytyków i koszmar wszystkich uczniów. To był fragment z *Kamienia filozoficznego*, jego najsłynniejszej książki. Przez dziesięciolecia Dancelot wbijał mi do głowy te wersy.

Gruby wyszedł już całkowicie ze swej kryjówki. Jego skóra miała kolor dojrzałej oliwki.

– To jest to. Tak właśnie się nazywam.

– Ty się tak nazywasz? Ty jesteś Ojahnn Golgo van Fontheweg?

– Tak jest. Możesz mi mówić Golgo. Tak robią wszyscy.

Gnom za regałem opuścił swoją kryjówkę. Był bladoniebieskiego ubarwienia. – A ja jestem Gofid Letterkerl – powiedział. – Dla przyjaciół po prostu Gofid.

Gofid Letterkerl był moim ulubionym pisarzem. Napisał *Zanillę i Murcha*, i samo to czyniło go już w moich oczach nieśmiertelnym. Letterkerl wcale nie był martwy, był za to dwumetrowym Dzikunem i, o ile wiedziałem, mieszkał w Buchting.

– No proszę, proszę – powiedziałem – więc jesteś Gofid Letterkerl, tak?

– W rzeczy samej! – zawołał szczupły karzeł i zadeklamował dramatycznie:

*Przykryj pledem mnie zielonym,
Nućże mi do snu piosenki,
A w czas mój błogosławiony
Zbudź mnie blaskiem twej jutrzenki!*

To rzeczywiście był Gofid Letterkerl. *Serenada do przyrody*, o ile sobie dobrze przypominam. Tak na marginesie, niekoniecznie najlepszy z jego wierszy. Kim były te dziwne pędraki?

– A jak ty się nazywasz? – spytałem trzeciego. – Też nosisz nazwisko wielkiego poety?

– Moje nazwisko nie jest aż tak wielkie – powiedział nieśmiało najmniejszy z gnomów o barwie bladego różu, gdy wyszedł z za stosu papierów. – Nazywam się Dancelot Tokarz Sylab.

Wzdrygnąłem się jak pod uderzeniem bata. Nazwisko mojego ojca poetyckiego odbijało się echem po korytarzu jak głos ducha.

Wszyscy jesteśmy bezpośrednimi wytworami ziemi – zacytował mały – byli popiół i przyszła zgnilizna. Defilujemy w ciągłym rytmie bez ustanku, radosny pochód życia, orszak żałobny przemijania.

– Dancelot...? – spytałem zbaraniały, jakby stał przede mną osobiście.

Był to bezbłędnie wyrecytowany fragment z jego książki.

–...Tokarz Sylab – uzupełnił mały – Pisarz z Twierdzy Smoków. Powinieneś go właściwie znać, skoro jesteś z...

– Oczywiście, że go znam – przerwałem mu. – Ale dlaczego nosisz jego nazwisko?

– Wszyscy nosimy nazwiska wielkich pisarzy! – wykrzyknął dumnie Golgo.

– Nie rozumiem dokładnie... – powiedziałem.

Trójka spojrziała na siebie.

– Możemy? – spytał Golgo.

Dwaj pozostali skinęli głowami. Potem spojrzeli znów na mnie i powiedzieli chórem:

*Schowaj swój topór i miecz
na nic twe strzały i klinga
broń możesz rzucić precz
na ziemi Straszliwego Buchlinga*

Mimowolnie zrobiłem krok do tyłu. Straszliwe Buchlingi! To były te wszystkożerne cyklopy z labiryntów! Obok Króla Cieni wzbudzająca największe przerażenie forma życia z katakumb pod Księgogradem. Oczywiście! Mieli tylko po jednym oku! Cyklopy! Trzej jednoocy szli powoli w moim kierunku.

– Nie obawiaj się! – zawołał Golgo. – Nic ci nie zrobimy.

Łatwo było powiedzieć! Racja, byli dość mali jak na wszystkożerne cyklopy. Ale skorpiony też są małe.

– To tylko nasza gadka dla łowców książek – powiedział Gofid. – Tu na dole trzeba wyrobić sobie paskudną opinię, inaczej od razu cię załatwią.

– Dobrze – powiedziałem, cofając się powoli. – Jesteście więc Straszliwymi Buchlingami. Co ma to wspólnego z nazwiskami poetów?

– Chłopaki, myślę, że musimy mu trochę pomóc – powiedział Golgo. – On dość ciężko kapuje. – Pozostali skinęli głowami, a następnie zatrzymali się.

– Chodzi o to... – zaczął Gofid – każdy buchling uczy się na pamięć całego dorobku wielkiego pisarza. Taki jest cel naszego życia. Ja jestem w trakcie zapamiętywania dzieł zebranych Gofida Letterkerla. On nadal pisze, więc jestem, że tak powiem, niedokończony.

– W przeciwieństwie do mnie – powiedział Golgo. – Ja jestem kompletny. Ojahnn Golgo van Fontheweg zmarł dziewięćset lat temu. A napisał siedemdziesiąt dwie

powieści, ponad trzy tysiące wierszy, czterysta pięćdziesiąt sztuk teatralnych, a i w wielu innych dyscyplinach literackich pozostawił wartościowe rzeczy. Muszę stale odświeżać, swoją pamięć. – Jęknął, domagając się współczucia.

– A ja znam na pamięć dorobek Dancelota Tokarza Sylab – wyznał speszony Dancelot.

– Wielka mi rzecz – powiedział lekceważąco Gofid. – Jedna jedyna książka.

– Może jeszcze jakieś napisze – bronił się Dancelot.

Teraz i ja się zatrzymałem. – Nie, nie zrobi tego – powiedziałem smutno.

– Skąd to wiesz?

– Zmarł niedawno. Był moim ojcem poetyckim.

Trzy buchlingi popatrzyły na siebie zdumione. Dancelot rozplakał się, a pozostali zaczęli go pocieszać.

– No, no – mruknął Golgo. – A co *ja* mam powiedzieć? Mój pisarz nie żyje od dziewięciuset lat.

– Wszyscy któregoś dnia dostąpimy wielkiego misterium – mruczał Gofid. – Przed Ormem wszyscy jesteśmy równi.

Dancelot szlochał niepoohamowanie. – Jedyna książka! – jęczał. – Tylko jedna!

Golgo i Gofid spojrzeli na mnie, podczas gdy delikatnie głaskali Dancelota. Ich wielkie oczy zwilgotniały, a i ja nie byłem już w stanie powstrzymać łez. Po chwili wszyscy prześcigaliśmy się w łkaniu.



BARDZO KRÓTKI ROZDZIAŁ, W KTÓRYM BARDZO MAŁO SIĘ DZIEJE

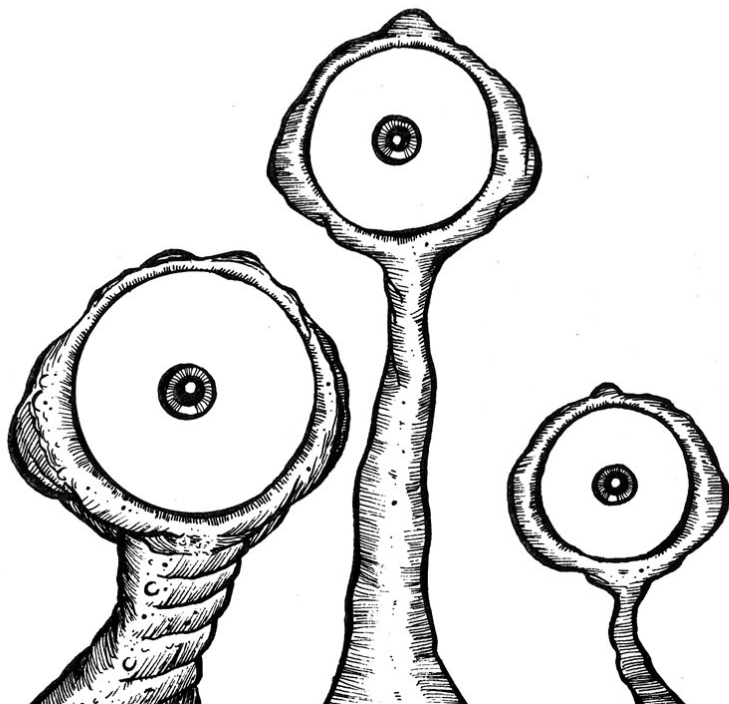
Gdy tylko wszyscy znów się uspokoiłiśmy, trzy buchlingi stanęły na boku, by naradzić się szeptem. Potem wróciły do mnie.

– Postanowiliśmy zabrać cię do innych z naszego gatunku – powiedział Golgo. – Naturalnie tylko wtedy, jeśli się na to zgodzisz.

A niby dlaczego nie miałbym się zgodzić? Czy zostaną pożarty przez ich trzech, czy przez setkę – co za różnica? Abstrahując już od tego, że w międzyczasie nabrałem wątpliwości co do straszliwości Straszliwych Buchlingów.

– Zgadzam się. Czy to długa droga? – spytałem.

Zamiast odpowiedzieć trzy buchlingi otworzyły swoje oczy tak szeroko, jak się dało. Gapiły się na mnie przesywająco, a żółte światło w ich źrenicach zaczęło lekko pulsować – a potem zaczęły mrużyć.



Tak, moi drodzy i ukochani przyjaciele, to wszystko, co chciałem opowiedzieć w tym rozdziale. Mogę tylko powiedzieć, że – siuuuuuup – w następnej chwili znaleźliśmy się w całkowicie innym miejscu! Nie mam pojęcia, jak te karzełki tego dokonały, ale w mgnieniu oka stanęliśmy przed ogromnym kamiennym portalem jakiejś grotty.



SKÓRZANA GROTA

Co się stało? – spytałem. Czuję się senny i stałem niepewnie na nogach. –
Gdzie jesteśmy?

– To była próbka naszych zdolności do, ee teleportacji – powiedział Golgo.

– Teleportacja, hohohoho – zachichotał Gofid. – Dokładnie.

– **Od gwiazd pochodzimy i ku gwiazdom zmierzamy. Życie jest jedynie podróżą w nieznane** –acytował Dancelot.

– Możecie przemieszczać siebie i mnie z miejsca na miejsce siłą myśli?

– Można by to tak określić, nie kłamiąc – odpowiedział Golgo, szczerząc się, na co pozostali znów zachichotali jak głupki. – Chodź z nami! Wkroczyliśmy teraz do królestwa Straszliwych Buchlingów.

Golgo, Gofid i Dancelot poszli przodem przez ogromny portal oflankowany po lewej i prawej stronie dwiema ogromnymi kamiennymi rzeźbami. Przedstawiały one buchlingi, jednak w mocno przesadzonych rozmiarach, przerażające i odstrasżające, z niebezpiecznie rozwartymi paszczami, ogromnymi cyklopimi oczami i uniesionymi ostrymi pazurami – widok stworzony właściwie do tego, by z miejsca zmusić kogoś do ucieczki.

– To wystarczy, by trzymać z dala nieproszonych gości – wyjaśnił Golgo. – O ile ktokolwiek znajdzie tutaj drogę. Jednak dotąd nikt, kto nie jest buchlingiem, nie wkroczył do naszego królestwa. Jesteś wyjątkiem. I jesteś drugi.

Byłem nadal zbyt zajęty rozpamiętywaniem sprawy z teleportacją, poza tym czułem się, jakby wyrwano mnie właśnie z głębokiego snu, więc ani ta uwaga, ani widok rzeźb nie zrobiły na mnie większego wrażenia. W milczeniu toczyłem się z tyłu za ich trójką.

Wkroczyliśmy do groty i błyskawicznie opadła ze mnie cała senność. Przed nami leżał płaskowyż, od którego w dół do ogromnej stalaktytowej jaskini prowadziły szerokie kamienne schody. Golgo zatrzymał się, rozchylił ramiona, odchrząknął i zawołał:

Oto w sfery snów i czarów

Weszliśmy już, jako zda się!

My także się zatrzymaliśmy. Widok był – mówiąc powściągliwie – godny uwagi. A godny uwagi nie był fakt, że ściany, strop, podłóże a nawet stalaktyty pokryte były laciatym dywanem w niezliczonych odcieniach brązu, który świecił jak wypolerowana skóra. Godny uwagi nie był też fakt, że na środku stała ogromna dziwaczna maszyna. Nie, najbardziej fascynujący w tej grocie byli jej mieszkańcy: setki małych jednookich

kreatur, przypominających Golgo, Gofida i Dancelota, ale równocześnie różniących się od nich jakimiś szczegółami. Były i grube, i szczupłe, i większe, i mniejsze, niektóre miały długie cienkie kończyny, inne za to krótkie i krzepkie, i każdy z nich zdawał się mieć inny kolor skóry. Wszędzie się od nich roiło, siedziały, czytając przy długich stołach, nosiły wte i wewte wysokie sterty książek, pchały załadowane taczki albo uwijały się wokół gigantycznej maszyny.

– To Maszyna Książkowa Rdzawych Gnomów – powiedział Golgo, jakby to wszystko wyjaśniało.

Maszyna przypominała kostkę złożoną z porzdewiałych regałów, wysoką, szeroką i głęboką na pięćdziesiąt albo może sześćdziesiąt metrów. Regały były, na ile mogłem ocenić z tej odległości, pełne książek i znajdowały się w ciągłym ruchu, jeździły w górę i w dół, z prawej strony na lewą, z lewej na prawą. Maszynę okalało sześć poziomów kładek, które były połączone ze sobą licznymi schodami – na nich także roiło się od pobratymców Golgo. Te osobniki układały albo wyjmowały książki, lub manipulowały przy niezliczonych kołach i dźwigniach. Nie tylko regały, ale także całe to monstrualne urządzenie wraz ze schodami i przejściami składało się z porzdewiałego żelaza. Pozostawało zagadką, do czego miało służyć.

U stóp maszyny stały długie stoły obładowane foliałami, dalej taczki, skrzynie i dalsze regały pełne książek. W tej pieczarze nie widziałem świecących meduz, wszystko było oświetlone świecami tkwiącymi w zwisających ze stropu ogromnych żyrandolach albo stojącymi w okazałych wieloramiennych świecznikach. W wielu umieszczonych w ścianach kominkach płonęły węgle.

– To *Skórzana Grota* – powiedział Golgo. – Nasza biblioteka, akademія i miejsce spotkań. A to nasz lud. Straszliwe Buchlingi.

Chciałem zadać pytanie, ale Dancelot mnie uprzedził.

– Dziwi cię pewnie cała ta skóra. To okładki książek. Grota jest nimi całkowicie wyłożona. Chcielibyśmy twierdzić, że to nasza zasługa, ale nie dokonaliśmy niestety tej sztuki. Zrobiły to Rdzawe Gnomy, które wybudowały też tę maszynę. Znaleźliśmy jaskinię w takim stanie i teraz o nią dbamy. Regularnie polerujemy skórę, żeby pięknie błyszczała w świetle świec. To idealna atmosfera do czytania. I ładnie też tu pachnie.

Przynajmniej to się zgadzało. Po raz pierwszy, odkąd byłem w katakumbach, pachniało znośnie. Powietrze było trochę duszne, być może z powodu tych wszystkich świec, ale pełne przyjemnych zapachów. Mimo swych rozmiarów jaskinia sprawiała wrażenie przytulnej i eleganckiej – byłem zaskoczony, że podziemna pieczara może wywrzeć takie przyjemne wrażenie. Najchętniej zaraz bym usiadł i zaczął czytać.



– Zwróć, proszę, uwagę na kunsztowne ułożenie skórzanej tapety – powiedział dumnie Golgo. – Najbardziej zdumiewające jest to, że nie przycięto żadnej okładki, żeby ją dopasować. Zadano sobie niewiarygodnie wiele trudu, żeby znaleźć okładki pasujące do każdej luki. Wyłożenie tej groty musiało trwać setki lat. Rdzawe Gnomy musiały lubić książki. Niestety wymarły.

– Chodź – powiedział Gofid – pokażemy ci grootę.

Zeszliśmy w dół szerokimi schodami. Nadal kręciło mi się trochę w głowie po teleportacji, ale dopiero teraz zaczęły mi się naprawdę trząść nogi. Niechętnie schodzę w dół po szerokich schodach, szczególnie, gdy jestem przy tym obserwowany. Gnębiła mnie natrętna myśl, że potknę się przy tym i sturlam na dół, kompromitując się na zawsze. Lecz dotarliśmy do stóp schodów bez żadnego incydentu.

Inne buchlingi zachowywały się, jakby w ogóle nie zwracały na mnie uwagi, gdy prowadzono mnie przez grootę.

Ci osobnicy, którzy siedzieli przy stołach i czytali, mruzcili sobie przy tym pod nosem, inni chodzili wte i wewte, i gestykułując rozmawiali sami ze sobą, niektórzy stali w grupach i dyskutowali. Jaskinia była wypełniona głosami i zwielokrotnionymi echami. Małe buchlingi kontynuowały po prostu swoje zajęcia, ale kątem oka widziałem, że z zaciekawieniem za mną spoglądają. Gdy się obracałem, patrzyły szybko w innym kierunku. Mimo że były ich setki, nie potrafiłem po prostu się ich bać.

– Dlaczego właściwie nazywacie się Straszliwymi Buchlingami? – spytał Golgo.

– Nie wydajecie mi się w ogóle tacy straszliwi. Inaczej wyobrażałem sobie cyclopy.

– Łowcy książek tak nas nazywają – odpowiedział gruby. – Nie mam pojęcia dlaczego.

– Hehe, nie mam pojęcia dlaczego! – zaśmiał się ironicznie Gofid, z jakiegoś nieznanego mi powodu.

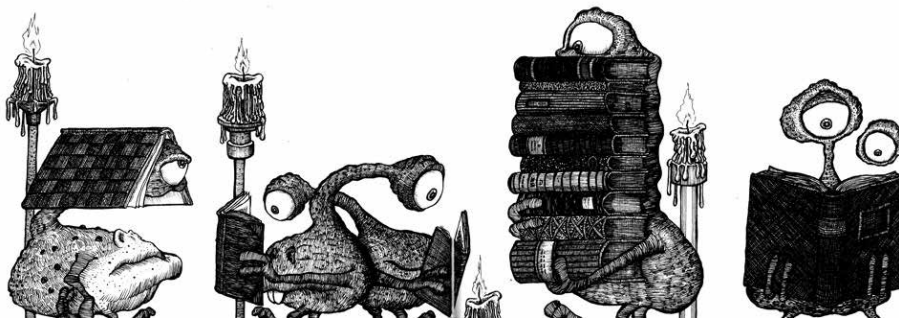
– Ale nie robimy też nic, żeby pozbyć się tej złej opinii – kontynuował Golgo. – Tak jest mądrzej.

– Dlaczego?

– Posłuchaj. W Camonii i okolicach istnieje około trzystu rodzajów cyklopów. Są przyjazne i wojownicze, mięsożerne i wegetariańskie. Diabelskie cyklopy pożerają tylko to, co się rusza i wrzeszczy, a inne cyklopy odżywiają się wyłącznie maślanymi kwiatami. Są cyklopy, których inteligencja równa się inteligencji muchy domowej i inne o ponadprzeciętnej pojętności – wrodzona skromność zabrania mi powiedzenia, jak nazywa się ten gatunek. Jedyne, co łączy te wszystkie gatunki cyklopów, to fakt posiadania jednego oka. Ale w wyobrażeniu ogółu cyklop funkcjonuje z zasady jako ograniczona i niebezpieczna kreatura. Zdecydowaliśmy się skorzystać z tego przesądu.

– W jaki sposób?

– Jak myślisz, ilu z nas by jeszcze istniało, gdyby nazywano nas *Uprzejmymi Buchlingami*? – Golgo odpowiedział pytaniem na pytanie. – Albo *Sympatycznymi Jednookimi*? Tu na dole żyjemy w brutalnym i bezlitosnym świecie. Tutaj ten, który uchodzi za najbardziej bezwzględnego i niebezpiecznego, cieszy się największym szacunkiem. Dobra opinia w katakumbach może być większym zagrożeniem niż *Niebezpieczna Książka*.



Dancelot wyszczerzył się. – Na szczęście większość łowców książek jest zabobonna – powiedział. Zatrważająco niewykształcone typy z barbarzyńskim wyobrażeniem o

świecie. Wierzą w bogów i diabła. Uwielbiają opowieści grozy o duchach i opowiadają je sobie przy spotkaniach z innymi łowcami ksiązek. Prześcigają się przy tym wzajemnie swoimi historiami o Straszliwych Buchlingach. Niektórzy z nich nawet wierzą, że potrafimy czarować.

– No cóż – powiedziałem – kiedy pomyślę o teleportacji, to jesteście jednak całkiem tego bliscy.

Cała trójka szturchała się wzajemnie i chichotała.

– Teleportacja! – parsknął ponownie Gofid.

Nie miałem pojęcia, dlaczego te głupie gnomy cały czas się śmiały. Może to był wyraz ich bardzo osobliwego poczucia humoru.

– A więc rozpowszechniamy legendy o Straszliwych Buchlingach, gdzie tylko się da – kontynuował Dancelot. – Jeśli miałbyś nas kiedyś opuścić, byłoby miłe z twojej strony, gdybyś opowiadał wszędzie, że obserwowałeś nas, jak pożeraliśmy żywcem osobniki z własnego gatunku, albo coś w tym stylu. Albo, że mamy po pięć metrów i zęby długie jak kosy.

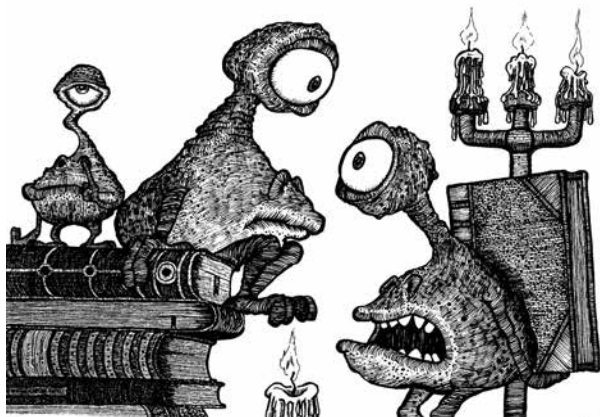
Przypomniały mi się opowieści Deszczblaska o buchlingach. Napisał coś takiego w swojej ksiązce i puścił w obieg mit o Straszliwych Buchlingach. Gdy chciałem właśnie spytać małego, czy mówi mu coś nazwisko Deszczblask, stanęliśmy już przed wielką maszyną.

– Gdy do Skórzanej Groty przybyły pierwsze buchlingi – opowiadał Gofid – wszystko było pełne kurzu i robactwa, a maszyna się nie poruszała. Rdzawe Gnomy wymarły pewnie przed wieloma laty. Lecz wtedy znaleźliśmy dźwignie i koła, przy których manipulowaliśmy i nagle maszyna znów ruszyła. Od tego czasu dbamy o nią, oliwimy regularnie i trzymamy na chodzie.

– Jaką pełni funkcję? – spytałem.

Trzy buchlingi spojrzały na siebie jak spiskowcy.

– Wyłutamy ci to, gdy nadejdzie czas – powiedział tajemniczo Golgo. – Na razie używamy tej maszyny jako biblioteki. Trochę to męczące, że regały stale się poruszają, ale to trzyma nas w formie.



Widziałem, jak buchlingi pośpieszały za regałami po wąskich kładkach, pakując równocześnie i wypakowując książki. Zardzewiałe regały przesuwwały się cały czas na siebie albo odjeżdżały i znikwały we wnętrzu maszyny. Od oglądania tych wędrujących księzek kręciło się w głowie.

– Czasami regały znikają w środku na całe dni, ale po jakimś czasie znów się pojawiają – powiedział Dancelot. – Maszyna nie zgubiła żadnej książki, jaką jej powierzono. Chodź, pokażemy ci naszą bibliotekę.

Zardzewiałymi schodami weszliśmy na pierwszą z kładek biegnących wokół maszyny.

– Zwróć, proszę, uwagę na kunsztowne metalowe wykończenie balustrad! – powiedział Golgo.

Spojrzałem dokładnie. To, co początkowo wziąłem za monotony ornament, okazało się w rzeczywistości małymi płaskorzeźbami.

– Jeśli przyjrzesz się dokładnie balustradom maszyny – powiedział Golgo – możesz poznać całą historię katakumb. To tutaj, to bitwa między Czerwonym Piratem Książkowym a księciem Elradodo. A tutaj – zawalenie się Szklanej Kopalni – zginęło wtedy czterystu krasnali pracujących w kopalni, przedstawiono każdego z osobna, każdego z odłamkiem szkła w głowie. Tu, wojna między dwoma rasami mrówek monstrualnych rozmiarów – nie mam pojęcia, czy ma to podstawy historyczne. A tutaj: Pierwsi łowcy księzek wkraczają do labiryntu.

Dancelot wskazał na inną część balustrady.

– To tutaj, to budowa Drogi Ksiąg kierowana przez Rdzawe Gnomy. Trwała podobno sto lat. A tam uwieczniono podziemny kongres buchemiczków.

Precyzyjna obróbka rdzy była naprawdę wyszukana. Nie wiedziałem, że można tak dokładnie obrobić skorodowany metal.

– Rdzawe Gnomy znały sposób na konserwację rdzy. Wciąż zgadujemy, jak tego dokonały – powiedział Gofid. – Jest to właściwie sprzeczność sama w sobie.

– Czy jest tu też gdzieś wizerunek Króla Cieni? – wyrwało mi się. Chciałem zadać pytanie, które podkreślałoby moją wiedzę na temat katakumb.

Buchlingi zatrzymały się i popatrzyły na mnie poważnie.

– Nie – powiedział Golgo po długiej pauzie. – Nikt nie wie, jak wygląda Król Cieni, więc nie może istnieć żaden jego wizerunek.

– Jesteście przekonani o jego istnieniu?

– Oczywiście – powiedział Golgo. – Słyszymy, jak wyje. Tu na dole jego wycie jest tak głośne, że niejednego pozbawia snu. Wdziera się w nasze najpiękniejsze sny i przekształca je w koszmary.

– Może to jakieś zwierzę.

– Tak może mówić tylko ktoś, kto nigdy nie słyszał Króla Cieni – powiedział współczująco Dancelot. – Żadne zwierzę nie ma takiego głosu.

– Jak myślicie, jaka to może być forma życia?

– Zmiana tematu! – rozkazał Golgo. – Jesteśmy tutaj, żeby pokazać ci piękno Skórzanej Groty, a nie po to, żeby spekulować na temat Króla Cieni. Obejrzyj sobie lepiej nasze książki!

Widocznie nie był to ulubiony temat buchlingów. Posłusznie zwróciłem uwagę na książki w wędrujących regałach. Trudno było powiedzieć, ile ich dokładnie jest, ponieważ zbliżały się i oddalały, przejeżdżały obok nas albo nad nami, znikwały we wnętrzościach maszyny albo wynurzały się z nich. Dopiero teraz dostrzegłem, jak kosztowna i zbytkowna była większość z nich: okładki z czystego złota i srebra, okucia wysadzane diamentami, szafirami, perłami i rubinami, książki z kryształu, nefrytu, z kości słoniowej.

– Czy to książki ze *Złotej Listy*? – spytałem.

– Eee, głupia *Złota Lista* – prychnął Golgo. – Mamy tutaj naszą własną listę, którą nazywamy *Diamentową Listą*. W Skórzanej Grocie posiadamy książki, które degradują całą tę *Złotą Listę* do drugiej ligi.

– W pewnym sensie jesteście także łowcami książek – powiedział Gofid.

– Mimo że nie posługujemy się oczywiście barbarzyńskimi metodami tych profesjonalnych morderców. Szukamy z miłości, nie z chciwości. Szukamy sercem i rozumem, a nie toporem i mieczem. Szukamy, aby się uczyć, a nie by się wzbogacić. I szukamy lepiej! Znajdujemy najcenniejsze książki.

– A najlepsze jest to – wyszczerzył się Dancelot – że łowcy książek myślą, że pozeramy książki! Hehe! Ci idioci! Nie mają najmniejszego pojęcia, że słyszymy ich tu na dole. Są przekonani, że w okresach biedowania odżywiamy się książkami.

– No cóż... – powiedział Golgo, patrząc swoim okiem na ziemię. Dwa pozostałe buchlingi odchrząknęły i przez parę chwil panowała krępująca cisza, której nie potrafiłem wyjaśnić. Zwróciłem uwagę na to, jak cicho działała maszyna, słyszało się jedynie delikatne klikanie i tykanie, jak w mechanizmie zegarka.

– Jakie książki mogą być jeszcze cenniejsze niż te ze *Złotej Listy*? – spytałem.

Zamiast mi odpowiedzieć, Golgo poszedł za jednym z wędrujących regałów. Wyciągnął obiema rękami książkę i taszczył ją z wykrzywioną twarzą i ogromnym stękanieniem, jakby była potwornie ciężka. Widocznie robił sobie ze mnie żarty, bo książka była dość mała i cienka.

– Weź... ją... – wysapał.

Wziąłem książkę – i o mało nie przewróciłem się na ziemię pod jej ciężarem. Była to najcięższa książka, jaką kiedykolwiek trzymałem w rękach.

Golgo i Dancelot wyszczerzyli się.

– Lepiej ją położyć – powiedział Golgo – zanim sobie coś naderwiesz. To jest *Ciężka Księga*.

Położyłem ciężar na porzewiałym metalu.

– Nadal usiłujemy zgadnąć, jak oni to zrobili, że jest to takie ciężkie – powiedział Gofid. – Każda pojedyncza strona waży tyle, ile dzieła zebrane, powiedzmy, Ojahnn Golgo van Fonthelega. Od samego kartkowania można nabawić się zakwasów. Widocznie nasączyli papier jakimś alchemicznym pierwiastkiem mającym potworny ciężar atomowy. Nigdy nie wyprodukowano książki, która w taki sposób broniłaby się przed jakimkolwiek użytkowaniem. Nie tylko ciężko ją unieść, ale też niesamowicie ciężko się ją czyta.

Z mozołem otworzył pierwszą stronę, a ja pochyliłem się i przeczytałem:

Wyobrażając sobie niewidzialny świat, znajdujący się w obrębie świata widzialnego, który jest jednak widzialny, gdy widzialny staje się niewidzialny, więc zawsze, kiedy widok niewidzialnego,

ewentualnie widzialnego, kieruje się na niego, wtedy niewidzialne będzie widzialne, a widzialne niewidzialne – zakładając, że to wszystko obserwowane będzie przez Niewidzialnego znajdującego się wewnątrz widzialnego świata, który wyobraża sobie inny Niewidzialny, którego nie może zobaczyć Widzialny – ponieważ światło jest wyłączone.

– Ach, ach, ach – powiedziałem. – To jest *naprawdę* ciężkie! Nic z tego nie rozumiem.

– Nikt tego nie rozumie – powiedział Golgo. – W tym celu napisano tę książkę.

– Uważam to za aroganckie – powiedziałem. – Powinno się pisać, aby zostać przeczytanym.

– Cóż – powiedział Gofid. – Zbieramy tu *naprawdę* rzadkie książki.

Gofid i Dancelot, stękając, podnieśli *Ciężką Księgę* i włożyli do jednego z wędrujących regałów.

– Ale nie włożyliście jej przecież do tego regału, z którego ją wyciągnęliście – zauważyłem.

– Nie szkodzi – powiedział Golgo. – Kiedyś znowu się tam znajdzie. Sortowaniem zajmuje się Maszyna.

– Według jakich zasad? – spytałem.

– To usiłujemy na razie zgłębić – powiedział tajemniczo Golgo.

– Popatrz na książki w tym regale! – zawołał Gofid.

Musieliśmy się pośpieszyć, żeby dotrzymać kroku wspomnianemu regałowi. Na pierwszy rzut oka zobaczyłem jedynie parę setek książek, o różnych oprawach z materiałów, które były mi nieznanne.

– To prywatna biblioteka księcia książkowego Yogura Yazella Młodszego. Kazał oprawiać swoje ulubione książki wyłącznie w skóry zwierząt, które istniały tylko jako ostatnie egzemplarze swego gatunku. Oczywiście po oprawie nie istniał już żaden. Ta, to skóra usłonia. Tutaj: okładka z gogo. To tam, to futro muflona czerwonołosego. To są skrzydła błękitnego złotodzioba. To jest skóra z kotoperza.

– To przecież barbarzyńskie! – zawołałem oburzony.

– Barbarzyńskie i dekadencjonalne równocześnie – powiedział Golgo.

– Szczególnie, kiedy weźmie się pod uwagę, że Yogur Yazella nie potrafił nawet czytać. Ale jak sądzisz, ile mógłbyś dostać za te książki w jakimś księgozbiorniku antykwariacie – biorąc pod uwagę, że ich strony zrobione są ze sprasowanej kości

nefrytowej?

Trudno to sobie wyobrazić! Przy tym naprawdę bladły wszystkie książki ze *Złotej Listy*. Zdumiony kroczyłem wzdłuż wędrujących regałów.

– Ale to jeszcze nic – powiedział Golgo. – Tutaj, popatrz sobie na to.

Chwycił małą, niepozorną książkę i wręczył mi ją.

– Musisz trzymać ją w poprzek, tak będzie lepiej.

Gofid i Dancelot parsknęli głupio, a ja otworzyłem książkę w sposób, w jaki mnie proszono.



Przeżąony upuściłem ją. Ta książka gapiła się na mnie!

Golgo podniósł ją znowu, podczas gdy Gofid i Dancelot dziecinnie chichotali.

– Wybacz mi, proszę, mały żart – wyszczerzył się w uśmiechu Golgo.

– To *Żywa Księga*. Wszystkie książki na tym regale są na swój sposób żywe.

Przyjrzyj się dokładnie!

Tym razem wspomniany regał zatrzymał się dokładnie przed nami, jakby maszyna wiedziała, że chcemy zająć się jego zawartością. Zrobiłem krok bliżej.

Zaraz – czy ja aby dobrze widziałem? Te książki zdawały się naprawdę poruszać! Mrugnąłem, przetarłem oczy i ponownie spojrzałem. Tak, do pioruna, to nie było złudzenie – książki się ruszały! Nie szczególnie mocno, ale widziałem dokładnie, że ich grzbiety podnosiły się i opadały lekko, jak gdyby oddychały. Coś we mnie wzdręgało

się przed dotknięciem ich, jakby chodziło o nieznanne zwierzęta, o których nie wiadomo, czy gryzą, czy nie.

– Możesz je spokojnie pogłaskać – powiedział Golgo. – Nic nie zrobią. Ostrożnie pogłaskałem grzbiety książek. Były ciepłe i mięsiste, i lekko zdrząły pod moim dotykiem. Wystarczyło mi to jako kontakt cielesny i odszedłem od regału.

– Cały czas znajdujemy jakieś w katakumbach – powiedział Dancelot.

– Muszą mieć setki lat. Podejrzewamy, że są nieudanymi eksperymentami buchemików, wczesnymi próbami pobudzania książek do życia.

Golgo westchnął – Nie rozumiemy, dlaczego wrzucono je do labiryntu, prawdopodobnie nawet od razu na wysypisko Unhajmu. Ale może buchemicy wyobrażali sobie inaczej efekty przeprowadzanych eksperymentów.

Żywe Księgi! Niesamowite, buchlingi miały rację, *Złota Lista* była niczym w porównaniu z ich skarbami.

– Muszą z nich być zawzięte maluchy – powiedziałem – skoro udało im się wydostać z Unhajmu.

– Tak jest – zawołał Gofid. – Krążą plotki, że rozwinęły się w katakumbach. Podobno istnieją wśród nich nawet niebezpieczne egzemplarze. Takie potrafiące latać i gryźć. Takie, które podobno krzyżowały się z *Niebezpiecznymi Książkami*.

– Pałac Cieni jest podobno nimi zaludniony – powiedział Dancelot.

– Przebąkuje się...

– Koniec już z tym bajdurzeniem! – zagrzmiał Golgo. – Chcieliśmy pokazać naszemu gościowi bibliotekę, a nie opowiadać historie grozy.

– Z czego żyją? – spytałem. – Czym się odżywiają?

– Karmię je w wolnym czasie – powiedział Dancelot. – Najbardziej lubią robaki książkowe.

Maszyna, jak gdyby decydując, że już wystarczająco długo zajmowaliśmy się *Żywymi Księgami*, podniosła w pierw regał do góry, a potem wycofała do swojego wnętrza. Inny regał wysunął się do przodu, a *Żywe Księgi* zniknęły.

– No – powiedział Golgo. – Nie chcemy cię przemęczać. Możesz spokojnie zostać u nas przez jakiś czas. Będziemy mieli więc dużo czasu, żeby pokazać ci naszą bibliotekę. Poprzestańmy dzisiaj na tym.

Podszedł do balustrady i spojrział w dół na *Skórzaną Grotę*.

– Wiesz już teraz wiele na nasz temat – kontynuował, a jego głos stał się uroczyście. – Teraz nadszedł czas, abyś poznał naszych pobratymców. Po raz drugi w historii buchlingów zaszczyt ten spotyka kogoś, kto nie jest buchlingiem. Gofid, Dancelot,

powiadomcie innych, że mają zebrać się na *Ormowanie!*



ORMOWANIE

Na Ormowanie? Brzmiało to jak określenie staromodnego zwyczaju. Czy miało coś wspólnego z przejętymi wierzeniami w Orma? A może oznaczało to w języku buchlingów „jedzenie” i zbiorą się teraz, żeby mnie grupowo skonsumować? Fistomefel Szejm, Claudio Harfenstock, Hoggno Kat – w ostatnim czasie przeżyłem zbyt wiele niespodzianek, żeby móc jeszcze komukolwiek zaufać.

Dancelot i Gofid biegali dookoła i przekazywali wiadomość od buchlinga do buchlinga. Ich pobratymcy podawali ją dalej, jak błyskawica przeszła ona przez *Skórzaną Grotę* i w ciągu paru minut płatanina głosów i ech zjednoczyła się w jednogłośnym nawoływaniu: „Ormowanie! Ormowanie!”.

Zebrałem całą moją odwagę i spytałem Golgo: – Co to jest, to całe – eh... to Ormowanie?

– Stary barbarzyński rytuał, w trakcie którego zedrą z ciebie żywcem skórę, zanim cię pożre – powiedział Golgo. – No przecież wiesz, jesteśmy cyklopami.

Cofnąłem się, a nogi mi zadrżały.

– Tylko żartowałem, jesteś dobry z camońskiej literatury? – wyszczerzył się Golgo.

Usiłowałem się uspokoić. Buchlingowe poczucie humoru stargało mi nerwy.

– Ujdzie – powiedziałem. – Miałem dobrego ojca poetyckiego.

– W takim razie będziesz się dobrze przy tym bawił. Uważaj, o co chodzi: Moglibyśmy przedstawić ci każdego buchlinga z osobna i to by było tyle, jasne?

– Jasne – powiedziałem. Nie miałem zielonego pojęcia, do czego zmierza.

– Ale to byłoby mało zabawne, a jutro zapomniałbyś wszystkie imiona. Albo myliłbyś je między sobą. Jasne?

– Jasne.

– Dlatego zaprezentujemy ci teraz każdego buchlinga osobiście, a ty będziesz musiał *zgadnąć* jego imię.

– Co?

– W ten sposób o wiele łatwiej zapamiętasz imiona, uwierz mi! Działa to tak: Każdy buchling wyszukał charakterystyczny fragment z dzieł zebranych swojego poety. Taki fragment, w którym jego zdaniem Orm najsilniej przenikał pisarza w trakcie pisania. I te wersy ci zaprezentuje. Jeśli jesteś dobry z camońskiej literatury, odgadniesz większość z nich. Ale jeśli jesteś kiepski, będziesz skompromitowany do końca życia. To nazywamy Ormowaniem.

Musiałem przełknąć ślinę. Kurczę, tak właściwie to jak dobry byłem z camońskiej literatury? Jakie kryteria będą tu wzięte pod uwagę?

– Muszę cię ostrzec. Niektóre buchlingi kierują się dość dziwnymi kryteriami, wyszukując swoje fragmenty. Wobec niektórych mam pewne podejrzenia, że celowo wybierają coś nietypowego, żeby szczególnie trudno było odgadnąć ich imię.

Znów musiałem przełknąć ślinę.

– Nie moglibyśmy po prostu powiedzieć sobie nawzajem naszych imion i tyle? – zaproponowałem. – Jestem dość dobry w zapamiętywaniu imion.

Ale Golgo odwrócił się właśnie ode mnie i zawołał grzmiącym głosem: Ormowanie! Ormowanie! Zbierzcie się wszyscy na Ormowanie!

Potem poprowadził mnie z Maszyny na dół, gdzie buchlingi uformowały wokół mnie wielkie koło. Nie dało się uciec, a teraz mogły już gapić się na mnie bez skrępowania, co też niepohamowanie czyniły, tym swoim świecącym i przenikliwym wzrokiem. Czuję się równocześnie i nagi, i wsadzony pod mikroskop. Okrzyki ucichały powoli, zapanowało pełne napięcia milczenie.

– Oto, moje drogie buchlingi – krzyknął wśród ciszy Golgo – Hildegunst Rzeźbiarz Mitów. Jest mieszkańcem Twierdzy Smoków i przyszłym pisarzem.

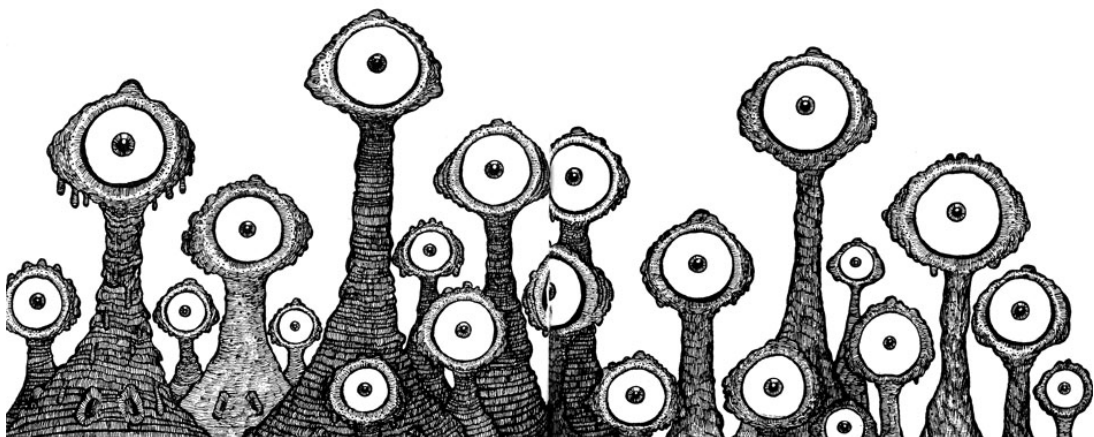
Wśród zgromadzonych dał się słyszeć szept.

– Księgogradzianie zawlekli go wbrew jego woli do katakumb i zgubił się tu. Aby uchronić go od śmierci, Gofid, Dancelot i moja „skromna osoba” – Golgo zrobił małą przerwę, pewnie żeby dopuścić głósy sprzeciwu co do tej „skromnej osoby”, ale nic się takiego nie wydarzyło – ech, czyli ja, postanowiliśmy przyjąć go na jakiś czas do naszej społeczności.

Uprzejmy aplauz.

– Będziemy w kolejnych dniach mieli więc przyjemność przebywania z prawdziwym pisarzem, mimo że niczego jeszcze nie opublikował. Ale wiemy wszyscy, że to tylko kwestia czasu, ponieważ pochodzi on z Twierdzy Smoków. Jego przeznaczeniem jest zostać pisarzem. Tak, być może moglibyśmy nawet przyczynić się nieco do rozwoju jego kariery.

– Dasz radę! – zawołał jeden z buchlingów.



– Tak, stary – zawołał inny – Po prostu pisz, reszta przyjdzie sama!

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia! – zawołał ktoś całkiem z tyłu. Sytuacja stawała się dla mnie powoli dość krępująca. Nie mogliśmy przynajmniej rozpocząć w końcu tego cholernego Ormowania?

– Dobrze – zawołał Golgo. – Znamy teraz jego imię – Hildegunst Rzeźbiarz Mitów! Niech jego imię zabłyśnie kiedyś na grzbietach wielu książek!

– Niech zabłyśnie! – skandowały buchlingi.

– Lecz... – zawołał dramatycznie Golgo – czy zna on nasze imiona?

– Nie! – zawołały buchlingi.

– I cóż możemy na to zaradzić?

– Ormowanie! Ormowanie! Ormowanie! – darło się całe zgromadzenie.

Golgo uczynił proszący gest, aby stłumić okrzyki.

– Niech pierwszy wystąpi! – rozkazał Golgo.

Poprawilem nerwowo moją pelerynę. Mały żółtawy buchling wystąpił i stanął przede mną.

Odchrząknął i zadeklamował drżącym głosem:

Słyszysz ten na pożar dzwon –

Z brązu dzwon?!

Jak ponurą gra opowieść rozedrgany dzwonów ton!

Jakiż w noc popłynął jęk,

*Jakież wycie zrodził lęk!
Zdławił mowę! Tylko bić,
Tylko mogą dzwony wyć!*

Chwileczkę, chwileczkę, znalazłem to! Ta rytmika była łatwa do rozpoznania, jedyne w swoim rodzaju dzieło camońskiej Mrocznej Liryki, to było, to było...

– Jesteś Perla La Gadeon! – zawołałem. – To *Pożar Księgogrodu!* Arcydzieło!

– Cholera! – zaklął buchling. – Mogłem wybrać mniej popularny wiersz! – Ale promieniał też z dumy, że tak szybko go odgadnięto. Inne buchlingi dyskretnie zaklaskały.

– To było łatwe – powiedziałem.

– Następny! – zawołał Golgo.

Zielonoskóry buchling z grubym woreczkiem łzowym wystąpił naprzód i spojrzał na mnie melancholijnie. Potem przemówił cienkim i łamliwym głosem:

*Każ się napełnić ostatnim owocom;
niech je dwa jeszcze ciepłe dni opłyną
znaglaj je do spełnienia i wpędź z mocą
ostatnią słodycz w ciężkie wino.*

Hmm. Wino. Wiersz o winie. Nie jakiś tam wiersz o winie. Szczególny wiersz o winie. Dosłownie *ten* wiersz o winie: *Wino Komety*, opowiadający straszną historię o Gizzardzie von Ulfo. I nie napisał tego nikt inny jak...

– Ali Aria Ekmirner! – zawołałem. – To druga strofa z *Wina Komety!*

Ekmirner uklonił się i milcząco wycofał. Huczny aplauz.

– Następny – uprzedziłem Golgo. Moja pewność siebie rosła. Ormowanie zaczynało mi się podobać.

Buchling o purpurowej skórze wystąpił z tłumu uroczystym krokiem. Nabrał powietrza, rozpostarł ramiona i powiedział:

O!

Zanim wypowiedział jakąkolwiek kolejną sylabę, wskazałem na niego oskarżycielsko palcem i zawołałem: Dölerich Hirnfidler!

No cóż, Dölerich Hirnfidler był wprawdzie znany z tego, że notorycznie rozpoczynał co drugi swój wiersz od „O!”, ale był to tylko beztroski strzał z mojej strony, bo wielu poetów tak robiło. Ku mojemu zdziwieniu buchling skinął zawstydzony głową i opuścił swoje miejsce. Strzał w dziesiątkę! To naprawdę był Dölerich Hirnfidler, zgadłem

prawidłowo na podstawie jednej tylko głoski! Szept przeszedł przez zgromadzone buchlingi i niektóre knolfnęły zębami.

– Następny! – zawołał Golgo.

Buchling albinos z wodnistym czerwonym okiem wystąpił naprzód. Powiedział:

*Wnet zobaczyłem przez lipy wielkie i gęste listowie
Pośród konarów skrycie migoczące światelko matowe
Co jak ogromny świętojański robak do drzewa przyłgnęło,
I – niczym senna wizja – duszą mą wstrząsnęło.
Lecz ja wiedziałem, świetlik błędny oto się zakrada,
Wybiła ostatnia ma godzinka, żegnać się wypada.*

O mój Boże – Sanotthe von Rhüffel-Ostend! Mój ojciec poetycki Dancelot przyprawił mnie o parę bezsennych nocy wierszami grozy tej pół obłąkanej florynckiej poetki. To tutaj, *Błędny ognik na Cmentarnym Bagnie* znałem nadal w całości na pamięć.

Tym razem jednak chciałem wprowadzić nieco napięcia. Nie można wystrzelać się ze wszystkiego od razu. Udawałem, jak gdyby był to szczególnie twardy orzech do zgryzienia.

– Ech – westchnąłem. – Uchu. To jest trudne... mogłoby to być... nie... albo tego... nie, on nie napisał przecież żadnego wiersza, który by się rymował... albo jest to... hmm... chwileczkę... widzę nazwisko... nie, dwa nazwiska... niewyraźnie... ledwie rozpoznawalne...

Buchlingi zajęczały z napięcia.

– Tak! Tak! Teraz coś mi świta... czy to mlecz? Skrzyp? Nie, osty! Ostend! Jesteś Sanotthe von Rhüffel-Ostend! Stuknięta Sanotthe!

To ostatnie wymknęło mi się przypadkiem, odgadnięty buchling parsknął urażony, obrócił się na pięcie i zniknął w tłumie. Publiczność biła brawo z ulgą. Stałem nieistniejący pot z czoła.

– Następny! – zawołał Golgo.

Krępy buchling o delikatnie niebieskiej cerze wygrzebał się z tłumu. Niektóre buchlingi zachichotały, gdy ustawiał się przede mną. Powiedział:

*Rybi szkie, rybi, ryryryryrybi szkielet
Leżał na na, leżał na rafie.
Jak trafił, trafił, jak trafił, jak trafił
Tam, tam, tam?*

O mój Boże, wiersz dla jąka! Był taki nurt w camońskiej literaturze, tak zwany gagaizm, w którym nie tylko akceptowano błędy językowe jako środki stylistyczne, ale je także jeszcze wprost pielęgnowano. To naprawdę nie była moja specjalizacja.

*To morze go morze, morze, to go
Tam, tam, tam wyplukało,
Tu llllleży on, leży, tu llllleży, lleży on
Bardzo dobrze, nawet bardzo dobrze!*

Uff! Unkl von Hotto się jąkał. Borian Dorsch też. Bliźnięta Wasserlack jąkały się w duecie. Istniały nawet jåkane wiersze autorstwa niejąkających się, którzy chcieli podążać za tą modą błędów językowych.

*I zjawił się ryb, rybrybrybrybryba,
rybrybrybrybryb-rybrybrybrybryb-ryb rybrybak
Który świeżył, łowił świeże ryby,
I on go zabrał, zabrał, on zabrał, zabrał go
Ze sobą, on zabrał go ze sobą.*

Najwięcej jåkających wierszy napisał T.T. Kreischwurst – jego pseudonim był tak samo głupi jak jego poezja. Ale to mogło być naturalnie coś Oskarda Łowcy Murchów albo Hogo Dorna! Nie pozostawało mi nic innego prócz zgadywania.

*A teraz ona lllleży, leży, teraz lleży rafa
Zupełnie be be be bez szkieletu ryby
W dalekim, daleko, w oooceanie
Całkiem naga, tak stra stra strasznie naga.*

Buchling uklonił się. Przynajmniej ten cholerny wiersz już się skończył. Kurczę, nie miałem naprawdę pojęcia, kto popełnił ten męczący bełkot. Strzeliłem po prostu najpopularniejszym jąkałą.

– Jesteś T.T. Kreischwurst! – zaryzykowałem pewnym głosem.

– Dododooklaaaddnieeee – odpowiedział buchling. – Mmmaały wwwwiersz dddlaa duuduuzyyych jajjąkkkaa!

Aplauz, śmiechy. Uff! Tym razem znowu się udało.

Teraz szło już raz za razem. Ydro Blorn, Göfel Ramsella, Fatoma Hennf i cała reszta, zgadywałem ich jeden po drugim. Po raz kolejny od przybycia do katakumb

dziękowałem mojemu ojcu poetyckiemu za szczegółową wiedzę na temat camońskiej literatury, którą wbijał mi do głowy za czasów młodości.

Buchling o ciemnobrązowej barwie skórzanej okładki stanął przede mną i zawołał:

*Dalej! Twierdzę Smoków zostawiam tym
Samym daleko za sobą i wzlatuję
Wolny ponad ziemią, a wszelki mój czyn
Sławie służy jeno, którą już czuję*

Oho, poezja z Twierdzy Smoków, nie dało się jeszcze łatwiej? Nie od razu to odgadłem, ale oczywiście znałem wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane w Twierdzy.

*Sławny, takim chcę zostać
Poetą dla mas
Znanym. Ja, wybitna postać
Poeta wszelkich klas!*

Momencik! Tego poetę znałem nawet osobiście, te linijki sam mi już kiedyś deklamował. Oczywiście! To była pieśń pożegnalna Owidiosa Szlifierza Wersów, gdy opuszczał on Twierdzę Smoków. Czytał ją całemu zgromadzeniu twierdzościan święcie przekonany, że w Księgogradzie stanie się czczonym autorem. Nigdy by mi się nawet nie śniło, że zobaczę go kiedyś w jednej z dziur na *Cmentarzu Zapomnianych Poetów*.

*Księgogród, Śniących Ksiązek Miasto
Bogatych poetów ty raj!
Z tobą życie me zwiąże los ciasno
Historia mnie wieńcem umai.*

Po tej zwrotce miało nastąpić jeszcze 77 dalszych, które opiewały radości wolnego życia poety i owoce sławy, które bez wątpienia będą czekały młodego poetę w Księgogradzie, ale chciałem oszczędzić tego sobie, buchlingowi i jego pobratymcom. Powiedziałem więc:

– Jesteś Owidios Szlifierz Wersów.

– Tak, to było proste – wyszczerzył się buchling. – Wiedziałem, że go znasz. Wiesz pewnie więcej o Szlifierzu Wersów niż ja sam. Może mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego

od tak dawna niczego nie opublikował? Pracuje nad jakimś większym dziełem?

Ten biedak poświęcił swoje życie Owidiosowi Szlifierzowi Wersów. Miałem powiedzieć mu w twarz, że nie może oczekiwać po nim niczego więcej niż improwizacje pod turystów? Nie miałem do tego serca.

– Dokładnie – powiedziałem. – On, eh, zagrzebał się i pracuje nad jakąś dużą rzeczą.

– Tak też myślałem – powiedział buchling. – On będzie jeszcze kiedyś wielki. – I oddalił się.

– Następny! – nalegał Golgo.

Szczupły buchling z kamiennosiną skórą wystąpił naprzód i powiedział:

*W głębokich, zimnych jaskiniach,
Gdzie cienie łączą się z cieniami,
Stare księgi stłoczone w marzeniach
Śnią o czasach, gdy były drzewami.
Tam, gdzie węgiel rodzi diament,
Światło ni litość nie są znane,
Panuje na owej Ziemi
Duch zwany Królem Cieni.*

Tym razem mnie mieli. Był to wiersz, którego nie znałem. Chodziło oczywiście o Króla Cieni, a ja nie znałem żadnego pisarza, który zajmował się tą postacią, poza Kolofonusem Deszczblaskiem, ale ten nie pisał żadnych wierszy.

Zgadywanie też nie miało sensu. Mogły istnieć setki młodych pisarzy, których dzieł nie znałem. Złożyłem broń.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. – Nie znam twojego imienia. Jak się nazywasz?

– Nazywam się Kolofonus Deszczblask – odpowiedział buchling.

– To niemożliwe. Kolofonus Deszczblask napisał tylko jedną książkę. *Katakumby Księgogrodu*. I czytałem ją nawet niedawno. Nie ma w niej ani jednego wiersza.

– Kolofonus Deszczblask napisał jeszcze jedną książkę – powiedział buchling. – Nazywa się *Król Cieni* i zaczyna tym wierszem.

Tłum stał się niespokojny.

– Jakim cudem? – spytałem. – Kolofonus Deszczblask zaginął.

Buchling tylko się wyszczerzył.

– To nie fair! – zawołał ktoś z tłumu.

– Tak, przepróż, Kolo! – zawołał inny. – On nie mógł o tym wiedzieć.

– Spadaj!

Byłem zmieszany. Tumult wzmagął się, poruszenie przeszło przez zgromadzone buchlingi, ten, który twierdził, że jest Kolofonusem Deszczblaskiem, zniknął w tłumie. Golgo zabrał głos.

– Koniec Ormowania! – zawołał. – Koniec Ormowania na dzisiaj! Nasz gość bił się dzielnie, powinniśmy pozwolić mu na odrobinę odpoczynku.

Buchlingi zamruczały z aprobatą.

– Jutro będziemy Ormowali dalej. Każdy będzie miał swoją kolej. Udajcie się teraz na spoczynek!

Podszedłem do Golgo. – O co chodziło przed chwilą? – spytałem. – Czy Deszczblask naprawdę napisał jeszcze jedną książkę?

– Chodź! – powiedział śpiesznie Golgo, nie reagując na pytanie. – Pokażę ci nasze kwatery. I twoje łóżko. Pewnie jesteś zmęczony.



MUZYKA CYKLOPÓW

Golgo poprowadził mnie jednym z korytarzy odchodzących od *Skórzanej Groty*. Buchlingi, które nas otaczały, wydawały się nie zwracać na mnie żadnej uwagi, widocznie przeszedłem już rytuał przyjęcia, zanim się ostatecznie zakończył. Jednak czułem się jak osa w mrowisku. Przewyższałem ich dwa razy wzrostem i musiałem schylać głowę, żeby nie uderzyć o sufit tunelu.

Tak samo jak *Skórzana Grota* był on przybrany okładkami książek, a ja usiłowałem odczytać niektóre z tytułów. Jednak wszystkie były spisane pismem, którego nie potrafiłem odszyfrować.

– Tak – powiedział Golgo, który mnie obserwował – w sumie szkoda wszystkich tych książek, do których musiały należeć te okładki. W owym czasie były prawdopodobnie tandetą, odpadkami. Ale dla nas byłyby świadkami nieznannej kultury. Książki przemijają.

– A czyż my wszyscy nie przemijamy? – odpowiedziałem niezbyt błyskotliwie.

– My nie – powiedział Golgo.

– Co masz na myśli?

– No cóż, nie chcę utrzymywać, że buchlingi są nieśmiertelne, ale przynajmniej jeszcze nigdy żaden z nas nie umarł śmiercią naturalną. Zdarzyło się parę wypadków, przy których zginęły jakieś buchlingi, ale nie znamy żadnych chorób. Żadnego rozkładu.

– Naprawdę? A skąd pochodzicie? To znaczy, jak...

Golgo mrugnął nerwowo swoim okiem.

– O tym nie mogę rozmawiać – powiedział. – W każdym razie jeszcze nie teraz.

Widziałem, że od korytarza odchodziło wiele pieczar mieszkalnych i w każdej mieszkał buchling. Także pieczary były wyłożone okładkami książek, w każdej był co najmniej jeden regał z książkami i legowisko z grubych futer. Wszystko było oświetlone ciepłym światłem świec.

– Światło meduz nie nadaje się do czytania – powiedział Golgo, jak gdyby zgadując moje myśli. – Stwarza nieprzyjemną atmosferę, w której może dobrze się poluje albo morduje. Odrzucamy świecące meduzy. Rozprzestrzeniają się jak robactwo i jeszcze któregoś dnia przejmą władzę w katakumbach. Wyrzucamy każdą, która odważy się podpełznąć do *Skórzanej Groty*. Światło świec jest kojące. Mamy własny warsztat produkujący świece. Wiedziałaś, że z papierowych robaków można ugotować świetny tłuszcz do świec?

– Nie – powiedziałem. Nie było mi o tym wiadomo. Fakt uspokajającego działania świec mogłem przynajmniej potwierdzić. Odkąd wkroczyłem do królestwa buchlingów, ciągły niepokój, w jaki wprawiały mnie katakumby, nagle ze mnie opadł.

– Każda pieczara buchlinga jest indywidualnie wyposażona, oczywiście przede wszystkim w dzieła pisarza, którego uczy się tam na pamięć.

Zatrzymaliśmy się i zajrzeliśmy do jednej z pieczar. Mały gruby buchling leżał wygodnie na swoim łożu z futer i czytał książkę. Na ścianach poprzyczepiane były rękopisy i obrazy. Od razu rozpoznałem sportretowanego na nich poeę.

– Cześć Ugor – powiedział Golgo. – Wydaje mi się, że nie musisz brać już udziału w Ormowaniu. Domyślam się, że Hildegunst się już zorientował.

– Nazywasz się Ugor Vochti – powiedziałem. – Napisałeś *Sagę Midgardu*.

– Dobrze by było – powiedział Ugor. – Ja tylko uczę się jej na pamięć. Jednak szkoda. Wybrałem fragment, który naprawdę ciężko byłoby zgadnąć.

Poszliśmy dalej. Korytarze były teraz prawie puste, wszyscy zaszyli się w swoich pieczarach i rozpoczęli naukę.

– Dlaczego właściwie to robicie? – wyrwało mi się.

– Co?

– To uczenie na pamięć.

Golgo spojrział na mnie bez zrozumienia.

– To nie jest właściwe pytanie. Pytanie brzmi, dlaczego inni właściwie tego nie robią?

Musiałem nad tym pomyśleć. Nie przychodziła mi do głowy żadna błyskotliwa odpowiedź.

– To twoja pieczara mieszkalna – powiedział Golgo i pokazał mi moje małe królestwo. W tej pieczarze nie było książek, jedynie łoże do spania, przygotowane dla gościa mojego wzrostu.

– Możesz wypożyczyć sobie ze *Skórzanej Groty* wszystkie książki, jakich potrzebujesz. Chciałbyś parę odtłuszczonych robaków papierowych na kolację?

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Chce mi się tylko pić.

– Przyniosę ci trochę źródlanej wody – powiedział Golgo i oddalił się.

Gdy zniknął, usłyszałem po raz pierwszy mruczenie unoszące się w powietrzu. Przyjemny jednostajny ton, który brzmiał jak zbiorowe błogie pomrukiwanie zadowolonych kotów. Przygotowałem sobie łożko na noc. Noc? Skąd mogłem wiedzieć, czy był to dzień czy noc? Nieważne! W każdym razie byłem porządnie zmęczony.

Golgo wrócił z dzbankiem wody.

– Co to za dźwięk? – zapytałem. – To mruczenie?

Golgo wyszczerzył się w uśmiechu. – To buchlingi w trakcie uczenia się na pamięć. Krótko przed snem zamykamy oczy i powtarzamy nasze ulubione teksty. Z jakiegoś

powodu zaczynamy przy tym mrużyć i w końcu zasypiamy. Przyzwyczaisz się do tego.

Golgo życzył mi dobrej nocy, ja napiłem się nieco wody, zgasilem świecę i położyłem się.

Moje oczy i członki były ociężałe, a mrużenie wcale mi nie przeszkadzało – wręcz przeciwnie, uspokoiło mnie. Jak delikatne fale kołysało mnie w górę i w dół, w górę i w dół. Była to muzyka buchlingów, dźwięk śnionej błogo literatury, która czule śpiewała mi do snu.

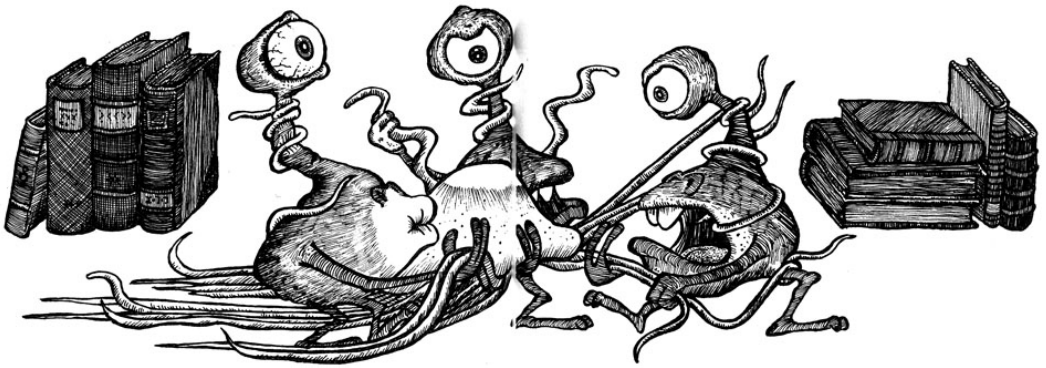


KOMNATA CUDÓW

Musiłem się trochę zmuszać do zjedzenia śniadania, jakie zaserwował mi następnego ranka Golgo, prażonych w kominku robaków książkowych, ale mój głód stał się w międzyczasie tak potężny, że mógłbym pożreć Pająxxxxa na surowo. Chrupiące robaki smakowały w gruncie rzeczy całkiem nieźle.

– Dzisiaj pokażę ci dalsze części naszego królestwa – zapowiedział Golgo, gdy opuściliśmy moją sypialną pieczarę. – Nie ogranicza się ono bynajmniej tylko do *Skórzanej Groty*, mój drogi.

Buchlingi wypełniały już korytarze swoją aktywnością. Transportowano książki, wymieniano świece, deklamowano, plotkowano i śpiewano. Wydawało się, że panuje tu jakaś zbiorowa niechęć do ciszy, co potraktowałem jako urozmaicenie po grobowym spokoju labiryntów. Widziałem, jak trzy przeklinające buchlingi wynosiły świecą meduzę, która odnalazła drogę do ich królestwa. Nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, tak jakbym przez noc stał się jednym z nich.



– Ormowanie będziemy kontynuowali później – powiedział Golgo.

– Pokażę ci najpierw nasze archiwum. Zbieramy bowiem nie tylko książki, lecz wszystko, co w jakiś sposób związane jest z literaturą i dostało się tutaj na dół. Poezja nie składa się tylko z papieru, wiesz? Porusza wszystkie aspekty życia.

– Co ty nie powiesz.

– Literatura przenika życie o wiele bardziej, niż się zauważa. W przypadku nas, buchlingów, nawet jeszcze silniej.

– Pod jakim względem?

– Pod każdym. Jest tak: Każdy buchling nabiera w końcu cech charakteru poety, którego uczy się na pamięć, to nieuniknione. To nasze przeznaczenie. Z natury jesteśmy niczym niezapisane kartki, które chcą być zapisane, bez własnej osobowości. A potem nabieramy coraz więcej cech naszego poety, aż stajemy się złożonymi osobnikami. Zresztą nie zawsze przyjemnymi osobnikami! Każdy buchling jest inny. Mamy choleryków i tchórzy, samochwały i melancholików, flegmatyków i zapalczywych, komików i bekisy. Ja sam skłaniam się na przykład, niestety, za bardzo ku napuszoneości, ale co mam zrobić? Ojahn Golgo van Fontheweg był niezłym bufonem, to pewne. Obserwuj tego, który idzie w naszym kierunku. To jest Ejstod.

W oku buchlinga, o którym mówił Golgo, płonął zimny płomień zwątpienia, a jego dolna warga drżała, jak gdyby miał za chwilę wybuchnąć niepoohamowanym płaczem. Przebrnął bez słowa koło nas i zniknął, milcząc, w ciemności, mimo że Golgo uprzejmie go pozdrowił.

– Woski Ejstod? – zapytałem – Ten, który pisał te przygnębiające książki?

– Och, są świetne – powiedział Golgo. – Ale trzeba umieć je znieść. Buchling, który wybrał sobie Ejstoda, niewątpliwie przeliczył się co do możliwości swojego duchowego obciążenia. A teraz w regularnych odstępach musimy powstrzymywać go przed przeczytaniem *Zatrutej Książki*. Widzisz tego, który idzie tam przed nami jak kaczką? To Tscharwani.

– Ten mały gruby? To Wonog A. Tscharwani?

– Dokładnie ten. Popatrz, jak się niemrawo porusza.



Musiałem się zaśmiać. Tscharwani napisał świetną powieść o ociężałości. Gruby buchling przed nami poruszał się naprawdę wzorcowo ociężale.

Weszliśmy do większej pieczary, w której płonęły tysiące świec. Na jej środku stał potężny żelazny garnek, pod którym tliły się węgle. Buchlingi wspinały się na krawędź garnka po drabinach i wiadrami wrzucały do niego robaki, inne zbierały ogromnymi chochlami biały tłuszcz, jeszcze inne zaś były zajęte formowaniem świec z owadziego tłuszczu w wielkich, drewnianych maszynach.

– To nasza fabryka świec – powiedział Golgo. – Kto chce czytać, potrzebuje światła, szczególnie jeśli mieszka pod ziemią. Wiesz, że nie znosimy światła meduz – westchnął. – Jak bardzo chciałbym raz przeczytać książkę w blasku słońca, tak jak często opisywał to Fontheweg. Na zielonej łące wiosną.

– Dlaczego po prostu nie wejdiesz na górę i nie zrobisz tego?

– To niemożliwe. Nasze małe płuca załamałyby się na świeżym powietrzu. Musimy żyć w możliwie jak najbardziej dusznych warunkach.

– Naprawdę? Próbowaliście już tego?

– Oczywiście. Im wyżej wchodziliśmy, tym trudniej było nam oddychać. Zbyt dużo

tlenu nas zabija.

Za fabryką świec trafiliśmy do wąskiego korytarza, którym szedł z naprzeciwka samotny buchling. Niósł pod pachą książkę, o której z miejsca mogłem powiedzieć, że było to pierwsze wydanie *Niemoralnych opowieści z Floryntu*, dzieła, które było tak często zakazywane i palone, że jego rzadkie oryginalne wydania figurowały dość wysoko na *Złotej Liście*.

– A cóż my znowu takiego złego czytamy? – spytał Golgo, mijając go i pogroził mu podniesionym palcem w udawanej przyganie.

– Nie ma moralnych lub niemoralnych książek – odpowiedział buchling – są książki napisane dobrze lub źle. To wszystko.

Z tymi słowami zniknął za rogiem.

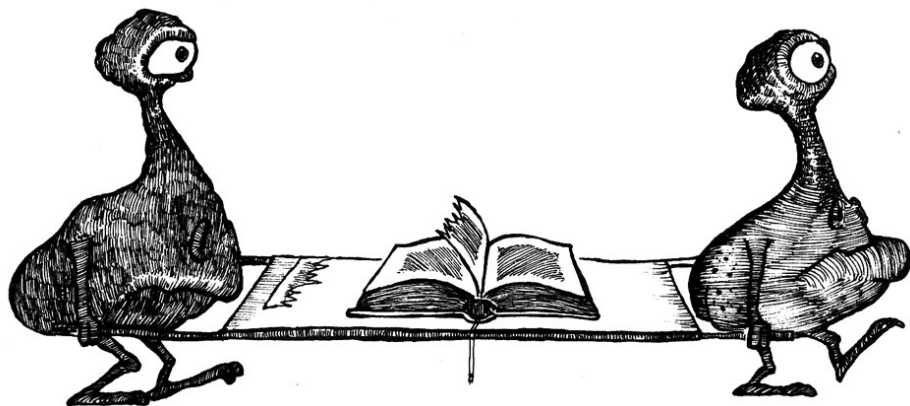
Golgo wyszczerzył się. – Nie wolno byłoby mi tego powiedzieć, bo jeszcze go nie Ormowałeś, ale jesteśmy przecież sami – obejrzał się konspiracyjnie – Był to mianowicie...

– Orca De Wils! – uprzedziłem go. – Zgadza się?

– Prawidłowo – odpowiedział zaskoczony Golgo – Tylko Orca De Wils jest tak bezlitośnie błyskotliwy. Jesteś naprawdę niezły w zapamiętywaniu, mój drogi! Bez trudu mógłbyś zostać buchlingiem, gdybyś nie miał tylko jednego oka za dużo.

Korytarze stawały się większe i większe, i wkrótce nie były już obite okładkami książek, tylko wyłożone samym kamieniem. Odchodziły od nich małe, sztucznie stworzone pomieszczenia, w których skrzętnie pracowały buchlingi; manipulowały przy maszynach drukarskich, sklejały i oprawiały ręcznie książki albo mieszały masę papierową w ogromnych wiadrach. Widziałem także niektóre odlewające w ołowiu czcionki drukarskie.

– To Szpital Książek – wyjaśnił Golgo – tu restaurujemy nadjedzone albo częściowo zniszczone książki. Rekonstruujemy teksty i drukujemy je na nowo albo naprawiamy okładki. Istnieją rozmaite sposoby zadawania książkom cierpienia. Mamy tu spalone, przeżarte i rozerwane książki. Niektóre z ranami postrzałowymi i kłutymi. Operowaliśmy tutaj nawet *Żywe Księgi*.



– Gdzie jest rekonstrukcja ostatniego rozdziału *Guzy w łabędziej szyi*? – krzyczał mały buchling w korytarzu. – Klej zastygnie, jeśli zaraz nie włoży się stron.

– Idzie, idzie! – krzyczał inny buchling, pędząc z naprzeciwka korytarzem z paczką świeżo wydrukowanych stron w ręku.

Minęliśmy grubego bladego buchlinga, który zakrywając ręką oko, bębnił nazwiska i tytuły książek: Fito von Eisenbarth – *Dzbanek bez uszka*. Carom Rotto – *Kość kowadółka*. Cytronia Niecałowana – *Księżniczka o trojgu ust...*

Byli to bohaterowie powieści wraz z odpowiednimi tytułami książek, pochodzący spod pióra tego samego autora. Jakże on się nazywał? Miałem to nazwisko na końcu języka.

– Balono de Zacher – Golgo tym razem mnie uprzedził. Zniżył swój głos do szeptu. – Napisał zdecydowanie zbyt dużo. Ten biedak, który musi zapamiętać wszystkie jego powieści, stale myli imiona bohaterów – nic dziwnego, przy siedmiuset powieściach z liczbą bohaterów idącą w tysiące. Dlatego nieustannie wkuwa nazwiska i tytuły.

– Februsiar Augustus – *Drewniana zupa*. Kapitan Ciastojeleni – *Pirat w Kryształowym Ogrodzie*. Erich Gangwolff – *Zagubiony lektorat...* – Buchling bębnił nieprzerwanie nazwiska i tytuły, podczas gdy my oddaliliśmy się na palcach.

– Balono de Zacher był nieprzerwanie pod wpływem Orma, tak że praktycznie musiał pisać bez przerwy – powiedział Golgo. – Podobno pił niesamowite ilości kawy.

– Naprawdę wierzycie w Orma? – spytałem, uśmiechając się łagodnie. – W to prastare hokus-pokus?

Golgo zatrzymał się i długo na mnie patrzył. – Ile masz właściwie lat? – spytał.

– Siedemdziesiąt siedem – odpowiedziałem.

– Siedemdziesiąt siedem! – zaśmiał się. – O piękna młodości! Dobra, żartuj sobie z Orma, dopóki jeszcze możesz! To prawo żółtodziobów. Ale któregoś dnia Orm spłynie i na ciebie, a wtedy pojdziesz jego siłę i piękno. Jak ja ci tego zazdrozczę! Nie jestem poetą, jestem buchlingiem. Nie napisałem dzieł Ojahnnna Golgo van Fonthewega, tylko nauczyłem się ich na pamięć. I daleki jestem od chwaleńca wszystkiego, co wyszło spod jego pióra. Co za fuszerki popełniał czasem ten Fontheweg! Połowa *Kamienia filozoficznego* to pusta gadanina! Prawie cała jego proza jest do niczego! Ale istnieją fragmenty w jego dziełach... fragmenty...

Spojrzenie Golgo rozpromieniło się i zacytował:

*Cisza w wyżynie
Ze szczytów drzew
Żaden nie płynie
Ku tobie wiew
Wśród sennej mgły
Ptactwo w gęstwinie przycichło
Zaczekaj rychło
Spocznieś i ty*

Był to *Las Numerński* Fonthewega, naprawdę mocny wiersz. Golgo złapał moją pelerynę, zaczął ją dziko szarpać i wykrzyczał mi: – Orm, rozumiesz? Coś takiego można napisać tylko wtedy, gdy płynie przez ciebie Orm! Na to nie wpada się tak po prostu! Coś takiego zostaje ci ofiarowane!

Puścił mnie, a ja wygładziłem swój strój.

– A ty jak myślisz, czym jest Orm? – spytałem zbaraniały trochę tym wybuchem emocji.

Golgo spojrział w sklepienie tunelu, jakby zobaczył tam gwiazdy.

– Istnieje takie miejsce w kosmosie, gdzie skupiają się wszystkie artystyczne idee, ścierają się ze sobą i tworzą nowe – powiedział teraz cichym głosem. – Natężenie kreatywności w tym miejscu musi być ogromnie wielkie, niewidzialna planeta z morzami z muzyki, rzekami czystej inspiracji i z wulkanami wypływającymi myśli, przesywana błyskawicami duchowości. To jest Orm. Pole siłowe wyrzucające z siebie hojnie energię. Ale nie dla każdego. Świeci ona tylko dla wybranych.

Tak, tak, dlaczego wszystkie rzeczy, które da się podobno pojąć tylko za pomocą

wiary, zawsze muszą być niewidzialne? Może dlatego, że w ogóle nie istnieją? Większość starszych pisarzy wierzyła w Orma. Postanowiłem z czystej uprzejmości powstrzymać się od dalszych krytycznych uwag.

Wkroczyliśmy do pieczary, która swymi rozmiarami dorównywała prawie *Skórzanej Grocie*, z tą różnicą, że jej sklepienie było o wiele głębsze i nie posiadało stalaktytów. W ścianach dookoła zrobione były małe nisze, w których znajdowały się rzeczy wszelkiego rodzaju: książki, listy, przyrządy do pisania, kartony, kości – większości rzeczy nie byłem w stanie zidentyfikować z tej odległości.

– Nasze archiwum – powiedział Golgo. – Nazywamy je także *Komnatą Cudów*. Nie dlatego, że można tu podziwiać jakieś cuda, tylko że nie możemy przestać się zdumiewać nad wszystkimi zgromadzonymi tutaj rzeczami – zaśmiał się krótko. – Zbieramy tutaj wszystkie rzeczy naszych szacownych poetów, które zdobyliśmy. Listy, dokumenty im współczesnych, dewocjonalia. Manuskrypty, umowy podpisane przez artystów, prywatne ekslibrisy. Obcięte włosy albo paznokcie u stóp, szklane oczy i drewniane nogi – nie uwierzysz, co gromadzą kolekcjonerzy. Mamy czaszki albo kości niektórych, całe szkielety, mamy nawet jednego w całości zmumifikowanego poetę. Dalej znoszone części ubrań albo używane przyrządy do pisania. Okulary. Lupy. Bibuły. Puste butelki po winie, każdą ich ilość. Rysunki, szkice, pamiętniki, notatniki, teczki ze zgromadzonymi krytykami. Listy od wielbicieli. No cóż, praktycznie wszystko, co, jak udowodniono, było własnością autorów, których utworów uczymy się na pamięć.

– Jak te rzeczy dostają się tutaj na dół?

– Och, mamy swoje kontakty sięgające aż do powierzchni Księgogrodu. Zaprzyjaźnione rasy krasnali w labiryntach. A przedtem wiele z tych rzeczy składowano pod ziemią, tak samo jak stare kosztowne książki. Potem naturalnie łowcy książek, których hip... – Golgo wydał nagle dźwięk, jakby przestraszył się samego siebie i zamknął dłonią usta.

Spojrzałem na niego.

– Co robicie z łowcami książek?

Golgo szedł śpiesznie dalej.

– Zupełnie nic. Hip! Moja czkawka. Chciałem powiedzieć: Ząb mądrości Ojahna Golgo van Fonthelega jest co najmniej tak samo cenny jak jego sygnowane pierwsze wydanie. Yhy.

Nie chciałem drążyć dalej tego tematu. Szliśmy teraz dookoła wzdłuż nisz, które były uporządkowane alfabetycznie według nazwisk autorów. Widziałem pióra do pisania i kałamarze. Poduszeczki pod pieczątki. Monety. Kieszonkowe zegarki. Karteczki z

notatkami. Wagi do listów. Przyciski do papieru. Rękawiczkę.

– Płacicie za rzeczy waszymi dochodami z *Diamantowej Listy*?

– Nie, nie. Nie handlujemy książkami. Mamy inne źródła dochodów.

Proszę, proszę, inne źródła dochodów. Te buchlingi to dość tajemniczy ludek. I po co im ten cały kram tutaj? Wypchany puchacz ze szklanym okiem. Paczuszka listów z plamami pleśni, związana niebieską wstążką. Cynowa urna. Zasuszone kwiaty. Zelówka. Zużyta bibułka. Naprawdę, cuda to to nie były.

– Interesuje cię jakiś konkretny pisarz? – spytał Golgo.

Szczerze mówiąc, to właściwie nie. Kult jednostki był mi obojętny. Czy naprawdę chciałem oglądać obcięte paznokcie Vallni Meerhelm? Pióro, którym napisano *Pod wulkanem kreta*? Włosy z nosa Ojahnna Golgo van Fonthewega? Skarpetkę Gofida Letterkerla? Nie, dziękuję. Liczy się tylko dzieło, to wszystko. Ale z uprzejmości wymieniałem jedno nazwisko.

– Dancelot Tokarz Sylab – powiedziałem.

– Ach, Tokarz Sylab, rozumiem – powiedział Golgo. – W takim razie musimy zobaczyć pod T.

Czy naprawdę znajdowało się tu coś z osobistych rzeczy Dancelota, co znalazło drogę aż tak głęboko w te labirynty? Nieprawdopodobne. Ale nie chciałem odbierać Golgo radości prowadzenia mnie przez jego pozbawioną cudowności *Komnatę Cudów*. Do T była jeszcze daleka droga, a rzeczy w niszach szybko zaczęły się powtarzać: pióra, kałamarze, pisaki, papier, jeszcze więcej piór, list, dwa listy, kałamarz – i jeszcze więcej piór. Musiałem ziewnąć. Czy jest coś mniej interesującego niż życie pisarza? Natiftofsy urzędnicy finansowi otaczają się bardziej emocjonującymi rzeczami. Tutaj grzebień! Tam gąbka! Mam nadzieję, że zaraz skończymy.

– Clas Reischdenk... Damoc Risth... Abradauch Seslerie...— Golgo bębnił nazwiska zarchiwizowanych poetów. – O tutaj, Tokarz Sylab! Widziałem przecież, że coś tu jest. – Wziął mały karton z regału.

Zmieszałem się. – Naprawdę coś jest?

Golgo wręczył mi karton.

– Zobacz sam! – powiedział.

Wziąłem małe pudełko, otwarłem wieczko i zobaczyłem leżący w środku list, jedną zapisaną kartkę papieru. Wyciągnąłem go i wstawiłem karton z powrotem do niszy.

– Przypominam sobie teraz, jak ten list się do nas dostał – powiedział Golgo. – Wzbudził dość duże poruszenie. Któregoś dnia leżał dokładnie przed jednym z wejść do *Skórzanej Groty*. To było naprawdę niesamowite. Ktoś tu na dole, kto nie był

buchlingiem, znał najwidoczniej naszą największą tajemnicę i położył tam ten list. Cała zbiorowość była dłuższy czas zaniepokojona.

Przyjrzałem się bliżej listowi. Przeszyło mnie uczucie podniecenia – to naprawdę było pismo mojego ojca poetyckiego! Bez wątpienia był to list od Dancelota! Przeczytałem:

**Mój drogi, młody Przyjacielu,
Dziękuję Ci za przesłanie Twojego manuskryptu.
Bez jakiegokolwiek przesady mogę powiedzieć, że uważam
tę pracę za najbardziej nieskazitelny kawałek prozy,
jaki kiedykolwiek wpadł w moje ręce. Poruszył mnie aż
do szpiku kości i mam nadzieję, że wybaczysz mi teraz
kolejny frazes, lecz nie znam innego sposobu by to wyrazić:
ten tekst zmienił moje życie. Po jego lekturze zadecydowałem, że
porzucam pisarstwo i w przyszłości będę ograniczał się jedynie do
przekazywania jego warsztatowych podstaw poprzez nauczanie,
szczególnie Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów, mojego młodego
wychowanka.**

Znów przeszył mnie dreszcz, przy wymienieniu mojego nazwiska. Cóż za osobliwa nić łączyła ten list, nić między mną a Dancelotem, poprzez czas, przestrzeń i śmierć? Łzy napłynęły mi do oczu.

**Tobie mogę jednak powiedzieć jedno: Nie mógłbym Cię niczego
więcej nauczyć. Wiesz już wszystko, a prawdopodobnie o wiele więcej.
W swym młodym wieku jesteś już pisarzem doskonałym,
genialniejszym niż wszyscy klasycy, których kiedykolwiek czytałem.
Ta odrobina, którą mogłem przeczytać, kurczy całą camońską sztukę
poetycką do jednego wypracowania na poziomie pierwszej klasy.
W twoim małym palcu tkwi więcej talentu niż w całej
Twierdzy Smoków. Jedyne, co mogę Ci polecić, brzmi
następująco: Idź do Księgogrodu! Nie, spiesz, leć tam!
Wszystko, co do tej pory stworzyłeś, musisz pokazać
jedynie jakiemuś porządnemu wydawcy – i twoja
przyszłość jest zapewniona. Jesteś geniuszem.
Jesteś największym pisarzem wszech czasów.
Twoja historia dopiero się tu rozpoczyna.**

Z najwyższym szacunkiem: Dancelot Tokarz Sylab

Trafiło mnie to jak cios maczugą, moi drodzy przyjaciele. Ostatnie dwa zdania nie pozostawiały wątpliwości; to był list, który Dancelot wysłał pisarzowi, na którego tropie byłem, kierując go do Księgogrodu. To pismo było w rękach Dancelota, potem w rękach tego tajemniczego pisarza, a teraz znajdowało się w moich. Nowa nić została zawiązana, tym razem między Dancelotem, pisarzem i mną. Szedłem jego śladem, straciłem go, i podjąłem ponownie tutaj, głęboko w labiryntach. Zakręciło mi się w głowie, a moje nogi stały się miękkie.

– Och – zajęczałem, szukając oparcia.

Golgo podtrzymał mnie. – Źle się czujesz? – spytał.

– Nie – stęknąłem. – Już mi lepiej.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Bo i tak się też stało – odpowiedziałem.

– W naszym archiwum mieszka wiele upiórów przeszłości. Chcesz zobaczyć ich więcej? – spytał Golgo.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Na pierwszy raz mi wystarczy.



NIEWIDZIALNA BRAMA

Przed Komnatą Cudów natknęliśmy się na Gofida i Dancelota, którzy przyszedli wesprzeć Golgo przy oprowadzaniu mnie po osobliwościach krainy buchlingów.

– Pokażemy ci teraz obszary katakumb, które nie będą już oświetlone świecami – powiedział Golgo. – I nie ma tam też żadnych meduz. Ale Gofid i Dancelot należą do najlepszych miotaczy ognia wśród buchlingów.

Dancelot i Gofid trzymali w górze swoje niezapalone jeszcze smolne pochodnie i uśmiechali się łobuzersko.

– Pokażemy ci nasze lasy i ogrody – powiedział Gofid.

– I nasze łąki i kwiaty – uzupełnił Dancelot. – Naszą całą niepokromioną przyrodę.

Czy Golgo nie uskarżał się właśnie przed chwilą, że nigdy nie zobaczy łąki? Gdzie miałyby być tutaj na dole lasy i łąki? I co, do kata, mieli na myśli z tymi *miotaczami ognia*?

– Nadszedł czas – powiedział Golgo – aby ktoś zapoznał cię z przyjemnymi stronami katakumb. Widziałeś do tej pory tylko rzeczy niesamowite, pomyłone i szpetne. Pokażemy ci, dla jakich rzeczy opłaca się tu żyć. Do tej części naszego ciemnego świata nie dotarł jeszcze ani rozkład, ani łowcy książek.

– Istnieje taka? – spytałem. – I jak tam dotrzemy?

Golgo, Gofid i Dancelot otoczyli mnie, otworzyli szeroko oczy i gapili się na mnie przesywająco. Zaczęli mruczeć.

Następną rzeczą, którą sobie przypominam, było to, że stałem w jaskini stalaktytowej, na brzegu przejrzystego jak szkło jeziora, którego woda błyszczała bladym błękitem. Gofid i Dancelot zapalili swoje pochodnie, a Golgo patrzył zatopiony w myślach na jezioro.

Czułem się zamroczony.

– Och chłopcy – powiedziałem. – Czy to znowu była teleportacja?

– Moja głowa huczała jak dzwon księgowrodzki.

– Dokładnie! – powiedział Gofid. – Teleportacja, hoho!

– Jest przecież o wiele przyjemniejsza od chodzenia – wyszczerzył się Dancelot.

Dlaczego więc miałem uczucie, jakbym miał za sobą pół dnia marszu? Moje nogi były ciężkie jak ołów.

– Teleportowaliśmy cię, żebyś nie mógł nikomu zdradzić, jak dostać się do naszych skarbów – powiedział Golgo. – Zrobiliśmy to w twoim własnym interesie.

– Gdzie jesteście? – spytałem.

– To jest *Niewidzialna Brama*. Za nią zaczyna się *Las Kryształów*. Tak, to niezbyt

szczególnie oryginalna nazwa dla takiego miejsca, ale nie jesteśmy przecież poetami. Może przyjdzie ci do głowy coś lepszego.

Na oczekaniu nic nie przychodziło mi do głowy, mój umysł był pustą gąbką. *Las Kryształów*, proszę, proszę. Nie widziałem ani lasu, ani jakichkolwiek kryształów. *Niewidzialnej Bramy* też nie widziałem, no, ale ona była w końcu niewidzialna.

– Idź po prostu za nami! – powiedział Golgo i trzy małe cyklopy wkroczyły w niebieską wodę. Podążyłem za nimi z wahaniem.

Woda była zimna, ale sięgała mi tylko do kolan. Srebrne węgorze pływały zaciekawione dookoła nas, a ja martwiłem się, że nabawię się przeziębienia i że węgorze porażą mnie prądem.

Brodziliśmy w stronę czarnej skały i zaczynałem się już bać, że buchlingi idą prosto na nią, ale zauważyłem wówczas, że w jej wnętrzu ziele czarna dziura, jeszcze czarniejsza niż sama skała. *Niewidzialna Brama* była złudzeniem optycznym. Z daleka wyglądała jak masywna skała, ale dopiero teraz rozpoznałem, że był to tunel.

– Sprytne, co? – powiedział Dancelot. – Przyroda stworzyła tę bramę. Dziura, która maskuje się jako skała. Skała, która w rzeczywistości jest bramą. Tutaj na dole można by uwierzyć, że kamienie potrafią myśleć. Dość późno na to wpadliśmy.

Uszliśmy może ze sto kroków wąskim i czarnym jak smoła tunelem, potem widok się rozszerzył i wkroczyliśmy do wielkiej groty.

– Tu zaczyna się *Las Kryształów* – powiedział uroczyście Golgo, a Gofid i Dancelot jak na komendę rzucili swoje pochodnie wysoko w powietrze. Dotarwszy do zenitu, obróciły się, płonąc, parokrotnie wokół własnej osi i oświetliły sklepienie z promieniście niebieskiego lapis lazuli. Za płytką wodą, w której staliśmy, rozciągało się coś, co wyglądało jak zielona łąka pokryta zamrznietą rosą, w której odbijało się światło słońca. Potem pochodnie spadły z powrotem na dół, a Gofid i Dancelot złapali je zręcznie, nim zdążyły zgasnąć w wodzie. Przez jeden cudowny moment miałem uczucie, że znów stoję pod gołym niebem.

– Nie poleciłbym nikomu, kto chce zachować swoje stopy, wchodzenia na tę cudowną łąkę – powiedział Golgo. – Jej ostre jak brzytwy źdźbła są z zielonego kryształu.

Po dróżce z kamieni okrążyliśmy zdradziecką łąkę z kryształów, na której w paru miejscach ogniste opale płonęły jak polne maki, tak, jak gdyby przyroda naśladowała swe powierzchniowe piękno innymi środkami tutaj na dole.

– Wiem, co sobie teraz myślisz – powiedział Golgo – ale nasze lasy urzekają swoim własnym pięknem. Nie muszą imitować tych na górze. Może przewyższają je nawet swym przepychem.

Buchling nie przesadzał. Szliśmy skalnym polem, z którego wyrastały setki ostro zakończonych, żółtych kryształów wielkości człowieka. Częściowo pokryte były rdzą pomarańczowego koloru i świeciły w ciemnościach tak jasno, że pochodnie Gofida i Dancelota wcale nie byłyby konieczne. Drzewa ze światła, czegoś tak poruszającego nie widziałem, w rzeczy samej, w żadnym ziemskim lesie.

– Nawiasem mówiąc, jest to właściwie tylko skondensowany gaz siarkowy, nic więcej – wyjaśnił Golgo.

– Nie chwal się tak – powiedział Gofid. – Tylko dlatego, że przeczytałeś parę geologicznych książek, nie musisz zgrywać tu nauczyciela.

– Wy, młokosy, moglibyście poświęcić spokojnie trochę więcej czasu na nauki przyrodnicze – odparł Golgo. – Prawdziwa poezja opiera się także na solidnym wykształceniu. W mojej *Nauce o barwach minerałów* jest napisane...

– Nie, nie! – zawołali przerażeni Gofid i Dancelot. – Tylko nie *Nauka o barwach minerałów!* Nie znowu!

Golgo umilkł i brnął naprzód.

– Jego powieści są już ciężkie do zniesienia – zaszeptał mi Gofid – ale jego *Nauka o barwach minerałów* może naprawdę rozpuścić korę mózgową. Tylko go nigdy o to nie pytaj! Potem nie skończy opowiadać.

Dookoła rosły minerały we wszystkich formach, kolorach i wielkościach: fioletowe ametysty, bladioróżowe kwarcy, cienkie niczym igły mlecznobiałe kryształy, które stroszyły się jak jeżowce, cętkowany czerwienią zielony hematyt – Krwawy Kamień, który rzeczywiście wyglądał jak spryskany krwią. Jedynie niektóre z nich mogłem określić z pomocą mojej skromnej wiedzy geologicznej.

– One rosną – powiedział Dancelot. – Tam, te zarośla, które wyglądają jakby były z zardzewiałego metalu, w czasie moich ostatnich odwiedzin były o połowę mniejsze.

Wiele z kryształów rzeczywiście wyglądało jak rośliny, formowały się w wijące pędy, pierzaste liście i zmięzwione źdźbła. Wyrastały z szarego kamienia i skalnych rozpadlin niczym kwitnące kwiaty, rozrośnięte chwasty albo dzikie warzywa. Zobaczyłem kawałek kwarcu, który do złudzenia przypominał ulubiony niebieski kalafior Dancelota, choć był dziesięć razy większy.

– **Kalafior jest więc kwiatem ginącym jeszcze przed rozkwitnięciem w swym własnym tłuszczu** – cytował Dancelot – **albo, mówiąc dokładnie, ginącą wielością kwiatów, zmarnowanym baldachem wiech.**

– **Tylko te nieliczne niespożyte pączki barwią się na niebiesko, nabrzmiewają, rozkwitają i pęcznieją nasionami** – dodałem, a potem deklamowaliśmy już razem.

– **To niewielkie, dzielne stadko uczciwych i wiernych naturze ratuje przyszłość cechu kalafiorów.** – Westchnęliśmy. Ten podziemny ogród spodobałby się pewnie ogromnie mojemu ojcu poetyckiemu.

Gofid i Dancelot byli naprawdę doskonałymi miotaczami ognia. Cały czas rzucali w górę swe pochodnie i to, co wirujące płomienie tworzyły potem z ciemności, było za każdym razem nacechowane zapierającym dech w piersiach przepychem. Stropy z przejrzystych jak szkło kryształów, z pobłyskujących czerwienią manganów albo z metalicznie migoczących piryków porośniętych wielobarwnymi szklanymi kwiatami. Pod naszymi stopami rósł młeczny kwarc o okrągłych gładkich formach, z którego sterczały długie czarne kryształy, jakbyśmy wędrowali w zimowej scenerii pełnej spalonych drzew.

– Wszystkie minerały Camonii spotkały się w *Lesie Kryształów*, by zaprezentować całe spektrum swego piękna w tym jednym miejscu – powiedział Golgo. – Można by niemal uwierzyć, że miały też artystyczne zamiary.

Weszliśmy w wąski korytarz wypełniony niespokojnym czerwonym światłem. Było tak ciepło, jakbyśmy stali przy ogromnym piecu, rejestrowałem groźne wrzenie i bulgotanie.

– Wchodzimy właśnie do *Kuchni Diabła* – oznajmił Golgo. – Uważaj na to gdzie stajesz, bo jeśli się potkniesz i wpadniesz do gotującej się zupy, wtedy nikt ci już nie pomoże.

Kuchnia Diabła była niezbyt dużą pieczarą, jej zawartość za to robiła większe wrażenie. W środku znajdowała się dziura wulkaniczna wielkości niedużej sadzawki, wypluwająca nieustannie aż pod sklepienie płonące czerwone nitki lawy.

Zatrzymaliśmy się na skraju tego małego podziemnego wulkanu. Na dole, wokół dziury, siedziały dziesiątki buchlingów. Pociły się potężnie w pobliżu płynnego ognia, sapaly i stękały od upału i podziwiałały ten spektakl przyrody.

– Dlaczego oni to robią? – spytałem rozbawiony. – Dlaczego podchodzą tak blisko do lawy?

– Przychodzimy tutaj, kiedy chcemy się zrelaksować – powiedział Golgo. – Upał oczyszcza ciało. Jeśli gapisz się chwilę w lawę, twój umysł przekształca się w papkowatą masę. I nie myślisz już o niczym. Traktujemy to jako odpoczynek od naszej umysłowej aktywności.

– Za to ty nie musisz się gapić w lawę – mruknął Gofid tak cicho pod ręką, żeby Golgo nie mógł go usłyszeć. – Twój mózg zawsze był papkowatą...

– Co powiedziałeś? – spytał Golgo.

– Nic – odrzekł szybko Gofid.

Opuściliśmy *Kuchnię Diabła* inną drogą, która poprowadziła nas nad jezioro zastygłego bursztynu. Zamknięte były w nim tysiące prastarych owadów, wiele z nich większych niż ja sam i tak potwornego wyglądu, że uciekłyby przed nimi nawet Pająkxxx. Po raz pierwszy zrobiło mi się tu nieco nieprzyjemnie.

– Tak – stwierdził Golgo – ta część lasu jest dość niesamowita. Musiała wpłynąć tu kiedyś cała rzeka gotującej się żywicy, może wskutek jakiejś wulkanicznej katastrofy. Widzisz te kamienne drzewa tam dalej?

Ja zeziorem z bursztynu stał las szarych kamiennych pni, które wyglądały jak wrośnięte w czarne niebo. Wyglądały groźnie, jak kamienne olbrzymy czekające jedynie na tajemne hasło, które uwolni je z odrętwienia.

– Do tej części lasu nie wchodzimy już od dawna – powiedział Gofid.

– Nie jest pewny. Ginęły w nim buchlingi. Czasami słyszy się dochodzące stamtąd odgłosy... jak śpiew. Ale to nie jest piękny śpiew. Rosną tam olbrzymie paskudne grzyby ze szpiczastymi kapeluszami, które nieprzyjemnie pachną. Unikamy tego miejsca.

Przekradłem się na palcach dalej. Podziwiałem ten podziemny przepych z mieszanymi uczuciami. Poda mną zamknięte pradawne insekty, za mną groźny ciemny, kamienny las... na parę błogich chwil zapomniałem, że nadal znajduję się w pełnych niebezpieczeństwa katakumbach Księgogrodu, lecz teraz ponownie byłem zaniepokojony. Tutaj wszędzie mogło czaić się śmiertelne niebezpieczeństwo. Buchlingi dostosowały się do tego stanu, nie pozostawało im nic innego. Ale ja nigdy bym się do tego nie przyzwyczyił. Prowadziły mnie ciągnącym się długo kamiennym jarem do kolejnej jaskini. Gofid i Dancelot podrzucili swoje pochodnie i mogłem zaobserwować, że była ona czarna, wysoka, ostro sklepiona i niespecjalnie wielka.

– Oto, co chcieliśmy ci pokazać w tej części lasu – powiedział Golgo.

– Nie zauważyłem tu nic szczególnego – odpowiedziałem.

– Bądź po prostu cicho! – zaszeptał Gofid.

– Bądź cicho i czekaj – szepnął Dancelot.

– Psst – syknął Golgo.

Tak więc czekałem w milczeniu. Przez długi czas nic się nie działo, staliśmy tylko w chwiejnym świetle pochodni i zaczynałem już przypuszczać, że znowu stałem się ofiarą ich dziwnego buchlingowego humoru, gdy usłyszałem głos.

– **Halo!** – zawołał ktoś.

– Halo! – odkrzyknąłem mechanicznie. Dopiero później zadałem sobie pytanie, kto tam krzyczał.

– Nikt – zaszeptał Golgo, który zdawał się czytać w moich myślach jak w otwartej księdze. – To *Komnata Uwięzionych Ech*.

– **Halo!** – zawołał znowu ktoś, a echo odpowiedziało: – **Halo... halo... halo...**, słabnąc coraz bardziej.

– **Ach!** – westchnął nowy głos. – **Ach... ach... ach...!**

– **Ratunku!** – krzyknął ktoś tak głośno, że się wzdrygnąłem. – **Ratunku...**

Ratunku... Ratunku...

– Też nie potrafimy ci tego dokładnie wyjaśnić – powiedział stłumionym głosem Golgo – ale w jakiś sposób echa dostały się do tej pieczary i nie znajdują z niej wyjścia.

– Są uwięzione – powiedział Gofid.

– Na wieki wieków – uzupełnił Dancelot. – Czy to nie smutne?

– Jest tak, odkąd odkryliśmy to pomieszczenie – powiedział Golgo. – Zawsze te same głosy, te same zdania, te same westchnienia, ale od czasu do czasu dochodzą nowe. Sądzymy, że pochodzą od istot, które zagubiły się w labiryntach. Dostają się tutaj przez jakieś szczeliny w skałach i nie znajdują wyjścia.

– **Jest tu ktoś?** – zawołał głos. – **Jest tu ktoś?... Jest tu ktoś?... jest tu ktoś?...**

– **Gdzie jestem?** – **Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?**

– **Nie chcę umierać!** – **Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!...**

– **Dlaczego nikt mi nie pomoże?** – **Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Dlaczego nikt mi nie pomoże?...**

– **Umieram!** – **Umieram!... Umieram!... Umieram!...**

Robiło mi się coraz bardziej nieswojo. Rozpacz w tych głosach była tak ogromna, że przypominała mi się moja własna, w czasie, gdy błądziłem przez labirynty. Były to głosy zagubionych, umierających, istot, które może już od dawna były martwe.

– **Jest tu ktoś?... Jest tu ktoś?... Jest tu ktoś?...**

– **Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?...**

– **Nie chcę umierać... Nie chcę umierać... Nie chcę umierać...**

Dołączało coraz więcej głosów, skargi stawały się coraz bardziej natarczywe. Echa mieszały się, stawały krzykami, a potem szeptami, niewidzialnymi duchami, które mnie otaczały, włączały się w moje uszy i mózg.

– **Dlaczego nikt mi nie pomoże?** – **Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!... Ach!... Ach! Ach! Ach! Dlaczego nikt mi nie pomoże? Ratunku! Ratunku! Ratunku! Gdzie jestem? Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Jest tu ktoś?... Jest tu**

ktoś?... Jest tu ktoś?... Ach!... Ach!... Ach!... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Ach!... Ach!... Ach!...

I nagle do chóru ech zgłosił się nowy głos. Był to wrzask, okrzyk strachu jeszcze bardziej rozpaczliwy niż pozostałe i składał się tylko z dwóch słów:

– Król Cieni!... Król Cieni!... Król Cieni!... Król Cieni!

W echu tym było tak wiele strachu, że sam o mało nie krzyknąłem. Wciąż na nowo rozbrzmiewało ono w pieczarze i wmieszało się ostatecznie w inne, uformowało się w przerażający taniec głosów, które kłębiły się wokół mnie.

– Król Cieni!... Król Cieni!... Król Cieni!... Król Cieni!... Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Król Cieni!... Ach! Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!... Dlaczego nikt mi nie pomoże?... Pomoże... Pomoże... Król Cieni!... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Gdzie jestem?... Jest tu ktoś?... Jest tu ktoś?... Król Cieni!...

Echa wdzierały się w mój mózg jak ukłucia lodowatych igieł, aż w końcu zasłoniłem rękami głowę w obronnym geście i w panice uciekłem z pieczary. Golgo, Gofid i Dancelot pośpieszyli za mną.

Gdy tylko przekroczyłem wyjście z pieczary, głosy zniknęły momentalnie, ale mimo to biegłem dalej i odganiałem się od nich jak od niewidzialnego roju pszczoł. Trzy buchlingi zatrzymały mnie, złapały, otoczyły i usiłowały uspokoić.

– Te echa nie należą do naszego świata, zaplątały się tylko w nim – powiedział przepaszająco Golgo. – Słuchamy ich tylko od czasu do czasu, by utwierdzić się w tym, jak dobrze się nam właściwie żyje.

– Chcieliśmy ci tylko uświadomić, co czeka cię poza granicami naszego królestwa – powiedział Gofid.

– Któregoś dnia ogarnie cię pragnienie, by nas opuścić – powiedział cicho Dancelot.

– I wtedy przypomnisz sobie może o rozpaczliwych głosach z *Komnaty Uwięzionych Ech*.

– Dziękuję bardzo – powiedziałem, oddychając nadal gwałtownie. – Tego nie zapomnę z pewnością zbyt szybko.

– Możesz się teraz uspokoić – powiedział Golgo. – Wracamy ponownie do przyjemnej części zwiedzania.

– Chcesz zobaczyć skarb? – spytał Gofid. – Największy skarb katakumb?



GWIAZDA KATAKUMB

To, co rozpoczęło się jak wycieczka do świata naziemnego, zdawało się prowadzić teraz w coraz mroczniejsze podziemia. Zeszliśmy w dół, w taki obszar *Lasu Kryształów*, w którym nie było już niemal żadnych kryształowych cudów, tylko czarny węgiel. Zakręt za zakrętem szło się w dół płaską płytką sztolnią oświetloną świecznikami zwisającymi ze sklepienia. Kilku pokrytych sadzą buchlingów, których ubarwienie trudno było już określić, nadchodziło drogą z naprzeciwka. Nieśli ze sobą kilofy i inne narzędzia górnicze i pchali taczki pełne kawałków węgla. Kopalnia węgla? Naturalnie buchlingi musiały uważać węgiel za coś niezwykle cennego, był dla nich źródłem ciepła i światła. Wtedy nadszedł też buchling z taczką, w której prócz węgla leżał jeszcze surowy diament wielki jak dynia.

Golgo, Gofid i Dancelot nie zwrócili na niego żadnej uwagi, tylko ja gapiłem się na buchlinga z jego kolosalnym skarbem, aż zniknął za następnym zakrętem.

Być może się pomyliłem. Może nie był to żaden diament, tylko kawałek bezwartościowego kryształu, bryła kwarcu, przecież tak dobrze się na tym nie znałem. Lecz właśnie nadchodził z naprzeciwka kolejny buchling z taczką, w której na pewno leżał diament. Ten był perfekcyjnie oszlifowany, a potrafię odróżnić oszlifowany diament od kawałka kryształu górskiego. Był tak samo duży jak pierwszy, o ile nie większy.

- Widzieliście to? – spytałem. – Ten diament?
- Hmm... – mruknął Gofid. – Jasne.
- Chciałem powiedzieć... on był wielkości dyni.
- Tak – powiedział Golgo – ten był dość mizerny.

Byłem tak zbaraniały, że nie stawiałem już żadnych pytań. Nadchodziło tymczasem jeszcze więcej buchlingów, dźwigali kosze wypełnione po brzegi diamentami wielkości pięści, ale Golgo, Gofid i Dancelot nie zwracali żadnej uwagi i na nie.

Za następnym zakrętem zrobiło się jaśniej. Zdawało się, że płonie tam kilka świec, a ja słyszałem wielogłosowe nucenie i szmery, odgłosy stukania i szlifowania. Gdy wyszliśmy z za rogu, widok, który nam się ukazał, odebrał mi na chwilę oddech. Była to długa, niezbyt wysoka pieczara z czarnego węgla, w której skrzyły się tysiące, a może nawet miliony diamentów. Dobra setka buchlingów uwijała się w niej zajęta najróżniejszymi czynnościami. Wszyscy nucili razem skoczną melodię.

– To nasz *Diamentowy Ogród* – powiedział Golgo. – Nie jest tak wieloraki i urozmaicony jak *Las Kryształów*, ale rośliny, które można tu uprawiać, są za to znacznie cenniejsze.

Brakowało mi słów. Zawsze wierzyłem, że ziemskie bogactwa są mi raczej obojętne, ale widok skarbcza buchlingów odebrał mi mowę.

– Odkryliśmy tę pieczarę dawno temu – powiedział Golgo. – Wtedy była jeszcze mniejsza. *Rdzawe Gnomy* musiały ją stworzyć. Od tego czasu rozszerzamy ją stale i znajdujemy coraz większe złoża diamentów. Zejdźmy na dół!

Zeszliśmy na dół do pieczary schodami wykutymi w węglu. Wciąż oniemiały rozglądałem się ze zdumieniem dookoła. Były tam diamenty we wszystkich rozmiarach i w różnorodnym stanie: surowe, oszlifowane tylko do połowy bądź już całkowicie, małe jak groszek, wielkości jabłek lub dyń, to były te, które Golgo określił jako mizerne. Inne były naprawdę potężne: wielkości człowieka i grube jak beczki, lśniły i skrzyły się w tańczącym świetle niezliczonych świec, rzucając tęcze refleksy na ściany jaskini. Całkiem z tyłu migotał egzemplarz, który z pewnością był wielkości domu.

Między wszystkimi tymi szlachetnymi kamieniami uwijały się buchlingi. Dziobały kilofami, wygrzebywały diamenty albo wynosiły koszami węgiel. Niektóre siedziały przy stołach warsztatowych, na których rozbijały kamienie małymi młoteczkami lub pracowały szlifierkami, niektóre sprawdzały wielkimi lupami ich czystość. Inne układały surowe diamenty albo obwoziły je w taczkach dookoła.

– Właściwie węgiel ma dla nas o wiele większą wartość niż diamenty – powiedział Golgo, gdy przechadzaliśmy się wśród skrzytego ruchu. – Nim możemy przynajmniej ogrzewać. Te bryłki dodają nam jedynie pracy.

– Możemy je tylko gromadzić – powiedział Dancelot, trzymając pod światłem świecy oszlifowany kamień wielkości grejpfruta. – Ale zakochaliśmy się w diamentach. Mają w sobie coś... nieodpartego. Obrabianie ich sprawia nam frajdę. Wnoszą światło w nasz ciemny świat. Jest to zimne, bezużyteczne światło i potrzeba świec, by je z nich wydobyć, ale jest piękne.

Buchling obrócił powoli kamień przed świecą i momentalnie obsypały go maleńkie kolorowe plamki światła.

– Szlifujemy je do perfekcji, a potem chowamy w labiryntach – powiedział Gofid, który z rozkoszą grzebał w koszu z maleńkimi klejnotami.

– Stworzyliśmy setki tajnych skarbców. Każdy pojedynczo wzbudziłby zazdrość nawet w najpotężniejszym królu.

– Zachowujemy się jak kokoszki, które usiłują wysiadywać kamienie – zaśmiał się Golgo – choć nie mamy żadnej praktycznej korzyści z diamentów. Jesteśmy najbogatszymi istotami w katakumbach i nic z tego nie mamy.

W międzyczasie odzyskałem opanowanie i zdolność mowy, ale mimo wszystko nie

przychodziły mi do głowy żadne pytania. Z trudnością opierałem się pokusie rzucenia się na góry diamentów i tarzania się w nich jak jakiś głupi pirat.

– Muszę przyznać, że obchodzimy się z tym materiałem nieco rozrzutnie – powiedział Gofid. – Ponieważ mamy go tak dużo, możemy pozwolić sobie na taką obróbkę. Jesteśmy w stanie wydobyć z kamieni wszystkie możliwe kształty.

Buchlingi zdawały się uprawiać obróbkę diamentów bez żadnej kupieckiej chciwości, traktowały to jedynie jak zabawę. Niektóre z olbrzymich klejnotów były odkopane i oszlifowane tylko do połowy, inne leżały sobie luzem, rozłupane na połowy albo pogruchotane na małe kawałki. Wszędzie piętrzyły się stosy delikatnego diamentowego pyłu. To nie była kopalnia diamentów, tylko raczej atelier rzeźbiarza.

Wszędzie dookoła stały rzeźby sporządzone z kamieni szlachetnych. Niektóre wyrzeźbiono z wielkich kawałków, inne złożono z wielu mniejszych. Czasami buchlingi naśladowały obiekty ze swego świata podziemi, na przykład robiącego wrażenie, realistycznego Kryształowego Skorpiona albo rośliny, które widziałem tam na zewnątrz w lesie z minerałów. Inne rzeźby były raczej abstrakcyjne albo mocno geometryczne. Najwidoczniej doszły do wprawy w sztuce obróbki diamentów. Musiałem się uśmiechnąć, gdy odkryłem rzeźbę buchlinga naturalnej wielkości.

– To *Diamentowy Buchling* – powiedział Golgo. – Nie skłaniamy się poza tym do portretowania siebie, chyba że ma to służyć odstraszeniu. Ale w tym przypadku nie mogliśmy się po prostu oprzeć. Chodź! Pokażemy ci *Gwiazdę Katakumb*.

Udaliśmy się w stronę diamentu olbrzymia, którego widziałem już z drugiego końca pieczary. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym bardziej nierzeczywisty i baśniowy zdawał mi się jego widok. Buchling stał przed tym diamentem o wielkości niemalże domu i wywijał dookoła pochodnię, widziałem go, i krążący płomień na wszystkich oszlifowanych powierzchniach, pomnożonego setki razy. Klejnot promieniał niewiarygodną gamą barw we wszystkich niuansach i obrzucał swe otoczenie kolorowymi plamami światła. W końcu musiałem odwrócić wzrok osłepiony błyskami.

– Ten jest największy – powiedział Golgo. – To *Gwiazda Katakumb*.

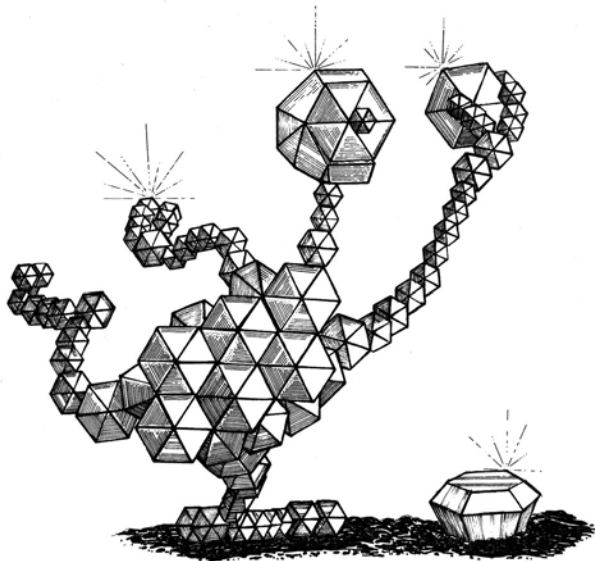
Wyrosłem z legendą o diamencie z Twierdzy Smoków, o którym mówiono, że skrywa się w sercu Twierdzy i że podobno jest wielki jak dom. Ten przeklęty mit doprowadził do tego, że w regularnych odstępach urządzano oblężenia Twierdzy Smoków, ponieważ nie dało się wyperswadować różnym bezmózgowym barbarzyńcom, że ten olbrzymi kamień nie istnieje. Nie wierzył w niego żaden smok, ale mimo wszystko jako dziecko cały czas usiłowałem wyobrazić sobie, jak drzemie w skale, a w moich dziecięcych fantazjach wyglądał tak samo jak *Gwiazda Katakumb*. Czułem się, jakbym trafił do

miejsca z mego dzieciństwa.

– No – powiedział Golgo. – Teraz widziałeś wszystko. *Las Kryształów. Kuchnię Diabła. Komnatę Uwięzionych Ech. Diamentowy Ogród. Gwiazdę Katakumb.* Teraz pójdziemy z powrotem do *Skórzanej Groty.*

Przetarłem oczy, jakbym obudził się ze snu.

– Czy znowu będzie to teleportacja? – spytałem.



– Niestety musimy na to nalegać – powiedział Golgo. – Nikt, kto nie jest buchlingiem, nie może znać drogi do tego miejsca. A w twoim przypadku jest to jeszcze ważniejsze: jesteś pisarzem. Któregoś dnia napiszesz o *Lesie Kryształów* i *Diamentowym Ogródzie*. W porządku, to twój obowiązek. Cieszylibyśmy się nawet, gdyby nasze skarby stały się w końcu częścią camońskiej literatury. O ile nie będzie tam opisu drogi.

– Nie zrobiłbym nigdy czegoś takiego.

– Naturalnie, że nie – zaśmiał się Golgo. – Ale pewności nigdy za wiele.

On, Gofid i Dancelot otoczyli mnie i zaczęli mruzczyć.

§

ŚNIADANIE I DWA WYZNANIA

Po tym jak znów oprzytomniałem po teleportacji do *Skórzanej Groty*, spędziliśmy resztę dnia na Ormowaniu. Wyormowałem między innymi Akud Ödreimera (*Dumnie noc zeszła, już ziemię okrywa*), Eseila Wimpershlaak (*By zaś zakląć wszelkie duchy, wiejcie jeszcze małpiej juchy*) i Reta Del Bratfist (*Dzieci tak kochają śnieg, chętnie bawią się nim – no cóż, sami przecież wiecie moi czytani przyjaciele: Del Bratfist i jego opętanie śniegiem!*)[9].

Następnego ranka Golgo, Gofid i Dancelot przynieśli mi razem śniadanie (pieczone robaki książkowe z herbatą z korzonków). Obserwowali mnie uważnie, gdy jadłem, tak, niemalże czaili się, co w końcu zmusiło mnie do zadania pytania:

– Powiedzcie no, kiedy wy właściwie *jecie*? Odkąd tu jestem, nie widziałem jeszcze żadnego buchlinga w trakcie spożywania posiłku.

Trójka zakaszła z zakłopotaniem.

– Co się tutaj dzieje, chłopaki? Co to za wieczna tajemniczość? Co ma znaczyć to ciągle pokasływanie i chichoty? Jednak coś przede mną ukrywacie! Czy w tych historiach o was jest jednak coś z prawdy i tuczycie mnie tylko po to, żeby kiedyś pożreć?

Powiedziałem to sobie tylko tak dla żartu, ale pytanie to zawisło groźnie w powietrzu, zaraz po tym jak je wypowiedziałem.

Gofid, Golgo i Dancelot patrzyli intensywnie w trzech różnych kierunkach.

– No dawajcie, czym się żywiecie tutaj na dole?

– Odżywianie – czytanie, czytanie – odżywianie, cóż to za różnica?

– odpowiedział tajemniczo Golgo. – W zasadzie różnica trzech małych literek, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Dancelot szturchnął Golgo:

– No powiedz mu w końcu!

Golgo opuścił zawstydzony wzrok:

[9] Przyp. od W.M.: Reta Del Bratfist i jego opętanie śniegiem – Hildegunst Rzeźbiarz Mitów zakłada tutaj znajomość midgardzkiej poezji wysokogórskiej i jej najwybitniejszego przedstawiciela. Wiele pokoleń camońskich dzieci, także sam Rzeźbiarz Mitów, było męczonych mroźną poezją Bratfista, w której dominującą rolę odgrywały płatki śniegu, sople lodowe, mrozowe kwiaty i zimne stopy. Było to spowodowane tym, że poeta nigdy nie opuścił gór i nie potrafił nawet wyobrazić sobie krajobrazu, który nie jest pokryty wiecznym śniegiem i lodem. Jak udowodniono, Reta Del Bratfist znał dwieście pięćdziesiąt osiem różnych określeń na śnieg.

– To trochę niezręczne – powiedział cicho – ale w plotkach łowców książek na temat naszych zwyczajów żywieniowych rzeczywiście coś jest.

– Że jecie wszystko, co wejdzie wam w drogę? – odstawiłem miskę z robakami.

– Nie – powiedział Golgo. – Ta druga plotka.

Musiałem się chwilę zastanowić. – Że odżywiacie się książkami?

– Dokładnie.

– Wy... jecie książki?

– Nie. Tak. W jakimś stopniu tak. Ale nie naprawdę. Jak mam to powiedzieć... – Golgo szukał słów.

– Tak naprawdę nie jemy książek – wybawił go Gofid. – Nie w tym sensie, że pożeramy papier jak książkowe robaki. Jest po prostu tak, że od czytania jesteśmy syści.

– Co proszę?

– To dla nas dość krępujące – powiedział Golgo – że tak duchowe przeżycie jak czytanie idzie w naszym wypadku w parze z czymś tak przyziemnym jak trawienie. Ale tak po prostu jest! Odżywiamy się czytaniem!

– Nie mogę w to uwierzyć – zaśmiałem się. – To kolejny z waszych żartów, tak?

– Nie żartujemy sobie z czytania – powiedział z niezwykle poważną miną Gofid.

– To najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! A szalone historie doprawdy rozpieszczają mnie w ostatnim czasie. Jak to niby funkcjonuje?

– Tego też nie jesteśmy ci w stanie powiedzieć – rzekł Golgo. – Jesteśmy buchlingami, nie naukowcami. Ale że *to* funkcjonuje, mogę ci potwierdzić. W moim przypadku nawet trochę *za* dobrze. – Obejrzał ze strapioną miną swoje fałdy tłuszczu.

– *Ja* mogę czytać, co chcę, po prostu nie tyję – powiedział Dancelot.

Golgo łypnął na Dancelota.

– Jak ja nie cierpię tych szczupłych typków, które wpychają w siebie wszystko, co chcą i nie przybierają przy tym ani grama! Wczoraj przeczytał trzy grube barokowe powieści – trzy! – i popatrz na niego! Chudy jak węgorz! Gdybym ja zrobił coś takiego, musiałbym potem tygodniami czytać dietę.

– Książki są w różnym stopniu pożywne?

– Oczywiście, trzeba mocno uważać na to, co się czyta. Powieści tak mają, z nimi trzeba uważać. Obecnie jestem na ostrej diecie z liryki. Trzy wiersze dziennie, nic więcej nie wolno – zajęczał Golgo.

– *Obecnie jestem na ostrej diecie z liryki!* – szydził Gofid. – Zaczęłeś ją dzisiaj.

– Potrzebujemy jedynie wody i kiepskiego powietrza – powiedział Dancelot. – Poza tym wystarcza nam lektura. Próbujemy nadal odkryć, które z książek zawierają

najcenniejsze substancje odżywcze.

– Klasycy! – zawołał ostro Golgo.

– To wcale nie jest pewne! – zaprzeczył Gofid. – Kiedyś latami odżywiałem się awangardową liryką włochatek i byłem wtedy w życiowej formie.

– To właściwie zbyt piękne, by było prawdziwe – powiedział Dancelot.

– Jesteśmy jedynymi w katakumbach, którzy nie muszą dołączać do tego bezlitosnego cyklu żarcia i bycia pożartym, łowienia i bycia zwierzyną. Zawsze jest wystarczająco dużo do czytania.

– Raczej za dużo – jęknął Golgo. – Raczej za dużo.

– Czasami myślę sobie, że jesteśmy jedynymi, którzy naprawdę mają pożytek z literatury – uśmiechnął się Gofid. – Wszyscy inni mają z książkami tylko masę roboty. Redagowanie. Wydawanie. Drukowanie. Sprzedawanie. Opychanie za bezcen. Studiowanie. Recenzowanie. Praca, praca, praca – my za to musimy tylko czytać. Zaczytywać się. Rozkoszować się. Pochłaniać książki – robimy to naprawdę. I jeszcze się tym najadamy. Nie chciałbym się zamienić z żadnym pisarzem.

Oko Golgo załśniło.

– Zaczyna się przykładowo od paru lekkich aforyzmów, może Orca de Wils, a potem spożywa się sonet, powiedzmy może jakiś Wimpershlaaka, te są wszystkie pyszne. A do tego jakąś chudą nowelkę albo parę krótkich form. W końcu przechodzi się do dania głównego: powieść, na przykład Balono de Zacher, wiesz, taka naprawdę tłusta księga małym druczkiem o trzystu stronach, z wszystkimi tymi delikatnymi przypisami! A potem na deser...

– Opanuj się natychmiast! – wrzasnął Dancelot. – Dzisiaj rano dopiero zacząłeś dietę, a już cię skręca.

Golgo umilkł. Z kącika ust pocięła mu stróżka śliny.

Przychodziły mi do głowy wszystkie możliwe pytania:

– Czy książkę można dwa razy...?

– Jeśli strawiło się ją całkowicie, tak. Książki można jeść cały czas na nowo.

– Co smakuje lepiej? Liryka czy proza?

– Kwestia smaku.

– Czy istnieją ciężkostrawne lektury?

– Po horrorach ma się koszmary. Literatura trywialna nie syci na długo. Powieści przygodowe szkodzą podobno na nerwy.

– Czy pisarze z bogatszym słownictwem sycą bardziej niż inni?

– Bez wątpienia.

- A co z książkami popularnonaukowymi?
- Raczej na przekąski.
- A książki kucharskie?
- Robisz z nas wariatów?
- A co z krytykami?
- Pozostawiają nieprzyjemny posmak.

Mógłbym pytać tak godzinami, ale buchlingi przynaglały do wymarszu. Dzisiaj Ormowanie miało odbyć się już rankiem, co było mi całkowicie na rękę, ponieważ powoli mnie to już nudziło i chciałem to mieć szybko za sobą.

W drodze do *Skórzanej Groty* przypomniało mi się coś, na co wpadłem wczoraj krótko przed zaśnięciem. Wahałem się chwilę, czy zagadnąć o to Golgo. Potem zebrałem się na odwagę.

– Wiesz co, Golgo, zastanawiałem się nad czymś...

– Hm? – mruknął Golgo.

– Dotyczy to waszej zdolności do teleportacji. Cóż, czy byłoby to ewentualnie możliwe, żebyście przeteleportowali mnie na powierzchnię Księgogrodu?

– Eee... nie! – odpowiedział Golgo. – To niemożliwe.

– Dlaczego nie? Czy ma to coś wspólnego z faktem, że nie będziecie mieli na górze powietrza?

– Tak – powiedział trochę niepewnie Golgo. – Między innymi.

– A jeśli wysadzicie mnie kawałek pod powierzchnią? Gdzieś, gdzie będziecie mogli jeszcze oddychać?

– Eeeee – stękał bezradnie Golgo.

– Powinniśmy mu powiedzieć – wmieszał się Dancelot. – Jeśli już przy tym jesteśmy, możemy wygadać i to.

– Tak – stwierdził Gofid. – No co jest? Powiedz mu wreszcie.

– No dobrze – powiedział Golgo. – A więc sprawa jest następująca: Zrobiliśmy cię trochę w konia. W ogóle nie umiemy teleportować.

– Nie?

– Nie. Niestety.

– A jak dotarłem do *Skórzanej Groty*? Jak dostałem się do *Lasu Kryształów* i z powrotem?

– Jak każdy inny, na nogach.

To tłumaczyłoby przynajmniej moje zakwasy. Po każdej teleportacji nogi bolały mnie jak po długim marszu.

– To dlaczego niczego nie pamiętam?

– Bo cię zahipnotyzowaliśmy – to wszystko, co potrafimy. Ale w tym jesteśmy naprawdę dobrzy.

– Potraficie hipnotyzować?

– I to jak. Jesteśmy mistrzami hipnozy.

– Najlepszymi – powiedział Dancelot.

Gofid gapił się natarczywie na mnie szeroko otwartym okiem. – Spójrz mi w oko... spójrz mi w oko...! – szeptał.

Golgo odepchnął go. – Skończ z tymi bzdurami! – powiedział. – Tak, jesteśmy prawdziwymi koryfeuszami w dziedzinie duchowej manipulacji. Jest to też rzeczywisty powód tego, że żaden łowca ksiązek nie waży się tu przyjąć.

– Nie widzę związku.

– Od czasu do czasu czaimy się na któregoś z nich w labiryncie – wyszczerzył się Gofid. – A potem hipnotyzujemy go, jak należy. Mówię ci, potem naprawdę wierzy, że zdołał uciec trzymetrowym buchlingom z zębami jak brzytwy. I bardzo wiarygodnie rozprzestrzenia tę bajkę wśród swoich kolegów. Tak powstała większość mitów o buchlingach. Sami puściliśmy je w świat.

– Każdy z was to potrafi?

– Pojedynczy buchling nie może nikogo zahipnotyzować – powiedział Dancelot. – To wyczyn zbiorowy. Musi nas być co najmniej trzech. Im jest nas więcej, tym lepiej. Wszystkie buchlingi naraz mogłyby zahipnotyzować całą armię.

– Możecie robić to z każdym?

– Jeśli coś potrafi śnić, możemy to też zahipnotyzować – powiedział Golgo. – Zahipnotyzowaliśmy raz robaka lawowego. Nie mam pojęcia, o czym śnią robaki lawowe, ale udowodniliśmy tym samym, że to robią.

– Nie mówimy tutaj bynajmniej o jakiejś jarmarcznej hipnozie – powiedział Gofid. – Tylko o duchowej manipulacji na najwyższym poziomie. Moglibyśmy zmienić cię w dowolną istotę. A przynajmniej wierzyłbyś, że nią jesteś. Albo rośliną. Albo kryształem. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy przekształcić cię w *Gwiazdę Katakumb*.

– Naprawdę?

– Chcesz spróbować? – zapytał śmiejąc się Golgo. – Hm?



Trochę później byliśmy znów w *Skórzanej Grocie*. Golgo poinformował zebrane w komplecie buchlingi, że Ormowanie zostanie przesunięte, a najpierw zajmiemy się prezentacją kolektywnej hipnozy.

Było mi teraz trochę nieprzyjemnie, gdy przyglądałem się pełnemu oczekiwania zgromadzeniu buchlingów, ale nie było już odwrotu. Zapowiedź wprawiała je w radosne podniecenie i wszystkie paplały między sobą. Najwidoczniej porozumiewano się, w jaką formę życia mnie przeobrazić, ponieważ po pomieszczeniu krążyły same nazwy zwierząt.

– Co sobie wyobrażę? – spytałem trwożliwie Golgo.

– Nie mogę ci tego powiedzieć – powiedział Golgo. – Inaczej to nie zadziała. Skrępowałbyś się i zablokował hipnozę. I tak jest już ciężko przez to, że wiesz, że cię teraz zahipnotyzujemy. Daj się po prostu zaskoczyć!

No świetnie! Przeklinałem się za moją nieprzemyślaną zgodę i było mi coraz bardziej nieswojo. O ile bardziej wolałbym teraz Ormować!

– Na moją komendę! – zawołał Golgo. Buchlingi umilkły, wszystkie oczy skierowały się na mnie i zaczęły mruczeć.

Czekałem.

Mruczały dalej.

Czekałem jeszcze dłużej.

Mruczały.

Nic się nie stało. To już muzyka trąbuzonowa była o wiele bardziej skuteczna! Nic nie czułem. Zupełnie nic. Nawet nie byłem zmęczony. Może było ich zbyt wiele na raz. A może nie mogły mnie zahipnotyzować, bo byłem tym razem na tym skoncentrowany. O to chodziło – nie mogły mnie zahipnotyzować, bo tego nie chciałem! Byłem nie do zahipnotyzowania. Byłem niezdatnym do hipnozy murchem^[10] o silnej woli.



[10]

Przyp. od W.M.: Czym jest murch, wie to w Camonii każdy od czasów powieści Gofida Letterkerla *Zanilla i Murch*, stąd Rzeźbiarz Mitów oszczędził sobie opisu tego pociesznego zwierzęcia. Murch jest bardzo rzadkim, żyjącym głównie na bagnach stworzeniem, które najłatwiej opisać jako skrzyżowanie kaczki z żabą. Z kaczki ma dziób i puszyste upierzenie, a z żaby silne skoczne kończyny i wydymające się policzki. Imponujący dźwięk, który wydaje z siebie murch, może być i

Tak, byłem dumnym murchem, murchem w czasie tokowania. Niezwłocznie zacząłem nadymać policzki i kwachotać pełnym głosem, żeby ogłosić moje roszczenia terytorialne i zwrócić na siebie uwagę żeńskich murchów. Kiwając się jak kaczką chodziłem dookoła i demonstrowałem buchlingom majestatycznie wydęte policzki, żeby przywołać je do porządku – to terytorium murcha! Puszyłem moje upierzenie i kwachotałem z żarliwością, byłem całkowicie przepojony moją murchowością.

Starałem się ignorować histeryczny śmiech buchlingów, nie byłem zainteresowany buchlingami. Ale gdzie podziewały się murchowe samiczki? Kwachotałem tak przejmująco i nie mieściło mi się w głowie, że niedosłyszały moich uwodzicielskich nawoływań.

Buchlingi zmieniły tonację mruczenia, stała się ona wyraźnie głębsza, a mnie przypomniało się, że właściwie to byłem robakiem. Robakiem książkowym oczywiście! Po co ja tu kwachoczę? Niezwłocznie położyłem się na brzuchu i popełzłem przed buchlingami w kurzu. Było mi obojętne, że niektóre z nich śmiały się i chichotały. Miałem misję, dlatego nie mogłem pozwolić, aby irracjonalne zachowanie innej formy życia zbiło mnie z tropu. Ruszyłem w poszukiwaniu książki.

Pełzać, pełzać to było moje przeznaczenie, pełzać, aż znajdę książkę. Te głupie buchlingi mogły klepać się po udach, nie zwracałem po prostu na nie uwagi. Pełzać, ciągle ładnym zygaczkiem poprzez kurz, aż... tam – książka! Odnalazłem książkę, naturalnego wroga książkowych robaków i równocześnie ich główne źródło pożywienia! Musi zostać natychmiast zniszczona, to było moje zadanie! Rzuciłem się wygłodniały na dość leciwą księgę. Była trochę stęchła w smaku, ale porwałem ją na strzępy moim bezlitosnym robaczym pyskiem i pogryzłem każdy z nich, aż cała książka została strawiona.

Byłem syty i wielce zadowolony. Moja misja została wypełniona. A teraz? Co mogłem zrobić następnie? Nie zastanawiałem się długo: złożyłbym parę jaj. Tak, tak zrobię.



SZCZUPAK W ŁAWICY PSTRĄGÓW

O d teraz, moi drodzy przyjaciele, zaczęło się dla mnie nowe życie. Buchlingi przyjęły mnie do swojej społeczności i zdawały postawić sobie za zadanie, abym zapomniał o mojej dotychczasowej egzystencji. I rozwiązać mój sen o dostaniu się jeszcze na powierzchnię Księgogradu, wciągając mnie w wielorakie czynności. Z powodu różnic w rozmiarach czułem się wprawdzie nadal jak szczupak w ławicy pstrągów, ale z upływem dni i tygodni uczucie obcości zanikało. Najbardziej cieszyłem się z tego, że moje lęki pozostały daleko – byłem bezpieczny. Tu w środku byłem chroniony, otoczony murem przyjaciół. W przytulnym świetle pełnym ksiązek i cudów natury, które czekały tylko na to, by je gruntownie zbadać. Naturalnie, nie stłumiłem całkowicie mojego pragnienia powrotu na powierzchnię, ale związane z tym plany odłożyłem na razie na bok. Chciałem wykorzystać czas na zebranie nowych sił. Pobyt wśród buchlingów traktowałem jak wyprawę do dzikiego obcego plemienia, jak przedłużające się badania nad książką, którą któregoś dnia planowałem napisać.

Byłem otoczony żywą biblioteką i nie mam tu na myśli tych dziwacznych buchemicznych ksiąg z uszami i oczami z *Maszyny w Skórzanej Grocie*, tylko same buchlingi, które stale były wokół mnie i nieustannie recytowały fragmenty wyuczonych na pamięć dzieł.

Gdzie tylko się udałem i stanąłem, otaczała mnie poezja, szturmował na mnie jeden lub wiele buchlingów, zasypywały mnie wersami i prozą, deklamowały eseje albo nowele, aforyzmy albo sonety. To, co zabrzmiało może jak akustyczne i nerwowe obciążenie, było dla mnie pięknym snem, ponieważ sposób, w jaki buchlingi recytowały swoje teksty, był najwyższej jakości. Prawdopodobnie nawet lepszy niż odczyty mistrzowskich lektorów w Księgogradzie, ponieważ buchlingi były nie tylko zawodowymi recytatorami, one żyły swoją poezją. Zdolności mimiczne i gestykulacyjne małych buchlingów były ogromne mimo ich fizycznych ograniczeń, a ich głosy brzmiały jak u doświadczonych aktorów teatralnych. Nie wiem, czy ktoś, kto tego nigdy nie przeżył, zrozumie, jak dogłębnie można studiować literaturę, gdy obcuje się z nią tak żywo i nieustannie.

Poza Golgo, Gofidem i Dancelotem poznałem też bliżej inne buchlingi, a szczególnie szukałem bliskości tych, których dzieła stale mnie interesowały.

Perla la Gadeon na przykład okazał się miłym w obejściu osobnikiem, mimo że cierpiał od czasu do czasu na napady melancholii, który nauczył mnie rozmaitych rzeczy na temat rzemiosła lirycznego, a jeszcze więcej na temat konstrukcji krótkich, niesamowitych opowieści grozy. Balono de Zacher miał ten długi epicki oddech, którego potrzeba, by pisać grube powieści i wielkie serce, bez którego nie zniósłby niezbędnej

przy tym ilości kawy. Zdradził mi technikę, dzięki której można zachować w głowie cały zbiór bohaterów i wszystkie wątki akcji, nie popadając przy tym w szaleństwo.

Orca de Wils był błyskotliwym gawędziarzem, którego obecność gwarantowała zawsze rozrywkę na najwyższym poziomie. Nie był on wcale w stanie powiedzieć czegoś przypadkowego czy banalnego, każde z jego zdań było oszlifowanym aforyzmem bądź błyskotliwym *aperçu*. Prawie nie miałem odwagi otwierać przy nim ust, gdy z nim rozmawiałem, ponieważ wszystko, co miałem do powiedzenia, w jego obecności zdawało mi się głupie i nudne.

Jednak szczególnie więź nawiązałem z Dancelotem, którego okazjonalne deklamacje z dzieła mojego ojca poetyckiego poruszały mnie i sprawiały, że czułem się jak w domu. On z kolei szukał mojej bliskości, żeby wyciągnąć ze mnie wiadomości o Twierdzy Smoków i szczegółach z życia mojego ojca poetyckiego. Aby rozróżnić ich obu, przeszedłem w końcu do nazywania ich w duchu Dancelot Jeden (mój ojciec poetycki) i Dancelot Dwa (buchling). Ponieważ Dancelot Dwa miał teraz smutną świadomość tego, że nie może oczekiwać już dalszych publikacji Dancelota Jeden, chciał przynajmniej dowiedzieć się o nim jak najwięcej, nawet o okresie, gdy mój ojciec poetycki wierzył, że jest szafą pełną brudnych okularów. Zadeklamowałem Dancelotowi Dwa mały wierszyk, który wpadł mi w ręce. Wręcz go w siebie wessał i deklamował go, gdzie tylko mógł:

**Jestem czarna, drewniana i zawsze zamknięta
Odkąd kamieniem zostałam przymknięta
Tysiące soczewek we mnie spoczywa
Od tego czasu głowę mą rozrywa
Pigułki nie działają tu czarów:
Jestem szafą pełną brudnych okularów**

Któregoś dnia opowiedziałem Dancelotowi Dwa o rękopisie, który nadal nosiłem przy sobie – przez burzliwość ostatnich dni niemal o nim zapomniałem. Poprosiłem go, aby przeczytał list.

– Mój ojciec poetycki był pod takim wrażeniem tego listu, że porzucił z tego powodu pisanie. Myślę, że powinienś go poznać.

Wręczyłem list Dancelotowi Dwa.

– Może lepiej, żebym go nie czytał. Jeśli to prawda, wtedy on ponosi winę za to, że muszę uczyć się tylko jednej jedynej książki. Właściwie może mi się wcale nie spodobać.

– Przynajmniej do niego zajrzyj.

Dancelot Dwa westchnął i niechętnie zaczął czytać list. Obserwowałem wszystkie jego ruchy. Już po paru sekundach zdawałem się dla niego nie istnieć. Jego oko przelatywało przez tekst, oddychał ciężko, a jego usta poruszały się, wprawdzie cicho, potem czytał już głośno. W pewnym momencie zaczął się śmiać, najpierw cicho, dławiąc śmiech, potem coraz rubaszniej, aż w końcu piszczał histerycznie, bijąc się pięścią w kolano.

Po tym, gdy już w pewnym stopniu się uspokoił, jego oko wypełniło się łzami, szlochał cicho, i wreszcie, gdy dotarł do końca rękopisu, jego spojrzenie zastygło. Minutami siedział tak w milczeniu, aż przerwałem ciszę.

– I co o tym sądzisz? – spytałem.

– To jest potworne. Teraz rozumiem, dlaczego twój ojciec poetycki porzucił pisanie. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek czytałem.

– Masz pojęcie, kto mógł to napisać?

– Nie. Gdybym przeczytał kiedyś tekst kogoś, kto potrafi tak pisać, pamiętałbym o tym.

– Dancelot wysłał tego autora do Księgogrodu.

– A więc nigdy nie dotarł do Księgogrodu. Gdyby przybył do miasta, byłby teraz sławny. Byłby największym pisarzem w Camonii.

– Też tak uważam. Ale mimo wszystko list, z którym mój ojciec poetycki go tu wysłał, trafił do waszej Komnaty Cudów.

– Wiem. Znam ten list na pamięć. W rzeczy samej jest to zagadka.

– Której prawdopodobnie nigdy nie rozwiążę – westchnąłem. – Mogę dostać ten list z powrotem?

Dancelot Dwa przycisnął do siebie rękopis.

– Mogę najpierw nauczyć się go na pamięć? – błagał.

– Oczywiście.

– Daj mi więc jeden dzień czasu. Nie mógłbym żadną miarą przeczytać go natychmiast raz jeszcze.

– Dlaczego?

– Boję się, że bym od tego pękł – zaśmiał się Dancelot Dwa. – Jeszcze nigdy nie czułem się tak najedzony po przeczytaniu tekstu.

UCZEŃ BUCHLINGÓW

Pokazywałem potem rękopis jeszcze paru innym buchlingom, z bardzo zbliżonymi wynikami. Wszystkie były nim zafascynowane, ale żaden nie miał pojęcia, kim mógł być autor. Wiele z nich chciało nauczyć się tekstu na pamięć, ponieważ większość nie była tak straszliwie przytłoczona swoim poetą, jak na przykład Golgo. Były zainteresowane przyswajaniem sobie także innej literatury.

Zacząłem kochać buchlingi, tak jak kochałem moich pobratymców w Twierdzy Smoków. Być może lubiłem je nawet troszkę bardziej, ponieważ w tak poruszający sposób uczyniły ze mnie centrum swojego życia. Buchlingi szukały mojej bliskości, ponieważ w ich oczach byłem prawdziwym poetą lub nawet kimś bardziej interesującym, ponieważ dopiero chciałem stać się poetą – gotowych poetów miały już aż nadto. Pojęły swoją szansę przyczynienia się do uformowania artystycznego ducha, wywarcia na to bezpośredniego wpływu. Nagle miałem setki małych, jednookich ojców poetyckich, którzy z poświęceniem troszczyli się o mnie. I tak jak mój mistrz Dancelot Jeden, niezmordowanie dawały mi rady dotyczące mojego przyszłego rzemiosła. Rady, które były tak zróżnicowane jak same buchlingi.

„Nigdy nie pisz powieści z perspektywy klamki do drzwi!”

„Wyrazy obce nazywają się tak dlatego, że są obce większości czytelnikom!”

„W jednym zdaniu umieszczaj tylko tyle słów, ile do niego należy!”

„Jeśli kropka jest murem, to dwukropek jest drzwiami”.

„Przymiotnik jest naturalnym wrogiem rzeczownika”.

„Jeśli piszesz coś pijany, to przeczytaj tekst jeszcze raz na trzeźwo, zanim oddasz go do druku”.

„Pisz tylko ręką, to gwarantuje płynność narracji”.

„Przypisy są jak książki na najniższym regale. Nikt chętnie tam nie zajrzy, bo musi się schylać”.

„W jednym, jedynym zdaniu nie powinno występować więcej niż milion mrówek, chyba, że chodzi o naukowe dzieło o mrówkach”.

„Na papierze czerpanym najlepiej pisze się sonety, nowele natomiast na pergaminie”.

„Po każdym trzech zdaniach nabierz głęboko powietrza”.

„Opowieści grozy pisze się najlepiej z zimnym okładem na karku”.

„Jeśli jedno z twoich zdań przypomina ci trąbę słonia, który próbuje podnieść fistaszka, to powinieneś je jeszcze przemyśleć”.

„Kradnąc od jednego poety, popełniasz kradzież, kradnąc od wielu poetów, robisz kwerendę”.

„Grube książki są dlatego grube, bo ich autorzy nie mieli czasu, żeby je skrócić”.

Jeśli nie stałem się naprawdę buchlingiem, to przynajmniej uczniem buchlingów. Padał na mnie nieustanny deszcz dawanych w dobrych intencjach porad, rad technicznych i doświadczeń, które wszyscy starali mi się wtłoczyć, z których pozostały mi jednak w pamięci tylko te najbardziej przekonujące. Często rady te zaprzeczały sobie nawzajem i niejednokrotnie wybuchały wokół mnie kłótnie dwóch albo i więcej buchlingów, obrzucających się wzajemnie swoimi cytatami niczym strzałami.

Stałem się nową treścią życia dla gnomów, żywym uzasadnieniem wszystkich ich działań, szczególnie ich kultu wobec uczenia się na pamięć. Mogły zrzucić na mnie wszystko, co było w nich nagromadzone. W moim wypadku, jak uważały, ich teksty padły w końcu na żyzny grunt, który wyda kiedyś bogaty plon. I to w formie powieści, wierszy i wszystkich innych rzeczy, które mogłem przenieść na papier. Nadałem sens anonimowej egzystencji buchlingów, sens, za którym może od zawsze rozpaczliwie tęskniły.

Typowy dzień w królestwie buchlingów wyglądał mniej więcej tak: Gdy nad ranem wychodziłem, ziewając, z koi, zaraz jakiś buchling czepiał się moich pięt, by paroma dziarskimi linijkami rozruszać me procesy myślowe:

Jutrzenko, czyżbyś śmierci mojej rychłej przyświecała?

Wkrótce zabrzmiał trąbuzony,

Wtędym śmierci przeznaczony.

Przy śniadaniu, które w międzyczasie zacząłem przygotowywać sobie sam, wiele cyklopów dotrzymywało mi towarzystwa, cytując na zmianę fragmenty ze swych listów:

Mój drogi Gofidzie Letterkerl, dziękuję za dedykację i egzemplarz Zanilli i Murcha! Cóż za śmiałość uczynić murcha bohaterem tragicznej powieści! Fragment, gdy kwachocze dniami przez kłopoty sercowe, nim rzuci się w Przepaść Demonów, ujął mnie szczególnie. Pańskim śmiałym krokiem zapoczątkuje Pan prawdopodobnie camońską poezję murchową, w której będzie się roilo od murchów. Także i ja noszę się teraz z pomysłem na powieść o murchu. Z najlepszymi pozdrowieniami: Pański Drumli Stern!

Następnie udawałem się zazwyczaj do Skórzanej Groty, gdzie chętnie wspinałem się na Maszynę Książkową, wyszukując sobie taką czy inną książkę, by co nieco

poczytać. Towarzystwa dotrzymywał mi przy tym zazwyczaj Golgo, który postawił sobie za cel zbadanie jej tajemnic. Uważał, że odkrył prawidłowości w jej ruchach. A teraz kombinował przy wysoce skomplikowanej tabeli, dzięki której chciał odkryć ostatnie tajemnice katakumb.

Gdy tylko opuszczałem *Skórzaną Grotę*, napadało na mnie znów kilka buchlingów, aby obsypywać mnie w czasie spaceru poprzez sztolnie na zmianę mądrymi esejami bądź aforyzmami. Paradowały, deklamując ważnym głosem, za mną bądź obok mnie, tak że musieliśmy sprawiać wrażenie osobliwej kaczek rodziny, która zamiast kwakania porozumiewała się poprzez wypowiedane na głos maksymy i refleksje:

„Czytanie jest inteligentną metodą oszczędzenia sobie samodzielnego myślenia”.

„Światło na końcu tunelu jest często jedynie umierającą meduzą! ”

„Pisanie jest desperacką próbą wydarcia z samotności odrobiny godności i trochę pieniędzy! ”

Często obserwowałem też chętnie buchlingi przy pracy w sanatorium dla książek, ucząc się przy tym co nieco o produkcji i restaurowaniu książek oraz o sztuce druku i chemicznym przygotowaniu różnorodnych gatunków papieru. Książka, która miała to szczęście, że dostarczono ją do sanatorium, opuszczała je zazwyczaj jak nowo narodzona. Gnomy znały wszystkie możliwe sztuczki i triki, by zrekonstruować uszkodzony papier albo skórę, a kiedy kończyły się możliwości ich sztuki, pacjent był od razu na nowo drukowany i oblekany, piękniejszy i cenniejszy niż kiedykolwiek.

Popołudnia były czasem na powieści. Balono de Zacher, Clas Reichdenk i inne buchlingi, dysponujące bogatym repertuarem prozy, recytowały mi swoje powieści. Było to jak monumentalna sztuka teatralna, którą odgrywały dookoła mnie, tragikomedia bez początku, bez środka, bez końca pod tytułem: *Powieść camońska i jej nieskończone możliwości*.

Byłem niemal nieprzerwanie otoczony żywą poezją. Robiłem wdech i wdychałem jakiś pomysł. Robiłem krok i przechodziłem z camońskiego baroku w czasy nowożytne. Wzdychałem, a już kilkanaście zaniepokojonych buchlingów przywierało do mojej peleryny i pytało o me samopoczucie. Nigdy nie poświęcano mi tyle uwagi.

Wieczorami spotykano się w *Skórzanej Grocie*, by wymieniać myśli. Siedziano tam przy kominkach, gawędzono o literaturze i kłócono się, deklamowano i śmiano się, buchlingi odprężyły się tu po swoim pracowitym dniu. Pokazywano mi rzadkie książki, mapy katakumb albo znaleziska z Komnaty Cudów i opowiadano o zapomnianych pisarzach, którzy byli mi całkowicie nieznani. Buchlingi opowiadały przerażające historie o łowcach książek, tak samo jak łowcy książek opowiadają przerażające

historie o buchlingach. Później padałem wykończony na moje posłanie, zasypiałem natychmiast i śniłem. Oczywiście o książkach.



§

ZAK HITTI ZOPP

Tak właściwie to naprawdę zjadłem tę książkę? – spytałem któregoś dnia Golgo, gdy staliśmy znów razem przed Maszyną Książkową i obserwowaliśmy wędrujące regały. – Wtedy, pod hipnozą?

– Wzgardziłeś okładką – wyszczerzył się Golgo. – Ale tak robią też przecież prawdziwe robaki książkowe. Była to poprawna biologicznie prezentacja.

Tym samym wyjaśniona została kwestia, która męczyła mnie już od dawna. Przypomniało mi się jeszcze jedno.

– Skąd właściwie pochodzą buchlingi?

Golgozawahał się. – A więc, tak całkiem dokładnie też tegonie wiemy. Przypuszczamy, że rośniemy w książkach, tak jak pisklęta w jajach. W prastarych, kruchych księgach z nieodszyfrowanymi runami, które drzeją głęboko w katakumbach. Któregoś dnia taka książka pęka jak skorupka jajka i wykluwa się z niej buchling maleńki jak salamandra. Szuka on następnie drogi do *Skórzanej Groty*. To instynkt, prawdopodobnie.

– Czy to prawda?

– Każdego roku do *Skórzanej Groty* przybywa parę nowych buchlingów. Albo znajdujemy je gdzieś w okolicy. Są wtedy jeszcze maleńkie, ledwie wielkości kciuka, nieme, bez pamięci. Wtedy dajemy im parę książek do zjedzenia, wiesz już, że czytamy automatycznie, mamy to od urodzenia. I w mgnieniu oka potrafią mówić. I w taki sposób zbiorowość buchlingów stale rośnie. Bardzo powoli, ale rośnie. He, uważaj: Ten regał zjedzie zaraz do tyłu i zniknie w środku maszyny. Zakład?

Chwilę po tym coś zabrzęczało i zatelepało we wnętrznościach rdzawej maszyny i regał zrobił dokładnie to, co przepowiedział Golgo. Wyszczerzył się zadowolony i postawił w swojej tabeli jakiś tajemniczy znak.

– Ale równie dobrze moglibyście pochodzić skądś indziej, czyż nie? – spytałem. – Nie wiecie tego na pewno.

– Zgadza się, moglibyśmy pochodzić ze śmierdzących hałd Unhajmu albo z retort szalonych złośliwych buchemików. Ale historię z pękającymi starymi księgami uważamy za piękniejszą.

Nauczyłem się już, że nie należy kwestionować ani pseudonaukowych teorii Golgo, dzięki którym był w stanie wyjaśnić praktycznie wszystko, ani jego przejęcia w kwestii wiary w Orma. Doprowadzało to tylko do debat, w czasie których bez końca pouczał mnie ustępami ze swojej *Nauki o barwach minerałów*. Także i ja uważałem wizję buchlingów wykluwających się z książek za ładną i poprzestałem na tym.

Przestałem liczyć dni spędzone na dole z buchlingami, liczby nigdy nie były moją

mocną stroną, a i dni nie było tu w zasadzie żadnych, nie wspominając już w ogóle o zegarach. Myślę, o moi drodzy przyjaciele, że nie będzie przechwałką, jeśli stwierdzę, że w tym czasie czegoś się nauczyłem. Dzięki samemu już uważnemu i niestrudzonemu przysłuchiwaniu się karzełkom ogromnie powiększyłem moje słownictwo i znałem teraz niezliczoną ilość powieści i krótkich opowiadań, sztuk teatralnych i wierszy. Mogłem recytować aforyzmy, aż wszyscy dookoła zasypiali, i znanych mi było tyle opisów krajobrazów, że mógłbym ozdobić nimi cały kontynent. Zarysy akcji, napięcie, charaktery, zaskakujące zwroty, rozwlekłe opisy, dramatyczne zakończenia – buchlingi przekazały mi tak wiele materiału literackiego i technik, że nie byłbym w stanie poznać ich przez całe życie. Wszystko to zgromadzone było w mojej głowie, jak wyposażenie w dobrze zaopatrzonym teatrze. Wiedziałem teraz, jak muszą brzmieć dobre dialogi, w jaki sposób stworzyć wir na początku książki wciągający czytelnika natychmiast, jak z epickim zacięciem doprowadzić do katastrofy powieść z tysiącem postaci. Usłyszałem tyle wierszy, że czasami nieświadomie mówiłem już wierszem i znałem przynajmniej tyle samo określeń na śnieg, co Reta Del Bratfist.

Buchlingi nie były na szczęście literackimi snobami, zapamiętywały nie tylko klasyków, ale i dzieła z tak zwanej literatury trywialnej. Był jeden, który znał wszystkie powieści o Księżu Zimnej Krwi, a inny, z którym regularnie utrzymywałem kontakt, mógł na zawołanie zadeklamować wszystkie ukochane przeze mnie powieści o Grafie von Elfensenf Mineoli Hick. Żadne efekciarstwo, żaden tandetny schemat, żadna eskapistyczna potrzeba nie była mi już obca – kwalifikacje niezbędne, moim zdaniem, w bagażu każdego pisarza. Buchlingi zaopatrzyły mnie we wszystko, czego potrzeba, by stać się przyzwoitym pisarzem. Jedynym problemem było to, że nie napisałem do tej pory ani jednego, jedyne zdania.

Można odnieść wrażenie, że żyłem tam na dole między buchlingami jak w raju, ale nie było niestety tak harmonijnie. Choć bardzo lubiłem buchlingi, niektóre z nich potrafiły potężnie działać mi na nerwy. Było niestety faktem, że nie podzielałem literackiego smaku z każdym z osobna, a niektórych pisarzy wyuczonych przez buchlingi na pamięć wręcz nie znosiłem. Usiłowałem schodzić z drogi tym buchlingom, gdzie tylko było to możliwe. Najwrażliwsze wśród nich zaakceptowały ten fakt i nie naprzykrzały mi się już więcej, ale istniało paru nieczułych osobników, którzy bezlitośnie wmuszali mi swoje dzieła. I właśnie te uparte chłopcunki utrudniały czasami życie dość mocno.

A przede wszystkim Dölerich Hirnfidler. Nie mógł znieść, że zdemaskowałem go dzięki jednej głosce („O!”) Od tego czasu był celem żartów swoich pobratymców, a po *Skórzanej Grocie* krążyła masa kawałów o „O! ”. Prześladował mnie za to z uporem,

który można by było porównać tylko do tego, z jakim łowca książek Rongkong Przecinak prześladował Kolofonusa Deszczblaska. Idę więc tunelem, nie podejrzewając niczego złego, a tu za zakrętem stoi Dölerich Hirnfidler, z pałającym szaleństwem wzrokiem zagradza mi drogę i krzyczy do mnie:

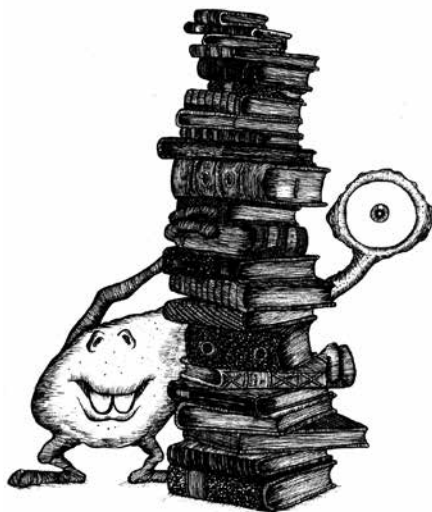
*Ach dzisiaj! Pozdrówże ojca, jeśli takie chęci twoje!
Znam ja go dobrze: a i jemu przecie znane imię moje;
Przyjaciele jego są moimi przyjaciółmi. Ale nie wiedziałem,
Że to on był tym, co z moimi drogami drogi swoje Skrzyżował. Jakże
długo w mej nieświadomości trwałem.*

Serce o mało mi nie stanęło, nie tylko przy tej, ale także przy innych okazjach. Na przykład wtedy, gdy siedziałem sobie senny w fotelu, czytając spokojnie książkę w *Skórzanej Grocie*, on zakradł się cicho od tyłu i wrzasnął mi z całej siły prosto do ucha:

*Biada, już jawnym to, czegom pożądał,
O słońce, niechbym już cię nie oglądał!
Życie mam, skąd nie przystoi, i żyłem,
Z kim nie przystało – a swych zabiłem.*

Ani odrobinę mściwy, a jedynie nieco stuknięty był buchling, który poświęcił się dziełom Hulgo Bla. Hulgo Bla był głównym przedstawicielem camońskiego gagaizmu, a ten gnom, jak na mój gust, był za bardzo pod wpływem wykalkulowanego szaleństwa tej literackiej zabawy. Camoński gagaizm wydawał mi się zawsze podejrzany, sądziłem bowiem, że jego głównym celem nie była skoncentrowana poetycka działalność, a raczej konsumpcja odurzających pustynnych grzybów i wysokoprocentowych napojów alkoholowych. Gagaiści w czasie swych przedstawień i odczytów przebierali się chętnie za kiełbasy albo instrumenty dęte, muzykowali na żabach wołowych i opluwali publikę. Zawsze wydawało mi się to podejrzane, gdy pisarze zbierali się w grupy. Bardziej prawdopodobne było, że działo się to z powodów towarzyskich, a nie dla poważnej pracy.

Gagaiści na czele z Hulgo Bla chętnie uprawiali poezję w wymyślonych językach (moim zdaniem szli w ten sposób, jako poeci, na łatwiznę), i tak zdarzało się cały czas, że ten ekscentryczny buchling wyskakiwał znienacka z za załomu skalnego i obsypywał mnie całkowicie bezsensownymi wersami.



tressli bessli nebogen leila

flusch kata

ballubasch

zack hitti zopp

zack hitti zopp

hitti betzli betzli

prusch kata

ballubasch

fasch kitti bimm[11]

Pokrzykiwał na mnie, podskakując wokół i gestykulując idiotycznie. Pomysłowość chowania się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach szczególnie stargała moje nerwy.

Mogę was zapewnić, moi drodzy przyjaciele, że jest jeszcze parę rzeczy godnych uwagi o sekretnym życiu buchlingów, których dowiedziałem się w czasie mojego u nich

[11] Przyp. od K.B.: Wiersz, którego tłumaczenie i tak niewiele zmieni. Dzieło to nosi tytuł *Konik morski i latające ryby*

pobytu. Jednak wyszczególnienie wszystkich drobiazgów wykroczyłoby znacznie poza ramy tej opowieści. Postanowiłem zrobić to w jednej z moich przyszłych książek[12].

Gdy opanowywały mnie napady melancholii i świadomość mego tułactwa, co od pewnego czasu mi się przydarzało, pozwalałem buchlingom na zahipnotyzowanie mnie i zaprowadzenie do *Lasu Kryształów*. Tam wędrowałem godzinami z Dancelotem Dwa, aż dzięki pięknu świata podziemnego zapominałem o wszystkim. Później przesiadywaliśmy chętnie w *Kuchni Diabła* przy bulgoczącej lawie, i, pocąc się, rozmawialiśmy o tym i owym. To Dancelot Dwa poruszył któregoś dnia ten temat.

– Tęsknisz za światem tam na górze, prawda?

Sam z siebie nigdy nie zacząłbym tej kwestii. Buchlingi troszczyły się o mnie w tak poruszający sposób, że było dla mnie niemożliwe opowiadanie o mojej tęsknocie. Było nie do pomyślenia. Ulżyło mi, że Dancelot Dwa sam zaczął o tym mówić.

– Oczywiście, że tak. Już od dawna udawało mi się o nim nie myśleć, ale w ostatnim czasie przychodzi mi to coraz ciężiej.

– Nie możemy zabrać cię na górę, wiesz o tym.

– Tak. Ale Golgo powiedział kiedyś, że macie kontakty z innymi mieszkańcami labiryntów.

– Mamy. Z półkarłami i sztolniowymi trollami. Ale im nie można zaufać. Są wystarczająco dobre do tego, żeby załatwiać dla nas pewne rzeczy z powierzchni. Za opłatą. Jednak jeśli bym cię im powierzył, nie mógłbym za nic ręczyć. Zaprowadziliby cię od razu do łowców książek albo zrobili z tobą nie wiadomo co.

– A co z mapami? W *Skórzanej Grocie* widziałem parę, które pokazywały drogę przez labirynty.

– Moglibyśmy wyposażyć cię w mapy, naturalnie. Ale labirynty stale się zmieniają. Jedna zawalona sztolnia i już wszystkie mapy na nic. A nie ma w ogóle map, które pokazują, gdzie czyhają niebezpieczeństwa. Nie ma żadnej, choć połowicznie bezpiecznej drogi na powierzchnię, możesz mi wierzyć.

– Oznacza to, że jeśli chcę przeżyć, muszę na zawsze pozostać u was?

Dancelot Dwa westchnął i popatrzył smutno w lawę.

– Wiedziałem, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Z samolubnych pobudek powiedziałbym ci najchętniej, że tak właśnie jest, że nie ma żadnej nadziei. Ale...

– Ale co?

– Widziałbym jeszcze jedną możliwość.

[12] Przep. od W.M.: W późniejszych latach Hildegunst Rzeźbiarz Mitów dotrzymał tego przyrzeczenia w swym dziele o sekretnym życiu buchlingów.

- Istnieje jakaś? – nagle otrzeźwiałem.
- Tak, w rzeczy samej istnieje jeszcze parę tajemnic, których ci nie zdradziliśmy.
- Co masz na myśli?
- Mógłbym przedstawić ci kogoś, kto zna się na labiryntach lepiej niż my.
- Chcesz mnie chyba nabrać.
- Chciałbyś poznać Kolofonusa Deszczblaska? – spytał Dancelot Dwa. –
Największego bohatera Księgogrodu?



NAJWIĘKSZY BOHATER KSIĘGOGRODU

Dancelot Dwa poprowadził mnie w obszary, w które do tej pory prawie nie zaglądałem. Było tu tylko wiele małych pieczar mieszkalnych i żadnych użytkowanych wspólnie pomieszczeń. A on maszerował coraz dalej, nawet gdy mijaliśmy już niezamieszkane pieczary – puste mieszkania dla przyszłych buchlingów. Nikt poza nami tu nie przebywał.

– Zaprowadzisz mnie naprawdę do Kolofonusa Deszczblaska? – spytałem. – Czy masz tylko na myśli buchlinga, który zna jego dzieło na pamięć.

– Znaleźliśmy go przed paroma laty – powiedział Dancelot Dwa, maszerując zamasyście przede mną. – Głęboko w labiryncie. Kolofonus był ciężko ranny, niemal martwy, po pojedynku z Rongkongiem Przecinakiem. Przynieśliśmy go tutaj i podkarmiliśmy. Wrócił znów do sił no cóż, w każdym razie w pewnym stopniu. Napisał u nas swoją drugą książkę. Wiele się od niego nauczyliśmy, a i on niektórych rzeczy od nas. Dawał nam rady, gdzie możemy znaleźć rzadkie książki do *Skórzanej Groty*, a my opowiedzieliśmy mu wszystko, co wiedzieliśmy o katakumbach. W ostatnim czasie czuł się coraz gorzej i długo naradzaliśmy się, czy zaprowadzić cię do niego, czy też nie. Z jednej strony nie chcemy narażać go na niebezpieczeństwo – dla jego własnego bezpieczeństwa lepiej jest, że wszyscy uważają go za martwego, z drugiej strony jest jedynym, który naprawdę może ci pomóc. A potem jego zdrowie pogorszyło się tak gwałtownie, że w końcu za jego zgodą postanowiliśmy... ha, już jesteśmy na miejscu.

Dancelot zatrzymał się przed wejściem do pieczary, nad którym wisiała zasłona z ciężkich łańcuchów. – Muszę wracać do *Skórzanej Groty* – wyszeptał. – Nakarmić *Żywe Księgi*. Golgo jest u Kolofonusa, zapozna was ze sobą.

Dancelot Dwa pośpieszył z powrotem, a ja rozchyliłem pobrzękującą zasłonę. Pomieszczenie było z dziesięć razy większe niż tradycyjne nisze mieszkalne i oświetlono je wieloma świecami. Ściany pokrywały regały książkowe, w których znajdowały się szlachetnie oprawione księgi, ze złotymi i srebrnymi okuciami, ozdobione diamentami, rubinami i szafirami.

Na wielkim łożu ze spiętrzonych futer leżał łowca książek przykryty ciężką ciemną narzutą odkrywającą tylko jego głowę i ramiona. Obok na stoiku siedział Golgo i sprawiał wrażenie zamartwionego. Gdy podszedłem bliżej i byłem już w stanie rozpoznać twarz Kolofonusa w migocącym świetle świec, przestraszyłem się wielce, próbowałem jednak nie dać tego po sobie poznać.

Psiarz był naznaczony śmiercią. Nie potrzeba było wyjaśnień, by mi uświadomić, że było to ostatnie miejsce spoczynku umierającego, i że wszyscy obecni byli świadomi

tego faktu.

– Inaczej sobie mnie wyobrażałeś – powiedział łamiącym się głosem – czyż nie? Bardziej jako jakiegoś tryskającego zdrowiem zawadiakę, zgadza się? No cóż, w mojej książce pracowałem mocno nad tym wizerunkiem. Największy bohater Księgogrodu. Kosztowało mnie to sporo wysiłku przy sformułowaniach.

Zaśmiał się cicho.

– Nazywam się... – zacząłem.



– Hildegunst Rzeźbiarz Mitów, wiem. Buchlingi opowiedziały mi o tobie wszystko. Pochodzisz z Twierdzy Smoków. Fistomefel Szmejki rozłożył cię toksyczną książką – tak samo jak mnie. Musimy oszczędzać czas, by przejść do najistotniejszych rzeczy. Ponieważ czas jest tym, czego najmniej posiadam.

– Co się stało? – spytałem. – Jak Szmejki mógł wtrącić cię do katakumb, skoro jesteś tym, który najlepiej się na nich zna?

Deszczblask podniósł się odrobinę. – Uśpił mnie tylko *Toksyczną Książką*, żeby zanieść mnie do katakumb. Resztę mieli załatwić łowcy książek. Co też zrobili. Ale nie udało im się wykonać całkowicie zadania. Uciekałem coraz głębiej w katakumby, tak głęboko, że tylko Rongkong Przecinak odważył się za mną podążyć. Stawiałem mu potem czoła – niestety za wcześnie, nadal pod wpływem trucizny. Stoczyliśmy najdłuższy pojedynek w naszej długoletniej wątpliwej historii. Naprawdę nie wygrał nikt, ale stanu, w jakim Rongkong się z tego wyczołgiwał, też nie określiłbym jako najzdrowszy.

Deszczblask uśmiechnął się. – Gdyby moi mali przyjaciele mnie nie znaleźli, bez wątpienia bym umarł. Umożliwili mi tutaj napisanie mojej drugiej książki. Wszedłem do katakumb, by odnaleźć Króla Cieni i sam się nim poniekąd stałem. Żywą legendą. Duchem.

– Dlaczego Szmejk ci to zrobił?

– Nie musisz zadawać sobie tego samego pytania? – spytał Deszczblask. – Nie mam pojęcia! Właściwie to miałem nadzieję, że to ty dasz mi na to odpowiedź.

– Nie mogę taką służyć.

– To nie ma żadnego sensu – powiedział Deszczblask. – Gdyby nie opowiedział mi o swoich maniakalnych planach, nigdy bym się o tym nie dowiedział. Aż do tego momentu nie wiedziałem nic o Szmejku, o tym że mogłem mu zaszkodzić.

– Tak samo i ja. Mogę ci coś pokazać? – spytałem. – Jest to rękopis, sądzę, że jest on powodem mojego zesłania do katakumb.

Wyciągnąłem list z peleryny i wręczyłem go Deszczblaskowi. Trzymał go przed oczami i studiował, mrugając.

– O tak – mrucał. – Papier pochodzi z zakładów papierniczych Obholzer. Doskonały gralsunderski papier czerpany. Cięcie jest nieczyste, maszyna była prawdopodobnie przestarzała...

– Nie sądzę, żeby Szmejk przepędził mnie do katakumb z powodu nieczystego cięcia – odważyłem się przerwać. – Chodzi o tekst.

Deszczblask zaczął czytać. Zrobiło się cicho, a ja studiowałem uważnie każdą jego reakcję. Było dla mnie jasne, że w jego stanie nie będzie mógł okazać zachowań, do których byłem zdolny ja i inni. Lektura jednak najwidoczniej go porwała. Śmiał się od czasu do czasu, potem bardzo długo dyszał i zobaczyłem nawet małą łzę spływającą z jego oka. Wyprostował się tak mocno, jak było to możliwe, a ręka, w której trzymał list, gwałtownie drżała.

Golgo spojrział na mnie zaniepokojony, a mnie przyszło także na myśl, że

Deszczblask nie sprostą tej lekturze. Wtedy Psiarz opuścił w końcu list i siedział, chwilę ciężko oddychając.

– Dziękuję ci – powiedział w końcu. – To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeczytałem.

– Masz pojęcie, od kogo może to pochodzić?

– Nie. Ale rozumiem, dlaczego Szmejk skazał to z tobą na wygnanie tu na dole. To jest zbyt dobre dla świata tam na górze.

Deszczblask wręczył mi rękopis, a ja ponownie go schowałem.

– Mogę cię o coś zapytać? – spytałem.

Łowca książek skinął głową.

– Wybacz, proszę, ale moja ciekawość jest po prostu zbyt wielka. Twoje poszukiwania Króla Cieni – czy w jakimś stopniu odniosły sukces? Widziałeś go?

Wzrok Deszczblaska zastygł.

– Widziałem? Nie. Słyszałem – często. Czułem – raz.

– Czułeś go, ale nie widziałeś?

– Tak, to było w ciemnościach, gdy uratował mnie przed śmiercią pod regałem, który chciał na mnie zwalić Rongkong Przecinak. Chwyciłem go na chwilę i przy tym... Golgo, podaj mi proszę tę małą szkatułkę koło łóżka.

Golgo wręczył Deszczblaskowi małą czarną skrzyneczkę. Ten otworzył ją i pokazał mi. – To oderwałem z jego ubrania.

Spojrzałem do szkatułki. W środku leżały małe skrawki papieru, zapisane nieczytelnymi znakami.

– Chwileczkę – powiedziałem. Pogrzebałem w kieszeniach mojej peleryny i wyciągnąłem jeden z tych strzępków, które doprowadziły mnie do królestwa buchlingów. Trzymałem je obok tych w szkatule. Były identyczne.

– Te skrawki doprowadziły mnie do buchlingów – powiedziałem. – Były rozłożone w labiryncie jako trop.

Deszczblask był roztrzęsiony. – A więc ty też spotkałeś Króla Cieni! – powiedział.

– Tak – odparłem – więc to pewnie on uratował mnie przed Hoggno Katem.

– Wpadłeś w łapska Hoggno Kata i jeszcze żyjesz? – spytał zdumiony Deszczblask.

– Ktoś uciął mu w ciemnościach głowę.

– Całkiem w stylu Króla Cieni. Wygląda na to, że uratował nam obu życie.

– Cieszę się waszym szczęściem – wtrącił Golgo – ale uważam to za niepokojące, że Król Cieni wie, gdzie się ukrywamy.

– Nie sądzę, żeby działało to na waszą niekorzyść – powiedział Deszczblask.

– Masz jakieś podejrzenia, co jest jego największą tajemnicą? – spytałem.

– Może jego przerażający wygląd? – odpowiedział cicho Deszczblask. – A może chce ukryć to, że wcale nie wygląda tak straszliwie, jak sądzimy.

– Tak jak my – powiedział Golgo – skorzystamy na naszej złej opinii.

Deszczblask podniósł się trochę. – Ale nie jesteśmy tu po to, by gawędzić o Królu Cieni. Chcesz wiedzieć, jak się stąd wydostać, Rzeźbiarzu Mitów?

– Cóż – powiedziałem ostrożnie – byłoby to całkiem pomocne.

– Dobrze. Może mógłbym ci pomóc. Pozwól mi tylko powiedzieć jedną rzecz i proszę cię, abyś wysłuchał mnie uważnie.

Pochyliłem się i wytężyłem słuch.

– Bezpieczny, mam na myśli *naprawdę* bezpieczny, będziesz tylko wtedy, gdy zostaniesz tu na dole między buchlingami. Żadna droga przez katakumby nie jest bezpieczna. A nawet, jeśli udałoby ci się dostać na górę, moment, gdy pokażesz się na powierzchni, będzie momentem twej śmierci. Czy to jasne?

– Uważasz, że z powodu Szmajka?

– Nie uszedłbyś nawet dwóch ulic. Według tego, co powiedział mi Szmek, zanim zawlókł mnie do katakumb, wygląda to tak: Siedzisz tu teraz ze mną w najlepiej strzeżonym więzieniu Camonii, a Szmek docisnął od góry pokrywkę. I biada, jeśli mu się ulotnisz. Cały Księgogród jest pełen szpiegów, którzy pracują tylko dla niego.

– Może będę miał szczęście.

– Tak, może. Może poszczęści ci się i na wszystkich pomagierów Szmajka padnie ślepotą w momencie, gdy będziesz wyczołgiwał się z dziury kanalizacyjnej.

– Mógłbym się przebrać. Prześlizgnąć się potajemnie.

– Spójrz na to z tej strony: Jesteś szczęściarzem. Żyjesz! Mogłeś zostać zabity przez łowców książek. Pożarty przez Pająxxxxa. Istnieje tysiąc możliwości, by zginąć w labiryncie w najstraszliwszy sposób. Zamiast tego wylądowałeś w tym zdrowym świecie. Wśród stworzeń, które uwielbiają literaturę. Jesteś poetą – pisać można wszędzie. Masz dostęp do najbardziej nadzwyczajnej biblioteki w Camonii. Przyzwyczaisz się do pożywienia i kiepskiego powietrza. Zapomnisz o świetle słońca i czystym niebie. No cóż, może nie całkiem, ale będziesz coraz rzadziej o tym myślał.

– Istnieje więc jakaś droga czy nie? – spytałem niecierpliwie. W końcu sam Deszczblask mówił, jak mało ma czasu.

– No pięknie. Widocznie jesteś naprawdę zdecydowany. Dobrze. Ale powtórzę raz jeszcze: także i ta droga nie jest bezpieczna. Nie ma nic bezpiecznego w katakumbach Księgogrodu. Lecz tej drogi nie zna żaden łowca książek. Jest za wąska, by zmieścić

się w niej większe niebezpieczne zwierzęta. Nie ma odgałęzień, w których można by zabłądzić i prowadzi prosto na górę.

– Dokąd dokładnie prowadzi?

– Nie całkiem na powierzchnię. Ale wystarczająco blisko. Można usłyszeć już stamtąd miasto.

– To brzmi jak prawdziwa szansa.

– Będziesz musiał się długo wspinać. Ale jeśli wytrzymasz, dotrzesz w końcu na górę.

– Dlaczego nie skorzystałeś z tej drogi?

– A wyglądam na kogoś, kto jest w stanie długo się wspinać?

Nie odpowiedziałem.

– Naprawdę ciężko będzie, gdy spróbujesz opuścić miasto. Łowcy ksiązek będą cię poszukiwać. Za twoją głowę wyznaczono na pewno nagrodę, tak jak i za moją. Będziesz tęsknił, tęsknił mocno za katakumbami. Będziesz żałował, że nie pozostałeś wśród buchlingów. – Deszczblask stęknął. – Tak. Oto co chciałem ci najpierw powiedzieć. Teraz masz czas, by zastanowić się nad swoją decyzją. Osobiście nie postawiłbym złamanego grosza za twoją skórę, jak tylko opuścisz królestwo buchlingów.

Popatrzyłem w nabiegłe krwią oczy Deszczblaska.

– A czy ty odważyłbyś się spróbować, gdybyś był w stanie się wspinać? – spytałem. Łowca ksiązek podniósł się, złapał moje ramię, a jego oczy zaiskrzyły.

– A założysz się o swoje jaszczurze gardło, smoku? – dyszał ciężko. – Zrobiłbym to. Resztką sił! Poczuć jeszcze raz słońce na sierści, by jednym oddechem napić się jeszcze świeżego powietrza – byłoby tego warte.

– Powiedz mi więc, proszę, jak znajdę tę drogę.

– Golgo – krzyknął Deszczblask. – Musicie zaprowadzić go do wejścia do szybu. Znajduje się poza granicami waszego królestwa. Zrobicie to?

– Oczywiście – powiedział Golgo – o ile nie jest to za daleko na górze. Wprawdzie niechętnie, ale jeśli jest to życzeniem was obu...

– A więc słuchaj uważnie – powiedział Deszczblask. – To naturalnie powstały szymb wulkanicznego pochodzenia. Nie jest zbyt mocno stąd oddalony. Dzień marszu.

Nachyliłem się do przodu.

Ostatnie słowa umierającego – przeszła mi przez głowę przestroga mojego ojca poetyckiego – *a chce ci on powiedzieć coś sensacyjnego! Zapamiętaj sobie ten chwyt artystyczny! Nikt nie będzie w stanie oderwać się od czytania! Nikt!*

Kolofonus chciał właśnie rozpocząć, gdy nagle zabrzączało przy wejściu i do

pieczary wpadł jeden z buchlingów. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. Był to Hulgo Bła, zwariowany gagaista, który prześladował mnie swoimi ekscentrycznymi wierszami.

– *Skórzana Grota* płonie! – wołał zdyszany. – Zjawili się łowcy książek. Nie przepuszczą niczemu, co stanie im na drodze.

– Spadaj Hulgo – powiedział opryskliwie Golgo. – To nie jest odpowiedni moment na twoje żarty.

Zamiast zniknąć, Hulgo podszedł, stąpając ciężko, do łóżka. Otworzył szeroko oko, wznosił ramiona i już bałem się, że zarzuci mnie zaraz swoją szaloną poezją, a on runął dokładnie przed nami. Z jego pleców wystawała żelazna strzała. Golgo pośpieszył do niego i pochylił się nad nim. Potem spojrzął na nas okiem wypełnionym łzami.

– Nie żyje – powiedział.

Deszczblask podniósł się. – Uciekajcie! – zawołał. – Zwiewajcie natychmiast! Ukrycie się w bezpiecznym miejscu! Przyszli z mojego powodu. Kiedy mnie dostaną, znów sobie pójda.

Nasłuchiwałem, ale nie słyszałem odgłosów walki. *Skórzana Grota* była daleko stąd.

– Nie zostawimy cię samego – powiedział Golgo.

– Ale ja i tak jestem już prawie martwy! – wychrypiął Deszczblask. – Zwiewajcie w końcu!

– To nie wchodzi nawet w rachubę – powiedział Golgo. – Jeszcze przeżyjesz nas wszystkich.

– Jesteś upartym osłem, Golgo – zamruczał Deszczblask. Wyglądził swoją kołdrę i zdawał zastanawiać się przez chwilę. Potem przemówił zadziwiająco mocnym głosem: – No dobrze: Nie dajecie mi wyboru. W takim razie sam teraz umrę. – Kolofonus Deszczblask opadł na poduszki i westchnął.

– Co ty robisz? – spytał Golgo wyraźnie zaniepokojony.

– Umieram – powiedział Deszczblask. – Przecież właśnie to powiedziałem.

– Nie zrobisz tego! – zawołał Golgo. – Nie możesz umrzeć po prostu z własnej woli! Nikt nie potrafi tego zrobić!

– Ja potrafię – powiedział hardo łowca książek. – Jestem Kolofonus Deszczblask. Największy bohater Księgogradu. Robiłem już inne rzeczy, których się po mnie nie spodziewano.

Deszczblask zamknął oczy, stęknął raz jeszcze i przestał oddychać.

– Kolofonus – wrzeszczał Golgo. – Przestań z tymi bzdurami!

Przez chwilę panowała idealna cisza. Położyłem nieśmiało rękę na sercu łowcy

książek.

– Przestało bić – powiedziałem po chwili. – Kolofonus Deszczblask umarł dla nas.



MASZYNA KSIĄŻKOWA

Kolofonus Deszczblask zabrał ze sobą do grobu wiedzę na temat drogi ucieczki z katakumb. Ale nie miałem na razie nawet okazji, żeby nad tym rozpaczać. Królestwo buchlingów było w największym niebezpieczeństwie, napadli na nie łowcy ksiązek! Ruszyliśmy w drogę do *Skórzanej Groty*.

– Macie w ogóle jakąś broń? – spytałem Golgo, gdy pędziliśmy korytarzami.

– Nie.



– Zupełnie żadnej?

– Nie – powiedział Golgo. – Chyba że noże do papieru to broń. Mamy co najwyżej kilofy i łopaty.

– Czuję... – zahuczał mroczny głos z następnego odgałęzienia korytarza. Zatrzymaliśmy się i zamilkliśmy.

– Czuję... – głos huczał dalej – Czuję... mięso... Psiarza!

Golgo zawlókł mnie bez słowa do najbliższej niezamieszkannej pieczary. Przykucnęliśmy w jej najciemniejszym kącie i obserwowaliśmy wejście oświetlone

tylko jedną świecą. Ciężkie kroki zbliżały się, do środka wpadł nieforemny cień, a my ujrzeliśmy w tańczącym świetle świecy zakradającą się przerażającą postać. Była ogromnego wzrostu i miała czarną twarz, na której ku mojemu przerażeniu, znajdowało się troje oczu. Dziwaczne ozdoby składające się z dziesiątków zmumifikowanych czaszek tkwiły w jej rozczochranych włosach i wisiały wokół szyi. Zatrzymała się i zaczęła węszyć. Po czym odwróciła powoli głowę w naszym kierunku i byłem przekonany, że wywahała nas w ciemnościach. Ale zamiast nas zaatakować, kolos wyszczerzył się tylko i kontynuował pochód.

– Czuję... mięso... Psiarza! – wychrypiała raz jeszcze postać. – To ty Kolofonus? Przeszedłem, żeby coś dokończyć.

Cień zniknął, a wraz z nim oddaliły się kroki, ale pozostaliśmy jeszcze przez chwilę w pieczarze, aż było całkiem pewne, że niesamowity intruz zniknął w jednym z odgałęziających się korytarzy.

– Czy to był łowca książek? – spytałem cicho.

– O wiele gorzej – zaszeptał Golgo. – To był Rongkong Przecinak.

– Dlaczego nie nosi maski? – spytałem.

– Rongkong Przecinak jest jedynym łowcą książek, który nie potrzebuje maski. Jego prawdziwa twarz jest straszniejsza niż jakakolwiek maska.

Buchling wyśliznął się z pieczary, nie czekając na moją reakcję. Westchnąłem, podniosłem się i pobiegłem za nim.



Niemal nie rozpoznałem *Skórzanej Groty*. Tonęła w dziko migoczącym świetle i wypełniona była obłokami dymu. Wszędzie pojawiały się płomienie, płonące węgle z kominków leżały rozrzucone po całej pieczarze, stoły i regały stały w płomieniach. Maszyna Książkowa otoczona była gęstym dymem, meble i świeczniki były przewracane, wszędzie panował tumult i wrzaski, rozbrzmiewały wojskowe rozkazy i ogólny śmiech. Strzały świszczały w powietrzu, szczękały klingi i łańcuchy, a duszny smród palonych książek stłumił zapach woskowanej skóry. W *Skórzanej Grocie* panowała wojna.

Golgo i ja schowaliśmy się w jednej ze skalnych nisz, by przyjrzeć się rozmiarom zajść. Widziałem dziesiątki ciężko opancerzonych postaci, maszerujących na buchlingi z toporami, mieczami, maczugami i kuszami. Niektóre z małych stworzeń leżały już powalone na ziemię, inne broniły się jeszcze i zwały na intruzów regały książkowe. Pozostałe biegały bezradnie dookoła, wpadając na siebie, ale większość uciekała przez najróżniejsze wyjścia. Szukałem Dancelota Dwa, ale nie mogłem go nigdzie znaleźć.

– Co możemy zrobić? – spytałem.

Golgo był oniemiały. Szlochał, drżał i trzymał się mocno mojego ramienia.

Na górnych kładkach Maszyny Książkowej paradowali opancerzeni łowcy książek i strzelali ze swoich kusz w stronę uciekających buchlingów. Bitwa o *Skórzaną Grotę* dobiegała właściwie końca, buchlingi zostały zwyciężone i rozpędzone, a łowcy książek przejęli władzę. Równie dobrze sam mogłem odpowiedzieć sobie na pytanie: nic nie mogliśmy zrobić.

– Jest ich tak wielu – zaszeptał Golgo.

Tak, ja także nie widziałem nigdy tylu łowców książek naraz. W samej grocie było ich kilkudziesięciu, a nie wiadomo było, ilu jeszcze rozproszyło się po korytarzach. Każdy z nich nosił indywidualne uzbrojenie i ukrywał swoje oblicze za przerażającą maską, mającą czasami formę czaszki, czasami jakiejś fantastycznej istoty albo niebezpiecznego zwierzęcia. Łowcy byli całkowicie opancerzeni, niektórzy w metal, niektórzy w skórę albo inne materiały, a każdy ich ruch wywoływał przerażający grzechot i brzęk. Niektórzy przymocowali trzepoczące proporce do swojego uzbrojenia i hełmów, inny poobwieszani byli zmumifikowanymi czaszkami i kośćmi. Nie wyglądali jak żywe istoty, tylko jak maszyny wojskowe wprawione w ruch przez jakiś przerażający czar. Jeden z nich trząsał długim biczem z ostrych brzeszczotów i części łańcuchów, który z sykiem i gwizdem przecinał powietrze, inny zamiast rąk miał srebrne kleszcze. Widziałem łowcę książek, który zapalił węgiel w naczyniu znajdującym się

na jego hełmie i ciągnął za sobą smugę dymu. Nigdy nie widziałem czegoś równie przerażającego.

– Musimy dostać się do Maszyny Książkowej – powiedział nagle mocniejszym głosem Golgo.

Pochyliłem się do niego. – Co? – syknąłem. – Na maszynie są łowcy! Co niby mamy zrobić z tą przerdzewiałą skrzynką?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wiem, co robię – powiedział Golgo.

– Zaufaj mi!

– Jak się tam dostaniemy? Wszędzie są te typy!

– Tam z przodu, gdzie płoną regały, tam wszystko jest pełne dymu. Przez ciemny dym dostaniemy się niepostrzeżenie do maszyny. Idź po prostu za mną!

– A co zrobimy, kiedy tam będziemy?

– Zobaczysz później.

Golgo miał najwidoczniej plan, choć nie wiedziałem jaki. Było mi to na rękę, wszystko było lepsze od zostania zaszlachtowanym przez łowców książek. Golgo wyśliznął się jako pierwszy ze skalnej niszy, a ja podążałem za nim pochyłony. Przebiegliśmy parę kroków, po czym zanurkowaliśmy w gryzący dym.

Teraz nie byłem w stanie zobaczyć niczego. Musiałem zamknąć oczy i podążać na ślepo za głosem Golgo, potykając się cały czas o jakieś gruzy.

– Chodź – szeptał Golgo. – Chodź! Zaraz będziemy na miejscu.

Rzeczywiście chwilę po tym wpadłem na żelazne rusztowanie Maszyny Książkowej. Otworzyłem oczy, mrugając ostrożnie. Maszyna otoczona była cienkim szarym oparem, jak gęstą mgłą. Słyszałem klekot i terkot w jej wnętrzu, złapałem się mocno rdzawej balustrady.

– Musimy dostać się na drugie piętro – powiedział Golgo – chodź!

Szliśmy dalej, tym razem żelaznym rusztowaniem, jednymi schodami, potem drugimi. Nagle opary się rozrzedziły, przetarłem łzawiące oczy i obejrzałem całą sytuację. Staliśmy na drugim piętrze Maszyny Książkowej znajdującej się w ruchu. Regały przejeżdżały obok nas i szybowały w górę. Zdawało się, że poza Golgo nie pozostał w *Skórzanej Grocie* żaden żywy buchling, wszystkie uciekły. Łowcy książek czuli się już jak zwycięzcy, którzy nie muszą obawiać się żadnego oporu. I tak też się zachowywali. Awanturowali się, zrzucali regały i grzebali w kosztownych książkach. Paru z nich klóciło się głośno o zdobycze.

Dwa piętra nad nami paradowali wte i wewte czterej ciężko opancerzeni łowcy, ich kroki po kratkach dudniły głośno. Dlaczego Golgo wpakował nas w tę niebezpieczną

sytuację? Było kwestią paru chwil, kiedy któryś z łowców odkryje naszą obecność. Może buchling stracił już rozum ze strachu i zwątpienia?

– Golgo! – wyszczałem do niego. – Co my tutaj robimy? Jaki masz plan?

– Wyliczyłem coś – odpowiedział.

– Co?

– Tu! Za pomocą mojej tabeli! – Golgo trzymał mi przed nosem swoją tajemniczą listę, którą ukrył tutaj na górze. – To ten regał! – wskazał na jeden z wędrujących regałów, które wolno przejeżdżały koło nas. Gdy był już na naszej wysokości, zatrzymał się.

Łowcy książek na dole wrzeszczeli i wiwatowali: z jednego z wyjść nadchodził do *Skórzanej Groty Rongkong Przecinak*. Zauważyłem z odrazą, że niesie ze sobą głowę Kolofonusa Deszczblaska.

– Kolofonus Deszczblask nie żyje! – zawołał i wrzucił głowę do pieczary. Potoczyła się, mijając parę martwych buchlingów, i zatrzymała się przy stosie płonących książek. Golgo odwrócił się.

Łowcy książek śmiali się i wykrzykiwali.

– *Skórzana Grota* należy do nas! – zawołał Rongkong Przecinak. – Zabijcie wszystko, co jeszcze znajdziecie. I zniszczcie tę cholerną maszynę. – Pokazał dokładnie w naszym kierunku. Nagle zawahał się, podszedł szybko w kierunku Maszyny Książkowej, wciągając przy tym silnie powietrze. Potem się wyszczerzył. Odkrył nas.

– Czuję... – powiedział – czuję... mięso... jaszczura!

Teraz wzrok wszystkich pozostałych łowców książek skierował się na nas. Topory i miecze wzniesiono do góry.

– Gotowe – powiedział Golgo – stawaj na regale!

– Co?

– Masz stanąć na regale! Wszystko obliczyłem.

– I tak i tak nas zabiją!

– Musisz mi zaufać. Nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć.

– Ten gruby jaszczur, o tam! – wrzeszczał Rongkong Przecinak. – Fistomefel Szmejki wyznaczył za niego sute wynagrodzenie! Przyprowadźcie go do mnie!

Czterej łowcy książek nad nami już od dawna byli w ruchu i zbiegali schodami na dół. Właśnie wchodzili na nasze piętro.

Wszedłem na regał. Golgo wspinał się obok mnie.

– Trzymaj się mocno! – rozkazał Golgo. – Trzymaj się naprawdę mocno!

Czterej łowcy biegli rusztowaniem prosto na nas. Jeden z nich podniósł długą lancę i celował we mnie. Zamknąłem oczy i żegnałem się z życiem. Za mną zaterkotało coś

i zastukało, i nagle poczułem, że jadę. Otworzyłem znów oczy i zobaczyłem pode mną zbaraniałych łowców patrzących na nas w górę. Regał pojechał do góry.

– Wszystko obliczyłem – powiedział Golgo.

Łowcy książek pognali schodami na górę. Regał zatrzymał się na piątym piętrze.

– I co teraz? – spytałem.

– Zostań na regale! – rozkazał Golgo. – Rób wszystko, co ci powiem. A przede wszystkim trzymaj się mocno.

– Łapcie ich! – krzyczał Rongkong Przecinak. – No dalej!

Łowcy książek dotarli już na nasze piętro.

– Cholera – zamruczał Golgo – są za szybcy.

– Co?

– Muszę ich zatrzymać. Chętniej poszedłbym z tobą.

Golgo zeskoczył z regału i zastąpił drogę łowcom książek.

– Golgo! – zawołałem. – Co robisz?!

Łowcy książek byli tak zmieszani, że naprawdę się zatrzymali. Golgo podniósł rękę i przemówił tak dudniącym głosem, że cofnęli się o jeden krok. Wiara w czarodziejskie moce buchlingów tkwiła w nich widocznie głęboko.

*Znów przychodzicie, rozwiewne postaci,
Które ogarniał ongiś mglisty wzrok.
Czyż mi tym razem zatrzymać się dacie?
Czy serce jeszcze złud tych ujmie tok?
Garniecie się! Więc dobrze! Władac macie!*

Łowcy książek patrzyli na siebie, wymieniając pochrząkiwania. Golgo jednak odwrócił się raz jeszcze w moją stronę, popatrzył na mnie i zawołał:

*Hej! W świat uciekaj z tej udręki!
A ów rękopis tajemniczy,
Spod Nieznanego własnej ręki,
Czyż dość wskazówek nie użyczy?
Kiedy rozpoznasz gwiazd koleje
I gdy naturze dasz posłuchy,
To siła Orma ci rozdnieje,
Jak rozmawiają z duchem duchy*

Zarejestrowałem za mną głośny metaliczny trzask, łańcuchy zabrzęczały, zazgrzytały pokryte rdzą kółka zębate. W następnej chwili regał pojechał do tyłu, w ciemne wnętrze Maszyny Książkowej. Przede mną dwie ściany maszyny najechały na siebie jak kurtyna i zasłoniły mi widok na Golgo, łowców książek i *Skórzaną Grotę*. Potem regał wyrzucił się do tyłu. Wbiłem się w niego mocno pazurami, krzyżąc jeszcze raz nieprzytomnie imię Golgo. Następnie coś zahałasowało głośno, jakby ktoś odsunął żelazny rygiel i nagle regał sunął z szelestem w głąbiny.



DROGA RDZAWYCH GNOMÓW

Wyobraźcie sobie, moi drodzy przyjaciele, że leżycie na wznak na sankach, a ktoś spycha was torem saneczkowym głową w dół, prosto w ciemną noc – to da dość dobre wyobrażenie sytuacji, w której się znajdowałem.

Nigdy bym nie pomyślał, że można poruszać się regałem książkowym z taką szaleńczą prędkością. Jechał po szynach, jak domyślałem się dzięki metalicznym zgrzytom i snopom iskier po lewej i prawej stronie, ale w świetle żarzących się odprysków nie dało się rozpoznać kierownicy, o hamulcach już nie wspominając. Przywarłem więc mocno pazurami i zamknąłem oczy. Jednak fizyczne uczucie spadania wcale przez to nie zniknęło, wykręcało mi mózg i żołądek, czułem gwałtowne mdłości, aż stwierdziłem, że muszę zwymiotować. Usiłowałem wziąć się w garść, otworzyłem znowu oczy i wykrzywiłem głowę, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi mnie ta dzika jazda. W tej nienaturalnej pozie, sunąc w dół, zobaczyłem po raz pierwszy: drogę *Rdzawych Gnomów*.

Jej filary podporowe, jej szyny i podkłady, każda żelazna belka, każda śruba i nakrętka tej frapującej konstrukcji były pokryte rdzą, która połyskiwała w ciemnościach fosforyczną zielenią. Z mojej perspektywy droga wyglądała jak ogromny świecący wij przesłizgujący się niekończącym się mrocznym pomieszczeniem.

Kolofonus Deszczblask opisał w swojej książce szczegółowo ten cud katakumb i jego legendarnych budowniczych, *Rdzawe Gnomy*. Był to lud krasnoludów, który zwano tak z powodu ich bród zabarwionych rdzą i z powodu ich namiętności wobec wszystkiego, co miało coś wspólnego z metalem i korozją.

Rdzawe Gnomy były pierwszymi istotami w katakumbach, które pomyślały o transporcie większej liczby książek. W dawnych czasach przetransportowanie większej liczby ciężkich foliałów z jednej części labiryntu do drugiej było przedsięwzięciem uciążliwym i do tego niebezpiecznym. Wszędzie czaiły się dzikie zwierzęta, olbrzymie insekty i piraci książkowi, wszędzie ziały otworem przepaści, istniały zawałone sztolnie i obszary zalane wodą. Transport książek, szczególnie gdy były one cenne, wiązał się z olbrzymim ryzykiem. *Rdzawe Gnomy*, jak informował Deszczblask, miały śnieżnobiałą skórę i rdzawoczerwone włosy i brody, a źrenice ich oczu były szkarłatne. Na labiryntach znały się jak żadna inna rasa przed nimi, natchnione duchem naukowych poszukiwań nieustraszenie zbadały je aż do ostatnich zakamarków i stworzyły kompleksowy system map. Poza tym dysponowały nadzwyczajnymi zdolnościami rzemieślniczymi i wielką pomysłowością w wynajdywaniu mechanicznych urządzeń. Wydobywały rudę i produkowały metal, skanalizowały podziemne rzeki, strumienie magmy skierowały

do sztucznych koryt, wykorzystując je w systemach ogrzewania. Olbrzymie groty połączyły szybami, wszędzie w katakumbach montowały żelazne schody i drabiny, a dzięki wyrafinowanemu i pomysłowemu systemowi belek podporowych wyraźnie poprawiły stabilność całego labiryntu.

Rdzawe Gnomy hodowały szczególny rodzaj rdzy i krzyżowały ją ze świecącymi algami oraz z pleśnią, w wyniku czego powstało coś, czego nie dało się jednoznacznie zaliczyć ani do królestwa minerałów, ani roślin. Dzięki tej subtelnie połyskującej substancji, która cały czas się rozmnażała, oświetlały one dalekie części swego królestwa, aż w końcu pokryły nią także swoją Drogę Ksiąg. Inni mieszkańcy katakumb zwali tę zmutowaną rdzę migoczącą pleśnią.

Ponadto pozostawiły one ogromne biblioteki składające się głównie z książek zajmujących się wyłącznie mechanicznymi, chemicznymi i fizycznymi zagadnieniami, co można było stwierdzić na podstawie zawartych w nich rysunków tajemniczych aparatów, maszyn i narzędzi. Do dziś nie można przeczytać tych książek, ponieważ pismo *Rdzawych Gnomów* nie zostało do tej pory odszyfrowane. Podobno porozumiewały się one z innymi rasami tylko dzięki gestykulacji, aby zachować w tajemnicy swój prawdziwy język, a co za tym idzie, swoje wynalazki.

Istnieje wiele trudnych do wykorzenia legend o tych krasnoludach, na przykład taka, że w środku ziemi zainstalowały one koło zamachowe utrzymujące naszą planetę w ruchu obrotowym albo że dysponowały zębami z diamentów, dzięki którym mogły żuć żelazo.

Jedna rzecz została jednak jednoznacznie dowiedziona: Wybudowały Drogę Ksiąg, której antyczne pozostałości znajdowały się jeszcze w wielu miejscach w katakumbach, Deszczblask sam widział niektóre z nich. Droga była największym dziełem *Rdzawych Gnomów*, według założeń pierwotnego planu miała ona połączyć kiedyś cały labirynt. To monstualne techniczne przedsięwzięcie nie zostało jednak doprowadzone do końca, ponieważ *Rdzawe Gnomy* zabrała zagadkowa zaraza, która podobno miała właśnie związek z brakami żelaza. Ich migocząca pleśń przetrwała jednak stulecia.

Maszyna Książkowa w *Skórzanej Grocie* była więc niczym innym jak stacją rozrządową dla *Rdzawych Gnomów*. Ale szczerze mówiąc, moi drodzy, czytający te słowa przyjaciele, w mojej aktualnej sytuacji było mi to teraz wszystko serdecznie obojętne. O wiele bardziej interesowało mnie, dokąd właściwie zaprowadzi mnie ta szaleńcza gonitwa i czy zdołam przetrwać ją żywy. Przez chwilę myślałem, że ta pełna przygód jazda zaraz się skończy, ponieważ droga była coraz mniej spadzista, aż przeszła w poziomą, prowadząc potem nawet odrobinę w górę.

Wykorzystałem spowolnioną jazdę, by przekroczyć się na brzuch. Była to w końcu wygodniejsza pozycja, teraz przynajmniej widziałem, dokąd prowadzi droga. A biegła ona najpierw ku górze, coraz bardziej stromo, aż osiągnęła pułap – a potem po silnej pochyłości w zawrotnym tempie znów na dół.

Moja peleryna furkotała jak chorągiew na wietrze. Poda mną zielono świecące podkłady znikwały jeden za drugim, podczas gdy koła zgrzytały na szynach, syjąc długimi snopami białych iskier. Znów za zakrętem szła w dół, a potem wysoko, wysoko do góry. Przygotowałem się na kolejny dziki upadek, ale jechałem dalej w spokojniejszym tempie, wprawdzie w dół, ale nie po tak silnej pochyłości jak poprzednio, a potem znów wpadłem w długi ostry wiraż. Nie pozwalałem sobie na zastanawianie się, jakie otchłanie ziały pod tymi dwoma cienkimi pasmami ze świecącego metalu, po których się toczyłem. Pomost kolejki był widoczny tylko częściowo, może na dziesięć, dwadzieścia metrów, potem jego zielony blask połykała ciemność, nie wiedziałem więc, czy w dół prowadzi dziesięć czy paręset metrów.

W końcu pojazd trafił na długi prosty odcinek, a jazda stała się spokojniejsza i bardziej równomierna, czułem, że mogę połuźnić teraz nieco uchwyt i trochę odpocząć.

Jedno było pewne: Nie podązał za mną żaden łowca książek. Znajdowałem się w prastarym systemie transportowym, którego ścieżki i cel znali jedynie członkowie wymarłej rasy krasnoludów, a powierzył mu mnie jeden buchling.

W akompaniamencie tych uspokajających myśli trafiłem w końcu do jeszcze większych pieczar, w których znajdowały się także inne szyny Książkowej Kolei sterczące w ciemnościach tu i tam, jak przyczółki i przystanie we mgle. Były one także pokryte migoczącą pleśnią, lecz nie świeciła ona tutaj wyłącznie na zielono, ale też na różowo, niebiesko i pomarańczowo. Widziałem ciągnące się długo wirażę, odcinki górzyste i dolinne, niektóre znajdowały się obok moich torów, inne nad, a niektóre pod mną. Widok tych złożonych konstrukcji, unoszących się w ciemnościach jak upiorne budowle, napęłniał zadziwieniem i przytłaczał równocześnie. Mój pojazd poruszał się już teraz w ślimaczym tempie, tocząc się powoli przez tę dziwną scenę.

Jechałem wzdłuż odcinka pokrytego żarzącą się błękitnie rdzą i podziwiałem idealnie proste szyny na ich cienkich podporach, połączonych ze sobą podobną do pajęczej sieci plecionką z drutów, aż do miejsca, gdzie szyny nagle się urywały, sieć była zerwana, a słupy obalone. Niecałe dwadzieścia metrów dalej szyny kontynuowały swój bieg, ale pomiędzy nimi ziała czarna dziura.

Kolejka *Rdzawych Gnomów* była ruiną, ale tłumiliem w sobie myśl o tym. Konstrukcja, po której sunęły moje sanki, miała setki lat i wieczność całą nie była już

konserwowana. Musiałem liczyć się z tym, że i na moim odcinku znajdowała się gdzieś jakaś dziura i ukaże się nagle, ziejąc otchłanią.

Mój jeżdżący regał książkowy zdawał mi się teraz latającym dywanem, który w każdej chwili może stracić swą czarodziejską moc.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem zejść i iść dalej pieszo. Było to zupełnie możliwe, biorąc pod uwagę, jak wolno poruszał się teraz pojazd. Ale odstępy między podkładami wynosiły ponad metr, wystarczyłby jeden fałszywy krok – nie, lepiej nawet o tym nie myśleć. Nie pozostawało mi nic innego, jak zachować ufność i mieć nadzieję, że poruszam się po szczególnie dobrze zachowanym odcinku Książkowej Kolei i że dotrę wkrótce do celu.

Niestety to, co widziałem, przyczyniało się w niewielkim stopniu do zachowania mojego optymizmu. Cały czas przejeżdżałem koło załamanych części kolei, zerwanych szyn i połamanych filarów. Czas, a być może i żywa rdza nadgryzły szkielet Książkowej Kolei. Za parę setek lat nie będzie tu istniało prawdopodobnie nic, prócz gigantycznych kolonii migoczącej pleśni, świecącego morza wszystkich możliwych kolorów na dnie groty.

Jechałem więc dalej, rzucając cały czas do przodu strwożone spojrzenia. W oddali nie widziałem niczego w ciemnym świetle, właściwie cały czas miałem wrażenie, jakby w pewnej odległości tory załamywały się, ale potem kolejka biegła mimo wszystko dalej.

I wtedy nagle pojawiła się góra. Nie, góra to przesada. Głaz skalny, monolit, szary i stożkowaty, wysoki na dwa, trzy metry, wprost na środku szyn. I oddalony tylko o parę rzutów kamieniem. Skąd się tam znalazł?

Może to ułamany stalaktyt. Ale dlaczego nie zniszczył tych cienkich szyn swą potężną masą?

Szacowałem szybkość. Regał toczył się teraz powoli, tak, że wpadnie pewnie tylko lekko na ten głaz i zatrzyma się. Nie istniała więc potrzeba wcześniejszego zeskakiwania. O problemach, jakie sprawi zrzucenie tego monolitu z torów, nie odważyłem się na razie myśleć. Dla pewności trzymałem się mocno, żeby nie zlecieć jednak w czasie zderzenia. Od przeszkody dzieliło mnie jeszcze tylko parę metrów.

Nagle się poruszyła.

I zmarszczyła.

Rozciągnęła się, przeciągnęła i przekształciła.

Wydała z siebie dziwny odgłos.

Aż w końcu, tylko parę centymetrów przed zderzeniem, rzuciła się z szyn w głąbiny.

Regał potoczył się dalej, a ja gapilem się, zbaraniały, w ślad za nią. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Przetarłem oczy, patrzyłem z wytężeniem na dół, oddalając się coraz dalej od miejsca tego dziwnego incydentu.

Nagle usłyszałem znów ten miażdżący ton. Nieprzyjemny dźwięk z głębin! Niosący za sobą trzepot i szum, jakby lecącego stada gołębi. I wtedy „rzecz” wzniosła się w ciemnościach, wyłaniając się z czarnego morza. Przekształciła się w podobną do ptaka kreaturę i, rozkładając dwa olbrzymie skrzydła mocnymi ich uderzeniami, wzleciała w górę.

Jej głowa była długa, wrzecionowata, z przypominającym szczypcę dziobem i z szarą skórą. Uszy miała nieprzeciętnie wielkie i odstające, ale najbardziej rzucało się w oczy to, że nie miała oczu, a jedynie dwie, ciemne głębokie dziury, nadające jej głowie wygląd czaszki. Do tego ostre pazury u stóp i na końcu skrzydeł. To nie był żaden ptak ani nietoperz, było to bardzo szczególne stworzenie istniejące wyłącznie w katakumbach Księgogradu. I znałem nawet jego imię. To był Harpir!



85

ŚPIEW HARPIRA

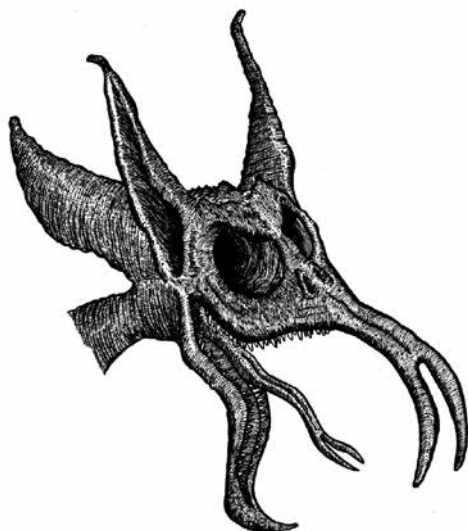
Kolofonus Deszczblask napisał, że istnieje tylko jeden gatunek istot, które mogą wyrządzić większą krzywdę niż zabicie. Są nimi Harpiry zdolne do doprowadzenia ofiary swym wrzaskiem do szaleństwa.

Ta istniejąca jedynie w katakumbach Księgogrodu istota łącząca w sobie harpię i wampira potrafi wydać z siebie dźwięk o takiej częstotliwości, że każdy wystawiony przez jakiś czas na jej przerażający śpiew tracił rozum. Śpiew rozstrajał rytm fal mózgowych. Dopiero gdy ofiara znajdowała się w stanie absolutnej bezradności, Harpiry napadały na nią i wypijały jej krew.

To, co rzuciło się z torów, było jedną z tych legendarnych kreatur. Obudziłem ją ze snu, a teraz najwidoczniej chciała mi za to podziękować. Jak większość pozbawionych oczu istot, Harpir orientuje się zazwyczaj za pomocą słuchu. Wzbijając się w górę szumiącymi uderzeniami skrzydeł, zwierzę gwałtownie wykręcało głowę w różnych kierunkach, poruszając przy tym uszami – tak długo, aż nagle z trzaskiem zaskoczyło i skierowało prosto na mnie czubek swego dzioba. Harpir usłyszał delikatne stukotanie regału, a może nawet bicie mojego serca. Następnie wydał z siebie jeden z przytłaczających dźwięków.

Dałbym wszystko za to, by mój pojazd nabrał znowu rozpędu, ale on toczył się tak dobrodusznie jak przedtem. Czekałem, aż Harpir spadnie na mnie, ale z niewiadomych powodów pozostał w miejscu, bijąc skrzydłami i wydając z siebie dalsze miazdzące odgłosy. Dźwięki te były wprawdzie przenikliwe i dalekie od przyjemnych, ale nie miałem wrażenia, że mogą doprowadzić mnie do szaleństwa. Najwidoczniej służyły Harpirowi do orientacji. Ze wszystkich stron jaskini powracały echa i wypełniły pomieszczenie falami dźwięków, których potrzebował do nawigacji. Zdumiewające było jednak to, że echa powracające od ścian pieczary nie stawały się coraz słabsze, tylko głośniejsze. Czyż nie było to całkowicie niemożliwe?

Nie miałem zbyt wiele czasu, by nad tym rozmyślać, ponieważ chwilę później zagadka rozwiązała się sama. Nie były to bowiem żadne echa, tylko głosy innych Harpirów wyłaniających się z trzepotem z ciemności: jeden, dwa, cztery, siedem – w końcu cały tuzin nadlatujący ze wszystkich stron. Harpir wołał piskiem swoich pobratymców. Nie polował sam, tylko w stadzie. Dlaczego nie było tego w książce Deszczblaska?



Potwory zebrały się nad koleją, fruwały między sobą i popiskiwały na siebie wzajemnie, podczas gdy ja w ślimaczym tempie toczyłem się pod nimi na mojej taczce. Potem dwanaście Harpirów z trzaskiem wykręcało głowami wte i wewte, aż w końcu wszystkie skierowały na mnie dzioby. Zgodziły się w kwestii wspólnego kierunku lotu. Postawiły uszy i wydały z siebie zbiorowy pisk. Łowy zostały rozpoczęte. Teraz wszystkie, uderzając mocno skrzydłami, leciały w moim kierunku.

W tym momencie mój pojazd wypadł z szyn. W każdym razie była to moja pierwsza myśl, ponieważ ruch rozpoczął się tak zaskakująco i szybko, iż pomyślałem, że tory naprawdę nagle się skończyły. Lecz kolej prowadziła teraz stromo w dół, aby nadać pojazdowi nowego rozpędu – *Rdzawe Gnomy* obliczyły fizyczną dynamikę najwidoczniej perfekcyjnie.

Mogłem mówić o szczęściu, że nie spadłem z regału, ponieważ w tym momencie w ogóle niczego się nie trzymałem, byłem całkowicie zahipnotyzowany widokiem nadlatujących Harpirów. Stąd też toczyłem się, leżąc na wznak, zdołałem jednak jeszcze mocno się złapać, zanim kolej zaczęła sunąć pod górę. Nareszcie znów sypały się iskry!

Harpiry zarejestrowały dźwięki turkoczających kół i rzuciły się za mną z wrzaskiem. Sypiący iskrami regał na upiornie świecącej zielonej kolejce, spadający w dół jak meteor w głęboką czarną noc, na nim zrezygnowany mieszkaniac Twierdzy Smoków

w łopoczącej purpurowej pelerynie, prześladowany przez tuzin ślepych i piszczących z żądz mordy Harpirów – właściwie to szkoda, że nie było tu żadnych widzów, którzy mogliby podziwiać jak należy to jedyne w swoim rodzaju widowisko.

Wrzask Harpirów przybierał coraz to nowe barwy. Miażdżące tony uległy mieszance zgrzytania i krakania, ale także teraz nie miałem wrażenia, że zaszkodzi to mojemu rozumowi. Jazda stała się jeszcze dziksza i szybsza niż wcześniej. Jak strzała pędziłem ostrymi zakrętami to w lewo, to w prawo, w dół i w górę, ześlizgiwałem się i przetaczałem po regale w tę i w tamtą stronę, ale zaciekle mocno trzymałem się pazurami.

I tak znaleźliśmy się w prawdziwie gigantycznej pieczarze. Mógł być to dworzec centralny *Rdzawych Gnomów*, ponieważ w pomieszczeniu tym rozciągały się niesamowite ilości torów. Wiele z nich było zniszczonych, ze strzaskanymi szynami, podkładami i poprzewracanymi na siebie filarami. Tu i tam wyrastały z ciemności olbrzymie stalaktyty, ale zbliżając się do nich rozpoznałem, że tak naprawdę są to spiętrzone wysoko regały, wszystkie wypełnione książkami i pokryte grubym kurzem – ruiny pradawnego porządku, dobra spiętrzone na stosach. Monstrualne koła zębate pokryte pomarańczową rdzą sterczały w ciemnościach i zobaczyłem naraz trzy Maszyny Książkowe stojące na żelaznych stelażach, podobne do tej w *Skórzanej Grocie*. Były połączone szynami i żadna z nich nie działała, obwieszona pajęczymi sieciami i pokryte kurzem. Było to nieczynne mechaniczne centrum, z którego wysyłano niegdyś skrzętnie dobra intelektualne: martwy mózg kolei *Rdzawych Gnomów*.

Ale tym, co poruszyło mnie najbardziej, był świat zwierząt zamieszkujących ten dworzec centralny. Czytałem już o nim w książce *Deszczbłaska*, ale byłem wówczas przekonany, że jego opisy były wytworami fantazji, ekstrawaganckim żartem, na który pozwolił sobie kosztem czytelników. Zbyt dziwaczne bowiem, zbyt nieprawdopodobne nawet na rzeczywistość świata katakumb, było to, o czym pisał. Lecz teraz zostałem właśnie wyprowadzony z błędu; wszystko, nawet najbardziej niewiarygodne szczegóły, odpowiadały rzeczywistości.

Jazda przez dworzec *Rdzawych Gnomów* była jak nurkowanie w oceanie składającym się z powietrza, w którym panowały morskie prawa przyrody, z tą różnicą, że nie było tu wody. Wszyscy mieszkańcy tej olbrzymiej groty wyglądali jak morskie stworzenia. Widziałem latające ryby ze skrzydłami ważek świecącymi w ciemnościach. Stadami leciały one w niekończących się pętlach poprzez zniszczone rusztowania Kolei Książkowej, być może polując na krążące tam insekty, a przy każdej zmianie kierunku zmieniały swoje ubarwienie. Były tam białe meduzy wielkie jak balony, które unosiły się

i opadały, a ich przezroczyste ciała drgały pełne wdzięku. W niektórych migotały barwne światła, tańczące niczym kolorowe płatki śniegu. Czarne ośmiornice ze świecącymi na fioletowo przyssawkami przywierały do stelażu kolei i Maszyn Książkowych, wypuszczając ciemne chmury gazu, unoszące się w powietrzu jak atrament w wodzie. Przezroczyste płaszczki o rozpiętości skrzydeł takiej jak u Harpirów i długich ogonach, w których gorączkowo pulsowało światło, z elegancją szybowały dookoła. Bezbarwne morskie pająki balansowały na ruinach Książkowej Kolei, przędąc wokół niej swe nici.

Deszczblask przypuszczał, że ta gigantyczna jaskinia była w zamierzonych czasach wypełniona całkowicie wodą i połączona z Oceanem Camońskim, co by wyjaśniało powstanie tej jedynej w swym rodzaju fauny.

Byłem przekonany, że po dnie groty maszerowały też olbrzymie kraby, a dookoła leżały muszle z perłami wielkimi jak domy. Któregoś dnia ocean powróci tutaj i odzyska to miejsce, odnajdzie tu wszystkie twory gotowe do przekształcenia się z powrotem w morskie stworzenia, którymi byli kiedyś ich przodkowie.

Lecz, moi najdrożsi przyjaciele, z powodu tych niesłychanych osobliwości niemal bym zapomniał, w jakim niebezpieczeństwie się znajdowałem!

Harpiry leciały z gracją pomiędzy świecącymi ruinami i wszystkimi unoszącymi się tu stworzeniami, piszcząc dalej nieustannie. Jednak za każdym razem, gdy podlatywały do mnie niemal na wyciągnięcie ramienia i już chciwie siekały powietrze swymi ostrymi dziobami, kolej wykonywała śmiały szus lub brała ryzykowny zakręt, tak jakby *Rdzawe Gnomy* skonstruowały ją przed setkami lat tylko na to polowanie.

Ogarnęło mnie upojenie szybkością. Wypełniło mnie wzniosłe uczucie władzy, czułem się niezwykczony i nieosiągalny dla Harpirów. Może było to rozpoczynające się szaleństwo? Nie, pisk tych bestii nadal nie mógł mi zaszkodzić. W obliczu potwornego niebezpieczeństwa opanowała mnie zupełna niefrasobliwość, środek bezpieczeństwa rozumu, który nie chce poddać się paraliżującemu strachowi. Nie myślałem w ogóle o ryzyku, o możliwych dziurach na szynach i o całkowicie niepewnym końcu tego polowania. Liczyła się tylko ta chwila, małe zwycięstwa nad moimi prześladowcami, raptowne zakręty i upadki, które wybijały je z konceptu i pobudzały coraz bardziej ich wściekłość. Byłem zajęciem kluczącym w czasie ucieczki przed psami, jerzykiem uciekającym orłom.

I wtedy Harpiry *naprawdę* zaczęły krzyczeć. Był to nowy, trzeci rodzaj dźwięków, które z siebie wydały, i dopiero teraz pojąłem, że nie usłyszałem jeszcze ich prawdziwego śpiewu. Wcześniejsze popiskiwanie i wrzaski były tylko uwerturą, zwykłą próbą głosu dla szaleńczego chorału, który miał nastąpić później. W momencie, gdy w ogóle się już

tego nie spodziewałem, Harpiry rozpoczęły swój śpiew.

Był to i trel i szept, opadający i unoszący się wysoko do przeraźliwego dyszkanu, by opaść znów głęboko do groźnego prychania, dokładnie idealna oprawa muzyczna do szaleńczego pędu, jakiego nabrała teraz Kolej Książkowa. Wzniesienia i urwiska, góry i doliny, zakręty w lewo i w prawo następowały po sobie niemal co sekundę, lecz Harpiry siedziały mi niemal na karku, uparte jak ogary podążające za każdym ruchem swej ofiary. Te dźwięki doprowadzały moje oczy do wrzenia, prażyły mi język. Czułem, jak zwoje mojego mózgu wykręcają się i kurczą, jak jego soki kipią, by go zatruc. Ogarniało mnie coraz trudniejsze do odparcia pragnienie, żeby zakończyć to jednym ruchem, rzucając się w głębie, nim Harpiry ostatecznie zatriumfują. Tylko jeden skok i byłoby po wszystkim. Jeden skok. A potem nieskończony spokój.

– Juhu! – powiedział we mnie jakiś głos.

Naturalnie, tak zazwyczaj zaczyna się szaleństwo. Czyż nie, moi drodzy przyjaciele? Słyszy się jeden albo więcej głosów, ale żeby mówiły na powitanie coś tak banalnego jak „juhu! ”? Uważałem to jednak za obraźliwe.

– Juhu! – powiedział jeszcze raz głos. Wydawał mi się skądś znajomy.

– Halo? – odpowiedziałem w myślach.

– Halo mój chłopcze! Jak leci?

– Kim jesteś?

– **Jestem szafą pełną brudnych okularów** – odpowiedział głos.

– Dancelot?

– A znasz jeszcze jakąś inną szafę pełną brudnych okularów?

Czyż słyszenie głosów ukochanych zmarłych nie jest rozpowszechnione wśród wariatów?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że stan obłąkania, w jaki właśnie popadasz, nie jest mi obcy. Kiedyś w czasie oblężenia Twierdzy Smoków dostałem wielkim kamieniem w łeb i od tamtego czasu...

– Wiem, Dancelocie.

Wszystko jasne, zwariowałem. Moje życie było w niebezpieczeństwie, a ja zacząłem gawędzić sobie z głosem.

– Tak, przez jakiś czas byłem obłąkany, mój chłopcze. Patentowany wariat. Byłem wtedy naprawdę przekonany, że jestem...

– Szafą pełną brudnych okularów, wiem Dancelocie. Słuchaj, znajduję się w rozpędzonej kolejce strachów, prześladowuje mnie stado wygłodniałych Harpirów, które chcą wysać ze mnie krew, i właśnie tracę rozum. Mógłbyś mi krótko i precyzyjnie

powiedzieć, czego akurat w tym momencie ode mnie chcesz?

– Myślałem, że się ucieszysz, gdy mnie usłyszysz – głos Dancelota był smutny i obrażony równocześnie.

– Cieszę się, cóż, na tyle, na ile pozwalają mi okoliczności. Jestem tylko właśnie trochę... spięty, Dancelocie.

– Rozumiem. Chcę dać ci tylko małą radę i znikam.

– Radę?

– Wiesz przecież, że wróciłem wtedy do zdrowia. Zadawałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak się stało?

Szczerze mówiąc, nigdy o tym nie myślałem.

– Było to tak: Któregoś dnia usłyszałem głos mojego dziadka, Hilarusa Tokarza Sylab, który także był znany ze swoich urojeń. Choroby umysłowe mają bowiem baaaaardzo długą tradycję w naszej rodzinie.

– Dancelot! Czy mógłbyś przejść do rzeczy!

– No cóż, Hilarus polecił mi, żebym udał się na najwyższy szczyt Twierdzy Smoków. I abym zaczął tam krzyczeć tak głośno, jak potrafię.

– Krzyczeć?

– Dokładnie. Zrobiłem to. Wspiąłem się na górę i krzyczałem. I razem z tym krzykiem uleciało ze mnie szaleństwo i zniknęło w przestworzach jak wypędzony demon. Szczerze! Ten krzyk zmienił moje życie co najmniej w takim stopniu, jak ten rękopis, który tobie...

– Co chcesz przez to powiedzieć Dancelocie? Mam krzyczeć? Teraz?

Żadnej odpowiedzi.

– Dancelot?

Głos zniknął.

Cóż, istniały dokładnie trzy możliwości wyjaśnienia tego incydentu, moi drodzy przyjaciele. Pierwsza i najbardziej nieprawdopodobna brzmiała: Ten głos należał naprawdę do mojego zmarłego ojca poetyckiego. Druga i nieco bardziej prawdopodobna: Była to manifestacja szaleństwa, wywołanego we mnie trelem Harpirów. Trzecia: Ujawnił się po prostu strach, który chciałem z siebie wyrzucić, a mój własny rozum pożyczyl sobie głos Dancelota, żeby mnie o tym przekonać. Być może chodziło o mieszankę wszystkich tych możliwości, nigdy się pewnie tego nie dowiem. Wiedziałem jedno – podążę za radą Dancelota, nieważne, czy był to głos z zaświatów, głos szaleństwa czy rozsądku. Zacząłem więc krzyczeć.



KRZYK I WESTCHNIENIE

Gdyby istniało coś takiego jak *Złota Lista* osiągnięć akustycznych, to krzyk, który wydałem z siebie na kolei *Rdzawych Gnomów* musiałby otwierać tę listę.

Wyobraźcie sobie po prostu, moi drodzy przyjaciele, wszystkie dźwięki tego świata, które łączycie z największym zagrożeniem. Grzmienie wulkanu tuż przed wybuchem. Warczenie wilkołaka krótko przed atakiem. Gruchotanie ziemi przed wielkim trzęsieniem. Toczenie się nadciągającej olbrzymiej fali. Trzask płonącego stepu. Ryk nadciągającego huraganu. Grzmoty burzy na Mrocznej Górze. Będziecie wtedy mieli przynajmniej podstawowe składniki mojego krzyku krzyków.

Dodajcie do tego żalobę po stracie mego ojca poetyckiego, zwątpienie wobec mojego stale pogarszającego się losu i złośliwe moce rozwijającego się we mnie szaleństwa! Wymieszajcie to z pierwotnymi siłami drzemiącymi nadal w mojej dzikiej, dinozaurzej krwi. I teraz wyobraźcie sobie ryk, jaki wydobył się z mego gardła! Ale ostrożnie! Koniecznie zasłońcie sobie wcześniej uszy, bo nawet przez zwykłe wyobrażenie tego dźwięku mogą wam pęknąć gałki oczne i bębniaki w uszach!

Wyrzuciłem go z siebie, krzyk, który bez trudu przebił trele Harpirów i wypełnił całą tę olbrzymią jaskinię ogłuszającym hałasem. Latające ryby uciekały stadami, zmieniając gorączkowo kolory. Potężna meduza, pompując w panice, wzbiła się i schowała w Maszynie Książkowej, morskie pająki pospadały z ruin Kolei Książkowej.

Wiedziałem, że twierdzosmoczanie dysponują solidnymi strunami głosowymi, ale nie wyobrażałem sobie, że mam tyle sił w płucach. Jestem przekonany, że wszyscy w katakumbach słyszeli ten krzyk, że dotarł on do najdalszych zakamarków labiryntu, wpadł w ucho każdego łowcy książek, aż na powierzchnię Księgogradu, i że może na zawsze błędzić będzie w *Komnacie Uwięzionych Ech*. Ból i strach opadły ze mnie i przez jedną przepięknie długą chwilę nie obawiałem się niczego, ani Harpirów, ani szaleństwa. W czasie, gdy nadal jeszcze ryczałem, rzuciłem okiem do przodu i zobaczyłem, że w niewielkiej odległości kolej dobiegała końca. Szyny kończyły się po prostu w powietrzu.

I tak oto pojawił się on, koniec torów. I prawdopodobnie także i mój. Lecz, moi najdrożsi przyjaciele, w tej chwili nie obawiałem się niczego, nawet śmierci. Pozwoliłem zamrzeć mojemu krzykowi i przygotowałem się na zderzenie, na upadek w ciemność i roztrzaskanie na dnie pieczary. Dworzec *Rdzawych Gnomów* był imponującym miejscem na śmierć, monumentalny pomnik niedorzeczności wszystkich wysiłków w sercu katakumb. Tu, pomiędzy wszystkimi tymi szkieletami, będzie białą także i mój. Śmierć nie mogła wybrać lepszego momentu, by mnie zabrać, i lepszego miejsca, by

mnie pochować.

I wtedy nastąpiła niespodzianka. Nie, zbyt skromnie powiedziane – było to parę niespodzianek naraz. Dokładnie mówiąc, w sumie sześć.

Niespodzianka numer jeden: Gdy dotarłem do końca torów, dostrzegłem, że prowadziły one jeszcze dalej. Nie polecałem w nicość, tylko jechałem w dół. Żadnego runięcia, żadnego upadku, pod kołami nadal były szyny i tryskające za mną iskry.

Niespodzianka numer dwa: Usłyszałem wiele chlupoczących odgłosów, mniej więcej tuzin, i brzmiały one jak odgłos uderzenia dużej masy mięsa o kamień.

Niespodzianka numer trzy: Śpiew Harpirów nagle ucichł.

Niespodzianka numer cztery: Mój mózg się rozsypał.

Niespodzianka numer pięć: Dźwięk wokół mnie w jednym momencie nabrał zupełnie nowej jakości. Wszystko brzmiało głucho i tępo, bez głębi, bez echa.

Niespodzianka numer sześć: Cały dworzec, zwierzęta, ruiny i Harpiry nagle zniknęły.

Trwało to parę przerażających chwil, nim zrozumiałem, co się stało. Kolej Książkowa prowadziła po prostu dalej wąskim tunelem.

Mój piekielny wrzask zakłócił system nawigacyjny Harpirów do tego stopnia, że zerwał akustyczną sieć ich koordynat, przez co nie mogły zauważyć masywnej ściany i tłukąc mocno skrzydłami, wleciały na nią z pełną szybkością. Mogłem słusznie przypuszczać, że żaden z nich tego nie przeżył.

Gdyby droga nie biegła tak szaleńczo w dół, mógłbym się może trochę rozluźnić. Bądź co bądź uciekłem Harpirom i szaleństwu i nie spadłem z torów – potrójne zwycięstwo.

Ciasność wzmagająca ogromnie odczuwanie szybkości, tu w tunelu koła turkotały i zgrzytały głośniejsze, a iskry tłukły o ściany jak meteory. I wtedy przeszył mnie lodowaty strach, ponieważ coś zacisnęło się nagle na mojej kostce mocno jak imadło.

Po raz pierwszy, odkąd wjechałem do tunelu, obejrzałem się do tyłu. Za mną, w świetle sypiących się iskieł, siedział na regale pochylony Harpir. Nie mógłbym przysiąc, czy był to ten, którego wyrwałem ze snu, ale dziwnym trafem w tym momencie właśnie ta myśl przeleciała mi przez głowę. Przy czym było to całkowicie obojętne, który z tych dwunastu potworów zdołał w odpowiednim momencie złapać się regału i dał się porwać w głąb tunelu. Bestia otworzyła dziób i fukała na mnie.

Odfuknąłem mu, zdumiewająco nieporuszony nowym zagrożeniem. Jeśli Harpir chciał walki, akurat tu i teraz, no cóż, to będzie ją miał.

Harpir puścił moją stopę, najwidoczniej nie był przyzwyczajony do oporu. Mógł

może mieć mózg wielkości groszku, ale instynkt podpowiadał mu, że był to wysoce nieostrożny moment na walkę. Obaj byliśmy wystarczająco pochłonięci troską o to, żeby nie spaść z regału.

Przestrzeń rozszerzyła się niespodziewanie. Opuściliśmy tunel i wjechaliśmy w wydłużoną jaskinię, której dno w sporej części było pokryte kałużami. Świecąca na zielono woda skapywała ze sklepienia i czuć było gnijącą roślinność.

Także ślepy Harpir zauważył zmiany w przestrzeni. Wykręcał gwałtownie głowę to tu, to tam i strzygł uszami we wszystkich kierunkach. W końcu wydał z siebie jeden z piszczących dźwięków. Wołał inne Harpiry? Ale nie, tym razem było to na szczęście tylko echo powracające od ścian jaskini, ponieważ coraz bardziej słabło, aż przebrzmiało.

Droga biegła dalej prosto jak po sznurku z ledwo odczuwalnymi spadkami, tempo stawało się coraz wolniejsze. Harpir uniósł swe ciało na całą wysokość, wydając z siebie dalsze piszczące okrzyki, rozwinął jedno ze swych skórzastych skrzydeł i szukał mnie po omacku pazurami.

Cofnąłem się na tyle, na ile było to możliwe na regale, i spojrzałem na dół, by oszacować, jak jest głęboko. Wystarczająco! Zobaczyłem poza tym, że szkielet kolejki znajdował się tu w o wiele nędzniejszym stanie. Wiele filarów i łączących je belek było odłamanych bądź skrzywionych, szyny wspierały się, można by powiedzieć, o kulach. Byłem zmuszony obserwować, jak niektóre z podkładów odpadały i toczyły się na dół, gdy tylko po nich przejechaliśmy. Wszędzie rozbrzmiewało stękanie i zgrzytanie metalu, śruby i sworznie odpadały od szyn, a migocząca rdza osuwała się delikatnymi welonami na dół.

Nagle Harpir przeszedł do ataku, a uczynił to w sposób, który nigdy by mi się nawet nie przyśnił. Oczekiwałem, że zaatakuje mnie dziobem lub pazurami, że będzie próbował wydziobać mi dziurę w głowie, albo zmiecie mnie skrzydłami z regału. Lecz nie, zaatakował mnie językiem!

Wysunął go z gardła i ledwie byłem w stanie uwierzyć, że może być taki długi. Wytrysnął z gardzieli na dwa, trzy metry, otoczył moje ciało w eliptycznych kręgach i zawiął się wokół mego gardła. Następnie Harpir podciągnął go kawałek jednym siorbnięciem i zablokował mi dopływ powietrza.

W tym momencie nasze cztery kółka ponownie się przechyliły i potoczyły w dół. Harpir złapał się mocno, trzymając mnie przy tym za gardło. Końcówki jego języka pojawiły się w moim polu widzenia i zobaczyłem, że były zakończone dwoma delikatnymi i cienkimi zębami.

Nasza droga prowadziła po chwili znowu w górę. Nie mogłem już oddychać, trzepotałem powiekami, a zęby Harpira zbliżyły się do mojego gardła. Nagle zrobiło się cicho, nie było słychać żadnego turkotu kół, żadnych snopów iskier, żadnego metalicznego zgrzytu i pisku, pozostał jedynie delikatny szelest pędu powietrza.

Wiedziałem, że stało się coś ważnego, a Harpir zdawał się również to odczuwać, ponieważ jego uścisk osłabł. Potem błyskawicznie wciągnął z powrotem język. Złapałem się za gardło i dyszałem, łapiąc powietrze, i nagle pojąłem przyczyny tej ciszy. Za Harpirem zobaczyłem bowiem oddalającą się od nas Kolej Książkową. Było to naturalnie złudzeniem optycznym, bo to nie kolej oddalała się od nas, tylko my od niej. Szyny były zerwane w połowie odcinka biegnącego pod górę, a my wystrzeliliśmy razem z regałem w pustkę.

Szybko osiągnęliśmy zenit naszego lotu. Harpir, regał i ja unosiliśmy się chwilę w absolutnej nieważkości. A potem wydarzyło się wiele rzeczy naraz.

Najpierw oddzielił się od nas regał. Poleciał własną drogą, a ta prowadziła go długo w dół do dna groty, by roztrzaskać go o skały.

Harpir rozwinął swoje mocarne skrzydła i zaczął nimi uderzać.

A ja? Co ja zrobiłem? Cóż, wprawdzie też miałem skrzydła, ale ta marna pozostałość po moich przodkach była może wystarczająca do tego, by zrobić wrażenie na Przeraznicy, ale do latania się nie nadawała. Musiałem więc złapać się Harpira i dokładnie tak zrobiłem. Złapałem go obiema rękami za kostki i mocno trzymałem. Harpir, zaskoczony, wydal z siebie pisk i tłukł mocno skrzydłami, by utrzymać się w powietrzu. Na całe szczęście prawa anatomii nie pozwoliły mu na posiekanie mnie dziobem.

Usłyszałem huk, z jakim regał rozłupał się głęboko na dole na skałach. Harpir zdawał się rozumieć, że najszybciej pozbędzie się swojego uciążliwego pasażera, jeśli go gdzieś wysadzi, ponieważ zaczął lecieć w dół. Im bardziej zbliżaliśmy się do podłoża, tym bardziej rosła we mnie nadzieja, że mimo wszystko zakończę żywy tę przymusową podróż prawdopodobnie najdziwniejszymi środkami lokomocji, jakich kiedykolwiek używał jakikolwiek podróżny.

Monstrum opadło jednak, żeby zmiażdżyć mnie o sterczące na dole stalagmity. Gdy dolatywał do wierzchołka wysokiej jak dzwonnica skały naciekowej, zdołałem uniknąć jeszcze zderzenia, podciągając nogi. Ale już parę chwil później moje ciało huknęło o następną skałę. Zderzenie było tak silne, że jej wierzchołek odłamał się i zleciał na dół. Lecz ja nie czułem żadnego bólu, trzymając się nadal żelaznym chwytem. W końcu Harpir zaczął okazywać oznaki zmęczenia. Ta walka nadwerżyła jego siły również

mocno jak moje i może zaczynał powoli rozumieć, że trzymałem się życia z uporem nieustępującym jego zaciekłości. Uderzenia jego skrzydeł stawały się coraz wolniejsze i słabsze, a kiedy od podłoża dzieliło mnie tylko parę metrów, zebrałem się na odwagę i puściłem się.

Zderzenia z ziemią też prawie nie poczułem, mimo że było potężne i parę razy przekoziółkowałem, ból miał nadejść dopiero później. Pozbierałem się szybko i spojrziałem w górę. Harpir zawisł w powietrzu jedynie parę metrów ode mnie. Trzepotał skrzydłami i piszczał, by określić, gdzie stałem. Najwyraźniej rozważał w swym groszkowym rozumku kwestię, czy powinien po prostu odlecieć, czy zaatakować mnie na nowo.

Zdecydował się na to ostatnie, opuścił się i wylądował na kamiennym podłożu niedaleko mnie. Rozwarł przeraźliwy pysk i znów wyciągnął swój długi uzębiony język. Schyliłem się i chwyciłem kamień, który chciałem rzucić mu w czaszkę, ale dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo osłabłem po tych wszystkich wysiłkach. Udało mi się wprawdzie uchwycić kamień, ale podniesienie go i rzucenie przekraczało już moje siły. Wyślizgnął mi się z ręki i pacnął o ziemię.

Język Harpira biczował powietrze, podczas gdy on okrążał mnie z rozstawionymi skrzydłami i mocno wysuniętymi pazurami. Położyłem obie dłonie na gardle, to było wszystko, na co wpadłem, by się bronić. Wszystkie swoje siły zużyłem na walkę w przestworzach.

Wtedy przez pieczarę przeszedł dźwięk, jak nieziemskie westchnienie wydobywające się z kominka w burzliwą noc. Harpir wzdrygnął się na ten dźwięk jak uderzony biczem. Wciągnął z powrotem język, schował pazury, dziób i skrzydła, jakby chciał ukryć swe śmiertcionośne bronie przed kimś, z kim miał już przykre doświadczenia.

Zastygł na parę chwil w tej poddańczej pozycji, potem fuknął na mnie ordynarnie ostatni raz, wydarł się przesywajaco, rozpostarł skrzydła, podniósł się w przestworza i znikł w ciemnościach z wrzaskiem, w którym usłyszałem chyba strach i wściekłość, ale i ulgę.

Lecz ja też wiedziałem, kto był sprawcą tego przerażającego szmeru, ponieważ już raz go słyszałem, w domostwie Hoggno Kata. Było to westchnienie Króla Cieni.



LUD CIEMNOŚCI

Udałem się w kierunku, z którego – jak mi się wydawało – zarejestrowałem westchnienie, tak naprawdę nie uważając tego za dobry pomysł. Do tej pory większość moich decyzji tutaj na dole pakowała mnie w jeszcze większe problemy, przypuszczenie, że i tym razem idę na pewną zgubę, nasuwało się samo.

Potykałem się o nierówne skały, idąc poprzez ciemne pieczary skalne, gdzie stojąca wszędzie w sadzawkach, świecąca błękitnie woda tworzyła małe, służące mi do orientacji skupiska światła. Tu i tam szeleściło i potrzaskiwało coś w ciemności, ale byłem tymczasowo zubożniały na takie rzeczy. Jeszcze jakiś czas temu przeraziłbym się tym na śmierć. Na pewno było to jakieś nieszkodliwe zwierzę z katakumb uciekające przede mną i przed hałasem, jaki wywoływałem.

Lecz mimo wszystko nie mogłem opędzić się od przytłaczającego wrażenia, że jestem obserwowany. Znacie to uczucie, moi drodzy przyjaciele, gdy leżycie późną nocą w łóżku, właśnie zgasiście świece i chcecie spać, a nagle wydaje wam się, że *coś czai się w ciemnościach*? Że nie jesteście, nawet gdyby przeczyło to wszelkiemu prawdopodobieństwu, sami w pokoju? Drzwi nie otworzyły się, okno jest szczelnie zamknięte, nic nie widzicie, nic nie słyszycie, ale odczuwacie tę groźną obecność? Zapalacie światło i oczywiście nikogo nie ma. Przytłaczające uczucie znika, wstydzicie się swego dzieciennego strachu, gasicie światło – i znowu się to pojawia, ta niesamowita świadomość, że coś czyha w ciemnościach. Teraz słyszycie nawet jego oddech. Słyszycie, jak się zbliża, krążąc wokół łóżka... i wtedy czujecie lodowaty oddech na karku. Z ostrym krzykiem zrywacie się i w panice zapalacie światło – i znów nikogo nie ma.

Pozostaje oszałamiające podejrzenie, że wraz z ciemnością wywołujecie coś, co w zasadzie nie powinno istnieć. Że poprzez zgaszenie światła stwarzacie magiczny świat, w którym baraszkuje niewidzialny lud, bojący się światła i potrzebujący ciemności tak, jak my potrzebujemy powietrza, by oddychać. I resztę nocy spędzacie potem przy płonącej świecy, w niezdrowym półśnie, prawda?

Takie uczucia i podejrzenia krążyły mi po głowie cały czas, mimo mego zubożnienia. Ciemność wokół mnie była zbyt potężna, aby nie maskowała niczego, niczego groźnego. Widziałem długie cienie, ciemne wysokie postaci, stojące wśród stalagmitów, rozpuszczające się w powietrzu, gdy się do nich zbliżałem. Widziałem skały chwiejące się jak topole na wietrze. Słyszałem szelest papieru i czyjs ciężki oddech. Echa kroków, mamrotanie niezrozumiałych słów. Chichot. Czy były to moje własne kroki? Rozmawiałem sam ze sobą, chichotałem na pół oszalały, nie zauważając

tego? Czy też naprawdę coś mnie okrzykało? Jeśli tak, czy był to Król Cieni? Dlaczego śledził mnie tak uciążliwie, dlaczego nie pokaże się po prostu i nie skończy ze mną szybko? Stworzenie, którego obawiały się Harpiry i łowcy ksiąg, nie musiało się chyba bać piszącego wiersze smoka.

Zrobiłem odpoczynek przy jednej z sadzawek. Pilnowałem się, by nie ulec pokusie i nie napić się świecącej wody, ale byłem zadowolony, że mogłem przynajmniej rozpoznać własne dłonie. Przy czym zauważyłem ku mojemu zaskoczeniu, że ściskam w nich rękopis. Wyciągnąłem go nieświadomie, obiema dłońmi przyciskałem do piersi, jakby był w stanie mnie ochronić. Najpierw przestraszyłem się mojego dziecinnego zachowania, ale potem odetchnąłem z ulgą. Naturalnie, to wszystko, to byłem ja sam: szelest papieru, oddech, kroki, chichot. Sam to wywołałem i sam napędziłem sobie strachu. Nie było tu nikogo poza mną.

Poszedłem dalej. Robiło się coraz jaśniej, błękitne algi okrywały teraz i skały w pieczarze. Czuję się, jakbym wędrował w księżycową noc, w tej przedziwnej mieszance zimnego światła i ciemności. I wtedy zobaczyłem pierwszy skrawek, unosił się na malej błękitnej kałuży. Pochyliłem się i podniosłem go z powierzchni wody. Długo mu się przyglądałem. Zakręciło mi się w głowie, oparłem się o jakąś skałę, żeby nie stracić równowagi.

Był to jeden ze skrawków, które znalazłem w pobliżu strasznego domu Hoggno Kata. Był to trop, który zaprowadził mnie do buchlingów, także i ten kawałek papieru miał krwawą krawędź, nosił na sobie nieczytelne pismo. Wpatrywałem się z wytężeniem w ciemność i w bezpośredniej okolicy zobaczyłem kolejny skrawek leżący w innej kałuży. Podszedłem tam chwiejnym krokiem i też go podniosłem. Dalej z tyłu zobaczyłem jeszcze jedną kałużę, na której unosił się ścinek. Ślad Króla Cieni.

Ale jak mógł podążać za mną całym tym obłąkanym odcinkiem Kolei Książkowej? Było to niemożliwe, nawet dla fantomu. Starłem zimny pot z czoła, zapakowałem manuskrypt i podkasalem pelerynę. Raz jeszcze głęboko odetchnąłem i podążyłem znów krwawym tropem.



Gdy wędrowałem przez kolejne pieczary, podążając posłusznie za skrawkami papieru leżącymi niezawodnie co parę kroków, owiewały mnie opary siarki i fosforu. Nieprzyjemne zapachy pochodziły ze źródeł wulkanicznych, wszędzie dookoła kipiała tu lawa i gorąca woda. Było to coś innego niż skromne pojedyncze źródło lawy, zwane przez buchlingi *Kuchnią Diabła*. Gotowało się tu, syczało i bulgotało ze wszystkich stron, a ja musiałem uważać, gdzie stąпам, ponieważ woda nawet nieszkodliwie wyglądającej kałuży mogła być nieznośnie gorąca.

Temperatura i wilgotność powietrza znacznie wzrosły, tego typu żar panował poza tym tylko w pobliżu pieców metalurgicznych. Zrobiło się znacznie jaśniej, złotożółty blask gotującej się lawy oświetlał puste pieczary aż po łukowe sklepienia. Widząc te zjawiska wulkaniczne, zakładałem, że dostałem się jeszcze głębiej w katakumby, ale nie byłem tego tak naprawdę pewny, moja wiedza geologiczna była bowiem skromna.

Im dalej zagłębiałem się w te jaskinie, otoczenie zdawało mi się tym bardziej nienaturalne. Ściany i podłóże były sztucznie wygładzone, a wkrótce co rusz zauważałem na nich ornamentalne znaki i struktury, które mogły być jedynie ręcznej roboty. Ktoś wykuł, wyskrobał, wyfrezował narzędziami ten wzór na kamieniach, ale nie widziałem w tym żadnego podobieństwa do znanej mi kultury lub sztuki. Nie mogłem odkryć nigdzie ani jednej znanej formy, same abstrakcyjne znaki. I nawet one były mi obce, ponieważ nie zawierały żadnych typowych kształtów geometrycznych, obchodziły się całkowicie bez kwadratów, kół, trójkątów i tym podobnych.

Wędrowałem teraz przez pieczary, w których ani jeden centymetr kwadratowy nie był wolny od tych znaków. Pokrywały podłóże, ściany, sklepienia, stalaktyty i odłamki skalne. Niektóre z nich były starannie pomalowane czerwonymi, żółtymi i niebieskimi farbami i obserwując je z daleka, dostrzegało się obce piękno. Gdy wpatrywałem się dłużej w te barwne wzory, zdawały się poruszać, okręcać, tańczyć ze sobą, podnosić się wraz ze ścianami, na które były naniesione i opadać, niczym klatka piersiowa olbrzymiego śpiącego zwierzęcia.

Może były to ściany mojej własnej głowy, między którymi spacerował mój obłąkany umysł, i znaki były pismem moich chorych pomysłów, których sam nie chciałem odszyfrować?

Co chwilę musiałem przecierać oczy. Tak musiałyby czuć się ktoś odkrywający na jakiejś dalekiej planecie pozostałości obcej cywilizacji. Byłych mieszkańców tych pieczar wyobrażałem sobie jako rasę olbrzymich inteligentnych mrówek mogących biegać po ścianach i właściwymi sobie narzędziami i kwasami wytrawiających owe

znaki w kamieniu. Nie dało się właściwie inaczej wytłumaczyć, w jaki sposób obrobiono wszystkie te niedostępne miejsca na sklepieniu.

Pieczary stawały się coraz szersze i wyższe, a ja z każdym krokiem wydawałem się sobie coraz mniejszy i bez znaczenia. Sama przyroda nie wywarła na mnie nigdy takiego wrażenia, ani wysokie góry, ani szerokie pustynie nie wzbudziły we mnie takiego respektu. Fakt, że rzecz takich rozmiarów obrobiono artystycznie w tak wspaniały sposób, napawał mnie pokorą. Była to może manifestacja wczesnej literatury? Poezja, której nie poznał żaden papier ani książka? Może nie były to wcale ornamenty, lecz pismo? Spacerowałbym wtedy może przez bardzo prymitywną formę książki – poezja, po której można było spacerować, ogromna jaskinia, w której każda pieczara przedstawiała jeden z rozdziałów.

Szedłem do góry po sztucznie wykutych schodach pokrytych niekończącymi się znakami i prowadzących do bogato ozdobionego portalu. Nagle dopadła mnie myśl, że wszystkie te znaki służyły jedynie do tego, by przygotować mnie na jeszcze większe dzieło sztuki. Iż była to potężna, wykuta w kamieniu przemowa, a może nawet ostrzeżenie, by przygotować mnie na to, co czekało za tym portalem. Drżałem z napięcia, które mnie niemal rozrywało. Czy było naprawdę rozsądne iść dalej? Kolana mi zmiękły, pot spływał ze mnie strumieniami. Znaki tańczyły wokół mnie jak śnieżyca, być może krzyczały do mnie, bym z miejsca zawracał. Ale ja nie rozumiałem ich języka.

I wtedy, gdy zrobiłem następne trzy, cztery kroki, znaki zniknęły z mojego pola widzenia, ponieważ przekroczyłem właśnie bramę i stałem w sąsiedniej pieczarze, w całkiem innym świecie. Nie była to z pewnością największa pieczara, jaką dotychczas widziałem, dworzec *Rdzawych Gnomów* był znacznie potężniejszy. Lecz znajdowała się w niej najbardziej zdumiewająca budowla katakumb. Gdy szukałem słów, którymi mógłbym to opisać, przypomniał mi się wiersz Kolofonusa Deszczbłaska:

*Z księgi na księdze spiętrzony
Przeklęty i opuszczony
Obleczony martwymi oknami
Zamieszkany jeno duchami
Rządzi tam robactwo ponure
Oprawione w papier i skórę
Dom z obłądu i dźwięków ściany
Pałacem Cieni zwany*

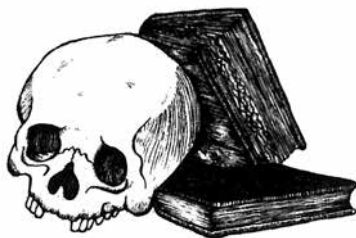
Długie wijące się schody prowadziły tu kawałek w dół groty, by więc się potem

w wielu zakrętach w górę, w górę ku tej budowli, która zdawała się wypływać z leżącej naprzeciwko ściany jak dziób gigantycznego statku. Statku pochodzącego albo z pradawnych czasów, albo z przyszłości, wybudowanego przez tytanów, którzy przemierzali nim morza i utonęli na dnie Oceanu Camońskiego.

Obleczony martwymi oknami: Pałac Cieni składał się z niezliczonych portali lub okien różnej wielkości, wszystkie je zamurowano, prócz jednej, potężnej bramy otwartej w jego centrum, do której prowadziły schody. U stóp zamku, po lewej i po prawej stronie schodów, w małych lejach kipiała lava, powlekając budowlę złotym blaskiem. Gryzące gazy unosiły się tu w gorącym powietrzu, odbierając mi niemal oddech. Od czasu do czasu coś głośno bulgotało, potem następował głuchy huk i smukły strumień płynnej skały wytryskiwał w górę przed Pałacem Cieni jak fajerwerk, by opaść na koniec deszczem żarzących się kropli.

I była tu jeszcze jedna rzecz godna uwagi, dla mnie być może najważniejsza: co każde cztery, pięć stopni leżał na schodach skrawek papieru. Trop, który rozłożono, miał zwabić mnie prosto do Pałacu Cieni.

Nie miałem, moi najukochańsi i najdrożsi przyjaciele, którzy czytacie te słowa, nie miałem oczywiście najmniejszego pojęcia, czy ta rzecz na górze była naprawdę Pałacem Cieni, ani co mnie tam oczekiwało. Wiedziałem tylko jedno: Jeśli była to pułapka, to największa i najbardziej imponująca, jaką mogły zaoferować katakumby Księgogrodu. Z tego rodzaju pochlebstwem w myślach zabrałem się do wejścia na pałacowe schody.



PAŁAC CIENI

Gdy zbliżyłem się do Pałacu Cieni, zauważyłem, ku mojemu najwyższemu osłupieniu, że jest zbudowany z literatury. To, co wziąłem z daleka za cegły, okazało się w rzeczywistości niczym innym, jak ułożonymi na sobie warstwami i zbitymi razem książkami. Docierając do końca schodów, a co za tym idzie do wejścia do pałacu, mogłem w końcu obejrzeć je sobie z bliska.

Z książki *na księdze spiętrzony* – teraz zrozumiałem i tę linijkę z poematu Deszczblaska. Tak, książki były skamieniałe i widocznie połączone ze sobą bez użycia zaprawy. Trudno powiedzieć, czy były już takie, gdy użyto ich jako cegieł, czy też najpierw użyto ich do budowy, a potem dopiero zmieniły się w kamień. Pomyślałem o domu Fistomefela Szmejka i jego wyrafinowanej konstrukcji bez użycia zaprawy. I znowu przyszedł mi na myśl olbrzymie mrówki, które byłem sobie w stanie wyobrazić, jak znoszą książki z przylegających części labiryntu i własną wydzieliną sklejają je w tę budowlę z koszmaru, na rozkaz monstrualnej królowej mrówek, która przyleciała z odległej planety i czekała teraz tam w środku na mnie, by spłodzić ze mną superrasę ze skrzyżowania dinozaurów i mrówek, rasę olbrzymów, która...

Wyobrażenia mnie ponosiła, oznaka najwyższego napięcia. Osiągnąłem próg pałacu, teraz musiałem się zdecydować. Wejść czy uciekać? Mogłem jeszcze zawrócić.

Jeszcze raz pozwoliłem, by mój wzrok błędził po fasadzie. Czy naprawdę był to cały pałac wbudowany w skałę? Czy może tylko atrapa, gigantyczna płaskorzeźba? Nie mogłem się zdecydować, czy była odstrasząca, czy zapraszała do wnętrza. W każdym razie była fascynująca.

Obleczony martwymi oknami, zamieszkaný jeno duchami – były to linijki poematu, których w każdym razie nie uważałem za zachęcające. Tak samo jak: *Rządzi tam robactwo ponure/Oprawione w papier i skórę*. Cokolwiek miał tu na myśli, nie zapowiadało to miłego pobytu w zacnej oberży.

W camońskiej literaturze grozy istnieje niejedno takie dzieło, w którym bohater łąduje w podobnej sytuacji. W sytuacji, w której będąc czytelnikiem, chciałoby się najchętniej krzyknąć w książkę: „Nie wchodzi! Tylko tam nie wchodzi, idioto! To pułapka! ”.

Ale potem opuszcza się książkę, opiera się o fotel i myśli: „He, właściwie to dlaczego nie? Niech wchodzi! W środku czai się pewnie stunożny pajak olbrzym, który chce omotać go w kokon, albo coś w tym stylu – będzie na pewno zabawnie. Jest w końcu bohaterem literatury camońskiej, musi to wytrzymać”.

A on naturalnie wchodzi, ten bohater literatury camońskiej, wbrew wszelkiemu

rozsądkowi, i szybciotko stunożny pająk olbrzym chce owinąć go w kokon albo coś w tym stylu.

Ale nie ze mną! Ja bym nie wszedł. Sparzyłem się już i boleśnie doświadczyłem, stykając się z wieloma pułapkami, nie byłem żadnym głupim bohaterem, który ryzykował życie dla zaspokojenia niskich potrzeb rozrywki! Nie, naprawdę bym nie wszedł – *wszedłbym tylko troszkę*. Bo co mogło się takiego stać? Tylko parę kroków, żeby się rozejrzeć, mając przy tym na oku drzwi. Chciałem tylko rzucić na to okiem, a jeśli coś byłoby niesamowite, zawróciłbym od razu.

Bo zniknąć sobie ot tak, moi kochani przyjaciele, bez rzucenia okiem na Pałac Cieni, tego bym sobie nie wybaczył. Ciekawość jest najpotężniejszą siłą napędową w kosmosie, ponieważ jest w stanie pokonać dwie największe siły hamujące: rozsądek i strach. Ciekawość jest powodem tego, że dzieci wkładają ręce do ognia, żołnierze ciągną na wojnę, a badacze udają się na *Myślące Lotne Piaski* w Ubiskancie. Ciekawość jest powodem tego, że ostatecznie wszyscy bohaterowie w camońskiej literaturze grozy gdzieś „wchodzą”.

Wszedłem więc do środka, ale tylko troszkę. Był to mały, ale istotny szczegół odróżniający mnie od bohaterów camońskiej literatury grozy. Wszedłem do środka i od razu się zatrzymałem. Rozejrzałem się. Ulżyło mi, ale byłem też równocześnie rozczarowany.

Żadnych stunożnych pająków. Żadnego Króla Cieni. Żadnych duchów. Żadnych stworzeń ze skóry bądź papieru. Tylko skromny, biorąc pod uwagę okoliczności, hol, okrągła sala z niską kopułą, dyskretnie oświetlona blaskiem lawy wpadającym tu przez portal. Ściany, tak jak mury zewnętrzne, składały się ze skamieniałych ksiązek. Odchodziło stąd dwanaście korytarzy. To wszystko. Żadnego wyposażenia, nic w tym stylu.

Po to te całe nerwy? Żeby obejrzeć sobie prawdopodobnie najmniej spektakularne pomieszczenie w prawdopodobnie najbardziej spektakularnej budowli katakumb? To nie mogło być przecież to coś.

Dlaczego by nie wejść jeszcze odrobinę głębiej? W jeden z odbijających w bok korytarzy? Nie wiązało się to z żadnym ryzykiem, dopóki na dal byłem w stanie dostrzec blask lawy. Nawet jej najsłabszy blask byłby dla mnie drogowskazem do wyjścia. Wejść więc tak daleko, na ile widziałem jeszcze światło.

Wszedłem do jednego z dwunastu korytarzy. Był długi i ciemny, również nieumeblowany. Następne odgałęzienie znajdowało się około dwudziestu metrów ode mnie, na tyle daleko widziałem jeszcze w coraz bardziej słabnącym świetle. Dlaczego

nie zajrzeć też i tam? I potem z powrotem. Może ten budynek nie miał w swoim wnętrzu niczego spektakularnego do zaofferowania.

Gdy wszedłem w następne odgałęzienie, zobaczyłem, że kolejny korytarz jest bardzo słabo oświetlony – za pomocą jednej tylko świecy. Tkwiła ona w żelaznym świeczniku, który stał w książce. Poza tym w korytarzu niczego nie było. Poza tym *nic*? Bądź co bądź: świeca! Książka! Triumf nauki i sztuki, ślad cywilizacji! W dodatku *płonąca* świeca, którą musiał ktoś przed chwilą zapalić!

Serce mi skakało. Tak, ktoś musiał tu być, mieszkało tu coś żywego, ale wciąż nie wiedziałem, czy było to dobre, czy złe. Byłem na najlepszej drodze, by dać się zwabić jeszcze głębiej do Pałacu Cieni, prowadzony jak po sznurze przez moją własną ciekawość. Lecz nadal najsilniejsze siły hamujące tego uniwersum, rozsądek i strach, były na tyle potężne, by kazać mi przemyśleć moje dalsze postępowanie.

Ktoś tu mieszkał, to na razie wystarczyło. Chciałem udać się znów na zewnątrz i rozwinąć jakąś strategię działania. Może powinienem zostawić jakiś ślad, wyciągnąć nitkę z mojej peleryny, którą przyczepiłbym przy wejściu albo zrobiłbym coś w tym rodzaju. Najpierw pomyśleć! Tylko nie robić niczego pochopnie!

Poszedłem więc z powrotem. Ale gdy doszedłem do miejsca, w którym korytarz łączył się z halą wejściową, nie zastałem tam już żadnych drzwi! Tylko mur. Stałem jak rażony piorunem. Czy było to w ogóle to samo miejsce? Jeśli nie, jak mogłem się zgubić na tak krótkim odcinku? Pobiegłem z powrotem do świecy, żeby szukać z jej za pomocą wyjścia. Chciałem też rzucić okiem na książkę, może zawierała jakąś wskazówkę. Ale tego odgałęzienia też już nie było, cały korytarz ze świecą zniknął! To było przecież całkowicie niemożliwe. Wtedy przysłała mi do głowy desperacka myśl: może ktoś stawia tu błyskawicznie mury, choć nie wiedziałem, jak mógł tego dokonać. Pobiegłem więc jeszcze raz z powrotem do miejsca, gdzie znajdowały się wcześniej drzwi do hali wejściowej – jeśli był to świeży mur, może mogłem go jeszcze przebić.

Lecz tym razem w zaskakujący sposób drzwi były znów na miejscu, blask lawy też! Z uczuciem potężnej ulgi wszedłem do holu, by stwierdzić zaraz, ku swojemu przerażeniu, że nie był to hol wejściowy, tylko coś o wiele większego z podwójną liczbą drzwi. I nie oświetlał go już blask lawy. Płonęły w nim pochodnie w porzecznych świecznikach sterczących ze ścian niczym sękaty gałęzie.

Przez chwilę zataczałem się po pustej sali, zmieszany i bezradny. W jaki sposób cała sala mogła zniknąć i zostać zastąpiona przez inną? Czy poszedłem w złym kierunku? Ale przecież istniał tylko jeden kierunek, z powrotem. Opanował mnie nieokreślony lęk przed wejściem do któregoś z korytarzy. A jeśli zabłądzą jeszcze bardziej? Jednak

w końcu zebrałem się na odwagę i wszedłem w długą sień. Była oświetlona świecami stojącymi tu i tam na podłodze. Szedłem na dół korytarzem, gdy nagle kątem oka zauważyłem coś niepokojącego. Czy ściany poruszały się w moim kierunku? Stałem przerażony. Nie, to było tylko złudzenie. Mimo wszystko odnosiłem wrażenie, że korytarz stał się węższy. Maszerowałem szybko dalej i znów wydało mi się, że ściany przysuwały się do mnie. Stałem, odczucie zniknęło. Poszedłem dalej, mury zdawały się przybliżać. Jedno było jednak pewne: korytarz stawał się coraz węższy, odstęp między murami był na początku znacznie większy. Mój niepokój wzrastał z każdym krokiem. I w końcu pojawiło się rozwiązanie zagadki: mianowicie ujrzałem koniec korytarza, gdzie jego obie ściany zbiegały się pod ostrym kątem. Korytarz był zbudowany w ten sposób, że jego mury zbliżały się coraz bardziej do siebie, by w końcu się spotkać. Przy szybkim ruchu tworzyło to złudzenie przysuwających się do siebie ścian. Była to najbardziej perfidna ślepa uliczka, w jaką kiedykolwiek się zapędziłem.

Pałac Cieni był zatem labiryntem. Labiryntem w labiryncie. Mimo że zachowywałem taką ostrożność, moja sytuacja stała się znów odrobinę bardziej beznadziejna. Nawet mury sprzysięgły się teraz przeciwko mnie. Właściwie brakowało tylko, żeby sufit zawalił mi się na głowę. Ale do tego nie doszło. Zaczęła się natomiast zapadać podłoga.

Pomyślałem najpierw, że to sufit się podnosi, ale i to było tylko optycznym złudzeniem. Dzięki lekkiemu drzeniu pod stopami czułem, że podłoga porusza się w dół, i to na całym korytarzu, tak daleko jak mogłem sięgnąć wzrokiem. Potem drzenie ustało, a sufit znajdował się teraz około dziesięciu metrów nade mną. Po prawej i lewej stronie murów ziały dziesiątki mrocznych drzwi.

Zrobiło mi się słabo i usiadłem na podłodze. Pałac Cieni był nie tylko labiryntem. Był labiryntem, który się poruszał, labiryntem ze ścianami pojawiającymi się z nicości i z opadającymi podłogami. Jego budowniczkowie mogli dawno już nie żyć, ale mury były bardziej niż żywe.



JEŻĄCA WŁOS BIBLIOTEKA

Gdy odpocząłem już po ostatnich okropnościach, podniosłem się znów ociężale, postępując jak wojownik trafiony wieloma uderzeniami maczugi. Na drżących nogach poszedłem chwiejnie dalej, wzdłuż korytarza, który zdawał się nie mieć końca. Prowadził przez wiele załomów, odchodziły od niego niezliczone ciemne drzwi, tu i tam płonęły pojedyncze świece.

Do niepokojących dekoracji architektonicznych dołączyły się teraz i dźwięki: słyszałem dalekie skrzypienia zawiasów i bezcielesne śpiewy, które zdawały się pochodzić z powietrza. W porównaniu z niemal tropikalnym upałem w lawowej pieczarze, w Pałacu panował przyjemny chłód, przynajmniej tyle dobrego można było o nim powiedzieć. Wydawało mi się, że słyszę od czasu do czasu kapanie wody, czym karmiłem moją nadzieję, że jest tu gdzieś coś do picia.

Osobliwe, że powodowany instynktownym strachem nie odważyłem się przekroczyć któregoś z mrocznych wejść. Ciemność w nich panująca miała w sobie coś niebezpiecznego, czyhającego, tak jakby jeden krok do środka mógł prowadzić w otchłań, dlatego też wolałem już pozostać na mojej słabo oświetlonej ścieżce.

Nagle zobaczyłem na ziemi znów jeden ze strzępków papieru. Musiało to wyglądać komicznie, jak wielki krzepki smok boi się nagle maleńkiego skrawka papieru, tak jak słoń białej myszki, lecz zdarzyło się to po prostu zbyt niespodziewanie. Nie musiałem już podnosić karteczki, by się przekonać, że była jedną z tych, które zaprowadziły mnie do Pałacu. Cały ich szereg rozłożony był na korytarzu, aż ślad kończył się ostatecznie przy jednej parze drzwi.

Gapiłem się długo w panujący w nich mrok, tak długo, aż zaczęło mi już huczeć w uszach, mrok wydawał się gęsty i żywy. W końcu jednak przewyciężyłem strach i wszedłem w mroczny otwór. Nie wkroczyłem w pustkę, nie wpadłem w otchłań, znajdowałem się teraz w ciemnym pomieszczeniu. I wtedy wydarzyło się coś, co już przeżyłem, jednak w odwrotnej kolejności. Mówię o tym momencie, kiedy coś weszło do domu Hoggno Kata i zgasiło świece. Tym razem wyglądało to tak, jakby coś opuściło pokój i *zapaliło* świecę, zamiast ją zgasić. Zapalka i knot zapłonęły tak nagle, że ich światło oślepiło mnie na chwilę, mrugnąłem i usłyszałem szelest papieru. I wydaje mi się, że przez chwilę widziałem cień – kolosalny cień! – który błyskawicznie pomknął przez drzwi na zewnątrz.

Strach nadal mnie nie opuszczał, lecz to, co teraz zobaczyłem, zadziało na mnie uspokajająco. To były książki. Wszędzie dookoła na regałach stojących przy ośmiu ścianach. Żadne skamieniałe, zmarnowane na cegły książki, nie, prawdziwa biblioteka.

Nie była to też jedna z tych olbrzymich bibliotek, do których niemal się przyzwyczailem tu w międzyczasie, tylko mała skromna prywatna biblioteczka, wyposażona w co najwyżej parę setek tytułów. Na środku pokoju stał fotel z drewna i skóry, obok mały żelazny stół. Na nim stał dzbanek pełen wody. I szklanka. I miska suszonych książkowych robaków. Woda i pożywienie! Opadłem na fotel, nalałem sobie szklankę wody, wypilem ją jednym haustem i wrzuciłem sobie do pyska garść robaków. Pyszne, były nawet posolone! Żując, rozglądałem się dookoła pełen dobrych myśli. Łyk wody i garść przydymionych insektów wystarczyły, by z pozbawionego nadziei wraku zrobić radosnego optymistę. To nie rozum określa naszą świadomość. To żołądek.

Wstałem i podszedłem do książek. Wziąłem jedną z regału i otworzyłem ją. Była napisana starocamońskim, nosiła tytuł *Trumienna harfa* i była autorstwa Bamuela Gurkendampfa. Zaszlochałem.

Sam fakt, że byłem w stanie odczytać pismo, wystarczył, by wywołać we mnie to gwałtowne uczucie. Zerwana nić łącząca mnie z cywilizacją zawiązała się na nowo. Nie tylko potrafiłem odczytać pismo, znałem nawet treść tej książki! Czytałem ją w młodości i przypawiła mnie ona o najstraszniejsze koszmary. Była to tak zwana *Jeźca Włos Księga*, podgrupa camońskiej literatury grozy.

Wziąłem z regału kolejne dzieło. Nazywało się *Zimny gość* i napisał je Nekton Nemu Okrutny. To też była *Jeźca Włos Księga*. Nemu był jednym z czołowych pisarzy literatury grozy. Skrzywiłem głowę i przebiegłem wzrokiem po tytułach.

Szkielety w trzcinach Halucenii Hallfrid.

Dwunastu wisielców na drzewie Północy Goriama Groggo.

Zmarznięta zjawa Friggnara z Mgławiec.

Śmiech w piwnicy Agu Frossta.

W lochach Płonących Oczu sióstr Grottenklamm.

Tam, gdzie śpiewa mumia Omira Bem Shokkera.

I tak dalej, i tak dalej. Już same pseudonimy nie pozostawiały wątpliwości, że wszystkie dzieła bez wyjątku były *Jeźcymi Włos Księgami*. Biegałem od regału do regału, czytałem jeden tytuł za drugim i w końcu nabrałem pewności – była to modelowa Biblioteka *Jeźca Włos*. Prawdopodobnie najobszerniejsza i najkosztowniejsza, jaką widziałem w życiu.

Zaśmiałem się nagle.

Być może istnieje paru wśród was, moi drodzy przyjaciele, niewiedzących dokładnie, jak przedstawia się sprawa *Jeźcych Włos Ksiąg* camońskiej literatury grozy, dlatego też wybaczcie mi ten krótki wywód. Nie będzie on trwał długo i pomoże wam

zrozumieć powody mojej wesołości.

Istniał czas, gdy wierzano, że camońska literatura grozy osiągnęła swe granice. Wykorzystano już wszystkie wywołujące gęsią skórkę i koszmary postaci i tematy, od bezgłowych duchów przez topielców błakających się po Cementarnych Bagnach, po pożerające stopy demony, kryjące się pod piwnicznymi schodami. Pisarze powtarzali się przy tym, każąc błakać się po swych książkach ciągle tym samym półmumiom, duchom w okowach i krwiopijcom, aż w końcu nie można było tym przstraszyć nawet dziecka. Nakłady i dochody spadały dramatycznie. Wydawcy camońskiej literatury grozy byli zrozpaczeni, dlatego zwołali na wspólny kongres wszystkich autorów tej dyscypliny, a także paru znanych buchemików, by omówić i przedsięwziąć środki mogące przezwyciężyć ten kryzys.

Kongres przebiegał za grubymi na metr murami Zamku Błędnych Ogników w Przepaści Demonów bez udziału publiczności. Stąd przez długi czas było tajemnicą, jakie środki tam omawiano i w końcu wcielono w życie. Jest jednak faktem, że niecałe pół roku później na rynku pojawiły się pierwsze tak zwane *Jeżące Włos Księgi* i kryzys camońskiej literatury grozy momentalnie minął.

Książki te robiły takie wrażenie, wywoływały taką grozę i strach, że ich czytelnicy często w środku lektury wyrzucali je z krzykiem do kąta i chowali się za meblami, bo nie mogli już wytrzymać. Niektórzy zwolennicy literatury *Jeżącej Włos* w wyniku nadmiernej jej konsumpcji wariowali ze strachu, łądując w zakładach zamkniętych i wpadali w ataki hysterii, gdy tylko z daleka pokazywano im jakąś książkę, nawet gdy była to książka kucharska.

Nawet znani krytycy i badacze literatury wierzyli, że frapujące oddziaływanie *Jeżących Włos Ksiąg* bazowało na zastosowaniu wyrafinowanej techniki pisarskiej. Tłumaczono sobie tym samym, że najwięksi mistrzowie camońskiej literatury grozy w czasie kongresu na Zamku Błędnych Ogników wyjawili sobie nawzajem swe najtajniejsze sztuczki. Potem w wyrafinowany sposób wymieszano te pisarskie triki, by stworzyć dzięki temu spotęgowaną i znacznie mocniej oddziałującą literaturę grozy. Literaturę, która była w stanie wywoływać nadnaturalne zjawiska przesładujące czytelników w trakcie czytania, i przekształcającą nawet najbardziej odpornych w jęczący kłębek nerwów. Był to, tak na marginesie, także początek *Przerazającej Epoki*, w której największe triumfy święciły nie tylko *Jeżące Włos Księgi*, ale także Makabryczna Muzyka Hulasebdendera Szruti.

Można podobno usłyszeć, jak *Jeżące Włos Księgi* szeptały i szlochały w ciemnościach. Otwierały się ze skrzypieniem jak zardzewiałe drzwi do podziemnych,

dawno zapomnianych lochów, w których czaiło się Nienazwane. Gdy je otwierano, nierzadko wyrywał się z nich upiorny krzyk lub potworny śmiech. Czasami wydobywało się z nich zimne tchnienie, wiatr wypełniony szeptami, poruszający poźółkłymi zasłonami w pokojach umierających w prastarych, przeklętych zamkach, wypełnionych niespokojną obecnością przeklętych dusz.

Książki te potrafiły rozpląnąć się w powietrzu w trakcie czytania i z chichotem zmaterializować w zupełnie innym miejscu w pokoju. Z ich stron wyskakiwała czasem odrąbana włochata ręka z dziesięcioma palcami, by przespacerować się po ręce czytelnika jak pająk, po czym rzucała się w ogień kominka i wyjąć płonęła.

Teksty zawarte w *Jeżących Włos Ksiągach* składały się prawie wyłącznie ze słów budzących najbardziej nieprzyjemne odczucia. Były to słowa i zwroty takie, jak: *zdrętwiały, kościsty, posepny, wielonożny, dreszczowy, niesamowity, grobowy głos, godzina upiorów* albo *pożarty przez robaki*. Literatura Jeżące Włos wprowadziła do użytku także parę nowych tworów, w których słowa te połączono ze sobą dla spotęgowania ich oddziaływania, jak na przykład *zdrętwiałokościsty, posepnodreszczowy* albo *wielcenisamowity*. Przeczytanie już jednego z nich mogło zjeżyć włos na głowie. I tej umiejętności zawdzięczała swą nazwę owa nowa dyscyplina literacka.



Czytanie *Jeźdźcy Włos Księgi* równało się spacerowi podziemnymi piwnicami, które odkryło się o północy za ukrytymi drzwiami – w opuszczonym zakładzie dla umysłowo chorych, w którym straszły niespokojne upiory masowych morderców. Jakby było się w zatęchłej piwnicy pełnej pajęczych sieci, którą bada się świecą migoczącą w drżącej dłoni, podczas gdy prychają na nas czerwonoookie szczury, a lodowate macki chwytają za nasze kostki.

Za każdą stroną *Jeźdźcy Włos Księgi*, w każdym rozdziale, w każdym zdaniu mogła czaić się groza w formie przerażającego sformułowania, które ścinało krew w żyłach. Nerwy napięte jak postronki raz za razem odrywały od czytania. Tam! Czy nie była to ręka na szybie? Może to ręka bezwzględnego rabusia grobów, któremu skończyły się już zapasy ciał na położonym w pobliżu cmentarzu wyrzutków, którymi zaopatrywał szaloną Przeraznicę, alchemiczkę z laboratorium po sąsiedzku? Owego laboratorium, z którego nocą wydobywają się zawsze te przerażające wrzaski? Nie, to tylko liść w kształcie ręki przyciśnięty do szyby przez wiatr, liść w przerażający jednak sposób przypominający łapę obłąkanego idioty wioskowego, który w czasie pełni księżyca wypatrywał po oświetlonych domostwach nowych eksponatów do swej kolekcji uciętych głów. Ha! Czy to nie jego łapa zaciskała się, dusząc, wokół naszego gardła? Nie, to tylko szal, który związaliśmy sobie wokół szyi z powodu jesiennych grobowych chłodów, zakradających się do biblioteczki. *Związał?* Ktoś kogoś związał?

Zestresowany czytelnik opuszcza książkę i zaczyna obgryzać paznokcie. Nie powinien jej raczej odłożyć? Zakopać? Spalić? Zamurować? Ale przecież to takie pasjonujące! Tam! Uderzenie dzwonu, gdzieś z oddali jak gdyby wydobyte z dzwonka na umarłych, poruszonego przez otulonego czernią kosiarza, który nadszedł by... Nie, to tylko pusty kieliszek po winie trącony łokciem. Pot spływa w lodowatych strugach, wszystkie włosy na ciele stają dęba, serce bije już niemal w gardle – *i wtedy w spoczywającej na kolanach Jeźdźcy Włos Księdze przewraca się samoistnie z szelestem strona, tak nieoczekiwanie, tak zaskakująco, tak szokująco, że o mało nie przyprawia o zawał serca.*

Sam chciałem w to wierzyć, moi kochani przyjaciele, że samą tylko sztuką pisarską osiągało się tego typu efekty, ale naturalnie tak się nie działo. Zdumiewająca prawda wyszła na jaw dopiero po paru dziesięcioleciach, gdy jeden z pisarzy biorących udział w kongresie na Zamku Błędnych Ogników dał ulgę swemu sumieniu na łożu śmierci.

Bo to wcale nie pisarze przekazali *Jeźdźcy Włos Księgom* ich moc, tylko buchemicy. Oni to mianowicie wyjawili sobie wówczas wzajemnie swoje tajemnice, szczególnie w kwestii wytwarzania hipnotyzujących pachnideł. Stworzyli eliksir, który, gdy

perfumowano nim strony książek, wywoływał wszystkie opisane symptomy strachu, od gęsiej skórki po zatrzymanie akcji serca. Historie grozy zawarte w książkach nie stały się ani odrobinę lepsze albo mocniej oddziałujące niż te, które autorzy tworzyli wcześniej. Wręcz przeciwnie, mogły być nawet gorsze, poeci musieli uważać tylko na to, żeby pojawiały się w nich jak najczęściej słowa i zwroty takie, jak: *zdrętwiwały, kościsty, posępny, wielonożny, przesywający dreszczem, niesamowity, pożarty przez robaki i zdrętwiakościsty, posępnodreszczowy* albo *wieloniesamowity*. Wystarczyło to, by przekonać krytyków, że chodzi tu o magię słów.

Lecz była to tylko ordynarna i do tego nielegalna alchemia i *Jeżące Włos Księgi* zostały w końcu zakazane. Jednak wśród kolekcjonerów cieszyły się one popularnością i szczególnie młodzież czytała je nadal pod kołdrami. Ja sam przeczytałem wówczas pewnie z dwadzieścia razy *Trumienną harfę* Bamuela Gurkendampfa, wdychając za każdym razem z lubością przejmujące dreszczem i wzniewające strach zapachy.

Cóż, ale to wszystko nadal nie było powodem do śmiechu, czyż nie, moi drodzy przyjaciele? Nie był też powodem do wesołości fakt, że tajemniczy gospodarz zwałił mnie akurat do pomieszczenia pełnego książek, zaliczonych przez camoński Urząd Zdrowia do *Niebezpiecznych Książek*, które pewnie nadal rozpylały swe hipnotyczne perfumy.

A przede wszystkim nie było to śmieszne dlatego, że niebezpieczny zapach *Jeżących Włos Ksiąg* już wywierał na mnie swój wpływ. Słyszałem skrzypienie otwierających się powoli trumien, obłąkańczy śmiech mumii z torfowisk, szloch zamurowanych żywcem. Widziałem ucięte dłonie pełzające po suficie biblioteki i rogate cienie tańczące po grzbietach książek. Nie, to nie było śmieszne.

Śmieszne było, że to wszystko głęboko mnie uspokoiło.

Śmieszne było, że nie mogła mnie już przerazić cała biblioteka *Jeżących Włos Ksiąg*. Śmieszne było, że w środku koszmaru, który stał się rzeczywistością, w podziemnym zamku bez wyjścia, sam widok pisma, które byłem w stanie odczytać, dawał mi poczucie bezpieczeństwa. I dlatego zacząłem się śmiać, moi przyjaciele, głośno i długo.

Potem wziąłem się znowu w garść, bo samotnie śmiejąca się osoba ma w sobie coś desperackiego. Wziąłem sobie parę *Jeżących Włos Ksiąg*, usiadłem na fotelu, wypilem resztę wody, schrupałem robaki i zaczytałem się. I tak, jak kołysało mnie kiedyś do snu mruczenie buchlingów, tak teraz lamentowanie umarłych, chichot czarownic i wrzaski syrenich zjaw utuliły mnie miękko do snu. Włochate dłonie przebiegały po podłodze i niewidzialne nietoperze latały wokół mojej głowy, ale było mi to serdecznie obojętne. W środku tego urojonego szaleństwa zapadłem w głęboki sen. A ostatnim, co przeszło

mi przez głowę, były dwie linijki z poematu Deszczblaska, które rozumiałem teraz nieco lepiej:

Dom z obłędu i dźwięków ściany

Pałacem Cieni zwany

8

SMUTNY DUCH

Niewiele robiłem sobie już z tego, że ściany się poruszają i że podłoga opada i podnosi się, gdziekolwiek pójdę czy stanę. Cały Pałac Cieni zdawał się gigantycznym mechanizmem znajdującym się w ciągłym ruchu, a ja nie potrafiłem znaleźć w tym jakiegokolwiek sensu. Jednak w maszynie książkowej *Rdzawych Gnomów w Skórzanej Grocie* też nie znalazłem go od razu. Może i pałac był jedną z konstrukcji świadczących o ich manii wielkości.

Gdy obudziłem się w bibliotece *Jeżących Włos Ksiąg*, czułem się rześki i uspokojony. Nieważne, jak potworne koszmary mnie męczyły, musiałem przespać wiele godzin. Gdy znowu ruszyłem poprzez niekończące się korytarze, wokół mojej głowy latały jeszcze wprawdzie przezroczyste zjawy nietoperzy, pouncinane białe dłonie pełzały po pelerynie, ciche głosy szeptały, że powinienem utopić się w pałacowym stawie i inne tego typu rzeczy, lecz z czasem uleciało halucynogenne działanie buchemicznych perfum i mój rozum był znów jasny.

Byłem gościem w Pałacu Cieni, to było pewne. Udzielono mi kwatery i zadbano o wyżywienie. Wprawdzie skąpe to było wyżywienie i dziwna kwatera, ale zawsze coś; ktoś tolerował, ba, może nawet cenił sobie moją obecność. Fakt, że jako lekturę na dobranoc wyznaczył mi akurat *Jeżące Włos Księgi*, pozwalał domyślać się ekscentrycznej osobowości, może szczególnego poczucia humoru, jednak niekoniecznie złych zamiarów. Ale kim byłem tak naprawdę: gościem czy więźniem? Jak długo potrwa mój pobyt? W jakim celu gościł mnie mój tajemniczy gospodarz? Zdecydowałem się ocenić najnowsze wydarzenia jako wyraz ogólnej poprawy mojej sytuacji. Lepiej być goszczonym przez fantom niż ściganym przez Harpiry, Pająxxxxxy i łowców książek.

Poprzez korytarze płynęła eolska muzyka. Im dłużej i dokładniej się przysłuchiwałem, tym mniej chciało mi się wierzyć, że jej źródłem są przypadkowe przeciągi. Tak jak i w znakach pokrywających pieczary przed Pałacem Cieni odkryłem w niej pewne wzory i regularności, które były jednak zbyt dziwne, by określić je jako muzykę lub harmonię, najtrafniejsze wydało mi się tylko wewnętrznie sprzeczne pojęcie *melodyjnego dysonansu*. Czasami miałem wrażenie, że słyszę w niej głosy lub znajome instrumenty, ale żadna ze znanych mi form życia nie była w stanie wydobyć z siebie tak upiornego śpiewu. Żadne skrzypce nie były zbudowane w ten sposób, by wytworzyć tak cienki szklany ton, żaden ziemski instrument dęty nie osiągał tak głębokich basów. Jeśli Pałac Cieni był olbrzymią maszyną, dlaczego nie mógł być i gigantycznym instrumentem? A te stale przesuwające się ściany, unoszące i opadające podłogi służyły może do skanalizowania prądów powietrza, jak chociażby w skomplikowanym

pneumatycznym mechanizmie trąbuzona. Tak jak znaki na zewnątrz wydawały mi się pismem pozaziemskiej rasy, tak i muzyka Pałacu Cieni zdawała się skomponowana na obcej planecie. Lecz może było to wszystko tylko gigantycznym fletem jakiegoś zbzikowanego *Rdzawego Gnoma*.

W skąpo oświetlonych, wypełnionych cieniami obszarach pałacu słyszałem sporadycznie jakieś szelesty. Czasami dochodziły z podłogi, czasami z sufitu, od czasu do czasu wydawało mi się nawet, że widzę umykający cień, mniej więcej wielkości kota. Zdumiewające było, że jego kontury nie miały w sobie nic zwierzęcego, nawet nic owadziego. Wydawało się, o ile oczy nie myliły mnie w tym słabym świetle, że było to *prostokątne*. Czasami odnosiłem wrażenie, że w moim pobliżu znajduje się więcej egzemplarzy. Szeleściło coś wtedy w różnych ciemnych kątach równocześnie, przyprawiając mnie o to nieprzyjemne uczucie osaczenia. Gdy przechodziłem znowu do jasnych obszarów pałacu, słyszałem dreptanie wielu nóg i widziałem prostokątne cienie znikające w szparach murów. Raz, w szczególnie głębokich ciemnościach, usłyszałem i nawet poczułem, jak coś przelatuje mi nad głową, szeleszcząc tak głośno jak nietoperz z setką skrzydeł.

Odkrywałem wielkie hale z monstrualnymi kominkami, sale z długimi stołami i kamiennymi ławami. Były tam ławki, małe stoliki i olbrzymie krzesła tronowe, lecz wszystkie meble składały się wyłącznie ze skamieniałych ksiązek i były przymocowane mocno do podłogi. Sprawiało to wrażenie, jakby główną architektoniczną myślą przyświecającą budowie Pałacu Cieni było to, że wszystko musi pozostać na swym miejscu, nawet gdyby przez budynek przeszła ogromna fala powodziowa.

Wszedłem do małego kwadratowego pomieszczenia i nagle jakby moje wejście uruchomiło jakiś mechanizm, ściany po lewej i prawej stronie zatopiły się w podłodze. Odśloniły widok na dalsze ściany, które także się opuściły i pokazały kolejne opuszczające się ściany, i tak dalej, aż małe kwadratowe pomieszczenie przekształciło się w długi korytarz, którego oba końce ginęły w mroku.

Innym razem było na odwrót; wszedłem w długi korytarz, w którym nagle zaczęły wyrastać ściany, aż w końcu byłem uwięziony w małym pomieszczeniu, którego podłoga nagle się opuściła i przetransportowała mnie na dolne piętra Pałacu Cieni. Wydało mi się, że ten budynek jest wprost kapryśny i stale niezadowolony z mojego miejsca pobytu, dlatego niestrudzenie przenosił mnie z miejsca na miejsce. Czasami jednak i godzinami nic się nie poruszało, a ja nienagabywany włączyłem się po szarych salach.

Musiałem chodzić już tak cały dzień, gdy nagle znów natknąłem się na ślad

papierowych strzępków. Leżały na podłodze korytarza i zaprowadziły mnie do wielkiej sali jadalnej z długimi, kamiennymi stołami i ławami. Na jednym ze stołów, na którego szczycie znajdował się tron z murowanych ksiąg, czekał na mnie dzban wody i miska pełna korzonków.

Pora posiłku! Przyjąłem zaproszenie mojego tajemniczego gospodarza, kłaniając się z galanterią w pustą przestrzeń i siadając na kamiennym tronie. Woda była świeża i lodowata, a korzonki smakowały, cóż, jak korzonki, ale z grubsza zaspokoili mój głód. Podczas jedzenia usiłowałem sobie wyobrazić, jak jedzono tu i biesiadowano w pradawnych czasach. Ale porwała mnie znowu fantazja o mrówkach olbrzymach i oczyma duszy widziałem się otoczony przez sąsiadów o owadzych oczach, z rozkoszą rozgryzających i wysysających wiję swymi podobnymi do nożyc aparatami gębowymi, rozmawiających ze sobą potrzaskującym owadzim językiem. Przybiło mnie to nieprzyjemne wyobrażenie i zakończyłem swój skromny posiłek.

Byłem odświeżony i wzmocniony. Teraz nadal się cieszę, że to, co wydarzyło się chwilę później, nie dosięgło mnie, gdy byłem osłabiony i przygnębiony. Moje wrażliwe poetyckie serce prawdopodobnie by tego nie zniosło.

Usłyszałem, że ktoś nadchodzi. Tak, całkiem wyraźnie słyszałem, że ktoś zbliża się do jadalni. Nie słyszałem wprawdzie kroków, ale ciężkie dyszenie, regularny oddech kreatury zbliżającej się do drzwi. Czy był to w końcu mój gospodarz, fantom? Czy nadchodził tu właśnie Król Cieni? Stałem jak wbity w ziemię, z napięcia nie mogąc ruszyć ani jednym mięśniem, podczas gdy astmatyczne dyszenie zbliżało się coraz bardziej.

Coś wkroczyło do sali. Mówię „coś”, ponieważ nie znam słów, które mogłyby określić to niezdefiniowane zjawisko. Zjawisko, które, moi drodzy przyjaciele, napędziło mi więcej strachu niż wszystkie przerażające kreatury, które spotkałem dotychczas w czasie, zaprawdę, obfitującej w nie podróży. Był to jedynie cień, przezroczysta sylwetka, bez twarzy, bez głębi, bez wyraźnego kształtu, jedynie szary kontur. Jeśli coś odpowiadało mojemu osobistemu wyobrażeniu o duchu, był nim ten dyszący cień sunący wolno przez salę w moim kierunku. Widziałem tylko zmieniającą stale kształty szarą mgłę, jak chmurę dymu, która pędzona przez wiatr toczyła się w moim kierunku. Szeptala w niej setka głosów i równocześnie ten ciężki urywany oddech, który tak przedziwnie mnie poruszył i śmiertelnie zasmucił.

I wtedy cień otulił już mnie całego, od stóp do głów, i poczułem, *jak przechodzi przeze mnie*. Przez krótką i szaloną chwilę nasze wnętrza wymieszały się, fala obcych myśli, obrazów, pejzaży i kreatur wybuchła nagle w moim umyśle – a potem wszystko

minęło. Cień minął mnie, przepłynął przeze mnie jak przez sito, a ja obróciłem się i spoglądałem za nim przeszywany dreszczami. Sunął po prostu dalej przez salę, jak gdyby niczego nie zauważył. Teraz zobaczyłem, że pozostawił po sobie ślad. Był to cienki, wilgotny ślad, jaki pozostawiają po sobie ślimaki, a ja pochyliłem się, by go spróbować, nim znów się ulotni. Wszystko, co zrobiłem w tym momencie, działało się nieświadomie, instynktownie, bez udziału mojego umysłu, bo w normalnych warunkach nigdy bym tak nie postąpił. Nigdy! Dotknąłem wilgotnego śladu, podniosłem palec do ust i polizałem.

To były łzy.

Dopiero teraz zrozumiałem, że cień nie dyszał, lecz płakał. Doszedł do drugiego końca sali i stopił się z ciemnością odchodzącego od niej korytarza.

80

ŻYWE KSIĘGI

Nadal stałem w tym samym miejscu, tam, gdzie przeszedł przeze mnie cień. Próbowałem uporządkować moje myśli i uczucia, jak po gwałtownym koszmarze, z którego właśnie się przebudziłem.

Czy był to naprawdę Król Cieni? Nie istniało żadne podobieństwo do tego, co o nim rozpowszechniano. Nie sprawiał też wrażenia, że mógłby komuś wyrządzić krzywdę, nie wspominając już o ucięciu głowy Hoggno Katowi albo napędzeniu strachu Harpirowi. A może była to tylko jedna z wielu postaci, które mógł przyjąć? Czym były te dziwne obrazy i myśli w obcym języku, którymi przepłukał moją świadomość, zabierając je następnie z powrotem? Nie mogłem już sobie ich przypomnieć.

Pośpieszyłem za nim, mając w głębi ducha nadzieję, że nie zniknął jeszcze w labiryntach Pałacu Cieni. Ale na szczęście był tu jeszcze ślad łez, który pozostawił za sobą. Ciągnął się sąsiednim korytarzem, prowadząc potem w poprzek wielkiej ciemnej i pustej sali, następnie znów wąskim, oświetlonym pochodniami korytarzem i w końcu po schodach na górę. Były to pierwsze schody, jakie zobaczyłem w Pałacu Cieni. W tej części w każdym razie jeszcze nie byłem.

Schody kończyły się w wysokim korytarzu oświetlonym świecami, tkwiącymi w ściennych świecznikach po jednej stronie korytarza. Po drugiej stronie znajdowały się wysokie, wąskie okna, poprzez które można było spoglądać tylko w czarną pustkę. A do tego szemrała wieczna niesamowita muzyka Pałacu Cieni. Pędziłem dalej, ciągle tym wilgotnym tropem, który prowadził teraz poprzez wielki kamienny łuk, wypełniony tańczącym światłem. Znów słyszałem stłumiony oddech, szlochanie i szepczące głosy, ale tym razem brzmiało to tak, jakby pochodziło z wielu źródeł. Przeszedłem pod łukiem i spojrzałem w olbrzymią oświetloną pochodniami halę, dotychczas największą z tych w Pałacu Cieni. Była zaaranżowana jak amfiteatr. Stałem na najwyższym stopniu i spoglądałem w dół na kolejne poziomy w kształcie stopni i na wielką scenę pośrodku. A tam, moi ukochani przyjaciele, wystawiano sztukę, która naprawdę poruszyła mnie do łez.

Były tam setki tych cienistych istot przenikających bez wytchnienia poprzez siebie, szepczących i szlochających. Widziałem, jak się roztopiały, wsuwały w siebie i znów uwalniały się, inne nadchodziły przez wiele wejść znajdujących się dookoła i schodziły schodami w dół, by wmieszać się w tłum na wielkiej scenie. Tutaj w sali muzyka Pałacu Cieni rozbrzmiewała z większą siłą, jak pełen dysonansów marsz żałobny, wymieszany z chórem westchnień i szlochów. Odnosiło się wrażenie, jakby cienie płacząc tańczyły w rytm tej muzyki.

Łzy napływały mi do oczu i zacząłem płakać, dziwnie poruszony tym niewypowiedzianym, nierealnym przedstawieniem – aż nagle znów przepłynęła przeze mnie fala obrazów i myśli, tak samo zaskakująco i zdumiewająco, jak wydarzyło się to w jadalni. Jedna z cienistych istot wkroczyła za mną do sali i po prostu przeszła przeze mnie. Teraz sunęła schodami w dół do swych pobratymców. Tego było już za wiele. Odwróciłem się i uciekłem z powrotem na korytarz.

Tam płakałem nadal, nie wiem jak długo ani dlaczego. Lecz łzy miały wybawiające i uspokajające działanie. Gdy w końcu wyschły, pomyślałem, że nabrałem sił wystarczająco, by wrócić do sali, może nawet udać się między tańczące cienie i zgłębić do końca tę nową tajemnicę Pałacu Cieni.

Lecz gdy się obróciłem, łukowa brama była już zamknięta, zagrodzona murem skamieniałych księzek, które bezgłośnie zgromadziły się za moimi plecami. Muzyka także zniknęła, jak gdyby została zamurowana. Nasłuchiwałem, lecz nie słyszałem już nic więcej. Żadnego dźwięku. Można by niemal uwierzyć, że nic się nie wydarzyło. A szczerze mówiąc, moi kochani przyjaciele, wolałbym żeby tak było, ponieważ teraz w moim umęczonym umyśle piętrzyły się same znaki zapytania.

Nagle zaszleściło coś za mną w korytarzu i odwróciłem się. Tym razem zobaczyłem to naprawdę: ciemny prostokątny obiekt, uciekający do jednego z sąsiadujących korytarzy. Byłem teraz we właściwym nastroju na wyrwanie ostatnich tajemnic temu przekłętemu Pałacowi, rzuciłem się więc odważnie za nim.

Korytarz był słabo oświetlony jedną samotną świecą, dlatego też nie mogłem rozpoznać dokładnie tej malej istoty śmigającej przede mną zygzakami z ciemności w ciemność.

Polowanie prowadziło przez wiele załomów, w lewo, w prawo, schodami w dół i znów na górę, ale deptałem niezmordowanie po piętach temu małemu stworzeniu. Pobiegliśmy w górę spiralnymi schodami, które nagle skończyły się na żelaznej kracie, przez którą mały cień prześlizgnął się bez trudu. Ja jednak, przeklinając, musiałem się zatrzymać.

Chciałem właśnie zawrócić, gdy krata podniosła się z chrzęstem i zacząłem wspinać się dalej, minąłem jeszcze tylko parę zakrętów i wszedłem nagle do dużego pomieszczenia.

Przypomniało mi bibliotekę *Jeźdźcych Włos Ksiąg*, to samo ośmiokątne ułożenie, regały książkowe przy ścianach, pośrodku fotel i stół ze świecznikiem, i przez chwilę myślałem, że znów się tam zapędziłem.

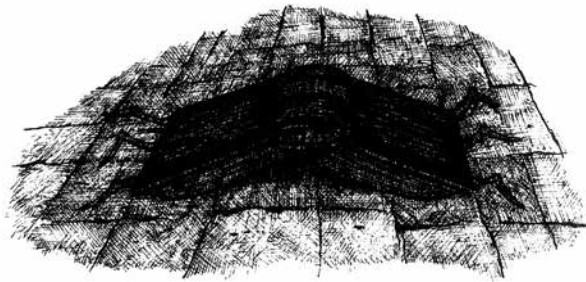
Ale jednak było tu inaczej. Może brakowało mi halucynogennych perfum, może

książki były inaczej ułożone, ale z pewnością nie była to ta sama biblioteka. A małego stworzenia nigdzie nie mogłem zauważyć.

Bądź co bądź były to prawdziwe książki, których zawartość może mogła mi jakoś pomóc. Podszedłem do regału, wyjąłem z niego prastare, skórzane tomisko i otworzyłem.

Książka gapiała się na mnie.

W jej środku znajdowało się żywe, mrugające oko, wpatrujące się we mnie z przerażeniem, tak samo, jak działo się to przy Maszynie Książkowej w *Skórzanej Grocie*, gdy Golgo pokazywał mi regał z *Żywymi Księgami*. I zareagowałem z takim samym przerażeniem jak wówczas – upuściłem książkę.



Gruchnęła o ziemię, głośno zaszeleściła, z okładki wysunęło się cztery, sześć, osiem małych nóżek i uciekła ode mnie prościutko w stronę przeciwległej ściany z książkami. Tam wpełzła wysoko na regał i zniknęła w szparze między dwoma grubymi, brązowymi skórzanymi tomami.

Obróciłem się wokół własnej osi. Dookoła zaczęło coś szeleścić, pojedyncze grzbiety książek poruszały się ledwo zauważalnie. Nie, to nie były *Jeżące Włos Księgi*, których zachowanie potrafiło porządnie przerazić. To była cała biblioteka pełna *Żywych Ksiąg*! Prostokątne małe cienie, naturalnie, to były po prostu książki, *Żywe Księgi*!

Rządzi tam robactwo ponure

Oprawione w papier i skórę

Czy *Żywe Księgi* były czymś w rodzaju szczurów, robactwem Pałacu Cieni?

Znalazły drogę z buchemicznych laboratoriów, poprzez hałdę śmieci Unhajmu aż tutaj? I może się nawet rozmnożyły? To było fascynujące: książki, które mogły się rozmnażać i samodzielnie stworzyć bibliotekę. Zadawałem sobie pytanie, czym żywią się te zwierzątka w tych skromnych murach. Lecz prawdopodobnie odkryłem dopiero ułamek Pałacu Cieni.

Rozejrzałem się raz jeszcze. Jeśli naprawdę były to same prawdziwe *Żywe Księgi*, to zgromadzono tu majątek. Wziąłem z regału kolejny egzemplarz i otworzyłem go. Wnętrze wyglądało jak gardło pełne ostrych zębów. Zaskoczony patrzyłem do środka, a książka prychnęła i ugryzła mnie w rękę. Wrzasnąłem: Au! To bolało! Ale ta cholerna bestia nie popuszczała, prychała dalej i wgryzała się jeszcze mocniej w moje krwawiące palce. Wrzasnąłem raz jeszcze, tym razem ze wściekłości i tłukłem pięścią w okładkę. W końcu odpuściła, rozluźniła zgryz i spadła na ziemię. Także z niej wysunęło się osiem małych nóżek, na których uciekła do kąta, skąd krzywo na mnie patrzyła.

Przez regały dookoła przeszło poruszenie. Szeleściło i trzeszczało, skóra z piskiem ocierała się o skórę, popiskiwano coś i dreptało – książki się przebudziły, obudzone pyskówką swej koleżanki albo zapachem mojej krwi. Bo po tym brutalnym ugryzieniu, moi kochani przyjaciele, byłem już pewny, że są to nie tylko *Żywe*, lecz także *Niebezpieczne Księgi* – dzika i spragniona krwi odmiana udomowionych pobratymców ze *Skórzanej Groty*. I teraz domyślałem się już, czym się odżywiają. Nic, tylko uciekać stąd!

Zrobiłem jeden, dwa szybkie susy w stronę wyjścia, którym wszedłem do biblioteki, ale nie było tam już żadnego wyjścia, tylko mur.



Obejrzałem się, by oszacować moje szanse. Ile książek mogło tu być? Parę setek? No ładnie. Nie były to Pająxxxxxy ani Harpiry. To były szczury, nic więcej. Szczury są tchórzliwe. Jeśli tylko załatwię szybko parę z nich, reszta skuli ogony i będzie szukała ucieczki. Bądź co bądź byłem dinozaurem. Miałem zęby i pazury. Przeżyłem na łądzkie śmieci w Unhajmie. Na kolei *Rdzawych Gnomów*. To poradzę sobie pewnie i z paroma regałami pełnymi zmutowanych książek.

Zagruchotało coś za mną i podłoga zaczęła wibrować. Obniżyła się i pociągnęła mnie za sobą w głąbie. Cóż, to mi akurat pasowało. Może ta nieoczekiwana jazda wywiezie mnie daleko od tych *Żywych Ksiąg*.

Ale jedynym efektem było to, że ściany urosły. Im bardziej obniżała się podłoga, tym więcej pojawiało się książek, które właśnie się budziły, a gdy w końcu się zatrzymała, regały były co najmniej cztery razy wyższe niż wcześniej. Teraz nie były to setki, ale tysiące szczurów, z którymi musiałem walczyć.

I pierwsze już rzuciły się na mnie z góry. Zdumiałem się, że były to akurat te z najwyższych regałów, ale gdy spadając rozłożyły swe okładki i rozpostarły strony, zaczynając nimi machać, wtedy zrozumiałem. To były latające *Żywe Księgi*, wariant nietoperzowy. Cały rój spadł na mnie i okrażał z piskiem moją głowę. Tam, gdzie u normalnych książek kończy się grzbiet, miały one małe pyski z maleńkimi zębami, którymi chciwie za mną kłapały.

Inne zachowywały się jak węże. Nadchodziły bardzo wolno od strony regałów, ich skórzane cielska poruszały się elastycznie w rytmicznych, pełzających ruchach, zsuwały się i znów rozprostowywały, sycząc jak jadowite kobry Midgardu.

Najbardziej nieprzyjemne biegały na ośmiu nóżkach jak pająki. Były bardziej zwinne i agresywne niż te węzowate, i im przypisywałem największe podłości. Nie wiadomo było, gdzie miały górę, a gdzie dół, mogły się błyskawicznie obrócić, pokazując mi to swe skórzane plecy, to szeleszczące strony i kręciły się stale wokół własnej osi. Nie miałem pojęcia, czym chciały mnie ugryźć albo dziabnąć, ale to, przypuszczałem, pewnie bardzo szybko się wyjaśni.

I tak *Żywe Księgi* otaczały mnie ze wszystkich stron. Coraz bardziej podpełzając, prześlizgując się lub zlatując z regałów, coraz mocniej zaciskały okrąg. Jeśli w tej chwili nie przezwyciężę tego paraliżu, pomyślałem, który mnie złapał, na pewno pogrzebią mnie żywcem i rozerwą na maleńkie kawałki.



To trochę niezręczne, moi kochani przyjaciele, ale ku mojemu zawstydzeniu przyszła mi nagle do głowy akurat maksyma z *Drogi łowcy książek*, z tej przerażającej miernoty Rongkonga Przecinaka. A mianowicie trzecie katakumbum:

To, co żyje, można zabić.

Jeśli książka żyje i się porusza, to można też ją zabić, brzmi logicznie, nieprawdaż? Wyczyłem się moich lekcji w tym bezlitosnym świecie podziemi i teraz w końcu nadszedł czas, by wprowadzić je w czyn.

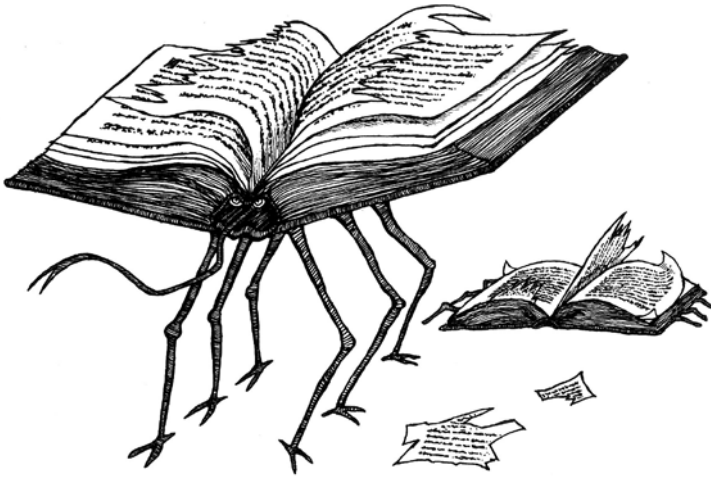
Potężnym chwytem łapy złapałem w powietrzu jedną z Latających Książek. Kartki poleciały od razu w pęczkach przez okolicę, zanim jej resztki zdążyły plasnąć o podłogę, gdzie zmiażdżyłem je silną stopą. Zatrzeszczało w jej wnętrzu i krew czarna jak czernidło drukarskie wytrysnęła na wszystkie strony. Wykorzystałem ogólne zdumienie, żeby stratować jeszcze dwa węzowate egzemplarze w mojej najbliższej okolicy. Oba wydały z siebie pełen zaskoczenia syk i przestały się ruszać.



Dwa kolejne machnięcia łapą w powietrzu i trafione Latające Książki rozpuściły się w chmurach latających kartek. Reszta stada poleciała szybko na górę, żeby się tam przede mną schronić.

Odwróciłem się wtedy w stronę oddziałów lądowych, rozdeptując jeszcze kolejne węże książkowe, przemaszerowałem po nich w stronę jednego z regałów i wyrzuciłem go. Ciężki mebel obalił się do przodu i pogrzebał pod sobą dziesiątki pająkopodobnych egzemplarzy. Roztrzaskał się przy tym na niezliczone części i odłamki drewna, z których we wzburzonym kurzu wybrałem sobie najdłuższy i najostrzejszy. Z nim poszedłem na polowanie na *Żywe Księgi*, które we wszystkich kierunkach szukały teraz ucieczki. Wdrapywały się wysoko na regały i na ściany, a latające egzemplarze latały tak blisko sufitu, jak było to możliwe. Pełzające książki miały pecha – były za wolne. Jedną po drugiej przesywałem moją włócznią, a gdy trzymałem ją triumfalnie w górze, miałem na nią nadzieję z tuzin książek. Odrzuciłem głowę do tyłu i zawyłem bestialsko, tak jak zrobiłem to na dworcu *Rdzawych Gnomów*. Wszystkie regały wraz ze znajdującymi się na nich *Żywymi Księgami* zadrżały.

Potem wszystko ucichło.



Pozostałe, oszczędzone *Żywe Księgi* uciekły w górne części biblioteki i siedziały cicho jak mysz pod miotłą. Rzuciłem w kurz włócznię z wciąż trzepoczącymi książkami i sapiąc obserwowałem pole' bitwy. Pojedyncze kartki unosiły się w powietrzu i wszystko kleiło się od lepkiej, czarnej krwi. Dostosowałem się do barbarzyńskich zachowań w katakumbach.

Stałem się łowcą książek.

Żwe Księgi pozostały jeszcze przez chwilę w górnych partiach biblioteki i zdawały naradzać się szeptem. Potem zauważyłem, że jest ich coraz mniej. Za regałami słyszałem szelest i dreptanie, więc w końcu zacząłem odrzucać jedną za drugą, aż odkryłem w murze dziurę wielkości beczki, tajemne wyjście i wejście do biblioteki. Przepisałem się przez nie i pobiegłem w dół korytarza, jednak żadna z *Żywych Ksiąg* nie stanęła mi na drodze. Godzinami błądziłem po nieznanym mi jeszcze obszarach Pałacu, aż w końcu położyłem się po prostu na ziemi i wyczerpany zasnąłem głębokim snem.

Śniłem przepiękny sen o tym, że potrafię latać. Moje ciało podniosło się bez mego udziału z zimnej podłogi Pałacu i fruńęło jego niekończącymi się korytarzami, lekkie jak piórko niesione przez wiatr. Unosiłem się nad długimi schodami w dół i w górę, przez puste hale, w których płonęły wielkie ogniska, poprzez sale oświetlone setkami świec.

W końcu obudziłem się i rzeczywiście znajdowałem się w innej części Pałacu. Chodziłem we śnie? Przetransportowała mnie tam tajemnicza mechanika Pałacu Cieni? Czy może przyniósł mnie ktoś tutaj w trakcie mego sennego omdlenia?

Poczułem dym. Ogień? Pożar? Zaalarmowany wstałem i poszedłem w kierunku, z którego zdawał się dochodzić śwąd spalenizny. Wkrótce usłyszałem buzujące płomienie i trzask płonącego drewna. Zobaczyłem wąskie drzwi, przez które wydobywał się niespokojny blask światła. Ostrożnie podkrađłem się bliżej. Zwlekałem przez chwilę. I zajrzałem potem do środka.

I był tam on, Król Cieni! Uwierzcie mi, moi najdrożsi ze wszystkich przyjaciele: Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego, tak dzikiego, zatrważającego i smutnego zarazem jak ten Król Cieni tańczący wśród płomieni. Ponieważ tańczył, by nie czuć samotności. Wysokie płomienie pałające dookoła zwielokrotniały jego cień, rzucały go to tu, to tam, tak że wyglądało to, jakby Król Cieni znajdował się w najlepszym towarzystwie.

I równocześnie przestraszyłem się. Był olbrzymi, prawie dwa razy większy niż ja. Był dziki i silny, skakał prężnymi susami ponad płomieniami. Nie widziałem nadal nic, prócz jego czarnych konturów na tle ognia, ale poznałem jego piękność, piękność dzikiego zwierzęcia. Musiała być to najbardziej zdumiewająca kreatura w katakumbach Księgogrodu.

A potem zaśmiał się. Stał zwrócony do mnie plecami, opuścił ramiona i zaśmiał się pełną pierśią. Teraz dopiero przestraszyłem się naprawdę, ponieważ jego śmiech

brzmiał jak szelest i charkot równocześnie, jak gdyby pochodził z innego, mrocznego świata umarłych.

– Chodź ze mną! – powiedział.

Wzdrygnąłem się na jego słowa jak pod uderzeniem bata, tak jak Harpir, który drgnął, słysząc jego westchnienie. Zauważył mnie już dawno. Dopiero teraz zobaczyłem, że jego sylwetka była dziwnie kanciasta, jak gdyby nosił na sobie dziwaczną zbroję i na głowie miał koronę z wieloma zębami. Przeszedł między płomieniami i zniknął w jednym z ciemnych wyjść. Podążyłem za nim posłusznie.

Następna hala była salą tronową. Salą tronową najsamotniejszego króla na świecie. Stał w niej tylko jeden mebel, olbrzymi tron murowany ze skamieniałych ksiąg, na którym siedział już, gdy wszedłem.

Nadal nie mogłem dokładnie się mu przyjrzeć, sala była skąpo oświetlona pojedynczymi świecami, a Król Cieni wtopił się głęboko w swój tron.

Wszędzie na podłodze leżały książki, a gdy nieśmiało się zbliżałem, niektóre z nich podniosły się na swych cienkich nóżkach i uciekały przede mną lub odpęłzały mi z drogi. Opinia o mnie pewnie już się rozniosła.

– Jesteś łowcą książek? – zapytał Król Cieni. Jego charczący głos z zaświatów przeszył mnie do szpiku kości, aż mimowolnie się zatrzymałem.

– Nie – powiedziałem. – Bronilem się tylko. Moje zainteresowanie książkami jest nieco inne. Jestem pisarzem.

– Ach tak? – zapytał Król Cieni. – A jakie to książki napisałeś?

Pot wystąpił mi na czoło.

– Jeszcze żadnej – odpowiedziałem. – To znaczy, jeszcze żadnej, którą by opublikowano.

– Nie potrafisz jeszcze tworzyć książek – powiedział Król Cieni – ale zabijać je już potrafisz. Jesteś pewien, że nie wolałbyś zostać krytykiem?

Nie przychodziła mi do głowy żadna błyskotliwa odpowiedź, więc milczałem.

– Jak się nazywałeś?

– Hildegunst Rzeźbiarz Mitów.

Powstała długa pauza.

– Pochodzisz z Twierdzy Smoków?

– Tak, niestety nie da się tego ukryć.

– Co takiego zgubiłeś w labiryntach Księgogrodu?

– Przeprowadzono mnie tu wbrew mej woli – odpowiedziałem – uczony i antykwariusz nazwiskiem Fistomefel Szmejki uspił mnie zatrutą księgą i zatargał w

katakumby. Od tego czasu błędzę tu w kółko.

Powstała jeszcze dłuższa pauza.

– A kim ty jesteś? – odważyłem się spytać, żeby przynajmniej choć trochę rozluźnić napięcie. – O ile to pytanie jest dozwolone.

Powstała jeszcze bardziej dłuższa i męcząca pauza.

– Mam wiele imion – wymruczał w końcu. – Meffias. Soter. Ubel. Existen. Erohares. Tetragrammaton. Krasnoludy z górnych pieczar zwał mnie Keron Kenken. Wśród Ciemnych Ludów w piwnicznych labiryntach noszę imię Ngyan Spar Ty Dung Mgo Gyu’i Thor Tshugs Can. Sam prawie nie jestem w stanie tego zapamiętać.

– Czy jesteś... Królem Cieni? – spytałem.

– To najbardziej idiotyczne imię ze wszystkich – powiedział. – Tak mówią na mnie na powierzchni, zgadza się? Tak, jeśli chcesz, jestem też Królem Cieni. Najbardziej jednak podoba mi się imię, które nadał mi kiedyś mój stary przyjaciel. Nazwał mnie Homunkolos. To jest w zasadzie najtrafniejsze.

– Czy to ty byłeś tym, który zabił Hoggno Kata?

– Nie. Hoggno sam się zabił. Swoim własnym toporem. Ja tylko pokierowałem mu przy tym ręką.

Skinąłem.

– Potem rozłożyłeś też ślady?

– Zrobiłem to.

– A dlaczego? Dlaczego mnie nie zabijesz? Dlaczego mi pomagasz?

Homunkolos westchnął i zatopił się jeszcze głębiej w cieniu tronu.

– Chcę ci opowiedzieć historię – rzekł. – Chciałbyś posłuchać?

– Kocham historie – odparłem.

– Ta jest jednak dość niesamowitą historią.

Usiadłem i przepłoszyłem tym samym parę *Żywych Ksiąg*, które znów odważyły się nieco przybliżyć.

– Takie są najlepsze – powiedziałem.



8Ψ

HISTORIA KRÓLA CIENI

Miałem nadzieję, że Król Cieni pokaże mi teraz w końcu swoją twarz, swe prawdziwe oblicze, ale on wolał pozostać w ciemnościach swego tronu.

– Jest to po części historia o kimś, kogo kiedyś znałem – rozpoczął – o starym przyjacielu, którego chętnie czasami wspominam. A czasami niechętnie, ponieważ to wspomnienie tak mnie zasmuca. Czy to nie absurdalne, że wspomnienia o dobrych czasach o wiele częściej doprowadzają do łez niż wspomnienia o tych złych?

Zdawał się nie oczekiwać odpowiedzi na to pytanie, bo ciągnął zaraz dalej. – Ten przyjaciel był człowiekiem, jednym z niewielu, którzy nadal odważali się żyć w Camonii i nie wywędrowali na inne kontynenty. Mieszkał ze swoimi rodzicami w małej ludzkiej kolonii w dolinach gór Midgardu, gdzie nawet do dzisiaj ukrywają się podobno niektórzy z nich.

Ten przyjaciel był już pisarzem w momencie przyjścia na świat. Nie mam tym samym na myśli, że od razu potrafił pisać, nie, tego nauczył się jak wszyscy inni dopiero później. Ale głowę miał już pełną pomysłów i historii, w momencie, gdy ujrzał światło tego świata. Jego mała czaszka była całkowicie nimi wypełniona i napędzały mu one strachu, szczególnie nocą, gdy było ciemno. Nie pragnął niczego innego, jak pozbyć się tych historii, ale nie wiedział jak, ponieważ mowa nie była jego dobrą stroną, a pisać też jeszcze nie potrafił. Coraz to nowsze pomysły przepływały przez jego umysł ze wszystkich stron, aż jego mała czaszka stała się całkiem ciężka i całe dzieciństwo musiał chodzić z opuszczoną głową.

Obok mnie zgasała świeca, tchnienie wiatru przeleciało mi po twarzy i jak na rozkaz dziwna muzyka Pałacu Cieni znów się rozpoczęła.

– Potem nauczył się w końcu pisać – kontynuował Król Cieni – i mógł zrzucić z siebie cały ten balast, spłynął on z atramentem na papier, pokrywając całe jego kilometry. Nie mógł już nawet przestać i wcale też tego nie chciał, ponieważ był to najpiękniejszy stan, jaki znał: stan, gdy spisywał na papierze swe historie.

Król Cieni umilkł na chwilę.

– Czy jest to historia, która mogłaby cię zainteresować? – spytał. – Czy może cię nudzę?

Będzie to więc historia o poecie. Nie gniewajcie się, moi ukochani przyjaciele, ale spodziewałem się czegoś bardziej pasjonującego. Obiecał mi niesamowitą historię. Wyobrażałem sobie zatem opowieść o Pajaxxxach i Harpirach, łowcach książek i wiele, wiele krwi. W żadnym wypadku nic o poetach. Większość opowieści o poetach jest tak podniecająca jak zerknięcie w zakurzone regały *Komnaty Cudów* u buchlingów.

Mimo wszystko potrząsnąłem przecząco głową.

– Muszę chyba jeszcze bardziej się wysilić, żeby cię zanudzić – zaśmiał się Król Cieni. – Pierwsze historie, które stworzył mój przyjaciel, były zagmatwanymi płodami, ponieważ nie dysponował przecież żadnym życiowym doświadczeniem. Ale za to przedziwną i mroczną prawdą. Wiedział o rzeczach, jakie mogły się wydarzyć tylko w miejscach, które znajdowały się w obcych dalekich światach albo w innych wymiarach. Opisywał kreatury i ich egzystencje w pustych międzygwiazdnych przestrzeniach, znał ich dziwaczne myśli, sny i pragnienia. Opisywał miejsce na dnie oceanu składającego się z gazu, zamieszkałe przez trujące istoty, zwalczające się wzajemnie, kochające i zabijające. Nikt nie wiedział, skąd czerpie tak absurdalną wiedzę, a niektórzy uważali, że ma pomieszczone w głowie.

Król Cieni odetchnął z szelestem, dźwięk przypominał odgłos, jaki wydają torebki z papieru, nadmuchiwane powoli i opróżniane.

– Nie mógł patrzeć na żadną gnającą po niebie chmurę, nie widząc w niej epickiej historii jakiegoś ludu chmur. Ani na pędzącą wodę, nie widząc w niej przezroczystych bajecznych postaci. Ani na łąkę, nie wymyślając zaraz sagi o rasie żdźbeł trawy. Owady unosiły się wokół niego i opowiadały mu o swym małym losie. Ludy mrówek prowadziły wojny, by mógł stać się kronikarzem ich krwawych bitew.

Ponieważ jego rodzice i towarzysze zabaw wyśmiewali taką pisaninę, czuł się niezrozumiany i zwracał się ze swymi pismami do publiczności złożonej z duchów. Dla tych duchów wycinał, kształtował, budował, malował i śnił świat, w którym każde słowo, każde uczucie, każde stworzenie, każde wydarzenie, każda litera i każdy przypadek były na swoim miejscu. A gdyby kiedyś dokończył to budować, ten świat, dokończył pisać i oczyścić go ze wszystkich błędów pisowni i kwiatków stylistycznych, wtedy nadeszłaby jego publiczność i zamieszkałaby tam razem z nim. Byłby to świat duchów, stworzony przez jego ducha i zamieszkały przez wiele innych.

Tworzył go więc, słowo po słowie, rozdział po rozdziale. Starannie układał sylaby, łączył słowa, piętrzył zdanie na zdaniu. Kuriozalne były budynki, które tworzył, niektóre utkane w całości z sennych splotów, inne zbudowane z przeczuć i lęków.

Zbudował pałac dla zamarznętych, cały ze śniegu i lodu, i zaludnił go kryształkami śniegu, unoszącymi się jego zamarznętymi korytarzami i wypełniającymi go swym dźwięcznym śpiewem.

Założył bagno dla topielców, na którym dzieci, które zatonęły, spokojnie mogły pływać na płatkach lilii wodnych, przyjaźniąc się z żabami i grązłami.

Wzniecił ogień dla spalonych, wielki i huczący jak pożar lasu, falujący jak smagane

sztormem morze, w którym mogły tańczyć duchy, jako płomienie rozedrgane w wiecznej ekstazie, by mogły zapomnieć o swych strasznych bólach.

Zbudował dom dla tych, którzy sami podnieśli na siebie rękę, *Gospodę Łez* z murami z wiecznego deszczu.

W końcu wybudował azyl dla tych, którzy umarli w obłądziej. Był to największy i najokazalszy budynek ze wszystkich, pokryty mieniącymi się barwami tęczy nieistniejącymi w żadnej rzeczywistości, rządzący się własnymi prawami: Można było w nim spacerować po sufitach, a czas płynął do tyłu.

Któregoś dnia mój przyjaciel spoglądał na swe odbicie w lustrze. Widział, jak to odbicie doskonale naśladowało jego grymasy i łamańce, jak doskonale imitowało rzeczywistość. I pomyślał: Chcę być taki, jak ta istota w lustrze. Chcę tak samo dobrze imitować życie. Chcę być też taki samotny.

Król Cieni umilkł na chwilę.

– Brzmi to tak, jak gdyby twój przyjaciel był bliski utraty zmysłów – wymusnęło mi się. – Tak, jakby musiał się skonsultować z doktorem od głowy.

Król Cieni zaśmiał się straszliwie.

– Tak, on też tak czasem myślał. Ale choroba nie osiągnęła nigdy tych łaskawych rozmiarów, by doprowadzić go do pobytu w zakładzie zamkniętym i oszczędzić mu pracy. Nie była wystarczająca na wariata. Tylko na pisarza.

I ja musiałem się teraz zaśmiać. Król Cieni dysponował widocznie czymś w rodzaju poczucia humoru, nawet jeśli był on raczej z kategorii tych mrocznych.

– Mój przyjaciel rzeczywiście zdał sobie sprawę, że nie może być tak dalej, jeśli nie chce skończyć w kaftanie. Przejrzał, że musi zwrócić się bardziej w stronę ziemskich spraw. Opuścił więc budowlę swego szaleństwa, pozwolił, by obróciły się w przepiękne ruiny, do których sam nawet rzadko zaglądał. I skoncentrował się na tym, co go otaczało.

Król Cieni ponownie zrobił krótką pauzę i oddychał ciężko, jak gdyby dłuższa wypowiedź stanowiła dla niego niejaki wysiłek. Wykorzystałem okazję, by się szybko rozejrzeć i rozpoznać rzeczywistość, która akurat *mnie* otaczała. Z pewnością nie bardzo różniła się od warunków, jakie zapewne panowały w budowlach szaleństwa owego tajemniczego poety! Upiorna muzyka tańczyła delikatnie i cicho poprzez salę, a *Żywe Księgi* utworzyły okrąg w pełnej respektu odległości wokół Króla Cieni, skąd zdawały się uważnie go słuchać. Może słuchały tylko przedziwnych modulacji jego głosu.

– Mój przyjaciel poeta opisywał teraz jedynie najprostsze rzeczy, jakie mógł znaleźć – kontynuował – i stwierdził, że było to zadanie najtrudniejsze z możliwych.

Łatwo było opisywać pałac ze śniegu i lodu, lecz niewymownie trudno było zrobić to samo z pojedynczym włosem. Albo łyżką. Igłą. Zębem. Ziarenkiem soli. Drzazgą drewna. Płomieniem świecy. Kroplą wody. Stał się kronikarzem najbardziej banalnych codziennych wydarzeń, notował prowadzone mimochodem rozmowy ze swego otoczenia, tak regularnie i zdyscyplinowanie, że stał się chodzącym notatnikiem przekształcającym wszystko automatycznie w literaturę. Także tym razem zauważył dostatecznie w porę, że prowadzi go to w ślepą uliczkę.

– Inaczej skończyłby pewnie jako pisarz sądowy albo stenograf w jakimś natiftofskim urzędzie katastralnym – ośmieliłem się zauważyć.

– Dokładnie – powiedział Król Cieni. – Mój przyjaciel był bliski zwątpienia. Im więcej pisał, tym mniej zdawały się mówić jego słowa. I w końcu nie mógł już pisać w ogóle. Dniami, tygodniami i miesiącami siedział nad pustą kartką, nie tworząc ani jednego zdania. Zaczął już nawet myśleć o udaniu się do *Zajazdu Łez* i powieszeniu się tam na powrozie z sennych splotów. I wtedy, jak grom z jasnego nieba, dopadło go jedno z najbardziej radykalnych i szczęśliwych zdarzeń w jego życiu.

– Znalazł wydawcę? – wtrąciłem.

Król Cieni milczał wystarczająco długo, abym mógł powstydić się mojej głupiej uwagi.

– Przeniknął go Orm – kontynuował wreszcie. – Tak nagle i intensywnie, że myślał z początku, że umrze.

Król Cieni wierzył w Orma? Najwidoczniej na tym kontynencie nie da się zejść dostatecznie głęboko, by dotrzeć do miejsca, w którym nikt nie wierzy już w ten stary mit. Pilnowałem się jednak, żeby nie wyrwać się z kolejną głupią odzywką.

– Przeniknął go całkiem niespodziewanie. Orm uwolnił jego ducha i poprowadził go daleko w górę, do takiego miejsca w kosmosie, gdzie krzyżują się i jednoczą wszystkie artystyczne idee. Było to miejsce bez substancji, bez życia, bez jednego atomu materii, ale o tak skupionej sile wyobraźni, że doprowadzała ona do tańca sąsiadujące z nią gwiazdy. Można było tam nurkować w czystej fantazji i czerpać siłę, która dla większości ukryta jest przez całe życie. Jedna jedyna sekunda w tym polu siłowym starczyłaby, aby spłodzić powieść. Było to szalone miejsce, gdzie zniesiono wszystkie prawa przyrody, gdzie spiętrzone na sobie wymiary leżały jak nieuporządkowane rękopisy, gdzie śmierć była tylko głupim żartem, a wieczność mgnieniem oka. Gdy wrócił z tego miejsca, był wypełniony po brzegi słowami, zdaniem, ideami, wszystkie do dyspozycji, wypolerowane i oszlifowane, musiał je jedynie spisać. I był szczęśliwy i oszołomiony zarazem tym, jak dobre było to, co spływało spod jego pióra, i jak mało

właściwie się do powstania tego przyczynił.

Nic dziwnego, pomyślałem, że tak wielu Chciałbym-Być-Artystów fantazjowało o Ormie. Był to sen leniwych poetów: wziąć po prostu pióro do ręki, a wszystko napisze się samo. Pięknie by było.

– Dopiero teraz, gdy mój przyjaciel napisał tę historię pod wpływem Orma, czytając ją wciąż i wciąż na nowo, dopiero teraz poczuł się naprawdę poetą. I zebrał się w końcu na odwagę, wysyłając to opowiadanie wraz z listem do Twierdzy Smoków.

– Co? – spytałem nagle zbaraniały. Nagła wzmianka o moim domu trafiła mnie jak cios maczugą.

– No, jest to przecież to, co robią młodzi camońscy poeci, kiedy uważają, że stworzyli coś nadającego się do pokazania. Wysyłają to do jednego ze swych idoli z Twierdzy Smoków.

To prawda. Twierdza Smoków była niemal zavalona manuskryptami młodych pisarzy.

– W wypadku mojego przyjaciela idol ten nazywał się Dancelot Tokarz Sylab – powiedział Król Cieni.

Bang! Drugi cios maczugą. Mogłem mówić o szczęściu, że już siedziałem, inaczej osunąłbym się pewnie na kolana.

– Dancelot Tokarz Sylab? – spytałem jak ogłuszony.

– Tak. Znasz go?

– On jest... on był moim ojcem poetyckim.

– Co ty powiesz. Jakież to przypadki się zdarzają. – Król Cieni odchrząknął.

– Zaraz! Twój przyjaciel napisał list do Dancelota? Wysłał mu rękopis? Prosząc go o radę i o ocenę?

– Tak było. Ale jeśli chcesz, to ty możesz opowiedzieć tę historię do końca. W końcu to ty jesteś poetą.

– Przepraszam! – powiedziałem.

– Dobrze. Żeby nie przeciągać: Dancelot był zachwycony historią mojego przyjaciela i dał mu dobrą radę, by niezwłocznie udał się do Księgogrodu i szukał tam wydawcy. On poszedł za jego radą, wybrał się w podróż do Księgogrodu i błędził tam najpierw parę dni. Aż któregoś dnia zagadnął go na ulicy jeden z agentów literackich, którzy szukają tam nowych talentów. Pokazał mu parę swoich prac. Agent nazywał się Claudio Harfenstock.

– Harfenstock? – niemal wykrzyczałem to nazwisko.

– Tego też znasz?

– Tak – powiedziałem bezbarwnie.

– Znowu przypadek, co? – powiedział Król Cieni. – Życie jest pełne niespodzianek, nieprawdaż? Cóż, Harfenstock w każdym razie niewiele mógł począć z pismami mojego przyjaciela, ale zafundował mu chleb pszczeli i dał adres uczonego o nazwisku...

– Fistomefel Szmek!

– Fistomefel Szmek, dokładnie. Twój przyjaciel i dobroczyńca, który wpakował cię w katakumby. Mój przyjaciel odszukał Szmekja i pokazał mu parę swoich prac. Wiersze, krótkie opowiadania, kopię historii, którą wysłał do Twierdzy Smoków, i tak dalej. Szmekj poprosił o jeden dzień na analizę, a następnego dnia mój przyjaciel powrócił do niego. Szmekj nie posiadał się z radości, był pełen entuzjazmu dla pracy mojego przyjaciela. Przepowiadał mu świetlaną przyszłość i określał go jako największy talent, jaki kiedykolwiek odkrył. Szmekj wykombinował już wyrafinowaną strategię rozwoju kariery pisarskiej mojego przyjaciela, ułożył skomplikowane umowy i wyszukał nawet rodzaj typografii pasującej podobno najlepiej do jego dzieła. Ale zanim wprowadził to wszystko w życie, Fistomefel Szmekj chciał jeszcze pokazać coś mojemu przyjacielowi. Fragment w pewnej książce.

– Nie! – zawołałem, jak gdybym mógł tym zatrzymać dawno już rozegrane wydarzenia.

– Nie? – spytał oburzony Król Cieni. – Mam przestać?

Zaprzeczyłem głową.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Szmekj wyciągnął książkę ozdobioną znakiem trójkąta. Mój przyjaciel przekartkował ją na jego polecenie, aż dotarł do strony 333. Potem zemdłał, ponieważ była to zatruta książka, *Niebezpieczna Księga*, której działająca przez dotyk trucizna go uśpiła.

Król Cieni zrobił ponownie długą przerwę.

– I tu – powiedział następnie – *tu rozpoczyna się dopiero moja historia*.

Tego było już za wiele. Wyrzuciłem łapy w górę, by mu przerwać. Musiałem pozbyć się tego podejrzenia, zanim rozerwałoby mnie od środka.

– Proszę – zawołałem. – Odpowiedz na pytanie: Czy... to ty jesteś tym poetą, który wysłał ów rękopis do Dancelota? Czy sam jesteś tym przyjacielem, o którym cały czas opowiadasz? Musisz mi to powiedzieć!

Król Cieni zaśmiał się, tym razem brzmiało to jeszcze bardziej przerażająco i gorzko niż poprzednio.

– A czy tak wyglądam? – spytał potem. – Czy wyglądam jak *człowiek*?

Nie, w zasadzie nie, to musiałem przyznać. Przynajmniej to, co było mi do tej pory dane zobaczyć, tak nie wyglądało. Z tego, co wiedziałem o tych istotach, był on prawie dwa razy większy niż przeciętny człowiek. Nie wiedziałem, jaką odpowiedź wybrać, żeby go nie zranić.

– Powiedz mi: Czy wyglądam jak człowiek? – jego głos był teraz zimny i władczy.

– Nie – odpowiedziałem cicho.

– Dobrze – powiedział Król Cieni. – Mogę więc chyba wreszcie opowiedzieć moją historię do końca. I uczynię to bez *żadnych dalszych przerw*, chyba, że sam uznam za stosowne użycie jakiejś dramatycznej pauzy. Zrozumieliśmy się?

– Tak jest – powiedziałem cicho.

Król Cieni sapnął parę razy, by się uspokoić.

– Gdy mój przyjaciel się obudził – ciągnął dalej całkiem spokojnie – pomyślał, że znajduje się pod wodą. Ale ciecz, która go otaczała, miała dziwne właściwości, których woda zwykle nie posiada. Była ciepła i śluzowata. Mógł też obserwować Szmejka przez szyby akwariium, w którym się znajdował, manipulował on przy jakichś alchemicznych urządzeniach, *i mógł oddychać tą cieczą!* Nie była jedynie wokół niego, była wszędzie, wypełniała jego gardło, drogi oddechowe, uszy, płuca. Nadal był jeszcze otępiały i nie mógł ruszyć żadnym palcem, a jego ciało unosiło się w wyprostowanej pozycji. Ani nie opadało, ani nie podnosiło się.

Szmejki podszedł do akwariium, wyszczerzył się, zapukał swymi wieloma rączkami w szybę i przemówił do mojego przyjaciela. Ten słyszał głos Szmejka, jak ktoś pogrzebany żywcem, słyszący, poprzez trumnę i warstwę ziemi, żałobników rozmawiających nad jego grobem.

– Obudziłeś się – przemówił Szmejki. – Tak grzecznie sobie spałeś. Tak głęboko. Tak długo. Wystarczająco długo, bym mógł przygotować wszystko do wielkiej transsubstancjacji. Tak, przeistoczę cię, mój ludzki przyjacielu i nie będziesz już po tym człowiekiem, o nie! Tylko wyższą istotą. Rozumiesz mnie? – zapukał znów w szkło. – Pomogę ci, stwarzając ci nowe ciało. Ciało, które o wiele lepiej będzie pasowało do twego poetyckiego umysłu. I nie tylko. Pomogę ci, tworząc nową egzystencję. Nie musisz mi za to dziękować, robię to z przyjemnością.

Mój przyjaciel wpadł w panikę. Ciecz stawała się coraz cieplejsza, potem gorąca, nieznosnie gorąca. Wielkie bańki powietrza unosiły się przed nim powoli, lecz uparcie w górę i w końcu pojął, że ciecz zaczęła się gotować. Był gotowany żywcem.

Szmejki zastukał raz jeszcze w szybę.

– Teraz wiesz, jak czuje się homar, gdy się go przyrządza – zawołał. – Kucharze

twierdzą, że homary nic nie czują, ale uważam to za kłamstwo. Muszę powiedzieć, że nie zazdroścę ci tego jedyne go w swym rodzaju przeżycia.

Łaskawe omdlenie ogarnęło mego przyjaciela. Śnił o wielkim ogniu niszczącym Księgogród. Potem zauważył, że sam jest przyczyną ognia, że stojąc w płomieniach brnie przez miasto, podpalając dom za domem. Był bowiem w swym śnie *Czarnym Człowiekiem z Księgogrodu*, który według legendy spowodować miał pierwszy pożar tego miasta.

Potem znów się przebudził. Jedyne, co mógł zobaczyć, była twarz Szejka, znajdująca się w bardzo bliskiej odległości. Zdawało się, że Szejek stoi tuż przed nim. Ale i tym razem nie mógł ruszyć ani jednym mięśniem. Pełen zdumienia zauważył, że Szejek trzyma swoje dwie małe rączki na jego policzkach – tak, jakby go głaskał. Ulgę zaś odczuł mój przyjaciel z tego powodu, iż ciecz zniknęła, a on znów był otoczony powietrzem.

– Och, budzimy się niestety w całkiem niekorzystnym momencie – powiedział Szejek ze szczerym ubolewaniem. – Nie sądz, że zrobiłem ci to specjalnie, to naprawdę głupi przypadek. Ale środek otepiający w twoim mózgu chadza własnymi drogami. No cóż, skoro tak już się stało, pomogę ci obejrzeć ten niecodzienny widok. Coś takiego nie jest zazwyczaj nikomu dane.

Fistomefel Szejek obrócił głowę mego przyjaciela w innym kierunku, tak by mógł on patrzeć teraz na stół laboratoryjny, na którym w srebrnej wannie, w mlecznej substancji pływała ludzka ręka.

– Tak, dokładnie – powiedział Szejek. – To *twoja* ręka. Ręka, którą piszesz!

Potem obrócił głowę w innym kierunku. W wysokim smukłym szkle stojącym na stołku, zanurzoną w jasnej cieczy, zobaczył mój przyjaciel unoszącą się, czysto oddzieloną nogę.

– A to jedna z twoich nóg – powiedział Szejek. – Lewa, tak mi się zdaje – zaśmiał się.

Znów obrócił głowę w innym kierunku. Na stole sekcyjnym leżał korpus, z którego usunięto ręce, nogi i głowę. Rany przykryto litościwie gazą.

– To twój tułów. Czyściłem właśnie nacięcia roztworem alchemicznym. Tak, mój drogi, obudziłeś się w naprawdę niekorzystnym momencie. Znajdujemy się właśnie w fazie ćwiartowania. To konieczne, by starannie wyestymować pojedyncze części ciała. Nie bój się, zszyję cię później w odpowiedniej kolejności. Jestem dość dobry we władaniu igłą.

Jakaś postać nadeszła z boku, stając za tułowiem. To był Claudio Harfenstock, agent.

Miał na sobie biały fartuch, z góry do dołu obryzgany krwią. Zaśmiał się przyjacielsko i pomachał piłą, która także była splamiona krwią.

I wtedy mój przyjaciel w końcu pojał. To nie był koszmar. Naprawdę znajdował się w laboratorium Szmejka. Ale nie stał, tak jak mu się zdawało, na wprost Robakina, ponieważ jego ciało rozsypane było w częściach po całym laboratorium. To Szmejk trzymał w górze jego uciętą głowę i obracał nią we wszystkie strony.

I wtedy Szmejk rzucił głowę wysoko jak piłkę. Przez jedną przerażającą chwilę mój przyjaciel mógł obejrzeć całe laboratorium, ze wszystkimi jego chemicznymi przyrządami, tajemniczymi aparatami, szklanymi pojemnikami i olbrzymimi bateriami alchemicznymi. Zobaczył raz jeszcze swe poćwiartowane części ciała i zobaczył też Robakina z Harfenstockiem, którzy z rozbawieniem spoglądali na niego w górę. Potem znów spadł na dół i złapały go ręce Szmejka.

– Gdy obudzisz się ponownie – powiedział – będziesz kimś zupełnie innym.

Mój przyjaciel popadł ponownie w głębokie omdlenie.

Gdy ocknął się znowu, stał rzeczywiście w pozie wyprostowanej, ponieważ czuł pod sobą swe ciało, czuł je zbyt wyraźnie przez wszystkie szalejące w nim bóle. Spojrzał w dół i stwierdził, że był przymocowany do drewnianej płyty. Zobaczył, że całe jego ciało owinięte było starym papierem, pokrytym dziwnymi znakami. Usiłował się uwolnić, ale żelazne kajdany u jego rąk i nóg, wokół gardła i ud trzymały go twardo na miejscu. Nadal znajdował się w laboratorium. I wtedy Fistomefel Szmejk i Claudio Harfenstock wkroczyli w pole jego widzenia.

– Och, znowu się obudził – powiedział uradowany Szmejk. – Popatrz Claudio!

– Dobrze przymocowałeś kajdany? – spytał trwożliwie Harfenstock.

– Popatrz, jaki jest teraz wielki – powiedział Szmejk. – Kolos!

Podeszli do niego blisko, a mój przyjaciel zadawał sobie pytanie, dlaczego musi patrzeć na nich z góry. Wydawało się, że urósł przez noc.

– Dziwisz się pewnie tym całym papierem – powiedział Szmejk – i będziesz przypuszczał, że to jakieś buchemiczne czary mary, które zaraz usuniemy. Ale tak nie będzie. Nie, nie.

Coś w głosie Króla Cieni postawiło mnie w stan gotowości, moi drodzy przyjaciele. Cały czas byłem oczarowany jego żywą opowieścią i zajmującą historią grozy, ale teraz nurt jego opowiadania zaczął się zacinać. Coś zdawało się mocno go poruszać, a ten przerażający ton w jego głosie zyskał na przewadze.

– Nie, tak nie będzie – zawołał Król Cieni, wcielając się w rolę Szmejka. – To, co cię pokrywa, to coś więcej niż odrobina buchemicznego papieru. To twoja nowa

skóra! Obiecałem ci to i dotrzymałem mej obietnicy. Przekształciłem cię w całkiem nową istotę.

Zerwałem się wraz z tym zdaniem na nogi, ponieważ Król Cieni podniósł się niespodziewanie ze swego tronu! Wsparł się na poręczach, podnosząc powoli swe ciało. Jego głos stał się tak grzmiący i przerażający jak ryk rannego lwa.

– I Fistomefel Szmejk powiedział do mojego przyjaciela: Byłeś kiedyś człowiekiem, a jesteś teraz potworem! Byłeś kiedyś mały, a teraz jesteś kolosem. Jestem twoim stwórcą, ty jesteś moim tworem. Zwę cię – *Homunkolos!*

Wypowiadając to imię, Król Cieni wkroczył w światło świec, moi drodzy przyjaciele, i po raz pierwszy zobaczyłem jego postać. Mimowolnie krzyknąłem ostro i cofnąłem się sporo kroków, tak jak i *Żywe Księgi* będące w sali, które wycofały się na ten potworny widok.

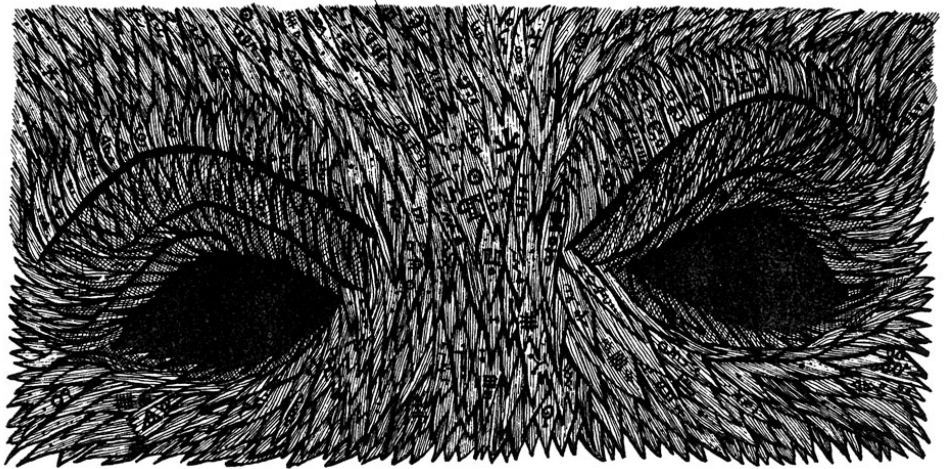
Stało tam stworzenie od stóp do głów składające się z papieru. Jediną rzeczą przypominającą w nim człowieka był kształt jego ciała. Ręce, nogi, korpus, głowa, nawet twarz – wszystko było na swoim miejscu, jednak składało się z niezliczonych warstw prastarego, pożółkłego papieru. Z tysięcy skrawków pokrytych tymi samymi dziwnymi runami co strzępki, których śladem podążałem w labiryncie. A to, co w półmroku wzięłem za zęby korony, było obdartymi końcówkami papierowych skrawków, z których uformowano tę istotę. Gdyby nawet rzeźba z kamienia lub brązu ożyła niespodziewanie, nie przeraziłaby mnie tak, jak ten olbrzymi twór z papieru, który powoli zmierzał w moją stronę.

– Nie – powiedział Król Cieni, a jego głos z każdym zdaniem i krokiem stawał się coraz groźniejszy. – Nie jestem już człowiekiem. Nie jestem już poetą, którego cały czas szukałeś. Byłem nim kiedyś, dawno temu. Teraz jestem czymś nowym, czymś innym. Czymś o wiele większym. Jestem potworem. Mordercą. Łowcą. Jestem Królem Pałacu Cieni. Jestem – Homunkolosem.



MROCZNE WYGNANIE

Stałem nieruchomo i szykowałem się na śmierć. Ucieczka przed takim potworem nie miała żadnego sensu, jedynie niepotrzebnie wydłużyłaby moje męki. Homunkolos zwabił mnie do swego posępnego królestwa, by się na mnie zemścić. Miałem umrzeć zamiast tych wszystkich, którzy wyrządzili mu krzywdę. Z opanowaniem wielkiego drapieżnika, który wie dokładnie, jak bezsensowna jest ucieczka przed nim, zbliżał się powoli do mnie. Jego twarz była pełna dziwnej piękności, nawet jeśli była maską potwora. Jego nos, usta, uszy składały się z nałożonych na siebie warstw kunsztownie sporządzonego papieru – byłem w stanie żywo sobie wyobrazić, jak Fistomefel Szmejk swymi wieloma małymi rączkami długo i z poświęceniem je modelował. Nawet zęby Homunkolosa składały się z postrzępionego pergaminu, zahartowanego być może dodatkowo żywicą, były złote i migoczące w świetle świec. Najstraszliwsze jednak były jego oczy: tam, gdzie z reguły znajdują się gałki oczne, ziały czarne dziury.



Zobaczyłem teraz, że nie składał się wyłącznie z papieru: jego barki i łokcie, kolana, biodra i gardło obciążnięte były elastyczną brązową substancją, która wyglądała jak skóra. Naturalnie – to skóra trzyma razem strony książki, zrozumiałe więc, że z tym stworzeniem było podobnie. Z pewnością znający się na jakości Szmejk przerobił jedynie wysokowartościową antykwaryczną skórę.

Gdy był już na wyciągnięcie ręki, Homunkolos pochylił się, wionął mi w twarz swym oddechem, pachnącym dziwnie przyjemnie starymi książkami, i spytał:

– No? Co jest? Chcesz nadal usłyszeć resztę opowieści?

Skinąłem głową, mimo że potraktowałem to pytanie jak ostatni mroczny żart, na który pozwolił sobie, zanim rozerwie mi gardło papierowymi pazurami.

Ale Homunkolos powiedział tylko:

– Dobrze. Z pewnością zadajesz sobie pytanie, co takiego ma w sobie ten papier. I dlaczego tkwię uwięziony tutaj, mimo że jestem tak olbrzymim i silnym stworzeniem, które nie musi się obawiać nikogo. Dlaczego nie pójdę po prostu na górę i nie wyrwę Szmejkowi serca z jego tłustego cielska? I dlaczego w ogóle Szmejk wygnał mnie do katakumb, skoro miał tak dobre mniemanie o moich literackich umiejętnościach?

Na każde z jego pytań odpowiadałem skinieniem. Najwidoczniej trwale odebrało mi mowę. Gdybym spróbował powiedzieć coś w tym momencie, wydobyłbym z siebie tylko chrypienie.

Król Cieni usiadł ponownie na swym tronie, a *Żywe Księgi* zbliżyły się nieco, gdy zauważyły, że ich pan i władca znów się uspokoił.

– Fistomefel Szmejk wytłumaczył mi wszystko, gdy byłem jeszcze przywiązany w laboratorium – powiedział Homunkolos. – Po pierwsze kwestia z papierem. Szmejk podszedł do mnie bardzo blisko i przesunął swymi wieloma rękami po poźółkłych skrawkach, które mnie okrywały.

– Wiesz, jaki to gatunek papieru? – spytał mnie Szmejk. – To prastary, buchemiczny, tajemny papier. Buchemicy, którzy przed wieloma stuleciami żyli i pracowali pod Księgogradem, trwali w ciągłej panice, że ich tajemna wiedza, ich cenne notatki i rysunki zostaną ukradzione i użyte przez uczonych z powierzchni. Z tego też powodu rozwinęli wyrafinowane tajemne pismo, które było tak skomplikowane, że do dnia dzisiejszego nie zostało rozszyfrowane, ja sam łamałem sobie już na tym zęby. Ale to nie wystarczyło strachliwym buchemikom, o nie! Stworzyli rodzaj papieru, który był tak wrażliwy na światło, że zapalał się momentalnie, gdy padał na niego choć jeden promień słońca, ba, nawet promień tego ciała niebieskiego odbity przez księżyc. Papier, który mógł istnieć tylko w ciemnościach katakumb – Szmejk zabrał ze mnie swe ręce i wyszczerzył się do mnie.

– Ten tajemny papier, wraz ze znajdującym się na nim tajemnym pismem, jest twoją nową skórą. Nasączyliśmy go rozmaitymi animistycznymi i buchemicznymi olejami i esencjami, a potem przykleiliśmy do twego mięsa za pomocą jedyne w swym rodzaju kleju książkowego, którego nie da się niczym rozpuścić. Jeśli będziesz próbował

oderwać swoją nową skórę od ciała, sam rozerwiesz się na strzępy.

– Wcałe nie było łatwo załatwić ten najrzadszy z papierów – kontynuował – ale dzięki moim różnorodnym kontaktom udało mi się to wreszcie, nie masz pojęcia, jak kosztownym cię to czyni. Zużyliśmy na ciebie niesamowite ilości tych papirusów, porwaliśmy na skrawki setki buchemicznych notatników, a potem starannie przykleiliśmy je do twoich członków, zanim złożyliśmy cię na nowo. Warstwa po warstwie. Dlatego jesteś taki duży, składasz się teraz w jednej trzeciej z papieru. Ten materiał jest, abstrahując już od jego łatwopalności, ekstremalnie wytrzymały i niezniszczalny. Buchemicy stworzyli go, by ich notatki przetrwały tysiąclecia. Ale jak już wspominałem, wystarczy jeden promień słońca lub księżyca, byś od stóp do głów zajął się płomieniami. Głęboko na dole, na mrocznym wygnaniu w katakumbach możesz prowadzić długie, długie życie. Ale na powierzchni Księgogrodu spłoniesz w ciągu sekundy.

– Zostań więc grzecznie na dole, koleżko – wtrącił z tyłu Harfenstock.

– Pozwoliłem też sobie – ciągnął dalej Szmejk – wstawić ci parę nowych organów. Słyszałeś pewnie o eksperymentach, jakie buchemicy przeprowadzali na *Żywych Księgach*. Dokonano ogromnych postępów w dziedzinie wytwarzania sztucznych organów – zabiegi, które według prawa camońskiego są niestety nielegalne. Wszczepiłem ci nowe serce zasilane alchemiczną baterią. Stworzyliśmy ci wątrobę składającą się z pięciu wołowych wątrób, wytrzyma stulecia. W twoim mózgu jest teraz gruczoł należący kiedyś do dzikiego goryla górskiego. Będzie regulował twoją wściekłość. Udało nam się namówić szczególnie krzepkiego łowcę ksiązek do ofiarowania ci paru mięśni – zaraz po tym jak daliśmy mu do przeczytania jedną z moich *Niebezpiecznych Ksiązek*. Należy wspomnieć o jeszcze jednym organie, o którym większość nie wie nawet, że jest organem – o twojej krwi.

Szmejk skierował się w stronę szafy i przyniósł wielką pustą butelkę.

– Pozwoliliśmy sobie odświeżyć odrobinę twoją krew. Szlachetnym winkiem. Najszlachetniejszym winem, jakie istnieje. Mianowicie całą butelką *Wina Komety*. Najdroższego wina w Camonii. Jak widzisz, nie oszczędzaliśmy na kosztach.

Szmejk rzucił pustą butelkę niedbale za siebie, rozbiła się z hukiem.

– Mówi się, że domieszka krwi w *Winie Komety* jest nieprzemijalna i daje wieczną siłę. Rodzaj źródła młodości, który płynie teraz w tobie. Najbardziej interesujące w *Winie Komety* jest to, że zostało ono przeklęte. Na wieki będziesz teraz nosił w sobie tę klątwę. To czyni z ciebie, że tak powiem, postać wiecznie tragiczną. Romantyczne, czyż nie?

Szmejk spojrział na mnie z udawanym ubolewaniem.

– No cóż, wymieniliśmy jeszcze w tobie to i owo, parę organicznych, parę mechanicznych rzeczy, nie chcę cię teraz zanudzać szczegółami. Poznasz to po energii i twoich nowych zdolnościach, kiedy już trochę wypoczniesz. Prowadząc zdrowy tryb życia, możesz przetrwać w katakumbach całe stulecia.

Szmejk udał się w stronę stołu laboratoryjnego, gdzie zaczął nabijać strzykawkę jakąś żółtą cieczą.

– I będziesz pewnie zadawał sobie jeszcze jedno pytanie! – powiedział. – Dlaczego, do kata, zadajemy sobie tyle trudu i nie zabijemy cię po prostu? Ale i na to mamy całkiem prostą i ważką odpowiedź. Chodzi o to: Na powierzchni Księgogradu mam wszystko pod kontrolą, ale co się zaś tyczy katakumb, to całkiem inna historia. Brakuje mi możliwości zainterweniowania i uregulowania pewnych spraw na dole. W ostatnim czasie łowcy książek za dużo sobie pozwalają w labiryntach. Jest ich teraz zbyt wielu. Są zbyt chciwi. Zbyt głupi. A niektórzy z nich, szczególnie ten chory umysłowo rzeźnik Rongkong Przecinak, są, jak dla mnie, zbyt potężni i aroganccy. Krótko mówiąc, chcę żebyś zadbał tam na dole trochę o porządek. Dlatego uczyniłem cię tak silnym. Tak wielkim. Tak niebezpiecznym. Chciałbym, żebyś sprzątnął trochę łowców książek. Żebyś ich nieco, powiedzmy, zdziesiątkował. Zrobiłbyś to dla mnie?

Szmejk wyszczerzył się.

– Wiem, co sobie teraz myślisz! Myślisz: Niech mnie diabli porwą, a nie będę pomagierem Fistomefela Szmejka! Lecz i o to zadbałem. Wyzaczyłem mianowicie spore wynagrodzenie za twoją głowę wśród łowców książek. A Rongkongowi Przecinakowi obiecałem największe. Jeśli nie pójdziesz do łowców książek, sami po ciebie przyjdą. Żaden z nich nie ma pojęcia, jaki jesteś silny. Zanim się to rozejdzie, przeniesiesz połowę z nich w stan spoczynku. Nie możesz nic na to poradzić. W momencie, gdy pojawisz się tam na dole, będą już deptać ci po piętach. I uwierz mi: Już ja się o to zatroszczę, żeby twoje pojawienie się było huczne.

Szmejk obserwował ciecz w strzykawce.

– Jesteś więc teraz chodzącą książką. Najrzadszą, najkosztowniejszą, najbardziej niebezpieczną i co za tym idzie – najbardziej poszukiwaną księgą katakumb. Jesteś materiałem, z którego powstaną legendy. A to prowadzi nas do ostatniego, prawdopodobnie najbardziej palącego pytania: Dlaczego obdarzyłem cię takim wsparciem? Nic przecież dla mnie nie zrobiłeś! Pokazałeś mi tylko zwitek manuskryptów, to wszystko. Co czyni cię więc takim niebezpiecznym dla mnie?

Szmejk, budując napięcie, pozwolił, by pytanie zawisło na chwilę w powietrzu.

Także Król Cieni pozostawił to pytanie na męcząco długą chwilę i milczał. Z trudem zmuszałem się, by nie wtrącić jakiegoś pytania. Nawet *Żywe Księgi* szeleściły i popiskiwały z niecierpliwością. Wreszcie Homunkolos podjął opowieść:

– Powiem ci, co jest prawdziwym powodem wszystkich przedsięwziętych tu środków – powiedział Szmejk. – Piszesz zbyt dobrze.

Szmejk zaśmiał się i zbliżył ze strzykawką.

– W przeciwieństwie do obecnego tutaj naszego niewrażliwego przyjaciela Claudio Harfenstocka – powiedział – jestem w stanie odróżnić kawałek dobrej literatury od dziury w ziemi. Czytałem wszystko, co napisałeś, łącznie z historią o twoim zahamowaniu pisarskim. I muszę ci powiedzieć, jeszcze nigdy coś tak dobrego nie wpadło mi w ręce. Dotychczas nigdy! Doprowadziło mnie to do śmiechu, do płaczu, do zwątpienia i do zapomnienia o wszystkich moich troskach – krótko mówiąc, to, co piszesz, posiada wszystko, co powinna mieć naprawdę dobra literatura. I jeszcze trochę więcej. No dobra, o wiele więcej. O wiele, wiele więcej! W jednym, jedynym twoim zdaniu tkwi więcej niż czasami w całej książce. A twoje piarstwo jest przesycone Ormem. O takiej intensywności, jakiej nie zmierzyłem jeszcze w żadnej innej literaturze. Podłączyłem twoje wiersze do mojego buchemicznego Ormometru, i spaliły się w nim wszystkie alchemiczne baterie! Jesteś dobry, mój przyjacielu, o wiele za dobry!

Szmejk wycisnął ze strzykawki ostatnie bąbelki powietrza.

– Pozwól mi wyrazić to najprościej: Jeśli opublikujesz tu w Księgogradzie choć jedną książkę, to cały camoński rynek książkowy diabli wezmą. A camoński rynek książkowy to ja. Twój styl pisania jest tak doskonały, tak czysty i pełny, że nikt nie będzie chciał czytać niczego innego, kiedy raz już go pozna. Udowadnia w zawstydzający sposób, jaką miernotą są rzeczy, które zazwyczaj czytamy. Po co zaczytywać się w tych gniotach, jeśli można czytać twoje książki, cały czas od nowa? Wiesz, ile wysiłku i czasu kosztowało mnie doprowadzenie literatury camońskiej na ten dokładnie wyregulowany mierny poziom, na którym się teraz znajduje? A co jeszcze gorsze: Mógłbyś zakładać szkoły. Inspirować innych pisarzy, by tworzyli lepsze książki. By sięgali po Orma. Pisali mniej, ale lepiej.

Szmejk spojrzął na mnie, domagając się zrozumienia.

– Problem polega na tym: Aby zarobić pieniądze, dużo pieniędzy, nie potrzebujemy wcale wspaniałej, nieskazitelnej literatury. To, czego potrzebujemy, to miernota. Tandeta, szmelc, towar masowy. Więcej i coraz więcej. Potrzebujemy coraz grubszych, nic nieprzekazujących książek. Liczy się tylko sprzedany papier. A nie słowa, które się na nim znajdują.

Szmejk wyszukał miejsce na moim udzie, wsunął igłę pomiędzy skrawki papieru i wbił ją w moje ciało.

– Dla podsumowania – powiedział – już w momencie urodzenia byłeś zagrożonym gatunkiem. Jesteś pierwszym i zarazem ostatnim ze swego rodzaju. Jesteś największym poetą w Camonii. A zarazem swoim własnym najgorszym wrogiem. Życzę ci w nowym życiu w katakumbach więcej szczęścia, niż miałeś w poprzednim. W życiu, które niniejszym właśnie się kończy.

Po czym wstrzyknął ciecz do mojego krwiobiegu, a ja zemdlałem.

Gdy znów się obudziłem, znajdowałem się głęboko w katakumbach. Obok mnie leżało zawiniątko z wszystkimi moimi pismami i dobytkiem, jaki przyniosłem ze sobą do Księgogrodu – zostałem zesłany na wygnanie razem z moim dotychczasowym życiem. A z sąsiadujących korytarzy, wypełnionych prastarymi foliałami, słychać było już wrzaski łowców książek.



ŁOWCA ŁOWCÓW

Homunkolos zaśmiał się smutno.

– Uwierz mi – powiedział – nie trwało to długo, aż polowanie na łowców ksiązek zaczęło mi sprawiać radość. Załatwienie pierwszego było czystą samoobroną. Byłem jeszcze całkiem otepiały trucizną Szmejka, nie miałem pojęcia, kim i gdzie jestem, gdy on zjawił się w tym swoim szalonym uzbrojeniu z całym arsenałem broni. Myślał pewnie, że będzie miał łatwo dzięki wszystkim swoim dzidom i obusiecznemu mieczowi, gdy zobaczył mnie na wpół oszołomionego i zataczającego się.

Homunkolos podniósł swą prawą dłoń, której kontury w świetle świec wyglądały jak zestaw noży kuchennych, i obserwował ją w zamyśleniu.

– Nie wolno nie doceniać papieru – powiedział posępnie. – Czy rozciąłeś sobie kiedyś rękę o zwykłą stronę?



– Tak, rozciąłem i to wielokrotnie, podczas szybkiego porządkowania rękopisów albo otwierając listy. Zawsze bolało i silnie krwawiło.

– To możesz sobie chyba wyobrazić, co może zrobić ostry, starannie ułożony warstwami i czysto sklejonny pergamin. Przede wszystkim, jeśli zostanie użyty przez takiego kolosa jak ja, z mięśniami i refleksem goryla. Uwierz mi, byłem jeszcze bardziej zaskoczony niż łowca ksiązek, gdy zalany krwią padł przede mną na kolana. I tak zarazem skończyło się polowanie łowców ksiązek na mnie. Od tej pory to *ja* byłem tym, który polował.

Homunkolos opuścił dłoń.

– Od pierwszej chwili w labiryncie czułem się jak w domu. To znaczy byłem naturalnie skołowaciały i wściekły, bezradny i pełen zwątpienia, ale nowe otoczenie ani przez moment nie wydało mi się groźne czy obce. Lubiłem zapach *Śniących Ksiązek*, ciemność i chłód. Ciszę i samotność. Byłem nowo narodzony w świecie, do którego Szmek dopasował mnie na miarę. Nie potrzebowałem już tworzyć sobie innych światów, by dojść do ładu z tym prawdziwym. Katakumby Księgogrodu spodobały mi się od razu, a labirynt był jak ogromny pałac, którego każdy pokój należał do mnie. Na początku nie byłem nawet zły na Szmekja. Po tym jak otepienie ustąpiło, poczułem, że narasta we mnie potworna siła, przenikała mnie energia, jak gdybym zanurzał się w czystym Ormie. Cały strach, wszystkie troski zniknęły – byłem tak dziki, wolny i nieskrępowany jak drapieżnik w puszczy.

Każdego dnia moje nowe ciało zaskakiwało mnie coraz to inną nowością: większą siłą albo szybkością, prawie nieskończoną wytrzymałością i zadziwiającym refleksem, odpornością mojej nowej skóry albo ogromną zdolnością widzenia w ciemnościach. Mogłem usłyszeć bezgłośnie krzyki nietoperzy i wyczuwać owady w absolutnej ciemności.

Lubiłem cienie labiryntów, a cienie lubiły mnie. Dały mi schronienie przed łowcami ksiązek, cienie pozwoliły mi stać się jednym z nich, bym mógł wyrastać z nich niespodziewanie i napadać mych wrogów jak duch. Osłaniały mnie i chroniły mój sen. Nic dziwnego, że w niektórych regionach zwą mnie Królem Cieni, ale żadne imię nie mogłoby być bardziej błędne. Nikt nie panuje nad cieniami labiryntów.

Homunkolos zaśmiał się krótko i zamilkł.

– Mówisz o cieniach, które ukazują się także w tym pałacu? – spytałem.

Podniósł głowę.

– Widziałeś je już? Tak, te mam na myśli. Ale po kolei! Jedno po drugim. Nie dotarłem jeszcze z moją opowieścią do Pałacu Cieni. Jeszcze długo nie dotrę.

Miałem nadzieję, że nie zruga mnie znowu zbyt ostro. Ale on po prostu kontynuował.

– Każdy łowca ksiązek ma swój własny styl. Swój znak rozpoznawczy,

indywidualne uzbrojenie, swą specjalną broń, metody polowania i zabijania i tak dalej, wymaga tego ich próżność i kodeks honorowy. Mogą jednoczyć się we wspólnych działaniach wojennych, ale potem za każdym razem się rozchodzą – większość z nich to zatwardziali samotnicy. Od początku było to dla mnie korzystne, a oni do dzisiejszego dnia nie pojęli, że tylko wspólnie mogą się ze mną rozprawić. Ale po tym trzeba było podzielić się nagrodą za moją głowę, a na to z kolei nie pozwala im chciwość. Załatwiałem więc ich pojedynczo, jednego po drugim, a to sprawiało mi szczególną przyjemność, bo każdego zwalczałem w jego indywidualnym stylu. Bogusa Bogusa na przykład, który prześladował swych przeciwników tak długo, aż popadli w szaleństwo, sam doprowadziłem do szaleństwa, szepcząc do niego z ciemności przez cały rok, nie dając się przy tym zauważyć.

Aggo i Jedda, braci Oddfrid, dwóch z nielicznych łowców, którzy pracowali razem, atakując zawsze swe ofiary z obu stron, doprowadziłem do tego, że nawzajem poderżnęli sobie gardła.

Yussefa Ysberina, który zwał siebie *Grabarzem*, bo chętnie grzebał swych przeciwników pod książkami, sam pogrzebałem pod nimi.

Ale najwięcej radości sprawiało mi, gdy mogłem używać swego ciała jako broni, w bezpośredniej walce jeden na jednego. Miałem wrażenie, że z dnia na dzień staję się coraz silniejszy. Jeśli wystarczająco mocno ułoży się na sobie papier, stanie się drewnem. Moje ramiona są masywne jak gałęzie, moje palce ostre jak włócznie, moje zęby tną jak brzytwy.

Niektórych łowców szczułem na śmierć moją niewyczerpalną wytrzymałością, aż w końcu serce albo i cały organizm odmawiały im posłuszeństwa i po prostu się załamywali. Wabiłem ich na manowce i w przepaści albo w ich własne pułapki. Czatowałem na nich w nieoczekiwanych miejscach i prześladowałem nawet w ich ukrytych domostwach – co napędzało im najwięcej strachu, ponieważ wiedzieli, że nigdzie nie będą bezpieczni. Innych ogłuszałem i zaciągałem w oddalone obszary katakumb, których nigdy wcześniej nie odważyli się przekroczyć. Gdzie błądzą może nadal, o ile nie pożarły ich Pająxxxxxy – w każdym razie na zawsze będzie można słuchać ich głosów w *Komnacie Uwięzionych Ech*.

Homunkolos podniósł się ze swego tronu i zaczął krążyć, kontynuując opowiadanie.

– To prawda: Stałem się tajemnym władcą katakumb, ale nikt nie znał mojej prawdziwej postaci, ponieważ ten, który ją poznawał, od razu ginął. Tak zaczęły się legendy i wkrótce istniały już setki różnych opracowań i opisów tego, kim lub czym jestem. Dla niektórych byłem zwierzęciem, dla innych duchem, demonem, owadem

albo połączeniem tego wszystkiego. Napawało mnie to dumą i dało nieznanie wcześniej poczucie władzy, którym upijałem się coraz bardziej i bardziej.

Jedno westchnienie, jeden krzyk wystarczały, by wyludnić całe obszary katakumb i na wieczność przepędzić ich mieszkańców. Wystarczało zabić jednego z łowców książek, żeby w legendzie zrobił się z niego tuzin, a dwa tuziny łowców książek porzucały swój zawód. Niektórzy wierzyli, że jestem całym wojskiem cieni, armią ciemności, legionem niezwycięzonych upiornych żołnierzy ciągnących przez labirynty i pożerających swe ofiary żywcem.

Homunkolos zatrzymał się i zwrócił w moją stronę swe martwe, czarne oczy.

– I jak myślisz, jakie to uczucie? Z całą tą krwią na rękach? Gdy wszystko, co spotkam, kurczy się przede mną ze strachu, nawet najgorsze i najgroźniejsze kreatury katakumb? Czy ma się poczucie winy? Czuje się skruczę? Jak uważasz?

Homunkolos zaśmiał się.

– Nie! Wręcz przeciwnie! Czuję się wspaniale! Było to uczucie absolutnej wolności. W końcu byłem wolny od wszelkich moralnych kajdan, poczucia winy, odpowiedzialności, współczucia i innego równie bezsensownego balastu. Mogłem czynić zło. W każdej formie. I możesz mi wierzyć: To największa wolność ze wszystkich. Swoboda twórcza przy tym to żart.

Homunkolos wrócił znów na tron. Jego głos stał się pod koniec głośny i groźny, jakby upajał się jego brzmieniem. Teraz znów ucichł, niemal szeptął.

– Całą swoją duchową energię, którą wkładałem wcześniej w pisarską pracę, poświęciłem sztuce zabijania. Nieprzerwanie rozmyślałem o tym, jakimi jeszcze bardziej pomysłowymi sposobami wyprawić łowców książek na tamten świat. I możesz mi wierzyć, że na parę wpadłem. Nie zauważyłem prawie, że odwróciły się ode mnie cienie labiryntów. Kładłem się spać, ale one już mnie nie okrywały. Zarejestrowałem ich nieobecność, ale nie tęskniłem za nimi. I nie potrzebowałem ich też już więcej. Jaką ochronę mogły zapewnić komuś takiemu jak ja? Mnie, Homunkolosowi, do którego nikt nie odważał się zbliżyć? Którego każdy bał się bardziej niż śmierci?

Homunkolos zatrzymał się i zamarł na chwilę. Światło świec tańczyło niespokojnie ponad jego przesyconym runami ciałem, a ja usiłowałem wyobrazić sobie przerażenie łowców książek, którzy bez przygotowania wystawieni zostali na ten widok.

– Któregoś dnia w czasie mych niespokojnych podziemnych wędrówek dotarłem do pieczary w górnych obszarach labiryntu, którą jakiś opętany manią wielkości książkowy książę z zapomnianej epoki rozbudował na swój tajemny pałac. Wkroczyłem do sali luster, która musiała być już opuszczona przez setki lat, wisiały tam pajęcze

sieci gęste jak prześcieradła, lustra były mlecznobiałe od kurzu. Całe pomieszczenie zaczęło się powoli kręcić, gdy do niego wszedłem, wyzwalając przy tym zapewne jakiś ukryty mechanizm. Kurz i pajęczce sieci zaczęły tańczyć w rytm cichej melodii, brzmiącej jak smutna dziecięca piosenka, grana na rozstrojonym mechanicznym fortepianie. Na ścianie okalającej salę znajdowała się może setka lusterek, każde z nich, umieszczone w złotych ramach, było wystarczająco wielkie, by odbić obraz nawet tak olbrzymiej postaci jak moja. Niektóre były popękane, inne zbyt zmatowiały od kurzu, by się w nich przejrzeć. Ale parę było wystarczająco czystych, bym mógł się w nich rozpoznać. Od wieków nie widziałem swego odbicia w lustrze. Swoją nową postać i grymas Homunkolosa widziałem tylko od czasu do czasu, gdy odbijała się w tarczy mojego przeciwnika bądź w kałuży, a wtedy zawsze szybko się odwracałem. Lecz tym razem obejrzałem się dokładnie, z dziwną mieszaniną zadowolenia i wstrętu. Po raz pierwszy zobaczyłem siłę i godność promieniującą z mego mocarnego ciała, a także po raz pierwszy zrozumiałem cały lęk, jaki rozsiewało. Dreszcz szczęścia i przerażenia przeszył mnie w tym samym momencie. I przypomniałem sobie o moim lustrzanym odbiciu, które podziwiałem jako dziecko, i o życzeniu stania się kiedyś takim samym jak postać w lustrze. Tak samo samotnym.

Zacząłem płakać. Nie przelewałem łez, bo ich już po prostu nie miałem, odkąd Szejnk zrobił z moimi oczami to, co zrobił. Ale uczucia były takie same, jak uczucia płaczącego dziecka, które czuje się opuszczone przez wszystkich. Ponieważ rozumiałem, czym się stałem: pomagierem Fistomefela Szejnka, katem upijającym się krwią, którą przelewa, byleby tylko nie myśleć o tym, kim kiedyś był. Zobaczyłem potwora, jakim się stałem. Nie tego, którego uformował Szejnk. Tylko prawdziwego potwora tkwiącego głęboko pod powłoką z papieru, za którego istnienie sam ponosiłem odpowiedzialność. Roztrzaskałem lustro. Roztrzaskałem wszystkie lustra w szalonej wściekłości.

Homunkolos ukrył twarz w dłoniach, a niektóre *Żywe Księgi* podeszły teraz całkiem blisko do niego, wydając z siebie popiskujące dźwięki, jakby chciały go pocieszyć. On wyprostował się ponownie.

– Jeden z łowców ksiązek od dłuższego czasu deptał mi uparcie po piętach – kontynuował mocnym głosem. – Odważał się zapuszczać w obszary, gdzie nie zachodził żaden normalny łowca ksiązek i zaskakiwał mnie stale swoimi trikami, wytrzymałością i swą inteligencją. Nigdy oczywiście mnie nie zobaczył, lecz do tego stopnia rozpałił mą ciekawość, że zacząłem go obserwować.

– Kolofonus Deszczbłask – przerwałem cicho Homunkolosowi.

– Dokładnie. Dowiedziałem się jego imienia od umierającego łowcy książek, który powiedział mi także, że Deszczblask nie był zwyczajnym łowcą. Polował inaczej. Szukał innych książek. Nie zaczynał się na innych, a jedynie usiłował schodzić im z drogi. A największe wrażenie robiło na mnie to, że wszyscy chcieli go zabić, ale jemu za każdym razem udawało się im uciec albo ich wyeliminować. Któregoś razu nawet mu pomogłem, kiedy Rongkong Przecinak chciał pogrzebać go żywcem pod jednym z regałów.

– Szukał cię, by zostać twoim przyjacielem – odważyłem się powiedzieć cicho.

– Naprawdę? – spytał Homunkolos.

Zastanawiałem się, czy powinienem opowiedzieć mu o śmierci Deszczblaska. Nie uważałem tego momentu za odpowiedni, z tego też powodu przesunąłem to na później.

– Zacząłem wtedy zastanawiać się nad sobą – powiedział Homunkolos. – Ten łowca książek pokazał mi, że w katakumbach może istnieć coś innego niż ściganie i bycie ściganym, niż zabijanie, pożeranie i umieranie. Usiłował unikać konfrontacji, zamiast ich szukać, tak jak czyniłem to ja. Tu na dole istniało olbrzymie królestwo pełne nieoszacowanej wiedzy i było ono w rękach morderców i bandytów, dzikich zwierząt, szczurów i owadów, którzy rządzą się tu bez opamiętania, czyniąc je niezdatnym do zamieszkania, i być może doprowadzając je któregoś dnia do całkowitego zniszczenia. Deszczblask zdawał się dążyć do czegoś innego. Śledziłem go, gdy pisał swoje notatki i czytałem je potajemnie, gdy spał. Nie chciał gromadzić największych skarbów katakumb po to, by je posiadać, ale by je chronić i udostępniać ogółowi. Wzbudziło to we mnie respekt i obserwowałem go jeszcze dokładniej, deptałem mu po piętach. Trafiałem przy tym, gdy opuszczał on katakumby, coraz wyżej w górne obszary, w poblizsze miasta, którego dotychczas unikałem. W poblizsze światła, o którym starałem się zapomnieć. Stało się dokładnie to, czego się obawiałem: Ogarnęła mnie tęsknota za prawdziwym życiem i wolnością i zacząłem podglądać mieszkańców Księgogrodu przez szpary i dziury w podłogach. Znów byłem tak blisko nich! Lecz była to magiczna granica, której nie wolno mi było przekroczyć. Nade mną, jedynie na wyciągnięcie ręki, znajdował się potężny teatr, olbrzymia scena dokładnie nad moją głową, na której rozgrywały się niekończące się tragikomedie, sztuki, które podziwiałem pełen tęsknoty i zazdrości. Było to życie, które odebrał mi Szmejk, prawdziwe życie w świetle obu ciał niebieskich oświetlających naszą planetę, dokładne przeciwieństwo mojej szczurzej egzystencji w ciemnościach. Odwiedzałem odczyty poetyckie z okazji DREWPORY, siedziałem tam na dole, jak stary upiór pod schodami i nasłuchiwałem kiepskich wierszy zalanych poetów z przypadku, jak gdyby była to muzyka sfer niebieskich.

Obserwowałem poetów w trakcie pisania, w ich parszywych piwnicznych norach. Uwierz mi, nie ma nic nudniejszego niż obserwowanie pisarza w trakcie tworzenia, ale nie byłem w stanie nasycić oczu widokiem jakiegoś bladego strapionego debiutanta gryzmołającego piórem po tanim papierze. Tak wyglądałem kiedyś w momentach najwyższego szczęścia, w najpiękniejszych godzinach mego życia.

A moja nienawiść do Szmejka stawała się coraz potworniejsza, coraz bardziej zajmowała moje myśli. Powziąłem plan wtargnięcia do biblioteki Szmejka i zaczajenia się na niego. Wiedziałem, że kiedyś w końcu musi tam przyjść i mógłbym go wtedy zabić.

Ale za każdym razem, gdy usiłowałem przedostać się do biblioteki Szmejka, trafiałem na wyrafinowane błędne ścieżki, które uniemożliwiały osiągnięcie mego celu. Szmejkwowie musieli przez stulecia rozbudowywać i udoskonalać system zabezpieczeń chroniących ich bibliotekę, ponieważ naprawdę jest on nie do przeniknięcia, jest najbardziej wyrafinowanym labiryntem katakumb. Znalazienie drogi powrotnej kosztowało mnie dni, czasami tygodnie, a raz o mało co naprawdę nie zginąłem tam z pragnienia. Musiałem w końcu przyznać, że Szmejck był dla mnie nieosiągalny.

Homunkolos oparł się głębiej na tronie i jęknął.

– Był to moment, kiedy zdecydowałem, że zejść w labirynty tak głęboko, jak będzie to możliwe i nigdy nie powrócę. Wyrzekłem się mojego życia jako łowcy łowców książek i schodziłem coraz głębiej w katakumby Księgorodu.

Nawet hałda śmieci Unhajmu i graniczące z nią cmentarzyska, nawet dworzec *Rdzawych Gnomów*, nie były dla mnie wystarczająco odludne i opuszczone, schodziłem w dół coraz głębiej i głębiej. I tak doszło do tego, że odkryłem Pałac Cieni. Przypominał mi gmachy szaleństwa z dzieciństwa, jakbym to ja sam już dawno stworzył go w wyobraźni. Uczyniłem Pałac Cieni mym domem. Tu zapragnąłem żyć i któregoś dnia umrzeć. Tu znalazłem także moje ukochane cienie, które uciekły przede mną i przed moim szaleństwem. W Pałacu Cieni zawarliśmy wieczny pokój.

Odważyłem się zadać Homunkolosowi palące mnie pytanie: Wiesz kim lub czym są te płaczące cienie?

– Muszę przyznać, że nie potrafię na to właściwie odpowiedzieć – powiedział Homunkolos. – Sam długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że są to niespokojne dusze prastarych książek, które zostały tu pogrzebane i zapomniane. A teraz przez wieczność żalą się na swój smutny los. Jedyne, co z pewnością mogę powiedzieć o płaczących cieniach to to, że nie mają złych zamiarów. Jeśli stanie się kiedyś twym udziałem łaska bycia okrytym przez jednego z nich, gdy będziesz kładł się do snu,

nie obawiaj się i pozwól mu to zrobić. Sny, którymi zostaniesz wynagrodzony, będą wyjątkowej piękności.

Homunkolos podniósł się z tronu.

– Długo opowiadałem – powiedział. – Tak długo nie opowiadałem już dawno. – I zbierał się, by opuścić salę tronową.

– Dziękuję ci – zawołałem za nim. – Dziękuję ci za zaufanie i gościnność. Odpowiedz mi, proszę, na jeszcze jedno, jedyne pytanie.

Homunkolos zatrzymał się.

– Jestem twoim gościem czy więźniem? – spytałem.

– W każdej chwili wolno ci opuścić Pałac Cieni – powiedział Homunkolos. – O ile uda ci się to zrobić o własnych siłach.

Potem wyszedł, a *Żywe Księgi* podążyły za nim stadkiem.



Przez następne trzy dni Homunkolos nie pojawiał się. W nieregularnych odstępach znajdowałem jedzenie i wodę, które były oczywiście przygotowane dla mnie, a w czasie moich bezcelowych wędrówek przez koszmarną architekturę Pałacu Cieni słyszałem od czasu do czasu szelesty w ciemnościach – to tyle, jeśli chodzi o dowody na jego obecność.

Zawarłem ciche porozumienie z *Żywymi Księgami*: Zostawiliśmy się wzajemnie w spokoju. Gdy wchodziłem do pomieszczenia, nie uciekały już przede mną w panice, lecz pełne respektu ustępowały mi z drogi. W trakcie jedzenia rzucałem im czasem parę książkowych robaków, którymi, mimo początkowego wahania, nie pogardzały.

Co się zaś tyczy *Płaczących Cieni*, nie było dla mnie do końca jasne, czy w ogóle zarejestrowały moją obecność. Albo czy istniało coś takiego, jak ich obecność i czy nie zamieszkiwały właściwie jakiegoś innego wymiaru, który tylko przypadkiem krzyżował się z miejscem, gdzie znajdował się Pałac Cieni. Od czasu do czasu widziałem, jak któryś z nich sunął szlochając w półmroku, robiło mi się wtedy ciężko na sercu i cieszyłem się, gdy zniknął.

Któregoś razu leżałem w ciemnościach, usiłując zasnąć, gdy nagle jeden z nich wszedł do pomieszczenia i wzdychając okrył mnie swym cieniem. Na początku byłem jak sparaliżowany ze strachu, potem prędko nadeszło zmęczenie i zasnąłem. Śniłem o mieście o osobliwych budowlach, składających się z najbardziej niezwykłych materiałów, z chmur bądź ognia, z lodu lub deszczu – aż przyszło mi na myśl, że są to fantastyczne budowle Króla Cieni wyśnione przez niego w dzieciństwie. Potem się przebudziłem, a cień zniknął.

Nieważne czy byłem gościem, czy więźniem, nie interesowało mnie zupełnie opuszczenie Pałacu Cieni „o własnych siłach”. Poza tym, niby gdzie mógłbym się tam na zewnątrz skierować? Ponownie do królestwa Harpirów i łowców książek? Albo może jeszcze głębiej w dół katakumb, o ile było to w ogóle możliwe?

Jeśli ktokolwiek mógłby mi pokazać drogę do Księgogrodu, tym kimś był Homunkolos. W czasie niekończących się samotnych spacerów po Pałacu łąamałem więc sobie głowę nad tym, w jaki sposób spowodować, by pomógł mi w powrocie do życia, prowadząc mnie na górę. Przyznaję, znajdowałem się w wyjątkowo kiepskiej pozycji do pertraktacji, nie miałem do zaoferowania nic prócz wdzięczności. Co by mu to dało, poza rozdrapaniem starych ran i ponownym wznieceniem nienawiści do Szmejka. Musiałby patrzeć, jak wydostaje się na wolność, podczas gdy on byłby zmuszony do powrotu w ciemność. Kiepski interes dla Króla Cieni.

Cały czas zadawałem sobie pytanie – czego właściwie ode mnie chciał? Dlaczego w Pałacu *Płaczących Cieni* i *Żywych Ksiąg* tolerował akurat mnie jako jedyną mówiącą istotę? I dlaczego opowiedział mi swoją historię?

Było dla mnie całkowicie jasne, że bez jego pomocy nigdy nie uda mi się wydostać z Pałacu Cieni, z tego pozbawionego okien schronienia wygnańca.

Schronienie pozbawione okien.

Co mi to przypominało? Oczywiście – fragment z książki Kolofonusa Deszczblaska. I nagle ujrzałem całkiem realną możliwość pomocy Królowi Cieni w egzystowaniu na powierzchni Księgogrodu. Kolofonus Deszczblask wymyślił to rozwiązanie już dawno temu. Tak, to mogłoby być nęcące dla Homunkolosa. Jednak musiałby się najpierw pokazać, abym mógł przedstawić mu mój plan.

Pod koniec czwartego dnia (o ile w katakumbach można w ogóle mówić o dniach: liczyłem po prostu jako dni czas, kiedy nie spałem, a czas, w którym spałem, jako noce) w sali jadalnej, w której zazwyczaj serwowano mi mój skromny posiłek, odnalazłem Homunkolosa. Przestronna hala oświetlona była paroma świecami, tak jak lubił władca. Siedział za jednym ze stołów, mając przed sobą misę, dzban i kielich. U jego stóp kręciło się parę *Żywych Ksiąg*.

– Dobry wieczór – powiedziałem.

Homunkolos spoglądał na mnie, długo milcząc.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – Dobry wieczór! Takiego pozdrowienia nie słyszałem już od wieków. Nigdy właściwie nie wiem, kiedy jest rano, południe, wieczór czy noc. Czas nie gra tu specjalnej roli. Właściwie to żadnej. Masz, oto jedzenie dla ciebie. Siadaj!

Podsunał mi misę z korzonkami, dzban i kielich.

– Ile dni – spytał, gdy już usiadłem – minęło, twoim zdaniem, od czasu naszego ostatniego spotkania?

– Mniej więcej cztery – powiedziałem.

– Cztery? – zawołał zaskoczony. – Naprawdę? Myślałem, że dopiero jeden! Naprawdę straciłem poczucie czasu.

Homunkolos sięgnął pod stół i wyciągnął butelkę. – Chciałbyś kieliszek wina do jedzenia? – spytał.

– Wino? – spytałem i poczułem się skrępowany faktem, że głos zmienił mi się przy tym wskutek radosnego podniecenia.

– Tak, chętnie napiłbym się nieco wina – spróbowałem powiedzieć możliwie spokojnym i stonowanym głosem.



Nalał mi kieliszek czerwonego wina, a ja musiałem się powstrzymywać, aby nie wychylić go jednym haustem. Skosztowałem trochę, a wino smakowało mi tak wyśmienicie jak żadne inne wcześniej.

– Doskonale! – cmoknąłem. Upiłem jeszcze jeden głębszy łyk.

– Wybacz proszę, że nie piję razem z tobą – powiedział Homunkolos – ale piję tylko czasami. Od czasu, gdy w moich żyłach płynie ta butelka *Wina Komety*, w zasadzie zawsze jestem trochę upojony. Już dwie, trzy szklanki wina wystarczają, by doprowadzić mnie do stanu, w którym przypominam łowcę książek.

– Szał na widok krwi? – dowcipkowałem głupkowato upojony już tą odrobiną wina.

– Można by tak to określić. Na zdrowie!

– Dziękuję! – Wypiłem kolejny łyk i jeszcze bardziej się rozluźniłem.

– Gdzie można trafić tu na dole na wino? – spytałem.

– W katakumbach można dostać wszystko, o ile wie się jak. To jest wino z prywatnych zbiorów Rongkonga Przecinaka.

Omali się nie udławiłem. – Łowcy książek? Znasz jego kryjówkę?

– Naturalnie. Od czasu do czasu odwiedzam jego pieczarę, żeby wyrwać ją do góry nogami. Ukraść mu parę książek i wino. Powyginać mu strzały, powylewać jego wodę pitną i tak dalej. To doprowadza go do szału.

– Dlaczego oszczędziłeś Rongkonga Przecinaka?

– Nie wiem. Może dlatego, że Szmejk tak nalegał, by go zabić. Pomyślałem, że jeśli Szmejk się go boi, to może kiedyś się jeszcze przydać. Któregoś dnia.

– Rongkong Przecinak uciął głowę Kolofonusowi Deszczblaskowi – powiedziałem. Homunkolos wstał gwałtownie, a ja wzdrygnąłem się na ten niespodziewany ruch.

– Przecinak zabił Deszczblaska? – jego głos zagrzmiął tak głośno w całej sali, że *Żywe Księgi* wpełzły pod inne stoły.

– Nie. Obciął mu tylko głowę, gdy Kolofonus już nie żył. Zabił się sam. Po prostu przestał żyć.

– Tak zrobił? – spytał Homunkolos, siadając ponownie.

– Tak. Była to najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Homunkolos głowił się przez chwilę. – Co się stało? Jak Rongkong Przecinak dotarł do *Skórzanej Groty*?

– Nie mam pojęcia. Napadł na grotę razem z wieloma innymi łowcami książek. Zabili niektóre buchlingi, a resztę przepędzili. Obawiam się, że *Skórzana Grota* jest teraz całkowicie w ich rękach.

Homunkolos stał się niespokojny.

– To niedobrze – powiedział. – *Skórzana Grota* była jednym z ostatnich bastionów rozumu w katakumbach. Buchlingi wzorowo ją pielęgnowały.

– Wiem. To ty mnie do nich zaprowadziłeś. Właściwie to dlaczego?

– Obserwuję buchlingi już od dawna. Są jedyną rasą w katakumbach, która nie para się książkowym interesem. Myślałem, że będziesz u nich chwilowo bezpieczny. Dziwi mnie fakt, że łowcy książek znaleźli *Skórzaną Grotę*. Ale któregoś dnia musiało do tego dojść.

– Jak w ogóle zwróciłeś na mnie uwagę? spytałem.

Homunkolos zaśmiał się.

– Naprawdę zadajesz sobie to pytanie? Odkąd jesteś w katakumbach, zachowujesz się jak słoń w składzie porcelany. Byłem na jednej z moich wypraw, kiedy wpadłeś w tę prostacką pułapkę Guldenbarta, burząc przy tym z pół piętra w labiryncie. Musieli słyszeć to nawet na górze w Księgogradzie.

Spuściłem głowę.

– Potem runąłeś z hukiem na wysypisko Unhajmu, budząc przy tym wszystkich jego mieszkańców, łącznie z robakiem gigantem. Obserwowałem cię, odkąd wypełzłeś ze śmietniska. Kiedy złapał cię Pajaxxxx, myślałem, że już po tobie. Ale Hoggno cię wtedy uratował.

- Ty byś tego nie zrobił?
- Prawdopodobnie nie. Nie byłeś dla mnie jeszcze wystarczająco interesujący.
- A dlaczego zrobiłeś to, gdy Hoggno chciał mnie zabić?
- Podśledzałem waszą rozmowę. I nagle twoja wartość dla mnie wzrosła.
- Dlaczego?
- Co to ma być? Przesłuchanie?
- Przepraszam.

– Usłyszałem cię znów, gdy byłem na wypadzie w okolicach Pałacu Cieni. Twój piekielny wrzask na kolei *Rdzawych Gnomów*. Słyszał go chyba każdy w katakumbach. Wiedziałem wtedy, że znowu masz kłopoty.

Zawstydziłem się ogromnie. Patrząc z jego perspektywy, od momentu, gdy wkroczyłem w katakumby Księgogrodu, naprawdę zachowywałem się jak skończony idiota.

- Mogę cię o coś spytać? – powiedział Homunkolos.

Skinąłem głową.

- Co właściwie przyniosło się do Księgogrodu?

Pogrzebałem w mych kieszeniach w poszukiwaniu rękopisu i położyłem go na stole. Tak naprawdę, to planowałem zachować go na bardziej dramatyczną chwilę.

- Właśnie to – powiedziałem.

- Tak też myślałem – powiedział Homunkolos.

- Wiedziałeś, że noszę go przy sobie?

– Przeszukałem cię, kiedy spałeś. Wtedy, na krótko przed tym, jak trafiłeś na buchlingi.

- Przypominam sobie ten sen. Śniłem o tobie.

– Nic dziwnego – wyszczerzył się Homunkolos. – Nigdy wcześniej tak się do ciebie nie zbliżyłem. Na pewno mnie czułeś.

– Naprawdę to napisałeś? – spytałem – Jeśli tak, to jesteś największym pisarzem wszech czasów.

- Nie – powiedział Homunkolos. – Napisał to ktoś, kim już dawno nie jestem.

- Opuściłem Twierdzę Smoków, by odnaleźć tego, który potrafi tak pisać.

- To naprawdę smutne, mój przyjacielu – powiedział Homunkolos.

– Podjąłeś się tak długiej i niebezpiecznej podróży po to, by dowiedzieć się jedynie, że ten, którego szukasz, już dawno nie żyje.

Z tymi słowami podniósł się od stołu i opuścił salę. *Żywe Księgi* zebrały się u moich stóp, popiskując wyczekująco. Z westchnieniem rzuciłem im resztę korzonków z mojej

misy i zabrałem się za dopicie wyśmienitego wina. Przepuściłem okazję opowiedzenia Homunkolosowi o moim wspaniałym planie. Nie starczyło mi po prostu na to odwagi.



PIJANA MAŁPA

Następnego dnia obudziłem się z imponującym kacem, a eolska muzyka, ściany jeżdżące w górę i w dół, i kręcące się w koło *Żywe Księgi* zaczęły mi powoli działać na nerwy. Chciałem wydostać się z tych przeklętych murów, uciec od tego szalonego fantomu, który, porzucając swe dawne życie, zostawił wraz z nim prawdopodobnie i swój rozum. Ale ja, wchodząc do Pałacu Cieni, też chyba zostawiłem głowę w szatni! Zacząłem odczuwać sympatię do potwora z papieru, wielokrotnego mordercy i przeklętego przez wszystkich upiora. Zacząłem przyzwyczajając się do wędrujących ścian, płaczących cieni i *Żywych Ksiąg*! Najwyższy czas, żeby stąd zniknąć.

Tym razem nie wędrowałem po prostu bez celu przez hale i sale, celowo szukałem wyjścia. Usiłowałem zapamiętać sobie określone cechy pomieszczeń, liczbę stołów i krzeseł, położenie kominków, kształty sufitu, wysokość drzwi. I cały dzień błądziłem tak dookoła bez sukcesu, by wieczorem, wyczerpany, dowlec się znowu do jadalni, gdzie czekał na mnie z kolacją Homunkolos.

Poza naczyniami, jak zazwyczaj, na stole spiętrzone były tym razem dodatkowo stare książki, na których stała świeca, oświetlająca jego papierową maskę jaśniej niż zwykle. Tym razem nie było wina – gospodarz domu już je wypił, jak zorientowałem się po dwóch pustych butelkach u jego stóp.

– Późno przychodzisz – wybełkotał. Był pijany i w ponurym, a może i niebezpiecznym nastroju.

– Szukałem czegoś – odpowiedziałem.

– Wiem. Ale tego nie znalazłeś. – Zaśmiał się ordynarnie.

– Tak, to bardzo śmieszne – powiedziałem i rzuciłem się na nudne jarzyny.

Powstała długa pauza, w której słychać było tylko tupot i szelest *Żywych Ksiąg* pod naszymi nogami, aż Homunkolos zapytał:

– Wierzysz w istnienie poezji, która jest wieczna?

Nie musiałem się długo zastanawiać.

– Tak, naturalnie – odpowiedziałem, przeżuając.

– Tak, naturalnie! – przedrzeźniał Homunkolos. Spojrzał na mnie ponuro. – Ja w to nie wierzę – powiedział i sięgnął na stół po książkę.

– Czy to tutaj wygląda jak wieczność? – Rzucił książkę w powietrze. Jeszcze zanim osiągnęła zenit swego lotu, jej kartki się rozleciały, spadając, połamały na kawałki i ostatecznie rozpadły się w drobny pył, który delikatnie opadł na ziemię. Z jej szczątków wytoczyło się parę robaków, na które natychmiast rzuciły się *Żywe Księgi*.



– A to był akurat klasyk – zaśmiał się Król Cieni. – *Kamień filozoficzny* Fonthewega. Tak dziwnie się jeszcze nie zachowywał. Jego ruchy, jego niespokojne huśtanie się na krześle, przypominały jakieś zwierzę. Nie wiedziałem tylko jakie.

– Nie, poezja nie trwa wieki – zawołał Homunkolos. – Istnieje przez chwilę. I nawet gdyby książki sporządzano ze stali, z literami z diamentów, kiedyś i tak uderzyłyby razem z tą planetą w słońce i stopiłyby się – nie istnieje nic wiecznego. A już na pewno nie w sztuce. Nie chodzi o to, jak długo pobłyskuje jeszcze dzieło pisarza po jego śmierci, chodzi o to, jak jasno płonie za jego życia.

– Mogłoby to być motto jakiegoś popularnego pisarza – wtrąciłem. Poety, któremu chodzi jedynie o to, ile pieniędzy zarobi za swego życia.

– Nie miałem tu na myśli sukcesu – powiedział Homunkolos – nie chodzi o to, jak dobrze czy źle sprzedaje się książka, jak wielu albo niewielu ludzi dostrzeże danego poetę. To bez znaczenia, zależy bowiem od zbyt wielu przypadków i niesprawiedliwości. *Chodzi o to, jak jasno płonie w tobie Orm, gdy tworzysz.*

– Wierzysz w Orma? – spytałem ostrożnie.

– W nic nie wierzę – powiedział ponuro. – *Ja wiem, że Orm istnieje, to wszystko.*

Poszperałem w mojej pelerynie.

– Musiał płonąć w tobie cholernie jasno, gdy to pisałeś – powiedziałem, trzymając w górze rękopis. – To najdoskonalsza rzecz, jaką w życiu widziałem. To *jest* wieczne.

Król Cieni nachylił się w moją stronę tak, że poczułem jego stęchły książkowy oddech. Spojrzał na mnie straszliwie smutno, trzymając swą rękę niebezpiecznie blisko

świacy. Czubek jego palca wskazującego zaczął potrzaskiwać i się żarzyć.

– Nie masz nawet pojęcia, jak szybko może coś przeminąć – wyszeptał. Małeńkie płomyczki zaczęły tańczyć na czubku jego palca, wzbijając cieniutką strużkę dymu.



Wziąłem swój kielich i wylałem na jego rękę wodę, która sycząc ugasiła płomienie.

Król Cieni wyprężył się, jak gdyby chciał na mnie skoczyć. Lecz spojrzał tylko groźnie z góry i zaczął się śmiać, tak głośno i straszliwie jak jeszcze nigdy. Na koniec, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, opadł na cztery łapy i opuścił pomieszczenie w sposób, w jaki zrobiłaby to małpa. Uczynił to z prędkością, od której każdej małpie zjeżyłoby się futro.



PRAGNIENIE

To było pewne: Znajdowałem się w szponach najniebezpieczniejszego szaleńca z katakumb Księgogrodu. Homunkolos, Król Cieni, Egzysten, Keron Kenken, czy jak tam go jeszcze zwali, zwariował albo jeszcze w czasie swojej przemiany, albo podczas swego wygnania. Byłem już teraz przekonany, że miał zamiar więzić mnie tu przez wieczność, bym z nim cierpiał w zastępstwie wszystkich jego prawdziwych dręczycieli.

Zrezygnowany błądziłem korytarzami. Nie pokazywał się już od paru dni, aż w końcu przestałem je dalej liczyć. Pamiętając, jak wyglądało nasze ostatnie spotkanie, mogłem równie dobrze zrezygnować z towarzystwa Króla Cieni, ale najbardziej zatruwający w tej sytuacji był fakt, że przestał dawać mi jedzenie i wodę. Pozbawienie pożywienia dałoby się przez jakiś czas znieść, ale umrę tu z pragnienia, jeśli wkrótce nie dostanę czegoś do picia.

Czy był to jakiś sprawdzian? Kara? A może wybrał się na jedną ze swoich wypraw przez katakumby i wpadł przy tym w pułapkę łowców książek? Istniało wiele możliwości. A może po prostu, kierowany obłąkanym kaprysem, chciał, bym tu zdechł. Przeklinałem się za to, że nie zebrałem się w odpowiednim momencie na odwagę i nie opowiedziałem mu o moim planie.

Tymczasem ledwie odważyłem się opuścić jadalnię, aby nie przeoczyć momentu jego powrotu, jeśli kiedykolwiek powróci. Myślenie sprawiało mi coraz większą trudność. Jeśli zabierze się na dłuższy czas komuś wodę i jedzenie, aktywność jego mózgu ograniczy się szybko do wymyślania przepisów kucharskich i wizji dzbanów pełnych wody.

Doszło już nawet do tego, że zacząłem rozważać złamanie zawieszenia broni między mną a *Żywymi Księgami*. Te małe stworzenia ciągle kręciły mi się pod nogami. Stawały się coraz ufniejsze i sprawiały tak żywe i zdrowe wrażenie, jak gdyby, w przeciwieństwie do mnie, cały czas zaopatrzone były jak najlepiej w pożywienie i wodę albo umiały same zdobyć gdzieś jedzenie. Na początku budziły tylko moją zazdrość, potem byłem coraz bardziej wściekły, aż w końcu moje uczucie przemieniło się w czystą nienawiść. Bezużyteczne i nażarte do syta kręciły się wszędzie po całym Pałacu, wypełniając prawie każde pomieszczenie swoim szelestem i popiskiwaniami.

Rządzi tam robactwo ponure

Oprawione w papier i skórę

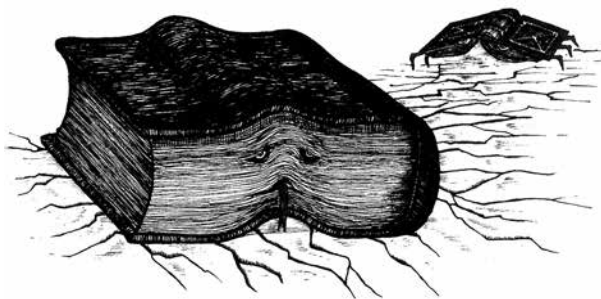
Znów przypomniały mi się linijki wiersza Kolofonusa Deszczbłaska. Czy naprawdę wdarł się do Pałacu Cieni? Skąd inaczej mógł wiedzieć o *Żywych Księgach*? Jeśli tak

było, to musiał też znaleźć drogę do wyjścia z tego labiryntu. Może było to jednak możliwe.

Musiałem działać, o ile nie zamierzałem uschnąć z pragnienia, czekając bezmyślnie na Króla Cieni. Ale w międzyczasie byłem już zbyt słaby, by opuścić jadalnię i szukać wyjścia. Dlatego też postanowiłem upolować jedną z *Żywych Ksiąg*, zabić ją, pożreć i wypić jej czarną krew.

Wyszukałem sobie wyjątkowo grubą skórzaną księgę, która pełzała w moim kierunku wręcz podniecająco powoli. W niej to musiało roić się dopiero od organów, które pewnie tryskały czarną krwią. Na samą myśl o rozerwaniu tego małego, niespodziewającego się niczego stworzenia, ślina napłynęła mi do ust. Ocknąłem się z letargu, opadłem na cztery łapy i zacząłem skradać się w stronę mojej ofiary.

Wśród innych ksiązek powstało zaniepokojenie, tak jakby przeczuwały instynktownie, na co się zanosi. Popiskując i szeleszcząc, rozbiegły się na wszystkie strony.



Taksowałem księgę spojrzeniem i szykowałem się właśnie do potężnego susa z przysiadu.

– Miałbyś może ochotę na kieliszeczek Chasselasa z Gór Trolli do twojej *Żywej Księgi*? – spytał nagle znajomy głos Króla Cieni. – A może przy twoim odwodnieniu wolałbyś zimną źródlaną wodę?

Spojrzałem w górę. Król Cieni siedział na swym stałym miejscu i uśmiechał się. Na stole przed nim stała odkorkowana butelka wina, dzban z wodą, kieliszki – i talerz

z wielką wędzoną szynką.

Przez dłuższą chwilę gapiłem się tylko na niego bezmyślnie.

– Gdzie byłeś? – spytałem potem, podnosząc się.

– Byłem w *Skórzanej Grocie* – powiedział – żeby obejrzeć to na własne oczy i zorientować się w sytuacji.

Nalał mi kieliszek wina. Podszedłem do niego chwiejnie i wypilem łączywie.

– Straszny to widok zobaczyć splądrowaną bibliotekę w grocie – powiedział smutno Homunkolos.

– Łowcy książek zdzierają nawet skórzaną tapetę ze ścian.

Usiadłem i patrzyłem chciwie na szynkę, w której tkwił ogromny nóż.

– Częstoś się! – powiedział Homunkolos – Tę szynkę ukradłem łowcom książek.

Odkroiłem sobie gruby plaster i zacząłem jeść.

– Przedsięwziąłeś coś w ich sprawie? – spytałem, przeżuując.

– Nie, było ich zbyt wielu naraz. Ale odniosłem wrażenie, że większość z nich opuści wkrótce grootę, bo nie ma tam już prawie nic do splądrowania.

– Widziałeś buchlingi?

– Ani jednego. Zeszły pewnie głęboko w katakumby. Nie zdziwiłbym się, gdyby nigdy nie dały się już zobaczyć. To wrażliwe stworzonka. I potrafią dobrze się schować.

Powoli dochodziłem do siebie. Homunkolos sprawiał wrażenie spokojnego i zrównoważonego. Tym razem nie miałem zamiaru przepuścić nadarżającej się okazji i zdecydowałem się opowiedzieć mu w końcu mój plan.

– Słuchaj – powiedziałem – mam pomysł, jak obaj możemy opuścić katakumby.

– Pragnienie wysuszyło ci chyba mózg – powiedział Homunkolos.

– Z myśleniem powinieneś poczekać do chwili, gdy wyrównasz braki wody w organizmie.

– Jeszcze nigdy nie miałem tak jasnego umysłu jak teraz. A pomysł nie jest nawet mój.

– Tylko?

– Kolofonusa Deszczblaska.

– Deszczblask nie żyje, mój drogi. Naprawdę majaczysz.

– Każdy, kto napisał dobrą książkę, nie jest do końca martwy. Pomysł pochodzi z *Katakumb Księgogradu*.

– Deszczblask napisał książkę o katakumbach?

– I to nawet dobrą. Opisywał w niej między innymi, że tam na górze, w swojej wielkiej posiadłości w Księgogradzie założył coś w rodzaju... eee... ogrodu.

– Jakiego ogrodzenia?

– Ogrodzenia dla Króla Cieni.

– Co proszę? Dla mnie?

– Tak. Miał to być nowy dom na powierzchni dla ciebie, na wypadek gdyby cię złapał. Żadne prawdziwe więzienie, nie zrozum tego źle! Odpowiada warunkom panującym w katakumbach. Jest wiele starych księzek. Nie ma okien. Mógłbyś przeżyć tam równie dobrze, jak tutaj na dole.

Homunkolos długo na mnie patrzył.

– Naprawdę to wybudował?

– Tak napisał w swojej książce.

Powstała dłuższa pauza. Odkroiłem sobie jeszcze trochę szynki.

Homunkolos odchrząknął.

– A przychodziłbyś wtedy karmić mnie raz dziennie – tak, jak ja robię to teraz z tobą.

– No cóż, wyobrażałem sobie coś w tym rodzaju.

– Wyobrażałem, no, no. Ile pomieszczeń ma to twoje ogrodzenie?

– To nie jest *moje* ogrodzenie. Nie mam pojęcia, ile jest tam pomieszczeń. Pewnie sporo.

– Och od razu sporo! I będę tam też udostępniony publiczności? Z opłatą za wstęp? Moglibyśmy dzielić się pół na pół.

– To nie o to chodzi. Ty...

– Och tak, to fantastyczny pomysł! Muszę przecież zarobić na czynsz! Na zawołanie mógłbym układać wiersze dla publiczności, jak ci biedacy z *Cmentarza Zapomnianych Poetów*. Albo mógłbym robić przerażające miny, dla dzieci. Powiesimy na zewnątrz tablicę: *Obejrzyjcie straszliwego Króla Cieni w porze karmienia! Potwór z papieru!* Mógłbym się trochę podpalić, a ty od razu byś mnie gasił. I część pieniędzy naturalnie musielibyśmy oddawać Fistomefelowi Szmejkwowi, w końcu to on mnie stworzył.

Rozmowa przybrała obrót, który nie przypadł mi do gustu. Homunkolos przytknął do swych papierowych ust butelkę wina i wychylił ją za jednym pociągnięciem. Podniósł się ze swego siedzenia, a *Żywe Księgi* śmignęły we wszystkich kierunkach, jak gdyby instynkt ostrzegał je przed tym, co się zaraz stanie.

– Ogrodzenie! – zagrzemiał Homunkolos i trzasnął tak mocno pięścią w stół, że w kamieniu powstała rysa.

Cisnął butelkę po winie w ciemności sali, gdzie się rozbiła. – Jestem panem w Pałacu Cieni! – ryczał. – Władam całym labiryntem! Katakumbami Księgorodu! W

mym olbrzymim królestwie chadzam tam, gdzie chcę! Jestem wolny! Wolny, by żyć i zabijać! Jestem najbardziej wolnym ze wszystkich stworzeń!



Homunkolos rzucił się na stół i jednym mocnym susem skoczył w moim kierunku. Przestraszyłem się na śmierć, chciałem wstać i uciekać, ale on już był tuż przy mnie. Chwył mnie za pelerynę i podciągnął do siebie do góry. Znów poczułem jego dziki książkowy oddech, a tym razem zobaczyłem też iskry w jego czarnych oczodołach. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak rozłoszczonego.

– Jestem Królem! – prychnął na mnie. – Z własnym pałacem! A ty chcesz mnie wsadzić do zoo?!

– To była tylko propozycja – wymamrotałem. – Chciałem ci przecież pomóc.

Homunkolos oddychał ciężko.

– Słuchaj, jest coś, co musimy sobie wyjaśnić raz na zawsze. – Jego głos stał się teraz cichszy, ale wcale nie mniej groźny. – Musimy coś uporządkować. Załatwić pewne sprawy. Ty to wiesz i ja to wiem.

Co niby miałem wiedzieć? O jakich sprawach mówił? Co działo się w tej jego obłąkanej i pijanej czaszce? Nie miałem pojęcia, o czym mówił. Wiedziałem, co najwyżej, że przeklinam swoją niewyparzoną gębę. Wystarczało jedno fałszywe słowo, by przekształcić go w nieobliczalną bestię.

Homunkolos sięgnął do mojej peleryny, a ja byłem przekonany, że robi to, by wyrwać mi serce. Ale on wyciągnął tylko rękopis i trzymał mi go przed nosem.

– Chcesz wiedzieć, jak pisze się takie rzeczy – wysapał ze złości – zgadza się?

Skinąłem głową.

– Chcesz wiedzieć, jak osiągnąć Orma?

Nadal nie wierzyłem wprawdzie jeszcze w Orma, ale kiwnąłem ponownie głową.

– A przede wszystkim chcesz się dowiedzieć, jak zostać największym pisarzem w Camonii?

Pokiwałem bardzo energicznie.

– Więc to powiedz! Powiedz magiczne słowo!

Szukałem odpowiednich słów.

– Powiedz to natychmiast! – grzmiał Homunkolos. – Albo rozerwę cię na strzępy mniejsze niż te, z których sam się składam.

– Naucz mnie tego! – wyszeptalem.

– Co? Głośniej! Nie słyszę cię!

– Na – ucz – mnie – tego! – darłem się ze wszystkich sił. – Proszę! Błagam cię! Naucz mnie pisać tak, jak ty to potrafisz.

Homunkolos puścił mnie.

– No wreszcie – powiedział i uśmiechnął się po raz pierwszy. – Myślałem, że już nigdy mnie o to nie poprosisz.



To była ta cała tajemnica, moi drodzy przyjaciele – potworna duma Homunkolosa. To był powód, dla którego zwabił mnie do swego pałacu: chciał przekazać mi tajemnice swej sztuki. Był to jego plan od momentu, gdy podsłuchiwał rozmowę między mną i Hoggno Katem, rozpoznając we mnie chrześniaka Dancelota. Jedyne jego groteskowa próżność wzbraniała mu, by mi to tak po prostu zaoferować. Musiałem przejść próbę. Musiałem cierpieć. Musiałem błagać i żebrać, by uczynił mnie swym uczniem.

– Pokaż mi swoje dłonie – rozkazał Homunkolos.

Zaprowadził mnie do biblioteki *Żywych Ksiąg*, posadził na krzesło i stanął przede mną. *Żywe Księgi* zaludniały regały jak publiczność w dość dziwnym teatrze, w którym wystawiano właśnie sztukę: *Pierwsza lekcja dla Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów, jak zostać poetą, udzielona przez Homunkolosa z Pałacu Cieni*. Najwidoczniej żaden z mieszkańców Pałacu nie chciał tego przepuścić. Księgi, podniecone, zamieniały się cały czas miejscami, wspinały na siebie, popiskując i piszcząc. Parę latało dookoła w powietrzu.

Posłusznie pokazałem Homunkolosowi pazury. Chwylił je i wpatrywał się w powierzchnię mych rąk, jakby potrafił z nich odczytać przyszłość.

– Którą ręką piszesz? – zapytał.

– Prawą.

– I nie wyszło spod niej jeszcze nic, co, twoim zdaniem, nadawałoby się do publikacji?

– Nie bardzo.

– Więc piszesz niewłaściwą ręką.

– Co?

– Strumień poetycki z mózgu jest niewłaściwie skierowany. Twoja prawa ręka nie jest twoją ręką do pisania. Musisz pisać lewą.

– Ale ja nie potrafię. Nauczyłem się pisać prawą ręką.

– To musisz się nauczyć od nowa.

– Naprawdę muszę?

– Jeśli nie stworzysz właściwą ręką do pisania, to nigdy nic z tego nie będzie. To tak, jakbyś pisał stopami.

Stęknąłem. Nieźle się zaczyna. Najpierw muszę nauczyć się pisać, żeby nauczyć się, jak pisać.

Homunkolos puścił moje dłonie i zaczął spacerować wokół stołu.

– Każdy potrafi pisać – powiedział. – Istnieją tacy, którzy potrafią pisać odrobine

lepiej niż inni i ich nazywa się pisarzami. Prócz tego są jeszcze tacy, którzy piszą lepiej niż pisarze. Tych nazywa się poetami. I istnieją jeszcze poeci, którzy piszą lepiej niż inni poeci. Dla tych nie wymyślono jeszcze nazwy. To ci, którzy mają dostęp do Orma.

O nie, proszę, tylko nie znowu Orm! Za karę, że go jeszcze nie osiągnąłem, cholernie uparcie deptał mi po piętach. Wyszukiwał mnie w najbardziej odludnych zakątkach, nawet kilometry pod ziemią w bibliotece *Żywych Ksiąg*.

– Natężenie kreatywności Orma jest niemierzalne. Jest źródłem inspiracji, które nigdy nie wyschnie, gdy się już wie, jak do niego dotrzeć. – Król Cieni mówił o Ormie, jakby było to jakieś miejsce, w którym z całą naturalnością często przebywał.

– Ale nawet, jeśli któregoś dnia będzie ci dane osiągnąć Orma – powiedział – będziesz tam jak obcy, jeśli nie opanowałeś *Alfabetu Gwiazd*.

– *Alfabet Gwiazd*? To jakieś pismo?

– Tak i nie. To alfabet, ale równocześnie i rytm. Muzyka. Uczucia.

– Nie da się jeszcze bardziej tego nie określić? – stęknąłem. – Może to jakieś ciasto albo miech?

Homunkolos zignorował moją uwagę.

– Istnieje paru poetów, którzy osiągnęli Orma. Jest to już wielki przywilej. Ale niewielu z nich opanowało *Alfabet Gwiazd*. To są ci wybrani. Jeśli go opanujesz, będziesz mógł, gdy już dotrzesz do Orma, komunikować się tam ze wszystkimi artystycznymi mocami uniwersum. Nauczysz się rzeczy, w których istnienie nie uwierzyłbyś nawet we śnie.

– A ty naturalnie go opanowałeś, ten *Alfabet Gwiazd*?

– Naturalnie.

Homunkolos popatrzył na mnie jak na niedorozwiniętego. Jak mogłem choć przez chwilę w to wątpić!

– Nauczysz mnie tego? – spytałem bezczelnie.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie da się tego nauczyć. Nie mogę cię też nauczyć, jak osiągnąć Orma. Albo uda ci się to któregoś dnia, albo nigdy. Niektórym udaje się to raz, a potem nigdy więcej. Niektórym udaje się cały czas, ale nie opanowali *Alfabetu Gwiazd*. Inni bez wysiłku w każdej chwili osiągnęli Orma i komunikowali się dzięki *Alfabetowi*. To ci naprawdę nieliczni.

– Mógłbyś wymienić jakieś nazwisko?

Homunkolos zastanowił się.

– Hm... Ojahn Golgo van Fontheweg osiągał Orma. I to nawet dość często, ale nie opanował *Alfabetu Gwiazd*. Zresztą, gdyby tak było, nigdy nie zostałby przecież na starość urzędnikiem. – Homunkolos zaśmiał się.

Też musiałem się wyszczerzyć. W rzeczy samej był to dość dziwny punkt w biografii Fonthewega.

– Ali Aria Ekmirrner. On regularnie odwiedzał Orma. A taki wiersz jak *Wino Komety* da się napisać tylko wtedy, gdy przenika cię *Alfabet Gwiazd*.

Homunkolos przytknął rękę do czoła.

– Perla la Gadeon naturalnie! On to kąpał się w Ormie codziennie, a *Alfabet* miał we krwi, już w chwili narodzin. Był tak utalentowany, że aż od tego umarł.

– A jak ty nauczyłeś się *Alfabetu Gwiazd*? – spytałem.

– Byłem bardzo małym dzieckiem i nie opanowałem jeszcze nawet camońskiego abecadła – powiedział cicho. – Nie umiałem ani czytać, ani pisać, ani mówić. Którejś nocy leżałem w kołysce i pełen zdumienia podziwiałem czyste niebo. I nagle pomiędzy gwiazdami zobaczyłem cienkie nici światła, które połączyły je w przepiękny znak. Ukazywały się jeden po drugim, aż w końcu było zapisane nimi całe niebo. Śmiałem się i gaworzyłem, bo byłem tylko małym dzieckiem, i dlatego, że znaki migotały tak pięknie, tworząc cudowną muzykę. Był to pierwszy i ostatni raz, gdy zobaczyłem *Alfabet Gwiazd*, ale nie zapomniałem go nigdy.

Homunkolos był tego widocznie pewien, tak pewien, że mój sceptycyzm począł się trochę chwiać. Może udałoby mi się zachwiać tę pewność paroma pytaniami.

– Wierzysz więc, że na innych planetach istnieją też – jak na to mówisz? – *artystyczne moce*? Mówisz o pozaziemskich poetach?

– Nie wierzę w to – ja to wiem.

– Tak, naturalnie, ty zawsze *wiesz* wszystko.

– Na miliardach planet są poeci. Nie masz pojęcia o tym, jak wyglądają. Znam takiego jednego na jednej z planet, która zresztą nie jest aż *tak* bardzo oddalona od naszego Systemu Słonecznego, i jest on mikroskopijnie małą rybą. Żyje w ciemnym morzu, przy kraterze podmorskiego wulkanu, wyrzucającego nieprzerwanie lawę do wody. Ta ryba tworzy poematy o lawie, o zapierającej dech w piersiach piękności.

– A jak je zapisuje?

Homunkolos spojrzał na mnie ze współczuciem.

– Nie uwierzysz, ale istnieje na tym świecie jeszcze parę metod utrwalania myśli, poza skrobaniem gęsim piórem po papierze.

– Co ty powiesz!

– Znam jedną żywą burzę piaskową na Marsie, która rzeźbi swe myśli w kamieniu, pędząc po powierzchni planety. Cały Mars jest pokryty dziełami burzy piaskowej.

Wyszczrzyłem się, a Homunkolos odpowiedział mi tym samym.

– Wiem, że nie wierzysz w ani jedno moje słowo. I mogę mieć tylko nadzieję, że Orm wyprowadzi cię któregoś dnia z błędu. Inaczej na zawsze pozostaniesz więźniem swej ograniczonej wyobraźni i skończysz prawdopodobnie jako twórca pozdrowień pocztówkowych w jednej z księgowo-drukarni.

Żywe Księgi zaszeleściły swoimi stronami i brzmiało to jak brawa. Wmawiałem to sobie tylko czy naprawdę rejestrowałem jakiś szyderczy ton w ich popisowaniach? Było to, mam nadzieję, niemożliwe.

– Ale koniec z teorią – powiedział Homunkolos. – Przejdźmy do praktyki. Przenocujesz w tym pomieszczeniu.

– Tu? Z *Żywymi Księgami*? Dlaczego?

– Za karę. Chciałeś zjeść jedną z nich.

– Ale ja przecież o mało nie umarłem z głodu i pragnienia! Bo zostawiłeś mnie samego.

– To żaden powód, żeby pożerać moich poddanych. Nawet w myślach! Nauczysz się żyć z nimi w zgodzie. Zostaniesz tutaj, przyniosę ci papier i coś do pisania, i zaczniesz ćwiczyć pisanie lewą ręką.

Stęknąłem.

– I co takiego mam pisać?

– Wszystko jedno – powiedział Homunkolos. – To i tak będzie nieczytelne.



LEKCJA TAŃCA

Nie muszę zapewne szczególnie podkreślać, moi drodzy przyjaciele, że tej nocy nie zmrużyłem oka. Najpierw godzinami ćwiczyłem się w pisaniu lewą ręką, co wydaje się wręcz nieprawdopodobne, kiedy jest się od ponad siedemdziesięciu lat przyzwyczajonym do robienia tego prawą ręką.

Potem przez dłuższy czas przewracałem się na podłodze na jeden i drugi bok, żeby zasnąć. Ale nie mogłem przestać myśleć o zakończonej wcześniej lekcji. W co ja się wpakowałem? Musiałem uczyć się na nowo pisania jak pierwszak, słuchając do tego gadaniny o Ormie, o *Alfabecie Gwiazd* i o uprawiających poezję rybach i burzach piaskowych na dalekich planetach. Tak niby miałem zostać najlepszym pisarzem wszech czasów? Na oddziale zamkniętym camońskiego zakładu dla obłąkanych otrzymalibyśmy pewnie poważniejsze wykształcenie.

I jeszcze *Żywe Księgi*. W międzyczasie byłem już przekonany o tym, że odczytały me złe zamiary w sali jadalnej, i że będą się teraz za to mściły, za specjalnym pozwoleniem Króla Cieni. Godzinami, po tym jak zgasły już świece, szeptały jeszcze i naradzały się między sobą. Za każdym razem, gdy zapadałem już w łaskawy sen, coś szarpało mnie za pelerynę, którą się przykryłem, albo budził mnie szelest *Latających Ksiąg*. Albo jeszcze gorzej: pajęcza książka przebiegała mi po twarzy.

Całkowicie połamany zataczałem się następnego dnia przez Pałac i zadawałem sobie pytanie, w jakim dziwnym miejscu się odbędzie i jaką formę przybierze dzisiejsza lekcja, gdy nagle zarejestrowałem szlochanie *Płaczących Cieni*.

Było ich więcej, z pół tuzina, i nadchodziły w moją stronę ciemnym korytarzem. Z miejsca odwróciłem się, bo chciałem oszczędzić sobie ich przygnębiającej obecności. Ale z drugiego końca korytarza nadciągały jeszcze inne. Dlatego ustąpiłem z drogi, skręcając w boczny korytarz, który także był wypełniony szlochającymi cieniami. Znów zrobiłem zwrot i wpadłem z powrotem do większego korytarza, który teraz w obu kierunkach wypełniony był taką ilością cieni, że nie było już między nimi wolnego miejsca. Musiałbym przejść przez nie, a to napawało mnie grozą.

Wtedy podłoga obniżyła się i wraz z cieniami pojechałem na dół. Opadaliśmy głębiej i głębiej, aż przestrzeń po prawej i lewej stronie rozszerzyła się. Zjeżdżaliśmy do wielkiej sali balowej, do amfiteatru, w którym zobaczyłem *Płaczące Cienie* w czasie tańca. Zatrzymaliśmy się, gdy znaleźliśmy się na ogromnym parkiecie.

Był on wypełniony kolejnymi cieniami, ich setkami, które teraz ze szlochaniem zbliżyły się do mnie. Rozbrzmiała smutna muzyka *Pałacu Cieni* i szare sylwetki zaczęły wolno mnie okręzać.

Na górze, na stopniach, zobaczyłem Homunkolosa, który bez ruchu obserwował to dziwne wydarzenie, i wtedy zrozumiałem, że nie jest ono przypadkowe, a stanowi jedynie kolejną lekcję. Miałem tańczyć z cieniami, z jakiegoś niewiadomego powodu.

I zaczęły przeze mnie przenikać, jeden za drugim. Obrazy, słowa, głosy, krajobrazy i wrażenia wtargnęły do mego umysłu. Przejęły mnie dreszcze i usiłowałem pojąć to, co czuję, ale to już przeze mnie przepłynęło. Cienie przenikały mnie bez końca, na sekundy wypełniały mnie falami obrazów i chórem głosów i natychmiast znikwały. Czuję się, jakbym raz za razem nurkował w lodowatej wodzie, wypełnionej obrazami i głosami.

Taniec stał się coraz bardziej dziki, kręciłem się dookoła, a coraz większa ilość cieni przepływała przeze mnie w tym samym czasie. Było mi coraz zimniej, natłok niezliczonych obcych myśli pozbawiał mnie niemal rozumu.

Wtedy wszystko nagle się skończyło, cienie zniknęły. Kolana załamały się pod mną i dziwiłem się, że lądując na podłodze, nie rozpadłem się na małe kawałki lodu.

Chwilę leżałem, ciężko dysząc i drżąc, i wtedy zobaczyłem, że Homunkolos pochyła się nade mną.

– Co to było? – spytałem, wciąż wycieńczony. – Wolisz mnie teraz jednak zabić?

– Przeczytałeś właśnie całą bibliotekę *Płaczących Cieni* – powiedział. – Lekcja tańca dość szczególnego rodzaju.

– Co to miało być? – spytałem, podnosząc się ze stęknieniem. – O mało przy tym nie zwariowałem, nic z tego wszystkiego nie rozumiałem, a w tej chwili i tak już niczego nie pamiętam.

– Tak jest zawsze z ambitnymi książkami – powiedział Homunkolos, pomagając mi stanąć na nogach.



SKARBNIKA SŁÓW

Moja pamięć funkcjonowała jak pajęcza sieć. Nieistotne rzeczy, jak powiedzmy wiatr, przepuszczała, ale złapane w niej muchy wisały nadal i były trzymane dopóty, dopóki pajęczy rozum ich nie potrzebował i nie pałaszował.

Przeczytałem w życiu już wiele książek i dawno je zapomniałem, ale najważniejsze rzeczy z nich pozostały, wisząc w sieci, by któregoś dnia, może nawet dziesiątki lat później, zostać ponownie odkryte. Z bezcielesnymi cieniami *Płaczących Książek* było trochę inaczej: Przeszły przeze mnie jak przez grube sito i już parę chwil później wydawało mi się, że wszystko zapomniałem. Ale następnego dnia zauważyłem, że jednak parę rzeczy pozostało w sieci.

Nagle znałem słowa, których nigdy wcześniej nie słyszałem ani nie przeczytałem. Wiedziałem na przykład, ni z tego, ni z owego, że *plumowy* jest przestarzałym określeniem na *opierzony*. Ta wiedza wydaje się na pierwszy rzut oka bezużyteczna, ale kiedy wyobrazę sobie na przykład młode piskle, to *plumowy* wydaje mi się jakoś bardziej trafnym określeniem niż nic niemówiący *opierzony*. Dla ułatwienia zapamiętania całe stadko uroczych i nad wyraz plumowych piskląt znieścacka brodziły, popiskując, w mej świadomości.

Co się stało? Skąd wiedziałem nagle, co oznacza *śmierdówić*? Każdy zna ten ostry zapach z ust, który wydobywa się z nas po zjedzeniu czosnku, ale nikt prawie już nie wie, że to połączenie śmierdzenia i mówienia dało kiedyś początek słowu *śmierdówić*. „*Och, te kotlety z jagnięcia były wyśmienite*” – *śmierdowił* – i już od razu wiemy, że ten bohater przez pół powieści ciągnąc będzie za sobą smugę zapachu, przy czym słowo czosnek w ogóle nawet nie pada.

Bolegacki, *absatrakcyjny* czy *konfrontygodny* – znajomość tych słów nappełniła mnie uczuciem *superiowości* – niestety przestarzałe słowo, opisujące stan połączenia uczucia wyższości, powagi i wymagań. Znałem też teraz znaczenie słów *mezomorficzny*, *pokurczogamiczny*, *ektogilowy*, *yogudramowy*, *sferolityczny* i *indyglowy* – samych przymiotników, którymi można było obrażać kogoś aż do spowodowania *żądania satysfakcji* (słowo, które też niestety wyszło już z mody).

Powoli świtało mi, że *Płaczące Cienie* dysponowały wiedzą o dawno zapomnianej epoce, o czasach zdecydowanie bardziej zróżnicowanych językowo niż dzisiejsze. Kiedy chcemy kogoś opisać, zadowolamy się zazwyczaj tak niejasnymi określeniami, jak *ładny* albo *brzydki*. Ale odkąd zatańczyłem z cieniami, wiedziałem na przykład, że *nosogamiczny* to ktoś z dziurkami od nosa o wyraźnie różnej wielkości, *hektolit* to ktoś przypominający kształtem beczkę, a *plusquamperfekt* – ktoś o ponadprzeciętnie

dobrym wyglądzie. To było przecież znacznie subtelniejsze.

Wola różnicowania u *Płaczących Cieni* obejmowała każdą dziedzinę. Dźwięki nie zostały przez nie wrzucone do jednej szuflady dla analfabetów i ze słowami takimi, jak: *trzask*, *szelest* czy *brzęk*, tylko otrzymywały imię utrafiające i zgodne z ich naturą. Na przykład delikatny dźwięk, jaki wydaje z siebie puszyste piórko, dotykając podłogi, nazwany był *bft*. Dźwięk, który powstaje, gdy pijąc coś, nagle zaczynamy się śmiać, wydychając płyn przez nos, to *pryrsknięcie*. Apetyczny dźwięk, powstający gdy wgrzamy się w tabliczkę czekolady, to *hmmser*. Straszliwy dźwięk, jaki może wytworzyć kreda na tablicy, był zwany *skrzypisk*. I przerażający odgłos, jaki wydaje z siebie wybuchający wulkan, nazywał się kiedyś słusznie *krakatau*.

Zamiast błądzić po Pałacu Cieni, przemierzałem tego dnia labirynty mojego własnego umysłu, by pozbierać wszystkie słowa, które tak hojnie pozostawiły w nim *Płaczące Cienie*.

Labiała był to stan totalnego niezdecydowania.

Hyk to moment, kiedy chcąc coś podnieść, zauważamy, że ta rzecz jest jednak za ciężka. Uczucie, które przeżywa się w chwili poślizgnięcia na mydle zwano *hoa*.

Przyjemność, którą odczuwa się, ściskając nieobraną mandarynkę, aż staje się miękka i niejadalna, nazywano *fruktodyzją*.

Ktoś, kto neurotycznie porządkował wszystko w alfabetycznym porządku, był *abecerulantem*, ale jeśli neurotycznie porządkował wszystko w odwrotnej alfabetycznej kolejności, był *zetigrekixem*.

Humodont, *łaskofill*, *moptobulizm*, *kryptokokih*, *kulorowy*, *interjodałny*, *małuchowaty*, *niezdrobny*, *zaskogrzcyczny*, *hopibawny*, *kontreresy*, *bibbilugiczny*, *omnigormy* – były to setki, tysiące zapomnianych słów, zbierałem każde z nich i zanosilem do komnaty w mym mózgu, w której ukrywałem bogactwo językowe. Gdy dzień dobiegł końca, niemalże je podwoilem.

Siedzialem jeszcze długo w mej skarbnicy słów, podnosiłem każde z nich i oglądałem je z wdzięcznością, dumą i czułością, jak pirat oceniający każdy diament i sztabkę złota ze zdobytego skarbu.



TEORYJKA I PRAKTYKA

Jeśli chodzi o pisanie lewą ręką, robiłem szalone postępy. Chyba naprawdę był to mój naturalny, tłumiony przez dziesięciolecia sposób pisania.

Teraz słowa płynęły z mojej głowy bezpośrednio na papier bez zacinania się, jak zdarzało się to często kiedyś. Pojąłem, że ręka, którą pisze poeta, to jak ręka, którą walczy szermierz i boksuje bokser. Właściwą ręką pisanie szło mi naprawdę lepiej, rytm myśli współgrał z ruchami ciała, co było konieczne przy przelewaniu ich na papier. W trakcie pisania zdarzają się momenty, kiedy słowa zaczynają płynąć, a utrzymanie tego stanu udaje się tylko wtedy, gdy używa się właściwej ręki.

Lekcje u Króla Cieni miały niewiele wspólnego z tradycyjnymi kwestiami, których uczy się w trakcie normalnego, artystycznego wykształcenia, jakie otrzymałem także od Dancelota. Materiał nauczania, który chyba tylko on sam opanował i był w stanie przekazać, był wyjątkowo niekonwencjonalny, chciałoby się nawet powiedzieć, niepoważny.

– Chciałbym ci dzisiaj opowiedzieć coś o gazowej poezji – mówił na przykład Homunkolos i godzinami opowiadał mi o poetach z dalekiej planety, składających się z gazu świetlnego i o ich skomplikowanych chemicznie metodach pisania wysoce ulotnych gazowych wierszy. Jak sam twierdził, poprzez Orma był w stałym kontakcie ze wszystkimi poetami ze wszystkich zakątków wszechświata, także z wszystkimi tymi, którzy kiedykolwiek żyli i wymieniał się z nimi metodami i tematami.

Naturalnie plótł tylko głupstwa, ale przedstawiał je tak błyskotliwie i przekonująco, że mogłem jedynie podziwiać jego niewyczerpalną wyobraźnię. Była to osobliwa mieszanka skromności i manii wielkości, jego nieortodoksyjna metoda dydaktyczna przekazywania mi swej monstrialnej wiedzy i zdolności, o których twierdził, że podpatrzył je jedynie u innych. Przy czym tak naprawdę wszystko to wymyślał sam i nie męczyło go dzień po dniu, z lekcji na lekcję, wymyślanie coraz to nowych niedorzeczności, którymi rozpalał moją wyobraźnię.

Ta nauka, bez rozpoznawalnego systemu czy poważnych podstaw, w niezwykle sposób przyczyniła się do uruchomienia moich procesów myślowych i pisarstwa. W sposób, który przypominał mi o literaturze trywialnej z czasów mojej młodości, myśli nieustające tak po prostu po zamknięciu książki. *Plączące Cienie* miały zresztą odpowiednie słowo na tę formę beztroskiej i zwariowanej teorii literackiej, słowo, które brzmiało o wiele weselej i nienaukowo, prawie jak toast: *Teoryjka*.

Ale mimo mojej coraz sprawniejszej ręki piszącej, mimo rozszerzonego słownictwa i niecodziennych metod, którymi Homunkolos trenował moją kreatywność, jak dotąd

nie napisałem niczego znaczącego. Przy czym pisałem nieprzerwanie, nienagannie, jeśli chodzi o ortografię i styl, ale treściowo tak banalnie, że wszystko po napisaniu wrzucałem zazwyczaj do kominka. Czyż to wszystko nie było daremnym trudem? Może należałem raczej do tych mniej utalentowanych pisarzy, którzy nigdy nie wzniosą się ponad przeciętność? Któregoś dnia byłem tak zmęczony i wyczerpany z nadziei, że podzieliłem się moimi ponurymi myślami z Homunkolosem. Zastanawiał się przez chwilę i widziałem po nim, że decyzja, której wszystkie za i przeciw najwyraźniej roztrząsał, nie przysłała mu łatwo.

– Nadszedł czas, abyśmy skierowali się w stronę praktycznej części twojego wykształcenia – powiedział potem zdecydowanie. – Orma nie można wymusić, ale jeśli ktoś chce pisać, powinien także coś przeżyć. Pałac Cieni oferuje parę możliwości, którymi nie dysponuje żaden inny budynek w całej Camonii.

– Nie umknęło to mojej uwadze – powiedziałem.

– Nic nie wiesz. Zupełnie nic nie wiesz!

– Myślałem, że właściwie poznałem już resztę pomieszczeń Pałacu.

– Ha! – zaśmiał się Homunkolos. – A zastanawiałeś się kiedykolwiek, czym naprawdę jest Pałac Cieni?

– Naturalnie. Cały czas to robię.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy to budynek? – spytał Homunkolos. – Pułapka? Maszyna? Żywa istota? Masz ochotę odkryć to ze mną?

– Naturalnie.

– To nie jest bezpieczne. Ale wydaje mi się, iż mogę ci zagwarantować, że będziesz miał po tym pierwszą wielką historię, którą będziesz mógł przelać na papier swoją nową ręką i nowym słownictwem.

– No to ruszajmy!

– Powiem to jeszcze raz: Może być niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie.

– Co niby ma się wydarzyć? Król Cieni będzie moją strażą przyboczną.

– W katakumbach istnieją stworzenia bardziej niebezpieczne niż Król Cieni.

– Także w *Pałacu Cieni*?

– W tej części, do której idziemy, tak.

– Uuu – teraz naprawdę rozbudziłeś moją ciekawość. To dokąd właściwie idziemy?

– Do piwnicy.

– *Pałac Cieni* ma piwnicę?

– Naturalnie – powiedział Homunkolos. – Każdy niesamowity pałac ma piwnicę.

18

W PIWNICY

Trudno powiedzieć, ile czasu potrzebowaliśmy, żeby zejść po schodach do piwnicy *Pałacu Cieni*, ale na pewno było to parę godzin. Używając pojęcia schody, uprościłbym to zbyt mocno. Wśród zapomnianego słownictwa *Płaczących Cieni* istniało określenie na ten rodzaj odcinka, który przemierzaliśmy – *ciemnootchłanioweschody*. Co oznaczało tyle, co „wszystko, co prowadzi głęboko w dół”.

Kroczyliśmy w pierw w dół po sztucznie wykutych schodach, potem schodziliśmy po powykręcanych żelaznych drabinach pokrytych świecąca rdzą (i pochodzących prawdopodobnie od *Rdzawych Gnomów*). Czasami musieliśmy się nawet spuszczać po linie albo ześlizgiwać skalnymi rynnami, aż w końcu dotarliśmy do jaskini stalaktytowej takiej wielkości, że nie byłem w stanie uwierzyć, iż naprawdę była jeszcze częścią *Pałacu Cieni*.

– Te jaskinie znajdują się pod Pałacem, więc są jego piwnicami – przekonywał przekornie Homunkolos. Niósł ze sobą pochodnię z meduz, która w niewystarczającym stopniu oświetlała przestronną grootę. Było w niej zimno i wilgotno, śmierdziało zgnilizną i martwymi rybami, i zaczynałem już tęsknić za szalonymi, ale dobrze ogrzаныmi salami Pałacu Cieni.

Homunkolos szedł przodem, niosąc w górze pochodnię. Dookoła wyrastały z ziemi kryształki o barwie bursztynu, odbijając światło pochodni. Nie rozpoznawałem już żadnych śladów cywilizacji, żadnych obrobionych minerałów, żadnych skamieniałych księży, żadnych wyrysowanych znaków. Znow znajdowałem się w takiej części katakumb, do której rzadko błędziły myślące istoty.

– Słyszałeś pewnie o znaleziskach olbrzymich księży – powiedział Homunkolos, idąc zamasyście przodem. – O księżykach wielkich jak drzwi od stodoły, tak ciężkich, że nie potrafiło ich unieść dziesięciu łowców księży.

– Tak. W dziele Deszczblaska było coś o tym. Bajeczki łowców księży, którymi koloryzowali swój zawód. I napędzali strachu ludziom, żeby nie podążali za nimi do katakumb, tak to widzę. Ponieważ gdyby istniały tak olbrzymie księżyki, musiałyby istnieć i olbrzymy.

– Legendy o olbrzymach w katakumbach istniały już wtedy, gdy nie było jeszcze żadnych łowców księży. Nazywano je *Przewielkimi*, *Ludźmi Olbrzymimi* albo *Szogotami*. Przypuszcza się, że byli pierwszymi mieszkańcami tego podziemnego świata. Rasą, która dawno wymarła. Zbyt wielką na ten mały świat.

– Ogromna czaszka, w której mieszkał Hoggno Kat, mogła należeć do jednego z tych olbrzymów.

– To była zwierzęca czaszka. Czaszka bardzo wielkiego zwierzęcia, ale nie olbrzyma. Homunkolos zszedł w dół szybu, a ja chcąc nie chcąc podązałem za nim. Wszedł do wielkiej ciemnej pieczary, w której światło pochodni oświetlało zaledwie część jej dna. Dno było gładko oszlifowane i wyglądało właściwie jak sztucznie obrobione. Czułem zapach antykwarycznych książek, który był tak przenikliwy, że graniczył już niemal ze smrodem.

– Gdzie jesteście? – spytałem. – Są tu jakieś książki?

– Uważaj! – powiedział Homunkolos. – Tego, co teraz zrobię, nauczyłem się od buchlingów, gdy podglądałem je potajemnie.

– Buchlingi też potajemnie podglądałeś? Robisz to z każdym, co? Słyszałeś coś kiedyś o prywatności?

Homunkolos wyszczerzył się.

– Na przykład list od Dancelota położyłem im przed wejściem do *Skórzanej Groty*. Tak zaprowadziły mnie do swojej *Komnaty Cudów*. Znam ścieżki wśród skał, których nie zna nikt poza mną. Wiem też, gdzie buchlingi ukrywają *Gwiazdę Katakumb*.

– Ty przyniosłeś buchlingom list Dancelota?

– No a kto inny? – spytał Homunkolos z niemałą racją. – A ty najwidoczniej go czytałeś?

Skinąłem głową.

– I robisz tak pewnie z każdym cudzym listem, który wpadnie ci w ręce. Słyszałeś coś kiedyś o prywatności?

Zawstydzony opuściłem głowę, ale podniosłem ją zaraz z powrotem, bo Homunkolos wyrzucił swą pochodnię w powietrze.

– Buchlingi nazywają to miotaniem ognia – powiedział.

– Wiem.

W niebieskim świetle wirującej pochodni zobaczyłem, że jaskinia była ogromnie wysoka, co najmniej na trzydzieści metrów. I że aż pod sufit sięgały regały książkowe. Samo to nie było niczym szczególnym, bo w katakumbach widziałem już większe regały. Zdumiewające było to, że stojące w nich książki były wielkie jak drzwi od stodoły.

Homunkolos złapał z gracją pochodnię, wyszczerzył się do mnie i podrzucił ją jeszcze raz w górę.

W obliczu tych gigantycznych książek, stojących tam w długich rzędach, grzbiet przy grzbiecie, opanowało mnie dziwne uczucie. Określenie go respektem nie byłoby wystarczające. *Plączące Cienie* miały na to odpowiednie słowo *pokorostrach*, respekt

blisko graniczący z nagim strachem. Jest to stan, w którym z ledwością udaje się opanować impuls rzucenia się na ziemię i błagania o litość.

Homunkolos znów złapał pochodnię.

– Są tu książki wielkie jak domy – powiedział.

– Ci, do których to wszystko kiedyś należało, są już od wieków martwi, prawda? – wychrypiałem.

– Tak, wszyscy są już od dawna martwi – powiedział Homunkolos.

Odetchnąłem. Były to tylko artefakty po wymarłej rasie olbrzymów.

– Oprócz jednego.

Przeraziłem się.

– Tu na dole istnieje coś żywego?

– Tak. Niestety.

– Co to jest?

– Ciężko powiedzieć. Coś bardzo wielkiego. Potwór.

– W tej piwnicy mieszka potwór?

– W każdej piwnicy mieszka potwór.

– Jest to więc olbrzym i potwór? – powoli robiło mi się nieprzyjemnie.

– Tak. Nie wiem, jak mam to inaczej zdefiniować – powiedział Homunkolos. – Jest potworny nie tylko ze względu na swoje rozmiary. Jest jeszcze gorzej: Podejrzewam, że ta kreatura jest kanibalem.

Potwór, olbrzym i kanibal. Robiło się coraz lepiej. Mogłem mieć tylko nadzieję, że Homunkolos chce rozbudzić moją poetycką fantazję kolejnymi urojeniami.

– A teraz coś, w co na pewno mi nie uwierzysz – powiedział Homunkolos, jakby czytał w moich myślach. – Olbrzym jest naukowcem. Albo kimś w rodzaju alchemika. Czyta. Czyta te wszystkie olbrzymie książki, które tutaj widzisz. Eksperymentuje w gigantycznych laboratoriach niedaleko stąd. Zaciągnął zwłoki swoich przodków do olbrzymiej lodowej jaskini. Wydaje mi się, że przeżył tak długo jedynie dzięki temu, że pożera ich jednego po drugim. Ich martwa krew utrzymuje go przy życiu.

Tak, tak, była to opowieść z gatunku tych, które opowiadało się w dzieciństwie swoim przyjacielom, schodząc z nimi do piwnicy. Może Król Cieni chciał wykształcić mnie na pisarza opowieści grozy.

– I wiesz, co jeszcze sędzę? – spytał Homunkolos.

– Ledwie mogę się doczekać, aż się tego dowiem.

Homunkolos pochylił się konspiracyjnie w moją stronę i zniżył głos do ochrypniętego szeptu. – Sędzę, że ten olbrzym zwariował! Ma nie po kolei w głowie –

uczynił odpowiedni gest. – Chociaż nie posiada żadnej głowy.

– Nie ma głowy?

– Nie. W każdym razie niczego, co w naszym rozumieniu uchodziłoby za głowę. Właściwie nie ma też żadnych ust, ale mimo wszystko widziałem raz, jak pożerał jakieś zwłoki. I uwierz mi, było to najmniej apetyczne, co w...

– Przestań wreszcie! – krzyknąłem. – Nie nastraszysz mnie. Powiedz mi w końcu, czego tu szukamy.

– Już ci przecież powiedziałem. Szukamy tajemnicy *Pałacu Cieni*. Ostatniego misterium katakumb.

– Nie ma tu żadnego potwora. Chcesz wystawić mnie na próbę.

– To idź przodem, skoro jesteś taki nieustraszony.

– Zrobię to.

– Więc zrób to.

Minąłem Króla Cieni i przeszedłem z wahaniem parę kroków w ciemność.

– Dlaczego miałbyś być tak szalony i bez przyczyny wkraczać do królestwa niebezpiecznego potwora? – powiedziałem.

– Nie robię tego – odpowiedział Homunkolos. – Ty to robisz.

– Co masz na myśli? – spytałem i odwróciłem się w jego kierunku. Ale jego już nie było. Jedynie na ziemi leżała jego pochodnia z meduzami.



POT DINOZAURA

Przypomniałem sobie o zabawach z dzieciństwa. W Twierdzy Smoków prowadziliśmy często młodszych towarzyszy zabaw w mroczne, niesamowite jaskinie i ułatnialiśmy się. Uważaliśmy to za straszliwie zabawne, kiedy zmuszaliśmy ich do bezradnego błędzenia i płaczu, podczas gdy my, ukryci, zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Ale miałem wtedy trzydzieści, czterdzieści lat, byłem dzieckiem! Na podobnie infantylnym poziomie znajdowały się także żarty Króla Cieni.

– Homunkolos!! – wołałem. – Co to za wygłupy!?

Żadnej odpowiedzi.

Podszedłem do pochodni i podniosłem ją.

– Homunkolos! – zawołałem raz jeszcze.

– *Koloss... loss... loss... oss... oss...* – odpowiedziało echo.

Naturalnie gapił się gdzieś tam na mnie z ciemności, dowcipniś. Ale nie chciałem dać mu satysfakcji i postanowiłem nie okazać jakichkolwiek oznak strachu czy słabości. Dlatego, trzymając wysoko w górze pochodnię, pomaszerowałem po prostu do wnętrza tej ogromnej biblioteki. Niech skrada się za mną w ukryciu, skoro sprawia mu to tyle przyjemności – powiedziałem sobie.

Widok tych monstrualnych księzek w błękitnym świetle pochodni był teatralny jak kulisy bajkowego przedstawienia o złym olbrzymie. Sądząc po zapachu, musiały mieć tysiące lat, zdumiewające, że jeszcze się nie rozpadły. Może rasa olbrzymów, która je stworzyła, znała jakiś szczególny sposób na konserwację papieru. O ile strony tych księzek w ogóle były z papieru, może z metalu, albo ze skór jakichś bestii. Spoglądałem więc tylko na ich potężne, łuskowate grzbiety pokryte guzkami, może był to jakiś rodzaj pisma. Jeśli tak, to o czym mogły traktować zawarte w nich historie? A może były to dzieła naukowe, pełne szalonej alchemii olbrzymów? Potrzebowałbym pomocy dwunastu silnych mężczyzn, żeby strącić którąś z nich z regału i samemu to sprawdzić.

Na półce jednego z regałów leżało metalowe narzędzie przypominające cyrkiel, tylko że ten tutaj miał trzy ostre końcówki i był dwa razy większy ode mnie. Zrobiony ze srebra, które prawie już całkowicie szerniało, natomiast przegub, śruby i końcówki wykonano z mosiądzu. W metalu wygrawerowane były nieznane mi znaki. Może jednostki miary? Według jakich miar liczył olbrzym? Dzięki takiemu archeologicznemu znalezisku wywołałbym sensację w Księgogradzie, ale potrzebowałbym końskiego zaprzęgu, żeby w ogóle ruszyć go z miejsca.

Tak więc naprawdę było to kiedyś królestwo olbrzymów, biblioteka rasy gigantów. Powoli przeczuwałem, co zaplanował dla mnie Homunkolos. Przyproceedził mnie tutaj i

zostawił samego, aby rozpalic moją wyobraźnię tymi fascynującymi wrażeniami. Może miałem napisać historię o olbrzymach, gdy już dotrzemy z powrotem do *Pałacu Cieni*. Jeśli chce się pisać o wielkich rzeczach, potrzeba na to wielkich wrażeń. A to tutaj, to był dopiero materiał! Żadna legenda, bajka czy urojenia, tylko prawdziwa historia o upadku cywilizacji tytanów, którą mogłem zbadać na podstawie tych artefaktów. Może jednak uda mi się zwalić którąś z tych ksiąg z regału i trochę przekartkować.

Faktycznie, nie odczuwałem już teraz żadnego strachu, a jedynie palącą ciekawość. Szedłem wzdłuż regałów tak blisko, jak było to możliwe, by odkryć jeszcze więcej szczegółów. Tam leżała igła ze złota, długa jak włócznia. Stos zasuszonych skór, które, sądząc po rozmiarach, mogły pochodzić jedynie ze słoni, pokryte nieczytelnymi znakami, z których każdy był wielki jak drzwi. Kryształ wielki jak gład może był przyciskiem do papieru.

Jak wyglądał świat z perspektywy olbrzyma? Gdyby jeden z tych gigantów mnie spotkał, czy zdeptałby mnie jak robaka, może nawet mnie nie zauważając?

Przyprowadzenie mnie tutaj było doskonałym pomysłem. Byłem wdzięczny Homunkolosowi za to doświadczenie. Niech chichocze sobie tam w ciemnościach jak uczeń, jeśli przynosi to nieco odmiany jego mrocznemu życiu.

W końcu ogarnęła mnie lekkomyślność i pragnienie udowodnienia Homunkolosowi mojej nieustraszoneści. Chciałem wspiąć się na jeden z regałów i spróbować wysunąć którąś z książek. Z małym egzemplarzem mogło się to udać.

Wspiałem się więc na pierwszą półkę. Maszerowałem wzdłuż rzędu książek, jak generał wśród swoich oficerów, aby wyszukać wyjątkowo niewielki egzemplarz. Znalazłem niezbyt grubą książkę, ledwo przewyższającą mój wzrost. W porównaniu ze swoimi koleżankami była chudziutką drobiną. Z tą mogłem sobie poradzić. Odłożyłem pochodnię, wspiąłem się poprzez książki na tył regału i zacząłem pchać.

Nagle zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, bo z tyłu było ciemno i śmierdziało stęchlizną. Jak łatwo mógł schować się tu tłusty pająk albo jakiś skorek. Wyobrażenie tego podwoiło moje wysiłki i niemal bez trudu wypchnąłem książkę na zewnątrz. Potem wysunąłem ją poza krawędź regału i zrzuciłem na dół. Z głośnym trzaskiem uderzyła o ziemię, a echo rozbrzmiewało jeszcze długo w ciemnej bibliotece.

Udało się! Strzepnąłem kurz z peleryny i rozejrzałem się dookoła. Ale Homunkolos, ten uparty osioł, dalej się ukrywał. Przycupnął gdzieś tam w ciemnościach i prawdopodobnie podziwiał moją odwagę. Zszedłem na dół po regale, by zbadać książkę.

Zaciekawiony uniosłem okładkę, która otworzyła się ze skrzypieniem niczym stary sarkofag. Strony były grube na kciuk, zrobione z szarego, skórzanego materiału,

który nie miał prawdopodobnie nic wspólnego z papierem. Strony były pokryte takimi samymi piramidalnymi guzkami, którymi ozdobione zostały grzbiety większości książek w tej bibliotece. Prawdopodobnie był to alfabet olbrzymów. Ale nie dawał żadnych informacji o tym, co mogłaby zawierać ta książka.

Mimo wszystko byłem z siebie dumny. Byłem na pewno jednym z niewielu, którzy przekartkowali książkę olbrzymów. Pionier w badaniach nad tytanami.

Nadstawiłem uszu, bo wydawało mi się, że coś usłyszałem. Czy to ja drżałem tak z ciekawości, czy zatrzęsła się ziemia? Faktycznie, ziemia wibrowała, a książka razem z nią. Mocniej. I jeszcze mocniej.

Teraz jednak byłem już trochę zaniepokojony i rozejrzałem się trwożliwie za Homunkolosem. Może było to tylko trzęsienie ziemi. Albo wybuch podziemnego wulkanu. Może przez katakumby gnała teraz prosto na mnie olbrzymia fala błota.

Gruchot stawał się coraz straszniejszy, na regałach zaczęły się unosić gęste kłaczki kurzu. Słyszałem pneumatyczne odgłosy pisków i fletni, jak gdyby wydobywały się z dziesiątków kobz i piszczałek organowych, zbliżających się coraz bardziej z ciemności tunelu. I głębokie, ciągłe mruczenie.

I wysoki wibrujący gwizd.

Wtedy w błękitne światło mojej pochodni, z ciemności wynurzył się on – olbrzym.

Na pierwszy rzut oka wyglądał naprawdę jak potężna fala wody, szara, zwężająca się ku górze, co najmniej dwadzieścia, trzydzieści razy większa ode mnie. Ale potem zrozumiałem, że ta fala składała się z mięsa przelewającego się w moim kierunku, piekielnie śmierdzącego. Jego stożkowata postać w dziwaczny sposób przypominała mi o moim domu, o Twierdzy Smoków.

Pokrywały go całkowicie podobne do trąb narosła, niektóre z nich zwisały luźno na dół, inne smagały nerwowo powietrze. Między trąbami znajdowały się błony wielkości okien, były ich chyba dziesiątki, podziurawione filtry z galaretowatego szarego mięsa, rozciągające i ściągające się z powrotem, tak jakby był to jego układ oddechowy. Nie mogłem znaleźć jego oczu, brakowało też zresztą rąk i nóg. Ta gigantyczna żywa gruda zdawała się poruszać pełzając.

Zatrzymał się. Jego trąbki węszyły we wszystkich kierunkach, a błony pompowały spokojnie i równomiernie. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie idzie prosto na mnie, na mnie i pochodnię, jedyne źródło światła w pomieszczeniu. Przecież musiał mnie zobaczyć!

I wtedy zrozumiałem: naturalnie, olbrzym był ślepy! Tak jak wiele innych kreatur w katakumbach nie miał oczu i orientował się tylko według dotyku, słuchu i węchu. Po to

te wszystkie trąby i membrany! Miał setki nozdrzy, ale ani jednego oka. Zaalarmował go dźwięk spadającej książki, ale momentalnie nawet dla niego nie istniałem, bo nie wydawałem z siebie żadnego dźwięku.

Po co więc te wszystkie książki? – zadawałem sobie pytanie. Na co ślepemu książki? Może jednak w jakiś sposób widział, poprzez te błony albo okiem schowanym w którejś z trąb? Może powinienem po prostu uciec w przeciwnym kierunku? Ale jeśli naprawdę był ślepy, to nie był to dobry pomysł, ponieważ olbrzym mógłby mnie jeszcze usłyszeć, moje kroki, moją powiewającą pelerynę, mój zdyszany oddech.

Więc lepiej po prostu zostać na miejscu? Nie wydać z siebie ani jednego dźwięku, wstrzymać oddech i czekać, aż sobie pójdzie? Wydało mi się to nagle najrozsądniejszym wyjściem. Może zatrzymał się tylko, żeby zaraz zawrócić. Tak, stać w miejscu i nie ruszać się, to było najlepsze rozwiązanie. Czy nie robi się tak w obliczu wszystkich wielkich i niebezpiecznych stworzeń?

I nagle zacząłem się pocić. Wydawało mi się to zawsze dziwne, że w chwilach najwyższego fizycznego napięcia w ogóle się nie pocimy, a później, gdy wszystko już mija, pot spływa nagle strumieniami. Tak stało się i teraz: W ciągu paru sekund skąpany byłem w dinozaurzym pocie.

I uwierzcie mi, moi przyjaciele, ten pot to dość szczególne perfumy. Jego zapach jest wyraźnie intensywniejszy niż u innych istot, bo pierwotnie miał on sygnalizować *obecność*. Ta właściwość dinozaurzego potu pochodzi jeszcze z prastarych czasów, kiedy byliśmy najniebezpieczniejszymi i najbardziej przerażającymi kreaturami na świecie, a zapach naszego potu miał wywoływać u naszych ofiar paraliżujący strach. Podczas gdy inne istoty w momentach napięcia przybierają maskujące barwy albo odpychający wygląd, my, twierdosmoczanie, zaczynamy się pocić i śmierdzimy jak kupa kompostu w sierpniowy gorący dzień. Równie dobrze mógłbym uruchomić syrenę pożarową albo walić w gong, żeby zwrócić na siebie uwagę olbrzyma.

Olbrzym wydał z siebie zadowolony pisk i skierował na mnie wszystkie znajdujące się w ruchu trąbki. Odkrył mnie! Jego membrany zaczęły gwałtownie pompować, wydając z siebie przerażające siorbanie. Potem góra mięsa poruszyła się, precyzyjnie w moim kierunku.

Zrobiłem dokładnie to, co bym uczynił, gdyby toczyła się na mnie fala przyływu, czyli zupełnie nic. Ucieczka przed taką siłą natury nie miała sensu, abstrahując już od tego, że i tak nie byłbym w stanie poruszyć nogami. Monstrum przelewało się w moim kierunku trzema potężnymi, bulgoczącymi ruchami, trąbiąc niezliczonymi trąbkami, a zbliżywszy się do mnie, zatrzymało się. Chwyciło mnie równocześnie wiele metrowych

trąbek i podniosło do góry, trąbka trąbce przekazywała mnie coraz wyżej, aż dostałem się niemal na szczyt kolosa. Znajdowała się tam jedna z pompujących membran. Nadal byłem jak sparaliżowany, trzymałem kurczowo pochodnię, zanurzając tym samym górny koniec olbrzyma w upiornym błękitnym świetle. Dwie trąbki trzymały mnie blisko membrany, która zaczęła się teraz wydymać. Z wielu znajdujących się w niej dziur wionął na mnie strumień ciepłego powietrza, którego zapach był tak potwornie obrzydliwy, moi drodzy przyjaciele, że nie pozostało mi nic innego, jak zemdleć.



W ZOO OLBRZYMA

Gdy znów doszedłem do siebie, znajdowałem się na dnie szklanej butelki. Była ogromna jak dom z kominem. Niemożliwe było, abym po gładkich ścianach sięgnął do otworu nade mną. Poprzez szkło ujrzałem, że butelka stoi dość wysoko na regale, znajdującym się w czworokątnym pomieszczeniu, którego ściany pokryte były dalszymi regałami. Stały w nich gigantyczne książki i co najmniej setka innych szklanych butelek. Widziałem też parę dziwaczych metalowych instrumentów, których przeznaczenia nie potrafiłem sobie wytłumaczyć.

Moja pochodnia z meduzami leżała na przeciwległym regale zanurzając pomieszczenie w przytłumionym świetle. Olbrzym odebrał mi ją najwidoczniej, by ją zbadać.

Przeróżające w mojej sytuacji było nie tylko uwięzienie, ale też i to, co znajdowało się w innych butelkach. Były to bowiem istoty najbardziej ohydneho rodzaju, same stwory z katakumb, niektóre znałem z opisów, inne widziałem już na własne oczy. W jednej z butelek siedział Pajaxxxx, w innej złotawy i olbrzymi wij z ogromnymi szczypcami. W butelce dokładnie obok mnie rzucał się białowłosy pająk, wielki jak koń. Na regale naprzeciwko siedział uwięziony Harpir, drapiąc pazurami po szkło. Widziałem Pytona Tunelowego o zielonej łusce, niesamowitej wielkości, upierzoną Szarańczę Katakumbową i szczura o czerwonym futrze i czarnych oczach, z zębami długości szabli. Wilkoperza, którego skrzydła miały rozpiętość co najmniej dwóch metrów. Kryształowego Skorpiona.

Reasumując: W tym pomieszczeniu znajdowały się prawdopodobnie egzemplarze wszystkich niebezpiecznych kreatur w katakumbach, a jedyną uspokajającą rzeczą był fakt, że były uwięzione tak samo jak ja. Co chwila coś stuknęło i tykało, gdy któryś ze stworów usiłował uciec ze swego szklanego pojemnika, rozbijając się przy tym o gładkie ściany. Niektóre butelki były otwarte, inne zakryte siatkami, ponieważ ich więźniowie mieli skrzydła lub przysawki, za pomocą których byliby w stanie uciec. Było to zoo szczególnego rodzaju. Teraz zrozumiałem, co Homunkolos miał na myśli, mówiąc, że olbrzym jest naukowcem.

Z daleka usłyszałem znów trąbienie i gwizdy. Dźwięki te wprowadziły taki niepokój wśród uwięzionych, że obawiałem się tylko najgorszego. Naukowiec spieszył, by przeprowadzać na nas eksperymenty.

Pneumatyczne odgłosy szybko się przybliżały, a po chwili stał już w drzwiach o piramidalnym kształcie, dopasowanych do kształtu jego ciała. Przytłaczający smród sięgnął nawet do wnętrza mej butelki i zrobiło mi się niedobrze. Olbrzym wszedł do

śródką i wydał z siebie tubalny, basowy dźwięk brzmiący jak pozdrowienie. Przetoczył się na środek pomieszczenia i obrócił się parokrotnie wokół własnej osi, trzymając w górze wszystkie swoje trąbki i najwyraźniej wachając dookoła – sposób ślepego stworzenia na rozjeżdzenie się. W końcu zatrąbił raz jeszcze z zadowolenia i udał się w stronę regału, skąd wyjął butelkę z ogromnym owadem.

Nie znam się szczególnie na entomologii, bo większość z tych zwierząt wzbudza we mnie obrzydzenie, które wzrasta proporcjonalnie do ilości posiadanych przez nie odnóży. Stąd nie jestem w stanie podać dokładnej naukowej nazwy tego stworzenia, ochrzczę je mianem *Latającego Krawca*.

Miało ono ciało skorpionia, ale wielkości cielaka, a przy tym sześć długich odnóży i sześć ramion, kończących się połyskującymi metalicznie nożycami. Poza tym posiadało także długi, cienki i również metalicznie połyskujący ogon, który wyglądał jak ogromna igła do szycia. A krawiec ten potrafił nie tylko ciąć i szyć, lecz także latać, ponieważ dysponował ogromnymi, furczącymi skrzydłami ważki.

Olbrzym wetknął jedną ze swoich trąbek do butelki przez kratę i dmuchnął do środka, przez co *Latający Krawiec* runął i zemdłał. Olbrzym otworzył butelkę, wyjął ogłuszonego owada, odłożył ją z powrotem na regał, zatrąbił radośnie i, przelewając się, ruszył dokładnie w moim kierunku.

Cofnąłem się i przycisnąłem plecami do przeciwległej szklanej ścianki, ale on w ogóle nie zwracał uwagi na mnie, tylko na białowłosego pająka obok. Odkorkował butelkę i wrzucił do środka śpiącego owada. Biały pająk niezwłocznie zareagował na odwiedzinę i zaczął owijać go w długą lepłą sieć. Wskutek tego *Latający Krawiec* się przebudził.

Wolałbym oszczędzić wam zbyt dokładnego opisu tego, co wydarzyło się potem w sąsiedniej butelce, moi przyjaciele, i skupić się na najistotniejszych rzeczach: *Latający Krawiec* górował nad białym pająkiem, przewiercił go ostatecznie swoją igłą i zaczął systematycznie dzielić truchło na części swoimi ostrymi jak noże nożycami.

Jeszcze bardziej odrażające było zachowanie olbrzymiego naukowca. Monstrum nasłuchiwało zachwycone straszliwych odgłosów dochodzących z butelki, komponując do tego istny koncert różnych dziwacznych dźwięków. Robił to z taką rozkoszą i kunsztem, jakby *improvizował* sobie, akompaniując walce insektów.

Gdy białowłosey pająk został już całkowicie pokrojony, a pojedyncze jego części nadziane na igłę *Latającego Krawca*, okropny olbrzym stracił zainteresowanie i odwrócił się od miejsca zdarzenia. Przesunął się swym kamiennoszarym cielskiem do innego regału, z którego wyjął jedną z olbrzymich książek. Przekartkował ją i ostatecznie

zaczął obmacywać systematycznie swoimi trąbkami, pogwizdując przy tym.

Trwało to chwilę, ja nadal byłem roztrzęsiony tym, co się właśnie wydarzyło, nim zacząłem obserwować olbrzyma w trakcie czytania. Mogłem już wcześniej na to wpaść: piramidalne guzki na stronach były pismem dla niewidomych, które mógł odszyfrować jedynie przez dotyk.

Najwidoczniej sprawdzał w jakimś dziwnym podręczniku dla olbrzymich naukowców, które z niebezpiecznych insektów ma poszczuć na siebie jako następne.

Potem wy dobył z siebie znów dudniący, basowy dźwięk, który wprawił w drżenie wszystkie butelki, odłożył książkę z powrotem na miejsce i skierował się w stronę zagadkowej aparatury, znajdującej się przy ścianie między regałami. Był to pogmatwany system przenikających się nawzajem złotych rur.

Używając wielu trąbek naraz, manipulował przy złotych kurkach i kółkach, aż w rurach potężnie zabulgotało i zaburczało, i ku mojemu najwyższemu zdumieniu rozbrzmiała nagle upiorna muzyka *Pałacu Cieni*.

Dopiero teraz zauważyłem niewidoczne trójkątne otwory w ścianach, znajdujące się dokładnie nad regałami. Płynęła z nich nie tylko muzyka, ale także wyraźnie słyszalny prąd powietrza, który rozpędził smród olbrzyma i w końcu uczynił atmosferę trochę przyjemniejszą.

Świeże powietrze – to była ta tajemnica *Pałacu Cieni*! Cały budynek był systemem wentylacyjnym prastarej rasy olbrzymich naukowców, skierowującym powietrze z katakumb w ich niższe kondygnacje. Upiorna muzyka była prawdopodobnie tylko efektem ubocznym uregulowanych prądów powietrza, ale wydawało się, że podoba się temu olbrzymowi, bo dołączył do niej wieloma wysokimi flecikowymi dźwiękami, poruszając do taktu swym monstrualnym cielskiem.

Skierował się teraz do jednego z regałów i wyciągnął z niego butelkę z dziko miotającym się insektem. Potem przetoczył się w moim kierunku i postawił butelkę dokładnie zaraz obok mojej. Włożył swe trąbki do naszych szklanych więzień, by nas obwąchać – najpierw w tę z insektem, potem w moją. Fanfary, które wydobywał z siebie teraz, brzmiały tak, jakby woń mojego dinozaurzego potu wyraźnie go zachwycała. Nietrudno zgadnąć, co zamierzał: do udziału w następnym pojedynku wytypował mnie i kreaturę z butelki obok.

Ta istota, och, moi kochani przyjaciele, ta szkarada wypluta prawdopodobnie przez najgorszy z podziemnych światów, była z pewnością najbardziej odrażającą i obrzydliwą rzeczą, jaką kiedykolwiek ujrzałem na oczy. Wyobraźcie sobie wyrośniętą świnię, z której zdarto właśnie skórę, tak że widać całe jej surowe mięso ze wszystkimi

ścięgami. To ciało wspierało się na pięciu mlecznobiałych, pozbawionych przegubów wężach zakończonych przyssawkami. Na całym ciele porozrzucane były dziesiątki czarnych owadzych oczu i tyle samo narządów gębowych w kształcie dziobów. Ale najbardziej nierealny w tym wszystkim był fakt, że za pomocą przyssawek mogła spacerować po szklanych ścianach butelki jak mucha. Co robi ze mną to monstrum? W porównaniu z tym przerażający los białego pająka wydawał się nawet łaskawy.

I nagle dźwięk, od którego wzdrygnął się nawet olbrzym! Dochodził z zewnątrz, jakby z daleka, i byłem pewnie jedynym w pomieszczeniu, którego nie przeraził, a jedynie napełnił nadzieją.

Olbrzym odwrócił się od nas, wyprostował na całą wysokość i zatrąbił oburzony. Potem zdawał się chwilę zastanawiać, zaczął w końcu wesoło sobie pogwizdywać, zakręcił zawory systemu wentylacyjnego i wyłączył prąd powietrza razem z muzyką. Zdecydował najwidoczniej, że przed kontynuowaniem walk gladiatorских zdobędzie jeszcze do swych zbiorów Króla Cieni.

Dziwne dźwięki wydobyły się z butelek, najpewniej same okrzyki ulgi. Zły olbrzym już odszedł, a to gwarantowało mi przynajmniej chwilę zwłoki i czas na przemyślenie możliwości ucieczki.

To jednak załatwiłem szybko. Nie widziałem po prostu żadnej możliwości ucieczki o własnych siłach z tego gładkiego szklanego pojemnika, moi drodzy przyjaciele. Obrzydliwy stwór w sąsiedniej butelce gapił się na mnie swoimi wieloma oczami i paradował po szklanej ścianie za pomocą swoich przyssawek, wydając mlaszczące odgłosy. Mogłem mówić o szczęściu, że jego butelka była okratowana, inaczej przeszedłby już tutaj do mnie i rozpoczął swe straszliwe dzieło.

– Hej – zawołał głos nade mną. – Na górze.

Popatrzyłem w górę. Z regału na górze do mojej butelki zsuwał się na linie Homunkolos. Oparł się nogami o jej wlot i spoglądał do środka.

– Tutaj jesteś – powiedział z wyrzutem. – Znowu masz problemy, hm?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć mu podobnymi wyrzutami, opuszczał mi już do środka linę.

– Zawiąż to wokół siebie – syknął. – A mnie zostaw już resztę!

Zrobiłem, co kazał. Homunkolos podciągnął mnie silnie do góry bez jakichkolwiek oznak wysiłku, tak jakbym nie był cięższy niż worek pierza. Potem spuścił mnie po linie, po zewnętrznej ścianie butelki. Sam ześlizgnął się za mną, skoczył i wylądował pewnie na obu nogach.

– No – powiedział. – Teraz posprzątamy w piwnicy.

Podszedł do butelki ze straszliwym insektem, oparł się o nią całym ciałem i z zadziwiającą lekkością zepchnął ją poza krawędź regału. Spadła na dół i rozbiła się z głośnym trzaskiem na podłodze. Pognałem do krawędzi regału i spojrzałem w dół. Przerazający zwierz na dole wygrzebywał się ze skorup bez żadnego szwanku.

– Zwariowałeś? – zawołałem. – Nie wiesz, jak niebezpieczne są te bestie?

– Naturalnie, że wiem – powiedział Homunkolos i zaczął spychać z regału kolejną butelkę. Pękła z takim brzękiem, jakby z nieba spadła cała fabryka szkła, a gruby i czarny, olbrzymi wąż wydobył się z jej szczątków.

– Zaalarmujesz olbrzyma! – krzyczałem.

– Mam taką nadzieję – powiedział Homunkolos i zrzucił trzecią butelkę. Ponowny brzęk i do reszty dołączył teraz jeszcze Kryształowy Skorpion. Z daleka słyszałem już zbulwersowane odgłosy olbrzymiego naukowca.

Homunkolos chwycił teraz złotą igłę i użył jej jako dźwigni, by przewrócić kolejną butelkę. Jak kręgiel spadła ona na następną i przewróciła także i ją. Razem stoczyły się z regału i roztrzaskały na podłodze. Nie popatrzyłem już nawet, jakie nieszczęsne kreatury wydostały się dzięki temu na wolność.

– Co robisz? – fuknąłem na Homunkolosa. – Jakim cudem mamy się teraz stąd wydostać?

Homunkolos nie zwracał na mnie żadnej uwagi i spoglądał na stojący naprzeciw regał. To, co tam się rozgrywało, było najwyraźniej po jego myśli. Pobudzone jego wandalizmem zwierzęta zaczęły skakać i szaleć w klatkach, trzepotały dookoła, biegały i wlatywały na szklane ściany, żeby, wzorując się na Homunkolosie, przewracać swoje więzienia. Tu i tam udawało się to, i trzy, cztery kolejne butelki roztrzaskały się na ziemi.

Pomieszczenie wypełnione było teraz jadowitym syczeniem, groźnym klapaniem i świszczącym biciem skrzydeł. Olbrzymi, czerwony owad przypominający konika polnego latał dookoła, wydając z siebie wojownicze bzyczenie.

Rozgniewany olbrzym ukazał się w drzwiach, wachając gorączkowo wszystkimi trąbkami. Potem wszystkie jego błony zaczęły gwałtownie pompować i rozpylił wokół siebie śmierdzący i oszałamiający zapach.

– Teraz jesteśmy załatwieni! – zawołałem. – Wszyscy zemdlejemy!

– Czekaj – powiedział Homunkolos – zaraz się o tym przekonamy.

Olbrzym przesunął się z chłupotem na środek pomieszczenia, wydając z siebie historyczne odgłosy przypominające flet i puzon, a wszystkie uwolnione zwierzęta, jak na jakiś tajemny rozkaz, zaatakowały go. Przerazający owad wspiął się wysoko

na niego swymi przyssawkami, wbijając w ciało swój dziób. Latający konik polny zaatakował go swym długim żądłem. Kryształowy Skorpion wgrzył się szczypcami w jego szare mięso.

Olbrzym bronił się ze wszystkich sił, wydając z siebie nieustannie ogłuszający basowy dźwięk, jego membrany, pompując gwałtownie, rozprzestrzeniały otumaniający gaz. Ale oswobodzone zwierzęta, nie zważając na to, atakowały go dalej, ze wszystkich stron i wszystkimi środkami. Czarny wąż dusił jedną z jego trąbek, a monstualny szczur rozszarpywał swymi ostrymi zębami kolejną. Olbrzym zachwiał się i cofnął w stronę regału, usiłując się go złapać, ale zrzucił jedynie na ziemię jeszcze więcej butelek. Ze szczątków uniosły się kolejne latające owady o przerażającym wyglądem, z mieniącymi się barwnie skrzydłami i żądlami zielonymi od jadu.

Olbrzym wydobył z siebie bezradny, niemal wywołujący współczucie trel, opadający coraz niżej i niżej.

Jego odurzające opary dotarły teraz i do nas, a ja walczyłem już z omdleniem.

– Znikajmy stąd – powiedział Homunkolos, złapał mnie za pelerynę i poprowadził w stronę szczeliny w ścianie o wysokości człowieka, znajdującej się bezpośrednio za regałem. Wepchnął mnie do środka.

– To korytarz, który wyprowadzi nas z piwnicy – powiedział – widzieliśmy już dosyć.

Wyjątkowo byliśmy w końcu tego samego zdania.



DOBRA OPOWIEŚĆ

No – powiedział Homunkolos – teraz coś już przeżyłeś. Opisz to. Znów znajdowaliśmy się w jadalni *Pałacu Cieni*, męczącą powrotną wspinaczkę z piwnicy mieliśmy już za sobą.

– Co proszę? – spytałem.

– Nie teraz – powiedział Homunkolos. – Jutro. Usiądź sobie jutro i opisz to. Jeśli to nie jest dobra historia, to...!

– Zrobię to – obiecałem. – Wiedziałeś tak w ogóle, że *Pałac Cieni* jest systemem wentylacyjnym?

Homunkolos długo na mnie spoglądał.

– Wiele się już nauczyłeś – powiedział potem.

– Nie, nie wymyśliłem tego sam. Pałac Cieni to prastary system wentylacyjny olbrzymów. Skierowywały nim powietrze na niższe obszary. Oto cała tajemnica.

– Oczywiście – zaśmiał się Homunkolos. – Chciałbym mieć twoją wyobraźnię. Wkomponuj to jutro koniecznie w swoją opowieść. To jest naprawdę dobre.



Gdy wypocząłem następnego ranka i przebudziłem się z ogromnymi zakwasami na całym ciele, od razu zabrałem się za opisanie tego, co przeżyłem.

Usiadłem przy stole z piórem, atramentem i papierem, i zastanawiałem się, jak powinienem zacząć.

Taaak, gdzie zacząć? W momencie, gdy zniknął *Król Cieni*? Ale tak musiałbym najpierw opisać jego osobę. A ta była dość złożona, więc mogłoby to trwać zbyt długo. Nie byłoby lepiej, żebym najpierw wyjaśnił, jak znalazłem się w tej sytuacji? Ale przy tym musiałbym sięgać zbyt daleko wstecz, właściwie aż do momentu śmierci Dancelota. To nie byłoby już opowiadanie, to byłaby cała książka.

Hm. Może więc lepiej napisać lekką impresję, małe, genialne studium horroru? Od momentu, gdy obudziłem się w butelce? „*Obudziłem się na dnie butelki*”. To było genialne zdanie rozpoczynające, każdy będzie chciał czytać dalej!

Dobrze. Potem skrupulatny opis olbrzymiego owada, to był horror w najczystszej formie. A więc do dzieła!

Nim jeszcze chwyciłem za ołówek, dosięgło mnie gwałtowne bicie serca, a moja ręka zaczęła drżeć. Jak niewiele brakowało mi do śmierci! Jak bliskie było to przerażające przeżycie, jak żywe te obrazy! Smród olbrzymia przenikał jeszcze moje ubrania, jego dziwna muzyka wciąż dźwięczała mi w uszach. Nawet skutek samego myślenia o nim zaczynałem się pocić.

Żadne słowo nie wydawało się odpowiednie dla grozy, jaką przeżyłem. Jak mam opisać całe przerażenie, jakie wzbudzała ta olbrzymia istota? Jak ubrać w słowa tak potężny obraz jak ten, gdy gigant załamał się pod atakiem olbrzymich owadów? Czy w ogóle chciałem przeżywać to jeszcze raz? Nie! Ołówek połamał mi się w palcach.

– Nie idzie, zgadza się? – spytał Homunkolos.

Obejrzałem się. Stał dokładnie za mną.

– Jak długo już tu stoisz? – spytałem.

– Niedługo. Trochę zbyt wiele życia na tak małą kartkę papieru, co?

– Teraz, kiedy mam opisać tę historię, boję się bardziej niż wczoraj w butelce. Nie rozumiem tego. Miałem przecież coś przeżyć, żeby móc

o tym napisać. A teraz...

– Pisarze są po to, by pisać, a nie, żeby coś przeżywać. Jeśli chcesz coś przeżywać, powinieneś zostać piratem albo łowcą książek. Jeśli chcesz pisać, to powinieneś pisać. Albo potrafisz czerpać to ze swojego wnętrza, albo zniknąć.

– Ach tak? I mówisz mi to *teraz*? Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wczoraj?

Mogliśmy sobie oszczędzić wyprawy do piwnicy!

– Bo potrzebowałem twojej pomocy. Już od dawna chciałem posprzątać w piwnicy katakumb. Bez twojego wsparcia nie dałbym temu rady.

– Wsparcia? Przecież użyłeś mnie tylko jako przynęty. Mogłeś mi przynajmniej coś powiedzieć.

– Zrobiłem to przecież. Powiedziałem ci, że jest tam potwór. Olbrzym. Kanibal. Naukowiec. Ale ty mi przecież nie uwierzyłeś.

– Od dzisiaj będę wierzył we wszystko.

– W to z kolei ja nie uwierzę. Jeśli powiedziałbym ci na przykład: Pokażę ci teraz Orma – uwierzyłybyś mi?

– Nie.

– No widzisz. A ja właśnie to teraz zrobię. Chodź ze mną!

– Kiedy ostatni raz powiedziałeś „Chodź ze mną”, krótko po tym siedziałem w szklanej butelce olbrzymiego naukowca o setce nosów. Nie jestem pewny, czy chcę tym razem pójść z tobą.

Homunkolos wyszczerzył się.

– To nie będzie lekcja tego rodzaju. Wczoraj mieliśmy praktykę. Dziś mamy znowu teorię.

– Teoryjki?

– Teoryjki!



BIBLIOTEKA ORMA

Było zdumiewające, jak przyjemny i przytulny wydawał mi się po pobycie w piwnicy *Pałac Cieni*. *Płaczące Cienie* nie były już niesamowite, *Żywych Ksiąg* nie traktowałem już jak robactwa, przecież wszyscy byliśmy tu dobrymi przyjaciółmi! Także i upiorna muzyka nie wydawała mi się już taka upiorna, po tym jak rozwiązałem jej tajemnicę. W dobrym nastroju spacerowałem za Homunkolosem i pozwoliłem mu zaprowadzić się do biblioteki, w której dotąd jeszcze nie byłem. Była trochę większa niż dwie pozostałe, które poznałem do tej pory w Pałacu Cieni, ale tak jak i one raczej skromnych rozmiarów.

– Więc – powiedziałem radośnie – co to za biblioteka? Czy książki rozwiewają się tu w powietrzu, gdy się ich dotknie, czy uprowadzają cię w inny wymiar? Hm? Potrafią śpiewać lub tańczyć, albo coś w tym stylu? Dają mleko albo miód? Nic nie może mnie już zaskoczyć.

– Nie byłbym tego taki pewien – powiedział złowieszczo Król Cieni.

– Przeżyłem bibliotekę poświstującego olbrzyma – powiedziałem.

– Nic nie może mnie już zaszokować. Wyduś to więc z siebie: Co to za zbiory?

– To moja prywatna biblioteka – powiedział Homunkolos.

– Och. Naprawdę? Interesujące. Według jakich kryteriów ją zgromadziłeś? Według *Złotej Listy*? Czy to wartościowe książki? Czy raczej niebezpieczne?

– Raczej niebezpieczne – wyszczerzył się Homunkolos. – Ale nie w taki sposób niebezpieczne, jak myślisz. Wartościowe? Tak, to też, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

– Uuuu – powiedziałem – tajemniczo, tajemniczo! Król Cieni rzuca znowu wieloznaczne aluzjki! Jest niezgłębioną tajemnicą!

– Chcę przez to powiedzieć, że nie są to książki dla kolekcjonerów. Tylko książki dla poetów. I że naprawdę potrafią być niebezpieczne, nawet jeśli nie chcą cię zabić ani zranić.

– Robi się coraz bardziej tajemniczo! – powiedziałem. – Ale nie zdołasz mnie już zaszokować, Homunkolosie. Książki nie mogą mi zaszkodzić.

– Te tutaj, tak. To *Biblioteka Orma*.

Uwaga! Orm! Był to delikatny temat. Więc bez żadnych lekceważących uwag i żartów.

– *Biblioteka Orma*? Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że zebrałem i posegregowałem te książki według takiego kryterium, jak mocno przenikał ich twórców Orm, gdy je spisywali.

– Acha.

– Chciałbym, żebyś przeczytał kilka z nich. Masz wolny wybór, nie chcę narzucać ci żadnych ocen. Dla orientacji dam ci jedną wskazówkę: W tych na górnych regałach Orm płynie najsilniej. Im niżej schodzisz w dół...

– Tym mniej Orma! – uśmiechnąłem się. – Już rozumiem.

– Możesz być tu tak długo, jak chcesz. Przyniosę ci tutaj jedzenie.

– Wspaniale. To wszystko? Nie muszę najpierw powalczyć z jakimś smokiem albo coś w tym rodzaju?

– Powiedziałem już, że to część teoretyczna.

– Dobrze.

– Nie będę ci więc już dłużej przeszkadzał. Miłej zabawy! Na razie!

– powiedział Król Cieni. Potem oddalił się bezszelestnie.

Spacerowałem wzdłuż regałów z przekrzywioną głową.

Hebel chmur Barono Mareilly, przeczytałem. *Wspomnienia o pojutrze* Aru Alabria. *Dzięcioł w becze z ogórkami* Uriana Dzięcioła. Nigdy nie słyszałem ani o tytułach, ani o autorach. To miały być perły?

A to były książki z górnych rzędów! Nie znałem ani jednej z nich. Był to taki rodzaj książek, na które w księgarni rzucałem z reguły jedynie okiem i zapomniałem na zawsze. Czy było to możliwe, że Król Cieni miał dziwny, przeciętny albo i nawet zły gust? Nie był przecież nieomylny, tylko dlatego, że potrafił dobrze pisać.

Białe zęby Lafkadio Skromnego, *O rozkoszach ogrodu*, no proszę! Przystanąłem po raz pierwszy, automatycznie sięgnąłem po książkę.

To był majsterszytk Dancelota, grzbiet w grzbiet ze wszystkimi tymi bezwartościowymi chałami. Chwilę ważyłem książkę w ręce – a potem nagle krew uderzyła mi do głowy!

Tak, wstydziłem się, moi ukochani przyjaciele, bo zachowałem się tak samo ignorancko, jak cała ta głupia hołota, która pogardała książką Dancelota.

Skąd miałem niby wiedzieć, że *Hebel chmur* Barono Mareilly nie był wart zainteresowania? Albo *Plaster na tęsknotę za domem*? Czy kiedykolwiek dałem tym wszystkim książkom choć najmniejszą szansę? Może ignorowałem je właśnie po raz setny, z powodów, których sam nawet nie znałem.

Wstydz się! Musiałem odbyć pokutę. Wziąłem z regału *Plaster na tęsknotę za domem*, usiadłem i zacząłem czytać.

UZALEŻNIONY

Nie! – krzyczałem. – Nie chcę! Nie chcę wychodzić z *Biblioteki Orma!* Chcę tu zostać! Proszę!

Król Cieni trzymał mnie w swym żelaznym uścisku i ciągnął poprzez sale *Pałacu Cieni*, mimo że bronilem się rękami i nogami.

– Ostrzegałem cię, że te książki są niebezpieczne – powiedział. – Przeczytałeś już wystarczająco dużo z nich.

– Nie – wrzeszczałem. – Przeczytałem dopiero *ułamek*. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że takie książki istnieją. Muszę je wszystkie przeczytać! Wszystkie!

– Wiesz, jak długo siedziałeś w bibliotece? – spytał Homunkolos, ciągnąc mnie dalej. – Masz pojęcie?

Usiłowałem sobie przypomnieć. Tydzień? Pięć tygodni? Siedem? Nie miałem pojęcia.

– Ja też nie wiem tego dokładnie – powiedział Homunkolos. – Ale to musiały być ze dwa miesiące.

– No i? Dwa miesiące. Dwa lata. Wszystko mi jedno! Muszę przeczytać te książki!

– Musiałem zmuszać cię do jedzenia! – powiedział Homunkolos. – Nie śpisz już. Nie myjesz się. Śmierdzisz jak Świnia.

– Wszystko mi jedno – powiedziałem hardo. – Nie mam czasu. Muszę czytać.

– Zaczynasz się na śmierć – ryknął Homunkolos. – Musiałem cię stamtąd wyciągnąć.

– Ale ja nie przeczytałem jeszcze *Szaleństwa i fali* – zaprotestowałem.

– *Snu żółtego płaszcza! Drewnianego pająka!* Te książki z dolnych regałów tylko przekartkowałem. Muszę przeczytać je wszystkie! Muszę!

Moje oczy płonęły jak ogień, każde mrugnięcie sprawiało mi ból, opuszki palców miałem otarte do krwi od kartkowania stron. Głowa pękała mi prawie od błyskotliwych pomysłów, wspaniałych dialogów i fascynujących postaci.

– Jesteś pewien, że książki z górnych regałów są naprawdę lepsze niż pozostałe? – bredziłem. – Uważam, że wszystkie są równie genialne.

– Istnieją subtelne różnice – mruknął Homunkolos.

– Puść mnie! – biadoliłem. – Proszę! Nie potrafię już wyobrazić sobie życia bez tych książek!

Homunkolos zatrzymał się.

– Jesteśmy teraz wystarczająco daleko – powiedział. – Stąd nie znajdziesz już drogi powrotnej do biblioteki.

Padłem na kolana i zacząłem płakać.

– Dlaczego mi to robisz? – szlochałem. – Dlaczego pokazałeś mi raj i ciągniesz mnie teraz z powrotem do piekła?

– Chciałeś wiedzieć, co może wywołać Orm. Teraz wiesz. Więcej tego by cię zabiło.

– Przekląty Orm! – krzychałem. – Co to jest! Nie rozumiem tego!

Homunkolos pomógł mi stanąć na nogi i trzymał mnie mocno.

– Zrozumiesz to w momencie, gdy go poczujesz. Tak, można go poczuć. Są to momenty, kiedy w przeciągu sekund spadają na ciebie pomysły na całe powieści. Można go poczuć, pisząc dialog, który jest tak błyskotliwy, że jeszcze za tysiąc lat aktorzy na scenie odmawiać go będą słowo w słowo jak pacierz. Och tak, można go poczuć, można poczuć Orma! Może kopnąć cię w zad, spaść na ciebie jak błyskawica albo skrócić żołądek. Może wyrwać mózg z twojej głowy i wsadzić go z powrotem na odwrót! Może siedzieć ci w środku nocy na piersiach, zapewniając najgorszy koszmar, który stanie się twoją najlepszą powieścią. Czulem kiedyś Orma. Och tak! I życzyłbym sobie, abym mógł doznać go kiedyś jeszcze jeden, jedyny raz.

Potem cisnął mnie na bok jak mokrą szmatę i zniknął w ciemnościach.

– Ale ja chcę przeczytać jeszcze tego więcej! – wołałem za nim.

– To musisz napisać to sobie sam – odpowiedział z bardzo daleka.



UMOWA

Przez kolejne dni błądziłem znowu bezradnie przez pałac, tym razem nie w poszukiwaniu wyjścia, tylko *Biblioteki Orma*. Stada *Żywych Ksiąg* towarzyszyły mi przy tym na każdym kroku, ponieważ przyzwyczailem się do dzielenia pomiędzy nie całego mojego jedzenia, pożywienie nie interesowało mnie już więcej. Stale roily się wokół moich stóp, mając nadzieję na przekąskę.

Tym, co interesowało mnie najbardziej, była wyłącznie biblioteka. Odkąd wziąłem do ręki *Plaster na tęsknotę za domem*, uległem jej i zrozumiałem teraz, co miał na myśli Homunkolos, mówiąc o szczególnym rodzaju niebezpieczeństwa, jakie stanowiła. Książki z prywatnej biblioteki Homunkolosa były literaturą takiej klasy, że wyprzedzała ona o lata świetlne klasyczny szmelc zalecany w planach nauczania.

Najpierw lektura mnie bawiła, potem coraz bardziej zachwycała i w końcu przykuła. Czulem siłę, której brakowało zwyczajnym książkom, energię, która przenikała mnie w trakcie czytania. Gdy przeczytałem książkę do końca, czulem się równocześnie i wypełniony, i pusty. Musiałem koniecznie poczuć jeszcze trochę tej energii, i to jak najszybciej. Brałem więc do ręki kolejną książkę.

I tak się to zaczęło. Nie wiem, jak dużo przeczytałem za jednym zamachem, aż po raz pierwszy zapadłem w krótki sen z wyczerpania, ale musiało to być około dziesięciu książek.

Przypominam sobie mgliście, że od czasu do czasu pojawiał się Król Cieni i wmuszał we mnie trochę pożywienia, które niechętnie połykałem, czytając dalej. W czasie tych lektur żyłem intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. Płakałem i śmiałem się, kochałem i nienawidziłem. Wytrzymywałem nieznośne napięcia i jeżące włosy horrory, zawody miłosne, ból rozstań i strach przed śmiercią. Ale były też momenty absolutnego szczęścia i triumfalnej radości, romantyczne uniesienia i histeryczne zachwyty. Tak zareagowałem dotychczas tylko raz, w trakcie lektury rękopisu Homunkolosa. A tu miałem bibliotekę pełną takich rzeczy, napisanych *Alfabetem Gwiazd*. Nadal było to dalekie od górującej nad wszystkim genialności Homunkolosa, ale o parę długości lepsze od wszystkiego, co dotychczas przeczytałem.

Jeśli to naprawdę Orm czynił te książki tak szczególnymi, to byłem od niego uzależniony, uzależniony od każdej przesyconej nim linijki. Jedzenie? Sprawa drugorzędna. Mycie? Marnotrawstwo czasu. Tylko czytanie, czytanie, czytanie było istotne.

Czytałem na stojąco, czytałem na siedząco, czytałem na leżąco. Brałem z regału książkę za książką, pochłaniałem je i rzucałem niedbale za siebie, by sięgnąć po

kolejną. Ledwie zauważałem, jak Król Cieni sprzątał za mną i ustawiał książki z powrotem porządnie na regałach. I nie wprowadził mnie ani odrobinę w zakłopotanie fakt, że zdegradowałem mojego gospodarza do funkcji kamerdynera, ponieważ ani przez sekundę się nad tym nie zastanawiałem.

Przez moje ręce i głowę przeszły wszystkie możliwe rodzaje książek, powieści i tomiki wierszy, książki dla dzieci i dzieła naukowe, książki przygodowe i biografie, krótkie opowiadania i zbiory listów, baśnie i bajki – przypominam sobie, że była tam nawet książka kucharska. Łączyła je wszystkie ta tajemnicza siła przez nie przepływająca, od której, w miarę jak więcej jej otrzymywałem, uzależniałem się coraz bardziej.

Gdy Król Cieni wywlekł mnie w końcu z biblioteki, czułem się jak przebudzony z cudownego odurzenia. Przez całe dni chodziłem chwiejnie po okolicy, szukając drogi powrotnej do tego cudownego snu, ale nie odnalazłem *Biblioteki Orma*, tak samo jak nie odnalazłem kiedyś wyjścia.

Gdy w czasie tych pełnych rezygnacji poszukiwań podnosiłem jakąkolwiek ze zwyczajnych książek, leżących tu i tam w Pałacu, i czytałem trochę, by znaleźć nieco rozrywki, jej lektura wydawała mi się do tego stopnia płytka i trywialna, że już po paru zdaniach rzucałem ją z wściekłością o ścianę. Byłem zgubiony dla jakiegokolwiek innej formy poezji, a męki duchowe, które przeżywałem, były porównywalne z nieuleczalnymi zawodami miłosnymi, idącymi w parze z objawami towarzyszącymi wyjątkowo ciężkiemu uzależnieniu.

Któregoś dnia, błądząc, spotkałem Króla Cieni. Stał w półmroku korytarza. Swym nagłym pojawieniem się przeraził mnie niemal na śmierć.

- Słuchaj – powiedział. – Nie może być tak dalej.
 - To zabierz mnie z powrotem do biblioteki! – błagałem.
 - To nie jest wyjście – powiedział. – Zaprowadzę cię gdzie indziej.
 - A gdzie? – spytałem trwożliwie.
 - Na górę. Zaprowadzę cię z powrotem do Księgogrodu.
- Miałem mętlik w głowie.
- Co chcesz zrobić?
 - Wiele myślałem przez ostatnie dni. Także o twojej propozycji.

Musiałem się zastanowić. Jakiej propozycji? Potem przypomniało mi się.

– Masz na myśli to, że wrócisz ze mną, by żyć w posiadłości Kolofonusa Deszczblaska?

- Nie należę już do żywych tam na górze, ale nie należę też do martwych tu na dole.

Może istnieje jakieś królestwo pomiędzy, w którym mógłbym żyć. Byłoby to warte spróbowania.

– Byłoby wspaniale! – zawołałem. Przebudzona nagle tęsknota za światem tam na górze, za świeżym powietrzem i światłem słońca, zaczęła tłumić tęsknotę za *Biblioteką Orma*.

– Istnieje jednak jeden problem – powiedział Homunkolos. – A ten problem nosi pewne nazwisko.

– Fistomefel Szmej – powiedziałem ponuro.

– Nie mamy na górze żadnych szans, jeśli wcześniej go nie zlikwidujemy. To mój warunek: musisz mi pomóc załatwić Szmejka. Jeśli to obiecasz, zaprowadzę cię na górę.

Tym razem nie musiałem się długo zastanawiać. Dzięki entuzjazmowi mój umysł stawał się coraz jaśniejszy.

– Zgadza się. Ale jak chcesz to zrobić?

– Zwyciężyliśmy razem najgroźniejszą kreaturę podziemi Księgogrodu. Poradzimy więc sobie z najgroźniejszą kreaturą na jego powierzchni.

– I to jest właściwe nastawienie – zawołałem. – Chodźmy!

– Przedtem musimy załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Jaką? – Był jakiś haczyk, wiadomo.

– Muszę uwolnić *Skórzaną Grotę* od szkodników, które ją opanowały. Skoro opuszczam moje królestwo, muszę zostawić tu porządek. Przy tym też możesz mi pomóc.

Muszę przyznać, moi kochani przyjaciele, że perspektywa wystąpienia samotnie z Homunkolosem w *Skórzanej Grocie* przeciwko najbardziej niebezpiecznym i najbezwzględniejszym łowcom książek stłumiła moją radość z wyruszania w drogę. Znowu zaczynałem tęsknić za lekturą w *Bibliotece Orma*. Ale teraz nie było już odwrotu.



108

POŻEGNANIE Z PAŁACEM CIENI

Gdy szykowałem się z Homunkolosem do drogi, by opuścić *Pałac Cieni*, podążało za nami z początku tylko parę *Żywych Ksiąg*. Król Cieni szedł pewien celu przodem i przy żadnym z rozgałęzień nie zwlekał ani przez sekundę.

– Jak udaje ci się za każdym razem odnaleźć wyjście z Pałacu? – spytałem. – Czy jest na to jakiś sposób?

– Nie wiem, co Fistomefel Szmejki zrobił z moimi oczami – powiedział Homunkolos – ale od tego czasu widzę rzeczy, których wcześniej nie zauważałem. Aż do mikroskopijnych rozmiarów. Dla mnie te ściany nie wyglądają tak, jak dla ciebie. Widzę wszystkie ich małe różnice. Wyobraź sobie po prostu, że ściany mają różnorodne tapety, to ułatwia orientację. Nawet jeśli niekiedy się poruszają, co zirytuje mnie od czasu do czasu, to w końcu wracają na swoje miejsce. Czasami trwa to trochę dłużej, ale za każdym razem znajduję wyjście.

Zauważyłem, że liczba *Żywych Ksiąg*, które za nami podążały, w ciągu krótkiego czasu co najmniej się podwoiła. A teraz podeszło do nich także i parę *Placzących Cieni*, które szlochając dołączyły do nas. Nadchodziło ich coraz więcej, aż nasza wyprawka z Pałacu Cieni zaczęła przypominać procesję. Z każdego korytarza napływały kolejne cienie, z każdego ciemnego kąta nadbiegała, pełzała albo podlatywała *Żywa Księżka*, aż nasza grupa liczyła już w końcu tysiące.

A nie tylko cienie wydawały z siebie odgłosy żalu, książki także skamlały i pociągały nosami, jak gdyby wiedziały, że ich Król Cieni opuszcza je na zawsze. Także mój nastrój się pogorszył. Jak bardzo przywiązałem się do *Pałacu Cieni* i jego dziwnych mieszkańców! Przez chwilę stał się dla mnie domem, takim jak Twierdza Smoków. Tyle przeżyłem i nauczyłem się w tym miejscu, że będę stale wspominał je z rozrzewnieniem. Ponieważ jakkolwiek miała skończyć się nasza przygoda, było nieprawdopodobne, abym kiedykolwiek tu powrócił.

Zauważyłem, że Król Cieni także poruszony był tym wszystkim. Jego krok stawał się coraz szybszy i od czasu do czasu wydawał z siebie odgłosy zdradzające jego wewnętrzne wzburzenie. Dlatego moment, gdy w końcu wyszliśmy na zewnątrz, w równym stopniu ścisnął za serce, co oswobadzał. Nigdy bym nie uwierzył, że uczynię ten od dawna wytęskniony krok z tak mieszanymi uczuciami.

Świat na zewnątrz powitał nas wilgotnym upałem i czerwonym blaskiem ognia, a *Żywe Księgi*, które wypłynęły za nami z Pałacu, wbiegły na jego mury, by długo jeszcze stamtąd za nami patrzeć. *Placzące Cienie* pozostały w wejściu, szlochając tak niepohamowanie, że słyszeliśmy je jeszcze, gdy mieliśmy już za sobą wielkie schody i

poprzez portal wkroczyliśmy do następnej jaskini.



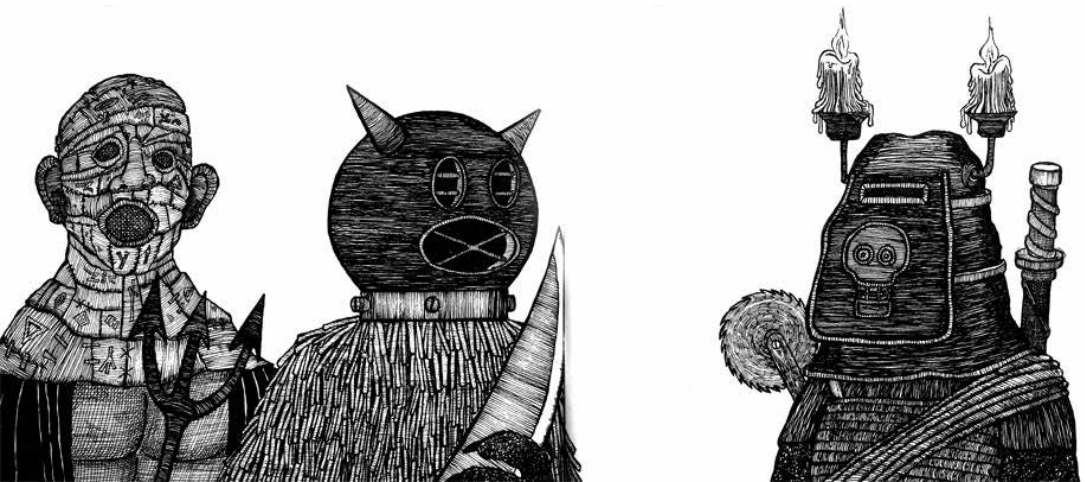
POWRÓT DO SKÓRZANEJ GROTY

Gdy wkroczyłem do *Skórzanej Groty*, byłem sam. Widok był przerażający. Z regałów sprzątnięto prawie wszystkie książki, z mebli zostały kupki popiołów. Skórzana tapeta zwisała w strzępach ze ścian. Maszyna Książkowa była wyłączona, wrak, który najwidoczniej służył łowcom książek za źródło zdobywania metalu. Rozmontowano całe schody i drabiny, rozebrano balustrady i regały. W powietrzu wisiał swąd spalonego papieru.

Naliczyłem czternastu łowców książek, wszyscy jak zwykle byli uzbrojeni po zęby. Siedzieli w małych grupach na podłodze, pijąc wino z krążących dookoła butelek. Jeden stał na górze, na Maszynie Książkowej i usiłował wyłamać balustradę. Rongkonga Przecinaka z nimi nie było.

– Muszę was prosić o niezwłoczne opuszczenie *Skórzanej Groty*! – zawałałem lekko drżącym głosem. Były to słowa, które kazał mi powiedzieć Homunkolos. Znowu byłem w roli przynęty.

Łowcy książek zauważyli mnie dopiero teraz, znajdowali się najwidoczniej w różnych stanach upojenia. Podnieśli się z trudem, wydając z siebie odgłosy zdziwienia. Wtedy paru z nich zaczęło się śmiać.



– To przecież ten gruby smok, który zniknął w maszynie – powiedział jeden. – Ale

wcale nie jest już gruby. Schudł.

– Gdzie byłeś tak długo? – spytał inny łowca książek, który uszył sobie przerażającą maskę ze strzepów skórzanej tapety. – Tęskniliśmy za tobą.

– Świetna sztuczka magiczna – zawołał kolejny. – Znikasz w maszynie, a po paru miesiącach wchodzisz znowu przez drzwi. Powinieneś z tym występować. Tylko przedstawienie trwa trochę za długo.

Podchodzili teraz do mnie ze wszystkich stron. Jedynie ten, który znajdował się na górze Maszyny Książkowej, nie ruszał się z miejsca.

– Muszę poprosić was jeszcze raz o niezwłoczne opuszczenie *Skórzanej Groty* – zawołałem. – To rozkaz Króla Cieni. – Tym razem mój głos brzmiał jeszcze bardziej niepewnie. Gdzie się podziewał Homunkolos? Mógł mi przynajmniej zdradzić, jak zamierzał oswobodzić mnie z tej sytuacji.

– Król Cieni, co? – zawołał jeden z łowców. – Dlaczego sam nie przyjdzie, żeby nam to powiedzieć? Podniesiono wynagrodzenie za twoją głowę, smoku. Dobrze dla nas, że zniknąłeś na tak długo. Znacznie zwiększyłeś swoją wartość.

Mój repertuar próśb został wyczerpany.

– Muszę was prosić o niezwłoczne opuszczenie *Skórzanej Groty!* – powiedziałem raz jeszcze, bo nie wpadło mi do głowy nic lepszego.

– Powtarzasz się – odparł bełkotliwie łowca książek. – Jako mieszkaniec Twierdzy Smoków powinieneś lepiej sobie radzić ze słowami.

Inni zaśmiali się srośnie. Zauważyłem, że ten, który pozostał w górze, na ruinie Maszyny Książkowej, napina ogromną kuszę. Najwidoczniej chciał zarobić na nagrodę bezpiecznym strzałem z daleka.

– Muszę was prosić o niezwłoczne opuszczenie *Skórzanej Groty!* – wychrypiąłem raz jeszcze. Gdzie, do kata, podziewał się Król Cieni? Za parę chwil będę martwy!

Łowca książek napiął kuszę i wycelował we mnie. Wtedy z ciemności Maszyny Książkowej wyłonił się Król Cieni. Wspiął się bezgłośnie w jej wnętrzu, stanął za łowcą książek i chwycił jego oba ramiona w mocnym uścisku. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Homunkolos skierował jego broń w stronę innego łowcy książek i wystrzelił. Strzała trafiła łowcę w część pleców, na której nie miał pancerza, a on upadł między swoimi zaskoczonymi kolegami. Homunkolos puścił kuszę i momentalnie zniknął we wnętrzu maszyny.

Łowca książek podniósł bezradnie pustą kuszę.

– Słuchajcie chłopaki, ja... – tyle zdążył z siebie wydobyć, zanim trafiło go sześć strzał. Pięć z nich odbiło się, jedna znalazła drogę przez szparę i zatrzymała się między

częściami uzbrojenia. Łowca książek spadł przez balustradę, wylądował z hukiem na podłodze groty i nie poruszył się już więcej.

Reszta, całkowicie zbaraniała, nie wiedziała już, na kogo zwracać więcej uwagi: na mnie czy na zwłoki łowcy, którego właśnie z reflekssem zastrzelili.

Wtedy przez *Skórzaną Grotę* przebiegł dobrze znany mi dźwięk. Sprawił on, że łowcy książek obejrzeni się i mocniej schwycili za swoje uzbrojenie. A mnie skłonił do obrócenia się na pięcie i opuszczenia tego nawiedzzonego miejsca.

Było to westchnienie Króla Cieni.



POMNIK

Był to umówiony sygnał. Homunkolos zarządził, że w momencie, kiedy zabrzmi jego westchnienie, mam zniknąć i schować się gdzieś poza grota.

Niczego innego nie pragnąłem! Wybiegłem i przykucnąłem za głazem. Skoro otrzymałem już polecenie od Króla Cieni, bym zachowywał się jak tchórz, nie chciałem przepuścić takiej okazji. Nasłuchiwałem w napięciu.

Najpierw cisza. Potem nagle krótkie okrzyki zdumienia. Ktoś krzyknął: „Alarm! ”. Słyszałem szcęk broni, chaotyczne rozkazy, potworne wrzaski bólu. A potem tumult: odgłosy walki, krzyki najróżniejszego rodzaju, przekleństwa, szelest Króla Cieni. Ryki dzikiej małpy szalejącej z wściekłości. Potężny szcęk ciężkiego uzbrojenia, jak gdyby rzucono je razem z zawartością o ścianę. Okropne rżenie. Świszczące strzały. Krzyk umierającego. Jeszcze jeden. Ktoś płakał, ale niezbyt długo. Znowu małpie wrzaski.

Potem cisza.

Znów pobrzękiwania – to były dźwięki zbroi. I wtedy chwiejnym krokiem z groty wyszedł łowca książek. Był zbroczony krwią, a Homunkolos szedł za nim.

Wyszedłem z ukrycia, gdy ci dwaj zatrzymali się.

– Dlaczego mnie nie zabijesz? – spytał łowca książek.

– Powinieneś właściwie wiedzieć – odpowiedział Homunkolos – że zawsze musi pozostać jeden, który przeżyje, aby mógł opowiedzieć całą historię dalej. Inaczej nie byłoby już wkrótce żadnych opowieści, by wypełnić nimi książki, a ty zostałbyś bezrobotny, bo przecież żyjesz z książek. Idź więc i opowiadaj historię o bitwie o *Skórzaną Grotę*. I opowiedz przede wszystkim, że od teraz mieszka w tej grocie Król Cieni, i jeśli ktokolwiek odważy się kiedyś zakłócić mój spokój, zrobię z nim to, co zrobiłem z twoimi kompanami. A teraz znikaj!

Łowca książek poszedł chwiejnie dalej. Pozostawił za sobą czerwony ślad.

Homunkolos obrócił się i skierował się z powrotem do groty.

– Zostaniesz tutaj – powiedział.

– Co robisz? – spytałem.

– Muszę postawić pomnik – powiedział.

Stałem więc i czekałem na to, co się wydarzy.

Wrócił wkrótce, niosąc dwie głowy pod pachami. Byłem bardzo zadowolony, że nadal miały na sobie wojenne hełmy, oszczędziło mi to bowiem widoku ich wykrzywionych śmiertelnością twarzy.

Homunkolos położył czaszki i wrócił z powrotem do groty. Czynił to raz za razem, tak długo, aż w końcu postawił swój pomnik – koszmarną rzeźbę z trzynastu głów

łowców książek, w ich straszliwych hełmach.

– Szkoda, że było ich tak mało – powiedział. – To pomnik dla buchlingów, które zginęły. Ale naprawdę jest on dla tych, które przeżyły. Nikt poza nimi nie odważy się więcej wejść do *Skórzanej Groty*. A mam nadzieję, że któregoś dnia tu wrócą i na nowo ją zaludnią.

Wstydzilem się teraz, że mój udział w bitwie o *Skórzaną Grotę* był tak niewielki i tchórzliwy.

– Chodź – powiedział potem. – Idziemy na górę. Musimy zabić jeszcze jednego olbrzyma.



NAJWIĘKSZE ZE WSZYSTKICH NIEBEZPIECZEŃSTW

Na górę. Tak proste, lekkie i niewinne określenie tak ciężkiego zadania. Przestałem już nawet wierzyć, że ten kierunek w ogóle jeszcze istnieje! Jakże często chciałem w ostatnim czasie udać się na górę, a schodziłem coraz to głębiej w dół.

Homunkolos prowadził mnie przez, zdawało się, niekończące się skalne korytarze, które wydawały mi się nieskończone przede wszystkim z tego powodu, że żaden z nich nie prowadził w *górze*, tylko cały czas prosto, a czasami nawet głęboko w dół. Ale po około dniu marszu dotarliśmy do sztolni, która naprawdę prowadziła w górę. Był to wąski komin, do którego jeszcze akurat się mieściliśmy, z wieloma wyłomami i krawędziami, co stanowiło wystarczające oparcie, by móc wspinać się w górę.

– I jesteś pewien, że w którymś momencie nie będzie nagle zbyt wąsko? Albo po prostu się skończy? – spytałem.

– Tak – odparł Homunkolos. – Często go używałem.

– Kolofonus Deszczblask opowiadał o takiej sztolni – stwierdziłem.

– Wystarczająco wąskiej, by nie natrafić na większe niebezpieczeństwa.

– Deszczblask znalazł tę sztolnię? – spyta! Homunkolos. – No cóż, musiał, bo innej takiej nie ma. Zaskakuje mnie cały czas, nawet po śmierci. Ale w jednej sprawie się mylił.

– Jakiej?

– Że nie można natrafić na większe niebezpieczeństwa. W tej sztolni można natrafić nawet na największe z nich.

– Co masz na myśli?

– Zobaczysz, o ile do tego dojdzie.

Król Cieni i jego tajemnicze aluzje! Nie potrafiłem już wyobrazić sobie bez nich życia!

Zaczęliśmy się więc wspinać. Nie było to trudniejsze od wchodzenia po schodach, wszędzie istniały możliwości złapania się i postawienia nogi. Homunkolos wspinał się sprawnie przodem, przywiązawszy do siebie pochodnię z meduzami, a ja, ku mojemu zaskoczeniu, całkiem nieźle dotrzymywałem mu kroku.

Po paru godzinach jednak moje członki zaczęło ogarniać pewne zmęczenie i ociężałość. Zadawałem sobie pytanie, jak długo potrwa jeszcze ta wspinaczka, nie mogła trwać zbyt długo, biorąc pod uwagę odcinek, który już pokonaliśmy. Nie pytałem dotychczas, żeby nie uznał mnie za słabeusza. Ale teraz zapytanie o to wydało mi się stosowne.

– Trzy dni – odpowiedział Homunkolos.

Przestałem się wspinać, nogi miałem jak z waty i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jaka głębia ziała pode mną. W dół było pewnie z kilometr.

– Trzy dni? – spytałem oszołomiony. – Niby jak ma mi się to udać?

– Nie mam pojęcia – powiedział Homunkolos. – Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że może to być dla ciebie niemożliwe. Nie myślę już nawet o tym, że ktoś ewentualnie mógłby *nie* dysponować takimi siłami, które sam posiadam. Co można powiedzieć?

– Co można powiedzieć? – wychrypiałem. – Mówi się, że zwariowałeś!

– Krzyki też nic teraz nie pomogą – powiedział Homunkolos.

– Oszczędzaj lepiej siły! Będziesz ich jeszcze potrzebował.

– Schodzę z powrotem na dół – powiedziałem hardo.

– Nie polecałbym ci tego. Ja sam używam innej drogi do schodzenia. Wiesz, dlaczego wspinać się w górę jest o wiele łatwiejsze niż schodzenie w dół? Bo nasze oczy są z przodu. Schodząc, nie widzisz, gdzie stajesz.

Nie byłem w stanie się poruszyć. Nieważne, w którym kierunku.

– Już jest, co? – spytał Homunkolos.

– Kto już jest?

– Największe ze wszystkich niebezpieczeństw.

– Największe ze wszystkich niebezpieczeństw? Tutaj? Gdzie? Gdzie jest? – rozglądałem się panicznie dookoła, szukając tłustego węża albo jadowitego pająka tunelowego, ale nic nie było.

– To tkwi w tobie – powiedział Homunkolos. – Strach.

Tak, bałem się potwornie. Nie mogłem ruszyć się ani do przodu, ani z powrotem. Byłem jak sparaliżowany.

– Musisz *teraz* sobie z nim poradzić – powiedział Homunkolos. – Inaczej on załatwi ciebie.

– A przepraszam bardzo, niby jak mam to zrobić?

– Wspinaj się po prostu dalej. To tak, jak z pisaniem powieści: Na początku wszystko jest łatwe, pierwsze rozdziały pisze się z największym rozmachem. Ale potem w którymś momencie stajesz się zmęczony, patrzysz wstecz i widzisz, że masz za sobą dopiero połowę. Patrzysz do przodu i widzisz, że druga połowa jest dopiero przed tobą. Jeśli stracisz wtedy odwagę, jesteś zgubiony. Łatwo jest coś zacząć. Trudno jest doprowadzić do końca.

Doprawdy świetnie, moi kochani przyjaciele! Nie wystarczyło, że Król Cieni naraził moje życie na niebezpieczeństwo, nie, teraz musiał jeszcze zacząć dzielić się ze mną mądrościami z kalendarzy.

– Skoro Deszczblask znał tę sztolnię, to musiał ją kiedyś pokonać – powiedział Homunkolos. – Jak widać, da się to zrobić. Dotarliśmy już daleko. A jak na razie trzymasz się całkiem nieźle.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że nie jestem już tak gruby, jak wtedy, gdy zaciągnięto mnie do katakumb. W ostatnim czasie dużo się poruszałem, a do jedzenia i tak nie było zbyt wiele. Walczyłem z Harpirami. Czyż nawet łowcy księżek nie zauważyli, że straciłem na wadze? Do tej chwili w każdym razie wytrzymałem tempo wspinaczki Króla Cieni. Byłem w życiowej formie.

– No dobrze – powiedziałem – wspinamy się dalej.

Godzinami wspinaliśmy się pod górę, a ja nie prosiłem o kolejny odpoczynek, aż Homunkolos w końcu sam się zatrzymał i oświadczył, że pokonaliśmy już jedną trzecią drogi. Zrobiliśmy dłuższą pauzę, w czasie której po prostu siedzieliśmy w milczeniu, a potem kontynuowaliśmy wspinaczkę.

Czułem się coraz bardziej zmęczony. Odnosiłem wrażenie, że zrobienie odpoczynku było błędem, bo teraz moje członki zdawały się cięższe i bardziej skostniałe niż wcześniej. Odczuwałem też wszystkie otarcia i rozcięcia na rękach, których nabawiłem się, zaczepiając o krawędzie skał. Wkrótce czułem się tak, jakbym miał na sobie zbroję z ołowiu. Moje stopy były tak zdrętwiałe, że nie wiedziałem już, gdzie je stawiam. To uczucie rozlewało się powoli na całe moje ciało, aż w końcu dotarło do głowy i zadawałem sobie pytanie, czy nie powinienem poprosić o przerwę. I z tą myślą zasnąłem w trakcie wspinaczki. Gdy spadałem w otchłań, znajdowałem się już w krainie snów.



OGNISTY DIABEŁ Z DROBNOZBOŻEWA

Usiłowałem się poruszyć. Ale było to niemożliwe. Każda kość, każdy muskuł bolał mnie tak, jakby coś zmiażdżyło albo porozrywało mi ciało. Potem sobie przypomniałem. Spadłem, a teraz leżałem na dnie komina i, rżąc, dokonywałem życia.

Usiłowałem podnieść głowę. Przynajmniej to mi się udało. Homunkolos siedział obok mnie i kartkował książkę. Z tyłu za nim zobaczyłem ścianę tunelu pełną regałów książkowych.

– Powinieneś pisać raczej wiersze niż powieści – powiedział. – Bardziej odpowiada to twojej kondycji fizycznej.

– Co się stało? – spytałem.

– Zasnąłeś. W czasie wspinaczki. Ledwo udało mi się ciebie złapać.

Spojrzałem po sobie. Moje ciało nie było zmiażdżone. Były to tylko najpotężniejsze zakwasy, jakich kiedykolwiek się nabawiłem.

– I niosłeś mnie przez cały pozostały odcinek? Przez dwa dni?

Homunkolos rzucił książkę na bok.

– Słyszysz? – spytał.

– Co takiego? – nasłuchiwałem. Rzeczywiście, to były odgłosy. Wiele odgłosów. Bulgotanie i tupnięcie. Turkoty i szelesty. Stukanie i piłowanie.

– To miasto – powiedział Homunkolos. – To są odgłosy z Księgogradu.

Momentalnie otrzeźwiałem. Wyprostowałem się.

– Jesteśmy na miejscu?

– Niezupełnie. Ale blisko powierzchni. Stąd bez problemu już wyszlibyśmy na górę przez jakiś antykwariat – spojrzał na mnie z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. – Ale moja droga prowadzi przez bibliotekę Szmejka.

– Moja też.

– Nie musisz robić tego ze mną. Nie będę rozczarowany, jeśli zechcesz pójść łatwiejszą drogą. Mogę ci taką pokazać.

– Dopóki żyje Szmejki, nie uszedłbym tam na górę dalej niż ty. Za moją głowę też wyznaczono nagrodę.

– Więc chodźmy.

Homunkolos zostawił pochodnię. W tej części katakumb było światło meduz. Wszędzie wisiały lampy, których nie widziałem tak długo, i wszędzie były książki. Żadne przastare, śmierzzące tomiska z nieczytelnymi runami, tylko normalne antykwaryczne książki. Wziąłem jedną z nich z regału i kartkowałem ją, podczas gdy maszerowaliśmy

dalej.

Był to *Ognisty Diabeł z Drobnobozewą*, powieść podróżnicza rozgrywająca się w środowisku Ognistych Diabłów z Drobnobozewą, która w każdym rozdziale oferowała co najmniej jeden wielki pożar, jak chępliwie informował tekst na okładce. Cóż, nic nie mogło zainteresować mnie mniej niż literackie gloryfikowanie zwyrodniałych upodobań tej złośliwej rasy krasnoludów. O wiele bardziej interesowało mnie, jak stara była ta książka. Była to *Piromańska Powieść Pobudzająca*, szczególnie nieprzyjemny odłam literatury trywialnej, nastawiony na klientelę odczuwającą swego rodzaju zaspokojenie w trakcie czytania opisów ogromnych, niszczących wszystko pożarów. Ten gatunek literacki istniał przed stu laty. Odłożyłem książkę, wziąłem sobie kolejną, otworzyłem na pierwszej stronie i przeczytałem: *Życie jest zardzewiałą torbą o ostrych brzegach pełną kwaśnych paznokci u nóg, jeśli chcecie znać moje zdanie. Ale nikt mnie przecież o nie nie pyta.*

– Czy to twoja filozofia? – spytał Homunkolos.

– Nie, to Humri Lossu, arcypesymisty – odpowiedziałem. – Tę książkę można znaleźć w każdej nowoczesnej księgarni w Camonii. Naprawdę musimy znajdować się już w pobliżu antykwariatów.

– Przecież mówiłem – odparł Król Cieni.

– Masz plan, jak dostaniemy się do biblioteki Szmejka? – spytałem.

– Niezupełnie. Wiem tylko, gdzie zaczyna się otaczający bibliotekę labirynt.

– Po czym go poznasz?

– Och, nie da się go przeoczyć. Jest zaznaczony. Siedzi tam trup.

– Trup?

– Zmumifikowane ciało. Wygląda trochę jak... ale sam to przecież później zobaczysz.

– Czy tajemnicze aluzje są właściwie oficjalnym środkiem artystycznym?

– Nie – powiedział Homunkolos. – Tylko drugorzędni autorzy posługują się tajemniczymi aluzjami, żeby podtrzymać uwagę czytelników. A dlaczego pytasz?



BIAŁA OWCA SZMEJKÓW

Spacerowanie tuż pod powierzchnią Księgogrodu było jeszcze bardziej przytłaczające niż gdzieś głęboko w labiryncie. Rozumiałem teraz, dlaczego Homunkolos zagrzebał się w końcu tak daleko, jak było to możliwe.

Nie tylko słyszało się tu miasto wraz z całym jego życiem, ale także czuło. Co chwila coś gruchotało albo stukąło, a książki na regałach wpadały w drzenie. Raz wydawało mi się nawet, że słyszę głosy dzieci. Słuchanie tego wszystkiego, przy równoczesnym uwięzieniu tu na dole, było jeszcze gorsze do zniesienia niż wygnanie w dalekim *Pałacu Cieni*.

Mimo bliskości miasta nie odnalazłbym prawdopodobnie o własnych siłach drogi na zewnątrz. Katakumby były tu tak samo pogmatwane, tak, praktycznie o wiele bardziej pogmatwane niż te daleko na dole, szczególnie z powodu swej przytłaczającej ciasnoty. Korytarze były wąskie i niskie, z niezliczonymi rozgałęzieniami, skrzyżowaniami, małymi pieczarami i schodami, a wszędzie dookoła spiętrzone były książki. Książki! Nic nie mogło mnie w tym momencie mniej zainteresować. Na własnej skórze poznałem wszystkie formy książek, od *Śniących* po *Niebezpieczne*, na *Żywych Książkach* kończąc, a jeśli naprawdę się kiedykolwiek stąd wydostanę, to udam się prosto na jakieś niecywilizowane pustkowia, na którym nikt nie potrafi ani czytać, ani pisać.

– Nie przeraż się! – powiedział nagle Homunkolos, który cały czas maszerował przodem świadomy swego celu. – Trup siedzi za następnym rogiem. Na pierwszy rzut oka wygląda na dość żywego. Co tłumaczyłoby może szkielety znajdujące się w jego okolicy, należące prawdopodobnie do ludzi o słabych nerwach, którzy na jego widok doznali ataku serca.

Ostrzeżony w ten sposób, wyrząłem ostrożnie zza rogu – a jednak cofnąłem się z przerażenia. Siedział tam ktoś, kogo znałem.

– Szmejk! – wysapałem.

– Tak, wygląda trochę jak Szmejk, prawda? – wyszeptał Homunkolos za moimi plecami, gdzie stanął, by ustąpić mi miejsca w małej pieczarze.

– Nie, nie jak Fistomefel Szmejk – powiedziałem. – Tylko jak Hagob Saldaldian Szmejk.

Weszliśmy razem do jaskini i obserwowaliśmy mumię. Rzeczywiście, to był Hagob Saldaldian Szmejk, wujek Fistomefela, wyglądał dokładnie tak, jak na obrazie olejnym, który oglądałem. No cóż: Wyglądał *prawie* dokładnie tak samo, ponieważ jego zwłoki były całkowicie wysuszone. Ale ponieważ już za życia wyglądał jak żywy trup, nie robiło to prawie żadnej różnicy.



Siedział na ziemi w jaskini, oparty plecami o wypakowany książkami regał, z martwymi oczami skierowanymi w pustkę. Poza książkami, w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwa szkielety, których kości rozrzucone były dookoła. A z sufitu zwisała lampa z na w pół martwą meduzą, która wydobywała z siebie jedynie matowe, pomarańczowawe światło, pulsujące w nieregularnych odstępach. Najdziwniejszy w tej całej scenarii był fakt, że mumia wznosiła dwa, najwyżej położone ramionka, ze swoich wszystkich czterestu i że jedną ręką wskazywała na drugą. Było dla mnie zagadką, jak Hagobowi udało się umrzeć w takiej pozycji.

– Znasz go? – spytał Homunkolos.

– Nie osobiście. Ale wiem, kim jest. To ktoś z rodziny Szmejków.

– Wygląda na zbyt chudego, żeby być jednym z nich.

– Tak, to trochę wyrodny egzemplarz. To wujek Fistomefela Szmejka. Zapisał mu wszystko, a potem zniknął. Mówiono, że zwariował.

– Tak przynajmniej wygląda. Co robi tutaj na dole?

– Prawdopodobnie tu zablądził. Umarł z głodu. Z pragnienia. Usechł. Zmumifikował się.

– Co jest z jego rękami? Dlaczego tak śmiesznie je trzyma?

– Wskazuje na coś – powiedziałem.

– Tak, wskazuje na swoje własne palce.

– Chyba naprawdę był wariatem.

– Nie, chwileczkę – stwierdził Homunkolos. Nie wskazuje na własne palce.

Wskazuje na coś, co w nich trzyma.

– Trzyma coś między palcami? Ale ja nic nie widzę.

– Tak. To jest włos.

Przyjrzałem się.

– Rzeczywiście. To rzęsa.

W tym momencie przypomniała mi się znów rozmowa z Fistomefelem Szmejkiem, którą prowadziliśmy na temat jego wujka, stojąc przed jego olejnym portretem.

Hagob Saldaldian Szmejk – powiedział wtedy Fistomefel. – „*Był artystą. Tworzył rzeźby. Mój cały dom jest ich pełny.*

Ale ja nie widziałem w domu ani jednej rzeźby – wtrąciłem wówczas.

Nic dziwnego – odpowiedział Szmejk – *Bo i nie da się ich zobaczyć gołym okiem. Hagob tworzył mikrorzeźby.*

Mikrorzeźby?

Tak, najpierw z pestek czereśni i ziarenek ryżu. Potem materiały, których używał, stawały się coraz mniejsze. Pod koniec strugał rzeźby z końcówek włosów. Pokażę panu parę pod mikroskopem, jak wrócimy. Wystrugał na rzęsie kompletną bitwę pod Lasem Nurneńskim.

– To mikrorzeźba – powiedziałem.

– Uważasz, że ten włos jest jakoś obrobiony?

– Może tak być. Podobno był w stanie rzeźbić na najmniejszych rzeczach. Ale to i tak nam teraz nie pomoże. Potrzebowalibyśmy mikroskopu, żeby to zobaczyć.

– Ja nie – powiedział Homunkolos. – Poradzę sobie i tak.

– Możesz to zrobić?

– Opowiadałem ci już kiedyś: Nie mam pojęcia, co Szmejk wsadził mi w miejsce

moich oczu, ale działa to tak dobrze, jakby orzeł z Mrocznych Gór mógł patrzeć przez teleskop. Albo przez mikroskop. Zależnie od okoliczności.

– Naprawdę? To sprawdź to! Może na tej rzęsie jest jakaś wskazówka.

Homunkolos wyłuskał rzęsę ostrymi palcami z uścisku Hagoba Saldaldiana. Potem długo trzymał ją bardzo blisko swych ciemnych oczodołów. Wydawało mi się, że słyszę ciche klikanie i brzęk.

– Nie uwierzysz w to! – powiedział Homunkolos.

– W co nie uwierzę? – zawołałem niecierpliwie. – Uwierzę ci we wszystko!

Homunkolos popatrzył na mnie.

– Och, tak nagle?

– Powiedz mi, co widzisz!

– Nie uwierzysz w to.

– Proszę!

Homunkolos znów skoncentrował się na rzęsie.

– To jest testament! – powiedział. – Wygrawerowany na tym włosie.

– Nie!

– Widzisz, nie wierzysz mi!

– Nie doprowadzaj mnie do szaleństwa! Przeczytaj to! Prze-czy-taj to!

– **Testament** – powiedział Homunkolos.

– Tak, wiem! – chrząknąłem – To jest testament. Już to mówiłeś.

– Nie, tak jest tu napisane: **Testament**. To tytuł. Mam czytać dalej, czy nie?

– Proszę! – Jeśli jakieś słowo brzmiało kiedykolwiek tak, jakby klęczało na kolanach, to było to właśnie owo „proszę”.

Homunkolos odchrząknął. – **Testament**. – przeczytał,

Mogę mieć jedynie nadzieję, że pierwszy, który przeczyta ten list, nie będzie miał akurat na imię Fistomefel Szmej. Gdyby jednak się tak stało, to chcę ci powiedzieć, Fistomefel ty przeklęty padalcu, że cię Przeklinam! Przeklinam cię do końca świata, a mój duch będzie szczał na twój grób, dopóki ta planeta nie zderzy się ze słońcem!

Jeśli jednak, mój drogi czytelniku nie nazywasz się Fistomefel Szmej, wysłuchaj tej smutnej historii:

Gdy Fistomefel Szmej, który jest niestety moim niewydarzonym bratankiem po równie zdegenerowanej rodzinie, zapukał któregoś dnia do moich drzwi – prawdopodobnie uciekając przed jakimiś wierzycielami albo siłami porządkowymi – nie miałem najmniejszego pojęcia o otchłaniach, które się w nim czały. Uległem,

jak i zresztą wielu innych, jego wrodzonemu wdziękowi. Otworzyłem mu drzwi, okazałem moją gościnność, i nie trwało długo, aż zacząłem go traktować jak własnego syna. Dzieliłem z nim wszystko, dom, jedzenie, prócz jednej rzeczy: tajemnicy o bibliotece Szmejków. Poprzez stulecia przekazywaną ją z pokolenia na pokolenie, a ja byłem pierwszy w tym łańcuchu, który zdecydował, by nie zaprzepaszczając tego monumentalnego dziedzictwa na pomnażanie wiedzy, a jedynie po prostu całkowicie je zignorować.

Ponieważ ja, co zauważysz może po mojej posturze, nie wdałem się w tę tłustą rodzinę. We wszystkich Szmejkach tkwi dobro i zło, ale niestety, biorąc pod uwagę historię naszej rodziny, trzeba stwierdzić, że nieprzyjemne cechy charakteru były w naszym rodzie dominujące.

W przeciwieństwie do większości Szmejków skłaniam się ku ascezie, mam zdolności artystyczne i nienawidzę władzy w każdej formie. I trzeba przyznać, że w moim przypadku dzieciństwo Szmejków nie dostało się we właściwe ręce. Przynajmniej na czas mojego życia, jak zdecydowałem obejmując spadek, biblioteka nie będzie służyła żadnym grzesznym, właściwie w ogóle każdym celom. Kiedyś zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy jej nie podpalić, ale nie miałem do tego serca. Okazyjnie tylko składałem jej wizytę, by poczytać sobie w niej jakąś książkę.

Rezygnacja z takiej władzy, a poświęcenie życia na tworzenie dzieł sztuki, których nikt nie jest w stanie zobaczyć, może wydać się niektórym szaleństwem.

Jednak, według zasad mojej moralności, za szaleństwo uchodzi podporządkowanie losu innych własnej woli. Oby inna instancja zdecydowała, które podejście jest właściwsze.

Któregoś dnia Fistomefel musiał mnie rozszyfrować.

Dziś jestem pewien, że obserwował mnie stale na każdym kroku i rozwikłał w końcu tajemnicę biblioteki. Był to wyrok śmierci na mnie. Zostałem odurzony przez Fistomefela zatrutą książką i zaciągnięty w katakumby. Obawiam się, że jestem jedynie pierwszym z całej serii nieszczęśliwców, nie pasujących do jego demonicznych rojeń o władzy.

Jestem u kresu sił. Cały czas ponoszę klęskę, zmierzając SIĘ Z PODSTĘPNYM MECHANIZMEM LABIRYNTU, chroniącym bibliotekę od tej strony, a innego wyjścia nie odnalazłem. Wszystko, co mogę jeszcze uczynić, to niniejszym pozbawić Fistomefela Szmejka jego dzieciństwa i zdemaskować go jako mojego mordercę.

Biblioteka Szmejków ma natomiast przypaść temu, który znajdzie ten

testament i ujawni go ogółowi.

Pozostaje mi mieć jedynie nadzieję, że jest czyste serca.

Hagob Saldaldian, biała owca Szmejków

– To przecież fantastyczne! – zawołałem, gdy Homunkolos zakończył czytać. – Możemy zniszczyć tym Szmejka! I to całkiem legalnie! Jeśli damy to do publicznej wiadomości, jest załatwiony! Morderca. Kłamca. Łajdak, który zagarnął spadek. To dokument, w który nikt nie będzie wątpił. Nikt nie mógłby tego sfalszować, Hagob był jedynym, który opanował tę sztukę.

Homunkolos wpatrywał się nadal w rzesę.

– Możesz przejąć spadek, bo jesteś pierwszym, który to przeczytał! – wołałem. – Jestem świadkiem! Pozbawimy Szmejka wszystkich urzędów i godności. Wszyscy zwrócą się przeciwko niemu. Będzie miał szczęście, jeśli nie ześlą go do kopalni kryształów w Przepaści Demonów albo do więziennej fabryki w Żelaznym Mieście.

– Uważasz to za wystarczającą karę za to, co robił? – spytał Homunkolos. – I za to, co planuje jeszcze zrobić?

– Nie istnieją sprawiedliwe kary – powiedziałem. – Ale na początek by mi to wystarczyło.

– A komu w Księgogradzie chciałbyś pokazać ten testament? Komu możesz zaufać? Znasz kogoś, kto nie widnieje na liście płac Szmejka?

Ten argument sprawił, że mój entuzjazm runął. Patrzyliśmy na siebie długo.

– Może proszę spróbować z nami? – spytał nagle cienki, drżący głos.

– Nawet biorąc pod uwagę fakt, że nasze wspólne doświadczenia nie należały do najlepszych.

Obróciliśmy się gwałtownie i spojrzeliśmy w stronę wejścia do jaskini.

Stali tam Eydeta Hachmed Ben Kibicer i Przeróżnica Inacea Anacaci. Dwoje antykwariuszy z Księgogradu, do których sklepów miałem zakaz wstępu.

Stali tam jak zastygłe na chwilę samy, z drżącymi członkami i w pełnej respektu odległości. Naprawdę dało się wyczuć przerażenie, jakie wzbudzał w nich widok Homunkolosa.

– Przegrałeś Kibicer – powiedziała Przeróżnica łamiącym się głosem.

– To prawda – odpowiedział Kibicer, a jego głos brzmiał jeszcze słabiej niż głos Przeróżnicy. – Nigdy nie powiedziałbym, że przepowiednie Przeróżnic mogą być tak precyzyjne.

Potem przywarli do siebie i padli oboje zemdleni.



ZDRAJCY

Nakazałem Homunkolosowi, aby pozostał w jaskini przy mumii Hagoba Saldaldiana Szmejka, żeby tych dwoje nie zemdlało od razu, jak tylko się przebudzą. Doszli wkrótce znów do siebie, po tym jak oparłem ich o ściany i trochę powachlowałem.

– O mój Boże – wycharczał Kibicer. – Coś takiego jeszcze mi się nigdy nie przydarzyło. Wyobrażałem go sobie całkiem inaczej.

– Ja też – wychrypiała Inacea. – Czegoś tak przerażającego jeszcze w życiu nie widziałam.

Zadawałem sobie w duchu pytanie, kiedy Przerożnica ostatni raz popatrzyła w lustro.

– Właściwie to nie wygląda aż tak strasznie, gdy przyzwyczai się już do tego niecodziennego widoku – wyszeptalem, mimo że doskonale wiedziałem, iż Homunkolos podsłuchuje nas, dzięki swemu fenomenalnemu słuchowi rozumiejąc każdy szept. – Dysponuje nawet dość swoistym pięknem, jeśli jest się w stanie je dostrzec.

– Nie chcieliśmy go obrazić – powiedział Kibicer.

– Nie – uzupełniła Przerożnica. – Zupełnie nie. Jesteśmy tu właściwie z całkiem przeciwnego powodu.

– Czego tu chcecie? – zapytałem.

– Aby na to odpowiedzieć, cofnąłbym się chętnie trochę w przeszłość – odpowiedział Kibicer. – O ile można.

– Jesteśmy przekonani – powiedziała Przerożnica – że moglibyśmy rzucić trochę światła na pewne rzeczy, które z pewnością są dla ciebie nadal niewytłumaczalne.

– To na pewno by mnie zainteresowało – odpowiedziałem.

– Aby wyjaśnić nieco naszą zagmatwaną sytuację – powiedział Kibicer – muszę cofnąć się do czasów, kiedy nie było cię jeszcze w Księgogradzie...

– Długo to będzie trwało? – spytał ponuro z tyłu Król Cieni.

– Obawiam się, że tak – odrzyknąłem, a Homunkolos jęknął udręczony.

– Streszczę się, na ile będzie to możliwe – powiedział Eydet. – Właściwie wszystko zaczęło się wtedy, gdy Fistomefelowi Szmejkowi udało się osiągnąć pewną popularność w Księgogradzie. Wcześniej miasto rządzone było, że się tak wyrażę, przez coś w rodzaju kreatywnego chaosu. Nic nie funkcjonowało właściwie, ale mimo wszystko jakoś funkcjonowało i nikt nie był szczególnie niezadowolony z tego stanu rzeczy. Gatunek istot, które ciągną do Księgogradu, nie łaknie przywództwa, można by tak to wyrazić. Odrobina anarchii zawsze była im miłsza niż zamiecione do czysta chodniki. W ostatnim czasie uległo to przerażającej zmianie.

Gdy Szmejk pojawił się w Księgogradzie, wywarł na nas wszystkich najprzyjemniejsze z możliwych wrażenie. Mówiąc „nas wszystkich” mam na myśli literacką zbiorowość, wewnętrzny krąg, najważniejszych antykwariuszy, wydawców, księgarzy i artystów, którzy trzymali to miasto do kupy. I na tej scenie, mimo swej olbrzymiej otyłości, Fistomefel Szmejk od początku robił dobre wrażenie. Mógł pojawić się w pomieszczeniu, na przykład w jakimś salonie literackim, i dziesięć minut później wszyscy obecni tworzyli krąg, w którego środku się znajdował. Był błyskotliwy, dowcipny, był utalentowanym pisarzem i antykwariuszem z wysoce wyspecjalizowaną i ekskluzywną ofertą. Mimo to był skromny, żył w małym, otoczonym ochroną konserwatora zabytków domu, który z czułością pielęgnował, i wszystkim ważnym ludziom w mieście dawał w prezencie miód z własnej hodowli. Wydawało się, że nie miał innych ambicji. Słowem, niezależny obywatel, którego każdy, kto uważał się za kogoś ważnego w Księgogradzie, zaliczał do kręgu swoich przyjaciół.

– Każdy! – wychrypią Przerożnica – nawet Przerożnice antykwariuszki, które nie mają żadnego kręgu przyjaciół.

– I był mecenasem – powiedział Kibicer. – Pod każdym względem. Często przeznaczał jakąś wartościową książkę ze swoich zbiorów dla dobra ogółu, powiedzmy na wyremontowanie Biblioteki Miejskiej albo renowację najstarszych domów przy uliczce Schwarzmanna. Jedną jedyną z tych książek wystarczała, by uratować przed rozpadem całą dzielnicę miasta. Szczególnie jednak wspierał sztukę.

Przerożnica zaśmiała się jadowniczo.

– Któregoś dnia – kontynuował Kibicer – założył *Koło Przyjaciół Trąbuzońskiej Muzyki Mglawców* i wydaje mi się, że był to moment, w którym relacje w Księgogradzie zaczęły powoli się zmieniać, z początku jednak nikt niczego nie zauważył. Koncerty trąbuzońskie stały się *wydarzeniami* dla duchowej i kulturalnej elity Księgogradu, każdy chciał brać w nich udział, jednak tylko najważniejsi obywatele miasta byli zapraszani.

– Przeżyłeś przecież jeden z tych koncertów – przypomniała mi Przerożnica. – Wiesz, co może wyrządzić ta muzyka. Pomyśl o tym, zanim nas osądzisz, kiedy usłyszysz, co działo się dalej.

Skinąłem głową. Wciąż dobrze pamiętałem muzykę trąbuzonową.

– Nie zauważyliśmy w ogóle, co się z nami działo – powiedział Kibicer. – W moim wypadku trwało to trochę dłużej, bo mam trzy mózgi, ale któregoś dnia i one zmiękły od tej muzyki. Z koncertu na koncert popadaliśmy coraz bardziej w duchowe uzależnienie od Szmejka. Hipnotyczna siła muzyki ustępowała po jakimś czasie, ale przez parę dni biegaliśmy jeszcze jak sterowani przez Szmejka i wypełnialiśmy jego posthipnotyczne

rozkazy, które zakodował w muzyce. Robiliśmy najidiotyczniejsze rzeczy, bez zadawania potem jakichkolwiek pytań! Byłem przy tym, jak zbecześciliśmy cmentarz Przeraznic.

– Nawet ja przy tym byłem – powiedziała Przeraznica i opuściła zawstydzona głowę.

– I urzędujący burmistrz! – powiedział Kibicer. – Ale dla Szmejka były to tylko wprawki. Wkrótce rozkazał nam robić naprawdę istotne dla niego rzeczy. Cieszące się powodzeniem antykwariaty sprzedawały mu zbiory za bezcen. Niektórzy przepisywali mu swój asortyment i popełniali potem samobójstwo. Inni, jak my dwoje, stali się członkami Stowarzyszenia Księgarzy Trójkoła, oddającego Szmejкови połowę swoich dochodów. Politycy wydawali bezsensowne zarządzenia, które działały wyłącznie na korzyść Szmejka.

– Coraz bardziej skracał odstępy między koncertami – przejęła opowieść Przeraznica. – Aż nikt już nie wracał do zdrowych zmysłów. Kierował losami Księgogrodu, jak dyrygent swoją orkiestrą. I wtedy w mieście pojawił się nasz... przyjaciel.

Wzrok Inacei skierował się w stronę jaskini, w której siedział Homunkolos. Z jej wnętrza wydobył się udręczony jęk, który sprawił, że Przeraznica i Eydeta schowali głowy.

– Dowiedzieliśmy się o nim dopiero wtedy, gdy wpadł już w łapy Fistomefela Szmejka – kontynuowała Inacea. – Pokazał nam i jeszcze paru innym teksty, które napisał ten młody geniusz. I wtajemniczył nas w swój bezwstydnny plan uczynienia z niego potwora i wygnania go w katakumby, by zrobić porządek z łowcami książek.

– Wiedzieliście o tym? – spytałem przerażony.

– Nie tylko wiedzieliśmy – odpowiedział cicho Kibicer – mieliśmy w tym poważny udział. Słuchaj mnie uważnie, ponieważ teraz przechodzimy do naprawdę żenującej części naszej opowieści. Szmejk bowiem nie mógłby nigdy zrealizować swoich zamiarów bez konkretnej pomocy z naszej strony.

– Powinieneś jeszcze dodać, że pomagaliśmy mu z radością! – uzupełniła Przeraznica. – Z fanatycznym entuzjazmem. Nasze mózgi były do tego stopnia zmanipulowane i oszalałe, że uważaliśmy jego paranoiczne pomysły za niepodważalne. Daliśmy mu wszelkie wsparcie, jakiego wymagał. Na przykład papier, z którego składa się twój biedny przyjaciel, wiesz, kto się o niego postarał?

– Nie – powiedziałem – skąd mam to niby wiedzieć?

– Ja to zrobiłam! – wysapała Przeraznica. – Pochodzi z prastarych buchemicznych książek Przeraznic, które posiada w ofercie wyłącznie mój antykwariat.

Z jaskini Króla Cieni wydobył się cichy szelest, a powieki Przerożnicy zadrżały. Nie odważyła się opowiadać dalej, kontynuował więc Eydeta.

– Ja skonstruowałem mechanikę oczu – powiedział. – Według książki profesora doktora Abdula Słowiczego o optyce słowiczoskopów. Mają diamentowe soczewki, które sam oszlifowałem. Przyczyniłem się też do paru innych innowacji w jego ciele. Jego wątroba wytrzyma tysiące lat.

– Pomogliście go zesztukować? – spytałem z obrzydzeniem.

– Nie bezpośrednio – powiedziała Przerożnica – dostarczyliśmy tylko pojedyncze części. Nigdy nie byliśmy w tajnym laboratorium Szmejka. I nigdy też nie widzieliśmy gotowego Króla Cieni. Do dzisiaj.

Z jaskini dobiegł złowieszczy ryk, oboje wymienili strwożone spojrzenia.

– Zaraz kończymy – tłumaczył się Kibicer. – Pośpiesz się. Cóż, potem wszyscy o tym zapomnieli. Król Cieni stał się legendą. A Szmejk stawał się coraz potężniejszy.

– I wtedy w mieście pojawiłeś się ty. I obudziłeś nas oboje z transu – powiedziała Przerożnica, wymawiając to jak przekleństwo.

– Oboje poznaliśmy charakter pisma tego, którego przemieniliśmy w potwora. Tak, jakbyśmy obudzili się z jakiegoś koszmaru. Na początku byliśmy w szoku i trwało to chwilę, aż naprawdę zdobyliśmy się na to, by ci pomóc. Ale było już za późno.

– Zniknąłeś już wtedy – powiedziała Przerożnica. – Szmejk nie robił żadnego sekretu z tego, co ci wyrządził. W naszym kole opowiadał chętnie o smoku, którego zesłał do katakumb. Twierdzi Smoków nienawidzi szczególnie. Znajdzie się ona wysoko na jego liście, kiedy jego władza rozciągnie się poza granice Księgogradu.

– Potem zaczęliśmy zatykać sobie uszy woskiem, wybierając się na trąbuzonowe koncerty – powiedział Kibicer. – Nadal należymy do Stowarzyszenia Trójkoła. Ale dzisiaj Szmejk nie ma już nad nami władzy. Staliśmy się zdrajcami. Szpiegami.

– Najpierw byliśmy pomagierami Szmejka. Teraz jesteście zdrajcami – powiedziała Inacea – tak w ogólnych zarysach wygląda nasza historia.

Musiałem to najpierw przetrwać. Jednej rzeczy nadal jednak nie rozumiałem.

– Skąd wiedzieliście, że pojawimy się tutaj dokładnie w tym momencie?

Przerożnica chrząknęła ze straszliwym dźwiękiem.

– Przewidziałam twoją przyszłość już w momencie, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedziała – przypominasz sobie?

– Przypominam sobie tylko niejasno parę pogmatwanych uwag, które mogły oznaczać cokolwiek – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Zejdzie on głęboko w głębie! – jęzgotła Przerożnica. – *Przekłety będzie wśród*

Żywych Ksiązek! Wędrować będzie z tym, którego znają wszyscy, lecz nikt nie wie, kim jest!

Tak, pomyślałem, jeśli naprawdę były to słowa, które wtedy wypowiedziała, to była to dość frapująca przepowiednia. Ale wciąż nie stanowiła odpowiedzi na moje pytanie.

– To nie jest dar – powiedziała Inacea. – To przekleństwo. Ta przepowiednia była tylko typową reakcją Przeróżnicy, nic szczególnego, całkowicie nieprecyzyjna. Sama więc przeprowadziłam na sobie analizę koszmarów. To jedna z najdokładniejszych metod prognozowania, niestety też szczególnie męcząca i bolesna, przy której płacze się krwią i która może doprowadzić do szaleństwa. Kibicer musiał mnie do tego zahipnotyzować, przywiązać do łoża fakira i opryskiwać wołową żółcią.

– To było okropne – przypominał sobie ze zgrozą Kibicer.

– Ale ta mieszanka kosmaru i zeznań pod torturami to najdokładniejsza i najwierniejsza prognoza przyszłości, jaką może dać Przeróżnica. Przewidziałam twoje przeznaczenie w najdrobniejszych szczegółach, aż do tego momentu. Kibicer też mi na początku nie wierzył, a chciałam powiedzieć tylko tyle: Jesteśmy we właściwym miejscu o właściwym czasie. I teraz przegrał ze mną pierwsze sygnowane wydanie książki Słowicze o budowie łodzi podwodnych z Nautilusowych Ślimaków.

– Jest warta majątek! – westchnął Kibicer.

– Czy wy kiedykolwiek skończycie? – zaryczał Homunkolos ze swojej jaskini. Brzmiało to tak, jakby jego cierpliwość dobiegała końca.

– A więc – zaszeptał Kibicer. – Oto jesteście. Przyznaliśmy się do naszych win. Odpowiednią karą byłoby, gdyby Król Cieni zabił nas za te haniebne czyny. Ale może moglibyśmy wymazać nasze winy, robiąc coś dla niego.

– Hm – powiedziałem. – Wydaje się potężnie rozszłoszczony. A co takiego macie do zaoferowania?

– Co powiecie na drogę do biblioteki Szmajka? – spytał Kibicer.

– Znasz drogę przez labirynt?

– Wprawdzie nie wybudowałem tego labiryntu sam – powiedział Kibicer – ale przed trzema laty całkowicie go wyremontowałem.



SŁOWICZY KLUCZ NIEPRAWDOPODOBIENSTWA

Jesteś pewny, że możemy im zaufać? – spytał Homunkolos tak głośno, żeby idący z przodu Kibicer z Przeróżnicą mogli nas wyraźnie usłyszeć.

– A komu można tu na dole zaufać? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Mnie można zaufać – powiedział Homunkolos. – Na przykład, kiedy obiecuję, że wyrwę mózg każdemu, kto spróbuje mnie oszukać. Nawet, jeśli ma ich trzy.

Kibicer wydał z siebie udręczony jęk.

– Wiem, że wiele zawiniłszy – powiedział. – Ale chcemy zrobić naprawdę wszystko, żeby to wynagrodzić. Dajcie nam przynajmniej do tego okazję.

– A co innego mielibyśmy zrobić – spytałem. – Masz lepszy pomysł?

Król Cieni nie odpowiedział.

– To tutaj – powiedział Kibicer i zatrzymał się.

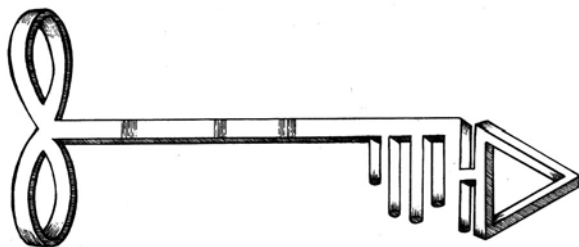
Rozejrzeliśmy się. W tym wąskim korytarzu pełnym książek nie było nic szczególnego.

Kibicer wyciągnął z regału do połowy jakąś niepozorną książkę i cofnął się o krok. Grzbiet książki rozłożył się na dwie strony, ujawniając ukryty w niej szklany mechanizm.

– To zamek do labiryntu – powiedział Eydeta – a ja mam do niego klucz.

– Istnieje klucz do labiryntu? – spytał Homunkolos.

– Każdy labirynt potrzebuje klucza – odpowiedział Kibicer. – Czasami istnieje on tylko w głowie jego wynalazcy. W tym wypadku jest to *Słowiczy Klucz Nieprawdopodobieństwa*.



Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej maleńki przedmiot. Musieliśmy nachylić się bliżej, aby go obejrzeć. Choć dokładnie usiłowałem się mu przyjrzeć, rzecz ta, która

zdawała się składać ze szkła albo z kryształu, w szalony sposób umykała wszelkiej obserwacji. Nie jestem w stanie wyrazić tego inaczej: Ten klucz był naprawdę całkowicie nieprawdopodobny.

– Fascynujące, nieprawdaz? – spytał Kibicer rozmarzonym głosem.

– Wyszlifowałem go osobiście z jednego diamentu według wskazówek zawartych w książkach Słowiczego.

Eydeta wsadził maleńki klucz do szklanego zamka w książce.

– Po moim remoncie aktywowałem nim mechaniczny labirynt, i mogę go za jego pomocą znów dezaktywować. Uważajcie!

Przekręcił klucz, we wnętrzu szklanej mechaniki zaklinało coś i tykało, i wtedy korytarz zaczął się poruszać. Regały książkowe przesunęły się do przodu i rozjechały na obie strony, obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni i zamieniły miejscami. W ciągu paru sekund tunel wyglądał zupełnie inaczej. Gdyby ktoś usiłował zapamiętać sobie parę szczegółów, nie znalazłby już żadnego na swoim miejscu.

– Oto cała sztuczka – powiedział Kibicer. – Każdy korytarz przekształca się automatycznie, gdy tylko ktoś przez niego przejdzie. Ta mechanika została właśnie wyłączona.

– To jest bardziej zmyślne niż *Pałac Cieni* – powiedział z uznaniem Homunkolos.

– *Pałac Cieni*? – spytał zelektryzowany Kibicer. – Istnieje naprawdę?

– To system wentylacyjny – powiedziałem.

Kibicer i Przerożnica popatrzyli na mnie.

– Eee, tak, to system wentylacyjny olbrzyma o stu nosach – usiłowałem wytłumaczyć. – Zamieszkuje go *Płaczące Cienie* i *Żywe Księgi*, które, eee, ech – no dobra, zapomnijcie o tym!

Kibicer i Przerożnica skinęli z ulgą głowami.

– A więc – powiedział Eydeta – labirynt został odlabiryntowany. Idźcie prosto przed siebie, to w końcu wyjdziecie w bibliotecę Szmejka. Nasze zadanie zostało tym samym wykonane.

– Dobrze – powiedział Homunkolos. Wyciągnął z zamka *Słowiczy Klucz Nieprawdopodobieństwa*, rzucił go na ziemię i zdeptał. – Tak tylko dla pewności – powiedział. – No to jesteście kwita. Bądźcie zdrowi! – Odwrócił się, by odejść.

– Jeszcze chwileczkę! – zawołała Inacea Anacaci. – Jesteście naprawdę pewni, że chcecie iść tą drogą?

– A jest jakaś alternatywa? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała Przerożnica. – Nie mówię tak dlatego, że chcę was zatrzymać.

Przeznaczenia nie da się zatrzymać. Ale widziałam waszą przyszłość. I uwierzcie mi, nie był to piękny widok.

– Sam wiem, jak wygląda moja przyszłość – zdecydował bez ociągania Homunkolos. – Idziemy.

Skinąłem głową.

– Jak chcecie – powiedziała Przeróżnica i westchnęła głęboko. – Więc musimy się pośpieszyć, Kibicer. Musimy wracać i opuścić jak najszybciej Księgogród.

– Dlaczego? – spytał Kibicer.

– Bo takie jest nasze przeznaczenie – powiedziała Przeróżnica, złapała go za ramię i powlokła za sobą.



POCZĄTEK I KONIEC

Spacerowanie przez odlabiryntowany labirynt było nad wyraz przyjemne, moi najdrożsi przyjaciele, po całym tym czasie w labiryntach, które funkcjonowały nawet nazbyt dobrze. Żadnych zbijających z tropu odgałęzień, żadnych ślepych uliczek, żadnego łamania sobie głowy nad tym, w którym kierunku powinno się pójść, jedynie kręty korytarz, który w końcu doprowadzi nas do celu.

– Dobrze schowałeś testament? – spytałem Homunkolosa.

– Tak, dobrze – odparł.

Nie odważyłem się zapytać, jakim cudem ktoś, kto nie ma żadnego ubrania ani kieszeni, mógł „dobrze” schować coś tak małego jak rześa.

– Co zrobisz ze Szmejkiem, kiedy go spotkamy? pytałem dalej.

– Zabiję go – powiedział Król Cieni.

– Nie wiem – odparłem – czy jest to na pewno właściwy sposób, żeby go ukarać. Uważasz to za odpowiednią karę? Dręczył cię o wiele bardziej wyszukanie, wsadził do więzienia, wyrzucając klucz. Mógłbyś odpłacić mu tą samą monetą.

– Wiem, do czego zmierzasz – powiedział Homunkolos – ale możesz oszczędzić sobie słów. Moja decyzja jest nieodwołalna – podniósł głowę. – Czujesz to?

Zatrzymaliśmy się, a ja zacząłem węszyć.

– Stare książki – powiedziałem. – No i?

– Bardzo dużo starych książek – potwierdził Homunkolos.

Powąchałem jeszcze raz.

– Ekstremalnie dużo starych, bardzo starych książek – powiedziałem później.

Szliśmy szybciej. Gdy minęliśmy następny zakręt, ujrzeliśmy potężną, porośniętą stalagmitami grotę. Była pełna książek i szczerze oświetlona wieloma świecami. Była to niewątpliwie jedna z odnóg Biblioteki Szmejków.

– Musimy dotrzeć do głównej pieczary – powiedział Homunkolos.

Przeszliśmy przez wiele jaskiń, które stawały się coraz większe i jaśniejsze. Światło świec budziło uspokajające uczucie, że jest to już pierwszy z przyczółków cywilizacji. Ale wiedziałem wystarczająco dobrze, że jest to dyspozytornia władzy Fistomefela Szmejka.

Wtedy wkroczyliśmy w końcu do głównej groty, na ten widok Izzy niemal napłynęły mi do oczu. Biblioteka Szmejków! Tu zaczęło się moje nieszczęście. I tutaj się skończy. Cóż, mam nadzieję, że nie wszystko, moi ukochani przyjaciele, ale może przynajmniej rządy terroru Fistomefela Szmejka. Wszystko wyglądało tu dokładnie tak, jak wtedy, gdy zemdlałem od trucizny zawartej w *Toksycznej Księdze*: niezliczone regały wykute

w ścianach, pozostałe z drewna i żelaza, spiętrzone wysoko jak dzwonnice. Dookoła niewiarygodnie długie drabiny. I książki, w beczkach, skrzyniach i na ogromnych stosach. A tam, rzeczywiście, leżała nadal *Toksyczna Książka!* Rozłożona na podłodze, w miejscu gdzie ją wówczas upuściłem. Szmejk nie zadał sobie nawet trudu, by ją sprzątnąć.

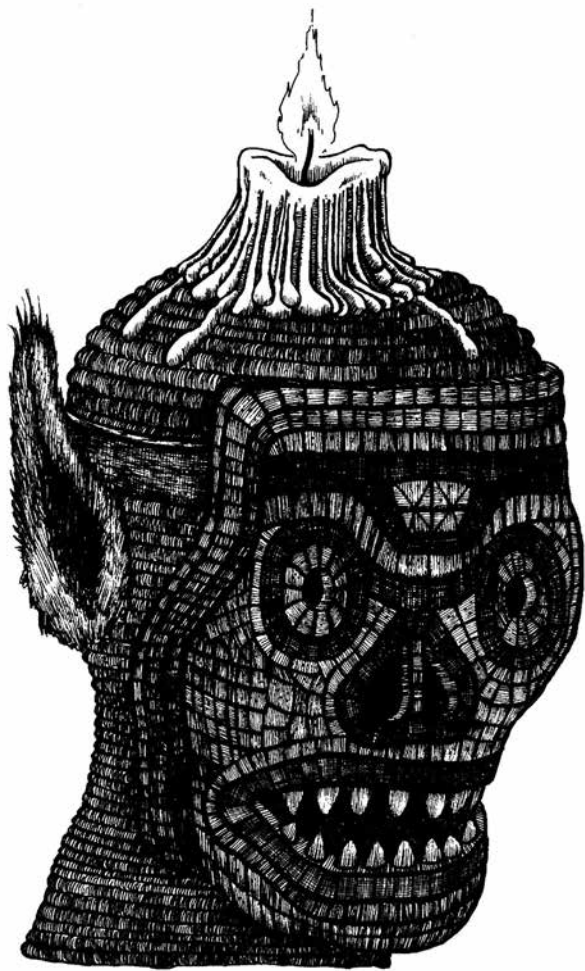
– Co za marnotrawstwo – powiedział z pogardą Homunkolos. – Całe to duchowe dziedzictwo w rękach kryminalisty.

– Mogłoby należeć do ciebie – wyszeptalem. – Jeśli wybierzesz legalną drogę.

Błądziliśmy wzrokiem po tych podziemnych wzgórzach z książek, nadal jeszcze przytłoczeni ich niewyobrażalnymi rozmiarami. Nagle zaniepokoiłem się, bo wydawało mi się, że zauważyłem poruszenie w jednej z tych niechlujnie spiętrzonych książkowych gór. Pomyślałem sobie, że to *Żywe Księgi*, które dostały się tu w jakiś sposób, a nasza obecność obudziła je ze snu, ale było to tylko parę normalnych książek, które zsunęły się i upadły z łoskotem na podłogę. Niepokojący był fakt, że góra nie przestawała się poruszać.

– Homunkolos! – syknąłem.

On zauważył to już wcześniej i nie spuszczał wzroku ze stosu książek. Na ziemię spadała książka za książką i wtedy z wierzchołka stosu wydobył się opancerzony łowca książek. Ubrany był całkowicie w czarną skórę, miał na sobie srebrną maskę z trupią czaszką i uzbrojony był w ciężką kuszę, którą celował prosto w nas. Znałem go. Był to ten, który na czarnym rynku w Księgogradzie groził, że odrąbie mi ręce.



Niedaleko od niego, z innego stosu książek, wy dostał się kolejny łowca. Jego zbroja była cała z mosiądzu, uzbrojony był w olbrzymi luk, na który nakładał właśnie strzałę.

I dalej ukazywali się już jeden za drugim: Beczka pełna książek ludzkiego wzrostu zaczęła się nagle chwiać, przewróciła i wytoczył się z niej kolejny łowca książek, także uzbrojony w kuszę. Z jednego z wybitych w skałę regałów wyleciały wszystkie książki, z góry do dołu, półka za półką. Na każdej leżał łowca książek. Przy jednej ze ścian przewróciło się nagle siedem regałów ludzkiego wzrostu, a nad każdym stało dwóch

zbrojnych. Ze stosu sypiących się tomów, leżących niechlujnie na wielkim, drewnianym stole, niby zwłoki z trumny, podniósł się opancerzony wojownik.

Było ich o wiele więcej niż w *Skórzanej Grocie*, dziesiątki, z pewnością ponad setka, prawdopodobnie wszyscy łowcy książek z katakumb, którzy pozostali przy życiu.

Na koniec runął stos pożółkłego pergaminu, który był ułożony wokół jednego ze stalagmitów. Wzbiła się potężna chmura kurzu, a gdy opadła, odsłoniła Rongkonga Przecinaka, łowcę książek, którego najbardziej się obawiano. Założył na siebie wyjątkowo odświętne uzbrojenie z polakierowanych na czerwono części zbroi, nałożył jak zawsze mały hełm i śmiało się triumfująco swą przerażającą gębą.

– Bądź pozdrowiony – zawołał do mnie. – Wieki się nie widzieliśmy! Dobrze wyglądasz! Schudłeś!

Rongkong Przecinak położył dłonie na rękojeści swej broni, monstrualnego połączenia topora i miecza, tkwiącego za jego szerokim pasem. Wszedł na drewnianą balustradę, z której miał dobry widok na bibliotekę.

Rongkong Przecinak wskazał na Homunkolosa. – A ten facet tam koło ciebie, ten szpetny potwór – to pewnie nikt inny jak Król Cieni. Dobrze zobaczyć cię w końcu twarzą w twarz. Do tej pory spotykaliśmy się tylko w ciemnościach. Co za maskara!

– Lepiej by było, gdybym cię zabił, gdy była ku temu okazja – mruknął Homunkolos.

– Moi ludzie nie byli przygotowani na tchórzliwy atak na *Skórzaną Grotę* – krzyczał Rongkong Przecinak – ale za to teraz jesteśmy przygotowani o wiele bardziej. I jest nas dziesięć razy więcej.

Zobaczyłem, że niektórzy łowcy książek trzymali ostrza swych strzał w płomieniach świec. Błyskawicznie zaczęły płonąć, najwidoczniej były nasączone oliwą.

Rongkong Przecinak wskazywał nadal na Króla Cieni. – Myślałeś pewnie, że swoim podstępny napadem napędzisz nam takiego strachu, że wszyscy damy sobie spokój z zawodem. Muszę przyznać, że morale wśród łowców książek było do tego stopnia zachwiane, że kosztowało mnie to wiele trudu, by zmotywować ich ponownie. A ostatecznie osiągnąłeś rzecz wprost przeciwną. Bo w końcu łowcy książek z katakumb się połączyli – pod moim przywództwem! – by zgotować ci koniec, Królu Cieni! Nigdy wcześniej nie byliśmy tak silni. Nigdy nie byliśmy tak potężni!

Łowcy książek pokrzykiwali z aprobatą i hałasowali swoją bronią.

– Mogłem zabić ich *wszystkich*, gdy miałem okazję – wyszeptał Homunkolos.

– Po twoim występie w *Skórzanej Grocie* było tylko kwestią czasu, że się tu pojawisz – kontynuował Rongkong Przecinak. – Fistomefel Szmejki domyślił się od razu, gdy mu o tym opowiedzieliśmy. I powinieneś wiedzieć też jedno, zanim umrzesz, Królu

Cieni: Uczynisz nas wszystkich, każdego łowcę książek, niewyobrażalnie bogatymi. Ponieważ każdy z nas może, po tym, jak cię zabijemy, wynieść z tej biblioteki tyle książek, ile jest w stanie udźwignąć.

Łowcy książek pokrzykiwali dalej.

– A jaka część dostanie się Kibicerowi i Przerożnicy? – spytał Homunkolos.

Rongkong Przerożnik zdumiał się. – Czynisz tym wielką krzywdę swoim jedynym przyjaciołom w Księgogradzie – powiedział. – Nie. Oni naprawdę chcieli wam pomóc. Szmejk już od dawna kazał obserwować Eydę i Przerożnicę, po tym jak wyszło na jaw ich podejrzone zachowanie. Nie przeszkadzaliśmy im obojgu. Ktoś musiał przecież otworzyć wam drzwi do biblioteki.

– Nie wierzę w to – zawołałem. – Przerożnica mogła wszystko przewidzieć. Dlaczego pozwoliła nam wpaść w tę pułapkę, skoro jest niby po naszej stronie?

Rongkong Przerożnik zastanawiał się długo. – Heh, to naprawdę dobre pytanie! Uważasz, że Przerożnica przewidziała, że jednak uda się wam wyjść cało z tej sytuacji? Że istnieje dla was jeszcze jakaś nadzieja?

Łowcy Książek zaśmiali się.

Przerożnik uniósł uspokajająco ręce. – Inną możliwością byłby fakt, że jednak to, co wszyscy mówią o Przerożnicach, jest prawdą: Mają nierówno pod sufitem.

Rongkong Przerożnik pławił się wprost w okrzykach aprobaty swoich ludzi.

– Czy istnieje jeszcze jakieś wyjście? – spytałem szeptem Króla Cieni.

– Dysponujesz jeszcze może jakimiś tajemnymi mocami, które przede mną zataiłeś?

– Nie – powiedział Król Cieni. – Nie mogę ci, niestety, tym służyć. Jestem silny, ale nie niezwyciężony. Wystarczy jedna płonąca strzała i stanę w płomieniach.

– Więc naprawdę jesteśmy załatwieni?

– Jesteśmy załatwieni.

– Zabijcie Króla Cieni – rozkazał nagle Rongkong Przerożnik, ucinając tym cały tumult. – Spalcie go! Spalcie go setką strzał i rozsypcie jego popioły po labiryncie! Ale jaszczura zachowajcie przy życiu. Zróbcie z niego tylko kalekę. Roszczę sobie prawa do ekstrawynagrodzenia, jakie Szmejk za niego wyznaczył!

– Jesteś szczęściarzem – powiedziałem do Homunkolosa. – Ty zostaniesz jedynie spalony, podczas gdy ze mnie zrobią kalekę, a potem dopiero zabiją.

– Nie sądzę, że zostaniesz zabity – powiedział Homunkolos.

– Tylko?

– Szmejk przygotował dla ciebie coś większego. Będziesz nowym Królem Cieni.

Myśl ta napełniła mnie większym przerażeniem niż myśl o śmierci.

– Czas, żeby się pożegnać – powiedział Homunkolos. – Był to dla mnie zaszczyt i przyjemność, że mogłem cię poznać.

– I dla mnie był to zaszczyt, że mogłem się od ciebie uczyć. Nawet jeśli nie ma to już teraz znaczenia.

Łowcy książek wycelowali swoją broń, zapalono jeszcze więcej strzał, czarny dym unosił się w cienkich pasmach i wzniósł się dźwięk, jakby wszyscy zaczęli sobie nucić.

– Kto tu śpiewa? – spytał Homunkolos. – Czy to łowcy książek?

– Nie – powiedziałem. – To ktoś inny.

Jak zjawy, między książkami biblioteki ukazały się dziwne światła. Wznosiły się zza stosów papieru i skrzyń, zza regałów i stalagmitów. Były ich chyba setki, poruszały się powoli jak małe, żółte księżycy. Były to oczy cyklopów, a światło w nich zawarte pulsowało w rytm mrużenia, z którym się pojawiły.

– To śpiew buchlingów – powiedziałem.



BEZ TCHU

Rozpoznałem Golgo, Gofida i Dancelota Dwa. Był tam Dölerich Hirnfidler i Woski Ejstod. Wonog A. Tscharwani i Ugor Vochti. Balono de Zacher. Perla La Gadeon, Ali Aria Ekmirrner i wielu, wielu innych. Przy życiu pozostało zdecydowanie więcej buchlingów, niż odważałem się pomyśleć.

Łowcy książek byli zbici z tropu. Opuścili broń i rozglądali się zmieszani.

Rongkong Przecinak uniósł ręce, przywołując ich do porządku.

– Spokojnie chłopcy! – zawołał. – To tylko te nieszkodliwe karły ze *Skórzanej Groty*. Nie są nawet uzbrojone.

– Mówi się, że potrafią czarować – zawołał ktoś całkiem z tyłu.

Buchlingi jednak pozostały tam, gdzie wynurzyły się ze swoich kryjówek, i mruczały teraz coraz głośniejsze i natarczywiejsze. Zrobiło mi się bardzo ciepło i sennie, i zauważyłem, że nawet stojącemu obok mnie Królowi Cieni kleją się powoli oczy.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Jeden z łowców książek podniósł kuszę z płonąca w niej strzałą. Skierował ją na Golgo, który stał w jego pobliżu.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Łowca książek wystrzelił. Strzała świsnęła tylko o szerokość dłoni nad Golgo i trafiła innego łowcę książek, poprzez jego hełm, dokładnie między oczy. Runął z łoskotem do tyłu na stos książek i leżał tam.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Jeden łowca książek z olbrzymim mieczem katowskim uniósł broń, zamierzył się potężnie i stojącemu przed nim łowcy książek – był to ten ze srebrną czaszką na masce – uciął od tyłu głowę.

Rongkong Przecinak stał na swojej balustradzie jak rażony piorunem. Nie wydal z siebie żadnego dźwięku.

– Co tu się dzieje? – spytał sennie Homunkolos.

– To specjalność buchlingów – powiedziałem. – Odpręż się po prostu.

– Ja *jestem* odprężony – powiedział Homunkolos.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Dwóch łowców książek rzuciło się na siebie z toporami. Dwóch innych z mieczami. Kolejni dwaj skierowali na siebie nawzajem z bliska kusze i z powodu krótkiego dystansu ich strzały przeniknęły przez pancerze, tak że padli sobie nawzajem martwi w ramiona.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Toczyła się teraz bitwa, jakiej jeszcze w katakumbach nie było. Łowca ksiązek przeciwko łowcy ksiązek, każdy przeciwko każdemu, bez litości, bez oszczędzania własnej osoby. Rzucali się na siebie ze wzdargą śmierci, jakby w ogóle nie wiedzieli, czym właściwie jest śmierć. Latały strzały, szczękały miecze, ucinano członki, topory rozszczepiały hełmy wraz z tkwiącymi w nich głowami. A wszędzie dookoła trwały spokojnie i nieruchomo mruczące buchlingi.

– To najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział Homunkolos.

– To śpiew cyklopów – odpowiedziałem bełkotliwie. – Ciesz się, że nie wmówiłeś sobie, że jesteś murchem.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Rifkin Olbrzym młócił swą czarną maczugą pełną gwoździ w czaszkę Igorioka Dima. Ragnald z Krwawego Jeziora wbił Bulbie Pożeraczowi Serc włócznię w gardło. Hełm Zakariego Tibora stał w płomieniach, bo jego włosy zaczęły płonąć. Urchgard Ordynarny zginął z rąk Bliźniąt Siggleif zabity szpikulcami do lodu.

Nie miałem pojęcia, czy ci łowcy ksiązek naprawdę się tak nazywali, czy też wymyśliłem sobie tylko ich imiona, przyglądając się im, jak otepieni wyrzynali się nawzajem. O ich prawdziwych imionach i tak niedługo nikt nie będzie pamiętał.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

I tak odgłosy walki już ucichały, wyparły je jęki i wrzaski umierających. Na nogach nie stał już prawie żaden łowca ksiązek, a nawet i ostatni, jeden po drugim, opadali na kolana lub upadali jak powalone drzewa.

Jedynie Rongkong Przecinak stał nadal wyprostowany na swojej balustradzie. Przez cały ten czas nie ruszył się nawet z miejsca.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi, a ich mruczenie stało się jeszcze głośniejsze.

Rongkong Przecinak wyciągnął z pochwy swój gigantyczny mieczotopór.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Rzucił go w powietrze, gdzie obracał się, skrząc w świetle świec.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Rongkong Przecinak pochylił się do przodu i opuścił głowę.

– Mmmmmmmmm... – mruczały buchlingi.

Klinga opadła na dół i z impetem gilotyny gładko odcięła od korpusu głowę Rongkonga Przecinaka. Czaszka spadła z balustrady i wpadła prosto do kosza z książkami, jego ciało jednak przeszło jeszcze parę kroków do tyłu, z trzaskiem opadło

na ciężkie drewniane krzesło i zastygło, siedząc bez ruchu.

Bitwa była zakończona.

– Mmmmmmmmm... – mruzczały buchlingi, a potem pozwoliły, by ich mruczenie powoli ucichło.

Obudziłem się z transu, a Homunkolos obok mnie potrząsał zamroczony głową. Otoczyły nas buchlingi. Sprawiały jednak wrażenie udręczonych i wyczerpanych.

Golgo, Gofid i Dancelot Dwa przepchali się do mnie.

– Hyyyy... – powiedział Golgo. Jego oddech brzmiał ciężko i astmatycznie. – Jednak ci się... hyyy... udało.

– Dlaczego tu jesteście? – spytałem. – Tak daleko na górę? – Jeszcze dobrze pamiętałem, jak Golgo opowiadał mi, że nie służy im bogatsze w tlen powietrze z górnych obszarów katakumb.

– Podążaliśmy za... łowcami ksiązek po napadzie na Grotę – wysapał Golgo.

– Każda grupa... buchlingów deptała jakiemuś łowcy... po piętach – podchwycił Gofid, również oddychając z trudem. – Chcieliśmy... zacząć, aż zgromadzą się gdzieś do kupy, żeby wtedy... załatwić ich wszystkich za jednym uderzeniem.

– I stało się to tu... w bibliotece – kontynuował Dancelot Dwa. – Potrafią dobrze... się schować. Ale my jesteśmy... lepsi.

– Nie mamy już prawie... powietrza – powiedział Golgo. – Musimy wracać szybko na dół.

Grupa zebranych dookoła buchlingów brzmiała jak pacjenci z sanatorium przeciwgruźliczego. Światła w ich oczach były zatrwająco słabe.

– *Skórzana Grota* jest wyczyszczona – powiedziałem. – Możecie znów tam wrócić. *On* to załatwił. – Wskazałem na Króla Cieni.

– Wiemy to – powiedział Golgo. – Z rozmów łowców ksiązek. Chcieliśmy za to... podziękować.

– I porządnie to zrobiliście – odparł Homunkolos. Ukłonił się karzełkom.

– Co... macie zamiar teraz zrobić? – spytał Dancelot Dwa.

– Idziemy na górę – odpowiedział Homunkolos.

– Musimy zabić jeszcze jednego olbrzyma – uzupełniłem.

– Uważajcie – upomniał Golgo. – Po wszystkim, co słyszałem... ten, z którym chcecie się zmierzyć... jest prawdziwym gigantem zła.

– Będzie lepiej, jeśli już znikniecie – powiedziałem. – Zanim wszyscy się tu podusicie.

– Chcieliśmy ci jeszcze... kogoś przedstawić – powiedział Dancelot Dwa i skinął w

kierunku stojących z tyłu buchlingów.

Między buchlingami zrobiło się poruszenie i wypchnięto do przodu małego osobnika. Był bladej barwy i przestępował z zakłopotaniem z nogi na nogę.

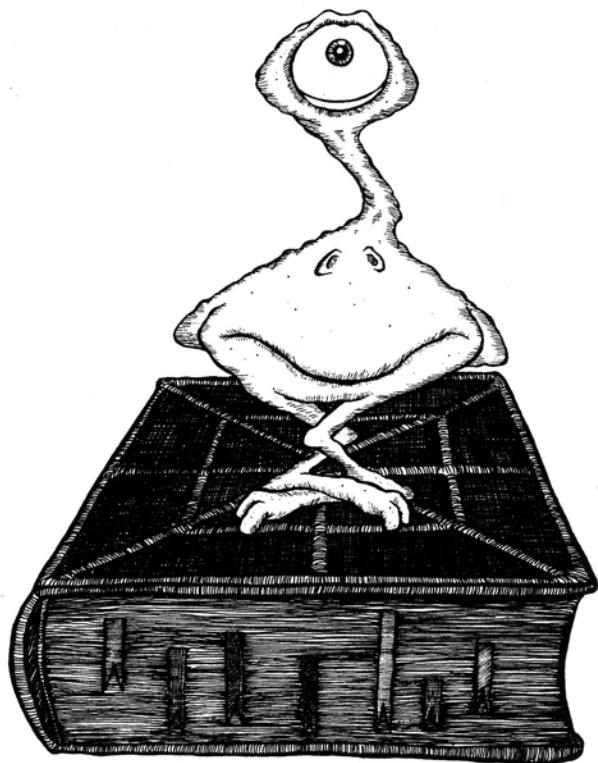
– Kto to jest? – spytałem.

– To jest... Hildegunst Rzeźbiarz Mitów – wysapał Golgo. – Nasz najmłodszy.

To było już zbyt wiele. Łzy trysnęły mi z oczu.

– Ale ja przecież jeszcze niczego nie napisałem – wyszlochałem.

– Zdajemy się... na ciebie – powiedział Golgo. – W największym napięciu oczekiwać będziemy na twoją pierwszą książkę. – Wziął małego za rękę.



Odwróciłem się i odszedłem bez słowa z Królem Cieni. Nie byłbym w stanie znieść

teraz żadnej sceny pożegnalnej.

– I pamiętaj zawsze o tym – zawołał jeszcze za mną Dancelot Dwa:

**Od gwiazd pochodzimy i ku gwiazdom zmierzamy.
Życie jest jedynie podróżą w nieznane.**



ŚMIECH KRÓLA CIENI

Słowa Dancelota Jeden z ust Dancelota Dwa dopełniły miary. Szlochałem niepohamowanie, a Homunkolos musiał podtrzymywać mnie przez jakiś czas, gdy opuszczaliśmy bibliotekę i zmierzaliśmy do domu Fistomefela.

Pewni zwycięstwa łowcy książek zostawili drzwi z zamkiem na zakłęcie otwarte. Przeszliśmy przez galerię przodków rodziny Szmejków, a Hagob Saldaldian rzucił za nami szalone spojrzenie ze swego portretu, jak gdyby zagrzewał nas do walki i przeklinał równocześnie.

Gdy weszliśmy do wilgotnej, małej piwnicy, mogliśmy już usłyszeć głos Szmejka, mimo że zniżył go do szeptu. Byliśmy już tak blisko niego!

– Rongkong Przecinak jest następny – szeptał. – Kiedy załatwi już co trzeba na dole, zrobię z niego atrament. A potem osobiście napiszę kontynuację *Krwawej Księgi*. To będzie przebój na *Złotej Liście*.

Ktoś zaśmiał się idiotycznie. – Dobry pomysł! – powiedział. – A ja dostanę pięćdziesiąt procent! – To był głos Claudio Harfenstocka, Dzikuna.

Kłapa od Laboratorium Liter była otwarta, musieliśmy się tylko zakraść na górę po rampie. Gdy schodziłem nią pierwszy raz, stękała jeszcze pod moim ciężarem. Teraz nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Także i tu wszystko jeszcze było tak jak wtedy: sześciokątne wielkie pomieszczenie ze zbiegającym się ostro sufitem. Wielkie okna przyciemnione czerwoną, aksamitną zasłoną z nadrukowanym na niej alfabetem camońskim. Nie mógłbym powiedzieć, czy na zewnątrz była noc, czy dzień. Regały pełne próbek, butelek, papierów, piór do pisania, atramentu we wszystkich kolorach, poduszek na pieczętki, laku do pieczęci. Dookoła płonące świece. Pismo supełkowe zwisające z sufitu. Runy druidzkie na marmurowej podłodze. Absurdalne buchemiczne urządzenia. Maszyna do pisania powieści.

Fistomefel Szmejk i Claudio Harfenstock stali przed antykwaryczną prasą drukarską i w archaiczny sposób drukowali ulotki, a mógłbym się założyć, że były to zaproszenia na koncert trąbuzonowy. Byli tak zajęci sobą, że Szmejk odwrócił się gwałtownie dopiero wtedy, gdy staliśmy już na środku laboratorium.

Harfenstock wydał z siebie ostry krzyk, który zabrzmiał jak głos zarzynanego właśnie prosięcia, ale Fistomefel Szmejk ani na sekundę nie stracił panowania nad sobą. Rozłożył szeroko wszystkie czternaście ramionek i zawołał: Mój synu! W końcu przyszedłeś!

Całą wielkość Homunkolosa było widać w pełni dopiero w tym małym

pomieszczeniu, nawet mi o mało nie napędził znowu strachu. Zauważyłem, że ustawił się w taki sposób, by móc bez trudu odciąć im obu drogę, jeśli któryś z nich usiłowałby zerwać zasłonę.

– Tak, w końcu przyszedłem – powiedział cicho Homunkolos. – To imponujące, jakie przeszkody trzeba pokonać, by się do ciebie dostać, ojczu.

Szmejk zrobił zakłopotaną minę i złożył wszystkie dłonie:

– Mam nadzieję, że nie spotkaliście żadnych łowców ksiązek? – spytał.

– Te kryminalne indywidua nie wstrzymują się ostatnio od niczego, wtargnęły nawet do mojej biblioteki! Mam nadzieję, że nic się wam nie stało?

– Och, ten problem jest załatwiony – powiedział. – Wszyscy nie żyją. Szmejk był teraz naprawdę pod wrażeniem.

– Wszyscy? – spytał – Naprawdę? Czy wy to...?

– Nie – powiedział Homunkolos. – Sami załatwili to bardzo dokładnie.

– Uff – westchnął Szmejk – to kamień spadł mi z serca! To była prawdziwa plaga powszechna. Teraz możemy w końcu odetchnąć. Słyszałeś Claudio, łowcy ksiązek nie żyją!

– Co za radość – wychrypiął z trudem Harfenstock. Zobaczyłem, że bardzo wolno porusza się w kierunku świecznika, na którym płonęło sześć świec.

– Słuchaj... ojczu! – grzmiał Homunkolos, aż zadrżały próbówki.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby grać z tobą w tę farsę. Przyniosłem ci coś. Pamiętkę z katakumb.

Homunkolos uniósł swoją prawą dłoń, przyciskając do siebie palec wskazujący i kciuk. Przez chwilę panowało zdumienie, nawet ja byłem zmieszany. Potem znów mi się przypomniało: rzęsa.

– Ja, ee, nic nie widzę – powiedział uśmiechając się Szmejk. Jego powieki drżały.

– To jest najmniejszy testament świata – powiedział Homunkolos. – Mógłbyś go odczytać jedynie pod mikroskopem.

– To żart, prawda? – zapytał Szmejk. – Musisz mi tylko powiedzieć kiedy, to zaśmieję się w odpowiednim momencie.

Harfenstock cofnął się znów o kroczek w kierunku świec.

– Nie, to nie jest żart – powiedział Homunkolos. – Chyba że uważasz testament, który pozostawił Hagob Saldaldian Szmejk, za śmieszny.

Szmejk drgnął ledwo zauważalnie. – Testament Hagoba – powiedział – proszę, proszę.

– Tak – powiedziałem. – Masz w piwnicy więcej trupów, niż przypuszczasz.

Homunkolos trzymał rzęsę przed oczami Szmejka. – Znasz przecież zdolności artystyczne twojego wujka. Zapisał mi w tym testamencie cały swój majątek. A więc właściwie twój. Jest to wygrawerowane na włosie.



– Jestem świadkiem – pyszniłem się. – Przysięgnę, że Homunkolos był pierwszym, który przeczytał ten testament. To czyni z niego prawowitego dziedzica całego majątku Szmejków.

Fistomefel drgnął teraz zauważalnie.

– I nie tylko to – uzupełnił Homunkolos. – Na tym włosie, a to jedynie rzęsa, Szmejku, wyobraź sobie! – jest także napisane, że zabiłeś swojego wuja.

– To absurd – powiedział Szmejk. Jego czoło sperliło się potem.

– Musisz pofatygować się jedynie do mikroskopu – poleciłem.

Szmejk zaczął się pocić. – Może żeby ułatwić sprawę, powiedzcie, czego właściwie

chciecie, co? – Sztuczna uprzejmość zaczęła z niego opadać.

– Dobrze – powiedział Homunkolos. – Na szczęście żyjemy w cywilizowanym świecie pełnym możliwości, wyliczę więc warianty.

Harfenstock był oddalony od świecznika już tylko o metr.

– Najłatwiej byłoby naturalnie, gdybyś po prostu zniknął – kontynuował Król Cieni.

– Z tym twoim kompanem, tłustą świnia. Opuszczasz po prostu miasto. Jak zły duch, który nigdy nie powróci. Byłaby to najwygodniejsza wersja. Bezbolesna, czysta, prosta.

– Byłaby to jedna z możliwości – powiedział uśmiechając się Szejnk.

– Ale tylko jedna! Możliwość numer dwa: Przekazujemy to tutaj – Homunkolos uniósł dłoń z niewidzialnym testamentem – opinii publicznej. Wtedy zostałbyś prawdopodobnie przepędzony z miasta i wsadzony do jakiejś kopalni ołowiu, razem ze swoim kompanem. Twój majątek także i w tym przypadku dostałby się mnie. Byłaby to wersja odpowiadająca najbardziej camońskiemu prawodawstwu.

– Przypuszczalnie – powiedział Szejnk. Jego twarz w międzyczasie stężała.

– Ostatnią możliwością byłoby – powiedział Homunkolos – pozwolić, aby ten testament zniknął.

– Och, to podobałoby mi się najbardziej – Szejnk zaśmiał się sztywno.

– Wiem to, ojczu. I dlatego też wyświadczę ci teraz tę przysługę. Ponieważ jestem twoim oddanym synem.

Król Cieni dmuchnął na swą dłoń i rozłożył palce. Wzdrygnąłem się, mimo że cały czas nie byłem pewien, czy naprawdę trzyma w ręce tę rzęsę. Ale naturalnie pogrywał tylko ze Szejkiem.

– To było bardzo śmieszne – powiedział Fistomefel Szejnk. – Ale chcieliśmy skończyć przecież z tą farsą, nieprawdą? Nie mogłem wprawdzie nic zobaczyć, ale jestem pewien, że nie było tam żadnej rzęsy, o ile istnieje w ogóle coś takiego jak testament na włosie. Chcesz mnie trochę podręczyć, zgadza się? Za wszystko, co ci zrobiłem. I mam ci powiedzieć, co o tym sądzę? Powiem ci: Zasłużyłem sobie na to.

– Och – powiedział Homunkolos – życie jest zawsze trochę bardziej skomplikowane, niż byśmy sobie tego życzyli. Po pierwsze: Ten testament istnieje, czy w to wierzysz, czy nie. I nie ma absolutnie znaczenia, czy go zdmuchnąłem, czy też nie. Ponieważ dzięki moim nowym oczom, które ofiarowałeś mi, ojczu, w swej nieprzebranej dobroci, byłoby mi łatwo odnaleźć ten włos spośród milionów nitki i paprochów leżących na tej podłodze.

– Mógłbyś może przejść w końcu do rzeczy? – powiedział teraz niespodziewanie szorstko Szejnk. Jego cierpliwość była widocznie nadwyrężona. Był zlany potem.

– Prawdą jest – powiedział Homunkolos – że rzeczywiście posiadałem wcześniej ten testament. Ale wyrzuciłem go już o wiele wcześniej, gdzieś na dole w katakumbach. I nawet ja sam nigdy bym go już nie odnalazł. Nawet gdybym tego chciał.

– To nieprawda! – krzyknąłem.

– Ależ tak – powiedział Homunkolos. – To prawda!

– Naprawdę to zrobisz? – spytał Szejnk. Uśmiechał się ponownie. – Dlaczego?

– Bo podzielam zdanie twojego wuja Hagoba Saldaldiana – odpowiedział Homunkolos. – Bo uważam, że ta biblioteka nie powinna należeć do nikogo. Bo uważam, że powinna zostać starta z oblicza Camonii, razem z tobą. Bo cię zabiję, ojcze.

Fistomefel Szejnk dał znak Claudio Harfenstockowi. Nie mam pojęcia, dlaczego to zauważyłem, ponieważ było to tylko lekkie drgnięcie jednego z jego wielu palców. Mimo to byłem w najwyższym pogotowiu.

Chciałem ostrzec Króla Cieni, ale on uprzedził mnie, ponieważ i on to zauważył. Claudio Harfenstock chwycił ze znaczną, jak na masę swego ciała, szybkością świecznik i zamierzył się nim. Ale zanim zdołał go rzucić na Homunkolosa, ten był już nad nim, warcząc jak bestia. Wszystko działo się bardzo szybko, tak zaskakująco, jak nieoczekiwane zatrzęsnięcie drzwi przez wiatr. Homunkolos stanął za Dzikunem, uczynił ruch ręką jak cyrulik przy goleniu i jednym czystym cięciem papieru rozerwał mu gardło. Harfenstock stał tak jeszcze parę sekund, charcząc i bulgocząc krwią, a potem runął. Świecznik potoczył się z jego dłoni, a świece zgasły. Król Cieni był jednak znów z powrotem na dawnym miejscu i obserwował w zamyśleniu swoje palce, z których skapywała krew Harfenstocka.

– Dobra robota, mój synu! – zawołał Szejnk, klaszcząc swymi wieloma rączkami.

– Widzieliście to? Chciał cię podpalić! Musiał stracić rozum! Jak niewyobrażalnym refleksem dysponujesz! Jak silnym cię uczyniłem.

Homunkolos nie zwracał na niego uwagi i spojrzał na mnie.

– Jeśli chodzi o nas obu, mój przyjacielu – powiedział do mnie – zawsze byłem wobec ciebie szczery. Nigdy nie okłamałem cię, jeśli chodzi o moje zamiary. Dałem ci jedynie fałszywą nadzieję, rozważając możliwość przeniesienia się z jednego więzienia do następnego. Stało się tak, żeby ruszyć cię z *Pałacu Cieni*.

Potrząsnął ledwie zauważalnie głową.

– Ale ja nigdy nie powrócę w ciemności – powiedział. – Nigdy więcej, nieważne pod jakim warunkiem.

Homunkolos obrócił się i wpatrywał w czerwoną zasłonę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, jaką powinienes wiedzieć o Ormie. Musisz wiedzieć

niebo, jeśli chcesz zaznać jego mocy, słońce i księżyc. Tam na dole byłem martwy, bo ta moc nie mogła już we mnie płynąć. A kto kiedykolwiek ją poczuł, nie będzie już w stanie bez niej żyć.

– O czym on mówi – spytał Szmejk. – Orm? Co ma wspólnego Orm z naszymi sprawami?

– Nie rób tego – błagałem, a moje oczy wypełniły się łzami.

– Czego ma nie robić? – pytał bezradnie Szmejk. – Musimy rozmawiać, ludzie! Można rozmawiać o wszystkim. Cokolwiek zamierzacie, pozwólcie mi być trzecim w przymierzu! Wyobraźcie sobie tylko! Homunkolos ze swoim wyjątkowym geniuszem. Hildegunst ze swą młodzieńczą siłą.

I ja z moimi kontaktami. Moglibyśmy napisać na nowo historię camońskiej literatury!

– Powiedziałem ci kiedyś – powiedział do mnie Homunkolos – że chodzi o to, jak jasno płoniesz, przypominasz sobie? Do tej pory, ja, Homunkolos, byłem tylko bezmyślnie chodzącym papierem, ale teraz zapiszę ten papier przesłaniem, którego miasto Księgogród tak szybko nie zapomni. Mój duch będzie płonął tak jasno, jak jeszcze nigdy dotąd. I wywrze wrażenie, jakiego nie wywarł jeszcze żaden duch, żaden poeta i żadna książka.

– Podeszedł w kierunku okna.

Wiedziałem, że nie istnieje sposób, by go od tego powstrzymać. Mogłem tam tylko stać i spoglądać na niego przez łyżę.

– Co on zamierza? – wołał Szmejk. – Co chcesz uczynić, mój synu?

– Chcę poczuć jeszcze raz słońce – powiedział cicho Homunkolos.

– Jeszcze tylko jeden raz.

Stał teraz przed zasłoną.

– Nie rób tego! – powiedziałem.

Szmejk w końcu zrozumiał. Jego twarz przybrała zły grymas. – Tak – zasyczał. – Zrób to! Zrób to!

Król Cieni rozerwał zasłonę, a do środka wpadło mieniące się światło słońca. Spadło na niego jak fala, oblało całe pomieszczenie i boleśnie trafiło w me oczy, aż wrzasnąłem.

– Nie! – ryczałem.

Król Cieni jednak przyjął światło południowego słońca z podniesioną głową i rozłożonymi ramionami.

– Tak! – powiedział.

– Tak! – zaszeptał Szmejk, wykręcając z satysfakcji pół tuzina swoich rąk. – Nigdy bym nie pomyślał, że tego dokonasz. Oto prawdziwa siła! Oto prawdziwa wielkość!

Moje oślepienie i wypełnione łzami oczy rejestrowały Homunkolosa jako ciemny zarys cienia na tle rażącej ściany światła, tak, jak zobaczyłem go kiedyś po raz pierwszy, gdy samotnie tańczył przed płomieniami w *Pałacu Cieni*. Cienkie, szare smugi dymu unosiły się z niego. Słyszałem, jak potrzaskują i syczą, a w powietrzu zawisł nagle gryzący śwąd. Homunkolos obrócił się. Wszędzie na jego twarzy, na jego piersiach i ramionach żarzyło się i tliło, iskry wylatywały ze szpar starego papieru, a czarny dym wypływał z niego w górę, jak struga atramentu zmierzająca ku górze wbrew wszelkim prawom natury. Potem zaczął powoli zmierzać w kierunku Fistomefela Szmejka.

Wykrzywiona triumfem twarz Szmejka zamarła. W swej wyobraźni widział pewnie Króla Cieni płonącego szaleńczym ogniem i zwęglonego przed oknem, a teraz był przerażony, że miał on jeszcze siły, by się poruszać.

W płomieniach stawał skrawek za skrawkiem alchemicznego papieru, wily się setki płomieni, każdy w innym kolorze. Iskry wylatywały z sykiem z wielobarwnego ognia, przylepiając się dookoła do drewna i papieru, by ogarnąć wszystko pożarem. Maleńkie ogniste diabły śmigają nad regały i ściany, by zapalić tapety.

Król Cieni kroczył jednak do przodu, cały czas w kierunku Fistomefela Szmejka, który znalazł w końcu siły, by się cofnąć.

– Czego ode mnie chcesz? – krzyczał cienkim, wysokim głosem.

Homunkolos jednak rósł i rósł, coraz bardziej promienisty, stworzenie z rozrastającego się światła, z którego kapał płynny ogień. I teraz zaczął się śmiać. Śmiał się pełnym szelestów śmiechem Króla Cieni, którego nie słyszałem już od dawna. I nagle moje Izy wyschły. Ponieważ poczułem, że po raz pierwszy od wieków był szczęśliwy, szczęśliwy i wolny.

Zatrzymał się jeszcze, przechodząc obok mnie. Uniósł rękę na pożegnanie, buzującą pochodnię, z której tryskały białe iskry. Teraz cały stał się płomieniem, widok o niezapomnianej piękności. Przez jedną krótką chwilę, zaledwie mgnienie oka, która mogła być i złudzeniem, wydawało mi się, że po raz pierwszy i ostatni widzę jego oczy. Skrzyła się w nich nieposkromiona radość dziecka.

Także i ja podniosłem rękę w geście pożegnania, a Homunkolos zwrócił się znowu w stronę Szmejka, który w ogromnej panice uciekał drewnianą rampą do piwnicy.

– Czego chcesz? – krzyczał Szmejk przeraźliwym głosem. – Czego ode mnie chcesz?

Król Cieni podążył na nim, chodzący wir prychającego światła, zapalający

dookoła wszystko, czego dotknął. I śmiał się, schodząc w dół, śmiał się z całego serca. Przysłuchiwałem się mu jeszcze, gdy dawno zniknął już pod ziemią.

Eksplodowała butelka z gazem. Rozejrzałem się jak przebudzony ze snu. Dopiero teraz pojąłem niebezpieczeństwo: Całe laboratorium stało w płomieniach. Płonęły krzesła i stoły, drewniana rampa i belki w ścianach, regały i książki, dywany i tapety, nawet pismo supełkowe pod sufitem. W probówkach wrzały chemiczne substancje, wytryskiwały kwasy, unosiły się żrące gazy i gęsty, gryzący dym.

Żar uruchomił niektóre z absurdalnych buchemicznych maszyn. Kręciły się koła zębate, wirowały kółka, klapki otwierały się i zamykały – jak gdyby ożyły, jak gdyby chciały uciec z tego piekła.

Na chwilę, zanim moja peleryna zdążyła stanąć w płomieniach, wzrok mój padł jeszcze raz na skrzynię z niewyobrażalnie cennymi książkami. Nie było to działanie kierowane rozsądkiem, raczej refleks, by wyrwać zniszczeniu choć jedną z książek. Chwyciłem pierwszą z góry i uciekłem na zewnątrz.



ORM

Uliczka była pusta i spokojna, powietrze świeże i chłodne – całkiem normalny, słoneczny dzień w Księgogradzie. Tak długo marzyłem o tym widoku, a teraz był mi całkowicie obojętny.

Zatrzymałem się przed domem Fistomefela Szmejka i czekałem, aż przez gonty dachu zaczęły wznosić się pierwsze smugi dymu. Wtedy odwróciłem się i odszedłem stamtąd, i szedłem powoli, bo nie było już żadnego powodu, by się śpieszyć. Niepokojące odgłosy bicia w dzwony, zdenerwowane głosy i terkot kół furmanek dopiero stopniowo narastały, ale wkrótce swąd dymu podązał za mną tak uparcie, jakby to płonący Czarny Człowiek z Księgogradu deptał mi po piętach.

*Słyszysz ten na pożar dzwon – Z brązu dzwon?!
Jak ponurą gra opowieść rozedrgany dzwonów ton!
Jakież w noc popłynął jęk, Jakież wycie zrodził lęk!
Zdławił mowę! Tylko bić, Tylko mogą dzwony wyć*

*Słyszysz ten na pożar dzwon – Z brązu dzwon?!
Jak ponurą gra opowieść rozedrgany dzwonów ton!
Jakież w noc popłynął jęk, Jakież wycie zrodził lęk!
Zdławił mowę! Tylko bić, Tylko mogą dzwony wyć*

Linijki z poematu Perla La Gadeona rozbrzmiewały bez ustanku w mojej głowie, podczas gdy maszerowałem dalej, dom za domem, ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą, pozostawiając za sobą *Miasto Śniących Książek*. W końcu dotarłem do jego granicy, tam, gdzie w tak mało spektakularny sposób zaczęło się miasto. Ale i tam się nie zatrzymałem, szedłem po prostu dalej, patrząc niewzruszenie do przodu, wychodząc coraz dalej na niezamieszkaną równinę.

I w końcu, moi drodzy przyjaciele, znalazłem odwagę, by się zatrzymać i obejrzeć za siebie. Słońce zdążyło już zająć, jasne gwiazdziste niebo z księżycem bliskim pełni sklepiało się nad płonącym miastem.

Śniące Książki przebudziły się. Czarne kolumny dymu wzbijały się parę kilometrów w górę, papier, który sięgnął nieważkości, i spalone myśli. Sypały się z nich miliony iskier, a każda pojedyncza była palającym słowem, wznosiły się coraz wyżej, by tańczyć z gwiazdami.

I tam w górze ujrzałem go wreszcie, *Alfabet Gwiazd*, skrzył się jasno i wyraźnie na niebie, srebrne pajęczce sieci pomiędzy słońcami.

Na dole bito daremnie w dzwony. Buzowanie niezliczonych przebudzonych książek przypomniało mi boleśnie o szeleszczącym śmiechu Króla Cieni, o moim przyjacielu, największym poecie wszech czasów. I dopiero teraz przypomniało mi się, że nigdy nie spytałem go o jego prawdziwe imię. On także wzleciał, iskrząc się w górę w największym i najstraszliwszym pożarze, jaki kiedykolwiek nawiedził Księgograd.

On, podpalacz i iskra zapalna, wzniósł się w górę, by także stać się gwiazdą, i by po wszystkie czasy świecić z góry na świat, który był za mały dla tak wielkiego ducha.

Była to chwila, w której po raz pierwszy poczułem Orma. Nadleciał na mnie jak gorący wiatr, który nie pochodził jednak z pożaru Księgogradu, tylko z otchłani kosmosu. Przeleciał przez moją głowę i wypełnił ją huraganem słów, które w przeciągu paru podnieconych uderzeń serca uporządkowały się w zdania, strony, rozdziały aż w końcu w całą historię, którą właśnie przeczytaliście, moi drodzy przyjaciele!

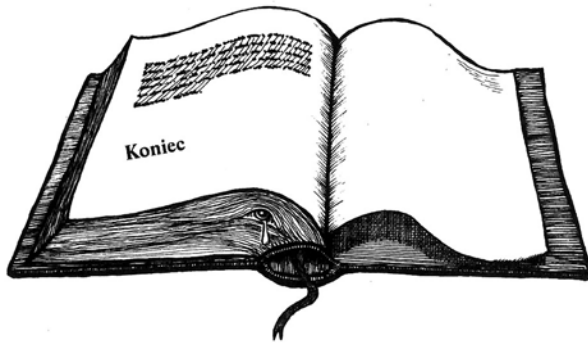
I dołączyłem do śmiechu Króla Cieni, który zdawał się teraz rozbrzmiewać ze wszystkich stron, zarówno z płomieni trawiących Księgograd, jak i z gwiazd wszechświata. Śmiałem się i płakałem, aż z tego szaleńczego uczucia szczęścia nie pozostało już we mnie nic.

Przypomniały mi się ostatnie wersy Gołgo w *Skórzanej Grocie*, które w końcu ujawniły swój sens. Tak, jakby poeta, żyjący nadal w tym buchlingu, przepowiedział wówczas moją przyszłość, aż do tego momentu, w którym spłynął na mnie Orm:

*Hej! W świat uciekaj z tej udreki!
A ów rękopis tajemniczy,
Spod Nieznanego własnej ręki,
Czyż dość wskazówek nie użyczy?
Kiedy rozpoznasz gwiazd koleje
I gdy naturze dasz posłuchy
To siła Orma ci rozdnieje
Jak rozmawiają z duchem duchy*

Dopiero teraz spojrziałem na książkę, którą wyrwałem z piekła płomieni w laboratorium Fistomefela Szmejka i przeszedł mnie dreszcz, gdy poznałem, że była to właśnie *Krwawa Księga*. Odwróciłem się od widoku płonącego miasta, pomaszerowałem przed siebie i nigdy więcej się nie obejrzałem.

A teraz, moi drodzy, czytający te słowa siostry i bracia, wy najdzielniejsi ze wszystkich przyjaciół, którzy tak nieustraszenie towarzyszyliście mi aż do tego miejsca, teraz wiecie, jak wszedłem w posiadanie *Krwawej Księgi* i w łaski Orma. I nie ma już nic więcej do opowiedzenia.



Ponieważ tu kończy się historia.

*Moje podziękowania za wszystko, co możliwe, zechcą przyjąć: Erchl
Gangwolff, Daniel Rawiner, Tito Milchvers i Danilie von Derwesch
Dziękuję Tito Milchvers za rozszyfrowanie cyfr buchemicznej mistyki
liczb.*

POSŁOWIE TŁUMACZA

Odkąd przetłumaczyłem *Osiolasia i Kretosię*, przekładając tym samym po raz pierwszy na język niemiecki książkę camońskiego pisarza Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów, pytany jestem cały czas, które z jego dzieł przetłumaczę jako kolejne. Długo zwlekałem, nic dziwnego, zważywszy na monsturalny dorobek pisarski Rzeźbiarza Mitów. W końcu zdecydowałem się na zachowanie chronologii. *Wspomnienia z podróży sentymentalnego dinozaura* były pierwszą książką Rzeźbiarza Mitów, która ukazała się w Camonii drukiem. W pierwszym wydaniu liczy ona ponad dziesięć tysięcy stron, podzielonych na dwadzieścia pięć tomów, więc przetłumaczenie i wydanie jej pochłonęłoby całe moje życie. Dlatego też postanowiłem wziąć z niej dwa pierwsze rozdziały i streścić je jako *Miasto Śniących Książek*. Mam nadzieję, że ta swoboda edytorska zostanie mi wybaczona, lecz wierzę mocno, że fragment ten spełnia wszelkie wymogi stawiane samodzielnej książce.

Ale co teraz, pytam się sam siebie, jakie dzieło Rzeźbiarza Mitów powinienem przełożyć jako kolejne? Zachowując chronologię, konsekwentnie należałoby przetłumaczyć kolejny rozdział ze *Wspomnień z podróży*, w którym Rzeźbiarz Mitów opisuje swe przygody w Cmentarnym Mieście Dullsgard.

Inną możliwością byłoby nawiązanie do *Miasta Śniących Książek*, ponieważ naprawdę istnieje tu ciąg dalszy. W późniejszym okresie swego życia Rzeźbiarz Mitów, jako już najsłynniejszy pisarz w Camonii, wraca jeszcze raz do Księgogradu, by ponownie zejść w katakumby Miasta Książek. Wynikiem tego było dzieło o sekretnym życiu buchlingów. Tym samym dotrzymał on swojej obietnicy, że w późniejszym czasie opíše wszystkie historie i wiadomości o tych jednookich pożeraczach książek, jakie musiał pominąć w *Mieście Śniących Książek*. Uczynił to, łącząc stare obserwacje i mity ze swoimi najnowszymi przeżyciami w taki sposób, że stworzył kontrowersyjną mieszankę książki popularnonaukowej i powieści przygodowej, która jest jedyna w swoim rodzaju nie tylko dla literatury camońskiej.

A więc: Dullsgard czy Księgogród? Oto jest pytanie. Być może niektórzy z czytelników zechcą mi pomóc w tej ciężkiej sprawie, oddając swój głos poprzez e-mail na mvthenmetz@piper.de. Jeśli istnieje coś, czego nienawidzę, to jest to podejmowanie decyzji.

Walter Moers

SŁOWO OD TŁUMACZKI TŁUMACZĄCEJ

TŁUMACZENIE MOERSA

Szanowny Czytelnik zorientował się zapewne, że nazwiska wymienionych w książce mistrzów literatury camońskiej brzmią czasami dziwnie znajomo (choć dziwacznie), to samo odnosi się również do prezentowanych w trakcie Ormowania fragmentów poezji. Czy to złudzenie? Ależ skąd! Moers przewrotnie ukrył w anagramach znane i mniej znane nazwiska rzeczywistych pisarzy i poetów. Poniższy słowniczek pomoże w odszyfrowaniu tych mniej znanych, bądź wyjątkowo zmyślnie ukrytych. Jeśli zaś, drogi Czytelniku, nie domyśliłeś się tego jeszcze, przejrzyj szybko dopiero co przeczytane dzieło literatury camońskiej i spróbuj odgadnąć sam, które nazwiska poprzekręcał Moers. Aby nie psuć sobie frajdy, zajrzyj do słownika tylko wtedy, kiedy będziesz na to zdecydowany!

Skoro czytasz dalej, a ciekawość zżera Cię do tego stopnia, że nie jesteś już w stanie się jej oprzeć, proszę bardzo! Oto lekarstwo na dręczące Cię podejrzenia. Podręczny słowniczek pisarzy camońskich. Nie przyjmuję zażaleń, że popsulałam Ci zabawę. Przecież ostrzegałam!

Bla, Hulgo – Hugo Ball
Blorn, Ydro – Lord Byron
Bratfist, Reta Del – Adalbert Stifter
Ejstod, Woski – Dostojewski
Ekmirmer, Ali Aria – Rainer Maria Rilke
Farcevol, P.H.T. – H.P. Lovecraft
Fontheweg, Ojahnn Golgo van – Johann Wolfgang von Goethe
Hennf, Fatoma – E.T.A. Hoffmann
Hirnfidler, Dölerich – Friedrich Hölderlin
Kreischwurst, T.T. – Kurt Schwitters
La Gadeon, Perla – Edgar Allan Poe
Letterkerl, Gofid – Gottfried Keller
Meerhelm, Vallni – Herman Melville
Ramsella, Göfel – Selma Lagerlöf
Reischdenk, Clas – Charles Dickens
Rhüffel-Ostend, Sanotthe von – Anette von Droste Hülshoff
Sellerie, Abraclach – Charles Baudelaire
Stero, Brumli – Robert Musil

Treb-Eis, Saittham – Matthias Siebert
Vochti, Ugor – Victor Hugo
Wils, Orca de – Oscar Wilde
Wimpershlaak, Eseila – William Shakespeare
Zacher, Balono de – Honore de Balzac
Ödreimer, Akud – Eduard Mörike

Banalnie proste, prawda? Powinnam jeszcze dodać, że Moers w swym geniuszu translatorskim stworzył nie tylko anagramy, ale wydobyl z nich także całkiem sensowne (dla języka niemieckiego) wyrazy, jak na przykład Wurst, Letter i inne. Tłumaczenie anagramów na język polski nie miałyby jednak sensu, bo nie byłyby to już anagramy, prawda?

Przekład niemieckiej literatury fantasy to przedsięwzięcie dość karkołomne. W tym wypadku trudno pozwolić sobie na pozostawienie gierki słownych i komicznych złożzeń w oryginale. Książka straciłaby zbyt wiele. Język niemiecki zaś nie jest jeszcze tak powszechnie znany, by zdawać się na domyślność i wiedzę Szanownego Czytelnika. Z drugiej strony uparte „spolszczanie” wszystkich nazw pozbawiłoby tę książkę uroku. Czy Frankenstein byłby równie przerażający, nazywając się Frankoński Kamień? Albo, nie daj Boże, doktor Ząbkowicki? Poeci z Twierdzy Smoków posiadający urocze nazwiska, będące zlepkiem pojęć z dziedziny literatury i określeń zwykłych zawodów, otrzymali polskie odpowiedniki. Hildegunst von Mythenmetz powstał od Steinmetz, Drogi Czytelniku, a więc od „kamieniarza”. Kamieniarz zaś to mało poetyckie nazwisko, stąd Hildegunst Rzeźbiarz Mitów. Ufam, że każdy pamięta jeszcze z lekcji niemieckiego, co oznacza „das Buch”, więc buchlingi i buchemicy nie zamienili się w moim przekładzie w księgniki, księgemików i tym podobne potworki.

I tu kończy się moja historia. Wszelkie skargi, zażalenia, pochwały i różnorodne oferty proszę kierować pod adresem: katarzynabena@gmail.com Ja zaś czekam z niecierpliwością na obiecaną przez Hildegunsta księgę o tajemniczym życiu buchlingów i macham Wam tym zdaniem na pożegnanie.

Katarzyna Bena